

**Mario Vargas Llosa**

**Wojna końca świata**

**przekład Dorota Walasek-Elbanowska**

*Euclidesowi da Cunha*

*na tamym świecie*

*i Nelidzie Piñón na tym.*

*Antychryst nadchodzi, ale my się nie lękamy, bo Nauczyciela marny, on nas oswobodzi.*

## Jeden

### *Rozdział I*

Był wysoki i tak chudy, że postać jego czyniła wrażenie ledwie profilu ludzkiej sylwetki. Miał ciemną skórę, wydatne kości, oczy płonące nieustannym ogniem. Obuty był w pasterskie sandały, a fioletowa suknia, zwisająca na jego wątłym ciele, przypominała habity misjonarzy, którzy od czasu do czasu nawiedzają osady sertonu, chrzcząc gromady dzieci i żeniąc nieślubne pary. Trudno było odgadnąć jego wiek, jego ród, jego dzieje, lecz było coś w tych spokojnych rysach, w powściągliwym obejściu, w niezmaconej powadze, co przyciągało ludzi, nim jeszcze zaczynał głosić swe nauki.

Zjawiał się nieoczekiwanie, z początku samotnie, zawsze na piechotę, uwalany kurzem drogi, raz na kilka tygodni, raz na kilka miesięcy. Jego wydłużona sylwetka odcinała się wyraźnie w świetle zmierzchu lub świtu, gdy przechodził jedyną ulicą osady wielkimi, spieszными krokami. Szedł zdecydowanie naprzód, pośród kóz, które pobrzękiwały dzwoneczkami, pośród psów i dzieci, które rozstępowały się na boki i przypatrywały mu się z zaciekawieniem; nie odpowiadał na powitania kobiet, które już go znały, machały do niego i na wyścigi zносиły mu dzbany koziego mleka i miski pełne tapioki i fasoli. Lecz on nie jadł ani nie pił; szedł wprost do kościoła i przekonywał się raz jeszcze, i po raz setny, i jeszcze jeden raz, że świątynia jest zrujnowana, odrapana, wieże pochyłe, ściany dziurawe, podłogi zdarte, ołtarze stoczone przez robaki. Wówczas twarz jego zasmucał ból uchodźcy, któremu susza zabrała dobytek, uśmierciła dzieci i bydło, który musi porzucić swój dom, kości swoich zmarłych i uciekać, uciekać, gdzie oczy poniosą. Czasami płakał, a w płaczu czarny ogień jego oczu podsycaly groźne błyski. I nagle zaczynał się modlić. Ale nie tak, jak modlą się inni; on padał twarzą na ziemię, na kamienie, na rozbite płyty posadzki przed miejscem, gdzie stoi, gdzie stał kiedyś, gdzie powinien stać ołtarz, i tam się modlił, czasem w milczeniu, czasem głośno, jedną, dwie godziny, a ludzie przypatrywali mu się z szacunkiem i podziwem. Odmawiał znajome wszystkim Wierzę, Ojczy Nasz i zdrowaśki, a potem wiele innych modlitw, jakich nikt przedtem nie słyszał, lecz w ciągu dni, miesięcy, lat ludzie mieli zapamiętać ich słowa. Gdzie jest proboszcz, słyszeli, jak pyta, dlaczego trzoda jest bez pasterza? Bo nad tym, że tak wiele osad żyje bez kapłana, bolał tak samo jak nad ruiną domów Pana.

I dopiero kiedy skończył błagać Dobrego Jezusa o przebaczenie za to, co uczynili z Jego domem, godził się zjeść cokolwiek i wypić, ledwie odrobinę tego, co mieszkańcy tak gorliwie mu podsuwali, nawet w latach niedostatku. Przyjmował nocleg pod dachem, gdy sertaneros zapraszali go do siebie, ale rzadko widywano, by spoczął w hamaku, na ubogiej pryczy lub sienniku gospodarza. Kładł się na gołej ziemi i, wsparłszy na ramieniu głowę o wzburzonych, czarnych jak smoła włosach, spał kilka godzin. Zawsze tak krótko, że zasypiał ostatni, a gdy wstający ze świtem poganiacze bydła i pasterze wychodzili na pastwiska, widzieli go już przy pracy, jak zasklepiął spękane ściany i dachy kościoła.

Nauczał zwykle o zmierzchu, kiedy mężczyźni powrócili z pola, kobiety zakończyły domową krzątanie, a dzieci już spały. Nauczał na tych pustych, bezdrzewnych, kamienistych placach, gdzie zbiegają się główne ulice we wszystkich osadach sertonu, i można by je nazwać rynkami, gdyby przydano im ławki, altany, klomby, albo gdyby zachowały się te, które kiedyś tam postawiono, ale niszczyły wskutek suszy, klęsk lub zaniedbania. Nauczał o tej godzinie, gdy niebo nad północną Brazylią, nim ściemnieje, nim się rozgwieździ, płonie pośród kłębiastych obłoków, białych, szarych i błękitnawych, i wybucha ogromnym fajerwerkiem, gdzieś na wysokościach, ponad bezmiarem świata. Nauczał o tej godzinie, gdy

ludzie rozpalają ogniska, żeby odegnać dokuczliwe owady i przyrządzić posiłek, gdy opada duszący opar i podnosi się wiatr, wlewając w serca otuchę i siły do zniesienia chorób, głodu i niedoli.

Mówił im rzeczy proste i ważne, nikogo nie wyróżniając wzrokiem spośród tłumu: patrzył swoimi pałającymi oczami poprzez krąg starców, kobiet, mężczyzn i dzieci na kogoś lub na coś, co tylko jemu było dane widzieć; rzeczy niejasno wiadome od niepamiętnych czasów, wyssane z mlekiem matki, rzeczy żywe, namacalne, codzienne, nieuniknione jak koniec świata i Sąd Ostateczny, który może nastąpić, nim mieszkańcy osady zdążą podeprzeć chylącą się kapliczkę. Co będzie, gdy Dobry Pan Jezus ujrzy opuszczenie, w jakim zostawili Jego dom? Co powie o postępkach duszpasterzy, którzy miast pomagać ubogim, opróżniają im kiesę, zdzierając zapłatę za religijną posługę? Czy wolno sprzedawać Słowo Boże? Czyż nie powinno się rozdawać je za darmo? Czym się usprawiedliwią przed Ojcem księży, co cudzołożą, choć ślubowali czystość? A może sądzą, że wykręcą się byle kłamstwem Temu, który czyta w myślach, jak tropiciel czyta ze śladów jaguara odcisniętych w ziemi? Rzeczy praktyczne, codzienne, powszednie jak śmierć — droga, co wiedzie do szczęśliwości, jeśli wejść na nią z duszą czystą, jak na święto. Czyż ludzie są zwierzętami? Jeśli nie, powinni przejść tę bramę wystrojeni w co mają najlepszego, na znak szacunku dla Tego, z którym idą się spotkać. Mówił im i o niebie, ale mówił też o piekle, siedzibie Szatana, gdzie posadzki są z grzechotników i rozżarzonych węgli, i o tym, jak niewinną postać przybiera Diabeł w coraz to nowych wcieleniach. Pastuchy i peoni z interioru słuchali go w milczeniu, zaciekawieni, wystraszeni, przejęci, i tak samo słuchali go niewolnicy i wyzwolenicy z cukrowni wybrzeża, i kobiety, i ojcowie, i ich dzieci. Czasami ktoś — lecz rzadko, bo jego powaga, jego dudniący, głuchy głos, jego mądrość onieśmiały tłum — przerywał mu, żeby rozwiązać jakąś swoją wątpliwość. Czy skończy się ten wiek? Czy świat doczeka roku 1900? On odpowiadał, nie patrząc na nich, spokojnie i pewnie, a często -zagadkowo. W 1900 zgaśnie wszelka światłość, a na ziemię spadnie deszcz gwiazd. Ale przedtem będą się działy rzeczy niezwykle. Milczenie szło za jego głosem i tylko słychać było trzaskanie ognisk i buczenie owadów pożeranych przez płomienie, a wieśniacy, z zapartym tchem, wysilali zawczasu pamięć, aby zapamiętać przyszłość. W 1896 tysiące stad popędzą z wybrzeża ku sertonom i morze stanie się sertonom, a sertony morzem. W 1897 pustynie okryje zielona ruń, pasterze i trzody przemierzają się i odtąd będzie jedna owczarnia i jeden pasterz. W 1898 będzie więcej kapeluszy niż głów, a w 1899 wody rzek spłyną czerwienią i nowa planeta przetnie nieboskłon.

Trzeba się więc przygotować. Trzeba odnowić kościół i cmentarz, to najważniejsze po domu Pana miejsce, przedsionek nieba albo piekła, i trzeba czas, jaki pozostał, poświęcić temu, co najistotniejsze: duszy. Czyż wyruszymy w ostatnią drogę w sutych spódnicach, surdutach, pilśniowych kapeluszach, sznurowanych trzewikach, wystrojeni w te wszystkie wełny i jedwabie, w które nigdy nie przyodział się Pan Jezus?

Jego rady były praktyczne i proste. Kiedy odchodził, mówiono o nim, że jest święty, że czyni cuda, że widział krzak gorejący na pustyni, jak Mojżesz, że pewnego razu jakiś głos objawił mu nie-wysłowione imię Boga. I rozważano jego nauki. Jeszcze nim upadło cesarstwo i później, gdy zaczęła się republika, słuchali go mieszkańcy Tucano, Soure, Amparo i Pombal; i miesiąc za miesiącem, rok za rokiem wskrzeszano z ruin kościoły w Bom Conselho, w Geremo-abo, w Massacara i w Inhambupe; i za sprawą jego pouczeń wyrosły ogrodzenia i kapliczki wokół cmentarzy w Monte Santo, Entre Rios, Abadia i Barracao; i czczono śmierć godnymi pogrzebami w Itapicur, Cumbe, Natubie, Mocambo. Miesiąc za miesiącem, rok za rokiem jego nauki wypełniały noce Alagoinhas, Uaua, Jacobiny, Itabaiany, Campos, Itabaianinha, Geru, Riachao, Lagarto, Simao Dias. Jego rady wszystkim wydawały się dobre. Dlatego, choć imię tego człowieka brzmiało Antonio Vicente, a nazwisko Mendes Maciel, zaczęto — najpierw w jednej, potem winnej, wreszcie we wszystkich osadach

Północy — zwać go Nauczycielem.

Drewniana krata odgradza redaktorów i urzędników „Jornal de Noticias” — wypisana gotyckimi literami nazwa góruje nad wejściem — od ludzi, którzy przychodzą, żeby zamieścić ogłoszenie lub dostarczyć informacji. Dziennikarzy jest czterech, może pięciu, nie więcej. Jeden szpera w segregatorach; dwaj rozmawiają z ożywieniem, bez surdutów, ale w sztywnych kołnierzykach i aksamitnych krawatkach, obok kalendarza, gdzie widać datę, poniedziałek, 2 października 1896; inny — młody, niezgrabny, w grubych szklach krótkowidza, skrobie po pulpicie gęsim piórem, obojętny na wszystko, co się wokół niego dzieje. W głębi, za oszklonymi drzwiami, mieści się dyrekcja. Mężczyzna w zarękawkach, z oczami przysłoniętymi daszkiem, obsługuje kolejkę interesantów za kontuarem Działu Płatnych Ogłoszeń. Właśnie jakaś kobieta wręczyła mu kartkę. Kasjer, śliniąc wskazujący palec, liczy słowa: Lewatywy Giffoni // leczą tryper, hemoroidy, kwitnące paznokcie i wszelkie dolegliwości dróg moczowych // Wyrób Madame A. de Carvalho // ul. 1 Marca nr 8 — i podaje cenę. Klientka płaci, zabiera resztę, a gdy odchodzi, człowiek stojący za nią przesuwa się do przodu, podaje kasjerowi jakiś papier. Ubrany jest na czarno, w wytarty surdut o dwóch połach i sfatygowany melonik. Kędzierzawa, ruda czupryna sięga mu za uszy. Jest dość wysoki, szeroki w barach, postawny, w sile wieku. Kasjer liczy słowa ogłoszenia, ślizgając palcem po papierze. Nagle marszczy czoło, odrywa palec, przysuwa tekst do oczu, jakby obawiał się, że źle przeczytał. W końcu patrzy niepewnie na klienta, który stoi niewzruszony niczym posąg. Kasjer mruga zirytowany, wreszcie pokazuje mężczyźnie, żeby zaczekał. Szurając nogami, idzie przez salę — kartka powiewa mu w rękę — stuka palcem w szybę gabinetu i wchodzi. W kilka chwil później zjawia się ponownie i na migi pokazuje klientowi, żeby wszedł. Potem wraca do pracy.

Mężczyzna w czerni idzie, stukając obcasami, jakby były podkute. W drzwiach małego gabinetu zawalonego stertami papieru, gazet i propagandowych broszur Republikańskiej Partii Postępowej — Brazylia Zjednoczona Siłą Narodu — oczekuje go człowiek, który spogląda nań z radosnym zaciekawieniem, jak na egzotyczne zwierzę. Zajmuje jedyne w pokoju biurko, nosi oficerki, szary garnitur, jest młody, czarnowłosy, energiczny.

— Epaminondas Goncalves, wydawca i redaktor gazety — mówi. — Proszę, proszę dalej.

Mężczyzna w czerni skłania się lekko i unosi rękę do kapelusza, nie zdejmując go jednak; milczy.

— Pan życzy sobie, abyśmy to opublikowali? — pyta wydawca, wymachując świstkiem papieru.

Mężczyzna w czerni przytakuje. Ma rudą bródkę, taką jak włosy, oczy przenikliwe, niezwykle jasne; twardo zaciśnięte, pełne usta; rozdęte nozdrza, bardzo szerokie, zdają się wdychać więcej powietrza niż potrzeba.

— Jeśli tylko nie wyniesie to ponad dwa tysiące reali — mamrocze w kalekiej portugalszczyźnie. — To cały mój kapitał.

Epaminondas Goncalves wygląda, jakby nie wiedział, czy roześmiać się, czy rozżłościć. Mężczyzna wciąż stoi, bardzo poważny, obserwuje go. Wydawca decyduje się w końcu podnieść kartkę do oczu.

— „Wszystkich, którzy miłują sprawiedliwość, wzywa się na wiec solidarności z idealistami z Canudos i buntownikami całego świata, na placu Wolności, czwartego października o szóstej wieczór” — czyta powoli. — Można wiedzieć, kto zwołuje ten wiec?

— Na razie ja — żywo odpowiada mężczyzna. — Jeśli „Jornal de Noticias” zechce mu patronować, *wonderful*.

— Czy pan wie, co oni tam wyprawiają w tym Canudos? — cedzi przez zęby Epaminondas Goncalves, postukując w biurko. — Zagarnęli cudzą ziemię, żyją w stadzie jak bydłęta.

— Jedno i drugie godne podziwu — przyznaje mężczyzna w czerni. — Dlatego postanowiłem wydać moje pieniądze na to ogłoszenie.

Wydawca milczy przez chwilę. Gdy wraca mu mowa, chrypi:

— Można wiedzieć, kim pan jest, drogi panie?

Bez fanfaronady, bez arogancji, z ledwie dostrzegalnym patosem mężczyzna przedstawia się:

— Bojownikiem wolności, proszę pana. Czy zamieścicie ogłoszenie?

— To niemożliwe — odpowiada Epaminondas Goncalves, który już jest panem sytuacji. — Władze Bahii czekają tylko pretekstu, żeby zamknąć mi gazetę. Chociaż na pokaz zaakceptowali republikę, w duchu pozostali monarchistami. Jesteśmy jedynym prawdziwie republikańskim dziennikiem w całym stanie, jak się pan już zapewne zdążył zorientować.

Człowiek w czerni, z grymasem pogardy, cedzi przez zęby:

— Spodziewałem się tego.

— Nie radzę panu iść z tym do „Diario de Bahia” — dodaje wydawca, zwracając mu kartkę. — Należy do barona de Cañabrava, właściciela Canudos. Skończyłby pan w areszcie.

Bez słowa pożegnania człowiek w czerni odwraca się i odchodzi, chowając ogłoszenie do kieszeni. Przechodzi przez salę redakcji swym dźwięcznym krokiem, nie patrząc i nie żegnając nikogo, obserwowany z ukosa — żałobna sylwetka, falujące płomienie włosów — przez pracowników i klientów Działu Płatnych Ogłoszeń. Młody dziennikarz w okularach krótkowidza podnosi się po jego wyjściu od pulpitu i z żółtą kartką w ręku wchodzi do dyrekcji, skąd Epaminondas Goncalves wciąż jeszcze śledzi wzrokiem nieznanego.

— „Na polecenie Gubernatora Stanu Bahia, Jego Eksceleencji Luisa Viany, wyruszył dziś z Salwadoru 9. Batalion Piechoty pod wodzą porucznika Piresa Ferreiry z zadaniem oczyszczenia Canudos z bandytów, którzy zajęli fazendę, i ujęcia ich prowodyra, sebastianisty Antonia Nauczyciela” — czyta od progu. — Pierwsza strona, proszę pana, czy dalej?

— Dajcie to pod pogrzebami i mszami — mówi wydawca. Pokazuje na ulicę, gdzie zniknął człowiek w czerni. — Wie pan, co to za jeden?

— Galileo Gall — odpowiada okularnik. — Szkot, który włóczy się po Bahii i namawia ludzi, żeby mu pozwolili obmacywać sobie głowy.

Przyszedł na świat w Pombal. Był synem szewca i jego kochanki-kale-ki. Mimo swej ułomności matka urodziła przed nim trzech chłopców, a po nim dziewczynkę, która przeżyła suszę. Na imię dali mu Antonio i gdyby na świecie istniała logika, nie powinien był utrzymać się przy życiu, bo kiedy dopiero zaczynał raczkować, na okolicę spadła klęska suszy, zabijając ludzi, zwierzęta i rośliny. Niemal całe Pombal wyniosło się na wybrzeże, lecz Tiburcio da Mota, który w ciągu pół wieku swego życia nigdy nie oddalił się więcej niż na milę z osady, gdzie trudno było znaleźć parę butów uszytych inną niż jego ręką, oświadczył, że nie opuści swego domu. I dotrzymał słowa: został w Pombal, a z nim ledwie parę tuzinów ludzi. Nawet misja ojców lazarystów opustoszała.

Kiedy po roku, na wieść o tym, że mielizny znów skryły się pod wodą i można już siać zboże, uciekinierzy zaczęli powracać do Pombal, Tiburcio da Mota leżał w grobie obok swej konkubiny-kaleki i trzech starszych synów. Zjedli wszystko, co nadawało się do jedzenia, gdy tego zabrakło, wszystko, co było zielone, a w końcu — wszystko, co mogli rozkruszyć zębami. Wikary, ojciec Casimiro, który ich grzebał, zapewniał, że pomarli nie z głodu, lecz z głupoty, bo jedli szewskie skóry i pili wodę z Krowiego Stawu — tej wylęgarni moskitów i zarazy — który nawet kozy omijają z daleka. Ojciec Casimiro przygarnął Antonia i jego siostrzyczkę. Pod opieką wikarego zdołali przetrwać, żywiąc się powietrzem i modlitwą, a gdy domy w miasteczku znów zapelniły się ludźmi, ksiądz wyszukał im dach nad głową.

Dziewczynkę wzięła do siebie jej matka chrzestna, po czym odeszła do pracy na fazendę barona de Cañabrava. Antonia, wówczas pięcioletniego, adoptował inny szewc z Pombal, zwany Jednookim -stracił oko w jakiejś bójce — który wyuczył się rzemiosła u Tiburcia da Mota, a wróciwszy do Pombal, odziedziczył po nim klientelę. Ponury ten człowiek często bywał pijany, a dzień zwykł witać, cuchnąc samogonem w ulicznym rynsztoku. Nie miał żony i Antonio musiał harować jak wół: zamiatał, sprzątał, biegał to do garbarni, to po ćwieki, to po nożyce, po uprząż, po buty. Sypiał na zwierzęcej skórze obok szewskiego taboretu, gdzie Jednooki spędzał czas wolny od pijatyki.

Sierota był posłusznym, łagodnym chłopcem, a jego drobne ciało — sama skóra i kości — i nieśmiałe oczy budziły litość kobiet z Pombal; gdy tylko mogły, dawały mu coś do jedzenia albo ubranka, z których wyrosły ich własne dzieci. To właśnie kobiety przyszły pewnego dnia — pół tuzina kumoszek zaprzyjaźnionych niegdyś z jego kaleką matką, bo razem asystowały i plotkowały przy niezliczonych chrztach, bierzmowaniach, veloriach i ślubach — do warsztatu Jednookiego z żądaniem, by posłał Antonia na naukę religii, bo chłopaka trzeba przygotować do pierwszej komunii. Dotąd straszyły i groziły, że zda sprawę przed Bogiem, jeśli to dziecię umrze bez sakramentu, aż szewc, choć niechętnie, zgodził się, żeby wychowanek chodził na lekcje katechizmu do misji, codziennie wieczorem przed nieszporami.

Wówczas nastąpił przełom w życiu chłopca, którego wkrótce potem, wskutek zmian, jakie zaszły w nim pod wpływem nauk lazarystów, zaczęto nazywać Aniołkiem. Gdy po kazaniu opuszczał kościół, jego spojrzenie było jakby nieobecne, oczyszczone z brudów tego świata. Jednooki opowiadał, że często przyłapuje go w nocy, jak klęczy w ciemnościach i oplakuje mękę Chrystusa, tak zatopiony w modlitwie, że trzeba go mocno szturchnąć, żeby wrócił do rzeczywistości. Innym znów razem, także nocą, słyszał, jak bredzi niespokojnie przez sen o zdradzie Judasza, o pokucie Magdaleny, o koronie cierniowej, a raz podsłuchał, że składa wieczysty ślub czystości, jak święty Franciszek Salezy w jedenastym roku życia.

Antonio odnalazł swoje życiowe powołanie. Nadal posłusznie wypełniał polecenia Jednookiego, ale poruszał przy tym ustami i przymykał powieki w taki sposób, iż wszyscy widzieli, że nawet gdy zamiata albo pędzi do rymarza, albo przytrzymuje zelówkę, którą przybija Jednooki, w rzeczywistości — modli się. Zachowanie chłopca niepokoiło i napelniało lękiem przybranego ojca. W kąciку, gdzie sypiał, Aniołek postawił ołtarzyk ozdobiony obrazkami, które podarowali mu ojcowie w misji, i krzyżem z xique-xique, który sam wystrugał i pomalował. Tam palił świeczkę i modlił się rano i wieczorem. Tam, na klęczkach, ze złożonymi dłońmi, z twarzą pełną skruchy, spędzał wolne chwile, zamiast — jak inne dzieci z Pombal — biegać po placu zabaw, dosiadać na oklep nieujeżdżone źrebaki, polować na gołębie albo podglądać, jak się kastruje byki.

Gdy już przystąpił do pierwszej komunii, został ministrantem ojca Casimira, a kiedy ten zmarł, chłopiec służył do mszy lazarystom z misji, chociaż w tym celu musiał każdego dnia przejść całą milę tam i z powrotem. W procesjach machał kadzidłem, pomagał

dekorować feretrony i ołtarze na rogach ulic, gdzie Najświętsza Pani i Pan Jezus przystawali na odpoczynek. Religijność Aniołka dorównywała jego dobroci. Mieszkańcy Pombal zdążyli się przyzwyczaić do widoku chłopca prowadzącego ślepego Adelfa, któremu często towarzyszył w drodze na pastwiska pułkownika Ferreiry; stary tęsknił do nich, bo pracował tam, zanim katarakta przesłoniła mu oczy. Szli pod rękę, na przelaj przez pola, a Antonio rozgrzebywał kijem ziemię, płosząc węże, i cierpliwie słuchał opowieści ślepego. Zanosił też jedzenie i odzież trędowatemu Simeonowi, żyjącemu w górach jak dzikie zwierzę, odkąd ludzie zabronili mu wstępu do Pombal. Raz w tygodniu chłopiec zabierał w wężelku wyżebrane od sąsiadów kawałki chleba, tapiokę i suszone na słońcu mięso; patrzyli z daleka, jak przez kamienne rumowiska wzgórz, gdzie trędowaty miał swą jaskinię, prowadzi do studni z wodą bosego, zarośniętego starca okrytego tylko żółtawą skórą, wywroconą włosom na wierzch.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Nauczyciela, Aniołek miał lat czternaście, a kilka tygodni przedtem przeżył straszliwy zawód. Ojciec Moraes z misji lazarystów wylał mu kubek zimnej wody na głowę, mówiąc, że nie może zostać księdzem, bo jest nieślubnym dzieckiem. Pocieszał go i tłumaczył, że równie dobrze można służyć Bogu bez święceń, i obiecał poczynić starania w pewnym klasztorze kapucynów, gdzie może przyjmą go jako brata profana. Aniołek łkał tej nocy tak rozpaczliwie, że Jednooki, rozeźlony, spuścił mu łanie pierwszy raz od wielu lat. Dwadzieścia dni później, w palącym skwarze południa, jakaś chuda, wysoka postać — smągła cera, krucze włosy, płonące oczy — spowita w fioletową szatę, przemknęła przez osadę niczym tajfun, wprost do krytej dachówką starej kaplicy z suszonej na słońcu cegły, która od śmierci ojca Casimira stała w zupełnej ruinie, a wśród świętych wizerunków uwiły sobie gniazda ptaki. Za ascetyczną figurą ciągnęło z pół tuzina ludzi o wyglądzie żebraków i twarzach jaśniejących szczęściem. Aniołek, w tłumie mieszkańców Pombal, patrzył, jak pielgrzym i jego towarzysze modlą się, padłszy krzyżem na ziemię, a wieczorem słuchał, jak święty poucza, co czynić, żeby zbawić duszę, jak gromi bezbożników, jak prorokuje przyszłość.

Tej nocy Aniołek spał nie w warsztacie, lecz na rynku wśród pątników, którzy rozłożyli się na ziemi wokół świętego. A następnego ranka i wieczoru, i przez wszystkie dni, jakie Nauczyciel spędził w Pombal, pracował razem z nim i jego ludźmi: przywracał nogi i oparcia ławkom w kaplicy, wyrównywał podłogę i wznosił kamienny murek, żeby ogrodzić cmentarz — dotąd zwykły jęzor gruntu wrzynający się w miasteczko. I przez te wszystkie noce, skulony w kucki obok Nauczyciela, chłonał prawdy wychodzące z jego ust.

Ale kiedy — a była to przedostatnia noc Nauczyciela w Pombal — Antonio Aniołek poprosił, żeby święty pozwolił mu iść ze sobą, oczy pielgrzymy — skupione i lodowate — najpierw, a usta potem, powiedziały „nie”. Aniołek zapłakał gorzko, klęcząc obok Nauczyciela. Nastąpiła ciemna noc, Pombal spało, obdartusy też, ciasno przytuleni do siebie; ognie pogasły, na niebie płonęły gwiazdy, wokół grały świerszcze. Nauczyciel pozwolił mu się wypłakać, dał do ucałowania kraj szaty, lecz nie ustąpił, gdy Antonio ponowił błagania, żeby wziął go ze sobą, bo serce mu mówi, że przy nim najlepiej usłuży Panu Jezusowi. Objął jego nogi, całował stwardniałe stopy. Kiedy Nauczyciel zobaczył, że chłopiec zmęczył się płaczem, ujął jego twarz w obie dłonie i zwrócił ją ku sobie. Pochyliwszy się nad nim, zapytał uroczyście, czy tak bardzo kocha Boga, że gotów ofiarować mu cier— pienie. Aniołek z zapalem skinął głową, że tak. Nauczyciel podkasał suknię i chłopiec ujrzał w nikłym brzasku, jak odwiązuje kolczasty drut, który opasywał i szarpał jego ciało. „Od dziś ty go będziesz nosił”, usłyszał. Święty sam rozsunął chłopcu poły koszuli, zacisnął pokutny pas wokół ciała, zawiązał.

Kiedy w siedem miesięcy później Nauczyciel i jego naśladowcy — byli liczniejsi,

kilka twarzy ubyło, szedł teraz z nimi ogromny półnagi Murzyn, lecz ubóstwo i szczęście bijące z ich oczu pozostały te same -znów pojawili się w Pombal, w tumanie kurzu, pokutny pas wciąż ścisnął ciało Aniołka, ostry drut zasiniał najpierw jego skórę, potem wyorał w niej głębokie bruzdy, aż w końcu pokryła się brunatnymi strupami. Chłopiec nie zdjął go nawet na jeden dzień i co jakiś czas mocniej zaciskał pętlę, rozluźnioną codziennym ruchem ciała. Ojciec Moraes próbował odwieść go od ciągłego umartwiania się, tłumacząc, że pewna ilość dobrowolnego cierpienia miła jest Bogu, ale przebrać miarę jest łatwo, a wówczas ofiara obrócić się może w niezdrową przyjemność, w pokusę diabelską, co jemu, Aniołkowi, w każdej chwili grozi.

Ale Antonio go nie usłuchał. W dniu powrotu Nauczyciela i jego świty do Pombal był w sklepie caboclo Umberta Salustiano. Serce zamarło mu w piersi, zamarł oddech, gdy ujrzał, że przechodzi tuż obok niego, otoczony apostołami i gromadą miejscowych mężczyzn i kobiet, kierując się, jak poprzednio, wprost do kaplicy. Poszedł za nim, włączył się w rozgwar i podniecenie miasteczka, wmieszany w tłum modlił się, w pełnej szacunku odległości, i czuł wrzenie we krwi. Tej samej nocy słuchał, jak pielgrzym naucza w blasku płonących ognia na zatłoczonym rynku, lecz wciąż nie śmiał podejść. Tym razem całe Pombal wyległo słuchać jego słów.

Dniało już, kiedy ludzie, którzy modlili się i śpiewali, którzy przyprowadzili do niego swoje chore dzieci, żeby wyprosił im u Boga zdrowie, którzy zawierzali mu troski i pytali, co gotuje im przyszłość, odeszli, uczniowie zaś ułożyli się na ziemi do snu, przytuleni jak zawsze, wspierając się o siebie i grzejąc nawzajem; Aniołek w postawie najwyższego szacunku, jak wówczas, gdy przystępował do świętej komunii, podszedł, brnąc przez ciała w łachmanach, do ciemnej, fioletowej postaci, wspierającej na ręku rozczochraną głowę. Ogniska wydawały ostatnie tchnienia dymu i płomieni. Oczy Nauczyciela rozwarły się na widok chłopca i odtąd Aniołek, opowiadając historię swego życia, zawsze będzie powtarzał, że w spojrzeniu tym wyczytał od razu, iż ów człowiek na niego czeka. Nie rzekłszy słowa — nie mógłby — rozsunął zgrzebną koszulę i pokazał drut, który opasywał jego ciało.

Przyjrząwszy mu się uważnie przez kilka sekund, bez drgnienia powiek, Nauczyciel skinął głową; przelotny uśmiech rozjaśnił jego twarz i to była, powtórzy setki razy Aniołek w latach, które miały nadejść, chwila jego konsekracji. Pielgrzym wskazał skrawek wolnej ziemi obok siebie, jakby zarezerwowany dla chłopca wśród natłoku ciał. Aniołek zwinął się w kłębek, rozumiejąc bez słów, że Nauczyciel uznał, iż godzien jest wyruszyć z nim na drogi świata, na bój z Szatanem. Włóczące się po nocach psy i wstający ze świtem mieszkańcy Pombal długo jeszcze słyszeli płacz Aniołka, ale nie przypuszczali, że płacze ze szczęścia.

Jego prawdziwe nazwisko nie brzmiało Galileo Gall, byłjednakbojownikiem wolności czy też, jak sam mawiał, rewolucjonistą i frenologiem.

W wędrówkach po świecie towarzyszyły mu dwa wyroki śmierci, a pięć z czterdziestu sześciu lat swego życia spędził w więzieniach. Urodził się w połowie wieku, w pewnej wiosce na południu Szkocji, gdzie ojciec jego miał praktykę lekarską i bezowocnie usiłował założyć klub anarchistów, żeby szerzyć idee Proudhona i Bakunina. Jak inne dzieci wśród baśni i bajek, tak on wzrastał, słuchając, że własność jest korzeniem wszelkiego społecznego zła i że tylko przemocą zdołają biedni zerwać kajdany wyzysku i ciemnoty.

Jego ojciec był uczniem człowieka, którego miał za najznakomitszego mędrca swoich czasów — Franza Josepha Galla, anatoma, fizyka, twórcy nauk frenologicznych. Podczas gdy dla innych adeptów Galla jego teoria wyrażała jedynie przekonanie, że intelekt, instynkt i uczucia są organami umiejscowionymi w korze mózgowej, że są wymierne i namacalne, dla ojca Galilea rozwój tej dyscypliny przypieczętował śmierć religii, dając empiryczną podstawę materializmu, dowód, iż duch nie jest, jak utrzymują szarlatani filozofii, niewymierny i niena-



macalny, ale stanowi część ciała, podobnie jak zmysły, i tak jak one możliwy jest do zbadania i klinicznego leczenia. Szkot wpajał synowi, odkąd chłopiec zaczął robić użytek z rozumu, tę najprostszą z zasad: rewolucja wyzwoli społeczeństwo, a nauka-jednostkę od wszelkich klęsk zbiorowych i osobistych. Walce o obydwa te cele poświęcił Galileo swoje życie.

Wywrotowe idee przysporzyły jego ojcu kłopotów w rodzinnej Szkocji, osiedlił się więc na południu Francji, gdzie aresztowano go w 1868 za pomoc strajkującym robotnikom z przędzalni Bordeaux, a następnie zesłano do Cayenne. Tam zmarł. W rok później Galileo znalazł się w więzieniu, oskarżony o współudział w podpaleniu kościoła — sutanny nienawidził najbardziej, po mundurze i pieniądzu — ale już po paru miesiącach uciekł i zaczął pracować pod kierunkiem pewnego paryskiego chirurga, starego przyjaciela ojca. W owym czasie przybrał nazwisko Galileo Gall, zastępując nim swoje własne, zbyt znane policji; zaczął też zamieszczać krótkie notki polityczne i artykuły popularnonaukowe w lionńskim magazynie „L'Etincelle de la revolte”.

Za największą chlubę poczytywał sobie walkę o wolność rodzaju ludzkiego, ramię w ramię z komunardami Paryża, od marca do maja 1871, kiedy to był świadkiem ludobójstwa popełnionego przez siły Thiersa na trzydziestu tysiącach mężczyzn, kobiet i dzieci. Jego także skazano na śmierć, ale zdołał uciec z koszarowego aresztu tuż przed egzekucją, w mundurze sierżanta straży więziennej, którego zabił. Udał się do Barcelony i tam spędził kilka lat, studiując medycynę i praktykując frenologię u Mariana Cubi. Uczony ów chełpił się, że wykryje skłonności i najtajniejsze cechy charakteru każdego człowieka, jeśli choć raz przesunie opuszkami palców po jego czaszce. Zdawało się już, że bliski jest uzyskania lekarskich uprawnień, kiedy umiłowanie wolności i postępu, a może skłonność do awanturnictwa, ponownie puściły w ruch tryby jego życia. Z garstką wiernych stronników Idei ruszył pewnej nocy do szturm na koszary Montjuich, aby rozpuścić nawałnicę, która, sądzili, wstrząśnie w posiadach Hiszpanią. Ktoś jednak zdradził i żołnierze przywitani napastników gradem kul. Widział, jak jego towarzysze jeden po drugim padają w walce; kiedy go pojmano, był ciężko ranny. Dostał wyrok śmierci, ale ponieważ prawo hiszpańskie zabrania nikczemnych egzekucji na rannych, postanowiono wyleczyć go i dopiero potem zabić. Wpływowi przyjaciele pomogli mu uciec ze szpitala i zaokrętować się z fałszywymi papierami na pokład pewnego frachtowca.

Wędrował przez kraje i kontynenty, zawsze wierny ideom swego dzieciństwa. Obmacywał czaszki żółte, czarne, czerwone i białe, przeplatając, zależnie od okoliczności, działalność polityczną i praktykę naukową; w ciągu tego życia, pełnego przygód, więzień, zbrojnych akcji, tajnych spotkań, ucieczek i przeciwności losu, zagryzmolił stosy brulionów, w których potwierdzał i wzbogacał przykładami nauki swoich mistrzów: ojca, Proudhona, Galla, Bakunina, Spurzheima, Cubiego. Więziono go w Turcji, Egipcie oraz Stanach Zjednoczonych za próbę obalenia porządku społecznego i religii, ale dzięki swej szczęśliwej gwieździe i pogardzie dla niebezpieczeństw nigdy długo nie pozostawał za kratami.

W 1894 był lekarzem okrętowym na niemieckim frachtowcu. Statek zatonął u wybrzeży Bahii, a jego wrak na zawsze utknął na mieliźnie naprzeciw fortu Sao Pedro. Zaledwie sześć lat upłynęło, odkąd Brazylia zniosła niewolnictwo, a pięć, odkąd z cesarstwa stała się republiką. Zafascynowała go ta pstrokacizna ras, społeczne i polityczne wrzenie, to społeczeństwo, w którym Europa żyje za pan brat z Afryką, i coś jeszcze, coś, czego nie znał dotąd. Postanowił zostać. Nie mógł otworzyć praktyki, bo nie miał koniecznych tytułów, więc, podobnie jak gdzie indziej, zarabiał na życie lekcjami języków i dorywczą pracą. Często wędrował po kraju, lecz zawsze wracał do Salwadoru, gdzie zwykle można go było zastać w księgarni „Katylini”, w cieniu palm na Mirador dos Afligidos albo w portowych tawernach dolnego miasta, jak tłumaczył przygodnym rozmówcom, że wszelkie sprzeczności

są do pogodzenia, jeśli nie wiara, lecz rozum stanie się osią życia, że nie Bóg, lecz Szatan — pierwszy buntownik — jest prawdziwym księciem wolności i że gdy rewolucja raz na zawsze obali stary porządek, nowe społeczeństwo rozkwitnie samorzutnie, wolne i sprawiedliwe. Choć byli i tacy, którzy go słuchali, z reguły nie zwracano nań większej uwagi.

## **Rozdział II**

Podczas klęski suszy w 1877 roku, gdy nadeszły miesiące głodu i epidemii, uśmiercając połowę ludzi i zwierząt w regionie, Nauczyciel nie wędrował już samotnie, lecz z gromadą towarzyszy, a raczej naśladowców (on sam jakby ledwie zauważał smugę istnień ludzkich, ciągnącą jego śladem), z których jedni poruszeni w duszy jego nauką, inni przez ciekawość lub zwykłą inercję — porzucali wszystko, co mieli, żeby pójść za nim. Wielu odprowadzało go kawałek drogi, garstka nielicznych zdawała się zawsze trwać u jego boku. On zaś, nie zważając na suszę, wciąż szedł, choć pola zasłane były szkieletami bydła, rozdziobywanych przez sępy, a osady witały go na wpuł wyludnione.

I być może nie to, że przez cały rok 1877 nie spadła kropla deszczu, rzeki wyschły, a w catindze pojawiły się niezliczone karawany uchodźców — którzy, unosząc na wozach lub na własnych plecach swój nędzny dobytek, błakali się w poszukiwaniu wody i pożywienia — było najstraszniejsze w owym strasznym roku. Jeszcze gorsi byli chyba cangaceiros i wężę, od których zaroily się sertony Północy. Dawniej także nie brakowało bandytów: napadali na fazendy, rabowali bydło, bili się z capangas — płatnymi pacholkami właścicieli majątków — i łupili zapadłe wioski, ścigani okresowo przez lotne oddziały żandarmerii. Ale wraz z głodem bandy rozmnożyły się jak biblijne ryby i chleb. Spadały, chciwe zysku i krwi, na osady i tak już zdziesiątkowane suszą, rabowały resztki żywności, sprzętów i odzieży, masakrowały mieszkańców, którzy ośmielali się im sprzeciwić.

Lecz Nauczyciela nie znieważyli nigdy słowem ani czynem. Ich drogi przecinały się na pustynnych szlakach wśród kaktusów i kamieni, pod rozpalonym niebem, albo w gąszczu catingi, wśród pozółkłych zarośli i wyschniętych, pękających pni. Cangaceiros — dziesięciu, dwudziestu mężczyzn zbrojnych we wszelkie narzędzia zdolne rąbać, kłuć, dziurawić i tłuc — spoglądali na wychudłego mężczyznę w fioletowym habicie, a on, beznamytnie jak zawsze, przez krótką chwilę wodził po nich swymi lodowatymi, niepokojącymi oczami i nadal czynił to, co zwykle: modlił się, medytował, wędrował, pouczał. Pielgrzymi bledli na widok bandytów i cisnęli się wokół Nauczyciela jak kurczęta koło kwoki. Rozbójnicy, widząc ich skrajne ubóstwo, zostawiali ich w spokoju, czasami jednak przystawali, rozpoznawszy świętego, którego prorocтва dotarły już do ich uszu. Nie przerywali mu, jeśli się modlił, i czekali, aż raczy ich dostrzec. On, wreszcie, przemawiał do nich swoim otchłannym głosem, przenikającym wprost do serca. Mówił im rzeczy, które mogli zrozumieć, prawdy, w które mogli wierzyć. Że ta klęska jest bez wątpienia pierwszym zwiastunem Antychrysta, pierwszą z plag, poprzedzających zmartwychwstanie ciał i Sąd Ostateczny. Że jeśli chcą zbawić duszę, powinni już teraz sposobić się do walki, jaka rozpęta się, gdy diabelskie hufce Antychrysta — a będzie nim Szatan, który we własnej osobie przybędzie na ziemię werbować wyznawców — rozleją się po sertonach niczym plama ognia. I, podobnie jak pastuchy, peoni, wyzwolenci i niewolnicy, rozważali jego słowa cangaceiros. A niektórzy z nich — Pajeu o twarzy przeciętej blizną, olbrzymi Pedrao, a nawet najkrwawszy ze wszystkich Joao Szatan — wyrzekali się występku, nawracali na dobro i szli za nim.

I tak jak oszczędzili go bandyci, oszczędziły go grzechotniki, które w przerażającej liczbie, tysiącami wyległy na pola z powodu suszy.

Długie, oślizgłe, trójkątne, w konwulsyjnych skrętach opuszczały swoje nory, podobnie jak ludzie uchodząc przed klęską, a w swej ucieczce uśmiercały dzieci, cielęta, kozy

i nie wahały się w biały dzień podpełzać do ludzkich osiedli w poszukiwaniu żeru. A było ich tak wiele, że acuany nie nadążały rozprawiać się z nimi i nierzadko, w owych czasach zamętu, widok węży pożerających te drapieżne ptaki zastępował zwykły dawniej obraz acuana wzbijającego się w niebo ze zdobyczą w dziobie. Sertaneros we dnie i w nocy musieli nosić przy sobie kije i maczety, a niektórzy nabyli takiej wprawy, że zabijali sto gadów w ciągu jednego dnia. Lecz Nauczyciel nie przestał sypiać na gołej ziemi, zawsze tam, gdzie zastała go noc. Pewnego wieczoru, gdy usłyszał, jak pielgrzymi rozprawiają o węzach, wyjaśnił im, że nie po raz pierwszy dzieją się podobne rzeczy. Kiedy synowie Izraela w drodze powrotnej z Egiptu do rodzinnego kraju narzekali na trudy pustyni, Ojciec za karę zesłał na nich plagę jadowitych węży. Mojżesz wstawił się za nimi, a wówczas Ojciec polecił mu sporządzić węża z miedzi i starczyło na niego spojrzeć, żeby wyleczyć się z ukąszenia. Czy mają uczynić to samo? Nie, bo cuda się nie powtarzają. Ale z pewnością Ojciec wejrzy na nich łaskawiej, jeśli nieść będą przed sobą jako szkaplerz oblicze Jego Syna. Pewna kobieta z Monte Santo, Maria Quadrado, dźwigała od tej pory urnę, a w niej skrawek płótna z wizerunkiem Dobrego Jezusa, namalowanym przez chłopca z Pombal, który dla swej pobożności zyskał sobie miano Aniołka. Gest ów uradować musiał Ojca, żaden bowiem z pielgrzymów nie został ukąszony.

I oszczędziły Nauczyciela epidemie, jakie wskutek suszy i głodu rozszalały się w następnych miesiącach i latach, rażąc śmiertelnie tych, którzy dotąd zdołali przeżyć. Kobiety, ledwie brzemiennie, ronily płód, dzieciom wypadały zęby i włosy, a dorośli nagle zaczynali pluć i wypróżniać się krwią, puchli od guzów albo obsypani wrzodami tarzali się w żwirze, jak psy dotknięte świerzmem. A wysoki, chudy człowiek szedł pośród zarazy i śmierci, niewzruszony, niezniszczalny niby okręt prowadzony doświadczoną ręką sternika, który żegluję do bezpiecznego portu, wymykając się burzy.

Do jakiego portu zmierzał Nauczyciel w swej nieustannej pielgrzymce? Nikt go nie pytał, a on tego nie mówił i chyba sam nie wiedział. Szedł teraz otoczony dziesiątkami naśladowców, którzy porzucili wszystko, żeby poświęcić się sprawom ducha. Przez miesiące suszy Nauczyciel i jego uczniowie pracowali bez wytchnienia, grzebiąc zmarłych z wycieńczenia, od zarazy lub udręki; znajdowali na skraju dróg trupy przegniłe i napoczęte przez zwierzęta, a może przez ludzi, więc zbijali trumny i kopali doły dla swych zmarłych braci i sióstr. Tworzyli pstrokatą społeczność, mieszaninę ras, miejsc i profesji. Byli wśród nich encuerados — pastuchy w skórzanych strojach, którzy trudnili się pędzeniem stad bydła należących do fazenderów--pułkowników; caboclos o miedzianej skórze, których indiańscy pradziadowie chodzili półnaczy i zjadali serca swoich wrogów; mamelucy, którzy bywali nadzorcami, blacharzami, kowalami, szwecami lub cieślami. Mulaci i Murzyni zbiegli z trzcinowych plantacji na wybrzeżu, od dybów, pręgierza, bata, solenia otwartych ran i innych kar wymyślonych w cukrowniach na niewolników. I szły z nimi kobiety, stare i młode, zdrowe i kalekie; to one pierwsze wzruszały się, gdy Nauczyciel, głęboką nocą, mówił o grzechu, o przewrotności Bestii i dobroci Dziewicy. One łątały fioletowy habit, przemieniając kolce ostów w igły, a palmowe włókna w nici; one głowiły się, jak uszyć mu nowy, gdy stary podarł się w gęstwie catingi; one szyły mu nowe sandały, spierając się przy tym o stare, żeby zachować jako relikwie te przedmioty, które dotknęły jego ciała. One, każdego wieczora, gdy mężczyźni rozpalili ogniska, przygotowywały polentę z ryżowej, kukurydzianej lub maniokowej mąki, zmieszanej z wodą, i sok z owoców tykwowca — ożywienie pielgrzymów. Ci zaś nigdy nie musieli troszczyć się o jadło i napitek, żyli bowiem wstrzemięźliwie, a wszędzie, gdzie przechodzili, dostawali jałmużnę. Od biedaków, którzy spieszyli zanieść Nauczycielowi kurę albo worek kukurydzy, albo świeże sery, i od bogaczy, którzy — gdy orszak obdartusów nocował w obejściu, a pielgrzymi z własnej inicjatywy, nie żądając nawet grosza zapłaty, sprząтали kaplicę fazendy — posyłali im przez służbę świeże mleko,

prowianty, a czasem nawet cielaka albo koźlą.

Tak długo już krążył po sertonach, tylekroć przychodził i odcho— \* dził tą samą drogą, na tyle skalistych progów wspinał się i z tyłu zstępował, że znali go wszyscy. Także księża. Nie było ich wielu, a ci, którzy byli, żyli jakby zagubieni w ogromie sertonu i nie starczało im czasu ani sił, żeby utrzymać przy życiu liczne kościoły, odwiedzane przez duszpasterzy tylko w dniu patrona osady. Wikariusze niektórych miejscowości, jak Tucano i Cumbe, pozwalali mu przemawiać do wiernych z ambony i żyli z nim w zgodzie; inni, jak ci z Entre Rios i Itapicuru, zabraniali mu kazań i zwalczali go. W większości zaś osad, w podzięce za to, co robił dla kościołów i cmentarzy, a może bojąc się zatargu z własnymi parafianami, gdyż jego wpływ na dusze sertaneros był ogromny, wikariusze przyzwolali niechętnie, żeby zaraz po mszy odmawiał litanie i nauczał w kruchcie.

O tym, że w roku 1888, daleko, w miastach, których same nazwy brzmiały obco — Sao Paulo, Rio de Janeiro, a nawet Salvador, stolica państwa — monarchia zniosła niewolnictwo i że krok ów wywołał wrzenie w bahijskich cukrowniach, które nagle zostały bez rąk do pracy, Nauczyciel ze swym orszakiem pokutników dowiedział się dopiero w kilka miesięcy po ogłoszeniu nowiny, kiedy z trudem dotarła na wyżynę sertonu, podobnie jak inne wieści dochodzące na kresy cesarstwa — spóźnione, przeinaczone i częstokroć przedawnione — z polecenia władz obwieszczana na placach i przybijana na drzwiach magistratów.

A następnego roku, prawdopodobnie tak samo spóźniona, do Nauczyciela i ciągnącej za nim smugi pielgrzymów dotarła wieść, że naród, do którego, nie wiedząc o tym, przynależeli, nie żyje już w cesarstwie, lecz w republice. Nie dowiedzieli się też nigdy, iż wydarzenie to nie wzbudziło bynajmniej zachwyty dawnych władz ani byłych właścicieli niewolników (pozostały w ich ręku plantacje i stada), ani państwowych urzędników z Bahii, widzących w tej zmianie ostateczny cios zadany hegemonii byłej stolicy, ośrodkowi życia politycznego i gospodarczego Brazylii przez lat dwieście, a teraz nostalgicznej ubogiej krewnej, patrzącej bezsilnie, jak przemieszcza się na Południe wszystko, co kiedyś należało do niej: dobrobyt, władza, pieniądze, ręce do pracy, historia — a nawet, gdyby o tym wiedzieli, nie zrozumieliby tych rozterek ani się nimi nie przejęli, troski Nauczyciela i jego towarzyszy były bowiem odmienne. Zresztą cóż się dla nich zmieniło, poza paroma nazwiskami? Przecież krajobraz wyschniętej ziemi i rozpalone niebo były te same co zawsze. I choć tak wiele lat upłynęło od suszy, kraina nie zaleczyła jeszcze ran i oplakując swoich zmarłych, usiłowała odzyskać utracony dobytek. Co się zmieniło w udręczonej ziemi Północy teraz, gdy cesarza zastąpił prezydent? Przecież, tak samo jak dawniej, oracz walczył z jałową glebą i niedostatkiem wody, żeby na polach wzeszła kukurydza, fasola, maniok i ziemniaki, a jego świnie, kury i kozy miały co jeść. I jak dawniej roiło się w wioskach od próżniaków, a na drogach czaili się bandyci. Jak dawniej ciągnęły przez osady armie żebraków — pamiątka klęski z roku 1877. Wędrowni bजारze byli przecież ci sami co przedtem. I jak dawniej, mimo wysiłków Nauczyciela, rozpadały się w gfuzy domy Pana Jezusa.

Chociaż coś jednak zmieniło się wraz z republiką — na gorsze, na niedolę i zbłąkanie świata: Kościół rozdzielono od państwa, ustanowiono wolność wyznania i sekularyzowano cmentarze, nad którymi pieczę miały odtąd nie parafie, lecz magistraty. Wikariusze, zagubieni, nie wiedzieli, co rzec na owe nowinki, zaakceptowane wszak ustępliwie przez hierarchię. Nauczyciel za to wiedział i od razu zaczął piętnować tę bezbożność, na którą nie może się zgodzić żaden katolik. A kiedy się okazało, że w majestacie prawa ustanawia się śluby cywilne — jakby sakrament dany od Boga nie wystarczał — on jeden miał odwagę mówić głośno, o czym szeptem mówili parafianie: że to zgorszenie jest sprawką protestantów i masonów, tak samo jak, ponad wszelką wątpliwość, wszystkie inne dziwaczne i podejrzone zarządzenia, o jakich coraz to dowiadywała się osiadła ludność — podział na stany,

powszechny spis obywateli, dziesiętny system metryczny. Osłupiałym sertaneros, którzy spieszyli pytać go, co to wszystko znaczy, Nauczyciel tłumaczył cierpliwie: chcą znać kolor skóry, żeby przywrócić niewolnictwo i oddać czarnych ich panom, chcą znać wyznanie, żeby pojąć katolików, kiedy zaczną się prześladowania. Nie podnosząc głosu, upominał, by nie odpowiadali na pytania spisu i nie godzili się, żeby metr i centymetr zastąpiły łokieć i piędź.

Pewnego ranka roku 1893, ledwie wszedłszy na ulice Natuby, Nauczyciel i pielgrzymi posłyszeli jakby brzęczenie rozwścieczonych os, które wznosiło się w niebo z rynku, gdzie mężczyźni i kobiety zgromadzili się, żeby wysłuchać obwieszczeń i przeczytać edykty, dopiero co wywieszone na tablicy. Będą ściągać podatki, republika chce ściągać podatki. A co to są podatki?, pytali jedni. Niby taka dziesięcina, tłumaczyli inni. Tak samo jak dawniej, gdy jakiemuś wieśniakowi rodziło się pięćdziesiąt kur, musiał oddać pięć dla misji, a także jedną arrobę z dziesięciu, jakie zebrał, edykty postanawiały, że będą oddawali republice jedną część z tego, co odziedziczą lub wytworzą. Muszą zadeklarować w magistratach, odtąd autonomicznych, swój majątek i swoje dochody, żeby wiedzieli, ile powinni zapłacić. Poborcy podatków skonfiskują na rzecz republiki wszystko, co zostało zatajone lub zanizone w wartości.

Zwierzęcy instynkt, zdrowy rozsądek i wieki doświadczenia sprawiły, iż ludzie pojęli, że mogą nadejść klęski gorsze od suszy, a poborcy podatków okażą się żarłoczniejsi od sępów i bandytów. Bezradni, wystraszeni, gniewni, tręcali się łokciami, przekazując jedni drugim swą obawę i swoje oburzenie, a ich głosy, zmieszane, zespolone, tworzyły ową wojowniczą muzykę, która wznosiła się pod niebo Natuby, kiedy Nauczyciel i jego obdartusy wchodzili do osady drogą z Cipo. Ludzie otoczyli człowieka w fiolecie i zagroździ mu drogę do kościoła Niepokalanego Poczęcia — tylekroć naprawianego i malowanego jego rękami w poprzednich dziesiątkach lat — dokąd zmierzał swym zwykłym, długim krokiem, i jęli dzielić się z nim nowiną, a on, poważny i surowy, błędząc wzrokiem ponad ich głowami, ledwie zdawał się słuchać.

Nagle jakiś wewnętrzny wybuch roziskrzył jego źrenice, nadając im barwę ognia, i wówczas przez ciżbę ludzką, która rozstępowała się przed nim, rzucił się biegiem ku tablicom z edyktami. Nie trując się czytaniem, zerwał obwieszczenie i cisnął na ziemię, z twarzą wykrzywioną gniewem, który zdawał się zwielokrotnionym odbiciem powszechnego oburzenia. Potem zażądał ostrym głosem, żeby spalili przeklęte pisma. A kiedy przed zdumionymi oczami rajców lud uczynił to, a w dodatku jeszcze począł się weselić, puszczając fajerwerki jak przy święcie, kiedy płomień rozwiął w dym edykty i przestrach, jaki wzbudziły, Nauczyciel poszedł się modlić w kościele, lecz pierwszej obwieścił mieszkańcom tego zapadłego kąta ważną nowinę: Antychryst pojawił się na świecie, a imię jego jest Republika.

— Tak, świstawki, panie komisarzu — powtarza, dziwiąc się raz jeszcze temu, co przeżył i z pewnością wspominał, opowiadał wiele razy porucznik Pires Ferreira. — Bardzo donośnie brzmiały w nocy. Ścisłej, nad ranem.

Szpital polowy, barak z desek kryty palmowymi liśćmi, przystosowany nieco na schronienie dla rannych żołnierzy, stoi na przedmieściach Joazeiro: domy, pobielone wapnem lub pomalowane kolorowo, i ulice, równoległe do szerokiej rzeki Sao Francisco, widoczne są w oddali między deskami baraku, pod zakurzonymi koronami drzew, które dały nazwę miastu.

— Przerzuciliśmy się stąd do Uaua, koło Canudos: pełen sukces -mówi porucznik Pires Ferreira. — Moi ludzie padali ze zmęczenia, postanowiłem więc rozbić obóz. A po kilku godzinach obudziły nas świstawki.

Rannych jest szesnastu, wyciągnięci w hamakach, jeden naprzeciw drugiego: zgrzebne bandaże, głowy, ramiona, nogi uwalane krwią, ciała nagie i półnagie, spodnie i bluzy w strzępach. Lekarz w białym kitlu — widać, że dopiero co przyjechał — robi obchód rannych, za nim pielęgniarz niesie apteczkę. Zdrowy, miejski wygląd lekarza kontrastuje z wyniszczonymi, przegrzanymi twarzami, ze zlepionymi potem włosami żołnierzy. W głębi baraku jakiś trwożliwy głos bełkocze o spowiedzi.

— Nie rozstawił pan wart? Nie przyszło panu do głowy, że mogą was zaskoczyć, poruczniku?

— Było czterech wartowników, panie komisarzu — odparowuje cios Pires Ferreira, pokazując cztery energiczne palce. — Nie zaskoczyli nas. Gdy usłyszeliśmy świstawki, cały oddział poderwał się na nogi, gotów do walki. — Zniża głos: — Tylko że ujrzelśmy nie wroga, ale procesję.

Za rogiem szpitalnego baraku, na brzegu rzeki pobrużdżonej przez statki wiozące ładunek arbuźów, dostrzec można małe obozowisko, gdzie znajduje się reszta oddziału, żołnierze wyciągnięci w cieniu kilku drzew, karabiny ustawione czwórkami, namioty. Przelatuje z wrzaskiem stadko papug.

— Procesja religijna, poruczniku? — pyta nosowy głosik, nieoczekiwany, natrętny.

Oficer rzuca spojrzenie na pytającego i przytakuje.

— Nadchodzili od Canudos — tłumaczy, zwracając się wciąż do komisarza. — Było ich pięciuset, sześciuset, może tysiąc.

Komisarz wzrusza ramionami, a jego adiutant kręci głową, również z niedowierzaniem. Są — to się rzuca w oczy — ludźmi z miasta. Przyjechali do Joazeiro tego samego ranka koleją z Salwadoru, ogłuszeni i poobijani od kolebania pociągu, skrępowani w swych szerokich sak-paltach, obszernych spodniach i butach, które już się powalały kurzem, zmęczeni, z pewnością wściekli, że tu są, otoczeni pokiereszowanymi ciałami i smrodem, źli, że muszą dochodzić przyczyn klęski. Podczas rozmowy z porucznikiem Piresem Ferreirą chodzą od hamaka do hamaka, a komisarz, człowiek surowy i oschły, pochyla się od czasu do czasu, żeby poklepać któregoś z rannych. On tylko słucha, co mówi porucznik, ale jego adiutant również notuje, tak jak i trzeci z przyjezdnych, ren z przeziębionym głosikiem, ten, który ciągle kicha.

— Pięciuset, tysiąc? — mówi komisarz z sarkazmem. — Doniesienie barona de Cañabrava dotarło do mojego gabinetu i znam je, poruczniku. Napastników z Canudos, łącznie z kobietami i dziećmi, było dwustu. Baron wie chyba najlepiej, jest właścicielem tej fazendy.

— Było ich tysiąc, tysiące — mamrocze ranny z najbliższego hamaka, jasnoskóry Mulat o kędzierzawych włosach, z zabandażowanym ramieniem. — Przysięgam.

Porucznik Pires Ferreirą każe mu zamilknąć gestem tak nagłym, że potraça nogę rannego, leżącego za jego plecami; chory wyje z bólu. Porucznik jest młody, raczej niski, wąsik ma przystrzyżony na modłę dandysów, którzy tam, w Salwadorze, spotykają się na herbatkach przy ulicy Chile. Ale zmęczenie, rozczarowanie, nerwy przygasiły teraz ten francuski wąsik fioletowymi cieniami wokół oczu, siną cerą, wykrzywiły grymasem zawodu. Jest nieogolony, włosy w nieładzie, mundur podarty, prawe ramię na temblaku. W głębi nieskładny głos wciąż bełkocze o spowiedzi i świętych olejach.

Pires Ferreirą odwraca się do komisarza.

— Wychowywałem się na fazendzie, potrafię przeliczyć stado jednym rzutem oka —

mówi. — Nie koloryzuję. Było ich ponad pięciuset, możliwe, że tysiąc.

— Nieśli drewniany krzyż, olbrzymi, i chorągiew Ducha Świętego — dorzuca ktoś z hamaka.

I nim porucznik zdołał ich powstrzymać, mówią jeden przez drugiego: nieśli święte obrazy, różańce, wszyscy dmuchali w te przeklęte świstawki albo śpiewali kyrieielejsony i wiwatowali na cześć świętego Jana Chrzciciela, Najświętszej Panienki, Dobrego Jezusa i Nauczyciela. Usiedli w hamakach i przekrzykują się, aż porucznik każe im milczeć.

— I raptem runęli na nas — ciągnie pośród ciszy. — Wydawali się tak niegroźni, wyglądali jak procesja w Wielki Tydzień, jakże mogłem ich zaatakować? Nagle zaczęli złorzeczyć i strzelać z bardzo bliska. Byliśmy jeden przeciw ośmiu, przeciw dziesięciu.

— Złorzeczyć? — przerywa impertynencki głosik.

— „Śmierć republice” — mówi porucznik Pires Ferreira. — „Śmierć Antychrystowi”. — Zwraca się ponownie do komisarza: — Nie mam sobie nic do zarzucenia. Ludzie walczyli jak lwy. Wytrzymałem ponad cztery godziny. Zarządziłem odwrót, dopiero kiedy skończyła się amunicja. Zna pan już nasze kłopoty z mannlicherami. Dzięki dyscyplinie żołnierzy mogliśmy dotrzeć tutaj zaledwie w dziesięć dni.

— Odwrót był szybszy niż wymarsz — chrząka komisarz znacząco.

— Proszę, proszę tutaj, proszę spojrzeć na to! — woła z kąta baraku lekarz w białym kitlu.

Grupka cywilów i porucznik przeciskają się między hamakami. Pod kitlem lekarz ma wojskowy mundur w kolorze indygo. Zdjął bandaże z Metysa, który zwija się z bólu, gdy tymczasem lekarz z zainteresowaniem ogląda mu brzuch, pokazując go komisji niby drogocenny klejnot: w pachwinie ziejie ropiejąca dziura wielkości pięści, brzegi z grudkami zakrzepłej krwi okalają pulsujące, żywe mięso.

— Kula dum-dum! — wykrzykuje lekarz z zachwytem, posypując obrzękłą skórę białym proszkiem. — Gdy zagłębi się w ciało, rozpryskuje się jak szrapnel, rozrywa tkanki i powstaje taki właśnie otwór. Coś takiego widziałem tylko w angielskich podręcznikach wojskowych. Jak to możliwe, że ci prostacy dysponują bronią tak nowoczesną? Nawet brazylijska armia takiej nie ma.

— Widzi pan, komisarzu? — mówi porucznik Pires Ferreira z nutą triumfu. — Byli uzbrojeni po zęby. Mieli strzelby, karabiny, fuzje, maczety, noże, maczugi. A nasze mannichery się zacięły i...

Ten, który bełkotał o spowiedzi i olejach, teraz bredzi o świętych obrazach, o chorągwi Ducha Świętego, o świstawkach. Nie wygląda na rannego. Na widok lekarza i grupki cywilów jęczy ze łzami w oczach:

— Księdza, panowie. Błagam was, błagam!

— To jest lekarz pańskiej kompanii, doktor Antonio Alves de Santos? — pyta lekarz w kitlu. — Dlaczego pan go związał?

— Usiłował się zabić — jąka Pires Ferreira. — Kiedy strzelał do siebie, cudem zdołałem podbić mu rękę. Jest w tym stanie od bitwy pod Uaua, nie miałem pojęcia, co z nim zrobić. Zamiast udzielać pomocy, stał się jeszcze jednym ciężarem, zwłaszcza podczas odwrotu.

— Odejdźcie, panowie, zostawcie mnie z nim samego, uspokoję go. Kiedy porucznik i cywile posłusznie odchodzą, ponownie daje

się słyszeć nosowy głosik, inkwizytorski, nachalny, który tyle razy przerywał wyjaśnienia:

— Ilu zabitych i rannych ogółem, poruczniku? W pańskiej kompanii i wśród bandytów.

— Dziesięciu zabitych i szesnastu rannych moich ludzi — odpowiada Pires Ferreira z gestem zniecierpliwienia. — Wróg miał około setki strat, co najmniej. Wszystko jest w raporcie, który panom złożyłem.

— Nie jestem z komisji. Jestem z „Jornal de Noticias”, z Bahii — mówi mężczyzna.

Różni się od funkcjonariuszy i lekarza w białym kitlu, z którymi przyjechał. Młody, oczy krótkowidza, ogromne okulary. Nie notuje ołówkiem, lecz gęsim piórem. Ubrany jest w poprute na szwach spodnie, brudnożółty surdut, na głowie ma kaszkiet, a cały ten strój wygląda nienaturalnie, nie pasuje do jego pokracznej sylwetki. Podtrzymuje pulpity, na którym leży kilka kartek papieru, gęsie pióro macza w przymocowanym do rękawa surduta kałamarzu, zatkanym korkiem od butelki. Wygląda niemal jak strach na wróble.

— Przebyłem sześćset kilometrów tylko po to, żeby zadać panu te pytania, poruczniku Pires Ferreira — mówi. I kicha.

Joao Wielki urodził się nad morzem w cukrowni Reconcavo; jej właściciel, jaśnie wielmożny Adalberto de Gumucio, był wielkim miłośnikiem koni. Chętnie się, iż w stajniach swych trzyma najbardziej ogniste kasztany i klacze o najcieńszych pęcinach w całej Bahii, co osiągnął bez uciekania się do angielskich rozplodników, jedynie przez roztopne parzenie, którego osobiście doglądał. Mniej otwarcie chlubił się podobnymi osiągnięciami w kojarzeniu niewolników z senzali, wolał bowiem nie mącić i tak już mętnej wody sporów, jakie z tego powodu toczył z Kościołem, a nawet z baronem de Cañabrava; nie ulega jednak wątpliwości, że z niewolnikami postępował tak samo jak z końmi. U źródeł tego procederu tkwiło jego nieomyślne oko i twórcze natchnienie: wybierał najzwawsze, najzgrabniejsze czarnulki i łączył je w nieślubne pary z Murzynami, których dla harmonii rysów i koloru skóry zwał najczystszyimi. Doborowym parom przydzielał specjalny wikt i przyznawał ulgi w pracy, żeby zapewnić im warunki i siły do splodzenia liczego potomstwa. Kapelan, misjonarze i hierarchia Salwadoru po wiele-kroć łajali go za to, że dla dogodzenia swej hodowlanej pasji „zmusza Murzynów do życia w sprośności”, lecz zamiast położyć kres tym praktykom, reprimendy odniosły ten tylko skutek, że krzyżowanie odbywało się z większą dyskrecją.

Joao Wielki był efektem jednej z takich kombinacji owego fazendera o upodobaniach perfekcjonisty. Chłopak stanowił bez wątpienia wspaniały okaz, miał bystre oczy i równe zęby o odcieniu niebieskawej bieli, które w uśmiechu rozświeślały jego okrągłą buzię. Był pulchny, miłutki, figlarny, a matka — dorodna kobieta, rodząca regularnie co dziewięć miesięcy — wymarzyła sobie dla niego świetną przyszłość. I nie omyliła się. Jaśnie pan Gumucio polubił go, kiedy malec jeszcze raczkował, i zabrał z senzali do dworu — górującej nad trzcinową plantacją czworokątnej budowli o spadzistym dachu, ozdobionej tokańskimi kolumnami i drewnianymi balustradami, z neoklasycystyczną kaplicą, fabryczką, gdzie rozcierano trzcinę na miazgę, rafinerią i aleją obsadzoną palmami cesarskimi — z myślą, że Joao zostanie pokojowcem jego córek, a potem majordomem albo stangretem. Nie chciał, żeby chłopiec zeszedł przedwcześnie, jak to często bywało z dziećmi zatrudnionymi przy karczowaniu pól, sadzeniu i zbiorze trzciny.

Joao Wielkiego przywłaszczyła sobie jednak Adelinha Isabel de Gumucio, siostra plantatora — stara panna, która dzieliła z nim dom. Była szczupłą, drobną, miała impertynencki nos, nader wrażliwy na wstrętne zapaszki tego świata, a czas spędzała na tkaniu czepków i chust, wyszywaniu obrusów, kap oraz bluzek albo przyrządzaniu słodkich



łakoci, do czego miała wyjątkowe zdolności. Lecz wszystkich tych bułeczek z kremem, tortów migdałowych, czekoladowych bez i pulchnych marcepanów, którymi zajadali się jej bratankowie, bratowa i brat, sama nawet nie próbowała. Joao Wielki oczarował ją od owego dnia, kiedy zobaczyła, jak wdrapuje się na cembrowinę studni. Przerażona widokiem wiszącego dwa metry nad ziemią dziecka, które ledwie potrafiło ustać na nóżkach, kazała mu zejść natychmiast, Joao jednak dalej wspinał się po szczeblach drabinki. Gdy panna Adelinha przywołała wreszcie służącego, dziecko dotarło już do krawędzi i wpadło do wody. Wyciągnięto malca: wymiotował, a oczy zrobiły mu się okrągłe ze strachu. Adelinha sama go rozebrała, okryła i utuliła w ramionach, dopóki nie zasnął.

Niebawem siostra jaśnie pana Gumucia umieściła Joao w swoim pokoiku, w kołysce, w której dawniej piastowała bratanice: zaczął sypiać u jej boku, jak przy innych damach sypiały zaufane pokojówki albo salonowe pieski. I tak Joao został faworytem starej panny. Adelinha własnoręcznie szyła mu śpioszki — ciemnogniatowe, krwistoczerwone i złocistożółte. Co wieczór zabierała go ze sobą na skalisty cypel, skąd zwykła podziwiać widok wysp płonących w zachodzącym słońcu; towarzyszył jej we wszystkich wizytach i dobroczynnych wyprawach do ubogich zagród. W niedzielę, gdy szła do kościoła, nosił za nią klęcznik. Panna Adelinha nauczyła go, jak się trzyma klączki wełny przy gręplowaniu, jak się zmienia czólenka w krosnach, jak się miesza farby i nawleka igłę. W kuchni był jej sekretarzem: wspólnie odmierzali czas gotowania lub pieczenia, recytując na głos zdrowaśki i ojczenasze tyle razy, ile wymagał przepis. Osobiście przygotowała go do pierwszej komunii, przyjęła opłatek wraz z nim i przyrzadziła wyśmienitą czekoladę, żeby uczcić to wielkie wydarzenie.

A jednak, choć od dziecka, rosnącego wśród wytapetowanych ścian, palisandrowych mebli obitych adamaszkiem i jedwabiem, kredensów pełnych kryształów i zwierciadeł, wychowanego pod okiem kobiety wykwiutnej i przyuczonego do damskich robótek, można by oczekiwać niewieściej miękkości, Joao Wielki nie przeobraził się nigdy w stworzenie oswojone i uległe, jak zwykle bywało z domowymi niewolnikami. Od dziecka odznaczał się niepospolitą siłą; będąc równolatkiem Joao Małego, syna kucharki, wydawał się o kilka lat starszy. Jego zabawy były dzikie, nawet brutalne, a panna Adelinha zwykła mawiać z troską: „Cywilizowane życie nie dla niego. Tęskni za lasem”. Chłopiec bowiem czatował na każdą okazję, by czmychnąć z domu i włóczyć się po okolicy. Pewnego razu, gdy szli przez trzcinowe pola, panna Adelinha, widząc, jak zachłannie spogląda na półnagich Murzynów ścinających maczetami zielone łodygi, zauważyła: „Wyglądasz, jakbyś im zazdrościł”, on zaś odparł: „Tak, proszę pani, zazdroścę im”. Wiele lat potem jaśnie pan Gumucio kazał mu włożyć opaskę z czarnej krepy i wysłał go do cukrowni na pogrzeb matki. Joao nie wzruszył się zbyt, bo widywał ją rzadko. Czuł się przy tym trochę nieswojo w trakcie ceremonii, która odbyła się pod zadaszaniem z trzcinowej słomy, i potem, w drodze na cmentarz, gdy szedł w tłumie czarnych, a oni spoglądali nań, nie kryjąc zazdrości lub pogardy dla jego bufiastych spodni, pasiastej kurtki i trzewików, tak niestosownych pośród ich zgrzebnych koszul i bosych stóp. Nigdy nie był serdeczny dla swej pani, rodzina Gumucio osądziła więc, iż jest zapewne jednym z tych pozbawionych wszelkich uczuć prostaków, zdolnych kąsać rękę, która ich karmi. Lecz nawet mimo oznak tak jawnej niewdzięczności nie podejrzewali, że Joao Wielki zdolny jest uczynić to, co uczynił.

Wydarzyło się to podczas podróży panny Adelinii do klasztoru Wcielenia Pańskiego, dokąd co rok udawała się na rekolekcje. Joao Mały powoził dwukonną bryczką, a Joao Wielki siedział przy nim na koźle. Podróż trwała zwykle około ośmiu godzin. Z fazendy wyruszyli o świcie, żeby przed wieczorem zajechać do klasztoru. Tymczasem dwa dni później siostrzyczki przysłały umyślnego z zapytaniem, czemu panna Adelinha nie przybyła w oznaczonym dniu. Jaśnie pan Gumucio zarządził poszukiwania i osobiście stanął na czele

oddziałów złożonych z bahijskich policjantów i własnej służby: przez cały miesiąc przemierzali okolicę wzdłuż i wszerz, rozpytując wszystkich po drodze. Przeszukali najdokładniej szlak wiodący z fazendy do klasztoru, nie znaleziono jednak nawet śladu bryki, podróżnych ani koni. Wyglądało na to, że — jak w fantastycznych opowieściach truwerów — wznieśli się w górę i zniknęli w przestworzach.

Prawda poczęła wychodzić na jaw parę miesięcy później, kiedy pewien sędzia z Salwadoru odkrył w powozie, który okazynie kupił od pewnego handlarza z górnego miasta, zamalowane farbą inicjały rodziny Gumucio. Kupiec zeznał, iż nabył powóz w jakiejś wiosce zamieszkaanej przez cafuzos. Wiedział, że jest kradziony, nie przypuszczał jednak, że złodzieje są także mordercami. Baron de Cañabrava osobiście nazaczył wysoką cenę za głowę Joao Małego i Joao Wielkiego, a jaśnie pan Gumucio domagał się, by schwytano ich żywcem. Jedna z band operujących w okolicy, skuszona nagrodą, wydała Joao Małego w ręce policji. Syn kucharki zmienił się nie do poznania: był brudny, rozczochrany, wynędzniały. Wzięto go na męki, żeby zmusić do mówienia.

Zaklinał się, że to nie on wszystko obmyślił, ale ten wcielony diabeł, towarzysz jego dziecięcych lat. Pogwizdując przez zęby, powoził bryczką i myślał o smakołykach, jakie czekają nań w klasztorze Wcielenia Pańskiego, gdy nagle Joao Wielki kazał zatrzymać powóz. Kiedy panna Adelinha zapytała, dlaczego stanęli, Mały zobaczył, że jego kompan wali ją w twarz tak mocno, że straciła przytomność; potem wyrwał mu lejce i pognął konie w stronę tego samego cypla, z którego pani zwykła podziwiać wyspy. Tam, z zaciętością tak niebywałą, że Joao Mały zdrętwiał z przerażenia i nie ośmielił się na sprzeciw, Joao Wielki poddał pannę Adelinię straszliwym upokorzeniom. Obnażył ją i naśmiewał się z jej ciała, gdy ona, drżąc, zasłaniała jedną ręką piersi, a drugą seks; ciskał w nią kamieniami, tak że musiała biegać bez przerwy, by uniknąć ciosu; lżył ją przy tym najohydniejszymi wyzwiskami, jakie Mały słyszał w całym swoim życiu; nagle wbił jej sztylet w brzuch i dalej pastwił się nad martwym ciałem: odciął piersi i głowę, a potem, zdyszany, zlany potem, ułożył się do snu w kałuży krwi. Joao Mały był tak przerażony, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Kiedy w jakiś czas potem Joao Wielki obudził się, był już zupełnie spokojny. Obojętnie popatrzył na jatkę, która przecież była jego dziełem. Potem zmusił Małego, żeby pomógł wykopać grób, i pochowali szczątki panny Adelini. Oczekali, aż się ściemni, i uciekli z miejsca zbrodni. We dnie ukrywali powóz w jaskiniach, w krzakach albo jarach, a nocą gnali przed siebie, wiedząc tylko, że muszą oddalić się od morza. Kiedy udało im się sprzedać powóz i konie, kupili zapas żywności i puścili się w głąb lądu w nadziei, że trafią na jakąś gromadę zbiegłych niewolników, którzy według krążących po sertonach opowieści żyją w ciągłej ucieczce, unikając ludzkich osiedli, trochę żebrząc, trochę kradnąc. Tylko raz spróbował Joao Mały nakłonić Joao Wielkiego do rozmowy o tym, co zaszło. Leżeli w cieniu, pod drzewem, ćmiąc skręta; w przystępie odwagi zapytał bez ogródek: „Dlaczego zabiłeś panią?”. „Bo mam w sobie Diabła — odpowiedział bez namysłu Joao Wielki. — Nigdy więcej o tym nie wspominaj”. Mały pomyślał, że jego kompan mówi prawdę.

Towarzysz lat dziecińczych budził w nim rosnący strach, od dnia zamordowania pani zmienił się bowiem nie do poznania i ledwie raczył się do niego odzywać. Za to Mały raz po raz przyłapywał go, jak mamrocze coś do siebie z oczami nabiegłymi krwią. Pewnej nocy usłyszał, że nazywa Diabła ojcem i prosi go o zmiłowanie. „Czy nie dość uczyniłem, ojcze? — bełkotał, miotając się w konwulsjach. — Czego jeszcze chcesz ode mnie?”. Upewnił się wówczas, że Joao Wielki zawarł pakt z Nieczystym, i zląkł się, że dla przypodobania się Złemu, poświęci go tak samo jak pannę Adelinię. Postanowił uprzędzić zło. Wszystko sobie obmyślił, ale tamtej nocy, gdy podpełznął ku niemu z nożem gotowym do ciosu, trząsał się tak, że nim zdążył cokolwiek uczynić, Joao Wielki otworzył oczy. Zobaczył, jak pochyla się nad

jego ciałem w jednoznacznym geście, z roztańczonym ostrzem w dłoni. Nie zatrwożył się. „Zabij mnie, Mały” — usłyszał jego słowa. Zerwał się do ucieczki, czując, że ścigają go diabły.

Joao Małego powieszono w salwadorskim więzieniu, szczątki panny Adelinii przeniesiono do neoklasycystycznej kaplicy fazendy, jej kata jednak nie odnaleziono, mimo że rodzina Gumucio co jakiś czas podnosiła wysokość nagrody za ujęcie mordercy. A przecież od ucieczki Małego Joao Wielki nie ukrywał się wcale. Olbrzymi, półnagi, wynędzniały, żywiąc się tym, co schwytał w sidła albo tym, co zerwały z drzew jego ręce, włóczył się po drogach jak pokutująca dusza. W biały dzień wchodził do osad i żebrał o jedzenie, a cierpienie widoczne na jego twarzy wzruszało ludzi, którzy często rzucali mu jakieś resztki.

Pewnego dnia, na rozstaju dróg opodal Pombal, napotkał garstkę ludzi zasłuchanych w słowa chudego człowieka w fioletowej szacie, o włosach sięgających ramion i oczach niby rozżarzone węgle. Mówił o Diabie, którego nazywał Lucyferem, Szatanem, Psem i Belzebubem, o plagach i zbrodniach, jakimi szkodzi światu, i o tym, co zrobić, żeby zbawić duszę. Jego głos, pełen wewnętrznej mocy, docierał wprost do serca, nie trudząc umysłu, a człowiekowi tak udręczonemu rozterką jak Joao Wielki zdał się balsamem gojącym dawne, okrutne rany. Bez ruchu, bez drgnienia powiek łowił Joao treść i muzykę słów, które przenikały go do szpiku kości. Postać świętego zamazywały łzy napływające mu do oczu. A kiedy pielgrzym podjął swą wędrówkę, Joao Wielki podążył za nim, z daleka, jak płochliwe zwierzę.

W stołecznym mieście Sao Salvador de Bahia de Todos os Santos, zwanym potocznie Bahią lub Salwadorem, jedynie pewien przemytnik i pewien lekarz poznali bliżej Galileo Galla, oni też stali mu się pierwszymi przewodnikami po Brazylii, choć żaden z nich nie podzieliłby spostrzeżeń, jakie rewolucjonista przelewał na karty listów do „LEtincelle de la revolte”, licznych w owym czasie. Pierwszy, napisany w tydzień po zatonięciu statku, tak mówił o Bahii: „Kalejdoskop, gdzie człowiek z pewnym pojęciem o historii dostrzega współistnienie wszelkich przywar, jakie upodliły kolejne etapy ludzkich dziejów”. List poruszał kwestię niewolnictwa, które choć zniesione, istniało *de facto*, chcąc bowiem uniknąć głodowej śmierci, wielu czarnych wyzwolenców powracało do dawnych panów z błaganiem, by przyjęto ich znowu. Panowie zaś, za nędzny grosz, zatrudniali tylko ręce zdolne do pracy, toteż ulice Bahii, pisał Gall, „roją się od starców, chorych i biedaków, którzy żebrzą lub kradną, a wielka liczba prostytutek przywodzi na myśl Aleksandrię i Algier, te najbardziej upadłe porty naszego globu”.

Drugi list, datowany dwa miesiące później, traktujący o „konkubincie ciemnoty i wyzysku”, opisywał niedzielną paradę najbogatszych rodzin miasta, zdążających na mszę do kościoła Niepokalanej Marii Panny z Wybrzeża, w asyście służby obładowanej kłęcznikami, gromnicami, modlitewnikami i parasolami (żeby słońce nie osmaliło policzków dam). „Owe zaś damy — prawił dalej Gall — podobnie jak brytyjscy urzędnicy kolonialni, uczyniły z bladeści cery wzorzec, kwintesencję urody”. Gwoli jednak sprawiedliwości, w jednym ze swych kolejnych artykułów frenolog wyjaśnił towarzyszom z Lyonu, że mimo panujących tu przesądów, potomkowie Portugalczyków, Indian i Afrykanów w znacznym stopniu skrzyżowali się ze sobą, tworząc pstrokatą różnorodność mieszkańców: Metysów, Mulałów, caboclos, mameluków, cafuzos, curibocos. „I tyleż samo zagadek dla nauki”, dodawał. Wszystkie te typy ludzkie, wraz z Europejczykami osiadłymi—z tych czy innych powodów — na wybrzeżach Bahii, nadawały jej charakter kosmopolityczny i niejednorodny.

Właśnie między przybyszami z Europy Galileo Gall, który w owym czasie ledwie mógł się porozumieć w łamanej portugalszczyźnie, zawarł swą pierwszą znajomość.

Początkowo zatrzymał się w Hotel des Etrangers w Campo Grande, lecz potem, gdy zaprzyjaźnił się ze starym Janem van Rijstedem, ów odstąpił mu — razem ze stołem i połowym łóżkiem — poddasze nad księgarnią „Katyli-na”, gdzie sam mieszkał; wystarał mu się także o prywatne lekcje francuskiego i angielskiego, żeby miał z czego żyć. Van Rijsted, z pochodzenia Holender — lecz urodzony już w brazylijskiej Olin-dzie — przez czternaście lat handlował ziarnem kakaowym, jedwabiem, korzeniami, tytoniem, trunkami i bronią, przy czym ani razu nie trafił za kratki. Nie był bogaty, bo wspólnicy — kupcy, armatorzy i kapitanowie — rozkradli większą część towarów i zysków. Gall żywił przekonanie, iż przestępcy — zarówno wielcy zbrodniarze, jak i pospolici kieszonkowcy — walczą, podobnie jak on sam, z ich wspólnym wrogiem — państwem — a chociaż działają na oślep, skutecznie podkopują fundamenty prywatnej własności. Chętnie więc zaprzyjaźnił się z byłym łajdakiem. Byłym, ponieważ Holender wycofał się z interesów. Van Rijsted, stary kawaler, bawiąc przejazdem w Marsylii, zakochał się w pewnej dziewczynie, której przodkowie wywodzili się z Egiptu czy też Maroka. Panna miała oczy Arabki i trzydzieści lat mniej niż on. Sprowadził ją do Bahii i kupił dla niej domek w eleganckiej dzielnicy górnego miasta. Stracił fortunę, byle tylko uczynić ją szczęśliwą. Wróciwszy pewnego dnia z podróży, stwierdził, że ślicznotka sprzedała dom i meble na licytacji, a sama ulotniła się razem z żelaznym sejfem, gdzie trzymał trochę złota i klejnotów. Opowiedział o tym Gallowi podczas przechadzki po molo: przypatrywał się od niechcenia morzu i żaglowcom, przeskakiwał swobodnie z angielskiego na francuski i portugalski, mówiąc tonem niedbałym i lekkim, co rewolucjonista umiał docenić. Van Rijsted żył teraz z renty i żartował, że stać go na jadło i napitek do końca życia, o ile śmierć nie będzie zwlekać.

Van Rijsted, człowiek bez wykształcenia, lecz ciekaw świata, słuchał uprzejmie teorii Galla o wolności i związku ludzkich zachowań z kształtem czaszki, pozwolił sobie jednak na sprzeciw, gdy Szkot utrzymywał, iż miłość dwojga ludzi jest kalectwem, załączkiem nieszczęścia i zgryzoty. Piąty list Galla do „L'Etincelle de la revolte” traktował o zabobonach, to jest o kościele pod wezwaniem Jezusa Pana Dobrej Śmierci, przeładowanym wotami pielgrzymów — nogami, dłońmi, ramionami, głowami, piersiami i oczami z drewna i szkła, złożonymi w podzięce lub z prośbą o cud. Szósty mówił o nadejściu republiki, co w arystokratycznej Bahii oznaczało jedynie zmianę kilku nazwisk. W następnym Gall składał hołd pamięci czterech krawców — Lucasa Dantasa, Luisa Gonzagi das Virgins, Joao de Deus i Manuela Faustina — Mulatów, którzy przed wiekiem, natchnieni ideami Rewolucji Francuskiej, sprzysięgli się, by obalić monarchię i ustanowić społeczeństwo równych — czarnych, brunatnych i białych. Jan van Rijsted pokazał mu placyk, gdzie powieszono ich i poćwiartowano. Zdumiał się, widząc, że Gall składa tam kwiaty.

Wśród półek księgarni „Katyli-na” poznał Galileo pewnego dnia doktora Jose Bautistę de Sa Oliveirę, dość już wiekowego lekarza, autora książki, która zaciekała frenologa: *Kraniometria porównawcza ludów Bahii z perspektywy ewolucji, medycyny i prawa*. Staruszek był we Włoszech, poznał Cesare Lombroso, którego teorie budziły jego szczerzy podziw, był więc uszczęśliwiony, znalazłszy jednego przynajmniej czytelnika książki wydanej przezeń własnym sumptem, a przez kolegów po fachu uznanej za ekstrawagancję. Zdumiony medyczną wiedzą Galla (choć niezmiennie zbity z tropu, a często nawet zgorszony jego poglądami), doktor Oliveira znalazł w Szkocie chętnego rozmówcę i spędzał z nim nieraz długie godziny na zażartych dyskusjach o psychice podmiotu zbrodni, dziedzictwie biologicznym lub uniwersytetach, przeciw którym gardłował rewolucjonista, przekonany, że ponoszą odpowiedzialność za podział pracy na fizyczną i umysłową, a przez to winne są powstania nierówności społecznych bardziej niż arystokracja i plutokracja. Doktor Oliyeira zapraszał Galla do swego gabinetu, czasami też zlecał mu zrobienie lewatywy lub puszczenie krwi.

Chociaż widywali go często, a być może nawet darzyli szacunkiem, zarówno van Rijsted, jak i doktor Oliveira odnosili wrażenie, że w istocie nie znają tego człowieka o rudych włosach i takiejż bródce, ubranego niedbale, zawsze na czarno, który mimo swych poglądów zdawał się wieść życie spokojne i stateczne: sypiał do późna, udzielał lekcji języków w kilku domach, krążył niezmordowanie po ulicach miasta albo przesiadywał u siebie na strychu, czytając i pisząc. Czasami znikał bez uprzedzenia na kilka tygodni, a gdy pojawiał się z powrotem, dowiadawali się, że odbył właśnie kolejną podróż w głąb kraju, nie zważając na niewygodę i ryzyko. Nigdy nie mówił im o swej przeszłości i swoich planach, a kiedy go wypytywali, zbywał ich wymijająco. Przyjęli go więc takim, jakim był lub zdawał się być: samotnym, egzotycznym, zagadkowym oryginałem — wywrotowcem w przekonaniach i słowach, w czynach zaś człowiekiem nieszkodliwym i spokojnym.

Nie minęły dwa lata, a Galileo Gall płynnie mówił po portugalsku, zdążył też wysłać jeszcze wiele listów do „L'Etincelle de la revolte”. W ósmym pisał o wymierzaniu kar cielesnych służbie, czego bywał świadkiem na ulicach i podwórkach miasta; w dziewiątym — o torturach z epoki niewolnictwa: łamaniu kołem, dybach, obroży z łańcucha zwanej gargalheira, mosiężnych kulach i „infantach” — obręczach miażdżących kciuk; w dziesiątym — o Pelourinho, szafocie miejskim, gdzie dotąd chłoscze się przestępców (Gall mówił o nich: „bracia”) bitem z surowej skóry; baty takie sprzedaje się w sklepach, pod niewinnym rybackim mianem „sztokfiszka”.

Dniem i nocą przemierzał wyboiste ulice Salwadoru i można by pomyśleć, że zakochał się w tym mieście. Galileo Galla fascynowało jednak nie piękno Bahii, lecz widowisko niezmiennie budzące w nim odruch buntu: niesprawiedliwość. Tutaj, pisał w swych listach do Lyonu, inaczej jest niż w Europie: nie ma dzielnic willowych, „budy nędzarzy sąsiadują z porcelanowymi pałacami właścicieli cukrowni, a ulice roją się od biedoty, przed piętnastu bowiem laty klęska suszy przygnała tu tysiące uchodźców z płaskowyżu — dzieci podobne do starców, starców podobnych do dzieci, kobiety wyschnięte na wiór. Lekarz odnajdzie tu wszelkie możliwe choroby i niedole ciała, od najłagodniejszych do najbardziej okrutnych: żółciową gorączkę, beri-beri, puchlinę wodną, dyzenterię, ospę”. „Jeżeli jakiś rewolucjonista poczuje, że chwieją się jego przekonania — pisał w jednym z listów — niech popatrzy na to, co ja oglądam w Salwadorze. Wówczas przestanie wątpić”.

### **Rozdział III**

Kiedy w kilka tygodni później rozeszło się po Salwadorze, że w jakiejś zapadłej osadzie zwanej Natuba spalono edykty młodej republiki, wprowadzające nowe podatki, rząd postanowił wysłać oddział bahijskiej żandarmerii w celu schwytania buntowników. Trzydziestu żandarmów w niebiesko-zielonych uniformach i kepi, z których republika jeszcze nie zerwała monarchistycznych emblematów, wyruszyło najpierw koleją, a potem piechotą na niebezpieczną wyprawę do miejscowości będącej dla nich zaledwie nazwą na mapie. Nauczyciela w Natubie nie było. Spoceni żandarmi przesłuchali rajców i mieszkańców, po czym udali się na poszukiwanie samozwańca, którego imię, przydomek i legendę zaniósł aż na wybrzeże i rozgłoszą po ulicach Bahii. Prowadzeni przez jednego z miejscowych tropicieli, niebiesko-zieloni zniknęli pewnego promiennego ranka za pasmem wzniesień leżącym na szlaku do Cumbe.

Przez cały tydzień wspinali się i schodzili, idąc śladem Nauczyciela przez ziemię rdzawą, piaszczystą, pokrytą catingą ciernistych zarośli mandacarusów i stadami wygłodniałych owiec, które rozgrzebywały suche liście. Wszyscy widzieli, jak przechodził: w niedzielę modlił się w tym kościele, nauczał na tamtym placu, spał przy tych skałach. Znaleźli go wreszcie siedem mil za Tucano, w Massete — skupisku lepianek z suszonej na słońcu

cegły, położonym na zboczach gór Ovó. Był zmierzch, zobaczyli kobiety z dzbanami na głowach i odetchnęli na wieść, że nadchodzi kres pościgu. Nauczyciel nocował u Severina Vianny, dzierżawcy, który miał poletko kukurydzy o jakieś tysiąc metrów od osady. Żandarmi popędzili tam, przedzierając się przez gęstwą zarośli velame i joazeirów o ostrych gałęziach, które kaleczyły im skórę. Gdy dotarli na miejsce, już prawie po nocy, ujrzeli domostwo z drewnianych pali i rojowisko bezkształtnych istot, kłębiących się wokół kogoś, kto musiał być człowiekiem, którego szukali. Nikt nie uciekał, nikt nie uderzył w krzyk na widok mundurów i karabinów.

Było ich stu, stu pięćdziesięciu, dwustu, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, a większość, sądząc z ubioru, pochodziła spośród najbiedniejszych z biednych. W ich oczach — opowiedzą swym żonom, kochankom, dziwkom, kolegom ci żandarmi, którzy wrócili do Bahii — malowała się twarda nieustępliwość. W rzeczywistości jednak nie mieli dość czasu, ani żeby przyjrzeć się im dokładniej, ani żeby rozpoznać ich herszta, bo zaledwie dowodzący sierżant rozkazał wydać tego, którego zwał Nauczycielem, tłum rzucił się na nich w przystępie odwagi iście szaleńczej, zważywszy na to, iż żandarmi mieli karabiny, a oni tylko kije, sierpy, kamienie, noże i jedną lub dwie strzelby. Wszystko stało się tak nagle, że żandarmi, nim się opamiętali, zostali rozproszeni, przyparci do muru, pobici i poranieni, wyzwani od „republikanów”, jakby słowo to było obelgą. Zdołali, co prawda, wystrzelić z karabinów, ale choć kule rozrywały obdar-tusom piersi, masakrowały twarze, choć padali jeden za drugim, nic nie było w stanie ich powstrzymać i żandarmi z Bahii rzucili się do ucieczki, ogłuszeni niepojętą klęską. Powiedzą potem, że wśród napastników byli nie tylko szaleńcy i fanatycy, jak sądzili z początku, ale również zawodowi przestępcy — Pajeu o twarzy rozciętej blizną i słynący z okrucieństwa Joao, zwany Szatanem. W bitwie zginęło trzech żandarmów, a ich zwłoki, nieopogrzebane, porzucono na żer ptakom z gór Ovó. Stracili osiem karabinów. Jeden żandarm utonął w rzece Masete. Pielgrzymi nie ścigali napastników, zajęli się natomiast pogrzebem swoich pięciu zmarłych i leczeniem rannych, gdy tymczasem inni, klęcząc u boku Nauczyciela, składali dzięki Bogu. Do późnej nocy wokół mogił usypanych na poletku Severina Vianny słychać było płacz i modły za poległych.

Kiedy drugi oddział bahijskiej żandarmerii, w liczbie sześćdziesięciu żołnierzy, lepiej uzbrojony niż poprzedni, wysiadł z pociągu w Serrinii, coś już zmieniło się w stosunku miejscowych do ludzi w mundurach. Żandarmi znali wrogość, z jaką witano ich w osadach, gdy wyruszali polować na bandytów, nigdy jednak przedtem nie mieli takiej pewności, że są rozmyślnie wprowadzani w błąd. Prowianty w sklepikach zawsze już się właśnie wyczerpały, nawet jeśli dawali za nie dobrą cenę, a mimo obietnicy wysokiej nagrody żaden tropiciel z Serrinii nie chciał ich poprowadzić. Nikt też tym razem nie potrafił udzielić im najmniejszej wskazówki co do miejsca schronienia bandy. Żandarmi, którzy miotali się od Olhos d'Agua do Pedra Alta, od Tracupy do Tiririki, a stąd znów do Caraiby i Pontal, i wreszcie z powrotem do Serrinii, spotykali się wszędzie ze wzruszeniem ramion, zaprzeczeniami i bezradnymi, pełnymi skruchy spojrzeniami mijanych po drodze poganiaczy bydła, wieśniaków, rzemieślników i kobiet, i czuli się jak w pogoni za cieniem. Żadna banda tędy nie przechodziła, bruneta w fioletowym habicie nikt nie widział i nikt teraz sobie nie przypomina, żeby spalono jakieś edykty w Natubie, nikt nie wie o starciu zbrojnym w Masete. Wróciwszy do stolicy cali i zdrowi, zniechęceni żandarmi rozpuścili wieść, że horda fanatyków — podobnie jak tyle innych grup tworzących się przejściowo wokół jakiejś dewotki czy kaznodziei — musiała się rozpaść i w tej chwili jej członkowie, przestraszeni własnymi postępami, z pewnością zmykają sromotnie, zamordowawszy pierwej swego herszta. Bo czy nie bywało tak już tyle razy w tamtych okolicach?

Tym razem jednak się mylili, a chociaż pozory powielały utarte schematy historii, wszystko miało być inaczej. Pokutnicy zjednoczyli się jeszcze i nie tylko nie zabili świętego

po zwycięstwie pod Massete, w którym ujrzeli widomy znak Niebios, ale czcili go tym bardziej. Następnego ranka po bitwie zbudził ich Nauczyciel; modlił się całą noc na grobach zmarłych jaguncos i zauważyli, że jest bardzo smutny. Rzekł im, że to, co się stało wczoraj, było niewątpliwie zapowiedzią większych gwałtów, i prosił, żeby wrócili do swoich domów, bo jeśli zostaną przy nim, mogą pójść do więzienia albo umrzeć, jak tych pięciu braci, którzy stoją teraz przed Ojcem. Nikt nie drgnął. Powiódł oczami po stu, stu pięćdziesięciu, dwustu oberwańcach: słuchali go, pogrążeni jeszcze w przeżyciach wczorajszego dnia. Tym razem nie tylko patrzył na nich, ale jakby po raz pierwszy ich zobaczył. „Podziękujcie Dobremu Jezusowi — rzekł łagodnie — bo wydaje mi się, że wybrał was, byście dali świadectwo prawdzie”.

Poszli za nim, przejęci wzruszeniem, wywołanym nie tyle jego słowami, ile łagodnością głosu, który zawsze był oschły i bezosobowy. Wielu z nich z trudem mogło nadażyć za jego długimi krokami brodzącego ptaka, na nieprawdopodobnym szlaku, którym wiódł ich tym razem, szlaku niebędącym dróżką jucznych zwierząt ani ścieżką cangaceiros, ale dzikim pustkowiem faveli, kaktusów i wyboistych bezdroży. Lecz on bez wahania wybierał kierunek. Na pierwszym nocnym postoju, odprawiawszy akt dziękczynienia i różaniec, mówił im o wojnie, o narodach, które zabijają się wzajemnie, walcząc o łup, jak hieny o padlinę, i zgnębiony wyjaśnił im, że gdy Brazylia stanie się republiką, zacznie postępować tak samo jak kraje heretyckie. Słyszeli, jak mówił, że Szatan ma teraz święto, słyszeli, jak mówił, że nadeszła chwila, żeby osiąść gdzieś na stałe i wznieść Świątynię, która przy końcu świata będzie tym, czym w jego początkach była Arka Noego.

A gdzie osiądą, gdzie wzniosą Świątynię? Tego dowiedzieli się, gdy przebyli wąwozy, równiny, góry, catingę — w wędrownkach, które rodziły się i umierały ze słońcem — gdy wspięli się na pierścień szczytów i przekroczyli płytka rzekę zwaną Vassa Barris. Wskazując dalekie skupisko chałup i zrujnowany dwór — niegdyś domostwa peonów i pańską rezydencję w czasach, gdy była tam fazenda — Nauczyciel rzekł: „Tu zostaniemy”. Niektórzy przypomnieli sobie, iż od lat, w nocnych rozmowach, zwykł prorokować, że nim nastąpi koniec, wybrańcy Dobrego Jezusa znajdą schronienie na ziemi niedostępnej, wybranej, gdzie nie będą mieli wstępu niegodni, a tych, którzy tam dotrą, czeka wieczny spokój. Czyżby doszli już do tej zbawczej krainy?

Szczęśliwi, zmęczeni, podążyli za swym przewodnikiem ku Canudos, gdzie wyszli im naprzeciw bracia Vilanova — dwaj kupcy, którzy prowadzili tam sklep — oraz cała okoliczna ludność.

Słońce pali ziemię sertonu, lśni na czarnozielonkawych wodach rzeki Itapicurii, odbija się w domach Queimadas, które rozłożyły się na prawym brzegu u stóp rdzawego, gliniastego urwiska. Nieliczne drzewa ocieniają kamienistą przestrzeń, oddalającą się faliście na południowy zachód, w kierunku Riacho da Onca. Jeździec — oficerki, szeroko-skrzydły kapelusz, czarny surdut — zdąża pospiesznie, eskortowany przez własny cień i cień swego muła, ku ołowianoszarym zaroślom zagajnika. Za nim, już daleko w tyle, błyszczą wciąż dachy Queimadas. Z lewej strony widać chatę, stojącą na szczycie odległego o kilkaset metrów wzgórza. Spływającą spod kapelusza czuprynę, rudawą bródkę i ubranie pokrywa kurz; człowiek ocieka potem i od czasu do czasu ociera ręką czoło, zwilża językiem spieczone wargi. Na skraju zagajnika wstrzymuje muła, a jego jasne oczy chciwie wypatrują na ' wszystkie strony. Wreszcie dostrzega, parę kroków przed sobą, przykucniętego nad sidlami mężczyznę z maczetą za pasem, w sandałach i kapeluszu ze skóry, w spodniach i koszuli ze zgrzebnego płótna. Galileo Gall zsiada i rusza ku niemu, ciągnąc muła za wodze.

— Rufino? — pyta. — Przewodnik Rufino z Queimadas?

Mężczyzna odwraca się powoli, jakby dopiero przed chwilą spostrzegł jego obecność,

i kładąc palec na ustach, nakazuje milczenie: tss, tss. Jednocześnie obrzuca go wzrokiem i przez moment w czarnych oczach widać zdumienie, może dziwnym akcentem przybysza, może jego pogrzebową gałą. Rufino — młody człowiek o drobnym, giętkim ciele i trójkątnej twarzy bez zarostu, ogorzałej od wiatru i słońca — wyciąga zza pasa maczetę, ponownie schyla się nad sidłami, ukrytymi pod liśćmi, i ciągnie za sieć: z jamy wydobywa się kraczący kłęb czarnych piór. To młody sęp, który nie może się wzbić w powietrze, bo jedna noga uwięzła mu w sieci. Na twarzy przewodnika maluje się zawód, końcem maczety uwalnia ptaszysko i patrzy, jak niknie w błękicie przestworzy, bijąc rozpaczliwie skrzydłami.

— Raz wyskoczył na mnie jaguar, taki wielki — szepcze, wskazując na sidła. — Był półślepy, tak długo siedział w jamie.

Galileo Gall kiwa głową. Rufino prostuje się, idzie dwa kroki ku niemu. Teraz, gdy powinien przemówić, cudzoziemiec jest jakby niezdecydowany.

— Szukałem cię w domu — odzywa się wreszcie, żeby zyskać na czasie. — Twoja żona przysłała mnie tutaj.

Muł grzebie w ziemi tylnymi kopytami; Rufino chwytą go za łeb, otwiera mu pysk. Podczas gdy z miną znawcy ogląda zęby, zdaje się myśleć głośno:

— Naczelnik stacji w Jacobinie zna moje warunki. Nie rzucam słów na wiatr, każdy w Queimadas to panu powie. To ryzykowna robota.

Gall nie odpowiada, więc tropiciel patrzy na niego znowu.

— Pan nie z kolei? — pyta powoli, bo zorientował się, że obcy rozumie go z trudem.

Galileo Gall zsuwa kapelusz do tyłu i wskazując ruchem podbródka pustynne wzgórze, mówi półgłosem:

— Chcę iść do Canudos. — Robi pauzę, mruży powieki, jakby chciał ukryć błysk podniecenia w źrenicach, i dodaje: — Wiem, że bywałeś tam wiele razy.

Rufino poważnieje. Jego oczy badają teraz Galla z podejrzliwością, której nawet nie stara się ukryć.

— Bywałem w Canudos, kiedy hodowali tam bydło — mówi ostrożnie. — Odkąd baron de Cañabrava wyjechał, nie chodziłem tam więcej.

— Droga jest ta sama — odpowiada Gall.

Stoją tuż obok siebie, obserwują się nawzajem, a milczące napięcie, jakie nagle zapadło, zdaje się udzielać mułowi, który rzuca łbem i cofa się.

— Przysyła pana baron de Cañabrava? — pyta Rufino i uspokaja zwierzę, poklepując je po karku.

Galileo Gall zaprzecza ruchem głowy, przewodnik nie nalega, przesuwa ręką po jednej z tylnych nóg muła, zmusza zwierzę, żeby uniosło kopyto, przykuca i ogląda je uważnie.

— W Canudos dzieją się dziwne rzeczy — mówi. — Ci, co zajęli fazendę barona, napadli na żołnierzy Gwardii Narodowej w Uaua. Podobno wielu zabili.

— Boisz się, że i ciebie zabiją? — chrząka, uśmiechając się Gall. — Przecież nie jesteś żołnierzem.

Rufino znalazł wreszcie to, czego szukał w kopycie: cierń albo żwir, który niknie w jego dłoniach, dużych i szorstkich. Wyrzuca go i puszcza zwierzę.



— Boję się? Nie... — odpowiada spokojnie, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. — Do Canudos jest daleko.

— Zapłacę ci uczciwie. — Galileo Gall oddycha głęboko, ożywiony, zdejmuje kapelusz i potrząsa rudą czupryną. — Wyruszymy za tydzień, najdalej za dziesięć dni. No i oczywiście trzeba zachować jak największą ostrożność.

Przewodnik Rufino patrzy na niego, nieporuszony, o nic nie pyta.

— Z powodu tego, co się stało w Uaua — dodaje Gall, zwilżając wargi językiem. — Nikt nie może wiedzieć, że idziemy do Canudos.

Rufino wskazuje samotną chatę, z gliny i pali, na wpół roztopioną w słonecznym świetle, na wierzchołku wzgórza:

— Chodźmy do domu. Pogadamy — mówi.

Ruszają, za nimi człapie muł, którego Galileo prowadzi za wodze. Obaj mężczyźni są prawie jednego wzrostu, ale cudzoziemiec jest tęższy, chód ma nierówny i energiczny, gdy tymczasem przewodnik zdaje się iść, nie dotykając stopami ziemi. Jest południe, na niebo wypłynęło kilka białawych obłoków. Odchodzą coraz dalej, głos tropiciela niknie, rozprasza się w powietrzu:

— Kto panu o mnie powiedział? Poza tym nie chciałbym się wtrącać w nie swoje sprawy, ale po co chce pan iść tak daleko? Czego pan szuka w Canudos?

Pojawiła się pewnego bezdeszczowego świtu na szczycie wzgórza leżącego na drodze do Quijingue, wlokąc drewniany krzyż. Miała dwadzieścia lat, lecz tyle wycierpiała, że wydawała się już bardzo stara. Była kobietą o szerokiej twarzy, posiniaczonych stopach, bezkształtnym ciele i wyszarzałej skórze mysiej barwy.

Nazywała się Maria Quadrado i szła z Salvadoru do Monte Santo. Już trzy miesiące i jeden dzień dźwigała swój krzyż. Na szlaku kamiennych rozpadlin i najeżonych kaktusami cating, pustyń, gdzie wyje skłębiony wicher, osad — jedna, błotnista ulica, trzy palmy i zapowietrzony bajoro, w którym tapla się uciekające od nietoperzy bydło — Maria Quadrado sypiała pod gołym niebem, z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, gdy jakiś tabareu albo pastuch, którzy widzieli w niej świętą, zapraszali ją do swego szałas. Żywiła się okruchami rapadury, którymi częstowały ją litościwe dusze, i dzikimi owocami, które zrywała, kiedy post ściszał jej bólem żołądek. Opuszczając Bahię z postanowieniem pielgrzymki do słynącej łaskami Kalwarii w Sierra de Piquaraca, gdzie dwa kilometry drogi wykutej we flankach góry, usianej kaplicami dla upamiętnienia stacji Męki Pańskiej, wiodą do kościoła Świętego Krzyża z Monte Santo — Świętej Góry, dokąd ślubowała dojść w pokucie za grzechy, Maria Ojuadrado wystroiła się w dwie sute spódnice, błękitną bluzkę i sznurkowe sandały, a warkocze przewiązała wstążką. Lecz po drodze rozdała odzienie żebrakom, a buty ukradli jej w Palmeira dos Indios. Tak więc, gdy tamtego świtu przed jej oczami zamajaczyło w oddali Monte *Santo*, szła boso, a jej ciało okrywał zgrzebny worek z otworami na ręce. Głowa — ogolona czaszka, z której sterczały nierówno obcięte kosmyki — przypominała głowy obłąkanych ze szpitala w Salvadorze. Ogoliła się sama, kiedy zgwałcono ją po raz czwarty.

Bo zgwałcili ją cztery razy, odkąd rozpoczęła swą wędrówkę: żandarm, poganiacz bydła, dwóch łowców jeleni i koziarz, który udzielił jej schronienia w swojej jaskini. Za pierwszym, drugim i trzecim razem czuła jedynie wstręt do tych zwierząt, które dygotały nad nią, niby dotknięte chorobą świętego Wita, i przetrzymała tę próbę, błagając Boga, żeby nie zająć w ciążę. Ale za czwartym razem czuła przypływ litości nad chłopcem, który pobił ją i zniewolił, a teraz unosił się nad nią, bełkocząc słowa pełne czułości. Aby ukarać się za ten odruch współczucia, ogoliła głowę, przemieniając swą postać w *coś* tak groteskowego, jak

monstra pokazywane w Cyrku Objazdowym Cygana po miastach i osadach sertonu.

Gdy dotarła na grzbiet wzniesienia, skąd ujrzała wreszcie nagrodę za tyle trudów: szare i białe kamienie stopni Świętej Drogi, wijącej się między stożkowatymi dachami kapliczek i kończącej się tam, wysoko, Kalwarią, do której co roku w Wielkim Tygodniu napływają tłumy ze wszystkich krańców Bahii, a niżej, u stóp góry, domki Monte Santo stłoczone wokół rynku, gdzie pod dwoma tamaryndowcami o kielichowatych koronach poruszały się ruchliwe cienie — Maria Qua-drado padła na twarz i ucałowała ziemię. Tam oto, okolone równiną świeżej, kielkującej zieleni, gdzie pasą się stada kóz, jest wytęsknione miejsce, którego imię natchnęło ją do wędrówki i pomagało znieść zmęczenie, głód, chłód, spiekotę i gwałty. Całując belki, które zbiła własnymi rękami, kobieta dziękowała Bogu, że pozwolił jej spełnić ślub. I, zarzuciwszy jeszcze ten jeden raz krzyż na ramiona, ruszyła biegiem do Monte Santo, jak zwierzę, kiedy węszy bliską zdobycz lub rodzinne gniazdo.

Weszła do miasta w porze, gdy ludzie budzą się ze snu; szła od drzwi do drzwi, od okna do okna, ścigana przez ludzką ciekawość: twarze, rozbawione i litościwe, wychylały się, żeby na nią popatrzeć — brudną, brzydką, zmęczoną, kancią — a kiedy dotarła do końca ulicy Kroków Pańskich, biegnącej krawędzią urwiska, gdzie palono śmieci, w których żerowały okoliczne świny — ulicy będącej początkiem Drogi Krzyżowej — ciągnęła za nią tłumna procesja. Zaczęła wspinać się na Górę, na kolanach, otoczona mulnikami, którzy porzucili swe zajęcia, szewcami, szwaczkami i piekarzami, rojem dzieciaków i dewotek oderwanych od nowenny. Na początku jej drogi ku górze miejscowi brali ją za zwykłą dziwaczkę, lecz widzieli, jak idzie naprzód z trudem, wciąż na kolanach, i nie przyjmując niczyjej pomocy, wlecze krzyż, zapewne równie ciężki jak ona sama; i widzieli, jak zatrzymuje się na modlitwę przed każdą z dwudziestu czterech kaplic i z oczami pełnymi miłości całuje stopy figur ze wszystkich nisz skalnej drogi, i widzieli, jak wytrzymuje godziny i godziny, nie biorąc do ust ni kęsa, nie pijąc ni kropli — i już o zmierzchu czcili ją jak prawdziwą świętą. Maria Quadrado doszła na szczyt — odrębny świat, gdzie zawsze wieje chłodem, a pośród lazurowych kamieni kwitną orchidee — i jeszcze starczyło jej sił, by podziękować Bogu za swe szczęście, nim padła bez czucia.

Wielu mieszkańców Monte Santo, których przysłowiowej gościnności nie uszczupliły okresowe inwazje pątników, ofiarowało jej dach nad głową. Lecz ona zamieszkała w grocie położonej w połowie Świętej Drogi, gdzie dotąd sypiały tylko ptaki i szczury. Była to niewielka pieczara, sklepiona tak nisko, że nie sposób się było wyprostować; wilgoć zacieków pokryła ściany mchem, dno zaścierał miałki piasek, który drażnił nozdrza. Ludzie pomyśleli, że miejsce owo zniszczy wkrótce swą mieszkankę. Ale wola, która sprawiła, że Maria Quadrado szła przez trzy miesiące z krzyżem na ramionach, sprawiła też, że mogła żyć w tej ponurej jamie przez wszystkie lata, jakie spędziła w Monte Santo.

Grota Marii Quadrado stała się miejscem kultu i, obok Kalwarii, zakątkiem najczęściej nawiedzanym przez pielgrzymów. Ona sama przyozdabiała ją całymi miesiącami. Posługując się sokiem pewnych roślin, sproszkowanymi minerałami i krwią koszenili, używanej do farbowania odzieży, wykonała malowidła. Na błękitnym tle, wyobrażającym sklepienie niebios, namalowała elementy Chrystusowej Męki: gwoździe, które przesywały Jego dłonie i stopy; krzyż, który dźwigał i na którym skonał; cierniową koronę, która kłuła Jego skronie; męczeńską tunikę; włócznię centuriona, która przebodła Jego ciało; młotek, którym Go przybito; bicz, który Go chłostał; gąbkę, z której wypił ocet; kości, którymi grali u Jego stóp bezbożnicy, i sakiewkę, w której Judasz otrzymał srebrniki za zdradę. Namalowała także gwiazdę, która przywiodła do Betlejem Trzech Króli, i pasterzy, i Serce Boże przeszyte mieczem. I wzniosła ołtarz, i wykuła niszę, gdzie pokutnicy palili świeczki i wieszali wota. Spała na sienniku, u stóp ołtarza.

Jej pobożność i dobroć sprawiły, że mieszkańcy Monte Santo pokochali ją i przyjęli, jakby żyła tam od urodzenia. Wkrótce dzieci zaczęły nazywać ją matką chrzestną, a psy przestały szczekać, gdy wchodziła na podwórza i do domów. Jej życie było poświęcone Bogu i służbie ludziom. Godzinami przesiadywała u wezglówi chorych, zwilżała im czoło i modliła się za nich. Pomagała babkom położnym przyjmować porody i opiekowała się dziećmi sąsiadek, które musiały wyjechać. Brała na siebie prace najgorsze, pielęgnowała niedołącznych starców, gdy ciała odmówiły im posłuszeństwa. Panny na wydaniu prosiły ją o radę co do konkurentów, ci zaś błagali ją, żeby złamała opór rodziców, którzy nie zezwalają na ślub. Godziła poważnione pary, a kobiety, kiedy mąż chciał je obić za lenistwo lub zabić za zdradę, biegły schronić się w jej grocie, wiedziały bowiem, że jeśli ją wezmą za orędowniczkę, żaden mężczyzna z Monte Santo nie ośmieli się ich skrzywdzić. Żywiła się tym, co w jałmużnie zostawiali w jej grocie wierni, a jadła tak niewiele, że sporo zostawało, i każdego wieczoru widziano, jak rozdaje coś między ubogich. Oddawała im stroje, jakie jej ofiarowywano, i nikt nigdy nie widział, by w skwar lub ulewę okrywała ciało czymkolwiek poza dziurawym worem, tym samym, w którym przywędrowała.

Jej stosunki z misjonarzami z Massacara, przyjeżdżającymi do Monte Santo odprawiać msze w kościele Serca Jezusowego, nie były wylewne. Oni zawsze zwracali uwagę wiernych na religijność źle pojętą, to znaczy — wymykającą się spod kontroli Kościoła; powoływali się przy tym na sprawę Zaklętych Głazów w okolicy Las Flores w Pernambuco, gdzie odszczepieniec Joao Ferreira i grupka jego wyznawców zraszali kamienie krwią dziesiątków ludzi, również swoją własną, wierząc, że w ten sposób zdejmą zaklęcie z króla Sebastiana, który wskrzesi złożonych w ofierze i powiedzie ich do nieba. Dla misjonarzy z Massacara Maria Quadrado była przypadkiem granicznym z herezją. Ona zaś, choć przyklękała przed nimi i całowała ich w rękę, prosząc o błogosławieństwo, zachowywała w stosunku do nich pewien dystans: nie widziano nigdy, by jej kontakty z ojczulkami o sutych habitach, długich brodach i mowie często trudno zrozumiałej były równie serdeczne i bezpośrednie jak te, które łączyły ją z mieszkańcami.

W swych kazaniach misjonarze przestrzegali też wiernych przed wilkami, co zakradają się do owczarni w przebraniu jagnięcia, aby pożreć trzodę, czyli przed fałszywymi prorokami, którzy ściągają do Monte Santo niczym pszczoły do miodu. Zjawiali się na ulicach odziani w owcze skóry, jak Jan Chrzyciel, albo w suknie naśladowujące habitę, wstępowali na Kalwarię i stamtąd miotali kazania płomienne i mętne. Byli nieustającym źródłem rozrywki dla okolicy, podobnie jak opowiadacze romanc albo Olbrzym Pedrin, Kobieta z Brodą czy Człowiek-Guma, pokazywani w Cyrku Objazdowym Cygana. Ale Maria Quadrado nawet nie zbliżała się do ciżby ludzkiej oblegającej cudacznym apostołów.

Dlatego zdumieli się wszyscy, ujrawszy, jak zmierza na cmentarz, gdzie grupka ochotników zaczęła budować ogrodzenie pod wpływem słów jakiegoś odzianego w fioletową szatę człowieka o długich, czarnych włosach, który przybywszy do miasta tego dnia wraz z garstką ludzi — cwałowała wśród nich istota na wpół ludzka, na wpół zwierzęca — skarcił mieszkańców za to, że nie zadali sobie nawet trudu, by otoczyć murem ów skrawek ziemi, gdzie spoczywają ich zmarli. Śmierć pozwala człowiekowi oglądać oblicze Boga, czyż więc nie powinna być czczona? Maria Quadrado podeszła cicho do ludzi zbierających kamienie i układających je stertami w krętą linię wokół wypalonych słońcem krzyży i zaczęła pomagać. Pracowała ramię w ramię z innymi, aż do zachodu. Potem została na rynku, u stóp tamaryndowców, w kręgu mieszkańców, którzy zebrali się, by posłuchać mężczyzny o czarnych włosach. Choć mówił o Bogu, choć prawił, że trzeba dla zbawienia duszy wyrzec się własnej woli — tego jadu, który zatruwa człowieka, łudząc, iż każdy z nas jest małym bogiem, wyższym od bogów, co go otaczają — i zastąpić ją wolą Trzeciej Osoby, tą, przez którą buduje, tą, przez którą działa pracowita mrówka, i wiele innych podobnych rzeczy,

przemawiał językiem tak jasnym, że zrozumieli wszystkie jego słowa. Mowa, choć religijna i głęboka, przypominała jedną z tych miłych poobiednich pogawędek, jakie wiodą sąsiedzi, zażywając przed domem wieczornego chłodu. Maria Quadrado słuchała Nauczyciela skulona, nie pytając o nic, nie spuszczać zeń oczu. Kiedy zrobiło się późno i ludzie, którzy zostali do końca, ofiarowywali przybyszowi odpoczynek pod swym dachem, ona także — wszyscy zwrócili na nią oczy — zaproponowała mu nieśmiało swoją grootę. Bez wahania, chudy człowiek ruszył za nią pod górę.

Dopóki Nauczyciel przebywał w Monte Santo, nauczając i pracując — wysprzątał i odnowił wszystkie kaplice, zbudował podwójny kamienny murek wzdłuż Świętej Drogi — sypiał w grocie Marii Quadrado. Mówiono potem, że wcale nie spał, ani on, ani ona, że noce schodziły im na rozmowach o sprawach ducha u stóp kolorowego ołtarzyka, a potem jeszcze zaczęto mówić, że on spał na sienniku, gdy ona czuwała nad jego snem. Faktem jest, że Maria Quadrado nie odstępowała go na krok, dźwigała wraz z nim kamienie we dnie, a nocami słuchała go z szeroko rozwartymi oczami. Mimo to całe Monte Santo nie posiadało się ze zdumienia, kiedy tamtego ranka Nauczyciel odchodził z miasta, a za nim szła Maria Quadrado, wmieszana w grupkę wyznawców.

Na pewnym placu w zamożnej dzielnicy Bahii stoi sędziwy kamienny gmach, ozdobiony konchami białych i czarnych muszli, chroniony niczym więzienie grubymi żółtymi murami. Jest to, jak już czytelnicy zapewne odgadli, forteca obskurantyzmu: klasztor Matki Bożej Litościwej, siedziba kapucynów, jednego z tych zakonów, które słyną z misyjnej gorliwości i praktyk służących uciśnieniu ducha. Dlaczego piszę wam o miejscu, które w oczach każdego anarchisty symbolizuje to, co nienawistne? Otóż, aby powiedzieć wam, że dwa dni temu spędziłem tam całe popołudnie.

Nie udałem się tam, żeby wy badać teren w poszukiwaniu wieści o pedagogicznej przemocy stosowanej w koszarach, klasztorach, prefekturach, jednym słowem we wszystkich bastionach wyzysku i ciemnoty — wieści, jakie w opinii wielu towarzyszy są niezbędne do zwalczania wszelkich tabu, przez które lud pracujący patrzy na te instytucje, i ukazania ich słabych punktów (przypominacie wszak sobie tajne zebrania w Barcelonie, kiedy zachęcano nas do napadów na klasztory, żeby przywrócić mniszkom, poprzez ciężę, ich stan kobiecy, wynaturzony przez klauzurę). Udałem się do tego klasztoru na rozmowę z niejakim bratem Janem Ewangelistą z Monte Marciano, przypadek bowiem sprawił, że przeczytałem niedawno intrygującą relację, która wyszła spod jego pióra.

Pewien pacjent doktora Jose Bautisty de Sa Oliveiry, o którego książce o kranioetrii już wam pisałem, a z którym czasami współpracuję, jest zausznikiem najpotężniejszego w tych szerokościach geograficznych człowieka — barona de Cañabrava. Osoba, o której mowa, adwokat Lelis Piedades, podczas gdy doktor Oliveira aplikował mu lewatywę przeciw soliterowi, opowiadał nam, że jedna z fazend barona jest od około dwóch lat okupowana przez garstkę szaleńców, którzy obwołali ją ziemią niczyją. On sam zajmuje się wnoszeniem skarg przed trybunały, żeby jego protektor mógł odzyskać fazendę w imię prawa własności, którego wspomniany baron — któż by w to wątpił! — musi z pewnością zażarcie bronić. Wiadomość, że grupa wyzyskiwanych zawładnęła dobrami arystokracji, zawsze mile brzmi w uszach rewolucjonisty, nawet gdyby ci biedacy byli — jak mówił adwokat, gdy natężając się nad kubłem, usiłował wydalić intruza, poddanego już wstępnie katuszom chemii — fanatykami religijnymi. Ale najbardziej przykuło moją uwagę to, że usłyszałem, iż nie uznają oni ślubów cywilnych i praktykują coś, co Lelis Piedades nazywa rozpustą, a co dla każdego człowieka obdarzonego społeczną kulturą jest instytucją wolnej miłości. „Wobec dowodów jawnego zepsucia władze zmuszone będą wydalić stamtąd fanatyków”. „Dowodem” tego kauzyperdy jest właśnie owa *Relacja*, sfabrykowana w konkubinacie z Kościołem, bo i tej

instytucji świadczy usługi. Brat Jan Ewangelista z Monte Marciano przebywał na fazendzie, wysłany przez arcybiskupa Bahii, do którego dotarły doniesienia o herezji. Klecha pojechał do Canudos sprawdzić, co się tam dzieje, i wrócił co tchu, przerażony i rozsierdzony tym, co ujrzał.

Tak to właśnie przedstawia *Relacja* i, bez wątpienia, dla kapucyna musiało to być gorzkie doświadczenie. Dla istoty wolnej wszystko, co *Relacja* pozwala odgadnąć ze słów zasnutych bielmem klerykalnej ślepoty, jest oszałamiające. Instynkt wolności, dławiony w społeczeństwie klasowym poprzez znane narzędzia katuszy, jakimi są rodzina, szkoła, religia i państwo, prowadzi kroki tych ludzi, w istocie — jak się zdaje — zbuntowanych przeciw instytucji usiłującej okiełznać ich uczucia i popędy. Pod pretekstem nieuznawania prawa o ślubach cywilnych, ustanowionego w Brazylii po upadku cesarstwa, ludzie z Canudos nauczyli się łączyć i rozłączać swobodnie, ilekroć mężczyzna i kobieta są co do tego zgodni, i nie troszczyć się o ojcostwo ciężarnych brzuchów, gdyż ich przywódca, czy też przewodnik, którego nazywają Nauczycielem, wpoił im, że wszystkie ludzkie istoty są prawowite, co wynika z prostego faktu ich narodzin. Czy to wam nie brzmi swojsko? Czy nie wygląda na to, że materializują się tam przewodnie idee rewolucji? Wolna miłość, wolne ojcostwo, usunięcie nikczemnej bariery pomiędzy dziećmi z prawego i nieprawego łóża, przekonanie, że nikt nie dziedziczy sławy i niesławy? Czyż więc nie miałem powodów, żeby przewyciężyć zrozumiałą odrazę i odwiedzić kapucyna?

Kauzyperda barona de Cañabrava osobiście ułatwił mi to spotkanie w przekonaniu, że od lat interesuje mnie kwestia religijnych przesądów (co skądinąd jest prawdą). Rozmowa odbyła się w refektarzu klasztornym, sali upstrzonej malowidłami przedstawiającymi świętych i męczenników, przylegającej do małego krużganka z kamienną posadzką i cysterną, do której podchodziły od czasu do czasu zakapturzone postacie w brązowych habitach przepasanych białym sznurem, żeby wyciągnąć wiadro wody. Klecha rozgrzeszył wszystkie moje pytania i okazał się gadatliwy, gdy odkrył, że możemy rozmawiać w jego rodzimym języku, po włosku. Jest to południowiec jeszcze młody, niziutki, tłuściutki, o bujnym zaroście; czoło, bardzo szerokie, zdradza w nim fantastę, a zapadnięte skronie i spłaszczony kark — naturę pamiętliwą, małostkową i podejrzliwą. I rzeczywiście, podczas rozmowy zauważyłem, że aż ziejże nienawiścią do Canudos, z powodu klęski misji, z którą go posłano, i strachu, jakiego musieli napędzić mu „heretycy”. Jednak nawet pominąwszy całe uprzedzenie i przesadę jego świadectwa, zawarta w nim prawda jest, jak się przekonacie, imponująca.

To, co usłyszałem, dostarczyłoby materiału na wiele numerów „L'Etincelle de la revolte”. Istotne, że rozmowa potwierdziła moje przypuszczenia, iż w Canudos ludzie prości i nieświadomi, wiedzeni instynktem i wyobraźnią, wprowadzają w życie wiele z tych idei, które my, rewolucjoniści z Europy, uznajemy za niezbędne dla ustanowienia sprawiedliwości na ziemi. Oszczędźcie sami: brat Jan Ewangelista spędził w Canudos tydzień w towarzystwie dwóch zakonników — innego kapucyna z Bahii i proboszcza miasteczka sąsiadującego z Canudos, niejakiego ojca Joaquina, którym, zaznaczmy, nasz klecha gardzi (oskarża go o pijaństwo, rozpustę i rozpalanie sympatii dla bandytów). Jeszcze nim przybyli na miejsce — po osiemnastu dniach uciążliwej podróży — spostrzegli „przejawy samowoli i anarchii”, żaden bowiem przewodnik nie chciał ich zaprowadzić, a o trzy mile od fazendy natknęli się na forpocztę mężczyzn zbrojnych w strzelby i maczety; ci przywitani ich wrogo i pozwolili im przejść dopiero za wstawiennictwem ojca Joaquina, którego znali. W Canudos zastali tłum wychudzonych istot o trupim wyglądem, brudnych, gnieźdzących się w krytych słomą lepiankach, ale uzbrojonych po zęby, „żeby bronić Nauczyciela, którego już raz władze usiłowały zgładzić”. Dotąd brzmia mi w uszach pełne trwogi słowa kapucyna, gdy rozpamiętywał wrażenie, jakie na nim wywarł widok takiej ilości broni. „Nie odkładają jej nawet na chwilę, ani przy jedzeniu, ani na modlitwie, i dufni w swe siły, obnoszą się z tymi

swoimi sztucerami, karabinami, pistoletami, nożami i ładownicami, jakby już szykowali się do wojny". (Nie mogłem otworzyć mu oczu, tłumacząc, że tę wojnę wszczęli już wówczas, gdy siłą zagarnęli ziemie barona). Zapewnił mnie, że są wśród nich kryminaliści, znani ze swych występów; dla przykładu wymienił „słynącego okrucieństwem” Joao Szatana, który osiedlił się w Canudos ze swym oddziałem i jest teraz przybocznym Nauczyciela. Brat Jan Ewangelista opowiada, jak łąjał go tymi słowami: „Czemu przyjmujecie przestępców w Canudos, skoro prawdą jest, że uważacie się za chrześcijan?”. Odpowiedź: „Żeby zrobić z nich ludzi uczciwych. Jeśli przedtem zabijali lub kradli, to z powodu nędzy, w jakiej żyli. Tutaj czują, że należą do rodziny ludzkiej, są wdzięczni i uczynią wszystko, by odkupić swoją winę. Gdybyśmy ich odrzucili, popełnialiby nowe zbrodnie. My pojmujemy miłość tak, jak ją praktykował Chrystus”. Te zdania, towarzysze, zgadzają się z filozofią wolności. Wy wiecie, że bandyta jest buntownikiem w stanie pierwotnym, rewolucjonistą, który nie jest siebie świadom, i pamiętacie, że w dramatycznych dniach Komuny Paryskiej wielu towarzyszy uważanych za przestępców i zbiegów z więzień burżuazji walczyło na pierwszej linii, ramię w ramię z ludem pracującym, dając dowody bohaterstwa i szlachetności.

Rzecz znamienna: ludzie z Canudos siebie samych zowią jaguncos, a słowo to znaczy tyle co „buntownik”. Klecha, mimo swoich wcześniejszych wypraw misyjnych do interioru, nie poznawał już bosono-gich kobiet ani mężczyzn, przedtem tak pełnych umiaru i szacunku dla wysłanników Kościoła i Boga. „Są nie do poznania. Jest w nich niepokój i egzaltacja. Mówią głośno, przekrzykują się nawzajem, obstając przy najgorszych bzdurach, jakie może usłyszeć prawowitny katolik, wywrotowych doktrynach, godzących w ład, moralność i wiarę. Jak na przykład, że kto się chce zbawić, powinien udać się do Canudos, bo reszta świata wpadła w ręce Antychrysta”. A wiecie, kogo jaguncos zowią Antychrystem? Republikę! Tak, towarzysze, republikę. Utrzymują, że ponosi odpowiedzialność za wszelkie zło i krzywdy, niektóre, bez wątpienia, wydumane, ale również za te konkretne i realne, jak głód i podatki. Brat Jan Ewangelista z Monte Marciano nie wierzył własnym uszom. Wątpię, czy on, jego zakon albo Kościół w ogóle są entuzjastycznie nastawieni do nowego rządu Brazylii, gdyż, jak pisałem wam w poprzednim liście, republika, w której wpływy masonerii są ogromne, przynieść musi osłabienie Kościoła. Ale obwoływać ją dlatego Antychrystem?! Przekonany, iż przeraża mnie i oburza, kapucyn mówił rzeczy, które brzmiały jak muzyka w moich uszach: „Są sektą polityczno-religijną, godzącą w konstytucyjny porządek kraju, stanowią państwo w państwie, tam bowiem nie uznaje się prawa ni władzy, nie przyjmuje się republikańskich pieniędzy”. Jego intelektualna ślepota nie pozwalała mu dostrzec, że bracia ci, z nieomylnym instynktem, skierowali swój bunt przeciw naturalnemu wrogowi wolności: przeciw władzy. A jaka to władza ich ciemni, odmawia im prawa do ziemi, kultury, równości? Czy nie republika? A to, iż uzbroili się, by z nią walczyć, dowodzi, że utrafilo również w metodę, jedyną, jaka pozwoli wyzyskiwanym zerwać kajdany: przemoc.

Ale to nie wszystko, przygotujcie się na coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Brat Jan Ewangelista zapewnia, że na równi ze wspólnotą ciał ustanowiono w Canudos wspólnotę dóbr: wszystko należy do wszystkich. Nauczyciel przekonał zapewne jaguncos, że grzechem jest — słuchajcie pilnie — uważać za swą własność jakiegokolwiek mienie ruchome lub nieruchome. Domy, pola, bydło należą do wspólnoty, do wszystkich i do nikogo. Nauczyciel wpoił tym ludziom, że im więcej rzeczy posiadają, tym mniej mają możliwości, by znaleźć się wśród wybranych w dniu Sądu Ostatecznego. Zupełnie jakby wprowadzał w życie nasze idee i nadawał im pozory religii z przyczyn taktycznych, mając na uwadze intelektualny poziom biedaków, którzy go naśladują. Czyż to nie doniosłe, że w głębi Brazylii garstka powstańców buduje społeczność, gdzie zniesiono małżeństwo i pieniądź, a wspólnota zastąpiła własność prywatną?

Ta myśl krążyła mi po głowie, podczas gdy brat Jan Ewangelista z Monte Marciano

opowiadał, że po siedmiu dniach głoszenia kazań w Canudos, pośród głuchej wrogości, uznano go za protestanta i masona, ponieważ nawoływał jaguncos, żeby powrócili do domów, a gdy wezwał ich, by się poddali republice, rozsierzdził się do tego stopnia, że praktycznie musiał zmykać z Canudos. „Kościół utracił tam autorytet za sprawą jakiegoś szaleńca, który dzień w dzień zapędzą tę zgraję do pracy przy wznoszeniu kamiennej świątyni". Nie mogłem podzielać jego konsternacji, czułem za to radość i sympatię dla tych ludzi, dzięki którym, rzecz by można, w brazylijskiej głuszy odradza się z popiołów Idea, choć reakcja ludzi się, iż tam, w Europie, utopiła ją we krwi pokonanych rewolucjonistów. Czekaście następnego listu lub żegnajcie na zawsze.

#### **Rozdział IV**

Kiedy Lelis Piedades, adwokat barona de Cañabrava, złożył przed sądem w Salwadorze oficjalne doniesienie, iż na fazendę Canudos wtargnęło hultajstwo, Nauczyciel przebywał tam od trzech miesięcy. Sertony obiegała wieść, że w okolonym zewsząd skalistymi górami miejscu, zwanym Canudos od fajek wyrabianych z canudo — łodyg trzciny cukrowej — jakie niegdyś paliła okoliczna ludność, osiedlił się ów święty, który przewędrował świat wzdłuż i wszerz w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Miejsce znane było poganiaczom bydła, stada bowiem często spędzały noc na brzegach Vassa Barris. W następnych tygodniach i miesiącach widywano grupki ciekawskich, grzeszników, chorych, włóczęgów i zbiegów, którzy z północy, południa, wschodu i zachodu ciągnęli do Canudos z przecuciem lub nadzieją, że znajdą tam wybaczenie, przytułek, zdrowie, szczęście.

Nazajutrz po przybyciu Nauczyciel rozpoczął budowę Świątyni, która, powiedział, będzie cała z kamienia, z wyniosłymi wieżami, a poświęcą ją Dobremu Jezusowi. Postanowił wnieść ją naprzeciw starego kościoła pod wezwaniem świętego Antoniego, dawnej kaplicy fazendy. „Niech wyciągną ku niebu ręce bogacze — mówił, nauczając w blasku ogniska, w rodzącej się wiosce. — Ja wyciągam moje. Bo jestem dzieckiem Boga, który dał mi duszę nieśmiertelną. Mogę zasłużyć na niebo, to najprawdziwsze z bogactw. Ja wyciągani moje, bo Ojciec uczynił mnie nędzarzem w tym życiu, żebym w przyszłym stał się bogaty. Niech wyciągną ku niebu ręce bogacze!". Z roziskrzonych ciemności wyłaniał się wówczas, spośród łachmanów i skór, spośród spłowiałych zgrzebnych koszul, las ramion. Modlili się przed naukami i po naukach, wychodzili z procesją między domostwa, jeszcze niewykończone, i budy sklecone ze szmat i desek, gdzie sypiali, a noce sertonu rozbrzmiewały okrzykami na cześć Najświętszej Pani i Dobrego Jezusa, na pohybel Bestii Antychrystowi. Pewien człowiek z Mirandeli, który zapalał fajerwerki na jarmarkach — Antonio Pirotechnik — przybył wraz z pierwszą falą pielgrzymów i odtąd podczas procesji w Canudos wybuchały race, płonęły łuny sztucznych ogni. Nauczyciel kierował robotami przy budowie Świątyni, wspierany radami majstra murarskiego, który dotychczas pomógł mu odnowić wiele kaplic i wnieść od fundamentów kościół pod wezwaniem Dobrego Jezusa w Crisópolis. Pokutników przeznaczył do ciosania kamieni, przesiewania piasku, zbierania drewna. O zmierzchu, po skromnym posiłku, który — o ile święty nie pościł — składał się z kromki czerstwego chleba, jakiegoś owocu, łyżki tapioki i kilku łyków wody, witał nowo przybyłych, innych zachęcając do gościnności, a po Wierzę, Ojciec Nasz i zdrowaśkach jego wymowny głos prawił im o powadze, o umartwieniu, o wstrzeźliwości i czynił ich uczestnikami wizji, które przywodziły na myśl opowieści truwerów. Koniec jest blisko, widać go w oddali, jak Canudos ze szczytu Faveli. Republika wysyłać będzie wciąż nowych żołdaków w mundurach i z karabinami, żeby schwytali go i odebrali mu możność przemawiania do łaknących, ale choćby przelała morze krwi, Bestia nie ukąsi Jezusa. Będzie potop, potem trzęsienie ziemi. Zaćmienie Słońca pograży świat w ciemnościach tak zupełnych, że wszystko będą musieli robić za pomocą dotyku, jak ślepcy, podczas gdy z oddali dochodzić będzie zgiełk bitwy.

Tysiące pomrą z trwogi. Ale kiedy przejrzysty świt rozproszy mgły, ludzie ujrzą wokół siebie, na górskich grzbieciech Canudos, zastępy świętego Sebastiana. Wielki Król nadchodzi, zwyciężywszy szatańskie plemię. Oto świat oczyszczony na przybycie Pana. Ujrzą jego postać w jaśniejącej zbroi, z mieczem w dłoni, ujrzą jego oblicze młodzieńcze, dobrotliwe; uśmiechnie się do nich ze swego rumaka, przybranego w złoto i diamenty; i ujrzą, jak oddala się, wypełniwszy zbawczą misję, by powrócić ze swym wojskiem na dno morza.

Garbarze, wieśniacy, praczki, akuszerki, żebraczki, znachorzy i domokrażcy, którzy przybyli do Canudos po wielu dniach i nocach wędrówki, unosząc swój dobytek na wozach lub grzbieciech osłów, a którzy teraz stali tutaj, skuleni w ciemności, słuchając i chcąc uwierzyć, czuli, jak wilgotnieją im oczy. Modlili się i śpiewali z tym samym przekonaniem co starzy pielgrzymi; nowi, jeszcze nieoświeceni, szybko uczyli się modlitw, pieśni, prawd. Antonio Vilanova, kupiec z Canudos, był jednym z tych, co najbardziej pragnęli się oświecić; nocami chadzał na długie spacery brzegiem rzeki lub skrajem kielkujących pól, w towarzystwie Antonia Aniołka, który cierpliwie tłumaczył mu nakazy i zakazy religii, a on wykladał je potem swojemu bratu Honorowi, swej żonie Antonii, swej bratowej Asunción, swoim dzieciom i bratankom.

Pożywienia nie brakło. Mieli zboże, jarzyny, mięso, można też było siać, bo korytem Vassa Barris obficie płynęła woda. Ci, którzy przybywali, przywozili ze sobą prowiant, a z pobliskich osad przysyłano drób, króliki, wieprzki, ziarno i kozy. Nauczyciel poprosił Antonia Vilanovę, żeby gromadził żywność i nadzorował jej rozdział między opuszczonych i ułomnych. Bez szczegółowych zarządzeń, ale zgodnie ze wskazaniem Nauczyciela, życie organizowało się samo, choć nie bez przeszkód. Aniołek zajmował się wprowadzaniem wciąż napływających pątników i przyjmowaniem ich darów, jeżeli nie były to pieniądze. Jeśli ofiarowywali republikańskie reale, musieli pod eskortą Joao Mnicha lub Pajeu, zaprawionych w walce, odejść i wydać je w Cumbe albo Joazeiro na wyposażenie Świątyni: łopaty, oskardy, ołowianki, gatunkowe drewno, wizerunki świętych i krucyfiksy. Matka Maria Quadrado składała w osobnej skrzyni pierścionki, kolczyki, broszki, korale, strojne grzebyki, stare monety i proste ozdoby z gliny i kości, które ofiarowywali pątnicy, a skarb ten wystawiany był w kościele Świętego Antoniego, ilekroć ojciec Joaquim z Cumbe lub inny proboszcz z okolicy przyjeżdżał odprawić mszę, spowiadać, chrzczyć albo żenić osadników. Zawsze były to dni odświętne. Dwóch zbiegów wyjętych spod prawa, Joao Wielki i Pedrao, najsilniejsi mężczyźni w osadzie, stali na czele drużyn przenoszących z pobliskich kamieniołomów kamienie na Świątynię. Catarina, żona Joao Mnicha, i Alejandrinha Correa, kobieta z Cumbe, która, jak mówiono, czyniła niegdyś cuda, przygotowywały posiłki pracującym na budowie. Życie dalekie tu było od doskonałości i niepozbawione komplikacji. Mimo że Nauczyciel ganił gry, tytoń i trunki, wielu grało, paliło i piło samogon, a kiedy Canudos poczęło się rozrastać, zdarzały się kradzieże, pijaństwo, bijatyki o spódniczki, a nawet bójkę na noże. Mniej jednak niż w innych stronach i zawsze na peryferiach czynnego, braterskiego, żarliwego, ascetycznego serca osady, którym był Nauczyciel oraz skupieni wokół jego osoby uczniowie.

Nauczyciel nie zabraniał niewiastom strojów, ale powtarzał nieustannie, że kto bardzo dba o ciało, może zaniedbać duszę i że — tak jak u Lucyfera — piękna powierzchowność zwykła skrywać duszę brudną i odrażającą. I barwy zniknęły ze strojów panien, mężatek i staruszek, suknie wydłużały się aż do kostek, wyciągały aż pod szyję i poszerzały, dopóki nie upodobniły się do habitów mniszek. Wraz z dekolcami zniknęły ozdoby, a nawet wstążki do włosów, teraz spuszczone luźno na ramiona lub ukryte pod chustą. Zdarzały się czasem zajścia z „magdalenami”, które mimo że dźwignęły się z upadku, mimo że przywędrowały tu kosztem wielu wyrzeczeń i ucałowały stopy Nauczyciela, błagając o wybaczenie, nękanie były przez nietolerancyjne kobiety, chcące zmusić je do noszenia grzebieni cierniowych na znak



skruchy.

Na ogół jednak życie było spokojne, panował duch zgody i sąsiedzkiej pomocy. Źródłem problemów stały się odrzucone republikańskie pieniądze: gdy kogoś przyłapano na płaceniu realem, ludzie Nauczyciela odbierali mu wszystko, co miał, i zmuszali do odejścia z Canudos. Kupowano i sprzedawano za monety z podobizną cesarza Pedra lub jego córki, księżniczki Izabeli, ale ponieważ było ich mało, rozpowszechnił się handel wymienny towarów i usług. Wymieniano strzyżenie na alpargaty, kury na leczenie ziołami, tapiokę na podkowy, dachówkę na płótno, hamaki na maczety, a za pracę na polach, w domach i zagrodach płacono pracą. Nikt nie liczył czasu ni wysiłku oddanego Dobremu Jezusowi. Oprócz Świątyni budowano domy, które później nazwane zostały Domami Zdrowia: zapewniano w nich schronienie, strawę i opiekę chorym, starcom i sierotom. Z początku przedsięwzięciem tym kierowała Maria Quadrado, ale gdy wzniesiono Sanktuarium — gliniane ściany, dwie izby, słomiany dach — żeby Nauczyciel mógł odpocząć choć na kilka godzin od pątników, którzy zamęczali go bez przerwy, Matka Ludzi poświęciła się tylko jego osobie, a Domy Zdrowia zostały pod pieczę obu Sardeli-nii — Antonii i Asunción — żon braci Vilanova. Zdarzały się sprzeczki o ziemie uprawne przyległe do Vassa Barris, zajęte przez pątników zadomowionych już w Canudos, a do których przybysze również rościli pretensje. Rozstrzygał te spory Antonio Vilanova, kupiec. On też, z polecenia Nauczyciela, rozdzielał parcele pod budowę domów dla napływających wciąż pielgrzymów i wydzielał tereny na zagrody dla bydła, które wyznawcy przyprowadzali ze sobą lub przysyłali w podarunku, pełnił też funkcję sędziego w kłótniach o grunta i majątek. Nie było ich zresztą wiele, bo ludzi nie wiodła do Canudos chciwość ani wizja materialnego dobrobytu. Życie wspólnoty skupiało się wokół spraw ducha: modlitwy, pogrzebów, postów, procesji, budowy Świątyni Dobrego Jezusa, a przede wszystkim wokół wieczornych nauk, które często przeciągały się do późnej nocy; w tym czasie życie zamierało w Canudos.

Rozpalone do białości południe: festyn Republikańskiej Partii Postępowej zalepił mury Queimadas plakatami z hasłem BRAZYLIA ZJEDNOCZONA SIŁĄ NARODU i nazwiskiem EPAMINON-DAS GONCALVES. Ale w izdebce pensjonatu Matki Boskiej Łaskawej Galileo Gall nie myśli o politycznym święcie, które buzuje tam, na zewnątrz, myśli o sprzecznych skłonnościach, jakie odkrył u Rufina. „To rzadko spotykane połączenie”, myśli. Orientacja i Koncentracja są pokrewne, to oczywiste, i nic bardziej naturalnego, niż spotkać je u kogoś, kto przez całe życie wędruje po tych niezmiernych przestrzeniach, prowadząc podróży, myśliwych, konwoje, służąc za kuriera lub tropiąc zabłąkane bydło. Ale Imaginacja? Jak pogodzić skłonność do fantazjowania, urojeń, irrealności właściwą artystom i ludziom niepraktycznym, z człowiekiem, w którym wszystko wskazuje na przyziemnego realistę, pragmatyka? Jednakże to właśnie mówią jego kości: Orientacja, Koncentracja, Imaginacja. Galileo Gall odkrył to, zaledwie dotknął głowy przewodnika. Myśli: „Połączenie absurdalne, nie do przyjęcia. To tak, jakby być wstydlwym ekshibicjonistą lub szczodrym sknerą”.

Opłukuje twarz, pochylony nad wiadrem. Cienkie drewniane ściany izdebki upstrzone są haczykami, wycinkami z gazet, przedstawiającymi jakiś operowy spektakl, odłamkami lustra. Karaluchy koloru kawy wychylają się i znikają w szparach podłogi, mała jaszczurka skamieniała bez ruchu na suficie. Za całe umeblowanie starcza barłóg bez pościeli. Świąteczny nastrój wdziera się do pokoju przez okratowane okno: głosy spotęgowane przez megafon, brzęk czyneli, łoskot bębna i wrzaski dzieciarni puszczającej latawce. Ktoś przeplata ataki na Autonomiczną Partię Bahii i barona de Cañabrava pochwałami na cześć Epaminondasa Goncalvesa i Republikańskiej Partii Postępowej.

Galileo Gall myje się, obojętny na zgiełk. Gdy wreszcie kończy, wyciera twarz własną

koszulą i rzuca się na posłanie, na wznak, z ramieniem pod głową zamiast poduszki. Patrzy na karaluchy, na jaszczurkę. Myśli: „Zniecierpliwienie zwalczaj myśleniem”. Już osiem dni tkwi w Ojueimadas i chociaż jest człowiekiem, który umie czekać, zaczyna odczuwać pewien niepokój: dlatego poprosił Rufina, żeby pozwolił mu obmacać swoją czaszkę. Nie było łatwo go przekonać, bo przewodnik jest nieufny, i Gall wspomina, jak dotykając go, czuł, że jest spięty, w każdej chwili gotów rzucić się na niego. Widywali się codziennie, dogadują się bez trudu, więc żeby zabić czas oczekiwania, Galileo obserwował jego zachowanie i notował spostrzeżenia: „Czyta w niebie, w drzewach i w ziemi jak w książce; jest człowiekiem pojęć prostych, nienaruszalnych, o sztywnym kodeksie honorowym i moralności, która zrodziła się z obcowania z przyrodą i ludźmi, a nie ze studiów, bo nie umie czytać, ani z religii, nie wydaje się bowiem zbyt wierzący”. Wszystko zgadza się z tym, co wyczuły jego palce. Oprócz Imaginacji. W czym się przejawia, dlaczego nie zauważył u Rufina żadnego jej symptomu w ciągu tych ośmiu dni, kiedy ustalali warunki wyprawy do Canudos w jego chacie na przedmieściu albo kiedy popijali lemoniadę na stacji kolei żelaznej lub spacerowali po garbarniach na brzegach Itapicuru? U Juremy natomiast, żony przewodnika, ta antynaukowa skłonność — oderwać się od doświadczenia, zatopić w urojeniach i marzeniach — jest oczywista. Bo chociaż jest tak powściągliwa w jego obecności, Galileo słyszał pewnego razu, jak opowiadała historię drewnianej figury świętego Antoniego z głównego ołtarza kościoła w Queimadas. „Dawno temu znaleźli ją w grocie i zabrali do kościoła, ale nazajutrz zniknęła i znowu pojawiła się w grocie. Przykuli ją do ołtarza, żeby nie uciekła, ale znowu wróciła do groty. I tak było, przychodziła i odchodziła, aż przybyła do Queimadas Misja Święta, czterech kapucynów i biskup; poświęcili Kościół świętemu Antoniemu i przechrzcili miasteczko na Santo Antonio de Queimadas, ku czci świętego. Dopiero wtedy posąg z ołtarza znieruchomiał i teraz ludzie palą przed nim świeczki”. Galileo Gall przypomina sobie, że kiedy zapytał Rufina, czy wierzy w opowieść żony, tropiciel wzruszył ramionami i uśmiechnął się sceptycznie. Jurema jednak wierzyła. Galileo miałby ochotę obmacać także jej czaszkę, ale nawet tego nie próbował; pewien był, że sama myśl, iż ktoś obcy mógłby dotknąć głowy jego żony, jest dla Rufina nie do przyjęcia. Tak, ma do czynienia z człowiekiem podejrzliwym. Sporo trudu kosztowało, żeby przewodnik zgodził się pójść z nim do Canudos. Targował się o cenę, stwarzał trudności, wahał się, a chociaż w końcu przystał, Galileo widział, że czuje się nieswój, ilekroć rozmowa zejdzie na Nauczyciela i jaguncos.

Bezwiednie odrywa uwagę od Rufina i skupia się na głosie, który dobiega z zewnątrz: „Autonomia regionalna i decentralizacja to pozory, jakimi szafują gubernator Viana, baron de Cañabrava i ich sługusy, żeby zachować przywileje i udaremnić modernizację Bahii na wzór innych stanów Brazylii. Kim są autonomiści? Zamaskowanymi monarchistami, którzy, gdyby nie my, wskrzesiliby skorumpowane cesarstwo i zamordowali republikę! Ale Republikańska Partia Postępowa Epaminondasa Goncalvesa nigdy do tego nie dopuści...”. To nie ten sam mówca, co przed chwilą: Gall rozumie wszystko — mówi jasno, wyraźnie, a może nawet jest w tym jakaś myśl, podczas gdy jego poprzednik tylko ujał. Podejdzie do okna, żeby popatrzeć? Nie, nie rusza się z posłania, pewien, że widowisko się nie zmieniło: grupki gapiów włóczą się po stoiskach z napitkiem i jadem, słuchają opowieści truwerów, tłoczą się wokół człowieka na szudłach, który przepowiada przyszłość, a czasami łaskawie przystają na chwilę — nie żeby posłuchać, ale żeby się pogapić — przed podium, gdzie uprawia swoją propagandę Republikańska Partia Postępowa, strzeżonym przez ca-pangas uzbrojonych w strzelby. „Ich obojętność jest mądra”, myśli Galileo Gall. Na cóż się przyda ludziom z Queimadas świadomość, że Partia Autonomiczna barona de Cañabrava jest przeciwna centralistycznemu systemowi Partii Republikańskiej i że ta z kolei zwalcza decentralizację i federalizm, proponowane przez jej przeciwników? Czy retoryczne spory burżuazyjnych partii mają cokolwiek wspólnego z interesami biedoty? Słusznie czynią, korzystając z festynu i nie

zajmując się gadaniną ludzi na podium. Wczoraj Galileo wyczuł pewne podniecenie w Queimadas, ale bynajmniej nie z powodu święta Republikańskiej Partii Postępowej: ludzie zastanawiali się, czy Partia Autonomiczna barona de Cañabrava przyśle swoich capangas, żeby pokrzyżować widowisko wrogom, i czy będzie strzelanina, jak bywało przy innych okazjach. Jest późny ranek, nic nie zaszło i na pewno nie zajdzie. Po co mieliby się trudzić pikietowaniem tego wiecu dla ubogich? Gall myśli, że festyny autonomistów zapewne do złudzenia przypominają ten, który odbywa się teraz w miasteczku. Nie, nie tutaj rozstrzygają się polityczne losy Bahii. Myśli: „Są w rękach ludzi, którzy nawet nie podejrzewają, że stanowią prawdziwą polityczną siłę tego kraju”. Długo potrwa oczekiwanie? Galileo Gall siada na pryczy. Szepcze: „Zniecierpliwienie zwalczaj myśleniem”. Otwiera leżącą na podłodze walizkę, odsuwa ubrania, rewolwer, wyciąga brulion z notatkami o garbarniach Queimadas, gdzie strawił wiele godzin w tych dniach, i przerzuca zapisane kartki: „Budynki z cegły, kryte dachówką, nieociosane drewniane słupy. Wszędzie wiązki kory angico, pociętej i podziurawionej młotkiem i nożem. Wrzucają angico do zbiorników napełnionych rzeczną wodą. Zanurzają skóry, wpierw oczyściwszy je z włosia, i zostawiają do namoknięcia na około osiem dni, czas potrzebny do wygarbowania. Z kory drzewa zwanego angico wydziela się garbnik, tanina. Rozwieszają skóry w cieniu do wyschnięcia, a potem skrobią je nożem, aby oczyścić z resztek. Poddają temu procesowi skóry bydła, baranów, kóz, królików, jeleni, lisów i jaguarów. Angico ma kolor krwi i ostrą woń. Garbarnie to przedsiębiorstwa rodzinne, prymitywne, zatrudniające ojca, matkę, synów i bliskich krewnych. Surowa skóra jest głównym bogactwem Queimadas”. Wkłada notes z powrotem do torby. Garbarze byli uprzejmi, objaśnili mu swoją pracę. Dlaczego tak niechętnie mówią o Canudos? Nie ufają człowiekowi, którego portugalszczyznę z trudnością rozumieją? Gall wie, że Nauczyciel i Canudos są głównym tematem rozmów w Queimadas. Ale, mimo starań, z nikim nie mógł o tym pogadać, nawet z Rufinem i Juremą. W garbarniach, na stacji kolejowej, w pensjonacie Matki Boskiej Łaskawej, na rynku w Queimadas ilekroć uczynił wzmiankę na ten temat, we wszystkich oczach widział tę samą podejrzliwość, zapadała ta sama cisza, słuchał tych samych wykrętów. „Są rozsądni. Nie ufają”, myśli. Myśli: „Wiedzą, co robią. Są mądrzy”.

Znów przerzuca ubrania, rewolwer i wyjmuje jedyną książkę, jaka jest w torbie: stary, wymięty tom z ciemnego pergaminu; ledwie można odczytać nazwisko autora — Pierre Joseph Proudhon — ale wciąż wyraźny jest tytuł, *Systeme des contradictions*, i miasto, gdzie został wydrukowany: Lyon. Nie może się skupić nad lekturą, rozproszony jarmarczną wrzawą, a przede wszystkim zdradliwą niecierpliwością. Zaciska zęby, usiłuje myśleć o sprawach obiektywnych. Człowiek, którego nie zajmują problemy ani idee ogólne, tkwi uwięziony w Partykularyzmie. Skłonność do Izolacji można poznać po krzywiźnie dwóch wystających, niemal kłujących kosteczek za małżowiną ucha. Wyczuł je przecież u Rufina? A może Imaginacja przejawia się w dziwnym poczuciu honoru, wyrażającym się w czymś, co można by nazwać etyczną wyobraźnią człowieka, który poprowadzi go do Canudos?

Jego pierwszym i najlepszym wspomnieniem, tym powracającym najczęściej, nie była matka, bo opuściła go i odeszła z jakimś sierżantem Gwardii Narodowej, który na czele lotnego oddziału przechodził przez Custodię w pościgu za cangaceiros, ani ojciec, którego nigdy nie poznał, ani wujostwo — Ze Faustino i ciotka Angela — którzy przygarnęli go i wychowali, ani trzydzieści chałup i spalone słońcem ulice Custodii, lecz wędrowni pieśniarze. Zjawiali się co pewien czas, żeby zabawić weselnymi gośćmi lub po drodze na rodeo do jakiejś fa-zendy albo na jarmark, którym jakieś miasteczko czciło swego świętego patrona. Za łyk samogonu i miskę suszonego mięsa z prażoną tapioką snuli opowieści o Oliwierze, o Królownie Magalonie, o Karolu Wielkim i Dwunastu Parach Francji. Joao słuchał ich z szeroko rozwartymi oczami, jego wargi poruszały się w rytm warg truvera.

Później miewał wspinałe sny, pełne szczęku rycerskiego oręza chrześcijańskich

wojowników walczących z pogańską hordą.

Lecz opowieścią, która stała się krwią jego krwi, była historia Roberta Diabła, owego syna diuka Normandii, co dopuściwszy się wprzód wszelkich niegodziwości, ukorzył się — chodził na czworakach, spał między zwierzętami, wyrzekł się ludzkiej mowy i szczekał jak pies — aż dostąpiwszy miłosierdzia Dobrego Pana Jezusa, wybawił Cesarza od napaści Maurów i ożenił się z Królową Brazylii. Chłopiec napraszał się, żeby truverzy nie pomijali żadnego szczegółu: jak w swym niegodziwym życiu Robert Diabeł zagłębiał swój sztylet w niezliczonych gardłach dziewic i pustelników dla samej przyjemności patrzenia na mękę i jak w swym późniejszym życiu Bożego Sługi przemierzył świat w poszukiwaniu krewnych swoich ofiar i całował ich stopy, i błagał o kaźń. Mieszkańcy Custodii myśleli, że Joao zostanie bardem sertonu, będzie wędrował od osady do osady, z gitarą na ramieniu, przynosząc nowiny, bawiąc ludzi opowieściami i muzyką.

Joao pomagał Ze Faustinowi w sklepie, który zaopatrywał całą okolicę w płótno, ziarno, napitki, narzędzia rolnicze, słodycze i różną tandetę. Ze Faustino podróżował wiele: jeździł do miasta po towary i rozwoził je po fazendach, a pod jego nieobecność ciotka An-gela prowadziła sklepik — lepiankę z podwórkiem dla kur. Przeląła na siostrzeńca miłość, której nie mogła dać własnym dzieciom, bo ich nie miała. Obiecała kiedyś Joao, że pewnego dnia zabierze go do Salwadoru, gdzie pokłonią się cudownemu wizerunkowi Jezusa Pana Dobrej Śmierci, który widniał na całej kolekcji obrazków u jej wezłowia.

Mieszkańcy Custodii jak suszy i zarazy bali się dwóch klęsk, pustoszących co jakiś czas osadę: cangaceiros i lotnych oddziałów Gwardii Narodowej. Ci pierwsi tworzyli z początku bandy, organizowane przez pułkowników z krewnych i peonów zebranych z fazend, użyteczne w rozstrzyganiu sporów o granice, wody, pastwiska lub ambicje polityczne, potem jednak wiele z tych grup, zbrojnych w karabiny i maczety, grasowało swobodnie po sertonach, żyjąc z grabieży i napaści.

Dla zwalczania bandytów powstały lotne oddziały. Jedni i drudzy zjadali zapasy mieszkańców Custodii, upijali się ich samogonem, gwałcili ich kobiety. Nim jeszcze zaczął robić użytek z rozumu, Joao nauczył się, ledwie rozbrzmiały dzwony na trwogę, wrzucać butelki, żywność i towary do schowków, zawczasu przygotowanych przez Ze Faustina. Krążyła pogłoska, że kupiec jest coitero, to znaczy robi interesy z bandytami, dostarcza im informacji i zapewnia kryjówki. On zrywał się i wściekał. Może nie widzieli, jak splądrowano mu sklep? Może bandyci nie zabierają odzieży i tytoniu, nie zapłaciwszy ani grosza? Joao słyszał wiele razy, jak wuj narzeka na te nedorzeczne plotki, które z zawiści zmyślali przeciw niemu ludzie z Custodii. „Skończy się na tym, że wpakują mnie w tarapaty”, mruczał. I tak się stało.

Pewnego ranka pojawił się w Custodii lotny oddział, trzydziestu żandarmów pod wodzą podporucznika Geralda Macedo, młodzieńczego caboclo o sławie okrutnika, który ścigał bandę Antonia Silvina. Bandyci nie przechodzili przez Custodię, podporucznik jednak obstawał przy swoim. Był wysoki i postawny, lekko zezowaty i ciągle oblizywał swój złoty ząb. Mówiono, że cangaceiros zgwałcili mu narzeczoną i dlatego prześladowuje ich tak zaciekle. Podczas gdy jego ludzie przeszukiwali chaty, osobiście przesłuchiwał całą okolicę. O zmroku, z wyrazem triumfu na twarzy, wszedł do sklepu i rozkazał, żeby Ze Faustino zaprowadził go do kryjówki Silvina. Nim sklepikarz zdążył odpowiedzieć, silnym ciosem obalił go na ziemię. „Wiem wszystko, przyjacielu — oznajmił. — Donieśli na ciebie”. Na nic się zdały zapewnienia o niewinności i prośby ciotki Angeli. Macedo powiedział, że dla przykładu, ku przestrodze innych coireros, rozstrzela Ze Faustina o świcie, jeśli nie ujawni miejsca pobytu Silvina. Wreszcie sklepikarz jakby ustąpił. O świcie wyruszyło z Custodii, z Ze Faustinem na czele, trzydziestu zabijaków Macedo, pewnych, że niespodziewanie spadną na kark

bandytom. Ale Ze Faustino zgubił ich po kilku godzinach marszu i wrócił do Custodii po ciotkę Angelę i Joao w obawie, że represje spadną na nich. Macedo przydybał go, gdy sklepkarz kończył pakować *rzeczy*. I zabiłby tylko Ze Faustina, ale ciotka Angela rzuciła się nań w obronie męża, więc zastrzelił i ją. Chłopca, który uwiesił mu się u nóg, ogłuszył jednym ciosem kolby pistoletu. Kiedy Joao przyszedł do siebie, ujrzał pełne skruchy twarze sąsiadów, czuwających nad dwiema trumnami. Wzgardził ich serdecznościami. Głosem, który nagle stał się dorosły — chłopak miał wówczas zaledwie dwanaście lat — powiedział, ocierając ręką zakrwawioną twarz, że pewnego dnia wróci i pomści swych krewnych, bo to oni, ludzie z Custodii, są prawdziwymi mordercami.

Myśl o zemście pomogła mu przeżyć tygodnie, które spędził na włóczędździe bez celu po pustyni najeżonej mandacarusami. Widział, jak sępy kreślą po niebie kręgi, czekając, aż upadnie, by mogły zniżyć się i rozdziobać jego ciało. Był styczeń i nie spadła kropla deszczu. Joao zbierał wysuszone owoce, wysysał sok z palm, zjadł nawet zdechłego pancernika. Wreszcie zaopiekował się nim pewien koziarz, który znalazł go obok wyschłego koryta jakiejś rzeki, bredzącego o lancach, koniach i Jezusie Panu Dobrej Śmierci. Pokrzepił go kubkiem mleka i paroma kęsami rapadury, którą chłopiec zjadł ze smakiem. Wędrowali razem wiele dni w stronę płaskowyżu Angostury, dokąd pasterz prowadził swoje stado. Ale zanim tam doszli, pewnego wieczoru obstała ich gromada mężczyzn o wyglądzie niebudzącym wątpliwości: skórzane kapelusze, ładownice z cętkowanej skóry jaguara, skórzane juki wyszywane paciorkami, karabiny na bandoletach, maczety do kolan. Było ich sześciu, a szef, cafuzo o kędzierzawych włosach, w czerwonej chuście na szyi, ze śmiechem pytał Joao, który na klęczkach błagał, żeby go wzięli ze sobą, dlaczego chce zostać *cangaceiro*. „Żeby zabijać żandarmów”, odpowiedział chłopiec.

Zaczął się wówczas życie, które wkrótce zrobiło z niego mężczyznę, nieludzkiego, bezwzględnego mężczyznę — dodadzą ludzie z okolic, jakie przewędrował w ciągu następnych dwudziestu lat: najpierw malec w bandzie dorosłych mężczyzn — prał im koszule, gotował strawę, przyszywał guziki, iskał wszy — potem towarzysz okrucieństw i swawoli, później najlepszy strzelec, tropiciel, nożownik, piechur i strateg, a wreszcie zastępca szefa i szef bandy. Nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, gdy za jego głowę dawano najwyższą cenę w koszarach Bahii, Pernambuco, Piaui i Ceara. Niesamowite szczęście, jakie ratowało go z zasadzek, gdzie zginęli lub zostali pojmani jego towarzysze, to szczęście, które — choć szedł do bitwy z szaleńczą odwagą — uodporniało go, zda się, na kule, sprawiło, iż zaczął mówić, że zwąchał się z diabłem. Pewne jest, że w odróżnieniu od innych *cangaceiros*, którzy chodzili obwieszeni medalikami, żegnali się przed każdym krzyżem i każdą kaplicą i przynajmniej raz do roku przekradali się do jakiejś wioski, żeby ksiądz pojednał ich z Bogiem, Joao (który z początku nazywał się Joao Dzieciak, potem Szybki Joao, potem Joao Zimna Krew, a teraz Joao Szatan) żywił pogardę dla religii; wydawało się, że gotów jest iść do piekła i zapłacić za swe niezliczone winy.

Dla bandyty, mógłby powiedzieć siostrzeniec Ze Faustina i ciotki Angeli, żyć to wędrować, walczyć, rabować. Ale przede wszystkim wędrować. Ileż setek mil zrobiły w tamtych latach te nogi, silne, żyłaste, niezmordowane, nogi człowieka, który mógł iść dwadzieścia godzin bez spoczynku: przemierzyły sertony wzdłuż i wszerz, i nikt lepiej od nich nie poznał zmarszczek pagórków, gąszczu *catangi*, meandrów rzek i górskich jaskiń. Te wędrówki bez celu, gęsiego, na przełaj, gdy uciekali, gdy kluczyli, żeby zmylić rzeczywistych lub urojonych prześladowców z Gwardii Narodowej, zlały się w pamięci Joao w jedną nieskończoną włóczęgę poprzez jednakowe pejzaże, raz po raz ogłuszane hukami wystrzału i wrzaskami rannych, wędrówkę wiodącą ku jakiemuś mglistemu miejscu lub wydarzeniu, które zdawało się go oczekiwać.

Przez długi czas sądził, że tym, co go oczekuje, jest zemsta na Custodii. I wiele lat po śmierci wujostwa wszedł pewnej księżycowej nocy, podstępnie i cicho, na czele około tuzina mężczyzn do rodzinnej osady. Czy nadszedł kres krwawej włóczęgi? Susza wygnała z Custodii sporo rodzin, ale parę chat było zamieszkanych, a chociaż pośród rozespianych twarzy mieszkańców, których jego ludzie wypędzali na ulicę, Joao wielu nie pamiętał wcale, nikomu nie oszczędził kary. Kobiety, nawet dziewczynki i staruszki, musiały tańczyć z cangaceiros — którzy już zdążyli wyłopać całą gorzałkę Custodii — podczas gdy ich mężczyźni śpiewali, przygrywając na gitarach. Co chwila wleczono je do pobliskiej chałupy i gwałcono. Wreszcie jeden z miejscowych wybuchnął płaczem, z niemocy lub trwogi. Bez namysłu Joao Szatan zatopił nóż w jego ciele i rozplątał go jak rzeźnik, zarzynający wołu. Trysnęła krew, co czasami zastępowało rozkaz, i wnet cangaceiros, podnieceni, opętani szałem, zaczęli opróżniać magazynki karabinów, aż zamienili w cmentarz jedyną ulicę Custodii. Do legendy Joao Szatana przyczyniła się jednak nie tyle owa masakra, ile zniewaga, jaką wyrządził martwym już mieszkańcom Custodii, gdy własnoręcznie obciął im genitalia i powpychał je trupom do ust, co zwykle czynił policyjnym szpiclom. W czasie odwrotu nakazał jednemu z bandziorów nagryzmolić na drzwiach taką oto inskrypcję: „Oddałem wujowi i ciotce, com był winien”.

Ile było prawdy w przypisywanych Joao Szatanowi okrucieństwach? Na tyle pożarów, porwań, spustoszeń i tortur nie starczyłoby trzydziestu lat Joao i wszystkich jego ludzi, których liczba nigdy nie przekroczyła dwudziestu. Swoją złą sławę zyskał dzięki temu, że w odróżnieniu od innych cangaceiros, jak Pajeu, którzy wynagradzali przelaną krew wybuchami hojności — rozdzielali łup między ubogich, zmuszali jakiegoś fazendera, by otworzył swoje spiżarnie dla dzierżawców, wręczali proboszczowi całość jakiegoś okupu na budowę kaplicy albo ponosili kosztą święta patrona miasta — nigdy nie słyszano, by Joao czynił podobne gesty, starał się pozyskać sympatię ludzi lub przychyłność nieba. O jedno i drugie nie dbał.

Był silnym mężczyzną, wyższym niż przeciętny sertanero, o skórze napiętej i gładkiej, wystających kościach policzkowych, migdałowych oczach, szerokim czole; lakonicznym fatalistą, który miewał kompanów i podwładnych, ale nie miał przyjaciół. Miał, co prawda, kobietę, dziewczynę z Quixeramobin, którą poznał, bo prała bieliznę u pewnego fazendera, coitero jego bandy. Na imię jej było Leo-poldina, miała okrągłą twarz, wyraziste oczy i jędrne kształty. Żyła z Joao, dopóki przebywał w kryjówce, a potem odeszła wraz z nim. Towarzyszyła mu jednak krótko, bo nie uznawał kobiet w bandzie. Umieścił ją w Aracaty, gdzie zachodził co jakiś czas. Nie ożenił się z nią, kiedy się więc rozeszło, że Leopoldina uciekła do Geremoabo z pewnym sędzią, ludzie pomyśleli, że skoro Joao nie poślubił jej dotąd, zniewaga nie jest zbyt wielka. Lecz on poszedł do Quixeramobin, naznaczył swym piętnem dwóch braci Leopoldiny, obciął im uszy i uprowadził ze sobą ich młodszą siostrę, trzynastoletnią Mariquinie. Dziewczynka pojawiła się pewnego ranka na ulicach Geremoabo z twarzą napiętnowaną rozpalonym żelazem inicjałami „J. S.". Była brzemienna i niosła afisz wyjaśniający, że wszyscy mężczyźni, cała banda, są wspólnie ojcem jej dziecka.

Inni bandyci marzyli, że gdy zbiorą dość pieniędzy, żeby kupić kawał gruntu w jakiejś odległej prowincji, osiadą tam na resztę życia pod zmienionym nazwiskiem. Nie widziano nigdy, by Joao oszczędzał albo robił plany na przyszłość. Kiedy splądrował sklep lub osadę, albo odebrał sowity okup, odkładał część przeznaczoną dla coiteros, obowiązyanych do kupna broni, amunicji i medykamentów dla bandy, a resztę dzielił na równe części między siebie i swoich kamratów. Jego hojność, biegłość w sztuce zastawiania zasadzek na lotne oddziały, umiejętność wymykania się z okrażenia, jego odwaga i zdolność do narzucenia dyscypliny sprawiły, że ludzie byli mu wierni jak psy. Z nim czuli się bezpieczni i traktowani sprawiedliwie. A przecież, choć nie żądał od nich żadnego ryzyka, jakiego sam nie ponosił, nie miał dla nich najmniejszych względów. Za zdrzemnięcie się na warcie, za opieszałość w

marszu, za obrabowanie towarzysza — kazał ich chłostać. Tych, którzy się cofali, kiedy dał rozkaz oporu, piętnował swymi inicjałami albo obcinał im końce uszu. Własnoręcznie wymierzał kary, spokojnie, z zimną krwią. On także kastrował zdrajców.

Jego ludzie bali się go i kochali zarazem. Może dlatego, że Joao nigdy nie porzucił towarzysza na polu bitwy. Rannych zabierano w hamakach, zawieszonych na kijach, do kryjówki, nawet wówczas, gdy cały oddział narażał się tym na niebezpieczeństwo. Joao osobiście ich pielęgnował, a jeśli było trzeba, siłą sprowadzał felczera, aby doglądał chorych. Martwych także wleczono ze sobą i kopano im groby, żeby ciała nie zostały zbezczeszczone przez żandarmów lub sępy. To wszystko oraz nieomylna intuicja, z jaką kierował ludźmi w walce, dzieląc ich na grupki, które krążyły, męcząc przeciwnika, podczas gdy inni spadali zniemacka na tyły wroga, fortele, jakie wymyślał, żeby wyrwać się z okrążenia — utrwaliły jego autorytet i nigdy nie miał trudności z werbowaniem nowych członków bandy.

Podwładnych intrygował ów szef, milkliwy, skupiony, inny niż wszyscy. Nosił taki sam kapelusz i takie sandały jak oni, ale nie miał ich słabości do brylantyny i perfum, upierścienionych dłoni i piersi obwieszonych medalikami. Juki nowicjuszy bogaciej były zdobione niż jego własne. Jedyną jego słabością byli wędrowni pieśniarze, których nigdy nie pozwalał poniewierać swoim ludziom. Odnosił się do nich z szacunkiem, prosił, żeby coś opowiedzieli, i słuchał z wielką uwagą, nie przerywając opowieści. Kiedy spotykał na swej drodze Cyrk Objazdowy Cygana, kazał dawać sobie przedstawienie, a na pożegnanie hojnie ich obdarowywał.

Ktoś kiedyś słyszał, jak Joao Szatan mówił, że widział więcej ludzi ginących za sprawą wódki, która niweczy celność strzału i ludzi mężczyzn, żeby dźgali się nożami o byle głupstwo, niż zmarłych od choroby czy suszy. Jakby na potwierdzenie tych słów, w dniu, w którym zaskoczył go kapitan Geraldo Macedo ze swoim lotnym oddziałem, cała banda była pijana. Kapitan, którego przezwano Łowcą Bandytów, ścigał Joao, odkąd ten napadł na delegatów Bahijskiej Partii Autonomicznej, jadących na spotkanie z baronem de Cañabrava do fazendy Calumbi. Joao wyskoczył na nich z zasadzki, rozproszył zbrojną eskortę, a politykom zrabował walizy, konie, odzież i pieniądze.

Baron osobiście wystosował list do kapitana Macedo, ofiarowując specjalną nagrodę za głowę cangaceiro.

Stało się to w Rosario, osadzie liczącej jakieś pół setki domostw, gdzie ludzie Joao Szatana pojawili się pewnego lutowego ranka. Niedawno mieli krwawe starcie z bandą jego rywala, Pajeu, i chcieli po prostu odpocząć. Mieszkańcy zgodzili się ich nakarmić, a Joao zapłacił za to, co zjedli, za karabiny, strzelby, proch i kule, które zarekwirował. Ludzie z Rosario zaprosili cangaceiros na wesele, które jeden z mieszkańców wyprawiał za dwa dni swojej córce, wychodzącej za mąż za pewnego dzierżawcę. Kaplicę przybrano kwiatami, a miejscowi przyodziali się w swoje najlepsze odświętne ubrania tamtego popołudnia, kiedy przyjechał z Cumbe ojciec Joaquim, żeby udzielić ślubu. Księżulo umierał ze strachu, a cangaceiros śmiali się, widząc, jak się jąka i krztusi. Przed mszą wypowiedział pół wsi, nie wyłączając wielu bandytów. Potem uczestniczył w puszczaniu fajerwerków oraz w obiedzie pod gołym niebem w cieniu drzew i pił zdrowie mieszkańców. Ale potem uparł się wracać do Cumbe, a domagał się tego rak natarczywie, że Joao nagle zwierzył podstęp. Zapowiedziawszy, że nikomu nie wolno ruszyć się z Rosario na krok, osobiście przetrząsnął okolicę, od pobliskich wzgórz po nagie równiny płaskowyżu na drugim krańcu wioski. Nie znalazł nic podejrzanego. Wrócił na zabawę, pochmurny. Jego ludzie, pijani, tańczyli i śpiewali, wmieszani w weselny tłum.

Pół godziny później, nie wytrzymałszy napięcia, ojciec Joaquim, trzęsąc się i pochlipując, wyznał, że kapitan Macedo i jego lotny oddział są wysoko w górach i czekają

tylko posiłków, żeby zaatakować. On zaś otrzymał od Łowcy Bandytów rozkaz zatrzymania Joao Szatana pod jakimkolwiek pozorem. Wtem na równinie rozległy się pierwsze strzały. Byli okrążeni. Joao krzyknął do cangaceiros, pierzchających w rozsypce, żeby za wszelką cenę wytrzymali do zmroku. Ale bandyci wypili tyle, że nie byli nawet w stanie rozeznaczyć, skąd dochodzą strzały. Stali się łatwym celem dla comblainów żandarmerii i padali, rycząc, pośród strzelaniny przerywanej wrzaskliwym lamentem kobiet, miotających się w popłochu, szukających osłony przed gradem kul. Gdy nastąpiła noc, tylko czterech cangaceiros mogło jeszcze ustać na nogach, a Joao, który walczył z przestrzelonym ramieniem, stracił przytomność. Ułożyli swego herszta w hamaku i ruszyli w góry. Pod osłoną gwałtownej ulewy przedarli się przez okrążenie. Schronili się w jakiejś jaskini, a cztery dni później weszli do Tepidó, gdzie pewien znachor wyleczył Joao z gorączki i opatrzył ranę. Tam spędzili dwa tygodnie, konieczne, by Joao Szatan mógł iść o własnych siłach. Tej samej nocy, której opuścili Tepidó, dowiedzieli się, że kapitan Macedo obciął głowy trupom towarzyszy poległych w Rosario i zabrał je ze sobą w beczce, zasypane solą jak suszone mięso.

Rzucili się ponownie w życie pełne gwałtu i przemocy, nie myśląc wiele o swej dobrej gwiazdce ani o złej gwiazdce innych. Znow wędrowali, rabowali, walczyli, kryli się, wyzywali los. Joao Szatan wciąż nosił w piersi owo mgliste przecucie, niemal pewność, że teraz nareszcie wydarzy się to, czego oczekiwał, odkąd sięgał pamięcią wstecz.

Na rozstaju, przy drodze, która wiedzie ku Cansancao, ukazała się ich oczom na wpół zrujnowana pustelnia. W otoczeniu pół setki ob-dartusów przemawiał jakiś człowiek, smagły, wysoki i bardzo chudy, okutany fioletową suknią. Nie przerwał mowy, nie spojrzął na intruzów. Słuchając jego słów, Joao poczuł wrzący w mózgu zamęt. Święty opowiadał historię grzesznika, który wyrządziwszy wszelkie krzywdy świata, ukorzył się, żył jak pies, dostąpił miłosierdzia Bożego i poszedł do nieba. Kiedy skończył, spojrzął na obcych. Bez wahania zwrócił się do Joao, który stał ze spuszczonej oczami. „Jak cię zwą?“, zapytał. „Joao Szatan“, wymamrotał cangaceiro. „Od dziś zwać cię będą Joao Mnich, Apostoł Dobrego Jezusa“, zabrzmiał ochrypły głos.

Trzy dni po wysłaniu do „L'Etincelle de la revolte“ listu relacjonującego wizytę u brata Jana Ewangelisty z Monte Marciano, Galileo Gall usłyszał pukanie do drzwi poddasza nad księgarnią „Katylina“. Ledwie ich ujrzał, wiedział, że to policyjne zbiry. Zażądali dokumentów, przejrżeli rzeczy, wypytywali o jego działalność w Salwadorze. Nazajutrz przyszedł nakaz wydalenia go z kraju jako *persona non grata*. Stary Jan van Rijsted przedsięwziął pewne starania, a doktor Jose Bautista de Sa Oliveira napisał do gubernatora Luisa Viany, ofiarowując się w charakterze gwaranta, władze jednak, nieprzejednane, powiadomiły oficjalnie Galla, że ma opuścić Brazylię na statku „La Marseillaise“, odpływającym do Europy przed upływem tygodnia. Zaproponowano mu bezpłatny bilet trzeciej klasy. Swoim przyjaciołom Gall powiedział, że wygnanie — albo więzienie, albo śmierć — jest losem każdego rewolucjonisty i że jada ten chleb od dziecka. Pewien jest, że za nakazem wydalenia stoi konsul angielski, francuski lub hiszpański, ale — zapewniał — żadna z policji tych trzech krajów nie położy na nim łapy, bo ulotni się im w pierwszym afrykańskim porcie, a może w Lizbonie. Nie wydawał się zaniepokojony.

Zarówno Jan van Rijsted, jak i doktor Oliveira słyszeli, z jakim entuzjazmem mówił o wizycie w klasztorze Matki Bożej Litościwej, obaj jednak osłupieli ze zdumienia, gdy oznajmił, że skoro wyrzucają go z Brazylii, przed wyjazdem „uczyni coś dla braci z Canudos“ i zwoła wiec solidarności z jaguncos. Zgromadzi miłujących wolność z całej Bahii, aby wytłumaczyć im, że „w Canudos kiełkuje spontaniczna rewolucja, a ludzie postępu powinni ją poprzeć“. Jan van Rijsted i doktor Oliveira usiłowali go powstrzymać, powtarzali, że to lekkomyślność, Gall spróbował jednak opublikować swój „list kon-wokacyjny“ w jedynym



opozycyjnym dzienniku. Niepowodzenie w „Jornal de Noticias” nie zniechęciło go. Rozważał właśnie możliwość wydrukowania ulotek, które osobiście rozrzuci po ulicach, gdy nastąpiło coś, co sprawiło, iż napisał: „Nareszcie! Wiodłem życie zbyt spokojne i duch we mnie zaczynał gnuśnieć”.

Wydarzyło się to w przeddzień wigilii jego wyjazdu, o zmierzchu. Jan van Rijsted wdrapał się na poddasze, ze swoją wieczorną fajką w ręku, i powiedział, że dwóch osobników pyta o niego. „To capan-gas”, ostrzegł. Galileo wiedział, że określa tym mianem mężczyzn, których wpływowe, stojące u władzy osoby zatrudniają do brudnej roboty, a te dwa typki w istocie miny miały złowieszcze. Nie byli jednak uzbrojeni i zachowywali się uprzejmie: ktoś chce go widzieć. Można wiedzieć kto? Nie można. Poszedł z nimi, zaintrygowany. Przeszli przez plac Bazyliki Katedralnej, minęli górne miasto, potem dolne, a potem przedmieścia. Kiedy zostawili za sobą w ciemnościach brukowane ulice — Conselheiro Dantas, Portugalii, Księżniczek — Hale Targowe Świętej Barbary i Świętego Jana i zapuścili się na gościniec, wiodący brzegiem morza ku Barra, Galileo Gall zadał sobie pytanie, czy władzom nie byłoby wygodniej zabić go, zamiast wydalać z kraju. Nie chodziło jednak o zasadzkę. W zajeździe, oświetlonym naftową lampą, oczekiwał go wydawca „Jornal de Noticias”. Epaminondas Goncalves wyciągnął dłoń na powitanie i podsunął Gallowi krzesło. Przystąpił do rzeczy bez wstępów:

— Chce pan zostać w Brazylii mimo nakazu wydalenia? Galileo Gall patrzył na niego, bez odpowiedzi.

— Czy pański entuzjazm wobec tego, co się dzieje w Canudos, jest szczerzy? — zapytał Epaminondas Goncalves.

Byli sami w izbie, z zewnątrz dochodziła rozmowa capangas, tłumiona szumem morza. Przywódca Republikańskiej Partii Postępowej obserwował go z wielką uwagą, wybijając takt obcasem. Miał szary garnitur, w którym Gall widział go w gabinecie „Jornal de Noticias”, ale na jego twarzy nie było tamtego wyrazu beztronski i sprytu. Siedział spięty, zmarszczka na czole postarzała młodzieńczą twarz.

— Nie lubię tajemnic — powiedział Gall. — Lepiej niech pan wyjaśni, o co chodzi.

— Chcę wiedzieć, czy zechce pan udać się do Canudos, żeby zawieźć broń buntownikom.

Galileo odczekał chwilę w milczeniu, wytrzymując spojrzenie rozmówcy.

— Dwa dni temu buntownicy nie budzili pańskiej sympatii — zaczął powoli. — Zagarnięcie cudzej ziemi i życie w stadzie wydawało się panu postępowaniem właściwym bydłom.

— Takie jest zdanie Republikańskiej Partii Postępowej — zgodził się Epaminondas Goncalves. — I moje, oczywiście.

— Ale... — pomógł mu Gall, wysuwając nieco głowę do przodu.

— Ale nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół są naszymi przyjaciółmi — stwierdził Epaminondas Goncalves i przestał postukiwać obcasami. — Bahia to bastion wsteczników, wielkich posiadaczy, w głębi serca przywiązanych do monarchii, chociaż od ośmiu lat jesteśmy republiką. Jeśli po to, żeby skończyć z dyktaturą barona de Cañabrava w Bahii, musimy pomóc bandytom i sebastianistom z interioru, zrobimy to; ubożjemy, jesteśmy coraz bardziej opóźnieni w rozwoju. Trzeba odsunąć tych ludzi od władzy, obojętnie jakim kosztem, zanim będzie za późno. Jeżeli ta historia z Canudos potrwa dłużej, rząd Luisa Viany znajdzie się w kryzysie i, wcześniej czy później, dojdzie do interwencji federalistów. A kiedy

wkroczy Rio de Janeiro, Bahia przestanie być lennem autonomistów.

— I nadejdzie królestwo postępowych republikanów — mruknął Gall.

— Nie wierzymy w królów, jesteśmy republikanami do szpiku kości — sprostował Epaminondas Goncalves. — No, ale widzę, że pan mnie rozumie.

— O, tak, to rzeczywiście rozumiem — powiedział Gall. — Ale tamtego nie. Republikańska Partia Postępowa chce uzbroić jaguncos, tylko dlaczego moimi rękami?

— Republikańska Partia Postępowa nie chce pomagać bandytom, nie chce żadnej styczności z ludźmi, którzy powstają przeciw prawu — wyrecytował Epaminondas Goncalves.

— Wielce Czcigodny Deputowany Epaminondas Goncalves zechce mi jednak wyjaśnić — powiedział Galileo Gall — dlaczego moimi rękami?

— Wielce Czcigodny Deputowany Epaminondas Goncalves nie może pomagać buntownikom — wyrecytował wydawca „Jornal de Noticias”. — Ani nikt, kto byłby z nim bezpośrednio czy pośrednio związany. Czcigodny Deputowany wypowiada nierówną walkę potężnym wrogom działającym w tej enklawie autokracji i nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. — Uśmiechnął się, a Gall zobaczył, że zęby ma białe, drapieżne. — Pan sam się narzucił. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, gdyby nie pańska dziwaczna wizyta przedwczoraj. To właśnie podsunęło mi tę myśl. Pomyślałem: „Jeśli jest tak szalony, żeby publicznie zwoływać wiec solidarności z buntownikami, będzie również tak szalony, żeby zawieźć im kilka karabinów”. — Przestał się uśmiechać i powiedział surowo: — W takich wypadkach szczerłość jest najlepsza. Pan jest jedyną osobą, która, jeśli zostanie zdemaskowana lub ujęta, w żadnym razie nie skompromituje mnie i moich politycznych przyjaciół.

— Daje mi pan do zrozumienia, że gdyby mnie schwytano, nie mogę na panów liczyć?

— Teraz pan zrozumiał — rzekł dobitnie Epaminondas Goncalves. — Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, życzę dobrej nocy i proszę zapomnieć, że mnie pan widział. Jeśli brzmi „tak”, podyskutujemy o cenie.

Szkot poruszył się, drewniana ława skrzypnęła pod jego ciężarem.

— O cenie? — powiedział, mrugając.

— Traktuję to jak usługę — powiedział Epaminondas Goncalves. — Zapłacę dobrze, a potem zagwarantuję panu wyjazd z kraju. Ale jeśli woli pan to zrobić *ad honorem*, dla idei, to pańska sprawa.

— Pójdę się przewietrzyć — powiedział Galileo Gall, wstając. — Lepiej mi się myśli, gdy jestem sam.

Kiedy wyszedł z zajazdu, miał wrażenie, że kropi deszcz, ale to tylko fale rozpryskiwały drobnutki krople. Capangas zrobili mu przejście, poczuł mocną, ostrą woń ich fajek. Świecił księżyc, a morze, które zdawało się bulgotać, wydzielало przyjemny, słonawy aromat przenikający wnętrzości. Galileo Gall szedł po piaskach i bezludnych, kamiennych rumowiskach aż do małego fortu, mierzącego w horyzont lufą jedyne działą. Pomyślał: „Republika tyle znaczy w Bahii, co król Anglii za przełęczą Aberboyle w czasach Rob Roya McGregora”. Wierny swym obyczajom, starał się, choć krew wrzała w jego żyłach, spojrzeć na sprawę obiektywnie. Czy z etyką rewolucjonisty da się pogodzić spiskowanie z burżuazyjnym politykiem? Tak, jeżeli ma pomóc jaguncos. A najbardziej im pomoże, jeśli zawiezie dla nich broń. Może sam także przyda się w Canudos? Bez fałszywej skromności:

ktoś zaprawiony w politycznej walce, ktoś, kto poświęcił całe życie rewolucji, mógłby dopomóc im w powzięciu trafnych decyzji w godzinie bitwy. Wreszcie, doświadczenie takie byłoby cenne dla rewolucjonistów całego świata. Być może zostawi tu swoje kości, ale czy nie jest to lepszy koniec niż śmierć z choroby lub starości? Wrócił do zajazdu i od progu oświadczył Epaminondasowi Goncalvesowi: „Jestem na tvle szalony, żeby to zrobić”.

— *Wonderful*— odpowiedział polityk z błyskiem w oku.

## **Rozdział V**

Tyle razy przepowiadał Nauczyciel w swych kazaniach, że siły Bestii przybędą pojmać go i wyciąć w pień jego miasto, iż nikt nie zdziwił się w Canudos, gdy pielgrzymi jadący konno z Joazeiro przynieśli nowinę, że kompania 9. Batalionu Piechoty Bahijskiej stanęła w tej miejscowości z rozkazem ujęcia świętego.

Proroctwa zmieniały się w rzeczywistość, słowa w fakty. Wiadomość wywołała poruszenie, postawiła na nogi starców, młodzież, mężczyzn, kobiety. Chwycono za strzelby, karabiny i nabijane przez lufę skałkówki. Wszystkie kule umieszczono w ładownicach; za pasami, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się długie, krzywe noże i sztylety, a w rękach sierpy, maczety, dzidy, szpikulce, myśliwskie proce i kusze, kije i kamienie.

Tamtej nocy, nocy początku końca świata, całe Canudos zgromadziło się wokół Świątyni Dobrego Jezusa — szkieletu o dwóch kondygnacjach, o wieżach, które pięły się coraz wyżej, i ścianach, które wciąż rosły — żeby słuchać Nauczyciela. Żarliwość wybranych przesycala powietrze. On zaś zdawał się bardziej niż zwykle pogrążony w sobie. Gdy pielgrzymi z Joazeiro oznajmili mu nowinę, nie rzekł ni słowa i nadal czuwał nad układaniem kamieni, udeptywaniem ziemi, mieszaniem piasku i żwiru na Świątynię z tak wielkim skupieniem, że nikt nie śmiał go o nic wypytywać. Wszyscy jednak czuli, że kiedy oni sposobią się do walki, ta ascetyczna postać pochwała to, co robią. I wszyscy wiedzieli, oliwiąc kusze, czyszcząc lufy strzelb i garłaczy, susząc proch, że jeszcze tej nocy Ojciec ustami Nauczyciela pouczy ich, co mają czynić.

Głos świętego rozbrzmiewał pod gwiazdami, w nieruchomym powietrzu, które zdawało się na długo zatrzymywać jego słowa, tak pełen spokoju, że rozpraszał wszelki strach. Pierwej niż o wojnie mówił o pokoju, o przyszłym życiu, kiedy zniknie grzech i cierpienie. Gdy Szatan padnie pokonany, nastanie Królestwo Ducha Świętego, ostatni wiek świata ptzed Dniem Sądu Ostatecznego. Czy Canudos będzie stolicą tego Królestwa? Jeśli tak zechce Dobry Jezus. Wówczas obalone zostaną bezbożne prawa republiki, a księża, jak niegdyś, będą ofiarnymi pasterzami swej trzody. Sertony zazielenia się wraz z deszczem, kukurydzy i bydła będzie w obfitości, wszyscy najedzą się do syta, a każda rodzina będzie mogła grzebać swoich zmarłych w trumnie wyściełanej aksamitem. Ale przedtem trzeba pokonać Antychrysta. Trzeba sporządzić krzyż i chorągiew z wizerunkiem Ducha Świętego, żeby wróg poznał, po czyjej stronie stanęła prawdziwa wiara. I trzeba powstać do walki, jak powstałi krzyżowcy, by wyzwolić Jerozolimę: ze śpiewem, z modlitwą, z okrzykami na cześć Najświętszej Panienki i Pana Jezusa. I zwyciężyli, tak jak zwyciężą republikę krzyżowcy Dobrego Jezusa.

Nikt tej nocy nie spał w Canudos. Jedni modlili się, inni sposobili do walki, wszyscy czuwali, gdy tymczasem czyjeś pracowite ręce zbijały krzyż i szyły chorągiew. Były gotowe przed świtem. Krzyż mierzył trzy łokcie na dwa; chorągiew tworzyły *cztery* złączone prześcieradła, na których Aniołek wymalował białego gołębia z rozpostartymi skrzydłami, a Lew z Natuby wypisał swym starannym pismem akt strzelisty. Prócz garstki osób

wyznaczonych przez Antonia Vilanovę do pozostania w Canudos, żeby nie było przerwy w budowie Świątyni (pracowano dniem i nocą, oprócz niedziel), cała osada wyruszyła o pierwszym brzasku w kierunku Bendengó i Joazeiro, dowieść namiestnikom Zła, że Dobro ma jeszcze obrońców na ziemi. Nauczyciel nie oglądał wymarszu, w tym bowiem czasie modlił się za nich w kościółku Świętego Antoniego.

Dziesięć mil marszu dzieliło ich od żołnierzy. Przeszli je, śpiewając, modląc się, wiwatując na cześć Boga i Nauczyciela. Odpoczywali tylko raz, pod szczytem Cambaio. Gdy kogoś zaskoczyła potrzeba, opuszczał kręte szeregi, znikał za jakąś skałą i wnet biegiem doganiał resztę. Przejście płaskiego, pustynnego terenu zabrało im jeden dzień i jedną noc; nikt nie prosił o postój, nikt nie domagał się odpoczynku. Nie mieli planu bitwy. Nieliczni podróżni zdumiewali się na wieść, że idą na wojnę. Przypominali świąteczny tłum; niektórzy włożyli niedzielne ubrania. Nieśli broń, złorzeczyli Szatanowi i republice, ale nawet wówczas radość ich twarzy przyćmiewała nienawiść okrzyków. Pochód otwierała chorągiew i krzyż: krzyż dźwigał były bandyta Pedrao, chorągiew zaś dzierżył były niewolnik Jolo Wielki; za nimi Maria Quadrado i Alejandrinha Correa niosły urnę z wizerunkiem Dobrego Jezusa, namalowanym na płótnie przez Aniołka. A dalej, w tumanie kurzu, skłębieni, w nieładzie, ciągnęli wybrani. Wielu przygrywało do wtóru litaniiom, dmuchając w rurki z trzciniowych łądyg, dawniej służące za fajki, w których pasterze wydrążyli otwory, żeby świstaniem zwolywać stada.

W pochodzie, niezauważalnie, idąc za głosem krwi, kolumna łamała szyk, formowała się na nowo: skupiali się razem członkowie tej samej bandy, *tej* samej rodziny, jakby teraz, gdy coraz bliższa była godzina próby, każdy z nich czuł, że w tych przełomowych chwilach potrzebuje bliskiej obecności tego, co swojskie i niezawodne. Ci, którzy zabijali już przedtem, wysuwali się na czoło, tak że gdy pochód zbliżał się do miasteczka, zwanego Uaua od świetlików, które świecą tam po nocach, Joao Mnich, Pajeu, Taramela, Jose Venancio, bracia Macambira oraz inni rozbójnicy i zbiegowie otaczali krzyż i chorągiew, przewodząc owej procesji czy też armii, świadomi, choć nikt im tego nie mówił, że oni właśnie, z racji swego doświadczenia i swych grzechów, powołani są, aby dać przykład w godzinie walki.

Gdy minęła północ, pewien dzierzawca, który wyszedł im na spotkanie, ostrzegł, że w Uaua obozuje stu czterech żołnierzy, przybyłych poprzedniego dnia z Joazeiro. Dziwny okrzyk wojenny — Niech żyje Nauczyciel! Niech żyje Dobry Jezus! — wstrząsnął sercami wybranych; pełni podniecenia i radości, przyspieszyli kroku. O świcie zamajaczyło przed nimi Uaua, garść chatynek, gdzie zwykle popasali poganiacze bydła zdążający z Monte Santo do Curaca. Zaintonowali litanie do świętego Jana Chrzciciela, patrona miasteczka. Kolumna pojawiła się znienacka przed oczami zaspanych żołnierzy, którzy pełnili wartę nad brzegiem stawu, na przedmieściach. Z niedowierzaniem patrzyli przez kilka sekund i nagle rzucili się do ucieczki. Z modlitwą, ze śpiewem, z piskiem świstawek wybrani wkroczyli do Uaua, wrywając ze snu — by cisnąć ich w rzeczywistość sennego koszmaru — setkę żołnierzy, którzy stracili dwanaście dni, żeby dotrzeć aż tutaj, i nie rozumieli, co to za modły ich budzą. Byli jedynymi mieszkańcami Uaua: miejscowi uciekli w nocy, a teraz, wraz z krzyżowcami, otoczyli pierścieniem tamaryndowce na rynku i spoglądali na twarze żołnierzy, wychylające się z bram i okien, wazyli w myślach ich zdumienie, ich wahanie, czy strzelać, czy uciekać, czy wrócić w zacisze hamaków i przycz.

Jakiś grzmiący, władczy głos, któremu zawtórowało pianie koguta, rozpętał strzelaninę. Żołnierze strzelali, oparli się karabiny o kruche ściany chałup, a wybrani zaczęli padać, skąpani we krwi. Kolumna złamała szyk, grupki śmiazków rzucały się w ślad za Joao Mnichem, Jose Venancio, Pajeu do ataku na domostwa, inni biegli skryć się w ślepych zaułkach lub kulili się pod pniami tamaryndowców, podczas gdy reszta w pochodzie parla

naprzód. Strzelali także wybrańcy. To znaczy ci z nich, którzy mieli karabiny lub garłacze, zdołali nabić je prochem i dojrzeć cel w tumanie kurzu. Przez długie godziny walki i zamętu wysoko wzniesiony krzyż i roztańczona chorągiew trwały niezłomnie pośrodku wysepki krzyżowców, która pod ogniem wystrzałów utrzymała się, zwarta i wierna, wokół emblematów, w jakich później wszyscy ujrzą tajemnicę zwycięstwa. Ani Pedro, ani Joao Wielki, ani Matka Ludzi, która niosła urnę z obliczem Syna, nie zginęły w starciu.

Zwycięstwo nie nadeszło szybko i wielu męczenników przyniosły owe sławne chwile. Po pościgach i strzelaninie następowały okresy bezruchu i ciszy, raz po raz gwałcone hukami wystrzałów. Nim słońce stanęło w zenicie, ludzie Nauczyciela wiedzieli, że zwyciężyli: ujrzeli kilka figurek biegnących co tchu żołnierzy, na wpół ubranych, którzy z rozkazu dowódcy, a może zwyciężeni przez strach, nim jeszcze zwyciężyli ich jaguncos, umykali na oślep, porzucając broń, mundury, sztylpy, trzewiki i tornistry. Strzelali do nich, wiedząc, że żadnego nie dosięgną, ale nikomu nie przyszło do głowy ich ścigać. Wkrótce potem uciekła reszta żołnierzy; wielu z nich wpadało po drodze w ręce jaguncos, którzy czyhali za każdym węglem i w mgnieniu oka dobijali zbiegów kijami lub nożami. Umierali, słysząc, że są psami, diabłami, że dusze ich zostaną potępione, a ciała zgniją.

Po zwycięstwie wybrani pozostali jeszcze kilka godzin w Uaua. Większość spała, jedni wsparci na drugich, odzyskując siły po znojmym marszu i przeżyciach bitwy. Niektórzy, z inicjatywy Joao Mnicha, przetrząsali domy w poszukiwaniu karabinów, amunicji, bagnetów i ładownic, porzuconych przez żołnierzy. Maria Quadrado, Ale-jandrinha Correa i Gertrudis, handlarka z Teresinii, ranna w ramię, lecz wciąż tak samo czynna, zawijały w hamaki trupy jaguncos, żeby zabrać je ze sobą i pochować w Canudos. Litościwe dusze, znachorki, zielarze, akuszerki i kręgarze tłoczyli się wokół rannych, obmywając ich z krwi, opatrując lub po prostu modląc się wspólnie z nimi i odmawiając zaklęcia na ból.

Dźwigając poległych, szli brzegiem Vassa Barris, tym razem już nie tak spiesźnie, pokonując w odwrotnym kierunku owe dziesięć mil. W półtora dnia potem wkroczyli do Canudos, wiwatując na cześć Nauczyciela, oklaskiwani, obejmowani i witani uśmiechem przez tych, którzy zostali, by pracować w Świątyni. Nauczyciel, który czuwał bez jedzenia i picia, odkąd odeszli, nauczał tego wieczoru z rusztowania świątynnych wież. Modlił się za poległych, dziękował Dobremu Jezusowi i Janowi Chrzcicielowi za zwycięstwo. Mówił o tym, jak zło rozplenilo się na ziemi: nim narodził się czas, wszystko było Bogiem i nie istniała przestrzeń. Stwarzając świat, Ojciec pograżył się w siebie, by uczynić próżnię, a nieobecność Boga sprawiła, że zaistniała przestrzeń, a w niej, przez siedem dni, powstały gwiazdy, światłość, wody, rośliny, zwierzęta i człowiek. Rodząca się ziemia była skutkiem ograniczenia Boskiej substancji i dlatego stała się miejscem sprzyjającym największemu przeciwieństwu Ojca -grzechowi, który znalazł tu swoją ojczyznę. I tak świat narodził się przeklęty, jako ziemia Diabła. Lecz Ojciec ulitował się nad ludźmi i posłał swego Syna, żeby odzyskał dla Niego ziemską przestrzeń, gdzie na tronie rozpanoszył się Szatan.

Nauczyciel oznajmił, że jedna z ulic Canudos nosić będzie imię świętego Jana Chrzciciela, patrona Uaua.

— Gubernator Viana wysłała do Canudos nową ekspedycję — mówi Epaminondas Goncalves. — Dowódca, major Febronio de Brito, to mój znajomy. Tym razem nie będzie to paru żołnierzy, jak ci, których napadnięto w Uaua, ale regularny batalion. Wkrótce powinni opuścić Bahię, pewnie już to zrobili. Mamy mało czasu.

— Mogę jechać choćby jutro — odpowiada Galileo Gall. — Przewodnik czeka. Ma pan broń?

Epaminondas Goncalves częstuje Galla cygarem, ten odmawia ruchem głowy. Siedzą

w wiklinowych fotelach na rozsypującym się tarasie posiadłości, położonej gdzieś między Queimadas i Jacobiną, dokąd przyprowadził Galla encuerado o biblijnym imieniu Kajfasz, który wodził go tam i z powrotem po catindze, jakby chciał go zdezorientować. Zmierzcha; za drewnianą balustradą stoi rząd palm królewskich, gołębnik, kilka zagród dla bydła; słońce, czerwona kula, rozpała horyzont. Epaminondas Goncalves z wolna ssie cygaro.

— Dwadzieścia francuskich karabinów pierwszorzędnej jakości — mówi, patrząc na Galla przez obłok dymu. — I dziesięć tysięcy nabożów. Kajfasz zabierze to na wozie w okolicy Queimadas. O ile nie jest pan bardzo zmęczony, najlepiej będzie, jeżeli wróci pan tej nocy razem z bronią i z samego rana wyruszy dalej, do Canudos.

Galileo Gall przytakuje. Jest zmęczony, ale starczy kilka godzin snu i dojdzie do siebie. Jedną ręką zasłania twarz, oganiając się od much, których roje kłębią się na tarasie. Mimo znużenia przepełnia go radość: oczekiwanie poczyniło go drażnić, obawiał się, że republikański polityk zmieni plany. Tego ranka, gdy encuerado niespodziewanie wywołał go z pensjonatu Matki Boskiej Łaskawej umówionym sygnałem, wpadł w takie podniecenie, że zapomniał o śniadaniu i odbył całą podróż, nie jedząc i nie pijąc, w żarze lejącym się z nieba jak roztopiony ołów.

— Przykro mi, że musiał pan czekać tak długo, ale zgromadzenie i przywiezienie broni aż tutaj okazało się dość skomplikowane — mówi Epaminondas Goncalves. — Widział pan kampanię wyborczą w niektórych miasteczkach?

— Widziałem, że Autonomiczna Partia Bahii wydaje na propagandę więcej niż wy — ziewa Gall.

— Mają wszystko, czego im trzeba. Nie tylko partia Viany, także ci z bahijskiego parlamentu. A przede wszystkim partia barona.

— Krezus z tego barona, co? — ożywia się nagle Gall. — Przedpo— topowa osobistość, ciekawostka archeologiczna. Dowiedziałem się o nim paru rzeczy w Queimadas. Od Rufina, przewodnika, którego mi pan polecił. Jego żona należała do barona. Tak, należała. Jak koza albo jałówka. Podarował mu ją za żonę. A Rufino mówi o nim, jakby sam także był częścią inwentarza. Bez urazy, z psią wdzięcznością. Ciekawe, panie Goncalves. Średniowiecze jest tu wciąż żywe.

— Z tym właśnie walczymy, dlatego chcemy unowocześnić tę ziemię — mówi Epaminondas, rozdmuchując popiół cygara. — Dlatego upadło cesarstwo, po to mamy republikę.

„Z tym walczą raczej jaguncos”, poprawia go w myślach Galileo Gall, czując, że zaraz zaśnie. Epaminondas Goncalves wstaje.

— Co pan powiedział przewodnikowi? — pyta, przechadzając się po tarasie. Zaczęły grać świerszcze, upał zelżał.

— Prawdę — mówi Gall i wydawca „Jornal de Notfcias” staje w miejscu. — Pańskiego nazwiska nie wspominałem wcale. Mówię o sobie. Że chcę iść do Canudos w imię idei. Przez solidarność ideologiczną i moralną.

Epaminondas Goncalves patrzy na niego w milczeniu i Galileo wie, że polityk zadaje sobie pytanie, czy on, Gall, mówi to serio, czy naprawdę jest aż tak szalony lub tak głupi, by w to wierzyć. Myśli: „Jestem” i wymachuje rękami, płosząc muchy.

— Powiedział mu pan, że wiezie dla nich broń?

— Jasne, że nie. Dowie się o tym dopiero w drodze.

Epaminondas podejmuje swą wędrówkę po tarasie, z rękami założonymi na plecach; za nim ciągnie się smuga dymu. Ma rozchełstaną koszulę, kamizelkę bez guzików, spodnie i buty do konnej jazdy, sprawia wrażenie nieogolonego. Wygląda zupełnie inaczej niż w redakcji dziennika i zajeździe w Barra, ale Gall rozpoznaje energię uszpioną w jego ruchach, ambicję, stanowczość wypisaną na twarzy i mówi sobie, że nie musi dotykać kości jego czaszki, żeby powiedzieć, jaki jest: „żądny władzy”. To jego posiadłość? A może korzysta z niej tylko w celu tajnych spotkań?

— Kiedy przekaże pan broń, proszę nie wracać do Salwadoru tą samą drogą — mówi Epaminondas, opiera się o balustradę i odwraca plecami. — Niech przewodnik zaprowadzi pana do Joazeiro. Tak będzie rozsądniej. Z Joazeiro co dwa dni odchodzi pociąg, który zawiezie pana do Bahii w dwanaście godzin. A ja już zajmę się tym, żeby wyjechał pan do Europy dyskretnie i z solidną gratyfikacją.

— Z solidną gratyfikacją — powtarza Gall, ziewając potężnie, co komicznie wykrzywia jego twarz. — Pan wciąż sądzi, że ja to robię dla pieniędzy.

Epaminondas wypuszcza kłąb dymu, który rozwiewa się w arabeskach po tarasie. W oddali słońce zaczyna chować się za horyzontem, na równinę wypływają plamy cienia.

— Nie. Wiem już, że pan to robi dla idei. W każdym razie zdaję sobie sprawę, że nie z miłości do Republikańskiej Partii Postępowej. My traktujemy to jako przysługę, a mamy w zwyczaju wynagradzać przysługi, już to panu mówiłem.

— Nie mogę obiecać, że wrócę do Bahii — przerywa Gall, przeciągając się. — W naszej umowie nie było takiego warunku.

Wydawca „Jornal de Noticias” odwraca się, by na niego spojrzeć.

— Nie będziemy więcej o tym mówić. — Uśmiecha się. — Może pan zrobić, jak zechce. Po prostu wie pan już, jaki jest najlepszy sposób powrotu, i wie pan również, że mogę mu ułatwić opuszczenie kraju bez interwencji władz. Jeśli teraz zechce pan pozostać z buntownikami, to pańska sprawa. Chociaż pewien jestem, że zmieni pan zdanie, kiedy ich pan pozna.

— Poznałem już jednego z nich — mówi Gall, z ledwie wyczuwalną drwiną. — A tak przy okazji, czy mógłby pan wysłać z Bahii ten list do Francji? Jest otwarty, jeśli czyta pan po francusku, przekona się pan, że nie ma w nim nic, co mogłoby pana skompromitować.

Urodził się, jak jego dziad, ojciec i brat Honorio, w cearyjskiej osadzie Assare, gdzie rozdzielano stada idące do Jaguaribe od tych, które kierowały się ku dolinie Cariri. W okolicy wszyscy uprawiali ziemię albo hodowali bydło, Antonio jednak od dziecka przejawiał powołanie do handlu. Zaczął od robienia interesów na lekcjach katechizmu u ojca Matiasa, który nauczył go również pisać i rachować. Antonio sprzedawał i kupował od innych chłopców baki, proce, szklane kul ki, latawce, drozdy, kanarki, śpiewające żaby, z czego ciągnął tak świetne zyski, że chociaż jego rodzina nie należała do zamożnych, on i jego brat stali się żarłocznymi konsumentami słodyczy sklepikarza Zu-quiety. Gdy inne rodzeństwa żyły ze sobą jak pies z kotem, Antonio i Honorio Vilanova byli przyjaciółmi od serca i do grobowej deski. Z pełną powagą i najzupełniej serio mówili do siebie: „kumie”. Pewnego ranka Adelinha Alencar, córka cieśli z Assare, obudziła się z wysoką gorączką. Ziola, jakie spaliła stara Camuncha, żeby wypędzić zło, nie odniosły skutku i w kilka dni później Adelinha miała ciało usiane pryszczami, które zmieniły ją z najpiękniejszej w najbardziej odrażającej istoty w miasteczku. Po tygodniu pół tuzina obsypanych krostami mieszkańców bredziło w malignie. Ojciec Tobiasz zdążył jeszcze odprawić mszę, prosząc Boga, by położył kres epidemii, po czym sam padł na łożę boleści. Chorzy marli jak muchy, gdy tymczasem

zaraza niepowstrzymanie parła naprzód. Kiedy ludzie zaczęli się gotować do ucieczki, spotkali się z przeszkodą w osobie pułkownika Miguela Fernandez Vieiry, politycznego szefa gminy i właściciela gruntów, które uprawiali, oraz bydła, które wypasali: zabronił im opuszczać osadę, żeby nie roznieśli ospy po okolicy. Rozstawił swoich capangas na drogach wychodzących z osady i polecił strzelać do każdego, kto nie usłucha zakazu.

Wśród tych, którym udało się wyrwać, byli bracia Vilanova. Mór zabił im rodziców, siostrę Luz Marię, szwagra i troje siostrzeńców. Pogrzebawszy wszystkich krewniaków, Antonio i Honorio, krzepcy chłopcy o kędzierzawych włosach i jasnych oczach, postanowili uciec. Przy czym, zamiast przeciwstawić się strażnikom nożem i kulą, jak inni, Antonio — wierny swemu powołaniu — przekonał ich, żeby w zamian za byczka, jedną arrobę cukru i drugą rapadury przymknęli na nich oko. Wyruszyli nocą, zabierając ze sobą rodzinny majątek: dwie krowy, jednego jucznego muła, walizę ubrań, sakiewkę z dziesięcioma tysiącami reali oraz dwie kuzynki — Antonię i Asunción Sardelinie — które zaraza uczyniła sierotami. Litując się nad ich dołą, bracia wciągnęli je do rejestru zysków i strat i postanowili nie opuszczać w potrzebie. Były jeszcze dziećmi, więc ich obecność utrudniała pochod: nie umiały się poruszać po catindze, źle znosiły pragnienie. Mała karawana przekroczyła jednakże góry Araripe, pozostawiając w tyle Sao Antonio, Ouricuri, Petrolinę i przebyła rzekę Sao Francisco. Kiedy weszli do Joazeiro i Antonio zdecydował, że spróbują szczęścia w tym bahijskim mieście, obydwie siostry były brzemiennie: Antonia z Antoniem, Asunción z Honoriem.

Nazajutrz Antonio wziął się do pracy, podczas gdy Honorio, wspomagany przez Sardelinie, budował dom. Krowy z Assare sprzedali po drodze, ale zachowali muła; na jego grzbiecie Antonio przywiózł antałek wódki, którą sprzedawał po kieliszku w całym mieście. Na grzbiecie tego muła, a potem innego, i jeszcze wielu innych, przywiezie towary, które przez miesiące i lata roznosił będzie, z początku od domu do domu, potem po okolicznych osiedlach, a wreszcie wzdłuż i wszerz sertonów, które poznał jak własną kieszeń. Handlował suszoną rybą, ryżem, fasolą, cukrem, pieprzem, rapadurą, płótnem, wódką i wszystkim, co zamawiali u niego ludzie. Wkrótce zaopatrywał rozległe fazendy i biednych dzierżawców, a jego karawany stały się w osadach, misjach i obozowiskach widokiem równie powszednim jak Cyrk Objazdowy Cygana. Sklep w Joazeiro, na placu Miłosierdzia, obsługiwał Honorio i Sardelinie. Nim upłynęło dziesięć lat, mówiono, że bracia Vilanova są na drodze do fortuny.

Wówczas nadeszła klęska, która po raz drugi zrujnowała rodzinę. W dobrych latach deszcze zaczynały się w grudniu, w złych — w lutym lub marcu. Tamtego roku w maju nie spadła jeszcze ani kropla. Rzeka Sao Francisco utraciła dwie trzecie wód i ledwie zaspokajała potrzeby Joazeiro, którego ludność wzrosła czterokrotnie, licząc uchodźców z interioru.

Antonio Vilanova nie odebrał ani jednej należności, a wszyscy klienci, właściciele fazend czy biedni osadnicy, odwołali zamówienia. Nawet w Calumbi, najlepiej prosperującej posiadłości barona de Cañabrava, dano mu do zrozumienia, że nie kupią od niego nawet garści soli. Z myślą o wyciągnięciu korzyści z przeciwności losu Antonio zakopał zboże w skrzyniach owiniętych brezentem, żeby sprzedać je, kiedy niedostatek podbije cenę na niebotyczną wysokość.

Ale klęska była zbyt wielka, nawet jak na jego rachuby. Pojął wkrótce, że jeśli natychmiast wszystkiego nie sprzeda, zostanie bez klientów, bo ludzie wydawali ostatki tego, co mieli, na msze, procesje i ofiary; całe miasto postanowiło wstąpić do Bractwa Pokutników, którzy zakrywali głowy kapturami i biczowali się, żeby Bóg zesłał deszcz. Odkopał więc swoje skrzynie: zboże, mimo brezentu, zapleśniało. Ale Antonio nigdy nie czuł się pokonany. On, Honorio, Sardelinie, a nawet dzieci — jedno jego własne i troje brata — oczyścili ziarno, jak mogli, a nazajutrz ogłoszono na rynku, że sklep braci Vilanova wyprzedaje zapasy.



Antonio i Honorio uzbroili się i postawili czterech parobków z kijami, żeby uniknąć tumultu. Przez godzinę szło gładko. Sardelinie stały za ladą, a sześciu mężczyzn powstrzymywało cisnących się do drzwi ludzi, wpuszczając do sklepu tylko po dziesięć osób. Nie zdołali jednak powstrzymać tłumu, który w końcu sforsował zaporę i runął do wnętrza. W kilka chwil zawładnął wszystkim, co było w środku, łącznie z pieniędzmi z kasy. To, czego nie dało się wynieść, stał na proch.

Pustoszenie nie trwało dłużej niż pół godziny, a chociaż straty były wielkie, nikogo z rodziny nie poturbowano. Honorio, Antonio, Sardelinie i ich dzieci, siedząc na ulicy, przypatrywali się, jak grabieżcy wycofują się z ruin tego, co jeszcze wczoraj było najlepiej zaopatrzonym sklepem w mieście. Kobiety miały łzy w oczach, a dzieci spoglądały na walające się po ziemi resztki prycz, na których spały, ubrań, które nosiły, i zabawek, którymi się bawiły. Antonio był blady. „Nie ma rady, kumie, trzeba zaczynać od nowa”, mruknął Honorio. „Ale nie tutaj”, odpowiedział brat.

Antonio nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale przez nadmiar pracy, wyczerpujące podróże i zapamiętałość w interesach wydawał się starszy. Wypadły mu włosy, a wysokie czoło, bródka i wąsik nadawały mu wygląd intelektualisty. Był silny, ramiona miał niecopuszczzone, nogi pałkowate jak u pastucha. Nigdy nie obchodziło go nic prócz interesów. Honorio chadzał na potańcówki, nie stronił też od kieliszeczka anyżówki, gdy siedząc w gospodzie, przysłuchiwał się pieśniom truverów; lubił też gawędzić z przyjaciółmi, patrząc, jak po Sao Francisco przepływają łodzie z kolorowymi maszkaronami na dziobach. Dla Antonia życie towarzyskie nie istniało. Jeśli nie był w podróży, przesiadywał za kontuarem, sprawdzając rachunki lub wymyślając nowe rubryki do księgowania dochodów i rozchodów przedsiębiorstwa. Miał wielu klientów, lecz niewielu przyjaciół, a chociaż widywano go w niedzielę w kościele Najświętszej Marii Panny z Grot, choć czasami uczestniczył w procesjach, w których biczownicy z Bractwa umartwiali się, żeby pomóc duszom w czyśćcu cierpiącym, nie wyróżniał się religijną żarliwością. Był człowiekiem poważnym, spokojnym, upartym, przygotowanym na wszelkie przeciwności losu.

Tym razem pielgrzymka rodziny Vilanova przez obszary wycieńczone pragnieniem i głodem dłuższa była od tej sprzed dziesięciu lat, gdy uciekali przed zarazą. Wkrótce zostali bez zwierząt. Po pierwszym starciu z grupą uchodźców, do których bracia musieli strzelać, Antonio uznał, że tych pięć mułów jest zbyt wielką pokusą dla wygłodniałej ludności błakającej się po sertonach. Sprzedał więc, w Barro Vermelho, cztery z nich za garść drogich kamieni. Ostatniego zabili, wyprawili sobie ucztę, a resztę mięsa zasolili i żywili się nim potem wiele dni. Jeden z synów Honoria zmarł na dyzenterię; pochowali go w Borracha, gdzie założyli przytułek, a Sardelinie wydawały zupę z batatów, mocó i xique-xique. Ale tam również nie zagrzali miejsca, wyruszyli ku Patamute i Mato Verde, gdzie Honoria ukąsił skorpion. Kiedy wyzdrowiał, pociągnęli dalej na południe — pełna udręki przeprawa trwała długie tygodnie, a w drodze mijali jedynie miasta widma, opustoszałe fazendy i karawany szkieletów dryfujące na oślep przed siebie.

W Pedra Grandę drugi syn Honoria i Asunción zmarł od zwykłego kataru. Grzebali go właśnie, owinąwszy zwłoki derką, kiedy w tumanie pyłu o barwie czerwonego laku weszło do osady około dwudziestu mężczyzn i kobiet — była wśród nich chodząca na czworakach istota o ludzkiej twarzy i jakiś' półnagi Murzyn — chudych, sama skóra i kości, w wyświechtanych sukniach i sandałach wyglądających, jakby zdeptały wszystkie drogi świata. Wiódł ich wysoki mężczyzna o czarnych, opadających na ramiona włosach i oczach jak żywe srebro. Podszedł wprost do rodziny Vilanova i gestem powstrzymał braci, którzy już spuszczały ciało do grobu. „Twój syn?”, spytał Honoria z powagą. Ów przytaknął. „Nie możesz go pochować w ten sposób — rzekł czarnowłosa stanowczo. — Trzeba go przygotować, trzeba go

pożegnać godnie, bo udaje się na wieczne święto do nieba". I nim Honorio odpowiedział, zwrócił się do swoich towarzyszy: „Urządzimy mu pogrzeb jak należy, żeby Ojciec powitał go u siebie z radością”. Bracia Vilanova ujrzeni wówczas, jak pielgrzymi ożywiają się, biegną ku drzewom, ścinają je, zbijają trumnę i krzyż ze zręcznością, która świadczyła o praktyce. Czarnowłosa wziął chłopca w ramiona i ułożył go w trumnie. Podczas gdy bracia Vilanova zasypywali grób, nieznajomy modlił się głośno, a reszta śpiewała pochwalne hymny i litanie, klęcząc wokół krzyża. Później, kiedy odpocząwszy w cieniu drzew, pielgrzymi gotowali się do drogi, Antonio Vilanova wydobył jedną monetę i wręczył ją świętemu. „W dowód naszej wdzięczności”, nalegał widząc, że człowiek nie bierze jej i patrzy na niego drwiąco. „Nie masz mi za co dziękować — powiedział w końcu — a Ojcu nie mógłbyś zapłacić, coś mu winien, nawet tysiącem monet takich jak ta”. Zamilkł, po czym dodał łagodniej: „Nie nauczyłeś się jeszcze *liczyć*, synu”.

Gdy pielgrzymi odeszli, bracia Vilanova długą chwilę trwali w zadumie, siedząc przy ognisku, które odstraszało owady. „Był obłąkany, kumie?”, odezwał się Honorio. „Widziałem wielu obłąkanych w moich podróżach, ale ten jest chyba kimś więcej niż zwykłym szaleńcem”, powiedział Antonio.

Gdy po dwóch latach suszy i klęsk powróciła woda, bracia Vilanova byli zadomowieni w Caatinga do Moura, gdzie Antonio zaczął eksploatować pobliską solankę. Reszta rodziny — Sardelinie i dwoje dzieci — przeżyła, ale syn Antonii i Antonia, po ropnym zapaleniu oczu (podczas choroby tał bez przerwy powieki) stopniowo tracił wzrok: wiedział, co prawda, czy jest noc, czy dzień, lecz nie odróżniał twarzy ani przedmiotów. Solanka okazała się dobrym interesem. Honorio, Sardelinie i dzieci spędzali dni na suszeniu soli i przesypywaniu jej do worków, które Antonio sprzedawał, jeżdżąc po okolicy. Zmajstrował sobie wózek i podróżował uzbrojony w dwururkę dla obrony przed rabunkiem.

Pozostali w Caatinga do Moura około trzech lat. Wraz z deszczem mieszkańcy wrócili do uprawy ziemi, pastuchy do zdziesiątkowanych stad, a wszystko to oznaczało dla Antonia powrót koniunktury. Miał już solankę, wkrótce dorobił się sklepu, zaczął też handlować zwierzętami pod wierzch, które kupował i sprzedawał ze znacznym zyskiem. Kiedy owego pamiętnego w ich życiu grudnia potop deszczów zamienił strumień przepływający przez miasto w wezbraną rzekę, która zniosła chaty, potopiła domowe ptactwo i koźleta, załapała solankę i w jedną noc pogrzebała ją pod morzem błota, Antonio był na jarmarku w Nordeste, dokąd udał się z ładunkiem soli i zamiarem kupna mułów.

Wrócił po tygodniu, gdy woda zaczęła opadać. Honorio, Sardelinie i pół tuzina peonów, którzy teraz dla nich pracowali, byli niepokieszeni, ale Antonio przyjął nową klęskę ze spokojem. Obejrzał to, co ocalało, zrobił rachunki w zeszyciku i podniósł ich na duchu, mówiąc, że są jeszcze pokaźne należności do odebrania i że on, jak kot, zawsze spada na cztery łapy, nie ma więc powodu, by czuł się pokonany przez byle powódź.

Ale tej nocy nie zmrużył oka. Znaleźli kwaterę w domu zaprzyjaźnionego sąsiada, na wzgórzu, gdzie schronili się wszyscy mieszkańcy. Antonia słyszała, jak mąż przewraca się w hamaku; blask księżyca oświetlał jego twarz, udręczoną niepokojem. Następnego ranka Antonio oznajmił, że mają sposobieć się do drogi, bo odchodzą z Caatinga do Moura. Był tak stanowczy, że nie śmieli nawet zapytać dlaczego. Sprzedawszy wszystko, czego nie mogli zabrać ze sobą, raz jeszcze, z wozem załadowanym tobołami, zdali się na niepewność dróg. Któregoś dnia usłyszeli od Antonia coś, co ich stropiło: „Trzecie ostrzeżenie — mruknął, a w głębi jasnych źrenic mignął jakiś cień. — Zesłał na nas powódź, żebyśmy coś zrobili, ale ja nie mam pojęcia co”. Honorio, zmieszany, zapytał: „Ostrzeżenie od Boga, kumie?”. „Może od Diabła”, powiedział Antonio.

Miotali się, tydzień tu, miesiąc tam, a ilekroć rodzina sądziła, że nareszcie osiądą na

stałe, Antonio, wiedziony nagłym impulsem, kazał ruszać dalej. To poszukiwanie czegoś lub kogoś tak mglistego niepokoiło ich, ale nikt nie zaprotestował przeciw ciągłym przenosinom. Wreszcie po niemal ośmiu miesiącach włóczęgi po sertonie osiedlili się w jednej z fazend barona de Cañabrava, opuszczonej od czasu suszy. Baron zabrał swoje stada, a na miejscu zostało tylko kilku wieśniaków, rozsianych po okolicy: uprawiali małe poletka na brzegach rzeki Vassa Barris i wypędzali swoje kozy na wiecznie zielone pastwiska gór Cañabrava. Słabo zaludnione, położone w kotlinie zewsząd otoczonej szczytami, Canudos było z pozoru miejscem najmniej odpowiednim dla kupca. A jednak, gdy tylko zajęli dawny dom administratora, teraz stojący w ruinie, Antonio zaczął sprawiać wrażenie człowieka, który zrzucił jakieś brzemię. Natychmiast zabrał się do obmyślenia interesów i organizował życie rodziny z dawną werwą. Po roku, dzięki jego uporowi, sklep braci Vilanova kupował i sprzedawał towary na dziesięć mil dokoła. Antonio znów podróżował bez przerwy.

Ale w dniu, w którym pielgrzymi pojawili się na stokach Cambaio i wkroczyli na jedyną ulicę Canudos, wielbiąc śpiewem Dobrego Jezusa ile sił w płucach, był w domu. Z balkonu dawnej siedziby administratora, zamienionej w mieszkanie i sklep, widział, jak nadchodzą owe istoty, rozplamione gorączką wiary. Brat, żona, szwagierka spostrzegli, że pobladł, kiedy człowiek w fioletowej szacie, idący na czele procesji, ruszył ku niemu. Poznali płonące oczy, głuchy głos, chudość ciała. „Nauczyłeś się już liczyć?“, powiedział święty z uśmiechem, i wyciągnął do kupca rękę. Antonio Vilanova runął na kolana i ucałował dłoń przybysza.

W moim poprzednim liście pisałem Wam, towarzysze, o ludowym buncie w brazylijskim interiorze. Zasięgnąłem wówczas informacji od świadka pełnego uprzedzeń (kapucyna). Dziś przekażę wam lepsze świadectwo o Canudos, świadectwo człowieka przychodzącego z serca rewolty, który wędruje po całym regionie, bez wątpienia z misją werbowania prozelitów. Mam też dla Was rzecz kapitalną: oto doszło do starcia z bronią w rękę — jaguncos pobili stu żołnierzy, broniąc dostępu do Canudos. Czyżby potwierdziła się zapowiedź nadchodzącej rewolucji? W pewnym sensie tak, lecz sprawa jest problematyczna, sądząc po tym człowieku, którego osoba daje sprzeczne wyobrażenie o naszych braciach stamtąd: nieomylna intuicja i słuszne działanie splatają się w nim z nieprawdopodobnymi wprost przesadami.

Piszę z miasteczka — jego nazwy na pewno nie znacie — z ziemi, gdzie moralna i fizyczna niewola kobiety przybrała skrajną postać. Ciemięży ją bowiem pan, ojciec, brat i mąż. Tu właściciel ziemski wybiera żony swoim podopiecznym, a kobiety na środku ulicy bite są przez popędliwych ojców lub pijanych mężów, przy powszechnej obojętności. Oto temat do refleksji, towarzysze: jak zapewnić, by rewolucja nie tylko zniosła wyzysk mężczyzny przez mężczyznę, lecz także wyzysk kobiety przez mężczyznę, jak ustanowić jednocześnie równość klas i płci?

O tym, że przybył tutaj emisariusz z Canudos, dowiedziałem się od przewodnika, który jest zarazem łowcą jaguarów i sucaran. Jakże piękne przypadły mu zadania: poznawać świat i tępić złodziei bydła. Dzięki niemu mogłem spotkać się z tamtym człowiekiem. Rozmowa odbyła się w pewnej garbarni, pośród suszących się na słońcu skór i dzieci bawiących się z jaszczurkami. Serce zabiło mi mocniej na jego widok: niski, masywny, blade ową bladeścią ni to żółtą, ni to szarą, jaką Metysi dziedziczą po swych indiańskich przodkach; na twarzy blizna, która od pierwszego wejrzenia zdradziła mi jego kryminalną przeszłość — bandyty albo najemnego zbira, tak czy inaczej ofiary systemu (Bakunin wyjaśnił już bowiem, że zbrodnie rodzi społeczeństwo, a zbrodniarz jest tylko narzędziem w jego rękę). Od stóp do głów ubrany był w skóry — tak noszą się tutaj poganiacze bydła, by łatwiej poruszać się konno po ciemnych równinach — na głowie miał kapelus, na ramieniu

strzelbę, oczy wpadnięte, spojrzenie mruka i szorstki, nieufny sposób bycia, co jest tak częste w tych stronach. Nie chciał spotkać się ze mną w cztery oczy. Musieliśmy rozmawiać w obecności właściciela garbarni i jego rodziny: rozsiedli się na podłodze i jedli, nie patrząc na nas. Powiedziałem, że jestem rewolucjonistą, że na świecie żyje wielu towarzyszy, którzy popierają to, co jaguncos robią w Canudos: zajęcie gruntów feudała, ustanowienie wolnej miłości, zbrojny opór. Nie wiem, czy mnie zrozumiał. Ludzie z interioru nie są tacy jak w Bahii, gdzie afrykańska krew zaowocowała gadatliwą wylewnością. Tutejsze twarze pozbawione są wyrazu, niczym maski skrywające uczucia i myśli.

Zapytałem, czy są przygotowani na nowy atak, burżuazja bowiem reaguje jak rozwścieczona bestia, gdy ktoś podnosi rękę na świętość prywatnej własności. Oslupiałem, gdy odburknął, że panem wszystkich gruntów jest Dobry Jezus, a w Canudos Nauczyciel wznosi największy kościół świata. Próbowałem tłumaczyć mu, że nie z tego powodu władza wysyła na nich żołnierzy, ale odpowiedział, że tak, że właśnie dlatego, bo republika chce zniszczyć religię. I wówczas, towarzysze, wysłuchałem dziwacznej diatryby przeciw republice, wygłoszonej ze spokojną pewnością siebie, bez cienia pasji. Celem republiki jest uciemnienie wiernych i likwidacja wszystkich zakonów, tak jak zrobiono już z Towarzystwem Jezusowym, a najbardziej jaskrawym dowodem jej zamiarów jest ustanowienie ślubów cywilnych — gorszących i bezbożnych, skoro istnieje sakrament małżeństwa ustanowiony przez Boga.

Widzę już rozczarowanie czytelników, którzy przeczytawszy powyższe słowa, podejrzewają zapewne, że Canudos — jak Wan-dea w czasach Rewolucji — jest ruchem wstecznym, inspirowanym przez księży. To nie takie proste, towarzysze. Wiecie już z mego poprzedniego listu, że Kościół potępia Nauczyciela i Canudos oraz że jaguncos wydarli ziemię pewnemu baronowi. Zapytałem człowieka z blizną, czy biednym w Brazylii działa się lepiej za monarchii. Bez namysłu odparł, że tak, bo monarchia zniosła niewolnictwo. I zaczął tłumaczyć, że Diabeł, rękami masonów i protestantów, zrzucił z tronu cesarza Pedra II, by przywrócić niewolę. Tak, dobrze słyszycie: Nauczyciel wpoił swoim ludziom przekonanie, że republikanie są rzecznikami niewolnictwa. (Wnikliwy to sposób ukazania prawdy, wyzysk bowiem człowieka przez właścicieli pieniądza — podstawa ustroju republikańskiego — nie jest mniejszą niewolą niż niewola feudalna). Emisariusz był stanowczy: „Biedni cierpieli wiele, ale teraz dość tego — nie odpowiemy na pytania spisu, ich celem jest bowiem rozpoznanie wyzwolenców, żeby znowu zakuć ich w kajdany i zwrócić dawnym panom”. „W Canudos nikt nie płaci podatków republice, bo jej nie uznajemy. Nie możemy się zgodzić, żeby przywłaszczyła sobie prawa należne Bogu”. „Na przykład jakie?”. „Dawanie ślubów, nakładanie dziesięciny”. Zapytałem, co się dzieje z pieniędzmi w Canudos; oświadczył, że przyjmują tylko monety z wizerunkiem księżniczki Izabeli, czyli cesarstwa, ale jest ich tak mało, że w rzeczywistości pieniądza zanika. „Nie potrzebujemy pieniędzy, bo w Canudos ci, którzy mają, dają tym, którzy nie mają, a ci, którzy mogą pracować, pracują na tych, którzy nie mogą”.

Powiedziałem, że zniesienie własności i pieniądza oraz ustanowienie wspólnoty dóbr w imię czegokolwiek, nawet w imię mglistych abstrakcji, jest aktem śmiałym, mającym wielką wagę dla wszystkich ludzi wyzutyk ze swoich praw, początkiem powszechnego wyzwolenia; przestrzegłem, że czyn ten, prędzej czy później, rozpęta przeciw nim burzę prześladowań, klasa panująca nigdy bowiem nie dopuści, żeby stali się przykładem dla innych: w tym kraju jest ubogich aż nadto — dość, by mogli opanować wszystkie fazendy. Czy Nauczyciel, czy w ogóle ktokolwiek z nich wie, na co się porywają? Patrząc mi prosto w oczy, bez drgnienia powiek człowiek ów wyrecytował stek bzdur. Oto próbka: żołnierze nie są siłą, lecz słabością rządu; jeśli będzie trzeba, wody rzeki Vassa Barris zmienią się w mleko, a brzegi w smakowity kuskus; martwi jaguncos zostaną wskrzeszeni do życia, gdy nadejdą

wojska króla Sebastiana (władcy Portugalii, poległego w Afryce w XVI wieku).

Czy te wszystkie diabły, cesarze i religijne fetysze stanowią elementy strategii, jaką przyjął Nauczyciel, żeby pchnąć prosty lud na drogę rebelii, która w czynach — w odróżnieniu od słów — jest słuszna, podniosła ich bowiem do buntu przeciw ekonomicznej, społecznej i militarnej bazie społeczeństwa klasowego? Czy tylko te religijne, mityczne i dynastyczne symbole zdolne są poruszyć bezwładne masy, od wieków poddane tyranii kościelnego zabobonu i dlatego użył ich Nauczyciel? A może wszystko jest dziełem przypadku? My wiemy, towarzysze, że w historii nie ma przypadków, że w jej powierzchownej arbitralności, pod maską złudnych pozorów, zawsze kryje się pierwiastek racjonalizmu. Czy Nauczyciel świadom jest, że rozpętał żywioły historii? Przebiegłość czy intuicja nim kieruje? Żadnej z tych hipotez nie można odrzucić, zwłaszcza zaś hipotezy nieprzemyślanego, spontanicznego ruchu ludowego. Racjonalność wyryta jest w mózgu każdego człowieka, nawet najbardziej nieświadomego, a w pewnych okolicznościach może poprowadzić go przez opary dogmatów przesłaniające mu oczy, przez przesady zaciemniające słowa mętami frazesów — do działania w kierunku zgodnym z historią. Ktoś, kto nie był jednym z nas — Monteskiusz — napisał, że szczęście albo nieszczęście polega na pewnej predyspozycji organów naszego ciała. Działalność rewolucyjna także zrodzić się może z nakazu rządzących nami organów, i to nawet zanim nauka oświeci umysły biedaków. Czy tak właśnie stało się w bahijskim sertonie? Przekonać się można tylko w Canudos. Do następnego listu lub żegnajcie na zawsze.

## **Rozdział VI**

Zwycięstwo pod Uaua uczczono w Canudos dwoma dniami świąt. Były fajerwerki i sztuczne ognie przygotowane przez Antonia Pirotechnika, Aniołek zaś zorganizował procesje, które przeszły meandrami wśród chałup, świeżo wyrosłych na fazendzie. Nauczyciel dawał nauki każdego wieczoru, z rusztowań świątyni. Canudos czekają próby jeszcze cięższe, nie wolno poddać się lękowi, a Dobry Jezus pomoże tym, co wytrwają w wierze. Wciąż powracającym tematem był koniec świata. Ziemia przez wieki rodziła zboże, karmiła zwierzęta, udzielała schronienia ludziom, ale teraz, zmęczona, poprosi Ojca o czas wytchnienia. Bóg zezwoli, a wówczas nastąpią klęski. To właśnie mówią słowa Pisma: „Nie przyszedłem, by ustanowić harmonię, przyszedłem rozniecić pożar”.

Tak więc gdy w Bahii władze, bezlitośnie krytykowane przez „Jornal de Noticias” i Republikańską Partię Postępową za wydarzenia pod Uaua, organizowały drugą z kolei ekspedycję, sześciokrotnie licząc — niejszą od pierwszej, wyposażoną w dwa działa Kruppa kalibru 7,5 oraz dwa karabiny maszynowe Nordenfelta, i pod wodzą majora Fe-bronia de Brito wyprawiły ją do Queimadas, skąd dalej miała podążać piechotą, żeby ukarać jaguncos, ci przygotowywali się w Canudos na Sąd Ostateczny. Niektórzy, niecierpliwi, pod pozorem, iż chcą przyspieszyć oczekiwany koniec albo wywalczyć odpoczynek dla ziemi, wyruszyli siał spustoszenie. Ogarnięci szałem miłości, podkładali ogień pod zabudowania wśród wyżynnych równin i cating odgradzających Canudos od świata. Chcąc ocalić swe ziemie, wielu fazenderów i wieśniaków próbowało przejednać ich darami, niemniej spłonęła wielka liczba zagród, obejść, opuszczonych domostw, pasterskich szałasów i zbójceckich kryjówek, aż w końcu Jose Venancio, Pajeu, Joao Mnich, Joao Wielki i bracia Macambira wyruszyli powstrzymać zapaleńców, którzy chcieli dać wytchnienie przyrodzie, paląc ją na popiół, Aniołek zaś, Matka Ludzi i Lew z Natuby przekonali ich, że źle zrozumieli nauki świętego.

Mimo napływu nowych pątników Canudos nie cierpiało głodu w owych dniach. Maria Quadrado wybrała grupę kobiet, które miały wraz z nią zamieszkać w Sanktuarium — Aniołek nazwał je Świętym Chórem — i wspólnymi siłami podtrzymywać Nauczyciela, gdy

ten skutek postów ślaniał się na nogach. Podsuwały mu okruchy suchego chleba, kiedy godził się zjeść cokolwiek, i niczym tarcza osłaniały go przed naporem pielgrzymów, którzy tratowali go niemal, chcąc dotknąć jego ciała, i zamęczali prośbami, żeby wstawił się do Dobrego Jezusa za niewidomą córką, kalekim synem lub zaginionym mężem. Tymczasem inni jaguncos troszczyli się o pożywienie i obronę miasta. Przedtem byli zbiegłymi niewolnikami, jak Joao Wielki, albo bandytami, na których ciążyła śmierć wielu, jak Pajeu lub Joao Mnich, a teraz stali się ludźmi Bożymi. Lecz, jak dawniej, pozostali praktyczni, baczni na sprawy doczesne, uwrażliwieni na głód i wojnę, i oni to, podobnie jak pod Uaua, przejęli teraz inicjatywę. Trzymali w ryzach podpalaczy, zaganiaли ku Canudos bydło, konie, muły, osły i kozy, z których fazendy składały dobrowolną daninę Dobremu Jezusowi, przysyłali do składów braci Vilanova tapiokę, ziarno, odzież, a przede wszystkim broń, zdobytą podczas zbrojnych wypadów. Wkrótce Canudos zgromadziło spore dobra. Jednocześnie samotni emisariusze przemierzali sertony, niby biblijni prorocy, i zapuszczali się aż na wybrzeże, zachęcając ludzi, by wyruszyli do Canudos walczyć u boku wybranych przeciw temu wymysłowi Szatana, jakim jest republika. Byli to osobliwi wysłannicy niebios: zamiast powłóczyстых szat nosili spodnie i koszule ze skóry, ich usta miały grubiańskie przekleństwa, a znali ich wszyscy, bo dzielili z nimi dach i biedę do chwili, gdy pewnego dnia, muśnięci skrzydłem anioła, odeszli do Canudos. Nie zmienili się, mieli te same noże, strzelby, maczety, a jednak byli inni, bo teraz mówili tylko o Nauczycielu, o Bogu, o miejscu, z którego przybywali, a ich żarliwość i duma udzielały się innym. Ludzie zapraszali ich do domów, słuchali, a wielu było takich, którzy po raz pierwszy w życiu poruszeni nadzieją, pakowali w wężelek swój dobytek i ruszali w drogę.

Oddziały majora Febronia de Brito stanęły w Queimadas: pięciuset czterdziestu trzech żołnierzy, czternastu oficerów i trzech lekarzy wybranych z 9., 26. i 33. Batalionu Piechoty Bahijskiej, których miasteczko powitało przemówieniem burmistrza, mszą w kościele Świętego Antoniego, posiedzeniem w ratuszu i dniem wolnym od pracy, żeby miejscowi mogli nacieszyć się defiladą wokół rynku, z werblami i trąbkami. Jeszcze przed defiladą wyruszyli na północ posłańcy, by zawiadomić Canudos o liczbie żołnierzy, uzbrojeniu i marszrucie ekspedycji. Wieści te nikogo nie zaskoczyły. Czyż mogło ich zaskoczyć, że rzeczywistość potwierdza to, co Bóg im obwieścił ustami Nauczyciela? Jediną nowiną było, że wojska nadejdą tym razem od Cariaca, gór Acari i doliny Ipueiras. Joao Mnich radził, żeby zabrali się do kopania wałów, gromadzili proch i naboje i rozstawili posterunki na zboczach Cambaio, gdyż tamtędy będą musieli przejść protestanci.

Nauczyciel wydawał się na razie bardziej zajęty przyspieszeniem budowy Świątyni Dobrego Jezusa niż wojną. Wciąż, już od świtu, kierował pracami, które opóźniały się z powodu kamieni: trzeba je było znosić z kamieniołomów coraz odleglejszych, wciąganie ich zaś na wieże było zadaniem trudnym, niekiedy bowiem pękały liny, a spadające głązy porywały ze sobą rusztowania i robotników.

Bywało też, że kazał burzyć mury już wzniesione i stawiać je nieco dalej, lub gdzie indziej umieścić okna, ponieważ jakiś głos mówił mu, iż nie są zwrócone w stronę miłości. Widziano, jak krążył między ludźmi, w otoczeniu Lwa z Natuby, Aniołka, Marii Quadrado i służebniczek z Chóru, które bez wytchnienia machały rękami, żeby odegnać muchy, zakłócające mu spokój. Trzy, pięć, dziesięć rodzin lub grup pielgrzymów codziennie napływało do Canudos, prowadząc ze sobą wozy i niewielkie stadka kóz. Antonio Vilanova wyznaczał im w labiryncie chałup miejsce, gdzie mogli postawić dom dla siebie. Każdego wieczoru przed naukami, w Świątyni jeszcze nienakrytej dachem, święty przyjmował nowo przybyłych. Aniołek prowadził ich ku niemu poprzez rzeszę wiernych. Chociaż Nauczyciel usiłował ich powstrzymać, mówiąc: „Kto inny jest Bogiem”, padali mu do stóp, by ucałować jego nogi albo dotknąć jego szaty, a on im błogosławił, spoglądając na nich oczami, które

zawsze zdawały się wpatrywać gdzieś w zaświaty. Wreszcie przerywał powitalną ceremonię, wstawał; wówczas tłum rozstępował się, a on szedł ku schodkom wiodącym na rusztowanie. Nauczał ochryłym głosem, nieruchomy, mówiąc o tym, o czym mówił zawsze: o wyższości ducha, o korzyściach płynących z ubóstwa i prostoty, o nienawiści do bezbożników, o potrzebie ocalenia Canudos, by stało się schronieniem sprawiedliwych.

Ludzie słuchali go spragnieni, z głębokim przekonaniem; religia bez reszty wypełniała im dni. W miarę jak powstawały kręte uliczki, chrzczono je imionami świętych, zawsze podczas procesji. We wszystkich zaułkach porobiono nisze z wizerunkami Najświętszej Pani, Dzieciątka, Dobrego Jezusa i Ducha Świętego, a każda dzielnica, każdy cech wznosiły ołtarze swoim świętym patronom. Wielu przybyszów zmieniało imiona, co miało być symbolem nowego życia, jakie tutaj rozpoczynali. Do katolickich obrządków przywierały czasami, niczym pasożytnicze rośliny, praktyki wątpliwego pochodzenia. I tak, niektórzy Mulaci oddawali się tańcom w trakcie modlitwy: mówiono, że wierzą, iż w ekstatycznych podskokach wypędzają grzechy wraz z potem. Murzyni zajmowali północną część Canudos, skupisko chałup z gliny i słomy, znane później jako Mocambo. Indianie z Miran-deli, którzy ku powszechnemu zaskoczeniu przybyli osiedlić się w Canudos, przyrządzali na oczach wszystkich wywary z ziół o silnej woni, wprawiające ich w stan oszołomienia. Wraz z pątnikami pojawiali się, zwykłą koleją rzeczy, cudotwórcy, domokrażcy, szarlatani i rozmaici ciekawscy. Po chatach, stłoczonych jedna przy drugiej, widywano kobiety, które czytały z ręki, oszustów, którzy chęłpili się, iż rozmawiają ze zmarłymi, i truverów, którzy — jak artyści z Cyrku Objazdowego Cygana — zarabiali na życie, śpiewając romances lub wbijając szpilki we własne ciało. Pojawili się znachorzy, leczący jakoby wszelkie przypadłości naparem z juremy i manaca, i fanatycy, którzy w delirium skruchy głośno wyznawali swoje grzechy i błagali przysłuchujących się ludzi o pokutę. Grupa z Joazeiro przyniosła do Canudos praktyki Bractwa Pokutników: posty, wstrzemięźliwość płciową, publiczne biczowanie. Nauczyciel zachęcał do umartwienia i ascezy — cierpienie, mawiał, umacnia wiarę — lecz zaniepokoił się w końcu i poprosił Aniołka, żeby miał baczenie na pielgrzymów i dopilnował, by wraz z nimi nie przedostały się do osady przesady, fetyszyzm lub fałszywa pobożność, przybrana w pozory cnoty.

Różnorodna rzesza ludzka współistniała w Canudos bez gwałtów, w braterskiej solidarności, w atmosferze egzaltacji, jakiej wybrani dotąd nie znali. Czuli się naprawdę bogaci swym ubóstwem, ujrzeli w sobie dzieci Boże, wyróżnione spośród wielu, co powtarzał im każdego wieczoru człowiek odziany w dziurawą oponę. W powszechnej miłości ku niemu roztapiały się różnice, jakie mogły ich dzielić: gdy szło o Nauczyciela, te kobiety i ci mężczyźni — były ich setki, a poczynają być tysiące — stawali się jedną istotą, uległą i pełną czci, gotową oddać wszystko za tego, który umiał zniżyć się do ich poniżenia, ich głodu, ich wszy, i natchnął ich nadzieją i dumą z losu, jaki przypadł im w udziale. Mimo wielkiej liczby ludności, życiem Canudos nie rządził chaos. Emisariusze Dobrego Jezusa i pątnicy przyprawiali bydło i znosili prowiant, zagrody były przepelnione, magazyny także, a Vassa Barris niosła obfitość wody dla rolników. Podczas gdy Joao Mnich, Pajeu, Jose Venancio, Joao Wielki, Pedro i inni gotowali się do wojny, Antonio i Honorio Vilanova zarządzali miastem: przyjmowali datki pątników, rozdzielali parcele, żywność i odzież, czuwali nad Domami Zdrowia dla chorych, starców i sierot. Do nich również wnoszono skargi, gdy wynikały spory o majątek.

Codziennie nadchodziły wieści o Antychryście. Ekspedycja majora Febronia de Brito udała się z Queimadas do Monte Santo, miejsca, które sprofanowała o zmierzchu dwudziestego dziewiątego grudnia, zmniejszona o jednego kaprała, zmarłego od ukąszenia grzechotnika. Nauczyciel, bez nienawiści, wyjaśnił ten fakt: czyż nie jest bezecnym bluźnierstwem, że ludzie uzbrojeni w śmiertcioną broń, opanowani żądzą zniszczenia,

rozłożyli się obozem w Sanktuarium, które przyciąga pielgrzymów z całego świata? Dlatego Canudos — nazwał je owej nocy Belo Monte, Piękną Górą — nie może być wydane na łup bezbożnym. W uniesieniu wzywał, by nie poddawali się nieprzyjaciołom religii, którzy znów chcą zakuć w dyby niewolników, nękać dzierżawców podatkami, zabraniać ludziom kościelnych ślubów i pogrzebów, ogłupić ich sztuczkami, takimi jak *system* dziesiętny, podział na stany i spis powszechny, wymyślonymi tylko po to, żeby ich oszukać i skłonić do grzechu. Wszyscy czuwali tej nocy, broń leżała w zasięgu ręki. Masoni nie nadeszli. Naprawiali w Monte Santo armaty Kruppa, uszkodzone na stromiznach terenu, i czekali na posiłki. Kiedy po dwóch tygodniach ruszyli zwartym szykiem w kierunku Canudos, przez dolinę Cariaca, na całym szlaku roіło się od zwiadowców ukrytych w koźlich jaskiniach, w splątanym gąszczu catingi lub w rozpadlinach, zamaskowanych szkieletami krów, których czaszki zamieniono w strażnice. Szybkonodzy posłańcy zanosili do Canudos wieści o postępach i niepowodzeniach wroga.

Gdy dowiedzieli się, że oddział, po olbrzymich trudnościach w transporcie dział i karabinów maszynowych, dotarł wreszcie do Mulungii i że wygłodniałi żołnierze musieli poświęcić ostatnią sztukę bydła i dwa pociągowe muły, Nauczyciel oświadczył, że Ojciec jest chyba zadowolony z Canudos, skoro zsyła klęski na wojska republiki, zanim jeszcze rozpoczęła się bitwa.

— Wiesz, jak się nazywa to, co zrobił twój mąż? — cedzi Galileo Gall głosem rwącym się z gniewu. — Zdrada. Nie, dwie zdrady. Zdradził mnie, człowieka, z którym zawarł umowę. I zdradził swoich braci z Canudos. Zdrada klasowa.

Jurema uśmiecha się do niego, jakby nie rozumiała albo nie słuchała. Gotuje coś, pochylona nad paleniskiem. Jest młoda, skóra twarzy smagła i połyskliwa, rozpuszczone włosy, luźna suknia bez rękawów, nogi bose, powieki jeszcze ciężkie od snu, z którego wyrwało ją przybycie Galla przed chwilą. Dnieje. Wątle światło wkrada się przez szpary między belkami do wnętrza chaty. W blasku naftowej lampy widać rząd kur uszpionych w kącie między garnkami, jakieś rupiecie, wiązki chrustu, skrzynie i obrazek Najświętszej Pani z Łapy. Kudłaty piesek wierci się u stóp Juremy; odtrąca go kopniakiem, ale on się nie zraża, wraca. Siedząc w hamaku, zadyszany, wyczerpany po całonocnej podróży, kiedy musiał dotrzymać kroku encuerado, który przyprowadził go tutaj, wracając do Queimadas z bronią, Galileo przygląda się jej, wściekły. Jurema podchodzi, podaje mu dymiącą miseczkę.

— Powiedział, że nie pójdzie z tymi od kolei z Jacobiny — mamrocze Gall, z miseczką w dłoniach, szukając wzroku kobiety. — Dlaczego się rozmyślił?

— Nie chciał iść, bo nie dawali tyle, ile żądał — odpowiada Jurema łagodnie, dmuchając w miseczkę, która dymi w jej rękach. — Rozmyślił się, bo przyszli i powiedzieli, że dostanie, ile chciał. Poszedł wczoraj do Matki Boskiej Łaskawej, żeby pana odszukać, ale pan wyjechał, nie mówiąc dokąd ani kiedy wróci. Rufino nie mógł stracić tej pracy.

Galileo wzdycha, zasępiony. Pociąga łyk z miseczki, parzy sobie podniebienie, grymas bólu wykrzywia mu twarz. Pije drugi łyk, dmuchając.

Zmęczenie i niesmak porały mu czoło, oczy ma podkrążone. Raz po raz przygryza dolną wargę. Dyszy, poci się.

— Jak długo potrwa ta cholerna podróż? — chrypi wreszcie, popijając z miseczki.

— Trzy albo cztery dni. — Jurema siada naprzeciw niego, na brzeżku starego kufra ściśniętego rzemieniami. — Powiedział, że może pan na niego zaczekać i że po powrocie pójdzie do Canudos.



— Trzy albo cztery dni. — Gall unosi brwi, rozdrażniony. — Trzy albo cztery wieki, powiedz raczej.

Słysząc pobrzękiwanie dzwonek przed chatą, kudłaty piesek szczeka zajadle i rzuca się do drzwi, chce wyjść. Galileo podnosi się, podchodzi do ściany i wygląda przez szpary: wóz stoi tam, gdzie go zostawił, obok przyległej do domu zagrody, w której jest kilka owiec. Zwierzęta mają oczy otwarte, ale już się uspokoiły, hałas dzwonek ustał. Dom stoi na wzgórzu: w słoneczne dni widać stąd Queimadas. Ale w ten szary poranek pochmurne niebo pozwala dostrzec tylko pustynię, pofalowaną i kamienistą. Galileo wraca na swoje miejsce. Jurema ponownie napełnia jego miseczkę. Kudłaty piesek szczeka, grzebie pod progiem.

„Trzy albo cztery dni”, myśli Gall. Trzy albo cztery wieki, a przez ten czas może wyniknąć tysiąc kłopotów. Szukać kogoś innego? Wyruszyć samotnie do Monte Santo i tam wynająć przewodnika do Canudos? Wszystko, byle nie tkwić tu z bronią: zniecierpliwienie zatrułoby godziny oczekiwania, może też się zdarzyć — tego się obawiał Epaminondas Goncalves — że wcześniej dotrze do Queimadas ekspedycja majora Brito.

— Przyznaj się: to przez ciebie Rufino poszedł z tymi od kolei z Jacobiny? — syczy Gall. Jurema gasi ogień kijem. — Zawsze byłaś przeciwna, żeby Rufino szedł ze mną do Canudos.

— Zawsze byłam przeciwna — przyznaje tak stanowczo, że Galileo czuje przez chwilę, jak opada z niego złość, i ma ochotę się roześmiać. Ale ona patrzy na niego poważnie, bez drgnienia powiek. W podłużnej twarzy, pod naprężoną skórą, silnie rysują się kości policzków i podbródka. Czy równie wydatne, przejrzyste, wymowne, zdradliwe są kości ukryte pod jej włosami?

— Zabili tamtych żołnierzy w Uaua — dodaje Jurema. — Wszyscy mówią, że rząd wysłał więcej wojska do Canudos. Nie chcę, żeby go zabili, nie chcę, żeby go wsadzili do więzienia. Nie mógłby żyć w niewoli. Potrzebuje ruchu, przestrzeni. Jego matka mu zawsze powtarza: „Masz chorobę świętego Wita”.

— Chorobę świętego Wita — mówi Gall.

— To tacy, co nie mogą usiedzieć na miejscu — tłumaczy Jurema. — Tacy, którzy ciągle tańczą.

Pies ujada znowu, z furią. Jurema idzie do drzwi, otwiera je i wypycha zwierzę kopniakiem. Szczekanie dochodzi teraz z zewnątrz, znów pobrzękują owcze dzwonki. Galileo, z ponurym wyrazem twarzy, śledzi ruchy Juremy, która wraca do paleniska, rozgrzebuje żar gałęzią. Smuzka dymu rozwiewa się spiralą w powietrzu.

— Poza tym Canudos należy do barona, a baron zawsze nam pomagał — mówi Jurema. — Ten dom, ta ziemia, te owce, wszystko mamy od niego. Pan broni jaguncos, pan im chce pomóc. Zaprowadzić pana do Canudos to tak, jakby też im pomagać. Myśli pan, że baron byłby zadowolony, że Rufino pomaga złodziejom jego majątku?

— Na pewno nie byłby zadowolony — parska złośliwie Gall. Dźwięk dzwonek wybucha znowu, wzmagają się, Gall zrywa się z miejsca, jednym skokiem dopada ściany. Wygląda na zewnątrz: w białawym powietrzu zaczynają rysować się kontury drzew, zarośla kaktusów, plamy skał. Wóz jest na swoim miejscu, na nim paki zakryte brezentem koloru pustyni, obok, uwiązany do palika, stoi muł.

— Pan wierzy, że Nauczyciela posłał Pan Jezus? — odzywa się Jurema. — Wierzy pan w to, co przepowiada? Że morze będzie sertonem, a serton morzem? Że wody rzeki Vassa Barris zmienią się w mleko, a urwiska w smakowity kuskus z kukurydzy, żeby biedacy mogli

najeść się do syta?

Nie ma nawet cienia drwiny w jej słowach, w jej oczach, kiedy Galileo Gall wpatruje się w nią, usiłując z wyrazu jej twarzy odgadnąć, co sądzi o tamtej gadaninie. Nic jednak nie może dostrzec: twarz gładka, owalna, spokojna, jest — myśli — nieprzenikniona jak oblicza ludzi Wschodu. Albo jak twarz emisariusza z Canudos, z którym spotkał się w garbarni w Itapicuru. Wówczas również nie można było dociec, co czuje lub myśli ów powściągliwy człowiek.

— U konających z głodu instynkt zwykle silniejszy jest od wiary — mówi, wysączywszy do dna płyn z miseczki, i obserwuje reakcję Juremy. — Mogą naiwnie uwierzyć w każdą bzdurę, każdą niedorzeczność. To nieważne. Ważne jest to, co robią. Obalili własność, małżeństwo, hierarchię społeczną, odrzucili zwierzchność Kościoła i państwa, rozbili oddział wojska. Wystąpili przeciw władzy, pieniądzeni, mundurowi, sutannie.

Z twarzy Juremy nic nie można wyczytać, nie drga w niej żaden muskuł; ciemne, migdałowe oczy patrzą na Galla bez zaciekawienia, bez sympatii, bez zdziwienia. Usta, wilgotne, marszczą się lekko w kącikach.

— Podjęli walkę tam, gdzie my jej zaprzestaliśmy, nawet jeśli o tym nie wiedzą. Wskrzeszają Ideę — mówi dalej Gall, zastanawiając się, co też może o tym myśleć Jurema. — Dlatego tu jestem. Dlatego chcę im pomóc.

Dyszy, jakby wykrzyczał te słowa. Teraz zmęczenie dwóch poprzednich dni, pogłębione rozczarowaniem, że nie zastał Rufina w Queimadas, znów ogarnia jego ciało, a pragnienie snu, rozprostowania kości, przymknięcia powiek jest tak wielkie, że postanawia wyciągnąć się na kilka godzin pod osłoną wozu. A gdyby tak zrobił to tutaj, w *tym* hamaku? Czy Jurema zgorszy się, jeśli o to poprosi?

— A człowiek, który przyszedł stamtąd, ten, którego wysłał święty, ten, z którym pan się spotkał, wie pan, kto to jest? — słyszy jej słowa. — To Pajeu. — Na Gallu nie robi to wrażenia, więc dodaje, zbity z tropu: — Nie słyszał pan o Pajeu? Najgorszy łajdak w całym sertonie. Żył z grabieży i mordu. Obcinał nosy i uszy tym, którzy mieli nieszczęście wejść mu w drogę.

Dźwięk dzwonek wybuchu ponownie, jednocześnie słychać wściekłe ujadanie u drzwi chaty, rzenie muła. Gall wspomina emisariusza z Canudos, przeciętą blizną twarz, niezwykle spokój, obojętność. Może popełnił błąd, nie mówiąc mu o broni? Nie, przecież nie mógł jej wówczas pokazać: tamten nie uwierzyłby obcemu, Gall wzmógłby tylko jego nieufność, wystawił na niebezpieczeństwo cały plan. Pies szczeka na podwórzu, zajadle; Gall widzi, jak Jurema chwytą za kij, którym gasiła ogień, i szybko idzie do drzwi. Zamyślony, rozpamiętuje wciąż postać emisariusza z Canudos, powtarza sobie, że gdyby wiedział, że to były bandyta, być może łatwiej by się z nim dogadał, patrzy, jak Jurema mocuje się ze skoblem, jak go podnosi, i w tym samym momencie coś nieuchwytnego, jakiś szmer, jakaś intuicja, jakiś szósty zmysł, może przypadek, mówi mu, co się stanie. Bo kiedy Juremę nagle odrzuca w tył impet otwieranych drzwi, pchniętych lub kopniętych od zewnątrz, a w sieni rysuje się sylwetka uzbrojonego w karabin mężczyzny, Galileo już trzyma w dłoni rewolwer i mierzy w intruza. Huk wystrzału budzi kury w kacie; latają w kółko jak opętane, a Jurema, która upadła na ziemię, nim kula zdążyła ją drasnąć, krzyczy przeraźliwie. Napastnik, widząc u swych stóp kobietę, waha się, zwleka kilka sekund, dostrzega Galla pośród przerażonego trzepotu kur, a kiedy zwraca ku niemu karabin, Gall już wystrzelił, gapiąc się na niego z głupkowatym wyrazem twarzy. Intruz wypuszcza karabin, cofa się, krztusi, dławi. Jurema znów krzyczy. Galileo reaguje wreszcie i doskakuje do leżącej broni. Pochyla się, by ją

podnieść, i wówczas, przez otwarte drzwi, widzi rannego, który wije się na ziemi, jęcząc głośno, za nim innego mężczyznę, który zbliża się biegiem z podniesionym karabinem, krzyżąc coś do tamtego, a jeszcze dalej trzeciego mężczyznę, który zaprzęga konia do wozu z ładunkiem broni. Gall nie celuje, strzela. Ten, który biegł, chwieje się, toczy po ziemi, Gall słyszy skowyt bólu, strzela znowu. Myśli: „Zostały dwie kule”. Widzi obok siebie Juremę, widzi, jak pcha drzwi, jak je zamyka i rygluje skobel, jak niknie w głębi domostwa. Wstając, zastanawia się, kiedy upadł. Jest uwalany ziemią, poci się, szczęka zębami, ścisza rewolwer, mocno, aż bolą go palce. Patrzy przez szpary między deskami: wóz z bronią niknie w oddali w tumanie kurzu, a przed chatą pies ujada wściekle na dwóch rannych mężczyzn, którzy pełzną ku zagrodzie owiec. Mierzy, wystrzeliwuje dwie ostatnie kule z rewolweru; zdaje mu się, że słyszy ludzkie wycie pośród ujadania i dzwonek. Tak, teraz ich dostał: znieruchomieli w połowie drogi między chatą a zagrodą. Jurema wciąż krzyczy, oszalałe kury gdaczą, latają na oslep, wywracają sprzęty, objijają się o belki, o niego. Opędza się od nich rękami i wraca do szpary w deskach. Gdyby nie dwa ciała, jedno na wpół przywalone drugim, można by powiedzieć, że nic nie zaszło. Z trudem łapiąc oddech, potykając się o kury, brnie do drzwi. Widzi w oddali samotny, odludny pejzaż, szczone ciała. Myśli: „Zabrali karabiny”. Myśli: „Gorzej, gdybym leżał martwy”. Dyszy, oczy ma szeroko rozwarte. W końcu podnosi skobel, pcha drzwi. Cisza, nikogo.

Zgięty wpół biegnie do miejsca, gdzie stał wóz, słyszy brzęk dzwonek owiec, które krążą, potracając się i roztrącając między palikami zagrody. Czuje skurcz w żołądku, w gardle: strumień kurzu niknie na horyzoncie, w kierunku Riacho da Onca. Oddycha głęboko, przesuwa ręką po rudawej bródce. Wciąż szczęka zębami. Muł, uwiązany do kołka, trwa w leniwym błogostanie. Gall wraca do domu powoli, przystaje nad leżącymi ciałami. Są martwe. Wpatruje się w nieznane twarze, opalone, ściągnięte grymasem bólu. Wtem jego twarz wykrzywia nagły przypływ gniewu; zaczyna kopać bezwładne kształty, zajadle, miota obelgi. Jego furia udziela się psu, który ujada, doska-kuje, kąsa sandały nieżywych mężczyzn. Wreszcie Galileo uspokaja się. Wraca do chaty, powłócząc nogami. Wita go opętany trzepot kur. Podnosi ręce, osłania twarz. Jurema stoi pośrodku izby: drżąca figurka, suknia w strzępach, półotwarte usta, oczy pełne łez, włosy w nieładzie. Patrzy zdruzgotana na panujący wokół bałagan, jakby nie rozumiała, co się dzieje w jej domu; ujrawszy Galla, biegnie ku niemu, tuli się do jego piersi, bełkocze słowa, których on nie może zrozumieć. Stoi zeszywniały, w myślach pustka. Czuje tę kobietę na swojej piersi, patrzy z zakłopotaniem, ze strachem, na ciało, które przywarło do jego ciała, na szyję, pulsującą pod jego wzrokiem. Wdycha jej zapach i jak przez mgłę przebija się myśl: „To zapach kobiety”. Szum w skroniach. Z wysiłkiem podnosi rękę, obejmuje ramiona Juremy. Puszczając rewolwer, który ścisnął w dłoni przez cały czas, jego palce gładzą niezdarnie jej potargane włosy. „To ja miałem zginąć — szepcze do ucha Juremy. — Już po wszystkim, już zabrali, co chcieli”. Kobieta z wolna się uspokaja. Ustaje szloch, drżenie ciała, jej ręce uwalniają Galla. Ale on ciągle trzyma ją w uścisku, pieści włosy, a kiedy Jurema usiłuje się odsunąć, przytrzymuje ją. *Don't be afraid*— mamrocze, mrugając nerwowo — *They are gone. They...* Coś nowego, nieokreślonego, nagłego, gwałtownego pojawia się na jego twarzy, coś, co rośnie z każdą chwilą, a czego ledwie wydaje się świadom. Jego usta są tak blisko szyi Juremy. Ona cofa się gwałtownie, zakrywa piersi. Teraz próbuje oderwać się od Galla, ale on nie puszcza i przytrzymując ją, szepcze bez przerwy to samo zdanie, którego ona nie może zrozumieć: *Don't be afraid, don't be afraid*. Jurema okłada go pięściami, drapie, wreszcie wyrwywa się, ucieka. Ale Galileo rzuca się za nią, dopada jej, łapie, potyka się o stary kufer, pociąga ją na ziemię. Jurema kopie, walczy z całych sił, ale nie krzyczy. Słychać tylko przerywane dyszenie obojga, odgłosy szarpaniny, gdakanie kur, ujadanie psa, pobrzękiwanie dzwonek. Pośród ołowianych chmur wstaje słońce.

Gdy przyszedł na świat ze swymi nogami karzełka i głową olbrzymia, ludzie w Natubie pomyśleli, że im prędzej Pan Jezus zabierze go do siebie, tym lepiej dla niego i jego rodziców, bo jeśli przeżyje, będzie niedorozwiniętym kaleką. Sprawdziło się tylko to drugie. Najmłodszy syn ujeżdżacza koni Celestina Pardinasa nigdy, co prawda, nie nauczył się chodzić na dwóch nogach, miał jednak umysł chłonny, bystry, wszystkiego ciekawy, a gdy raz już coś weszło do jego wielkiej głowy, która tak śmieszyła ludzi, zostawało tam na zawsze. Wszystko w nim było osobliwe: że urodził się ułomny w rodzinie tak normalnej jak Pardinasowie; że choć był rachitycznym odmieńcem, nie umarł ani nie chorował; że zamiast chodzić na dwóch nogach jak człowiek, poruszał się na czworakach; że głowa urosła mu tak bardzo, iż zakrawało na cud, że jego wątłe ciało *może utrzymać jej ciężar*. Właściwą jednak przyczyną krążących po Natubie plotek, że nie ujeżdżacz koni go spłodził, lecz Diabeł, stała się umiejętność czytania i pisania, którą posiadał sam, bez niczyjej pomocy.

Ani Celestino, ani jego żona Gaudencia nie zadali sobie trudu — myśląc zapewne, iż na nic by się to zdało — żeby zaprowadzić go do kuma Asenia, który w chwilach wolnych od wypalania cegieł uczył portugalskiego, łaciny i trochę katechizmu. Tymczasem pewnego dnia, gdy kurier przywiózł do miasteczka edykt, który wywiesił na rynku, po czym tłumacząc się, że musi dostarczyć go przed zachodem słońca jeszcze do dziesięciu innych miejscowości, odjechał, nie potru-dziwszy się nawet, żeby go odczytać, a mieszkańcy Natuby daremnie próbowali odcyfrować niezrozumiałe hieroglify, tuż nad ziemią usłyszeli głosik Lwa: „Piszą, że jest groźba epidemii wśród zwierząt, że trzeba zdezynfekować stajnie i obory krezolem, palić śmieci i gotować wodę i mleko przed spożyciem”. Don Asenio potwierdził, że tak właśnie było napisane. Przyparty do muru przez sąsiadów, żeby powiedział, kto go nauczył czytać, Lew udzielił wyjaśnienia, które wielu wydało się podejrzanym: nauczył się sam, podpatrując tych, co umieją: kuma Asenia, rządcę Felisbela, znachora Abelarda i blacharza Zósima. Żaden z nich nie dawał mu lekcji, ale wszyscy czterej przypomnieli sobie, że często widzieli, jak nad stolikiem, gdzie czytali albo pisali listy, które ktoś im dyktował, wychylała się wielka, kudłata głowa Lwa, i pamiętali badawcze spojrzenie jego skupionych oczu. Faktem jest, że Lew się nauczył i odtąd widywano go ciągle, jak skulony w cieniu białych jaśminowych drzew Natuby zaczytywał się w gazetach, modlitewnikach, książkach do nabożeństwa, edyktach i wszelkim drukowanym słowie, jakie wpadło mu w ręce. Stał się kimś, kto zastruganym własnoręcznie ptasim piórem i atramentem z koszenili oraz soku pewnych roślin redagował dużymi, kształtnymi literami urodzinowe życzenia, zawiadomienia o zgonach, ślubach, narodzinach, chorobach, albo najzwyczajniejsze plotki, które raz w tygodniu zabierał z Natuby konny kurier, by zawieźć je do innych miasteczek. Lew czytał też sąsiadom listy. Był skrybą i lektorem dla własnej przyjemności, nie brał za to ani grosza, choć czasami ktoś odwdzięczał mu się drobnym podarkiem.

Nie nazywał się Lew, lecz Felicio, ale przezwisko, jak często bywa w tych stronach, gdy raz przyłgnęło, zastępowało imię. Przewali go Lwem chyba dla żartu, na pewno z powodu olbrzymiej głowy, która później, jakby przyznając rację dowcipnisiom, istotnie pokryje się gęstymi kudłami, opadającymi na uszy i podrygującymi przy każdym ruchu. A *może przyczyną*, był jego sposób chodzenia, niewątpliwie zwierzęcy, gdyż podpierał się jednocześnie nogami i rękami, które chronił podszewkami ze skóry, niby racice lub kopyta, przy czym postać jego, króciutkie nogi i długie ramiona, przypominała swym nierównym chodem raczej małpę niż drapieżnika. Nie zawsze tak było: mógł utrzymać się w pozycji pionowej przez chwilę i zrobić kilka ludzkich kroków na swoich dziwacznych nogach, ale zarówno jedno, jak i drugie bardzo go męczyło. Ów osobliwy sposób poruszania był przyczyną, dla której nigdy nie włożył spodni i nosił suknie, jak kobiety, misjonarze lub pokutnicy Dobrego Jezusa.

Mimo że pisał dla nich listy, sąsiedzi nigdy nie uznali go za swego. Skoro nawet

rodzice ledwie potrafili ukryć wstyd, że go spłodzili, a pewnego razu wręcz chcieli się go pozbyć, jakże mieliby ludzie z Natuby ujrzeć w takim odmienńcu istotę tego co oni gatunku? Dwanaścioro braci i siostr Pardinas unikało go i wiadomo było powszechnie, że nie jada z nimi przy stole, tylko z małego korytka. Tak więc nie zaznał miłości rodzicielskiej ani braterskiej (choć, jak się zdaje, miał pewne pojęcie o innej miłości), nie zaznał też *przyjaźni*, bo chłopcy w jego wieku z początku bali się go, a potem znęcali nad nim, opluwali, obrzucali kamieniami i wyzwiskami, jeśli ośmielił się zbliżyć, żeby popatrzeć, jak się bawią. On zaś starał się unikać takich spotkań. Od małego, intuicją czy też rozumem, odgadywał bezbłędnie, że inni zawsze będą mu niechętni, opryskliwi, często okrutni, powinien się więc trzymać od nich z daleka. Tak też było, przynajmniej aż do pamiętnego epizodu nad strumieniem. Widywano go zawsze w przezornej odległości, nawet na festynach i jarmarkach. A kiedy do Natuby zawitała misja święta, Lew przysłuchiwał się kazaniom z dachu kościoła Niepokalanego Poczęcia, jak kot. Ale owa taktyka usuwania się w cień nie wyzwoliła go od lęku. Najbardziej przesraszył go Cyrk Objazdowy Cygana. Przechodził przez Natubę dwa razy do roku ze swą karawaną cudaków: akrobatami, jasnowidzami, truwerami, pajacami. Pewnego dnia Cygan zapytał ujeżdżacza koni i Gaudencję, czy pozwolą mu zabrać Lwa, bo chce zrobić z niego cyrkowca. „Mój cyrk jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie nie będzie zwracał na siebie uwagi — tłumaczył — no i przyda się na coś wreszcie”. Zgodzili się bez oporu. Cygan zabrał go, ale po tygodniu Lew uciekł i pozostał w Natubie. Od tamtej pory, ilekroć cyrk pojawiał się w miasteczku, chłopiec przepadał jak kamień w wodę.

Ale jeszcze bardziej bał się pijaków, tej bandy pastuchów, którzy po całym dniu harówki przy pędzeniu bydła, piętnowaniu, kastrowaniu i strzyżeniu zajeżdżali do miasteczka, zsiadali z koni i gnali ugasić pragnienie w karczmie ciotki Epifanii. Wychodzili objęci wół, podśpiewując, zataczając się, czasami podochoceni, czasami wściekli, i szukali go po uliczkach, żeby zabawić się jego kosztem albo wyładować na nim złość. On rozwinął w sobie słuch nadzwyczaj ostry i poznawał ich na odległość po pijackim rechocie i przekleństwach: wówczas kuląc się, żeby go nie dostrzegli, przemykał truchcikiem pod ścianami i pędził co tchu do domu, a jeżeli miał daleko, chował się w krzakach lub chronił pod pierwszy lepszy dach i czekał, aż minie niebezpieczeństwo. Nie zawsze udawało mu się umknąć. Bywało, że podstępem — na przykład posyłając po niego chłopaka, który mówił, że taki a taki woła go do siebie, bo trzeba zredagować podanie do sędziego gminy — zwabiali go w pułapkę. Wtedy igrali z nim godzinami, ściągali zeń przyodziewek, żeby sprawdzić, czy pod suknią nie ukrywa innych jeszcze wynaturzeń, sadzali go na konia albo próbowali skrzyżować z kozą, bo chcieli sprawdzić, co wyniknie z takiej mieszanki.

Wiedzeni raczej poczuciem honoru niż troską, Celestino Pardinas i jego synowie wkraczali, gdy sprawy te docierały do ich uszu, i grozili dowcipnisiom, a raz nawet starsi bracia rzucili się z nożami i kijami, żeby wybawić skrybę od bandy sąsiadów, którzy podochoceni gorzałką unurzali go w melasie, wytarzali w śmietniku i oprowadzali na sznurku po ulicach jako zwierzę nieznanego gatunku. Rodzina jednak dość miała owych incydentów, w które wikłał ją bez przerwy niewygodny krewniak. Lew wiedział o tym najlepiej i dlatego nigdy nie słyszano, by skarżył się na dręczycieli.

Decydujący zwrot w życiu najmłodszego syna Pardinasów nastąpił w dniu, w którym córeczka blacharza Zósima, Almudia, jedyna spośród sześciorga rodzeństwa, która przeżyła — inne dzieci przyszły na świat martwe lub pomarły wkrótce po urodzeniu — zapadła na gorączkę i wymioty. Mikstury i zaklęcia starego Abelarda były równie bezskuteczne jak modlitwy rodziców. Znachor orzekł, że dziewczynka została urzeczona „złym okiem” i każdy sposób będzie daremny<sup>^</sup> póki nie odnajdą osoby, która rzuciła urok. Zrozpaczeni losem córki, radości ich życia, Zósimo i jego żona, Eufrasia, chodzili po Natubie od domu do domu, w poszukiwaniu sprawcy. I tak dotarła do nich pogłoska, że dziewczynkę widziano na

podejrzanej schadzce z Lwem, nad brzegiem strumienia płynącego do fazendy Mirandola. Wzięta na spytki chora wyznała, bredząc w gorączce, że tamtego ranka, kiedy szła odwiedzić swego chrzestnego ojca, wuja Nautila, przechodziła nad strumieniem, a Lew zapytał ją, czy chce posłuchać piosenki, jaką dla niej ułożył. I zaśpiewał, nim Almudia zdążyła rzucić się do ucieczki.

Tylko ten jeden jedyny raz przemówił do niej, ale już przedtem zauważyła, że spacerując po miasteczku, często, niby przypadkiem, spotykała Lwa, a coś w jego sposobie kulenia się na jej widok sprawiało, iż domyślała się, że chce ją zagadnąć.

Zósimo chwycił strzelbę i na czele gromady siostrzeńców, szwagrów i kumów, również pod bronią, odprowadzany przez tłum gapiów, ruszył do domu Pardinásów, dopadł Lwa, przyłożył mu lufę między oczy i zażądał odśpiewania piosenki, żeby Abelardo mógł odczynić urok. Lew stał oniemiały, z szeroko rozwartymi oczami, drżąc na całym ciele. Powtórzywszy kilkakrotnie, że jeśli nie zdejmie uroku, odwali mu plugawy łeb, blacharz odbezpieczył broń i strzelił w powietrze. Błysk paniki na jedną sekundę zmaćcił obłędem wielkie, mądre oczy. „Jeżeli mnie zabijesz, nie poznasz czaru i Almudia umrze”, wyszeptał wreszcie Lew głosem zmienionym przez strach. Cisza była zupełna. Pot zrosił czoło Zósima. Jego krewni trzymali na muszce Celesti-na Pardinasa i jego synów. „Pozwolisz mi odejść, jeśli ci powiem?”, ponownie ozwał się głosik potwora. Zósimo skinął głową. Wówczas, zachłystując się i fałszując, załamującym się młodzieńczym falsetem, Lew zaczął śpiewać. Zaśpiewał — będą opowiadać, wspominać, plotkować obecni przy tym mieszkańcy Natuby, a także ci, którzy byli wtedy daleko, lecz przysięgną, że słyszeli to na własne uszy — piosenkę o miłości, w której przewijało się imię Almudii. Kiedy Lew skończył, oczy miał pełne wstydu. „Puść mnie teraz!”, ryknął. „Puszczę cię, kiedy moja córka wyzdrowieje — odrzekł blacharz głucho. — Ale jeżeli nie wyzdrowieje, spalę cię na jej grobie. Przysięgam na jej duszę”. Spojrzał na Pardinásów — ojca, matkę, braci, skamieniałych pod lufami karabinów — i powtórzył dobitnie: „Spalę cię żywcem, chociażby moi i twoi przez całe wieki mieli się wzajemnie mordować”.

Almudia zmarła tej samej nocy w ataku torsji, wymiotując krwią. Ludzie spodziewali się, że Zósimo będzie szlochał, rwał włosy z głowy, przeklinał Boga albo pił na umór. Tymczasem nic takiego się nie stało. Oszołomienie poprzednich dni zastąpiła zimna determinacja, z jaką czynił przygotowania do pogrzebu córki, a zarazem egzekucji czarownika, sprawcy jej śmierci. Nigdy dotąd nie postąpił podle, bezprawnie, popędliwie, przeciwnie — był uczynnym i życzliwym sąsiadem. Dlatego wszyscy współczuli mu i z góry wybaczały to, co zamierzał zrobić, a niektórzy nawet pochwalali jego decyzję.

Zósimo kazał wkopać drewniany pał obok mogiły, naznosić słomy i suchych gałęzi. Pardinásowie siedzieli uwięzieni we własnym domu. Lew był w zagrodzie blacharza. Tam, ze spętanymi nogami i rękami, spędził noc: słyszał modlitwy czuwających, kondolencje, litanie i płacz. Następnego ranka wsadzili go na wózek zaprzężony w osły i z daleka, jak zwykle, jechał za orszakiem. Na cmentarzu, gdy pośród modłów spuszczano trumnę do grobu, Lwa — zgodnie z poleceniem blacharza — dwaj siostrzeńcy przywiązali do pała, po czym obłożyli go słomą i gałęziami, z którymi miał spłonąć. Prawie całe miasteczko zebrało się, żeby uczestniczyć w ofercie całopalenia.

Wówczas nadszedł święty. Zapewne już poprzedniej nocy lub wczesnym rankiem zjawił się w Natubie i zapewne ktoś go powiadomił, na co się zanoszą. Ale takie wyjaśnienie było zbyt pospolite dla ludzi, którzy łącniej wierzyli w to, co nadprzyrodzone, niż w to, co naturalne. Powiedzą później, że to jego prorocki dar albo sam Dobry Jezus przywiódł go w te właśnie okolice bahijskiego sertonu i w tej właśnie chwili, aby naprawił błąd, udaremnił zbrodnię lub po prostu dał dowód swej mocy. Nie przychodził sam, jak dawniej, gdy pierwszy

raz pojawił się w Natubie, ani w asyście dwóch zaledwie czy trzech pielgrzymów, jak za drugim razem, gdy nie tylko nauczał, ale odbudował też kaplicę opuszczonego klasztoru jezuitów w rynku. Teraz otaczało go co najmniej trzydziestu wyznawców, których twarze promieniały szczęściem, mimo iż wszyscy byli wychudzeni i wynędzniali jak on sam. Na ich czele utorował sobie przejście poprzez tłum aż do grobu, gdzie rzucano ostatnie łopaty piachu.

Mężczyzna w fiolecie zwrócił się do Zósima, który stał ze spuszczoną głową, patrząc w ziemię. „Pochowałeś ją w najlepszej sukience, w solidnej trumnie?“, zapytał uprzejmie, choć niezbyt serdecznie. Zosi mo przytaknął, ledwie skinąwszy głową. „Pomódlmy się zatem do Ojca, żeby ją przyjął w niebie z radością“, rzekł Nauczyciel. A pątnicy, otoczywszy grób pierścieniem, odśpiewali wraz z nim pobożne pieśni i psalmy. Dopiero potem wskazał święty na pal, gdzie tkwił przywiązany Lew. „Co chcesz uczynić temu chłopcu, bracie?“, zapytał. „Spalę go“, odparł Zósimo. I w ciszy, która zdawała się dźwięczeć, opowiedział, dlaczego postanowił to zrobić. Święty skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem ruszył w stronę Lwa i gestem nakazał ludziom odsunąć się nieco. Cofnęli się kilka kroków. Święty pochylił się i szeptał coś do ucha związanego chłopca, a potem przybliżył swoje ucho do warg Lwa, by usłyszeć, co mu powie. I tak przysuwał Nauczyciel głowę to do ucha, to do warg więźnia, i czynili sobie zwierzenia. Wszyscy zamarli bez ruchu w oczekiwaniu na coś niezwykłego.

I rzeczywiście, nastąpiło coś równie zdumiewającego jak widok człowieka żywcem płonącego na stosie. Bo gdy zamilkli obaj, święty /e spokojem, który nigdy go nie opuszczał, nie ruszywszy się z miejsca, rzekł: „Chodź i rozwiąż go!“. Blacharz spojrział nań zaskoczony. „Ty sam go rozwiążesz!“, zagrział człowiek w fioletowej sukni, a jego głos przejął dreszczem zgromadzonych.

„Chcesz, żeby twoja córka poszła do piekła? Czyż ogień tam nie jest gorętszy, czyż nie płonie dłużej niż ten, który ty chcesz rozniecić? — zagrział znowu, jakby zdruzgotany podobną głupotą. — Zabobonny, bezlitosny grzeszniku — powtórzył. — Żałuj tego, co chciałeś uczynić, chodź i rozwiąż go, i proś go o przebaczenie, i błagaj Ojca, żeby nie wydał twojej córki na piekielne męki za twoje tchórzostwo i twoją złość, człowieku małej wiary“. I tak lżył go, ponaglał, przerażał myślą, że przez niego Almudia pójdzie do piekła. Aż miejscowi ujrzeni, że Zósimo, zamiast strzelić mu w łeb, pchnąć nożem albo spalić wraz z odmieńcem, usłuchał i z płaczem błagał na kolanach Ojca, Dobrego Pana Jezusa, Ducha Świętego i Najświętszą Panienkę, żeby duszyczka Almudii nie stoczyła się w czeluść piekła.

Kiedy Nauczyciel, po dwóch tygodniach modlitw, nauk, pocieszenia cierpiących i radzenia zdrowym, wyruszył do Mocambo, cmentarz w Natubie okalał ceglany murek, a na każdym grobie stał nowy krzyż. Orszak świętego powiększył się o figurkę ni to zwierzęcą, ni to ludzką, która — widoczna, póki plama pielgrzymów nie rozmyła się na ziemi porosłej mandacarusami — biegła truchtem w gromadzie obdartusów, jak biegają konie, kozy, muły.

Myślał, śnił? Jestem na przedmieściach Queimadas, jest dzień, to jest hamak Rufina. Reszta była zamętem. A zwłaszcza splot okoliczności, który tego ranka raz jeszcze zmienił bieg jego życia. W półśnie trwał uporczywie we władzy zdumienia, jakie ogarnęło go, kiedy skończył kochać się z Juremą i zapadł w sen.

Tak, komuś, kto wierzy, że przeznaczenie jest w dużej mierze wrodzone, wypisane w substancji mózgu, że zręczne dłonie i jasnowidzące oczy mogą z rysunku czaszki wyczytać los, trudno było uznać istnienie owego nieprzewidzianego marginesu, którym inne byty mogą manipulować z przerażającym pominięciem jego własnej woli i jego osobistych możliwości. Jak długo odpoczywał? Znużenie w każdym razie zniknęło. Czy zniknęła także dziewczyna? Poszła prosić o pomoc, zawołać ludzi, żeby przyszli go schwytać? Myślał czy też śnił:

„Marzenia rozwiały się w dym wówczas, gdy powinny się spełnić”. Myślał czy też śnił: „Nieszczęścia chodzą parami”. Spozrzegł, że się okłamuje: nie jest prawdą, iż u przyczyn niepokoju i zdumienia tkwi fakt, że nie zastał Rufina, że był o włos od śmierci, że zabił dwóch ludzi, że zrabowano mu przeznaczoną dla Canudos broń. To tamten szał, nagły, niezrozumiały, niepowstrzymany, który sprawił, że zgwałcił Juremę, choć przez ostatnie dziesięć lat nie tknął kobiety, był koszmarem dręczącym w półśnie Galileo Galla.

W młodości kochał wiele kobiet, miewał towarzyszki, bojowniczkę wspólnej idei. Dzielił z nimi krótkie etapy drogi. W czasach barcelońskich żył z pewną robotnicą: była w ciąży, gdy ruszyli do szturm na koszary, dowiedział się, że po jego ucieczce z Hiszpanii wyszła za męża za jakiegoś piekarza. Kobiety jednak nigdy nie zajmowały w życiu Galileo Galla poczesnego miejsca, jak na przykład nauka lub rewolucja. Seks był dla niego — podobnie jak pożywienie — czymś, co zaspokaja podstawowe potrzeby, a potem wywołuje uczucie przesyty. Najstaranniej skrywaną decyzję swego życia podjął dziesięć lat później. A może jednaście? Albo dwanaście? W głowie wirowały mu daty, ale miejsce pamiętał dobrze. Było to w Rzymie. Zbiegłszy z Barcelony, schronił się tam w mieszkaniu pewnego aptekarza, współpracownika anarchistycznej prasy, którego poznał we włoskim więzieniu. Jak żywe, obrazy stanęły w pamięci Galla. Najpierw podejrzewał tylko, potem przekonał się: ten włoski towarzysz nagabywał prostytutki pod Koloseum, sprowadzał je sobie do domu pod jego nieobecność i płacił im, żeby pozwoliły się chłostać. Dotąd widzi łzy nieszczęśnika, wylane tej nocy, kiedy go zwymyślał, słyszy wyznanie, że rozkosz odczuwa tylko wtedy, gdy zadaje ból, że może kochać tylko wtedy, gdy widzi skatowane ciało wstrząsane spazmem strachu. Myślał czy też śnił, że znów słyszy błaganie o pomoc i w półśnie, jak tamtej nocy, obmacywał czaszkę swego towarzysza: wyczuwał pod palcami wybrzuszenie w strefie najniższych skłonności, rozpaloną wypukłość, gdzie Spurzheim umiejscowił organ płciowości, dostrzegał deformacje krzywizny potylicznej, niżej, u nasady karku, zniekształcenie jam będących siedliskiem instynktu niszczenia. (W tej samej chwili na nowo przeżył gorącą atmosferę gabinetu Mariana Cubi; zdawało mu się, że słyszy, jak uczony cytuje przykład Jobarda le Joly, podpalacza Genewy, którego głowę zbadał po ścięciu: „Strefa okrucieństwa była tak przerośnięta, że robiła wrażenie wielkiej narośli, ciężarnego brzucha czaszki”). Wówczas doradził mu: „Nie nałóg, ale seks musisz w sobie zwalczyć”; tłumaczył, że jego destrukcyjne skłonności, nie znajdując ujścia w seksie, zwrócą się ku celom etycznym i społecznym, pomnożą w nim zapał do walki o wolność i likwidację wyzysku. Bez drżenia głosu, patrząc mu badawczo w oczy, zaproponował braterską pomoc: „Zróbmy to wspólnie. Będę ci towarzyszył w postanowieniu, abyś uwierzył, że można. Przysięgnijmy obaj, że nigdy więcej nie tkniemy kobiety”. Czy aptekarz dotrzymał słowa? Przypomniał sobie jego zakłopotane spojrzenie, jego głos tamtej nocy i pomyślał czy też wyśnił: „To mięczak”. Słońce wdierało się pod przymknięte powieki, raniło źrenice.

Ale przecież on nie jest mięczakiem, on mógł, aż do tego ranka, dotrzymać przysięgi. Rozum i wiedza dały mu siłę, umocniły postanowienie, będące z początku zwykłym gestem ideowej solidarności. Czyż gonitwa za rozkoszą, niewola instynktu nie stanowią zagrożenia dla kogoś, kto bez reszty zaangażował się w wojnę na śmierć i życie? Potrzeby seksualne mogą wszak oderwać od ideałów. Nie, nie to dręczyło latami Galileo Galla, że dobrowolnie wyrzekł się kobiety, ale myśl, że tak samo działa wróg, czyli katolicy księża. I nic nie pomagała mu świadomość, że podczas gdy nimi kieruje ciemnota i przesąd, on — przeciwnie — pragnie lekkości i siły, gotowości do walki, by zespolić to, co Kościół utrzymuje we wzajemnej wrogości: niebo i ziemię, ducha i materię. Jego postanowienie nigdy nie zostało zagrożone. „Do dzisiaj”, pomyślał czy też wyśnił Galileo Gall. Wierzył dotąd niezłomnie, że wyrzeczenie sublimuje się w nim we wzmożony głód wiedzy, w rosnącą zdolność działania. Nie, znowu się okłamuje. Rozum może ujarzmić seks na jawie, ale nie we śnie. Jakże często



nocą, kiedy leżał uśpiony, kuszące kobiece kształty wślizgiwały się na posłanie, przywierały do jego ciała i przemocą wydzierają pieszczoty. Myślał czy też śnił, że trudniej mu było oprzeć się tym zjawom niż kobietom z krwi i kości; wspominał, że tak jak dorastający chłopcy albo towarzysze zamknięci w więzieniach całego świata, wiele razy oddawał się miłości tych nienamacalnych postaci, tworców niezaspokojonej żądz.

Z przerażeniem myślał czy też śnił: „Jak mogłem? Dlaczego mogłem?”. Dlaczego rzucił się na tę dziewczynę? Broniła się, a on ją bił: pełen zgrzyoty zapytywał się, czy bił ją i potem, kiedy uległa i pozwoliła się obnażyć. Co się z tobą stało, towarzyszu? Śnił czy też myślał: „Nie znasz siebie, Gall”. To prawda, on sam nie umiał niczego wyczytać z własnej czaszki. Ale przecież badali ją inni: znaleźli impul-sywność i ciekawość, niewrażliwość na piękno, niezdolność do kontemplacji oraz obojętność na wszystko, co oderwane od praktycznego działania i czynności ciała. Nikt jednak nigdy nie spostrzegł, nawet w najskrytszych zakamarkach jego duszy, najmniejszej anomalii seksualnej. Śnił czy też myślał, o czymś, co już wcześniej przychodziło mu na myśl: „Nauka wciąż jeszcze jest oliwnym kagankiem, który migocze w wielkiej jaskini ciemności”.

W jaki sposób poranne zajście wpłynie na jego życie? Czy powzięta w Rzymie decyzja ma jeszcze jakiś sens? Powinien odnowić ją po tym, co się stało, czy zmienić? A może to był przypadek? Jak wyjaśnić naukowo wydarzenia tego ranka? W jego duszy — nie, raczej w duchu, słowo „dusza” skażone jest brudem religii — w zakamarkach świadomości narastały przez te wszystkie lata pokłady apetytów, w jego przekonaniu wykorzenionych na zawsze, energia skierowana, jak mniemał, ku celom godniejszym niż rozkosz. Owa utajona akumulacja eksplodowała tego ranka, wzbudzona iskrą okoliczności, nerwami, napięciem, strachem, niespodzianą napaścią, rabunkiem, strzelaniną, śmiercią. Ale czy to cokolwiek tłumaczy? Ach, gdyby mógł to wszystko rozważyć jako problem cudzy, obiektywnie, z kimś takim jak stary Cubi. I przypomniał sobie tamte rozmowy, które uczony frenolog nazywał sokratejskimi, a na wspomnienie wspólnych przechadzek po barcelońskim porcie i ulicznym labiryncie gotyckiej dzielnicy serce ścisnęło mu się tęsknotą. Nie, byłoby nierozsądnie, prostacko, głupio trwać w rzymskim postanowieniu, upór doprowadziłby w przyszłości do zdarzenia identycznego lub nawet groźniejszego niż to, do którego doszło tego ranka. Myślał czy też śnił, z gorzkim sarkazmem: „Trzeba ulec pokusie cudzołóstwa, Galileo”.

Pomyślał o Juremie. Czy jest istotą myślącą? Raczej oswojonym zwierzęciem: posłusznym, uległym, zdolnym uwierzyć, że figury świętych uciekają z kościołów do grot, gdzie zostały wyrzeźbione, przyuczonym jak inne służące barona, by hodować kury i owce, karmić męża, opierać go i rozkładać nogi tylko dla niego. Pomyślał: „Teraz być może zbudzi się z letargu i ujrzy swoją krzywdę”. Pomyślał: „Ja jestem twoją krzywdą”. Pomyślał: „Kto wie, może wyświadczyłeś jej przysługę”.

Pomyślał o ludziach, którzy go napadli i zabrali wóz, i o tamtych dwóch, których zabił. Czy byli ludźmi Nauczyciela? Przewodził im ten z garbarni Queimadas, ten Pajeii? Nie spał, nie śnił, chociaż wciąż leżał z zamkniętymi oczami, bez ruchu. To mógł być tylko on, Pajeii: wziął go za szpiega albo handlarza szykującego zasadzkę na jego oddział, kazał go śledzić, a kiedy odkrył broń, postanowił zdobyć ją dla Canudos. Oby tak było, oby w tej chwili karabiny jechały w stronę zbuntowanej osady jako wsparcie dla jaguncos przed zbliżającą się nawałą. Dlaczego miałby mu zaufać, ten Pajeju? Jakaś ufność może budzić cudzoziemiec, który mówi nieskładnym językiem i wygłasza mętne poglądy? „Zabiłeś dwóch towarzyszy, Gall”, pomyślał. Nie spał: to ciepło to słońce poranka; ten hałas to dzwonki owiec. A jeśli wpadły w ręce pospolitych bandytów? Mogli iść za nim i Kajfaszem zeszłej nocy, kiedy wieźli broń z fazendy, po spotkaniu z Epami-nondasem. Przecież okolica podobno roi się od cangaceiros? Czyżby działał pochopnie, nierozsądnie? Pomyślał:

„Powiniennem wyładować karabiny, przenieść je tutaj”. Pomyślał: „Wtedy ty byłbyś martwy, a broń i tak by zabrali”. Poczul, że jest w rozterce: Wrócić do Bahii? Iść do Canudos? Otworzyć oczy? Wstać z hamaka? Stawi wreszcie czoło rzeczywistości czy nie? Słyszał dzwonki, słyszał szczekanie, a teraz usłyszał jeszcze kroki i jakiś głos.

## **Rozdział VII**

Kiedy kolumny oddziałów majora Febronia de Brito wraz z garstką markietanek, które jeszcze wówczas ciągnęły za nimi, zeszyły się w miejscowości Mulungii, o dwie mile od Canudos, ekspedycja została bez tragarzy i przewodników. Odkąd tropiciele, wynajęci w Quei-madas i Monte Santo do prowadzenia patroli, zaczęli spotykać na drodze dymiące osiedla, przestali ukrywać swą niechęć, a pewnego zmierzchu zniknęli wszyscy naraz, gdy tymczasem żołnierze, wyciągnięci, ramię przy ramieniu, na gołej ziemi, rozmyślali o ranach, a może i śmierci, jaka czeka ich za szczytami, które odcinały się na tle nieba w kolorze indygo, stopniowo przechodzącym w czerń.

W jakieś sześć godzin potem przewodnicy-dezertery zjawili się w Canudos, zadyszani, by błagać Nauczyciela o przebaczenie, że służyli Bestii. Zaprowadzono ich do sklepu braci Vilanova; tam Joao Mnich wypytał ich drobiazgowo o nadciągające wojska, po czym powierzył opiece Aniołka, który zawsze przyjmował nowo przybyłych. Tropiciele musieli przysiąc przed nim, że nie są republikanami, że nie zgadzają się na rozdział Kościoła od państwa ani na obalenie cesarza Pedra II, ani na śluby cywilne, ani na świeckie cmentarze, ani na dziesiętny system miar, że nie odpowiedzą na pytania spisu i że nigdy więcej nie będą kradli, upijali się ani zakładali o pieniądze. Potem nacięli swe ciała nożami, w dowód woli przelania krwi w walce z Antychrystem. Wówczas dopiero, pod strażą zbrojnych mężczyzn, poprowadzono ich do Sanktuarium; ludzie, wyrwani ze snu nowiną o nadejściu przewodników, poklepywali ich po plecach i ściskali im dłonie. Nauczyciel wyszedł do nich. Upadli na kolana, przeżegnali się, chcieli dotknąć jego szaty, całować jego stopy, wielu szlochało ze wzruszenia. A on, zamiast zwyczajnie ich pobłogosławić, patrząc w dal ponad ich głowami, jak czynił zawsze przy spotkaniu z pielgrzymami, pochylił się, kolejno podźwignął ich z kłęczek i spojrzął na każdego z osobna swymi czarnymi, pałającymi oczami, których żaden z nich nie zapomni już nigdy. Potem polecił Marii Ojuadrado i ośmiu służebniczkom ze Świętego Chóru, ubranym w luźne błękitne suknie przepasane konopnym sznurem, żeby zapaliły pochodnie w Świątyni Dobrego Jezusa, jak co wieczór, kiedy wstępował na wieżę, by nauczać.

W kilka chwil później był już na rusztowaniach, w otoczeniu Aniołka, Lwa z Natuby, Matki Ludzi i służebniczek, a u jego stóp, stłoczeni i złaknieni, w zapadającym zmierzchu stali mężczyźni i kobiety z Canudos, świadomi, że chwila jest wyjątkowa. Nauczyciel, swoim zwyczajem, od razu przystąpił do sedna. Mówił o Przeistoczeniu, o Ojcu i Synu, którzy są dwoje i jedno, i troje i jedno z Duchem Bożym, a żeby to, co ciemne, stało się jasne, tłumaczył im, że Belo Monte może być zarazem Jeruzalem. Wyciągniętym palcem wskazał wzgórze Faveli, Ogród Oliwny, gdzie Syn spędził okrutną noc Judaszowej zdrady, a nieco dalej, w górach Cañabrava, Golgotę, gdzie bezbożni ukrzyżowali Go między dwoma łotrami. Dodał, że Grób Święty znajduje się o ćwierć mili stąd, w Grajau, pośród szarych jak popiół rumowisk skalnych, gdzie bezimienni wyznawcy wzniesli krzyż. Potem szczegółowo opisał zdumionym, milczącym wybrańcom, którymi uliczkami Canudos biegła droga na Golgotę, gdzie upadł Chrystus po raz pierwszy, gdzie spotkał swoją Matkę, w którym miejscu otarła Mu twarz odkupiona grzesznica, skąd i dokąd pomagał Mu Cyrenejczyk dźwigać Krzyż. Gdy tłumaczył, że dolina Ipueiry jest Doliną Jozafata, po drugiej stronie szczytów odgradzających Canudos od reszty świata rozległy się strzały. Bez pośpiechu Nauczyciel wezwał rzeszę ludzi, rozdartych między magią jego głosu i hukiem wystrzałów, żeby zaśpiewali hymn ułożony

przez Aniołka — *Chwalmy pieśnią Cherubina*. Zaraz potem, z Joao Mnichem i Pajeii na czele, wyruszyły oddziały mężczyzn mające wzmocnić jaguncos, którzy już ścierali się z przednimi strażami majora Febronia de Brito na stokach góry Cambaio.

Gdy dobiegłszy na miejsce, zaczęli zajmować pozycje w okopach i rozpadlinach za skalnymi występami szczytu, na który żołnierze w czerwono-niebieskich i zielono-niebieskich mundurach usiłowali się wspiąć, byli już pierwsi zabici. Jaguncos, porzostawiani przez Joao Mnicha w owym jedynym możliwym przejściu, widzieli nadciągające w ciemnościach wojska, których główne siły odpoczywały w Rancho das Pedras — około ośmiu chałup, obróconych w zgliszcza przez podpalaczy — a jedna kompania piechoty, pod wodzą porucznika na srokatym koniu, posuwała się w stronę Cambaio. Obrońcy pozwolili im podejść, gdy zaś żołnierze zbliżyli się znacznie, jaguncos, na znak Jose Venancio, otworzyli do nich ogień z karabinów, strzelb, fuzji, zasypali gradem kamieni, strzał i obelg, wyzywając ich od „psów”, „masonów” i „protestantów”. Dopiero wówczas żołnierze spostrzegli ich obecność. Zawrócili i uciekli, porzucając trzech rannych i konia: rannych dognali i dobili zapalczywi jaguncos; koń stanął dęba, zrzucił jeźdźca i stoczył się na kamienne rumowisko, łamiąc nogi. Porucznik zdołał skryć się za skały i stamtąd otworzył ogień, a zwierzę, rozciągnięte na głazach, zostało i rżało posępnie jeszcze długo, gdy umilkła strzelanina.

Wielu jaguncos rozerwały na strzępy pociski armat Kruppa, które po wstępnej potyczce zaczęły bombardować górę, ryjąc ziemię gradem odłamków. Joao Wielki walczył obok Jose Venancio; zrozumiał wnet, że trwanie w zwartym szyku jest samobójstwem: przeskakując między kamiennymi płytami, wymachiwał rękami jak wiatrak skrzydłami i krzyczał, żeby się rozproszyli, bo w gromadzie wystawiają się na łatwy cel. Usłuchali i rozbiegli się, skacząc od skały do skały, to znów przypadając do ziemi, gdy tymczasem poniżej, rozdzieleni na szturmowe grupy prowadzone przez poruczników, sierżantów i kaprali, żołnierze w tumanie kurzu pięli się przy dźwiękach trąbki w górę Cambaio. Kiedy nadciągnął Joao Mnich z Pajeii i posiłkami, wojska były w połowie drogi na szczyt. Jaguncos, choć zdziesiątkowani, wciąż usiłowali zepchnąć wroga. Ci, którzy mieli broń palną, natychmiast zaczęli strzelać, pomagając sobie wrzaskiem. Ci, którzy mieli tylko maczety i noże albo kusze, służące zwykle mieszkańcom sertonu do polowań na kaczki i jelenie (tę właśnie broń, na polecenie Antonia Vilanovy, tuzinami wyrabiali teraz cieśle z Canudos), musieli zadowolić się podawaniem prochu i ładowaniem karabinów w oczekiwaniu, aż Dobry Jezus pozwoli im odziedziczyć broń lub przybliży wroga na tyle, że będą mogli zaatakować wręcz.

Działa Kruppa nieprzerwanie raziły strome zbocza góry, a odłamki skał powodowały tyleż ofiar co kule. Gdy nadszedł zmierzch, a czerwono-niebieskie i zielono-niebieskie postaci zaczęły rozrywać szeregi wybranych, Joao Mnich przekonał obrońców, że jeśli teraz się nie wycofają, znajdą się w okrążeniu. Wielu jaguncos zginęło, a jeszcze więcej zostało rannych. Ci, którym starczyło sił, by wykonać rozkaz — wycofać się i przedrzeć równiną płaskowyżu, znanego jako Tabolerinho, do Belo Monte — stanowili zaledwie nieco ponad połowę tych, którzy poprzedniego dnia i tego ranka przebyli tę drogę w przeciwnym kierunku. Jose Venancio wycofał się jako jeden z ostatnich: wsparty na kiju, kulejąc i krwawiąc, dostał kulę w plecy i padł, nim zdążył uczynić znak krzyża.

Nauczyciel od świtu trwał w Świątyni na modlitwie wraz ze służebniczkami, Marią Quadrado, Aniołkiem, Lwem z Natuby i rzeszą wiernych, którzy modlili się także, nasłuchując huku dział, chwilami bardzo wyraźnego, niesionego ku Canudos przez wiatr z północy. Pedrao, bracia Vilanova, Joaquim Macambira i inni, którzy zostali, żeby przygotować miasto do obrony, zajęli stanowiska na brzegach Vassa Barris. Przenieśli tam całą broń, proch i naboje, jakie znaleźli. Kiedy stary Macambira ujrzał jaguncos

powracających z Cambaio, mruknął, że widać Dobry Jezus chce, żeby poganie weszli do Jeruzalem. Żaden z jego synów nie spostrzegł przejęzyczenia.

Ale nie weszli. Bój rozstrzygnął się jeszcze tego samego dnia, nim zapadła noc, na równinach Tabolerinho, gdzie w tej właśnie chwili padali na ziemię oszołomieni szczęściem i zmęczeniem żołnierze trzech oddziałów majora Febronia de Brito: w oddali, na stokach góry, widzieli niedobitki uciekających jaguncos, a niżej, o niespełna milę marszu, przeczuwali bezładne skupisko słomianych dachów i dwie wyniosłe, kamienne wieże: miejsce jutrzejszego zwycięstwa. W czasie, gdy ocalali jaguncos wchodzili do Canudos — ich przybycie wywołało zamieszanie, gwar podnieconych głosów, szloch, krzyki, głośne modły — żołnierze z ulgą rzucali się na ziemię, rozpinali czerwono-niebieskie i zielono-niebieskie bluzy, ściągali sztylpy, tak wyczerpani, że nie mieli siły mówić o tym, jak bardzo się cieszą z klęski wroga. Zebrani na naradzie sztabu major Febronio i jego czternastu oficerów postanowili rozbić obóz na tym nagim płaskowyzu, obok nieistniejącego jeziora, zwanego na mapie Stawem Lian, a które — począwszy od tego dnia — zwać będą Stawem Krwi. Nazajutrz, o pierwszym brzasku, ruszą do szturm na gniazdo fanatyków.

Lecz nim upłynęła godzina, w czasie gdy porucznicy, sierżanci i kaprale dokonywali przeglądu otumanionych zwycięstwem oddziałów, ustalali listę poległych, rannych i zaginionych, a z labiryntu skał wciąż jeszcze wychodzili żołnierze tylnej straży, ruszono do szturm na ich obóz. Zdrowi czy chorzy, mężczyźni czy kobiety, dzieci czy starcy, wszyscy wybrani zdolni do walki runęli na nich jak lawina. Joao Mnich przekonał jaguncos, że powinni zaatakować tam właśnie i w tej właśnie chwili, wszyscy razem, ponieważ „potem” już nie nastąpi, jeśli teraz tego nie uczynią. Ruszyli za nim bezładną gromadą, pędząc przez równinę na oślep niczym stado bydła. Szli uzbrojeni we wszystkie wizerunki Dobrego Jezusa, Najświętszej Pani i Ducha Świętego, jakie były w mieście; ściskali w garści wszystkie kołki, drągi, sierpy, widły, noże i maczety Canudos, a jeszcze garłacze, strzelby, karabiny, fuzje i mannichery zdobyte pod Uaua; obrzucali wroga gradem kul, gwoździ, blach, strzał i kamieni, wrzeszcząc przeraźliwie, opętani tą zuchwałą odwagą, jaką wdychali wraz z powietrzem serotonu od dnia swoich narodzin, zwielokrotnioną teraz w miłości do Boga i nienawiści do Księcia Ciemności, którą święty umiał ich natchnąć. Żołnierze nie mieli nawet czasu ochłonąć ze zdumienia: ujrzeni naraz, pośrodku nagiej równiny, rozwrzeszczony tłum mężczyzn i kobiet, pędzących wprost na nich, jakby nie ponieśli żadnej klęski. Kiedy strach wstrząsnął nimi, otrzeźwił ich, poderwał na nogi i chwycili za broń, było już za późno. Jaguncos pojawili się nad nimi, między nimi, za nimi, przed nimi, strzelali, cięli nożami, ciskali kamieniami, dźgali gwoździami, gryźli, wydzierali im karabiny, ładownice, włosy, oczy, a przede wszystkim obrzucali ich najdziwniejszymi wyzwiskami, jakie kiedykolwiek słyszały ich uszy. Najpierw nieliczni, za nimi reszta, rzucili się do ucieczki w rozsypce, w obłędzie, w popłochu, w niej słusznie upatrując ratunku w obliczu tego nagłego, niedorzecznego ataku, który miał w sobie coś, co przekraczało ludzką miarę. W ciemnościach, jakie zapadły, gdy ognista kula pograżyła się w mrocznej otchłani za szczytami, pierzchali samotnie lub grupkami po tych samych zboczach, na które z takim wysiłkiem wspinali się przez cały dzień pełen znoju: miotali się na wszystkie strony, potykali się, wstawali, zrzucaли w biegu mundury w nadziei, że przemkną się niezauważeni, błagali noc, żeby wreszcie nadeszła i żeby była ciemna.

Mogli polec wszyscy, mogło być tak, że nie ocalałby ani jeden oficer, ani jeden szeregowiec, żeby opowiedzieć światu historię tej bitwy już wygranej, a tak nagle przegranej; mogli być ścigani, tropieni, osaczeni i wybici do nogi — pół tysiąca zwyciężonych ludzi, którzy biegali na oślep, uskrzydleni strachem i wstydem; mogło tak być, gdyby zwycięzcy wiedzieli, że logiką wojny jest całkowite zniszczenie przeciwnika. Ale logika wybrańców Dobrego Jezusa nie była z tego świata. Wojna, którą rozpętali, była tylko z pozoru wojną

ziemską, wojną umundurowanych przeciw obdartym, wybrzeża przeciw interiorowi, nowej Brazylii przeciw Brazylii starej. Wszyscy jaguncos mieli świadomość, iż są tylko marionetkami wojny niezgłębionej, pozadoczesnej i wiecznej, wojny Dobra ze Złem, która toczy się od zarania czasu. Dlatego pozwolili uciec żołnierzom, sami zaś, przy świetle pochodni, udali się na ratunek zmarłym i rannym braciom, leżącym na równinie płaskowyzu lub na stokach Cambaio, z grymasem bólu lub miłości do Boga zastygłym na twarzach, o ile kule oszczędziły ich twarze. Całą noc przenoszono rannych do Domów Zdrowia w Belo Monte, a trupy poległych, przyodziane w odświętne stroje i wepchnięte do zbitych naprędce trumien, zabrano na velorio do Świątyni Dobrego Jezusa i kościoła Świętego Antoniego. Nauczyciel postanowił, że nie pogrzebią ich, aż przybędzie proboszcz z Cumbe i odprawi mszę za ich dusze, więc jedna ze służebniczek ze Świętego Chóru, Alejandrinha Correa, poszła go sprowadzić. Gdy na niego czekano, Antonio Pirotechnik przygotował sztuczne ognie, a potem odbyła się procesja. Nazajutrz wielu jaguncos powróciło na pole bitwy. Obnażyli żołnierzy i porzucili nagie trupy, żeby zgniły niepochowane. W Canudos spalili mundury wraz z całą zawartością: republikańskimi banknotami, tytoniem, odznaczeniami, puklami włosów kochanek lub córek, pamiątkami, które w ich oczach były przedmiotami skazanymi na potępienie. Oszczędzili jednak strzelby, bagnety i naboje, bo prosili ich o to bracia Vilanova, Joao Mnich i Pajeu, a sami również rozumieli, że broń stanie się niezbędną, jeśli znów zostaną napadnięci. Niektórzy sprzeciwiali się, lecz Nauczyciel osobiście nakazał im oddać owe mannichery, winchestery, rewolwery, skrzynki z prochem, pasy z nabojami i puszki smaru pod opiekę Antonia Vilanovy. Dwa działa Kruppa zostały u stóp Cambaio, w miejscu, skąd ostrzeliwały górę. Spalono wszystko, co nadawało się w nich do spalenia — koła i lawety — a żelazne lufy zawleczono z pomocą mułów do miasta, żeby kowale je przetopili. W Rancho das Pedras, gdzie stało ostatnie obozowisko majora Febronia de Brito, ludzie Pedroa znaleźli sześć kobiet, zgłodniałych i rozczochranych, które wcześniej ciągnęły za wojskiem, gotowały żołnierzom, prały im bieliznę i obdarzały ich miłością. Przeprowadzili je do Canudos, Aniołek jednak wypędził je, mówiąc, że nie może przebywać w Belo Monte ten, kto dobrowolnie służył Antychrystowi. Jedną z tych kobiet, brzemienną, dwóch cafuzos z bandy Jose Venancio, zrozpaczonych jego śmiercią, schwytało w okolicach osady: otworzyli jej brzuch cięciami maczety, wydarli płód, a na jego miejsce włożyli żywego koguta, przekonani, że wyświadczą tym przysługę swojemu szefowi na tamtym świecie.

Słyszysz dwa lub trzy razy imię Kajfasz w potoku słów, których nie rozumie, z wysiłkiem otwiera oczy, tu stoi żona Rufina, nad hamakiem, wzburzona, porusza ustami, wydaje hałaśliwe dźwięki, jest już biały dzień, przez drzwi, przez szpary między deskami słońce strumieniem wlewa się do izby. Światło razi go boleśnie; mruga, trze powieki, wstaje. Bezładne obrazy docierają doń jak przez mgłę, a w miarę jak rozjaśnia mu się w mózgu, w miarę jak świat wyraźniej, wzrok i umysł Galileo Galla odkrywają metamorfozę izby: jest starannie posprzątana, podłoga, ściany, sprzęty błyszczą, jakby wszystko zostało wymyte i wypolerowane. Już rozumie, co mówi Jurema: Kajfasz, idzie Kajfasz. Żona tropiciela zmieniła suknię, którą na niej podarł, na ciemną bluzkę i spódnicę, jest bosa, wystraszona, a Gall, podczas gdy usiłuje przypomnieć sobie, gdzie upuścił rewolwer wtedy o świcie, powtarza w myślach, że nie ma powodu do niepokoju, bo przecież to idzie ten sam encuerado, który zaprowadził go do Epaminondasa Goncalvesa i odstawił z powrotem razem z bronią, czyli jest to osoba, jakiej w tej chwili potrzebuje najbardziej. Tam leży rewolwer, obok walizeczki, pod obrazkiem Najświętszej Paniienki z Lapy, zawieszonym na gwoździu. Bierze broń do ręki, myśli, że jest nie nabita, i w tej samej chwili w drzwiach widzi Kajfasza.

— *They tried to kill me* — mówi pospiesznie, spostrzega swój błąd i powtarza po portugalsku: — Chcieli mnie zabić, zabrali broń. Muszę się zobaczyć z Epaminondasem Goncalvesem, natychmiast.

— Dzień dobry — mówi Kajfasz, podnosi dwa palce do kapelusza ozdobionego skórzanymi frędzlami, po czym, nie zdejmując go, skłania się Juremie w sposób, który wydaje się Gallowi absurdalnie uroczysty. Potem odwraca się do niego, robi ten sam gest i powtarza: — Dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiada Gall i nagle czuje się śmieszny z rewolwerem w rękę. Zatyka go za pas, między spodnie i gołe ciało, podchodzi dwa kroki do Kajfasza, spostrzega zmieszanie, zawstydzenie, zakłopotanie, jakie opanowały Juremę, gdy wszedł Kajfasz: kobieta stoi bez ruchu, wzrok wbity w podłogę, nie wie, co zrobić z rękami. Galileo wskazuje na podwórze.

— Widziałeś tych martwych ludzi, tam, przed domem? Był z nimi jeszcze jeden, zabrał broń. Muszę porozmawiać z Epaminondasem, muszę go ostrzec. Zaprowadź mnie do niego.

— Widziałem — mówi Kajfasz sucho. I zwraca się do Juremy, która wciąż stoi ze spuszczoną głową, jak skamieniała, tylko palce drgają jej spazmatycznie: — Do Queimadas przyszli żołnierze. Ponad pięciuset. Szukają przewodników do Canudos. Jeśli ktoś nie chce się zakontraktować, biorą siłą. Przyszedłem uprzedzić Rufina.

— Nie ma go — jąka Jurema, nie podnosząc głowy. — Jest w Jacobinie.

— Żołnierze? — Gall robi następny krok, niemal ociera się o przybysza. — To ekspedycja majora Brito już tam jest?

— Będzie defilada — przytakuje Kajfasz. — Stoją w szyku na placu. Przyjechali porannym pociągiem.

Gall zadaje sobie pytanie, dlaczego tego człowieka nie dziwią trupy przed chatą, dlaczego nie pyta, co się stało, jak się stało, dlaczego sterczy tu spokojny, nieporuszony, obojętny, kamienny, czekając — na co? — i powtarza sobie raz jeszcze, że tutejsi ludzie są dziwni, nieprzeniknieni, niepojęci jak ludzie Wschodu. Jakże chudy jest Kajfasz, kościsty, spalony słońcem, wystające kości policzkowe, oczy koloru wina, zawsze otwarte, nieruchome, spojrzenie, pod którym czuje się nieswojo, właściwie nie zna jego głosu, bo ledwie otworzył usta podczas dwu-krotnej podróży, jaką Gall odbył u jego boku; skórzana kamizelka, spodnie wzmocnione w kroku i na nogach skórzanymi łatami, nawet alpargaty — są jakby częścią jego ciała, szorstką, drugą skórą, skorupą. Dlaczego jego przyjście pograżyło Juremę w takim pomieszaniu? Czy z powodu tego, co zaszło między nimi kilka godzin temu? Kudłaty piesek zjawia się skądś nagle, skacze, dokazuje, bawi się u stóp Juremy i w tej chwili Galileo Gall spostrzega, że z izby zniknęły kury.

— Widziałem tylko trzech, jeden uciekł z bronią — mówi, przyglądając wzburzoną, rudą czuprynę. — Trzeba czym prędzej ostrzec Epaminondasa, to może być dla niego niebezpieczne, zaprowadź mnie do fazendy.

— Już go tam nie ma — mówi Kajfasz. — Słyszał pan wczoraj. Powiedział, że wraca do Bahii.

— Tak — mówi Gall.

Nie ma rady, on też będzie musiał wrócić do Bahii. Myśli: „Żołnierze już tu są”. Musi odejść, otrząsnąć się z niemocy, z tej śpiączki, która tak go męczy. Ale nie rusza się.

— To mogli być wrogowie Epaminondasa, ludzie gubernatora Luisa Viany, ludzie barona — mruczy, jakby zwracał się do Kajfasza, ale w rzeczywistości mówi sam do siebie. — W takim razie dlaczego nie przysłali Gwardii Narodowej? Ci trzej to nie byli żandarmi. Może bandyci, może potrzebowali broni dla siebie albo na handel.

Jurema, wciąż nieruchoma, stoi ze spuszczoną głową, a o metr dalej, zawsze kamienny, spokojny, beznamiętny Kajfasz. Piesek skacze, zijeje.

— W ogóle jest w tym coś dziwnego — zastanawia się Gall głośno, myśląc: „Muszę ukryć się aż do wymarszu żołnierzy, wracać do Salwadoru”, myśli zarazem, że ekspedycja majora Brito już tu jest, mniej niż dwa kilometry stąd, że wyruszy do Canudos i na pewno zdusi w zarodku kielkujący, ślepy bunt, w którym on, Gall, widzi albo chce widzieć załazek rewolucji.

— Szukali nie tylko broni. Chcieli mnie zabić, jestem pewien. I tego właśnie nie rozumiem. Kto może chcieć mojej śmierci tu, w Queimadas?

— Ja, proszę pana — słyszy ten sam bezbarwny głos Kajfasza, czuje, jak ostrze noża pograża się w jego szyi, ale refleks ma, zawsze miał, szybki, więc zdołał usunąć głowę, cofnąć się o kilka milimetrów w chwili, gdy encuerado rzucił się na niego, a nóż miał zatopić się w jego gardle, chybia i rani poniżej, z prawej strony, na granicy szyi i ramienia, pozostawiając w jego ciele uczucie raczej chłodu i zdumienia niż bólu. Pada na ziemię, dotyka rany, wie, że z jego palców ścieka krew, szeroko rozwartymi oczami patrzy jak urzeczony w człowieka o biblijnym imieniu, którego twarz nawet teraz się nie zmieniła, może tylko źrenice, przedtem matowe, błyszczą; w lewej ręce trzyma zakrwawiony nóż, a w prawej mały rewolwer o szylkretowej rękojeści. Celuje w głowę i pochylony nad nim udziela mu swoistego wyjaśnienia: — To rozkaz pułkownika Epaminondasa Goncalvesa, proszę pana. To ja zabrałem broń dziś rano; ja jestem szefem ludzi, których pan zabił.

— Epaminondas Goncalves? — charczy Galileo Gall i naraz ból gardła staje się bardzo dotkliwy.

— Potrzebuje angielskiego trupa — zdaje się usprawiedliwiać Kajfasz, naciskając spust, a Gall, który odruchowo pochylił twarz, czuje płomień w szczęce, we włosach, rwanie w uchu.

— Jestem Szkotem, nienawidzę Anglików — szepcze z wysiłkiem i myśli, że druga kula ugodzi jego ciało, usta lub serce, że straci przytomność, umrze, bo encuerado znowu podnosi broń. Ale wtem widzi bolid, zamęt, Juremę, która rzuca się na Kajfasza, wczepia w niego, próbuje obalić na ziemię — i Gall przestaje myśleć, budzi się w nim energia, o jaką by się nie podejrzewał, wstaje, rzuca się na Kajfasza, zamroczony, lecz świadom, że krwawi i płonie, i nim znów zaczyna myśleć, nim pojmuje, co się stało, co go ocaliło, resztkami sił wali kolbą rewolweru w szamoczącego się z Juremą enauerado. Zanim spostrzegą, że przeciwnik traci przytomność, uświadamia sobie, że nie na niego Kajfasz patrzy, kiedy osłania się od ciosów, kiedy pada pod ich naporem, lecz na Juremę, że zamiast nienawiści, zamiast gniewu z jego źrenic koloru wina wyziera tylko bezbrzeżne zdumienie, jakby nie był w stanie pojąć, co ona zrobiła, jakby to, że rzuciła się na niego, że wykręciła mu ramię, że pozwoliła jego ofierze powstać i zaatakować go, przerastało jego wyobraźnię, nie mogło się zdarzyć nawet we śnie. Ale gdy na wpół bezwładny, z twarzą spuchniętą od razów, zboczony własną krwią lub krwią Galla, puszcza nóż i rozluźnia palce zaciśnięte na broni, gdy Gall wyrzywa mu miniaturowy rewolwer i chce wystrzelić, ta sama Jurema nie pozwala mu na to, czepia się jego ręki, jak przedtem ręki Kajfasza, i krzyczy histerycznie.

— *Don't be afraid*— szepcze Gall, któremu brak sił na szarpaninę. — Muszę stąd odejść, przyjdą żołnierze. Pomóż mi wsiąść na muła, kobieto.

Otwiera i zamyka usta raz za razem, pewien, że za chwilę runie obok Kajfasza, który chyba się poruszył. Dopiero teraz czuje, że szyja pali go nieznośnie, że bolą go kości, paznokcie, włosy, ale idzie, z twarzą wykrzywioną z wysiłku, idzie przez izbę, potykając się o kufry, o sprzęty, idzie ku białemu płomieniowi światła, ku drzwiom, myśli: „Epaminondas

Goncalves", myśli: „Jestem angielskim trupem”.

Nowy proboszcz Cumbe, ojciec Joaquim, wjechał do miasta, bez fajerwerków i bicia dzwonów, pewnego chmurnego popołudnia, które zwiastowało burzę. Siedział na wozie zaprzężonym w woły, ze sfatygowaną walizą i parasolem dla ochrony przed deszczem i słońcem. Przebył długą drogę z Bengalas w Pernambuco, gdzie był proboszczem dwa lata. W następnych miesiącach będzie się mówiło, że biskup oddalił go stamtąd, bo przebrał miarę, zadając się z nieletnim dziewczętkiem.

Ludzie, których spotkał przy wjeździe do Cumbe, zaprowadzili go na plac Kościelny i pokazali zrujnowane, pełne dziur domostwo, gdzie mieszkał miejscowy proboszcz, kiedy jeszcze Cumbe miało proboszcza. Z domu, od lat służącego za śmietnik i przytułek bezpieczeństwa psów, zostały jedynie ściany. Ojciec Joaquim wprowadził się więc tymczasem do małego kościółka Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej, zestawil nadające się jeszcze do użycia ławki, wymościł sobie posłanie i rzucił się do snu tak jak stał.

Był młody, nieco przygarbiony, niski, odrobinę brzuchaty, a jego krotochwilna, wesola twarz od razu wzbudziła sympatię mieszkańców Cumbe. Gdyby nie sutanna i tonsura, nikt by go nie posądził o aktywny związek ze światem ducha, gdyż starczyło pobyc z nim choć chwilę, by pojąć, że tyleż samo, a może nawet więcej, obchodzą go rzeczy tego świata, zwłaszcza kobiety. Już w dniu przyjazdu udowodnił wszystkim, że umie żyć za pan brat z sąsiadami, jako jeden z nich, i że jego obecność nie naruszy w istotny sposób obyczajów panujących w miasteczku. Ludzie całymi rodzinami wylegli na plac Kościelny, żeby go powitać, kiedy otworzył oczy po kilku godzinach snu. Była ciemna noc, padało przedtem i przestało padać, w upalnej duchocie przygrywały świerszcze, niebo kipiało gwiazdami. Rozpoczęto prezentację: długi pochód kobiet, które całowały go w rękę, i mężczyzn, którzy zdejmowali przed nim kapelusze, mamrocząc swoje imiona. Po krótkiej chwili ojciec Joaquim przerwał całowanie dłoni, tłumacząc, że umiera z głodu i pragnienia. Rozpoczął wówczas coś w rodzaju obchodu stacji Dróg Krzyżowych w Wielkim Tygodniu, kiedy to proboszcz odwiedza dom po domu, racząc się uprzejmię najsmakowitszymi kąskami, jakimi gościnnie podejmują go parafianie. Światło dnia zastało go w jednej z dwóch gospód Cumbe, jak popijał palankę i wspólnie z caboclo Matiasem de Tavares wyśpiewywał skoczne kuplety, improwizując do wtóru gitary.

Niezwłocznie przystąpił do swoich obowiązków: odprawiał msze, chrzcil tych, którzy się rodzili, spowiadał dorosłych, udzielał ostatnich sakramentów tym, którzy umierali, i żenił młode pary albo takie, co współżyjąc od dawna, chciały przed Bogiem przypieczętować swój związek. Obsługiwał rozległy obszar, często więc bywał w podróży.

Nie szczędził sił, a nawet ofiarności, w swej parafialnej pracy. Za każdą posługę opłaty pobierał umiarkowane, nie protestował, kiedy parafianie zostawali mu dłużni albo kiedy nie płacili wcale, bo chciwość była jedynym spośród grzechów głównych, od którego czuł się całkowicie wolny. Z innymi bywało wręcz odwrotnie, lecz przyznać trzeba, że praktykował je bez dyskryminacji: z tą samą uciechą przyjmował smakowite piecyste z kozłęcia od zamożnego fazendera, co kęs rapa-dury, którym częstował go ubogi dzierżawca, i nie było dla jego gardła różnicy między odstała starką a palanką z trzciny cukrowej, zapitą łykiem wody, którą raczył się w czasach posuchy. Co do niewiast — nic go nie mogło odstręczyć: ani kaprawe staruchy, ani nieletnie dziewczętka, ani kobiety ukarane przez naturę brodawkami, zajęczą wargą lub głupotą. Wszystkim zawsze prawil komplementy i zachęcał, żeby przychodziły do kościoła pomagać przy ubieraniu ołtarza. Podczas hulanek, kiedy na twarz występowały mu rumieńce, obmacywał je bez żenady. W oczach ojców, mężów i braci jego kapłański stan pozbawiał go w pewien sposób męskości, znosili więc z rezygnacją te zuchwalstwa, choć w przypadku kogoś innego natychmiast chwyciliby za nóż. Tak czy



inaczej odetchnęli z ulgą, kiedy ojciec Joaquim związał się na stałe z Alejandriną Correeą, miejscową różdżkarką, która z powodu swych niezwykłych mocy najęła się do ubierania świętych.

Wieść niosła, że cudowne zdolności Alejandrini ujawniły się, gdy była jeszcze małą dziewczynką, w roku wielkiej suszy, kiedy mieszkańcy Cumbe, zdesperowani brakiem wody, kopali studnie, gdzie popadło. Podzieleni na grupki ryli w ziemi od świtu do nocy, wszędzie, gdzie nigdzie bujnie krzewiła się roślinność, w nadziei, że jest to oznaka podskórnych wód. Nawet kobiety i dzieci uczestniczyły w tej wyczerpującej pracy. Ale wydobyta ziemia, zamiast wilgoci, odsłaniała wciąż nowe pokłady czarniawego piachu albo litą skałę. Aż do dnia, kiedy Alejandrinha, wzburzona, oszołomiona, jakby dyktowano jej słowa, które zaledwie nadążyła powtórzyć, przerwała pracę ojcu, mówiąc, że zamiast kopać tutaj, powinni pójść wyżej, tam gdzie się zaczyna ścieżka, wspinająca się ku Massacara. Nie zwrócili na nią uwagi, ale dziewczynka nalegała, tupiała nóżkami i wymachiwała rękami jak nawiedzona. „Tak czy inaczej, po prostu wykopimy jedną dziurę więcej”, powiedział stary Correa. I poszli spróbować sił na owej równinie żółtawych kamieni, gdzie rozwidlają się ścieżki do Carnaiby i Massacara. W drugim dniu wydobywania brył ziemi i kamieni dno wykopu pociemniało, zwilgotniało i wreszcie, ku nieopisanemu radości kopaczy, błysnęła woda. W okolicy odkryto jeszcze trzy takie studnie i to one pozwoliły Cumbe łatwiej niż innym miejscowościom przetrwać dwa lata pomoru i nędzy.

Alejandrinha Correa stała się odtąd obiektem czci i zaciekawienia, a dla swych rodziców istotą, której intuicję usiłowali wykorzystać, pobierając opłaty od wieśniaków, a nawet całych osad, za wskazanie, gdzie należy szukać wody. Jednakże umiejętności Alejandrini nie były na sprzedaż. Dziewczynka myliła się częściej niż trafiała i wiele razy, węsząc po okolicy zadartym noskiem, mówiła: „Nie wiem, nic mi nie przychodzi do głowy”. Lecz ani chwilowa bezradność, ani omyłki, które zawsze mały pod wrażeniem jej odkryć, nie przyćmiły otaczającej ją sławy. Jej różdżkarskie zdolności uczyniły ją sławną, ale nie dały szczęścia. Odkąd stało się jasne, że posiada ową moc, wyrósł wokół niej mur, który odgrodził ją od ludzi. Inne dzieci czuły się przy niej nieswojo, a starsi traktowali ją z dziwną rezerwą. Spoglądali znacząco, zadawali pytania o przyszłość albo życie po śmierci i zmuszali, żeby klękała u wezłowania chorych i próbowała wyleczyć ich myślą. Na nic zdały się jej wysiłki, żeby być kobietą jak inne. Mężczyźni zawsze utrzymywali w stosunku do niej pełen szacunku dystans: nie zabierali jej na tańce i jarmarki, nie śpiewali serenad i żadnemu nie przeszło przez myśl wziąć ją za żonę. Tak jakby zdobyć jej miłość było jakimś świętokradztwem.

Dopóki w Cumbe nie zjawił się nowy proboszcz. Ojciec Joaquim nie należał do mężczyzn, którzy dają się onieśmielić aureolom świętości lub czarów, gdy w grę wchodzi kobieta. Alejandrini minął właśnie dwudziesty rok życia. Była smukłą, miała wścibski, zadarty nos, żywe oczy i wciąż mieszkała z rodzicami, w przeciwieństwie do czterech młodszych sióstr, które miały już mężów i własny dom. Wiodła życie samotne z powodu religijnej czci, jaką budziła, a której nie mogła rozproszyć swą prostotą. Do kościoła chadzała tylko na niedzielną mszę, a ponieważ rzadko zapraszano ją na prywatne uroczystości (ludzie obawiali się, że jej obecność, skażona nadnaturalną aurą, zepsuje wesoły nastrój), nowy proboszcz poznał ją dość późno.

Ich romans zaczął się zapewne bardzo nieśmiało, pod kielichowatymi koronami cajananas na placu Kościelnym albo w uliczkach Cumbe, gdzie księżulo i różdżkarka musieli mijać się i wymijać, a on spoglądał na nią, taksował swoim znaczącym, figlarnym, zuchwałym spojrzeniem, podczas gdy jego twarz łagodziła surowość egzaminu dobrodusznym uśmiechem. I zapewne on pierwszy wyrzekł do niej słówko, oczywiście pytając o święto patrona miasteczka, przypadające ósmego grudnia, albo dlaczego jej nie

widuje na różańcach, albo jak to jest z tą wodą, bo różnie ludzie gadają. A ona zapewne odpowiedziała mu śmiało, prędko, bezpośrednio jak zawsze, patrząc na niego bez zawstydenia, bez pąsów. I tak zapewne następowały po sobie przypadkowe spotkania, inne mniej przypadkowe, rozmowy, w których prócz nowinek o bandytach i pościgach, o miejscowych kłótniach i miłostkach, prócz wzajemnych zwierzeń, pomału musiały zacząć się pojawiać złośliwe docinki i słowa coraz śmielsze.

Faktem jest, że pewnego pięknego dnia całe Cumbe komentowało zgryźliwie przemianę Alejandrini, niedbałej parafianki, która raptem stała się tak gorliwa. Widywano ją, jak wczesnym rankiem odkurza ławki w kościele, porządkuje ołtarz i zmiata w kruchcie. Zaczęto też widywać ją na plebanii, która z pomocą sąsiadów odzyskała już dach, drzwi i okna. A że było między nimi coś więcej niż przypadkowa słabość, stało się oczywiste, gdy Alejandra wkroczyła zdecydowanie do karczmy, gdzie ojciec Joaquim zaszył się po jakichś chrzcinach w gronie kompanów, grał na gitarze i pił, radosny jak ptaszę. Wejście Alejandrini odjęło mu mowę. Podeszła do niego i stanowczo wyrzuciła z siebie takie oto zdanie: „Natychmiast proszę iść ze mną. Dość tej pijatyki”. Bez słowa protestu księżulo poszedł za nią.

Gdy święty zjawił się w Cumbe po raz pierwszy, Alejandra Correa już od wielu lat mieszkała na plebanii. Wprowadziła się tam, żeby pielęgnować ranę, którą proboszcz otrzymał w Rosario, gdzie zaplątał się w strzelaninę między bandą Joao Szatana i żandarmami kapitana Geralda Macedo, Łowcy Bandytów — i już została. Mieli troje dzieci, które wszyscy nazywali dziećmi Alejandrini, na nią zaś mówiono „gospodni ojca Joaquina”. Jej obecność utemperowała nieco proboszcza, choć nie we wszystkim naprawiła jego obyczaje. Sąsiedzi wzywali ją, kiedy, pijany bardziej niż przystało, księżulo stawał się kłopotliwy, przy niej bowiem zawsze był uległy, nawet spity do nieprzytomności. Z tej zapewne przyczyny miasteczko tolerowało ów związek bez większych kwasów. Kiedy święty przyszedł do Cumbe pierwszy raz, konkubinaty tych dwojga był czymś tak powszednim, że nawet rodzice i bracia Alejandrini odwiedzali ją na plebanii i traktowali jak „wnuki” i „siostrzeńców” ich dzieci, nie okazując im najmniejszej niechęci.

Dlatego jakby grom uderzył w miasteczko, gdy w swym pierwszym kazaniu z ambony kościółka w Cumbe, gdzie ojciec Joaquim, uprzejmie uśmiechnięty, pozwolił mu wstąpić, wysoki, wymizerowany, odziany w fioletową szatę człowiek o miażdżącym spojrzeniu i nazarejskich włosach zaczął pyskować ile wlezie na złych pasterzy. W nabitej ludźmi nawie zaległa grobowa cisza. Nikt nie patrzył na siedzącego w pierwszej ławce proboszcza, który wzdrygnął się lekko, otworzył oczy i trwał w bezruchu, wzrok wbiwszy przed siebie, w krucyfiks lub w swe własne upokorzenie. Nikt też nie patrzył na Alejandrinię Corree, siedzącą w trzecim rzędzie, ona za to wpatrywała się w kaznodzieję, bardzo blada. Zdawało się, że święty przyszedł do Cumbe poinstruowany przez wrogów tej pary. Srogi i nieugięty, głosem, który odbijał się od kruchych ścian i zapadniętego sklepienia, mówił rzeczy straszliwe, godząc w tych wybrańców Pana, którzy mimo iż wyświęceni i odziani w suknię duchowną, stają się sługusami Szatana. Srożył się, piętnując wszystkie po kolei grzechy ojca Joaquina: sromotę duszpasterzy, którzy zamiast dawać przykład trzeźwości, piją na umór; bezwstyd tych, którzy zamiast pościć, zamiast żyć wstrzemięźliwie, napychają sobie brzuchy i nie chcą wiedzieć, że żyją wśród ludzi, którzy nie mają co włożyć do ust; zgorszenie, jakie szerzą ci, którzy zapominają o ślubie czystości, zabawiają się z kobietami i zamiast kształtować ich wiarę, gubią je, oddając ich nieszczęsne dusze Piekłu. Kiedy sąsiedzi, nabrawszy odwagi, ośmielali się zerknąć kątem oka na proboszcza, widzieli go wciąż w tym samym miejscu, jak patrzy przed siebie, z twarzą w kolorze purpury.

Wydarzenie to stało się ulubionym tematem plotek na wiele dni, lecz nie

przeszkodziło Nauczycielowi w wygłaszaniu kazań z ambony kościoła Niepokalanego Poczęcia, dopóki pozostał w Cumbe, a nawet później, gdy po długich miesiącach powrócił, otoczony świętą błogosławionych, a potem przez wiele kolejnych lat. Z tą może różnicą, że ojciec Joaquim zwykle bywał na naukach nieobecny. Alejandrinha natomiast, przeciwnie — zawsze tam była, ze swym zadartym noskiem, w trzecim rzędzie, słuchając napomnień świętego przeciw bogactwu i nieumiarkowaniu, obrony surowych obyczajów i nawoływania, by przygotowywać dusze na śmierć ofiarą i modlitwą. Dawna różdżkarka poczęła dawać dowody rosnącej religijności. Zapalała świece w ulicznych kapliczkach, spędzała długie chwile na klęczkach przed ołtarzem w postawie głębokiego skupienia, organizowała akty dziękczynne i błagalne, różańce i nowenny. Pewnego dnia ujrano ją z głową nakrytą czarną chustą i szkaplerzem z wizerunkiem Dobrego Jezusa na piersi. Mówiono, że choć nadal żyją pod jednym dachem, nie dzieje się już między nią i proboszczem nic, co by ubliżało Bogu. Kiedy parafianie zbierali się na odwagę i pytali ojca Joaquina o Alejandrinę, ów zmieniał temat rozmowy. Zauważono, że stracił pewność siebie i chociaż nadal żył wesoło, jego stosunki z kobietą, z którą dzielił dom i która była matką jego dzieci, zmieniły się. Przynajmniej publicznie odnosili się do siebie z uprzejmością dwojga ludzi, którzy zaledwie się znają.

Nauczyciel budził w proboszczu Cumbe uczucia trudne do określenia: obawę, respekt, zawiść, a może politowanie. Faktem jest, że ilekroć święty przybywał, ojciec Joaquim otwierał przed nim wrota kościoła, spowiadał go, udzielał mu komunii i dopóki pielgrzym zostawał w Cumbe, proboszcz był wzorem umiarkowania i pobożności.

A kiedy, za ostatniej bytności Nauczyciela w osadzie, Alejandrinha Correa rzuciła wszystko i poszła za nim wmieszana w tłum pątników, ojciec Joaquim był jedynym człowiekiem w Cumbe, który się temu nie dziwił.

Pomyślał, że nigdy nie lękał się śmierci i że teraz także jej się nie lęka. Ale ręce mu się trzęsły, targały nim dreszcze i z każdą chwilą bliżej przysuwał się do ogniska, żeby rozgrzać zlodowaciałe wnętrze. I pocił się, mimo zimna. Pomyślał: „Umierasz ze strachu, Gall”. Te wielkie krople potu, te dreszcze, ten chłód, to drżenie rąk — są objawem paniki człowieka przeczuwającego śmierć. Niezbyt dobrze siebie znałeś, towarzyszu. A może się zmienił? Przecież pewien jest, że nie czuł nic podobnego jako chłopiec w lochach Paryża, kiedy czekał na rozstrzelanie, ani w Barcelonie, w infirmerii, gdy głupi burżuazyści leczyli go, żeby zdrowy wstąpił na szafot, gdzie miała go udusić żelazna obręcz. Umrze: przyszła twoja godzina, Gall.

Czy w tej ostatecznej chwili jego członek podniesie się i stwardnieje? Mówią, że zdarza się to powieszonym i ściętym. Jakąś zawiłą prawdę skrywa ten makabryczny, groteskowy przesąd, jakieś tajemnicze powinowactwo seksu i śmierci. Gdyby tak nie było, nie stałoby się to, co zaszło o świcie, ani to, co działo się przed chwilą. Chwilą? Raczej wiele godzin temu. Była ciemna noc, na niebie miriady gwiazd. Wspominał, jak czekając w pensjonacie w Queimadas, chciał napisać list do „L'Etincelle de la revolte”, w którym zamierzał powiedzieć, że pejzaż nieba jest w tym zakątku świata nieskończenie bardziej urozmaicony niż pejzaż ziemi i że bez wątpliwości wpływa to na religijne skłonności ludzi. Poczł oddech Juremy, zagłuszony trzaskiem dogasającego ognia. Tak, to było to: poczuł bliskość śmierci, ona zmusiła go, by z napęczniałym fallusem rzucił się na tę kobietę, dwukrotnie w ciągu tego dnia. „Dziwaczny związek strachu i nasienia, nic więcej”, pomyślał. Dlaczego ocalała go, dlaczego stanęła między nimi, kiedy Kajfasz chciał go dobić? Dlaczego pomogła mu wsiąść na muła, szła razem z nim, pielęgnowała go, przyprowadziła aż tutaj? Dlaczego postąpiła tak z człowiekiem, którego powinna znienawidzić?

Zafascynowany, wspominał tę nagłą, dokuczliwą, niepoohamowaną żądzę, kiedy muł

padł w galopie, zrzucając ich oboje na ziemię. „Serce mu pękło jak dojrzały owoc”, pomyślał. Jak daleko stąd do Queimadas? Czy to była rzeka Peixe, tamten strumyk, gdzie obmył się i opatrzył ranę? Zostawili już za sobą Riacho da Onca, okrążyli je, czy jeszcze tam nie dotarli? W mózgu kotłowało mu się od natłoku pytań, ale strach mijał. Czy bardzo się bał, kiedy muł potknął się, a on widział, że leci w dół, że toczy się po ziemi? Tak. To jest wyjaśnienie: strach. Błyskawiczna myśl, że zwierzę padło nie ze zmęczenia, ale od kuli capangas, którzy ich ścigają, żeby zrobić z niego angielskiego trupa. I zapewne instynktownie szukał opieki, skoro rzucił się na Juremę, kiedy potoczyła się na ziemię wraz z nim. Czy pomyślała, że jest szaleńcem? A może diabłem? Brać ją w takich okolicznościach, w takiej chwili, w takim stanie? Stąd popłoch w jej oczach, stąd zaskoczenie, gdy pojęła ze sposobu, w jaki ręce Galla grzebały w jej ubraniu, do czego zmierza. Tym razem nie stawiała oporu, ale też nie ukrywała niechęci, a raczej obojętności. Stąd ta spokojna uległość jej ciała, którego obraz pojawił się w umyśle Galla, kiedy leżał na ziemi zawstydzony, oszołomiony, przepelniony czymś, co mogło być żądzą, strachem, udręką, niepewnością lub ślepym buntem wobec potrzasku, w jakim się znalazł. Poprzez zawieszistą mgłę potu — czuł ból w szyi i ramieniu, jakby rany otworzyły się ponownie, czuł, że przez nie ucieka zeń życie — ujrzał w gęstniejącym zmierzchu Juremę. Widział, jak dotyka muła, zagląda mu w pysk i pod powieki. Widział, wciąż leżąc na ziemi, jak zbiera gałęzie, liście i rozpala ognisko. Widział, jak nożem, który bez słowa wyciągnęła mu zza pasa, wycina czerwone płyty spod żeber zwierzęcia, jak nawleka je na patyk i rozkłada do pieczenia. Odnosił wrażenie, iż wypełnia codzienny rytuał domowych zajęć, jakby nic niezwykłego nie zaszło, jakby wydarzenia tego dnia nie zrewolucjonizowały jej życia. Pomyślał: „To najbardziej zagadkowi ludzie na świecie”. Pomyślał: „Fataliści, wychowani, żeby przyjmować wszystko, co im życie przyniesie, bez różnicy — dobre, złe czy okrutne”. Pomyślał: „Ty jesteś dla niej tą okrutną cząstką życia”.

Po chwili zdołał unieść się nieco, wypił parę łyków wody i z wielkim wysiłkiem, bo w gardle paliło go nieznośnie, żuł. Kawałki mięsa zdały mu się przysmakiem. Jedli, a on wyobrażając sobie, że Jurema jest zagubiona i bezradna wobec ostatnich wydarzeń, próbował jej wszystko wyjaśnić: kim jest Epaminondas Goncalves, jak zaproponował mu transport broni, jak okazało się, że to on zaplanował napad na dom Rufina, żeby zrabować swoje własne karabiny i zabić go, bo potrzebował trupa o jasnej skórze i rudych włosach. Zobaczył jednak, że nie obchodzi jej to, co mówi. Słuchała, żując drobnymi, równymi zębami, opędzając się od much, bez potakiwania, bez pytań; od czasu do czasu patrzyła na niego oczami, które stopniowo pochłaniała ciemność, a on pod tym spojrzeniem czuł się coraz większym głupcem. Pomyślał: „Jestem głupcem”. Był nim, dowiódł tego. Miał moralny i polityczny obowiązek nie ufać, podejrzewać, że ten ambitny burżuj, zdolny uknuć spisek przeciw swoim wrogom, który wymyślił całą tę historię z bronią, mógł także uknuć spisek przeciw niemu. Angielski nieboszczyk! I nie było żadnej pomyłki ani przejęzyczenia co do karabinów: powiedział, że są francuskie, wiedząc, że są angielskie. Galileo odkrył to dopiero w domu Rufina, kiedy ładował skrzynie na wóz. Fabryczna marka na kolbie rzucała się w oczy: Liverpool 1891. Zadrwił w myślach: „Francja, o ile mi wiadomo, nie dokonała jeszcze inwazji na Anglię. Karabiny są angielskie, nie francuskie”. Angielskie karabiny, angielski nieboszczyk. Co zamierzał? Nietrudno sobie wyobrazić: jego plan był wyrachowany, okrutny, śmiały i prawdopodobnie skuteczny. Uczucie trwogi powróciło i pomyślał: „Zabije mnie”. Nie zna okolicy, jest ranny, jest cudzoziemcem, którego twarz może wskazać każdy. Gdzie się skryje? „W Canudos”. Tak, tak. Tam znajdzie ocalenie, a jeśli umrze, to bez tego żalosego wrażenia, że jest skończonym głupcem. „Canudos będzie twoim ulaskawieniem, towarzyszu”, przeszło mu przez głowę.

Trząsł się z zimna, bolało go ramię, szyja, głowa. Żeby zapomnieć o ranach, próbował myśleć o żołnierzach majora Febronia de Brito. Wyruszyli już z Queimadas ku Monte Santo?

Zniszczą jego hipotetyczne schronienie, zanim zdoła tam dotrzeć? Pomyślał: „Kula nie weszła w ciało, ledwie dotknęła skóry, zadrasnęła ją rozpalonym mięśniem, zresztą nabój tak miniaturowego rewolweru musiał być niewielki, dobry do polowań na wróble”. Nie postrzał, ale cios nożem jest groźny: ostrze weszło głęboko, przecięło żyły i nerwy; to stąd pieczenie i klucie promieniuje do ucha, oczu, karku. Dreszcze wstrząsały nim od stóp do głów. Umrzesz, Gall? Nagle przypomniał sobie śniegi Europy, jej krajobraz tak swojski w porównaniu z tą nieujarzmioną przyrodą. Pomyślał: „Czy w jakimkolwiek europejskim kraju ziemia tchnie podobną wrogością?”. Na południu Hiszpanii, w Turcji — bez wątplenia; i w Rosji. Przypomniał sobie ucieczkę Bakunina, który przez jedenaście miesięcy przykuty był do więziennego muru. Opowiadał mu o tym ojciec, sadzając go sobie na kolanach: była to epicka przeprawa przez Syberię, rzekę Amur i Kalifornię, z powrotem do Europy; i to niezwykle pytanie, gdy dotarł wreszcie do Londynu: „Czy macie tu ostrygi?”. Wspominał tak gęsto rozsiane wzdłuż europejskich gościńców gospody, gdzie zawsze jest ogień na kominku, gorąca zupa i inni podróżni, z którymi można wypalić fajkę i podzielić się wrażeniami minionego dnia. Pomyślał: „Tęsknota to tchórzostwo, Gall”.

Poddał się rozczuleniu i melancholii. Co za wstyd, Gall! Nie umiesz nawet umrzeć z godnością. Co cię obchodzi Europa, Brazylia albo jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi! Koniec zawsze będzie len sam. Pomyślał: „Rozpad, rozkład, zgnilizna, robactwo i, jeśli nie zajmą się mną wygłodniałe zwierzęta, kruchy szkielet, strzęp włosów przyschnięty do pożółkłych kości”. Pomyślał: „Jesteś rozpalony i umierasz z zimna, a to się nazywa gorączka”. To nie strach, nie kula na wróble ani cios nożem: to choroba. Bo poczuł się źle jeszcze przed napaścią encuerado, kiedy rozmawiał na fazendzie z Epaminonda-sem Goncalvesem: drażyła skrycie jakiś organ i rozprzestrzeniła się na resztę ciała. Jest chory, nie ciężko ranny. Kolejna niespodzianka, towarzyszu. Pomyślał: „Los chce uzupełnić przed śmiercią twoją edukację i dręczy cię nieznanymi doświadczeniami”. Najpierw gwałciciel, a potem chory! Bo nie pamięta, żeby kiedyś chorował, nawet w najwcześniejszym dzieciństwie. Ranny, owszem, wiele razy, a wtedy w Barcelonie dość poważnie. Ale chory — nigdy. Miał uczucie, że w każdej chwili może stracić przytomność. Skąd ten nierozsądny wysiłek ciągłego myślenia? Skąd to przecucie, że dopóty będzie żył, dopóki będzie myślał? Wydawało mu się, że Jurema odeszła. Przerażony, nasłuchiwał: obok, po prawej, wciąż czuje jej oddech. Nie może jej dojrzeć, bo ognisko wygasło już zupełnie.

Próbował dodać sobie otuchy, wiedząc, że to bezcelowe: szeptał, że przeciwności losu tylko pobudzają prawdziwego rewolucjonistę do czynu, mówił sobie, że napisze list do „L'Etincelle de la revolte”, gdzie powiąże wydarzenia w Canudos z przemówieniem, jakie Bakunin wygłosił do zegarmistrzów i rzemieślników z Chaux-de-Fonds i doliny Saint-Imier, a w którym utrzymywał, iż wielkie bunty nie będą wybuchać w społeczeństwach wysoko uprzemysłowionych, jak przewidywał Marks, ale w krajach zacofanych, rolniczych, gdzie wynędzniałe masy chłopskie nie mają nic do stracenia, jak w Hiszpanii, Rosji i — czemu nie? — w Brazylii; i nagle zaczął wymyślać Epaminondasowi Goncalvesowi: „Przegrasz, burżuju. Powinieneś być zabić mnie, kiedy byłem na twojej łasce, na tarasie fazendy. Wyzdrowieję, ucieknę”. Wyzdrowieje, ucieknie, dziewczyna go poprowadzi, ukradnie wierzchowca i w Canudos będzie walczył przeciw temu, co ty sobą reprezentujesz, burżuju — egoizmowi, cynizmowi, chciwości i...

**Dwa**

## **Rozdział I**

Upał nie zelżał z nadejściem zmroku; w odróżnieniu od innych letnich nocy w

nieruchomym powietrzu zamiera wszelki powiew wiatru. Salvador praży się w ciemności. Jest ciemno, bo zgodnie z zarządzeniem władz miasta gasną o północy narożne latarnie, pogasły też przed chwilą zapóźnione światła w oknach domów. Tylko szyby „Jornal de Noticias” wciąż płoną nad Starym Miastem, a w ich blasku kaligrafia gotyckich liter, wypisanych nad wejściem, wydaje się jeszcze bardziej zawiła.

Przed bramą czeka powóz, stangret i koń drzemią unisono. Ale capangas Epaminondasa Goncalvesa czuwają: palą, oparci o stromy mur tuż obok gmachu dziennika. Rozmawiają półgłosem i pokazują sobie coś tam, w dole, gdzie zaledwie majączy bryła kościoła Niepokalanej Marii Panny z Wybrzeża, w pianistej lamówce falochronu. Konny ront minął ich przed chwilą i nie powróci tu przed świtem.

W wielkiej sali redakcyjnej siedzi samotnie młody dziennikarz, chudy i pokraczny, w grubych szklach krótkowidza, które wraz z nieustającym kichaniem i manią pisania gęsim piórem zamiast stalówką narażają go na złośliwe docinki kolegów po fachu. Skulony nad pulpitem, zgarbiony, przechylony na bok, zanurzywszy nieforemną głowę w aureoli lampy, pisze w pośpiechu, przerywając tylko po to, żeby u moczyć pióro w kałamarzu albo zerknąć do notesu, który przysuwa sobie do okularów, aż pod same szkła. Jedyнным dźwiękiem tej nocy jest skrzypienie gęsiego pióra. Morze umilkło; gabinet dyrekcji, chociaż rzęsiście oświetlony, tonie w głębokiej ciszy, jakby Epaminondas Goncalves zasnął nad swoim biurkiem.

Ale kiedy dziennikarz okularnik stawia ostatnią kropkę, potem szybko przemierza obszerną salę i wchodzi do gabinetu, przywódca Republikańskiej Partii Postępowej oczy ma otwarte, czeka. Dłonie splótł nad biurkiem, łokcie oparł o blat. Na widok redaktora jego smagła, trójkątna twarz, gdzie każdy mięsień, każda kość podkreśla utajoną energię, dzięki której może spędzać długie noce na politycznych zebraniach, a potem pracować cały dzień bez wytchnienia, tężeje w napięciu, jakby mówił: „nareszcie”.

— Gotowe? — pyta.

— Gotowe.

Dziennikarz okularnik podaje mu plik papierów. Ale Epaminondas Goncalves odsuwa je.

— Wolę, żeby sam mi to pan przeczytał — mówi. — Słuchając, lepiej się zorientuję, jak wyszło. Proszę usiąść tutaj, bliżej światła.

Okularnik zabiera się do czytania, lecz nagle wystrzela potężnym kichnięciem, potem drugim, wreszcie całą salwą kichnięć, aż musi zdjąć okulary, a usta i nos zatyka ogromną chustką, którą gestem iluzjonisty wyciąga z rękawa.

— To przez tę wilgoć — tłumaczy się, wycierając zasmarkaną twarz.

— Tak — przerywa mu Epaminondas Goncalves. — Proszę czytać.

## **Rozdział II**

Brazylia Zjednoczona Siłą Narodu

JORNAL DE NOTICIAS

(Wydawca: Epaminondas Goncalves)

Bahia, 3 stycznia 1897

Klęska Ekspedycji Majora Febronia de Brito w Sertonie Canudos Dalszy Rozwój Wypadków :

REPUBLIKAŃSKA PARTIA POSTĘPOWA  
OSKARŻA  
GUBERNATORA I AUTONOMICZNĄ PARTIĘ BAHII  
O DZIAŁANIE NA SZKODĘ REPUBLIKI  
I SPISEK W CELU PRZYWRÓCENIA  
SKOMPROMITOWANEJ WŁADZY CESARSKIEJ

Zwłoki „angielskiego agenta”

Komisja Republikańska udaje się do Rio z prośbą o interwencję wojsk federalnych przeciw fanatycznym wywrotowcom z Canudos.

TELEGRAM PATRIOTÓW BAHII  
DO PUŁKOWNIKA MOREIRY CESARA:

„PRZYJDŹ, ZBAW REPUBLIKĘ”

Kłęska wojskowej ekspedycji pod dowództwem majora Febronia de Brito, złożonej z żołnierzy 9., 26. i 33. Batalionu Piechoty, oraz jawne oznaki zmywy Korony Brytyjskiej i bahijskich posiadaczy ziemskich — o wiadomej przynależności autonomistycznej i monarchistycznych sentymentach — z fanatykami z Canudos wywołały w poniedziałkowe popołudnie kolejną burzę w Zgromadzeniu Ustawodawczym Stanu Bahia.

Republikańska Partia Postępowa w osobie swego przywódcy, czcigodnego pana posła Epaminondasa Goncalvesa, wystosowała formalne oskarżenie pod adresem gubernatora stanu Bahia, czcigodnego Luisa Viany, oraz grup tradycyjnie powiązanych z baronem de Cañabrava — byłym ministrem cesarstwa i byłym ambasadorem Pedra II w Anglii — o wzniecenie i uzbrojenie, z udziałem Korony Brytyjskiej, buntu w Canudos, zmierzającego do obalenia republiki i przywrócenia monarchii.

Deputowani Republikańskiej Partii Postępowej zażądali niezwłocznej interwencji rządu federalnego w stanie Bahia, w celu zdławienia buntu, który czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves nazwał „godzącą w suwerenność Brazylii podstępą zмовą błękitnej krwi i chciwego Albionu”. Podano też do wiadomości, że komisja utworzona z cieszących się powszechnym szacunkiem obywateli naszego stanu udała się do Rio de Janeiro, aby przedstawić prezydentowi Prudente de Moraes wołanie ludu Bahii o pomoc wojsk federalnych przeciw wywrotowemu ruchowi Antonia Nauczyciela.

Postępowi republikanie przypomnieli, że mimo iż upłynęły dwa tygodnie od klęski ekspedycji majora Brito w nierównej walce z mającymi liczebną i zbrojną przewagę rebeliantami, mimo przechwycenia transportu angielskich karabinów przeznaczonych dla Canudos, mimo odnalezienia w osadzie Ipujiara zwłok angielskiego agenta, Galileo Galla — władze stanu, z gubernatorem Luisem Vianą na czele, okazały wiele mówiącą bierność i brak woli, nie zażądawszy, zgodnie z życzeniem bahijskich patriotów, natychmiastowej interwencji wojsk federalnych w celu wytępienia spisku, który godzi w samo serce brazylijskiego narodu.

Zastępca przywódcy Republikańskiej Partii Postępowej, czcigodny pan poseł Eliseo de Roque, odczytał depeszę wysłaną do bohatera armii brazylijskiej, pogromcy monarchistycznej rebelii w Santa Cata-lina, znakomitego doradcy marszałka Florianą Peixoto, pułkownika Moreiry Cesara. Oto jej tekst, jakże oszczędny w słowach: „Przyjdź, zbaw Republikę!”. Mimo sprzeciwu deputowanych większości, czcigodny pan poseł de Roque odczytał trzysta dwadzieścia pięć nazwisk ojców rodzin i wyborców z Salvadoru

podpisanych pod depeszą.

Ze swej strony czcigodni panowie posłowie Autonomicznej Partii Bahii stanowczo zaprzeczyli oskarżeniom, usiłując zbagatelizować je na wszelkie sposoby. Gwałtowność replik i słownej szermierki, ironia, sarkazm i pogrożki, zmierzające do sprowokowania pojedynku z bronią w rękę, złożyły się na klimat ogromnego napięcia tej ponadpięciogodzinnej sesji, podczas której czcigodni panowie posłowie nierzadko próbowali przejść od słów do czynów.

Zastępca przywódcy Partii Autonomicznej, przewodniczący Zgromadzenia Ustawodawczego, wielmożny Adalberto de Gumucio, oświadczył, iż nawet cień podejrzenia, że ktoś taki jak baron de Cañabrava, wybitny mąż stanu, któremu Bahia zawdzięcza drogi, kolej żelazną, mosty, szpitale dla ubogich, szkoły i inne niezliczone dzieła użyteczności publicznej, mógłby zostać oskarżony, w dodatku *in absentia*, o zamach na suwerenność Brazylii, jest już sam w sobie haniebnym pomówieniem.

Czcigodny pan poseł Floriano Martir wyraził zdziwienie, że przewodniczący Zgromadzenia, który z takim zapałem kadzi swemu krewniakowi i partyjnemu zwierzchnikowi, baronowi de Cañabrava, ani słowem nie wspomniał o krwi żołnierzy, przelanej pod Uaua i Cambaio w walce ze zwyrodniałymi sebastianistami, ani o angielskiej broni przechwyconej w sertonach, ani o zwłokach brytyjskiego agenta nazwiskiem Gall, znalezionych w Ipupiara przez oddział Gwardii Chłopskiej. I zakończył pytaniem: „Czyżby przyczyną tej werbalnej żonglerki był fakt, iż powyższe tematy są dla czcigodnego pana przewodniczącego niewygodne?”. Deputowany Partii Autonomicznej, czcigodny pan poseł Eduardo Glicerio powiedział, że republikanie, zaślepieni żądzą władzy, wymyślają konspiracyjne farsy o zwęglonych szpiegach i rudych skalpach, jedynie śmiechu warte w oczach rozsądnych obywateli Bahii. I zapytał: „Czyż sam baron de Cañabrava nie jest głównym poszkodowanym wskutek rebelii tych bezwzględnych fanatyków, którzy bezprawnie zagarnęli ziemie będące jego własnością?”. Tu przerwał mu czcigodny pan poseł Dantas Horcadas, mówiąc: „A jeżeli te ziemie nie zostały zagarnięte, lecz wypożyczone?”. Czcigodny pan poseł Eduardo Glicerio odpowiedział pytaniem, czy w szkole ojców salezjanów nie nauczono czcigodnego pana posła Dantasa Horcadasa, że nie przerywa się, kiedy mówi szlachetnie urodzony dżentelmen. Czcigodny pan poseł Dantas Horcadas odparł, że nie wiedział, iż przemawia do szlachetnie urodzonego dżentelmena. Czcigodny pan poseł Eduardo Glicerio wykrzyknął, że za taką obelgę zmuszony będzie zażądać satysfakcji honorowej, o ile nie zostaną mu przedstawione przeprosiny *ipso facto*. Przewodniczący Zgromadzenia, J. W. Adalberto de Gumucio, zwrócił się do czcigodnego pana posła Dantasa Horcadasa o przeproszenie kolegi, w imię zgody i powagi, jakie przystoją temu gmachowi. Czcigodny pan poseł Dantas Horcadas odparł, iż ograniczył się tylko do stwierdzenia, że nie jest poinformowany, iż — w ścisłym znaczeniu tego słowa — są jeszcze w Brazylii szlachetnie urodzeni, baronowie i wicehrabiowie, gdyż od czasu chwalebnej epoki republikańskich rządów zasłużonego dla ojczyzny marszałka Floriana Peixoto, którego wspomnienie jest wiecznie żywe w sercach Brazylijczyków, wszystkie tytuły szlacheckie stały się plikiem bezwartościowych papierów, w żadnym więc razie nie zamierzał nikogo obrazić, tym bardziej zaś czcigodnego pana posła Eduarda Glicerio. Ów zadowolił się powyższym oświadczeniem. Czcigodny pan poseł Rocha Seabra powiedział, że nie może pozwolić, aby człowiek taki jak baron de Cañabrava, ozdoba i chluba całego stanu, był obrzucany błotem przez zawistników, którzy w całej swojej historycznej działalności nie mogą się poszczycić nawet setną częścią dobrodziejstw, jakimi obsypał Bahię założyciel Partii Autonomicznej. Nie potrafi także zrozumieć, dlaczego wysyła się depesze wzywające do Bahii człowieka pokroju pułkownika More-iry Cesara — jakobina, którego marzeniem są gilotyny na wszystkich placach Bahii, fanatyka, który pragnie zostać Robespierre'em tego



narodu, czego dowiodła brutalność, z jaką stłumił powstanie w Santa Catalina. Wywołało to burzliwy sprzeciw czcigodnych panów deputowanych Republikańskiej Partii Postępowej, którzy powstali, wiwatując na cześć armii, marszałka Floriana Peixoto i pułkownika Moreiry Cesara, po czym zażądali satysfakcji za zniewagę bohatera republiki. Podejmując przerwane wystąpienie, czcigodny pan poseł Rocha Seabra powiedział, że nie było jego intencją uchybić godności pułkownika Moreiry Cesara, którego żołnierskie cnoty szczerze podziwia, nie zamierzał też uwłaczać pamięci zmarłego marszałka Floriana Peixoto, którego zasługi dla republiki docenia, chciał tylko jasno wyrazić, iż przeciwny jest mieszanemu się armii do polityki, nie chce bowiem, żeby Brazylia podzieliła los owych południowoamerykańskich krajów, których historia jest jednym pasmem koszarowych przewrotów. Tu wtrącił się czcigodny pan poseł Eliseo de Roque, przypominając, że to właśnie armia położyła kres zmurszałej monarchii i ustanowiła republikę, a czcigodni panowie deputowani opozycji ponownie wstali z miejsc w hołdzie dla zasług armii, marszałka Floriana Peixoto i pułkownika Moreiry Cesara. Kontynuując swą wypowiedź, czcigodny pan poseł Rocha Seabra stwierdził, że absurdem jest żądać interwencji federalnej, skoro Jego Eksceleńcja Gubernator Luis Viana wielokrotnie oświadczał, iż Bahia ma wszelkie warunki, by samodzielnie uporać się z przejawami bandytyzmu i sebastianistycznej psychozy w Canudos. Czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves przypomniał, że buntownicy zdziesiątkowali już dwie wojskowe ekspedycje do sertónów, i zapytał czcigodnego pana posła Rochę Seabra, ilu jeszcze żołnierzy trzeba, jego zdaniem, posłać na pewną śmierć, żeby interwencja federalna była uzasadniona. Czcigodny pan poseł Dantas Horcadas powiedział, że każdy, kto czuje się patriotą, ma prawo obrzucać błotem tych, którzy sami babrzą się w błocie, wdając się w konszachty z perfidnym Albionem i knując monarchistyczny spisek na zgubę republiki. Czcigodny pan poseł Lelis Piedades powiedział, iż najlepszym dowodem, że baron de Cañabrava nie ma nic wspólnego z prowokacją zwyrodnialców z Canudos, jest fakt, iż od wielu miesięcy przebywa poza krajem. Czcigodny pan poseł Floriano Martir odparł, że nieobecność ta, zamiast uniewinniać, obciąża go tym bardziej i dodał, że nikogo nie zwiedzie takie alibi, gdyż cała Bahia wie, że w naszym stanie nawet palcem nie można kiwnąć bez zgody albo wręcz wyraźnego polecenia barona. Czcigodny pan poseł Dantas Horcadas powiedział, iż podejrzane i znamienne jest, że czcigodni panowie deputowani większości z uporem odmawiają debaty nad transportem angielskiej broni oraz działalnością angielskiego agenta Galla, wysłanego przez Koronę Brytyjską w charakterze doradcy buntowników w ich zdradzieckich knowaniach. Czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia, J.W. Adalberto de Gumucio, przerwał, mówiąc, że prawda położy kres spekulacjom i domysłom, po czym ogłosił, że już za kilka dni baron de Cañabrava powróci do Salwadoru, a owacyjne powitanie, jakie zgotują mu nie tylko autonomiści, ale cały lud Bahii, będzie najlepszym zadośćuczynieniem za bezpodstawne pomówienia tych, którzy usiłowali łączyć jego osobę, jego partię i legalne władze Bahii z pożałowania godnymi przejawami bandytyzmu i moralnego rozpasania w Canudos. Na co czcigodni panowie deputowani większości powstali, chóralnie skandując imię swego przywódcy, barona de Cañabrava, podczas gdy czcigodni panowie deputowani Republikańskiej Partii Postępowej pozostali na miejscach, stukając krzesłami na znak oburzenia.

Następnie zarządzono krótką przerwę, żeby czcigodni panowie posłowie mogli się posilić i ochłonać. Jednakże nawet wówczas słychać było w kularach żywe dyskusje i ostrą wymianę zdań, a czcigodni panowie posłowie Floriano Martir i Rocha Seabra rzucili się na siebie z pięściami tak zapalczywie, że trzeba ich było rozdzielić siłą.

Po wznowieniu obrad czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia, J. W. Adalberto de Gumucio, zaproponował, żeby zgodnie z ustalonym porządkiem dnia przejść do dyskusji nad nową pozycją w budżecie, rząd wnosi bowiem o przyznanie środków na poprowadzenie

dróg kolei żelaznej w głąb stanu. Propozycja ta wywołała burzliwą reakcję czcigodnych panów deputowanych Republikańskiej Partii Postępowej, którzy powstali, krzycząc: „Zdrada!”, „Hańba!”, „Manipulacja!” i żądając wznowienia debaty nad najbardziej palącymi problemami Bahii, a od niedawna także całego kraju. Czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves przestrzegł, że jeśli posłowie większości mają zamiar uchylić się od debaty nad rebelią monarchistów w Canudos i ingerencją Korony Brytyjskiej w wewnętrzne sprawy Brazylii, on i jego republikańscy towarzysze opuszczą Zgromadzenie, nie będą bowiem brać udziału w odgrywanej przed narodem komedii. Czcigodny pan poseł Eliseo de Roque powiedział, że usiłowania czcigodnego pana przewodniczącego Zgromadzenia, który stara się przeszkodzić debacie, są jawnym dowodem konsternacji, jaką w szeregach Partii Autonomicznej wywołuje sprawa angielskiego agenta Galla i transportu broni, co nikogo nie dziwi, zważywszy na to, iż monarchistyczne skłonności i anglofilia barona de Cañabrava są wszystkim doskonale wiadome.

Czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia, J.W. Adalberto de Gumucio, powiedział, że czcigodni panowie posłowie opozycji nie zastraszą nikogo szantażem, i dodał, że Autonomiczna Partia Bahii — z racji właściwego jej patriotyzmu — sama najbardziej pragnie, by ruch fanatyków z Canudos został raz na zawsze rozbity, a w sercach powrócił spokój i ład. Dlatego też deputowani większości nie tylko nie unikają dyskusji, ale wręcz jej sobie życzą.

Czcigodny pan poseł Joao Seixas de Ponde oświadczył, że tylko *ten*, kto nie boi się śmieszności, może obstawać przy wersji o domniemanym agencie Galileo Gallu, na którego zwęglone ciało rzekomo natrafiła w Ipujiara Gwardia Chłopska, tym bardziej że oddziały jej, jak głosi *vox populi*, są rekrutowane, finansowane i kontrolowane przez partię opozycyjną. Epitety te wywołały gwałtowny sprzeciw czcigodnych panów deputowanych Republikańskiej Partii Postępowej. Czcigodny pan poseł Joao Seixas de Ponde mówił dalej, że konsulat brytyjski w Bahii, będąc w posiadaniu danych o podejrzanym przeszłości osobniku nazwiskiem Gall, już dwa miesiące temu powiadomił o tej sprawie władze stanu, żądając, by poczyniły odpowiednie kroki; dodał, że fakty powyższe potwierdza komisariat policji w Salwadorze, który wydał Gallowi oficjalny nakaz opuszczenia kraju na pokładzie francuskiego statku „La Marseillaise”. Fakt, iż osobnik ów nie wypełnił polecenia władz, a jego trup pojawił się miesiąc później w głębi stanu obok jakichś karabinów, nie dowodzi istnienia żadnego politycznego spisku ani interwencji obcych mocarstw; dowodzi co najwyżej, iż oszust ten usiłował, w zamian za pochodzące z rozboju złoto, odstąpić przemycaną broń fanatykom Antonia Nauczyciela. Interwencja czcigodnego pana posła Joao Seixasa de Ponde wzbudziła wesołość wśród czcigodnych panów deputowanych opozycji, którzy wymowną gestykulacją sugerowali, iż mówca ma anielskie skrzydła u ramion i aureolę świętości wokół głowy. Czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia, J. W. Adalberto de Gumucio, zmuszony był przywołać salę do porządku. Czcigodny pan poseł Joao Seixas de Ponde dodał, że całe to zamieszanie wokół paru karabinów znalezionych w sercach jest przejawem zwykłej hipokryzji, wszyscy bowiem wiedzą, iż w interiorze kwitnie godny ubolewania nielegalny handel bronią, a jeśli jest inaczej, to niechże czcigodni panowie deputowani opozycji wyjaśnią, skąd Republikańska Partia Postępowa wzięła broń dla *capangas* i *cangaceiros* z tak zwanej Gwardii Chłopskiej, której status prawny jest nader wątpliwy. W odpowiedzi na *te* krzywdzące insynuacje czcigodni panowie deputowani Republikańskiej Partii Postępowej wygwizdali czcigodnego pana posła Joao Seixasa de Ponde, a czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia raz jeszcze zmuszony był przywołać salę do porządku.

Czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves powiedział, że czcigodni panowie deputowani większości coraz bardziej płaczą się w sprzecznościach i kłamstwach, co nieuchronnie przytrafia się każdemu, kto stąpa po grząskim gruncie. Następnie złożył dzięki

Niebu za to, że angielski agent Gall wpadł, razem ze swoimi karabinami, w ręce Gwardii Chłopskiej, która jako organ zdrowy, niezależny i patriotyczny, a zatem prawdziwie republikański, zwróciła uwagę władz na owe jakże doniosłe wydarzenia, przez co nie dopuściła do zatajenia dowodów jawnej kolaboracji rodzimych monarchistów z Brytyjską Koroną. Canudos zaś jest ostrzem miecza, który ugodzić miał w suwerenny byt Brazylii. Gdyby nie Gwardia Chłopska— mówił dalej — republika nigdy by się nie dowiedziała o obecności angielskich szpiegów, rozdających w sertonie broń monarchistom z Canudos. Czcigodny pan poseł Eduardo Glicerio przerwał mu repliką, iż jedynym faktem w sprawie sławetnego agenta Anglii jest garść kłaków, które równie dobrze mogły być częścią fryzury jakiejś rudowłosej ślicznotki albo po prostu końską grzywą, co wywołało zgodny śmiech deputowanych obu partii. Podejmując wątek, czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves oświadczył, że cieszy go wprawdzie dobry humor czcigodnego pana posła, który przerwał jego wypowiedź, ale teraz, kiedy Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i nie zakrzepła jeszcze krew patriotów poległych w obronie republiki pod Uaua i Cambaio, żarty są nie na miejscu, co czcigodni panowie deputowani opozycji przyjęli żywiołową owacją.

Czcigodny pan poseł Eliseo de Roque przypomniał, że istnieją niepodważalne dowody tożsamości zwłok znalezionych w Iupuiara obok angielskich karabinów, i dodał, że zaprzeczyć im byłoby równie trudno, jak zaprzeczyć jasności słońca. Powiedział następnie, że dwaj świadkowie — obywatel Jan van Rijsted i znakomity lekarz, doktor Jose Bautista de Sa Oliveira — którzy znali i widywali angielskiego szpiega Galla, dopóki ów mieszkał w Bahii, rozpoznali jego surdut, pasek od spodni, buty, a przede wszystkim jaskrawą rudą czuprynę, przezornie obciętą przez żołnierzy Gwardii Chłopskiej wkrótce po znalezieniu ciała. Przypomniał, że wyżej wymienieni obywatele zgodni byli co do destrukcyjnych poglądów Anglika i jego wyraźnie konspiracyjnych zamiarów w stosunku do Canudos, żadnego z nich nie zaskoczyło też, iż zwłoki zostały znalezione w tamtej okolicy. Poza tym — przypomniał — wielu miejscowych obywateli zeznało przed Gwardią Chłopską, że widzieli cudzoziemca o czerwonych włosach i nieskładnej mowie, który starał się o przewodników do Canudos. Czcigodny pan poseł Joao Seixas de Ponde powiedział, że nikt nie neguje, iż w Iupuiara znaleziono zwłoki osobnika nazwiskiem Galileo Gall, leżące obok jakichś karabinów. Nieprawdą natomiast jest, iż był on angielskim szpiegiem, status cudzoziemca bowiem sam w sobie o niczym nie świadczy. Równie dobrze mógł być szpiegiem Danii, Szwecji, Francji, Niemiec albo dalekiego kraju Trelemorele.

Czcigodny pan poseł Epaminondas Goncalves oświadczył, że słowa wypowiedziane przez czcigodnych panów deputowanych większości — którzy zamiast unieść się słusznym gniewem, kiedy ujawniono groźbę interwencji obcego mocarstwa w wewnętrzne sprawy Bahii z zamiarem obalenia republiki i przywrócenia feudalnych rządów arystokracji, usiłują zwrócić uwagę narodu na sprawy drugorzędne, a nawet szukają usprawiedliwień i okoliczności łagodzących winę stanowią niezbity dowód, że rząd stanu Bahia nie kiwnie palcem, by położyć kres rebelii w Canudos, gdyż w gruncie rzeczy i w skrytości ducha zadowolony jest z rozwoju wypadków. Dodał, iż makiaweliczne machinacje barona de Cañabrava i innych autonomistów nie wydadzą plonu, ponieważ armia brazylijska czuwa i tak samo jak zdusiła wszystkie monarchistyczne bunty na południu kraju, zdusi również bunt w Canudos. W chwili, gdy toczy się gra o suwerenność Ojczyzny, słowa są zbędne. Dlatego też Republikańska Partia Postępowa ogłasza od jutra kwestę na zakup broni, która zostanie przekazana w ręce żołnierzy wojsk federalnych. I wezwał czcigodnych panów deputowanych Republikańskiej Partii Postępowej, by pozostawili gmach Zgromadzenia stęsknionym za dawnym porządkiem wstecznikom, sami zaś niech ruszą w pochodzie do Campo Grande, gdzie przed marmurową tablicą ku czci marszałka Floriana Peixoto odnowią republikańską przysięgę. Co też niezwłocznie uczynili, ku konsternacji czcigodnych panów deputowanych

większości.

Wkrótce potem czcigodny pan przewodniczący Zgromadzenia, J.W. Adalberto de Gumucio, zamknął posiedzenie.

Jutro zdamy relację z patriotycznej uroczystości, która pod przewodnictwem czcigodnych panów deputowanych Republikańskiej Partii Postępowej odbyła się w godzinach porannych w Campo Grandę przed marmurową tablicą Żelaznego Marszałka.

### **Rozdział III**

— Nic dodać, nic ująć. Nie trzeba zmieniać nawet przecinka — mówi Epaminondas Goncalves. Na jego twarzy widać nie tyle zadowolenie, ile raczej ulgę, jakby obawiał się najgorszego po lekturze, przez którą okularnik przebrnął płynnie, bez jednego kichnięcia. — Gratuluję.

— Nie wiem, czy to prawda, czy kłamstwo, ale to nadzwyczajna historia — mamrocze pod nosem dziennikarz, jakby go nie słyszał. — Żeby jakiś jarmarczny szarlatanina, który rozpowiadał po całym Salwadorze, że z kości człowieka wyczytać można jego duszę, który w knajpach głosił anarchizm i ateizm, okazał się angielskim agentem, spiskującym z sebastianistami w celu przywrócenia monarchii?... A potem nagle odnajduje się gdzieś w środku sertonu, spalony żywcem... czy to nie nadzwyczajne?

— Tak, nadzwyczajne — przyznaje przywódca Republikańskiej Partii Postępowej. — Tym bardziej że ci, którzy wyglądali z pozoru na grupkę fanatyków, zdziesiątkowali i rozbili batalion uzbrojony w armaty i karabiny maszynowe. Nadzwyczajne, zapewne. Ale przede wszystkim groźne dla przyszłości kraju.

Upał wzmógł się jeszcze. Twarz okularnika jest zлана potem. Osusza ją tym swoim prześcieradłem, które niekiedy służy mu jako chustka do nosa. Potem zmiętym gorsem koszuli przeciera zaparowane okulary.

— Sam to zaniosę zecerom i poczekam, aż złożą szpalte — mówi, zbierając rozrzucone na biurku kartki. — Errata nie będzie potrzebna, proszę się o nic nie martwić. Niech pan idzie odpocząć.

— Czy praca u mnie daje panu więcej zadowolenia niż posada w gazecie barona? — pyta go szef bez ogródek. — Wiem, że tutaj zarabia pan więcej niż w „Diario de Bahia”. Chodzi mi o samą pracę. Woli pan ją od tamtej?

— Prawdę mówiąc, tak. — Zakłada okulary i zastyga na moment w oczekiwaniu kichnięcia, z przymkniętymi oczami, półotwartymi ustami i drgającym nosem. Alarm, na szczęście, jest fałszywy. — Ciekawiej jest pisać kronikę polityczną, niż rozwodzić się nad stratami poniesionymi wskutek użycia ładunków wybuchowych w połowach ryb na Ribeira de Itapagipe albo biadać nad pożarem w fabryce czekolady „Magellan”.

— Poza tym, pracując u mnie, buduje pan ojczyznę, służy sprawie narodu — mówi Epaminondas Goncalves. — Bo przecież pan jest jednym z nas?

— Nie wiem, po czyjej jestem stronie, proszę pana — odpowiada dziennikarz głosem, który jest tak samo zmienny jak powierzchowność jego właściciela: chwilami dyszkancik, chwilami dudniący bas. — Nie mam przekonania, a polityka mnie nie interesuje.

— Podoba mi się ta szczerość — śmieje się wydawca dziennika. Wstaje i chwyta za teczkę. — Jestem z pana zadowolony. Pańskie kroniki są bez zarzutu, mówią dokładnie to, co trzeba, i tak, jak trzeba. Cieszę się, że właśnie panu powierzyłem ten najbardziej drażliwy dział naszej gazety.

Podnosi lampkę, zdmuchuje płomień i wychodzi z gabinetu, a za nim dziennikarz, który w progu redakcyjnej sali potyka się o spluwaczkę.

— Skoro tak, to chciałbym pana o *coś* prosić — mówi nagle. — Jeśli pułkownik Moreira Cesar przybędzie stłumić powstanie w Canudos, chciałbym wyruszyć wraz z nim jako korespondent „Jornal de Noticias”.

Epaminondas Goncalves odwraca się i patrzy na niego badawczo, wkładając kapelusz.

— Sądzę, że to możliwe — mówi. — A jednak jest pan jednym z nas, chociaż polityka podobno pana nie interesuje. Żeby podziwiać pułkownika Moreirę Cesara, trzeba być na wskroś republikaninem.

— Nie wiem, czy to podziw — uściśla dziennikarz, wachlując się papierami. — Oglądać bohatera z krwi i kości, przebywać w pobliżu takiej sławy to wielka pokusa. Tak jakbym widział i dotykał bohatera powieści.

— Będzie pan musiał mieć się na baczności, pułkownik nie cierpi dziennikarzy — mówi Epaminondas Goncalves, idąc do wyjścia. — Swoją publiczną działalność rozpoczął od zastrzelenia na ulicy w Rio jakiego pismaka, który znieważył honor armii.

— Dobranoc — mówi dziennikarz i biegnie na drugi koniec gmachu, skąd mroczny korytarz prowadzi do drukarni. Zecerzy z nocnej zmiany, którzy czekają na jego kronikę, z pewnością poczęstują go filiżanką kawy.

## TRZY

### *Rozdział I*

Pociąg z gwizdem wjeżdża na stację w Queimadas, udekorowaną transparentami na powitanie pułkownika Moreiry Cesara. Na wąskim peronie, pod wiatą z czerwonej dachówki ciśnie się tłum, a nad szynami faluje wielkie białe płótno: QUEIMADAS WITA PUŁKOWNIKA-BOHATERA MOREIRĘ CESARA I JEGO OKRYTY CHWAŁĄ PUŁK. NIECH ŻYJE BRAZYLIA! Grupka bosych dzieci wymachuje chorągiewkami; wokół pół tuzina mężczyzn, wystrojonych jak na niedzielę, z insygniami radnych na piersi i kapeluszami w ręku, kłębi się ciżba obdartych, wynędzniałych postaci, wyciągających szyje i rozglądających się ciekawie; wszędzie pełno żebraków, a wędrowni kramarze zachwalają rapadurę i smażone przysmaki.

W oknach pociągu tłoczą się żołnierze z karabinami. Okrzyki i oklaski witają pułkownika Moreirę Cesara, który pojawia się na stopniach wagonu ubrany w mundur z niebieskiego sukna — guziki i ostrogi złote, galony i lamówki szkarłatne, u boku szpada — i zeskakuje na peron. Jest drobny, niemal rachityczny, bardzo ruchliwy. Chociaż wszystkie twarze poczerwieniały z gorąca, on się nie poci. Z wątłym ciałem pułkownika kontrastuje wrażenie siły, wywołane energią kipiącą w jego oczach i zdecydowaniem w ruchach. Spogląda jak ktoś, kto wie, czego chce, kto przywykł rozkazywać.

Okrzyki i owacje docierają z peronu aż na ulicę, gdzie ludzie osłaniają się od słońca kawałkami tektury. Dzieci garściami rzucają konfetti i wymachują chorągiewkami. Delegaci władz robią krok naprzód, ale pułkownik Moreira Cesar nie przystaje, żeby ucisnąć im dłonie. Otoczony grupą oficerów skłania się tylko uprzejmie, a potem krzyczy w stronę tłumu: „Niech żyje republika! Niech żyje marszałek Floriano!”. Ku zdumieniu radnych, którzy zapewne spodziewali się, że wygłoszą przemówienia, będą z nim rozmawiać i towarzyszyć jego osobie, pułkownik wkracza na stację w asyście swych oficerów. Próbuje iść za nim, ale pod drzwiami, które przed chwilą zatrzęsnięto, zatrzymują ich strażę. Słychać

rzenie. Z pociągu, wśród radosnych pisków dzieciarni, wychodzi piękny biały koń. Otrząsa się, rzuca łbem, rzy ze szczęścia, czując swobodę pól. Teraz przez drzwi i okna opuszczają wagony szeregi żołnierzy: wyładowują toboły, walizy, skrzynie z amunicją, karabiny maszynowe i armaty o lśniących lufach, witane pomrukiem gawiedzi, wloką po ziemi jarzma, które zakłada się wołom do przetaczania ciężkich dział. Delegaci władz odchodzą zrezygnowani i dołączają do gapiów, cisnących się do okien i drzwi, żeby zajrzeć do środka i choćby z daleka ujrzeć Moreirę Cesara w ruchliwej grupie oficerów, adiutantów, ordynansów.

W budynku stacji jest tylko jedna wielka hala, przedzielona przepierzeniem, za którym pracuje telegrafista. Jedne drzwi wychodzą na peron, a drugie na dwupiętrowy dom z szyldem „Hotel Continental”. Po bezdrzewnej alei Itapicuru, prowadzącej w górę, do rynku, kręci się pełno wojska. W tyle, za dziesiątkami rozplaszczonych o szyby twarzy zagląających do środka, trwa gorączkowy wyładunek sprzętu. Jakiś żołnierz podnosi sztandar pułku i powiewa nim przed tłumem. Rozlega się kolejna salwa oklasków. Na placu między hotelem „Continental” i budynkiem stacji inny żołnierz czyści zgrzeblą białego konia o bujnej grzywie. W rogu dworcowej hali stoi długi stół zastawiony dzbanami, butelkami i półmiskami pełnymi jadła, zakrytymi gazą przed tysiącami much krążących nad ucztą, na którą nikt nie zwraca uwagi. Z sufitu zwisają chorągiewki, girlandy i transparenty Republikańskiej Partii Postępowej i Autonomicznej Partii Bahii głoszące: NIECH ŻYJE PUŁKOWNIK MOREIRA CESAR! NIECH ŻYJE REPUBLIKA! NIECH ŻYJE 7. PUŁK PIECHOTY!

Wśród ożywionej krzątający pułkownik Moreira Cesar zmienia sukienki uniform na polowy mundur. Dwaj żołnierze zasłaniają kocem przepierzenie telegrafisty: z za tego prowizorycznego parawanu wylatują kolejno części bielizny, które jeden z adiutantów łapie i składa do kufra. Przebierając się, Moreira Cesar rozmawia z trzema oficerami, wyprężonymi przed nim na baczność.

— Meldunek o stanie liczebnym pułku, Cunha Matos. Major stuka lekko obcasami i zaczyna:

— Osiemdziesięciu trzech chorych, w tym część zarażonych ospą — mówi, zerkając na kartkę. — Tysiąc dwustu trzydziestu pięciu zdolnych do walki. Piętnaście milionów naboju i siedemdziesiąt zaprzęgów artyleryjskich w komplecie, — Przednia straż wyruszy do Monte Santo najpóźniej za dwie godziny. — Głos pułkownika jest kategoryczny, bezbarwny, bezosobowy. — Pan, kapitanie Olimpio, wytłumaczy mnie jakoś przed radnymi. Przyjmę ich potem, na krótko. Proszę im wyjaśnić, że nie możemy tracić czasu na ceremonie i bankiety.

— Tak jest, pułkowniku.

Kapitan Olimpio de Castro odchodzi, a naprzód występuje trzeci oficer. Nosi naszywki pułkownika, jest stary, niski i gruby, spojrzenie ma łagodne.

— Są tutaj porucznik Pires Ferreira i major Febronio de Brito z rozkazem dołączenia do pułku w charakterze doradców.

Moreira Cesar zastanawia się przez moment.

— Rzeczywiście, wielki mi pożytek dla pułku — mruczy niemal bezgłośnie. — Dawaj ich, Tamarindo.

Ordynans na klęczkach zakłada mu oficerki bez ostróg. Po chwili, poprzedzani przez pułkownika Tamarindo, Febronio de Brito i Pires Ferreira stają na baczność przed kocem. Stukając obcasami, meldują się kolejno: nazwisko, stopień i „na pańskie rozkazy, pułkowniku”. Koc opada na ziemię. Moreira Cesar ma pistolet w kaburze, u boku szpadę, z podwiniętych rękawów wojskowej bluzy wystają krótkie, chude, bezwłose ramiona. Bez

słowa, lodowatym wzrokiem mierzy obydwu oficerów od stóp do głów.

— Zaszczyt to dla nas oddać nasze doświadczenie i znajomość terenu na rozkazy wodza cieszącego się największym autorytetem w całej Brazylii.

Pułkownik Moreira Cesar patrzy w oczy Febronia de Brito uważnie i długo, aż na twarzy majora odbija się zmieszanie.

— Z tym waszym doświadczeniem nie zdołaliście nawet stawić czoła garstce bandytów. — Nie podniósł głosu, ale sala zdrętwiała, jakby nagle porażona prądem. Pułkownik patrzy na majora jak na lichego robaka i mierzy palcem w Piresa Ferreirę: — Ten oficer dowodził jedną kompanią. Ale pan miał pół tysiąca ludzi, majorze, a zebrał cięgi jak żółtodziób. Naraziliście na szwank autorytet armii, a co za tym idzie, republiki. Wasza obecność w szeregach 7 Pułku jest niepożądana. Zabraniam wam włączać się do działań. Pozostaniecie na tyłach jako odpowiedzialni za chorych i bydło. Możecie odejść.

Twarze obu oficerów są purpurowe. Febronio de Brito spływa potem. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale skłania się tylko i odchodzi chwiejnym krokiem. Porucznik stoi w miejscu jak skamieniały, oczy ma zaczerwienione. Moreira Cesar przechodzi obok, nie zaszczycając go spojrzeniem, a rój oficerów i ordynansów powraca do przerwanych czynności. Na stole leżą jakieś mapy i plik papierów.

— Wprowadzić korespondentów, Cunha Matos — rozkazuje pułkownik.

Major wpuszcza ich do sali. Przyjechali pociągiem razem z 7. Pułkiem i widać, że jazda ich zmęczyła. Stanęli: pięciu mężczyzn w różnym wieku, ubranych w sztylpy, kaszkiety i spodnie do konnej jazdy, uzbrojonych w ołówki, zeszyty i aparat fotograficzny na statywie, zakryty czarną płachtą. Najbardziej rzuca się w oczy młody dziennikarz okularnik z „Jornal de Noticias”. Zapusił rzadką bródkę, pasującą jak ulał do jego wyskubanej postaci, do cudacznego przenośnego pulpitu, do przypiętego u rękawa kałamarza i gęsiego pióra, które obgryza, podczas gdy fotograf rozstawia aparat. Pstryka: wykwita mały obłoczek, wzniesając radosny pisk dzieciarni za oknem. Pułkownik Moreira Cesar odpowiada skinieniem głowy na ukłony korespondentów.

— Wiele osób zaskoczyło to, że w Salvadorze nie przyjąłem miejscowych notabli — mówi na powitanie, chłodno i bez patosu. — To nie sekret: chodzi o czas, proszę panów. Każda minuta jest cenna. Przywiodło nas do Bahii określone zadanie. Wykonamy je. 7. Pułk ukarze buntowników z Canudos, jak ukarał rebeliantów z Fortaleza de Santa Cruz i Lagę czy federalistów z Santa Catalina. Nie będzie już powstań przeciw republice.

Wianuszek ludzi przyklepionych do szyb w niemym skupieniu usiłuje pochwycić słowa, oficerowie i ordynansi zastygli bez ruchu, słuchając, a piątka dziennikarzy patrzy weń na wół z urzeczeniem, na wół z niedowierzaniem. Tak, to on, nareszcie stoi przed nimi, z krwi i kości, taki, jakim przedstawiają go karykatury: drobny, cherlawy, porywający; oczy, które miotają iskry i przeszywają rozmówcę na wylot, ruch ręki, którą — mówiąc — przecina powietrze jak szablą. Dwa dni temu w Salvadorze razem z setkami mieszkańców Bahii oczekiwali, że go zobaczą, a on wszystkim sprawił zawód: nie przyjął zaproszeń na bankiety i bale wydane na jego cześć, wzgardził hołdami, unikał oficjalnych spotkań, a oprócz krótkiej wizyty w Klubie Wojskowym i u gubernatora Luisa Viany nie był nigdzie, przez cały czas bowiem osobiście czuwał nad wyładunkiem wojsk w porcie, a potem nad przewozem ekwipunku i taborów do dworca La Calzada, zaś już następnego ranka wsiadł do pociągu, który przywiózł ich tutaj, w sam środek sertonu. Przez Salvador przeszedł, jakby uciekał przed zarazą, i dopiero teraz wyjaśnia powód swego zachowania: czas. Ale pięciu korespondentów, śledzących najmniejszy jego gest, nie myśli o słowach, jakie padają w tej chwili z jego ust: przypominają sobie wszystko, co o nim powiedziano i napisano, i

porównują tamtą mityczną postać, zniechęconą i ubóstwianą, z tym drobnym, surowym człowiekiem, patrzącym na nich jak na powietrze. Próbuje sobie wyobrazić małego chłopca, który na ochotnika zaciąga się na wojnę z Paragwajem, gdzie otrzymał tyleż ran co medali, myślą o pierwszych latach jego oficerskiej kariery w Rio de Janeiro, kiedy cudem uniknął aresztowania i wydalenia z szeregów armii z powodu swego wojującego republikanizmu, wspominają czasy, gdy stanął na czele antymonarchistycznego spisku. Mimo energii emanującej z jego oczu, gestów, głosu, trudno im sobie wyobrazić, jak pięcioma strzałami z rewolweru zabija na stołecznej ulicy Ouvidor tamtego nieznanego dziennikarza, z łatwością za to słyszą, jak oświadcza w sądzie, że dumny jest ze swego czynu i chętnie go powtórzy, jeśli ktoś znowu ubliży godności armii, przede wszystkim jednak myślą o politycznej karierze, jaką zrobił po powrocie z Mato Grosso, gdzie przebywał na wygnaniu aż do upadku cesarstwa: został wówczas najbliższym współpracownikiem prezydenta Floriana Peixoto i żelazną ręką dławiał wszelkie powstania w pierwszych latach republiki, a w wywrotowym periodyku „O Jacobino” bronił swojej koncepcji republiki dyktatorskiej — bez parlamentu i partii politycznych — gdzie armia stałaby się, jak niegdyś Kościół, ośrodkiem świeckiego społeczeństwa, które dokona nagłego zwrotu, wkraczając na drogę naukowego postępu.

Zastanawiają się, czy to prawda, że po śmierci marszałka Floriana Peixoto, przejęty bólem, zemdlął na cmentarzu w trakcie odczytywania mowy pochwalnej na cześć zmarłego. Gdy władzę przejął cywilny prezydent Prudente de Moraes, zaczęto mówić, że polityczne losy pułkownika Moreiry Cesara i tak zwanych „jakobinów” są przesądzone. Ale to, co się mówi, nie zawsze jest prawdą, gdyby tak bowiem było, nie zjawiłby się tu, w Queimadas, i to na polecenie rządu, na czele osławionego 7 Pułku, z zadaniem, które wykona, któż by w to wątpił, a po powrocie do Rio jego prestiż jeszcze wzrośnie.

— Przybyłem do Bahii nie po to, by ingerować w lokalne walki polityczne. — Wskazuje na zwisające z sufitu afisze Partii Republikańskiej i Partii Autonomicznej i mówi dalej, nie zaszczycając ich jednym spojrzeniem: — Armia stoi ponad sporami stronnictw, trzyma się z dala od polityków. 7. Pułk jest tutaj, żeby stłumić spisek monarchistów. Złodzieje i obłąkani fanatycy z Canudos są tylko fasadą zmyśli wymierzonej w republikę: narzędziem arystokracji, która nie pogodziła się z utratą przywilejów i nie chce, żeby Brazylia była krajem nowoczesnym; narzędziem fanatycznych księży, którzy nie pogodzili się z rozdziałem Kościoła od państwa, bo nie chcą oddać Cezarowi co Cezara; wreszcie — narzędziem Anglii, która dąży do restauracji skorumpowanego imperium, dzięki niemu bowiem mogła przywłaszczać sobie cały brazylijski cukier po śmiesznych cenach. Ale wrogowie republiki są w błędzie. Ani arystokracja, ani księża, ani Anglia nie będą więcej dyktować praw Brazylii. Armia do tego nie dopuści.

Podnosił stopniowo głos, a ostatnie słowa wykrzyczał płomiennie, prawą ręką kładąc na rękojeści pistoletu. Zamilkł. W sali panuje pełne szacunku wyczekiwanie, słychać tylko brzęczenie owadów, które latają jak oszalałe nad półmiskami jadła. Najstarszy z pięciu korespondentów, siwowłosy mężczyzna, opatulony mimo upału kraciatą marynarką, unosi nieśmiało rękę — chce się odezwać lub o coś zapytać. Ale pułkownik nie udziela mu głosu: daje znak i dwaj ordy-nansi, czekający w pogotowiu na tę chwilę, dźwigają z podłogi jakąś skrzynię, stawiają ją na stole i otwierają: w środku leżą karabiny.

Moreira Cesar, z rękami założonymi do tyłu, zaczyna przechadzać się powoli przed piątką korespondentów.

— Przechwycone w bahijskim sertonie, panowie — mówi dalej, ironicznie, jakby z kogoś kąpił. — Te przynajmniej nie dojechały do Canudos. Skąd pochodzą? Nawet nie zadali sobie trudu, żeby zedrzeć fabryczną markę. Liverpool! Tylko tyle! W Brazylii nigdy nie było takich karabinów. Na dodatek przystosowanych do strzelania kulami dum-dum. To wyjaśnia



sprawę ran, które tak zaskoczyły naszych chirurgów: miały od dziesięciu do dwunastu centymetrów średnicy. Nie wyglądało to na zwykłą kulę, raczej na granat. Czy to możliwe, żeby zwykli jaguncos, pospolici złodzieje bydła, znali się na takich europejskich subtelnościach jak kule dum-dum? A ci osobnicy niewiadomego pochodzenia? Trup znaleziony w Ipupiara? A typ, który nagle pojawia się w Capim Grosso z torbą wypchaną funtami szterlingami i zeznaje, że najęło go za przewodnika kilku jeźdźców mówiących po angielsku? A w Belo Horizonte? Tak, nawet tam widziano cudzoziemców wiozących żywność dla Canudos. Za dużo przypadków, panowie. Zbyt wiele wskazuje na spisek wrogów republiki. Nie poddają się. Ale na próżno. Nie powiodło im się w Rio, nie powiodło im się w Rio Grande do Sul i w Bahii także im się nie powiedzie.

Dwa, trzy razy przeszedł tam i z powrotem, krótkim, szybkim, nerwowym krokiem, przed piątką korespondentów. Teraz stoi w tym samym miejscu co na początku, przy stole z mapami. Kiedy zwraca się do nich znowu, jego głos jest despotyczny, pobrzmiwa w nim groźba:

— Wyraziłem zgodę na obecność panów w 7. Pułku, ale będziecie się musieli podporządkować pewnym zarządzeniom. Teksty depesz zatwierdzać będzie major Cunha Matos albo pułkownik Tamarindo. Podobnie relacje z pola bitwy, wysyłane przez kurierów. Uprzedzam, że jeśli ktoś spróbuje przemycić artykuł bez podpisu moich adiutantów, winny będzie ciężkiego wykroczenia. Mam nadzieję, że zostałem zrozumiany: jakikolwiek fałszywy krok, błąd czy nieostrożność mogą przysłużyć się wrogowi. Jest wojna, proszę o tym nie zapominać. Mam nadzieję, iż pobyt panów w pułku będzie owocny. To wszystko.

Odwraca się do oficerów sztabowych, którzy natychmiast skupiają się wokół niego, i nagle, jakby przysł jakiś czar, życie powraca na stację w Queimadas. Tylko piątka korespondentów stoi w miejscu: spoglądają po sobie, zbici z tropu, otumanieni, rozczarowani, nie rozumiejąc, dlaczego pułkownik Moreira Cesar traktuje ich jak potencjalnych wrogów, dlaczego nie dał im dojść do słowa, dlaczego nie uczynił najmniejszego gestu sympatii lub przynajmniej grzeczności. Krąg otaczający pułkownika rozsypuje się, w miarę jak posłuszni jego instrukcjom oficerowie, stukając obcasami, rozchodzą się jeden za drugim w różne strony. Pułkownik zostaje sam, omiata salę spojrzeniem. Przez jedną sekundę korespondenci myślą, że do nich podejście. Mylą się jednak. Patrzy — jakby dopiero teraz je spostrzegł — na wygłodniałe, ogorzałe, wynędzniałe twarze rozplaszczone za szybami. Obserwuje je z nieokreślonym wyrazem oczu, czoło ma zmarszczone, dolną wargę wysuniętą. Nagle zdecydowanym krokiem idzie do najbliższych drzwi. Otwiera je na oścież i w geście powitania podnosi dłoń przed kłębowskiem mężczyzn, kobiet, dzieci i starców, bosych, w łachmanach — którzy wpatrują się weń z szacunkiem, strachem lub podziwem. Władczym ruchem zmusza ich do wejścia, ciągnie, kusi, ośmiela, wskazując długi stół, gdzie pod aureolą łapczywych owadów więdnie jadło i napitek, przygotowane przez rajców Queimadas na jego cześć.

— Chodźcie, chodźcie — mówi, prowadzi ich, popycha, własnoręcznie zdejmując gazetę z nakryć. — 7. Pułk was zaprasza. Dalejże, nie bójcie się. To dla was. Wam bardziej tego potrzeba niż nam. Jedzcie i pijcie na zdrowie.

I już nie musi ich zachęcać, już runęli, rozradowani, zachłanni, niedowierzający własnemu szczęściu, na talerze, szklanki, półmiski, dzbany, rozpychają się łokciami, tratują, potracają, wrywają sobie potrawy i napoje pod zasmuconym spojrzeniem pułkownika. Dziennikarze stoją wciąż w tym samym miejscu, z otwartymi ustami. Jakaś staruszka wycofuje się z ogryzionym do połowy łupem w garści. Przystaje przed Moreirą Cesarem z twarzą pełną wdzięczności.

— Niech Najświętsza Panienka cię strzeże, pułkowniku — mamrocze, kreśląc znak

krzyża w powietrzu.

Korespondenci słyszą odpowiedź Moreiry Cesara:

— To jest Pani, która mnie będzie strzegła — mówi, kładąc dłoń na rękojeści szpady.

W swoich najlepszych latach Cyrk Objazdowy Cygana liczył dwadzieścia osób, o ile można nazwać osobą kogoś takiego jak Kobieta z Brodą, Karzełek, Człowiek-Pająk, Olbrzym Pedrin czy Juliao, połykacz żywych żab. Cyrk toczył się po drogach wozem wymalowanym w figury linoskoczków na czerwonym tle i ciągniętym przez cztery konie, na których Bracia Francuzi dawali pokaz akrobacji. Uzupełnieniem tej kolekcji ludzkich okazów był mały ogród zoologiczny, bliźniaczy zbiór ciekawostek przyrodniczych, gromadzonych przez Cygana w jego licznych wyprawach: cielę o pięciu nogach, małpka o dwóch głowach, kobra — ta była normalna i trzeba ją było karmić ptaszkami — oraz koźlą o trzech rzędach zębów, które Pedrin prezentował publiczności, otwierając mordę zwierzęcia swoimi ogromnymi łapskami. Nigdy nie mieli namiotu. Przedstawienia odbywały się na rynku, w dni targowe albo w święto patrona osady.

Na repertuar składały się pokazy siły i ekwilibrystyki, magii i jasnowidztwa: Murzyn Solimao połykał szable, Człowiek-Pająk jedwabście wspinał się na śliski słup i proponował bajeczne sumy każdemu, kto zdoła go naśladować, Olbrzym Pedrin rozrywał łańcuchy, Kobieta z Brodą zmuszała kobrę do tańca i całowała się z nią, a wszyscy razem, przedzierzgnięci w klaunów, umazani palonym korkiem i ryżowym pudrem, składali we dwoje, we czworo, w sześcioro Głupka, który zdawał się nie mieć kości. Ale pierwszą gwiazdą był Karzełek: z wielkim smakiem, wycuciem, romantyzmem i wyobraźnią opowiadał romance — o Królownie Magalonie, córce władcy Neapolu porwanej przez Rycerza Pierre'a, której klejnoty pewien żeglarz odnalazł w brzuchu ryby; o Pięknej Sylwannie, którą chciał pojąć za żonę ni mniej, ni więcej, tylko jej własny ojciec; o Karolu Wielkim i Dwunastu Parach Francji; o uwiedzionej przez Szatana bezpłodnej księżniczce, która powiła Roberta Diabła; o Oliwierze i Fierabrasie. Jego numer zostawiano na koniec, bo korzystnie wpływał na hojność widowni.

Cygan musiał mieć jakieś niezłatwione porachunki z policją na wybrzeżu, bo nawet w okresach suszy nie zapuszczał się nad morze.

Nie znał litości dla nikogo, kto ośmielił się z nim zadrzeć, czy był to mężczyzna, kobieta czy zwierzę. A przecież mimo całej poniewierki żadnemu z cyrkowców nie śniło się nawet, żeby go opuścić. Był duszą cyrku, on go stworzył, zbierając po całej ziemi istoty, które dla swoich sąsiadów i rodzin były ludzkim pośmiewiskiem, wybrykiem natury, karą bożą, pomyłką stworzenia; wszyscy oni — Karzełek, Brodaczka, Olbrzym, Człowiek-Pająk, a nawet Głupek (który wyczuwał to instynktem, choć nie mógł pojąć rozumem) — znaleźli w wędrownym cyrku dom bardziej gościnny niż ich własne. W karawanie, krążącej tam i z powrotem, w górę i w dół, po rozpalonych przestrzeniach sertonu, przestali wstydzić się tego, że żyją, wyzbyli się lęku, a dzieląc ze sobą swoją nienormalność, nareszcie czuli się normalni.

Dlatego żadne z nich nie mogło zrozumieć chłopca z grzywą długich, splątanych kudłów i bystrymi czarnymi oczami, który prawie nie miał nóg i chodził na czworakach. Było to w Natubie. Podczas przedstawienia zauważyli, że Cygan przygląda mu się z zaciekawieniem. Wszelkiego rodzaju monstra ludzkie i zwierzęce pociągały go z przyczyny głębszej niż materialne korzyści. Być może czuł się zdrowszy, pełniejszy, doskonalszy w towarzystwie dziwolągów i wyrzutków. Faktem jest, że gdy widowisko dobiegło końca, zapytał o jego dom, odnalazł właściwy adres, przedstawił się rodzicom i namówił ich, żeby oddali mu syna, a on zrobi z niego artystę. Z niezrozumiałych powodów chłopiec-lew uciekł następnego dnia, kiedy Cygan przystąpił do tresury.

Początek końca nadszedł razem z wielką suszą, a wszystko przez Cygana, który mimo błagań cyrkowców uparł się, że nie zejdzie na wybrzeże. Mijali wyludnione osady i fazendy, zamienione w kostnice, i zrozumieli, że grozi im śmierć z pragnienia. Lecz on był głuchy na ich prośby, a pewnego wieczoru powiedział: „Jesteście wolni. Odejdźcie albo zostańcie. Ale żeby mi nikt nie gadał, dokąd mam iść z moim cyrkiem”. Nikt nie odszedł, zapewne dlatego, że wszyscy bardziej obawiali się ludzi niż suszy. W Caatinga do Moura zachorowała na złośliwą gorączkę Dativa, żona Cygana. Pochował ją w Taquarandi. Zaczęli zjadać własne zwierzęta. Gdy w półtora roku potem powróciły deszcze, z ogrodu zoologicznego przeżyła jedynie kobra, a połowa cyrkowców wymarła: Juliao i jego żona Sabina, Murzyn Solimao, Olbrzym Pedrin, Człowiek-Pająk i Gwiazdeczka. Stracili swój malowany wóz: cały dobytek załadowali na dwie arby, które sami ciągnęli na zmianę. Dopiero kiedy powrócili ludzie, woda, życie, Cygan kupił dwa muły.

I znów dawali przedstawienia, znowu zarabiali, znowu jedli do syta. Ale już nie było tak jak dawniej. Cygan oszalał z rozpacz po stracie dzieci, a cyrk przestał go w ogóle obchodzić. Swoich trzech synów zostawił na wychowanie u pewnej rodziny z Caldeirao Grandę, ale kiedy po suszy wrócił po nich, nikt w osadzie nie potrafił mu niczego powiedzieć o rodzinie Campinasów i jego dzieciach. Nie rezygnował i jeszcze po latach rozpytywał o nich po wioskach i miasteczkach. Po stracie synów, których miał za umarłych, stał się — on, uosobienie energii — człowiekiem apatycznym i pamiętliwym, często bywał pijany i wściekły o byle co. Pewnego dnia po południu występowali w osadzie Santa Rosa, a Cygan pokazywał numer, który dawniej przedstawiał Olbrzym Pedrin: wyzywał chętnych z widowni, żeby spróbowali rozłożyć go na obie łopatki. Jakiś osiłek wystąpił z tłumu i powalił go jednym ciosem. Cygan wstał, mówiąc, że się poślizgnął: niech spróbuje jeszcze raz. Siłacz posłał go z powrotem na ziemię. Cygan podniósł się i z groźnym błyskiem w oku zapytał, czy powtórzy swój wyczyn z nożem w garści. Tamten nie szukał zwady, ale Cygan zupełnie stracił głowę i prowokował go w taki sposób, że siłacz nie miał innego wyjścia i musiał przyjąć wyzwanie. Z tą samą łatwością, z jaką przedtem przewrócił go na ziemię, pokonał Cygana i teraz, po czym odszedł, zostawiając go na piasku z poderżniętym gardłem i szklanymi oczami. Później dowiedzieli się, że Król Cyrku ośmielił się zadrzeć z bandytą Pedrao.

Mimo to cyrk nie poszedł w rozsypkę: siłą bezwładu przeżył niejako sam siebie, jakby na dowód, że co nie ma zginąć, nie zginie, jak mawiała Brodaczka. Było to już, co prawda, zaledwie widmo, upiór dawnego cyrku. Wlekli się za zaprzężonym w osła wozem ze sparciałą budą, na którym jechał pocerowany składany namiot, gdzie sypiały niedobitki artystów: Brodaczka, Karzełek, Głupek i kobra. Nadal dawali przedstawienia, a romance Karzełka o miłości i niezwykłych przygodach cieszyły się niesłabnącym powodzeniem. Żeby nie męczyć osła, wędrowali piechotą. Z wozu korzystała jedynie kobra, która mieszkała w wiklinowym koszyku. W swoich włóczęgach po świecie ostatni cyrkowcy spotykali świętych, bandytów, pielgrzymów i uciekinierów, widywali najdziwniejsze twarze i stroje.

Ale nigdy, aż do tamtego pamiętnego dnia, nie zdarzyło im się ujrzeć tak czerwonych włosów, jakie zobaczyli u mężczyzny leżącego na zakręcie drogi do Riacho da Onca. Nie ruszał się, a jego czarne ubranie białymi plamami pokrył kurz. Kilka metrów za nim sępy urubii pożerały gnijące ściervo muła. Znad wygaszonego ogniska patrzyła na nich młoda kobieta, która wcale nie wyglądała na smutną. Osiół zatrzymał się, jakby na rozkaz. Brodaczka, Karzełek i Głupek obejrzelili mężczyznę: przez gęstwą płomienistych włosów dostrzegli sinofioletową ranę na ramieniu, a na brodzie, uchu i piersi zaschniętą krew.

— Żyje? — zapytała Brodaczka.

— Jeszcze — odpowiedziała Jurema.

„Ogień zniszczy to miejsce”, rzekł Nauczyciel, prostując się na posłaniu. Odpoczywali dopiero od czterech godzin po procesji, która skończyła się po północy, ale Lew z Natuby, obdarzony niezwykle ostrym słuchem, ułowił przez sen charakterystyczny głos i chwycił za pióro, żeby uwiecznić zdanie, które nie powinno zaginać. Nauczyciel, z zamkniętymi oczami, pogrążony w wizjach, dodał: „Będą cztery pożary. Po trzykroć sam je ugaszę, ale czwarty złożę w ręce Dobrego Jezusa”. Tym razem słowa jego zbudziły również służebniczki w sąsiedniej izbie: pisząc, Lew z Natuby usłyszał szmer otwieranych drzwi i zobaczył spowitą w błękitną suknię postać Marii Quadrado, jedynej poza nim samym i Aniołkiem osoby mającej wolny wstęp do Sanktuarium we dnie i w nocy. „Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus”, powiedziała przełożona Świętego Chóru, żegnając się znakiem krzyża. „Na wieki wieków”, odparł Nauczyciel, otwierając oczy. I śnił dalej, a w jego głosie pobrzmiwał smutek: „Zabijają mnie, ale ja nie zdradzę Pana”.

Pisząc te słowa, w skupieniu, na wskroś przeniknięty powierzoną mu przez Aniołkę doniosłą misją, dzięki której mógł dzielić z Nauczycielem każdą chwilę swego życia, Lew z Natuby czuł w sąsiedniej izbie obecność służebniczek ze Świętego Chóru, niecierpliwie czekających znaku Marii Quadrado, że mogą wejść. Było ich osiem. Nosiły, jak ona, niebieskie suknie z rękawami i bez dekoltu, przepasane białym sznurem. Chodziły boso, głowy nakrywały chustkami w tym samym niebieskim odcieniu. Matka Ludzi, widząc ich ofiarność i pobożność, wybrała je, aby bez reszty poświęciły się Nauczycielowi: cała ósemka ślubowała żyć w czystości i nigdy nie powrócić do swoich rodzin. Sypiały na podłodze pod drzwiami i niby błękitna aureola towarzyszyły Nauczycielowi wszędzie: kiedy czuwał nad budową Świątyni Dobrego Jezusa, kiedy modlił się w kościele Świętego Antoniego, kiedy przewodził procesjom, różańcom i pogrzebom, kiedy odwiedzał Domy Zdrowia. Święty żył wstrzemięźliwie i skromnie, więc obowiązków miały niewiele: słały pryczę zbitą z nieociosanych kołków, prały, cerowały i lałały fioletową szatę, dbały o białego baranka, myły podłogę i ściany Sanktuarium. Weszły. Maria Quadrado zamknęła za nimi uchylone drzwi. Alejandrinha Correa prowadziła baranka. Osem kobiet uczyniło znak krzyża, recytując monotonnie i śpiewnie: „Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus”. „Na wieki wieków”, odpowiedział Nauczyciel, głosząc białą wełnę zwierzęcia. Lew z Natuby siedział w kucki z piórem w dłoni. Na ławeczce, która służyła mu za biurko, rozłożył kartki papieru. Bystre oczy, błyszczące w niechlujnej, skołtunionej grzywie opadającej mu na twarz, utkwił w wargach Nauczyciela. Ów zaś sposobił się do modlitwy.

Padł na twarz. Maria Quadrado i służebniczki klękały na podłodze, by modlić się wraz z nim. Ale Lew z Natuby nie padł na ziemię ani nie uklęknął: jego misja wymagała, żeby wyłączono go z modłów. Aniołek polecił mu czujnie śledzić modlitwę świętego w oczekiwaniu na „objawienia”. Ale tamtego ranka Nauczyciel modlił się w milczeniu, w świetle brzasku, który z sekundy na sekundę jaśniał mocniej: przez szpary w dachu, ścianach i drzwiach Sanktuarium sączyły się żyłki złota przesywane drobinami kurzu. Belo Monte budziło się ze snu, słychać było koguty, psy i ludzkie głosy. Na zewnątrz z pewnością zaczęli się już gromadzić pielgrzymi i mieszkańcy osady, którzy chcieli ujrzeć świętego albo prosić go o jakąś łaskę.

Kiedy Nauczyciel powstał, służebniczki podały mu miskę koziego mleka, kromkę chleba, talerz gotowanej kukurydzianej mąki i koszyk owoców mangaby. Lecz on zadowolił się paroma łykami mleka. Wówczas służebniczki przyniosły w wiadrze wodę do mycia. Podczas gdy milczące, staranne, zgodne, sprawne krążyły wokół pryczy, zwilżając mu ręce i twarz, wycierając stopy, Nauczyciel trwał nieruchomy, zatopiony w myślach lub modlitwie. Kiedy zakładały mu na nogi pasterskie sandały, które zawsze zdejmował do snu, do Sanktuarium weszli Aniołek i Joao Mnich.

Byli tak odmienni, że gdy stali obok siebie, pierwszy z nich wydawał się jeszcze bardziej kruchy i natchniony, a drugi bardziej zażywny niż zwykle. „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus”, powiedział jeden, a drugi: „Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus”. „Na wieki wieków”. Nauczyciel wyciągnął dłoń, a kiedy całowali ją, zapytał z niepokojem:

— Są wieści od ojca Joaquina?

Aniołek zaprzeczył. Mimo iż drobny, cherlawy i przedwcześnie postarzały, w twarzy miał tę samą nieujarzmioną energię, z jaką organizował wszelkie akty kultu, przyjmowanie pielgrzymów, procesje, opiekę nad ołtarzami, resztę czasu poświęcając na układanie hymnów i litanii. Jego brunatna suknia upstrzona była szkaplerzami i dziurami, przez które przeświecał pokutny pas: mówiono, że nie zdejmował go od dziecka, kiedy to Nauczyciel sam opasał nim ciało chłopca. Wystąpił naprzód, żeby przemówić, a Joao Mnich, którego ludzie zaczęli nazywać Naczelnikiem Ludu i Komendantem Ulicy, odsunął się do tyłu.

— Joao wpadł na pomysł. Samo Niebo go natchnęło, ojcie — powiedział Aniołek nieśmiało, głosem przepelnionym czcią, z jaką zawsze zwracał się do Nauczyciela. — Była bitwa. Tutaj, w Belo Monte. Kiedy wszyscy walczyli, ty byłeś sam na wieży. Nie było nikogo, kto by cię strzegł.

— Mnie strzeże Ojciec, Aniołku — odparł Nauczyciel. — Tak jak ciebie, jak wszystkich, którzy wierzą.

— My możemy pomrzeć, ale ty musisz żyć — nalegał Aniołek. — Przez miłość do ludzi, Nauczycielu.

— Chcemy zorganizować gwardię, która cię będzie strzec, ojcie — wyszeptał Joao Mnich. Oczy miał spuszczone, szukał słów. — Będą czuwać, żeby nikt nie uczynił ci krzywdy. Wybierzemy ich, jak Matka Maria Quadrado wybrała Święty Chór. Weźmiemy najlepszych, najdzielniejszych, zaufanych. Będą ci służyć.

— Jak archaniołowie w Niebie Dobremu Jezusowi — powiedział Aniołek. Wskazał na drzwi, skąd dobiegał rosnący zgiełk. — Co dzień, co godzina przybywa ludzi. Zebrały się tam setki, czekają. Nie możemy poznać wszystkich. A jeśli między nimi znajdą się psy, heretycy? Gwardia będzie twoją tarczą. A kiedy nastanie wojna, nigdy nie zostawimy cię samego.

Służebniczki siedziały w kucki, nieruchome i nieme. Tylko Maria Quadrado stała obok dwóch mężczyzn. Lew z Natuby podczołgał się ku Nauczycielowi i jak wierny pies oparł głowę na jego kolanach.

— Nie myśl o sobie. Pomyśl o innych — powiedziała Maria Quadrado. — To natchniona myśl, ojcie. Zgódź się.

— Nazwiemy ich Gwardią Katolicką, Kompanią Dobrego Jezusa — dodał Aniołek. — To będą krzyżowcy, żołnierze prawdziwej wiary.

Nauczyciel zrobił niedostrzegalny ruch, ale wszyscy zrozumieli, że wyraża zgodę.

— Kto stanie na czele? — zapytał.

— Joao Wielki, jeżeli się zgodzisz — odparł były cangaceiro. — Aniołek też myśli, że on byłby najodpowiedniejszy.

— To dobry wierny. — Nauczyciel zamilkł na chwilę, a kiedy znów się odezwał, jego głos stał się bezosobowy. Zdawało się, że nie zwraca się już do nich, ale przemawia wobec jakiegoś wielkiego, nieprzemijającego gremium. — Cierpiał na duszy i na ciele. A właśnie

cierpienie duszy czyni dobrymi dobrych.

Zanim Aniołek zdążył nań spojrzeć, Lew z Natuby zerwał głowę z kolan świętego, szybkim kocim ruchem chwycił pióro i zapisał, co usłyszeli. Kiedy skończył, podreptał z powrotem do Nauczyciela i położył mu na kolanach swoją kudłatą głowę. Joao Mnich zaczął opowiadać, co zaszło w ciągu ostatnich godzin. Część jaguncos wyruszyła na zwiady, inni wrócili z prowiantem i nowinami, jeszcze inni podłożyli ogień pod fazendy, które odmówiły pomocy Dobremu Jezusowi. Czy Nauczyciel słuchał tego wszystkiego? Oczywiście miał zamknięte i trwał bez ruchu, niemy jak służebniczki, jakby jego dusza uleciała na jedno z tych niebiańskich kolokwiów — tak nazywał je Aniołek — skąd mieszkańcom Belo Monte przynosił objawienia i prawdy. Mimo że nic nie wskazywało na przybycie nowych żołnierzy, Joao Mnich rozstawił ludzi na drogach wychodzących z Canudos ku Geremoabo, Uaua, Cambaio, Rosario, Chorrochó i Cural dos Bois, kopał transeje i wznosił parapety na brzegach Vassa Barris. Nauczyciel nie zadawał pytań. Milczał też, kiedy Aniołek opowiadał mu o przebiegu wojny, którą sam rozpętał. Jakby recytując litanie, wyliczał, ilu pątników przybyło wczoraj, a ilu o świcie: przyszedli z Ca-bobó, Jacobiny, Bom Conselho i Pomba, a teraz czekają w kościele Świętego Antoniego. Woli spotkać się z nimi rano, zanim odwiedzi robotników w Świątyni Dobrego Jezusa, czy wieczorem, na naukach? Aniołek ciągnął dalej, zdając sprawę z postępu prac. Skończyło się drewno na stemple i nie można zacząć stropu. Dwóch cieśli wyruszyło do Joazeiro, żeby zakupić belki. Szczęściem nie brak kamieni, więc murarze bez przeszkód stawiają ściany.

— Świątynię Dobrego Jezusa trzeba ukończyć czym prędzej — powiedział Nauczyciel, otwierając oczy. — To jest teraz najważniejsze.

— Tak, ojcie — odparł Aniołek. — Pomagają wszyscy. Nie rąk do pracy nam brakuje, tylko budulca. Wszystko się kończy. Ale drewno zdobędziemy: jeśli trzeba będzie zapłacić, zapłacimy. Jesteśmy gotowi oddać wszystko, co mamy.

— Ojciec Joaquim zwleka tak długo — powiedział Nauczyciel, zaniepokojony. — Już dawno nie było mszy w Belo Monte.

— To chyba przez te lonty, ojcie — odezwał się Joao Mnich. — Nie mamy prawie nic, a on zaofiarował się, że kupi je w kopalniach Ca-cabu. Zamówił je pewnie i czeka na dostawę. Chcesz, żebym kazał go szukać?

— Przyjedzie, ojciec Joaquim nas nie zdradzi — odparł Nauczyciel. I poszukał oczami Alejandriny Correi, która odkąd padło imię proboszcza z Cumbe, stała z głową wtuloną w ramiona, widocznie zmieszana. — Podejdz. Nie musisz się wstydić, córko.

Alejandrinha Correa — lata wyszczupliły jej sylwetkę i pomarszczyły twarz, ale wciąż zachowała zadarty nosek i krnąbrny wygląd, kontrastujący z jej pełnym pokory zachowaniem — podeszła z ociąganiem do Nauczyciela, nie śmiać spojrzeć mu w oczy. On położył jej dłoń na głowie i przemówił:

— Zło obróciło się w dobro, Alejandrino. Był złym pasterzem. Cierpiał z powodu grzechu, ukorzył się, zrobił rachunek sumienia, a teraz jest dobrym synem Ojca. Wyświadczyłaś mu przysługę. I twoim braciom z Belo Monte też, bo dzięki ojcu Joaquimowi możemy wysłuchać mszy od czasu do czasu.

Powiedział to jakby ze smutkiem i być może nie zauważył, że była różdżkarka pochylała się, żeby ucałować jego suknię, zanim odeszła do swego kąta. Z początku księża licznie odwiedzali osadę, odprawiali msze, chrzcili dzieci i dawali śluby. Ale od wizytacji misji świętej kapucynów-misjonarzy z Salwadoru, która skończyła się tak fatalnie, arcybiskup Bahii zabronił proboszczom udzielać posług duchowych w Canudos. Jedynie ojciec Joaquim

nie ustąpił. Przynosił nie tylko religijną pociechę: również papier i atrament dla Lwa z Natuby, gromnice i kadzidło dla Aniołka oraz rozmaite dobra zamawiane przez Joao Mnicha i braci Vilanova. Co sprawiło, że rzucił wyzwanie Kościołowi, a potem także władzom cywilnym? Być może Alejandrinha Correa, matka jego dzieci, z którą za każdym razem zamieniał kilka oschłych słów w Sanktuarium albo w kaplicy Świętego Antoniego. A może Nauczyciel, wobec którego zawsze był speszony i pełen wewnętrznego napięcia. Wreszcie, może nadzieja, że przychodząc tu, spłaca stary dług zaciągnięty w Niebie i u mieszkańców sertonu.

Kiedy Aniołek zaczął mówić o trzydniowych obchodach ku czci Przenajświętszej Krwi, mających rozpocząć się tego wieczoru, czyjeś palce zastukały do drzwi, za którymi powstało nagle ożywienie. Maria Quadrado poszła otworzyć: przez morze głów usiłujących zajrzeć do środka, do izby wdarło się słońce, przesłonięte plecami jakiejś barczystej postaci. W progu stał proboszcz z Cumbe.

— Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus — powiedział Nauczyciel, wstając tak gwałtownie, że Lew z Natuby odskoczył w bok. — Właśnie myśleliśmy o księdzu, a tu ksiądz we własnej osobie...

Ruszył ku ojcu Joaquimowi, którego habit i twarz uwalane były kurzem drogi. Skłonił się przed nim, ujął jego dłoń i ucałował. Pokora i szacunek, jakie okazywał mu Nauczyciel, zawsze krępowały proboszcza, ale dziś był tak wzburzony, że nie zwrócił na to uwagi.

— Przyszła depesza — oznajmił, gdy Matka Ludzi, służebniczki, Aniołek i Joao Mnich całowali go w rękę. — Pułk federalny z Rio jest już w drodze. Dowodzi sławny żołnierz, bohater, który dotąd wygrywał wszystkie wojny.

— Nikt dotąd nie wygrał wojny przeciw Ojcu — powiedział Nauczyciel z radością w głosie.

Lew z Natuby, skulony, pisał z pośpiechem.

Kontrakt z Koleją Żelazną w Jacobinie wygaś wreszcie. Po przepaścistych ścieżkach gór Bendengó, tam, gdzie pewnego razu spadł kamień z nieba, Rufino prowadzi pastuchów z Itiuby. Ścigają złodziei bydła, którzy ukradli pół setki sztuk z fazendy Pedra Vermelha, należącej do pułkownika Jose Bernarda Muraua, ale nim odnaleźli zwierzęta, dowiadują się o klęsce ekspedycji majora Febronia de Brito pod Cam-baio i postanawiają zaprzestać poszukiwań, żeby uniknąć spotkania z jaguncos albo niedobitkami żołnierzy. Pastuchy odjeżdżają do domu, a Rufino w okolicach Sierra Grandę wpada w ręce wojskowego patrolu pod wodzą jakiegoś sierżanta z Pernambuco. Zabierają mu strzelbę, maczetę, zapasy i woreczek zarobionych pieniędzy. Nie robią mu jednak krzywdy, a nawet ostrzegają, żeby nie szedł do Monte Santo, bo wyznaczono tam punkt zborny niedobitków majora Brito, którzy mogą zwerbować go siłą.

Nad okolicą przetacza się wojna. Następnej nocy, opodal rzeki Cariaca, tropiciel słyszy strzelaninę, a o świcie odkrywa, że ludzie z Canudos spalili i splądrowali znaną mu dobrze fazendę Santa Rosa. Z domu, niegdyś obszernego i cieniściego, z drewnianym tarasem i palmowym gajem, zostały osmalone gruzy. Ogląda puste stajnie, zwęglone baraki i obejścia peonów, a jakiś staruszek mówi mu, że wszyscy odeszli do Belo Monte, zabierając ze sobą zwierzęta i to, co ocalało z pożaru.

Rufino nadkłada drogi, żeby ominąć Monte Santo. Następnego dnia rodzina pielgrzymów, idąca do Canudos, ostrzega go, żeby miał się na baczności, bo po okolicy włączą się oddziały Gwardii Chłopskiej w poszukiwaniu młodych mężczyzn do wojska. W południe dochodzi do małej kapliczki, zagubionej wśród żółtawych szczytów gór Engorda,

gdzie zgodnie z tradycją mężczyźni, na których ciąży ludzka krew, przychodzą kajać się za swe zbrodnie i złożyć ofiarę. Jest to mały, samotny budynek bez drzwi. Po białych ścianach śmigają jaszczurki. Wszędzie wiszą wota: miseczki z jedzeniem stwardniałym na kamień, drewniane figurki, ramiona, nogi, głowy z wosku, broń, stroje, rozmaite drobiazgi. Rufino uważnie ogląda noże, maczety, strzelby: wybiera nóż o długim ostrzu, które jeszcze nie pokryło się rdzą. Potem klęka przed ołtarzem, gdzie stoi samotny krzyż, i tłumaczy Dobremu Jezusowi, dlaczego pożycza nóż. Opowiada Mu, że ukradli mu wszystko, co miał, a potrzebuje jakiejś broni, żeby wrócić do domu. Zapewnia Go, że nie chce zabrać tego, co do Niego należy, i obiecuje, że odda nóż i dołoży w prezencie drugi, nowiutki. Przypomina Mu, że nie jest złodziejem i że zawsze dotrzymywał słowa. Żegna się i mówi: „Dziękuję Ci, Dobry Jezu”.

Rusza w dalszą drogę, Idzie równym krokiem, bez zadyszki wspina się na zbocza, schodzi w wąwozy, przedziera się przez catingę i skalne rumowiska. Tego samego wieczoru zabija pancernika i piecze go na ognisku. Mięsa starcza na dwa dni, a trzeciego Rufino jest już niedaleko Nordestiny. Wchodzi do obejścia dzierżawcy, u którego zwykle zatrzymywał się na noc. Zaprzyjaźniona rodzina przyjmuje go serdeczniej niż zwykle, a podczas gdy kobieta szykuje jedzenie, on opowiada, jak okradli go dezerterzy. Roztrząsają, co teraz będzie, skoro w bitwie pod Cambaio zginęło podobno tylu żołnierzy. W trakcie rozmowy Rufino spostrzega, że mąż i żona wymieniają spojrzenia, jakby chcieli mu coś powiedzieć, ale nie mają śmiałości. Milknie i czeka. Wówczas dzierżawca, odkasłując, pyta, jak długo nie miał wieści z domu. Około miesiąca. Umarła matka? Nie. A więc Jurema? Małżonkowie patrzą na niego. Wreszcie mężczyzna zaczyna: była jakaś strzelanina, jakieś trupy koło jego domu, jego żona uciekła z jakimś cudzoziemcem o czerwonych włosach. Rufino dziękuje za gościnę i żegna się z nimi pospiesznie.

Nazajutrz o świcie sylwetka tropiciela rysuje się na wzniesieniu, z którego widać już jego chatę. Przecina kamienisty, gęsto zarośnięty las, gdzie po raz pierwszy rozmawiał z Galileo Gallem, i swoim zwykłym truchcikiem, ni to idąc, ni to biegnąc, zbliża się do pagórka, na którym stoi jego dom. Na twarzy Rufina znać ślady długiej drogi, niedobrych przeżyć i złych wieści z wczorajszego dnia: rysy mu się zaostrzyły, zapadły, ściągnęły. Jego jedynym bagażem jest nóż, który pożyczył mu Dobry Jezu. Kilka metrów od chaty jego spojrzenie staje się czujne. Furtka stoi otworem, zagroda jest pusta. Nie tam jednak patrzą oczy Rufina — poważne, baczne, zdumione — patrzą na podwórko przed domem, gdzie przedtem nie było tych dwóch krzyży, zatkniętych w kupkę kamieni. Wszedłszy, widzi naftową lampę, cebry, pryczę, hamak, kufer, obrazek z Najświętszą Panią z Lapa, garnki, miski i stertę chrustu. Wszystko jest na swoim miejscu. Rufino patrzy wokół siebie, jakby starał się wydrzeć martwym sprzętom tajemnicę tego, co zaszło pod nieobecność gospodarza. Czuje ciszę: nie słyhać poszczekiwań, gdakania kur, pobrzękiwania owczych dzwonek, głosu żony. Wreszcie robi kilka kroków po izbie i starannie ogląda każdą rzecz. Kiedy kończy, oczy ma nabiegłe krwią. Wychodzi, zatrząskując gwałtownie drzwi.

Kieruje się ku Queimadas. Miasteczko błyszczy z daleka w słońcu, stojącym teraz w zenicie. Sylwetka Rufina niknie za załomem wzgórze i pojawia się znowu, sunie truchcikiem wśród ołowianych kamieni, kaktusów i żółtawych zarośli, mija zaostrome pale częstokołu, broniącego dostępu do jakiejś zagrody. Pół godziny później wchodzi do osady stromą aleją Itapicuru, wiodącą do rynku. Słońce powleka rżniętą bielone wapnem domki o niebieskich lub zielonych drzwiach. Żołnierze rozproszeni po klęsce pod Cambaio dotarli i tutaj; wszędzie pełno jest nietutejszych oberwańców: stoją grupkami na rogach ulic, śpią pod drzewami, kąpią się w rzece. Tropiciel przechodzi obok nich, nie patrząc, być może wcale ich nie widząc. Obchodzą go tylko miejscowi: pastuchy o ogorzalej skórze, kobiety z niemowlętami przy piersi, jeźdźcy opuszczający miasto, staruszki wygrzewające się na słońcu,



rozdokazywane dzieciaki. Kłaniają mu się albo wołają go po imieniu, a on wie, że ledwo ich minął, odwracają się, żeby za nim popatrzeć, wytykajągo palcami i zaczynają szeptać. Odpowiada na powitania skinieniem głowy, patrząc im w oczy bez uśmiechu, żeby odebrać ochotę każdemu, kto spróbuje odezwać się doń chociaż słowem. Przecina rynek pełen słońca, psów i codziennej krzątaniny. Odkłania się, świadom szeptów, spojrzeń, gestów, myśli, jakich jest przyczyną. Przystaje dopiero przed kapliczką Matki Bożej Różańcowej, obok sklepika ze świecami i świętymi obrazkami, rozwieszonymi przed wejściem. Zdejmuje kapelusz, nabiera powietrza, jakby miał zanurzyć się pod wodę, i wchodzi. Na jego widok staruszka, podająca klientowi pakunek, otwiera szeroko oczy, twarz jej się rozjaśnia. Nie mówi jednak nic, czeka, aż obcy wyjdzie.

Izdebka wygląda jak wnętrze pudełka z otworami, przez które wślizgują się języki słońca. Gromnice i świecek zwisają z gwoździ równym szeregiem nad ladą. Ściany pokrywają szczelną warstwę wota, święci, chrystusy, najświętsze panienki i oleodruki. Rufino klęka, żeby ucałować dłoń staruszki; „Witaj, mamó”. Ona kreśli mu na czole znak krzyża węzlastymi palcami o poczeriałych paznokciach. Spojrzenie ma twarde, jest koścista, pomarszczona, mimo żaru powietrza otulona chustą. W jednej ręce trzyma różaniec z wielkich paciorków.

— Kajfasz chce się z tobą zobaczyć, wszystko ci wytłumaczy — mówi z trudem, bo nie ma zębów albo dlatego, że temat jest przykry. — Będzie w sobotę na targu. Przychodził co tydzień zobaczyć, czy już wróciłeś. To długa droga, ale przychodził. To twój przyjaciel, chce ci wytłumaczyć.

— Ale na razie ty mi powiedz. Wszystko, co wiesz — szepcze tropiciel.

— Ciebie nie chcieli zabijać — odpowiada pospiesznie staruszka. — Ani jej. Mieli zabić tylko cudzoziemca. Ale on się bronił. Dwóch zabił. Widziałeś krzyże na wzgórzu przed domem? — Rufino potakuje. — Nikt nie przyszedł po ciała i tam ich pochowali, świeć Panie

nad ich duszą, amen. — Żegna się. — W domu porządek? Chodziłam tam od czasu do czasu. Żebyś nie wrócił do brudu.

— Nie powinnaś była tam chodzić — mówi Rufino. Głowę ma spuszczoną, kapelusz w rękę. — Masz chore nogi. A ten dom i tak zostanie brudny na zawsze.

— A więc już wiesz — mruży staruszka, szukając jego spojrzenia, ale on odwraca oczy, patrzy uparcie w ziemię. Kobieta wzdycha. Milczy chwilę i dodaje: — Sprzedałam twoje barany, żeby ich nie rozkradli, tak jak kur. Twoje pieniądze są tutaj, w pudełku. — Znów milczy chwilę, usiłując odwlec nieuniknione, jedyne, co ją obchodzi, jedyne, co obchodzi Rufina. — Ludzie są wredni. Gadali, że nie wrócisz. Że cię wzięli do wojska, że zginąłeś na wojnie. Widziałeś żołnierzy w Queimadas? Co tam narodu narznęli! Major Febronio de Brito też tu jest.

Ale Rufino przerywa jej:

— Wiesz, kto ich przysłał? Tych, którzy przyszli go zabić?

— Kajfasz — mówi staruszka. — To on z nimi przyszedł. Wytłumaczy ci. Mnie już wytłumaczył. To twój przyjaciel. Ciebie nie chcieli zabijać. Ani jej. Tylko tego rudzielca, tego przybłądę. Milknie i Rufino milczy także; w cieniowym skwarze izdebki słychać brzęczenie gzów i roje much latające wokół świętych obrazków. Wreszcie staruszka odzywa się pierwsza:

— Wszyscy ich widzieli! — krzyczy drżącym głosem, jej oczy miotają gniewne błyski. — Kajfasz ich widział. Jak mi powiedział, zaraz pomyślałam: Bóg pokarał mnie,

grzeszną. Zmarnowałam syna. Tak, Rufino. Jurema, Jurema... To ona go obroniła, to ona wyrwała go z rąk Kajfasza. Poszła za nim, obłapiała go, kleiła się do niego! — Wyciąga rękę i pokazuje na ulicę. — Wszyscy to wiedzą. Nie możemy tu dłużej żyć, synku.

W trójkątnej, gładkiej twarzy, pociemniałej w mroku izdebki, nie drga żaden muskuł ani powieka. Staruszka wymachuje drobną, sęka-, tą piąstką, spluwa z pogardą na ulicę.

— Przychodzili tu, litowali się nade mną, mówili o tobie. Każde słowo dźgało mnie w serce jak nóż. To nie ludzie, synku! — Podnosi do oczu czarną chustę, ale źrenice ma suche. — Obrzuciła cię błotem, zetrzesz tę plamę, synku, prawda? To gorzej, niżby ci wydrapała oczy, gorzej, niżby mnie zabiła. Pomów z Kajfaszem. On wie, *co* to obelga, wie, co honor. On ci wytłumaczy. — Znowu wzdycha. Z namaszczeniem całuje paciorki różańca. Patrzy na Rufina, który nie drgnął nawet, nie podniósł głowy. — Wielu stąd poszło do Canudos — mówi łagodniej. — Byli u nas apostołowie. Ja też bym poszła. Zostałam, bo wiedziałam, że wrócisz. Będzie koniec świata, synu. Dlatego patrzymy na takie rzeczy. Dlatego stało się, co się stało. Teraz już mogę iść. Może mi jeszcze starczy nóg na taką drogę. Wszystko w rękę Boga. I moje nogi też.

Milknie. Rufino pochyla się i znowu całuje ją w rękę.

— To bardzo daleko, nie powinnaś tam iść, mamó — mówi. — Tam wojna, ogień, głód. Ale skoro chcesz iść, to idź. Zawsze robisz dobrze. I zapomnij o tym, co ci powiedział Kajfasz. Nie martw się, nie będziesz się za mnie wstydzić.

Kiedy po wielu miesiącach spędzonych poza krajem baron de Ca-ńabrava i jego małżonka zeszli na ląd w salvadorskim porcie Arsenалу Floty, już przy powitaniu uświadomili sobie, do jakiego stopnia podupadła tak niegdyś wszechmocna Autonomiczna Partia Bahii i jak zmalał prestiż jej przywódcy i założyciela. Dawniej, gdy był cesarskim ministrem albo kiedy reprezentował cesarstwo w Londynie, a nawet w pierwszych latach republiki, powroty barona do Bahii fetowano wielce uroczyście. Wszyscy znaczniejsi obywatele miasta, w licznym gronie fazenderów z prowincji, spieszyli do portu, obławowawszy swych popleczników i służbę powitalnymi transparentami.

Tym razem owacyjne przyjęcie w Arsenale Floty zgotowało baronowi i jego małżonce nie więcej niż dwieście osób, a wśród nich zabrakło przedstawicieli władz cywilnych, wojskowych i kościelnych. Członkowie wyznaczonej przez Partię Autonomiczną delegacji powitalnej — jaśnie wielmożny Adalberto de Gumucio oraz posłowie Eduardo Glicerio, Rocha Seabra, Lelis Piedades i Joao Seixas de Ponde — z pogrzebowymi minami uściśliły prawicę swego przywódcy i ucałowali dłoń baronowej.

Dostojni małżonkowie zdawali się jednak nie dostrzegać zmiany. Zachowywali się jak zawsze. Baronowa z uśmiechem pokazywała bukiety swej nieodłącznej pokojówce, Sebastianie, jakby zdumiona ilością kwiatów, a baron rozdzielał powitalne klepnięcia i uściski między swych zwolenników, krewnych i przyjaciół, którzy ustawili się w kolejkę, żeby się do niego dostać. Witał ich po imieniu, wypytywał o małżonki, dziękował, iż zadali sobie trud, by wyjść mu na spotkanie. Co chwila, jakby wiedziony wewnętrzną potrzebą, rozpływał się nad szczęściem, jakim jest powrót do Bahii, widok znajomych twarzy, blask tego słońca, to czyste powietrze. Na molo czekał powóz. Stangret w liberii zgiął się na ich widok w pełnym szacunku ukłonie. Nim ruszyli, baron wznosił ramiona w geście powitania, po czym zajął miejsce naprzeciw baronowej i Sebastiany, których spódnice tonęły w kwiatkach. Adalberto de Gumucio usiadł obok niego i powóz zaczął toczyć się pod górę, po pławiącej się w zieleni Ladeira da Conceicao da Praia. Wkrótce oczom podróżnych ukazały się żaglowce w zatoce, fort Sao Marcelo, targ i ciemne sylwetki stojących w wodzie Murzynów i Mulatów, zajętych połowem krabów.

— Europa działa jak eliksir młodości — powiedział Gumucio. — Ubyło wam dziesięć lat.

— Ty za to jesteś o dziesięć lat starszy. — Baron podziwiał przez szybę majestatyczną panoramę morza i wysp, które rosły, w miarę jak powóz podjeżdżał coraz wyżej, teraz już po Ladeira de Sao Bento, w stronę górnego miasta. — Jest aż tak źle?

Twarz przewodniczącego Zgromadzenia Ustawodawczego Bahii zmarszczyła się.

— Gorzej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. — Wskazał na port. — Chcieliśmy urządzić pokaz siły, wielką publiczną demonstrację. Zewsząd miały ściągnąć tłumy, nawet z interioru. Liczyliśmy na tysiące, a tymczasem... sam widziałeś.

Baron pomachał ręką handlarzom ryb, którzy na widok powozu przejeżdżającego przed gmachem seminarium zdjęli słomiane kapelusze. Żartobliwie zganił przyjaciela:

— Nie mówi się o polityce przy damach. A może nie uważasz już Esteli za damę?

Baronowa zanosła się subtelnym, beztroskim śmiechem, który ją odmładzał. Miała kasztanowe włosy, niezwykle białą skórę i ręce o wysmukłych palcach, poruszających się jak ptaki. Pani i jej pokojówka, brunetka o obfitych kształtach, patrzyły w zachwycie na głęboki błękit morza, fosforyzującą zieleń brzegów, krwawą czerwień dachów.

— Usprawiedliwiona jest tylko nieobecność gubernatora — powiedział Gumucio, jakby go nie słyszał. — Postanowiliśmy, że tak będzie lepiej. Chciał przyjść razem z Radą Miejską. Ale tak jak sprawy stoją, rozsądniej będzie trzymać go *au-dessus de la melee*. Luis Viana jest nam wciąż wierny.

— Przywiozłem ci album z hippicznymi rycinami — pocieszył go baron. — Przypuszczam, że przeciwności polityki nie odebrały ci zamiłowania do koni, Adalberto.

Znalazłszy się w górnym mieście, ruszyli w kierunku dzielnicy Nazareth i jaśniejąc swymi najwspanialszymi uśmiechami, poświęcili się bez reszty odwzajemnianiu powitań przechodniów. W asyście powozów i jeźdźców, z których część towarzyszyła im od samego portu, a część oczekiwała ich na szczycie skarpy, jechali brukowanymi uliczkami w tłumie gapiów stłoczonych na chodnikach, wy-chylonych z balkonów, wystawiających głowy z zaprzężonych w osły tramwajów, żeby zobaczyć ich przejazd. Państwo de Cañabrava mieszkali w pałacu ozdobionym sprowadzonymi z Portugalii porcelanowymi płytkami; czerwień dachówek górowała nad balkonami z kutego żelaza, wspartymi na ramionach kariatyd o krzepkich piersiach. Fasadę wieńczyły cztery figury z lśniącego złotego fajansu: dwa grzywiaste lwy i dwa ananasy. Lwy zdawały się czuwać nad wpływającymi do zatoki statkami, ananasy zaś zwiastowały żeglarzom świetność miasta. Ogród wokół gmachu kipiał roślinnością, w gąszczu flamboyanów, mango, krotonów i fikusów szeleścił wiatr. Na przyjęcie państwa pałac odświeżono octem, okadzono wonnymi ziołami, przystrojono wazonami kwiatów. W bramie powitał ich biało ubrany lokaj i Murzynki w czerwonych fartuszkach i chustkach na głowie. Podczas gdy baronowa gawędziła ze służbą, baron stojąc w progu, żegnał się z towarzystwem. Tylko Gumucio, a wraz z nim posłowie Eduardo Glicerio, Rocha Seabra, Lelis Piedades i Joao Seixas de Ponde weszli za nim do domu. Baronowa i Sebastiana udały się do pokojów na piętrze, a mężczyźni przeszli przez westybul do bawialni; baron otworzył drzwi zastawionego półkami książek gabinetu, skąd rozpościerał się widok na ogród. Dwudziestu mężczyzn zamilkło na jego widok. Siedzący powstali z miejsce i zabrzmiały powitalne oklaski. Pierwszy uściskał go gubernator Luis Viana.

— To nie był mój pomysł. Bardzo chciałem iść do portu — powiedział. — W każdym razie, jak widzisz, gubernatura i rada stały się w komplecie. Zawsze do usług.

Luis Viana, energiczny mężczyzna z wydatną łysiną i bojowym brzuszkiem, nie miał swego zaniepokojenia. Podczas gdy baron witał się z zebranymi, Gumucio zamknął drzwi. Powietrze zgęstniało od dymu. Na stole czekały dzbany orzeźwiających owocowych napojów. Nie starczyło krzesel, więc jedni sadowili się na poręczach foteli, inni zaś stali, podpierając bibliotekę. Baron długo robił powitalny obchód. Kiedy usiadł, zapadła lodowata cisza. Mężczyźni spoglądali na niego, a w ich spojrzeniach, oprócz niepokoju, było nieme błaganie i jakaś trwożna nadzieja. Twarz barona, dotąd jowialna, posępniała w miarę jak jego wzrok przesuwiał się po żałobnych obliczach.

— Widzę, że nastrój nie sprzyja opowieściom o nicejskim karnawale — powiedział z powagą, szukając oczami Luisa Viany. — Zacznijmy od najgorszego. A więc co jest najgorsze?

— Depesza, która nadeszła jednocześnie z tobą — mruknął gubernator, jakby rozplaszczony w swoim fotelu. — Kongres w Rio jednomyślnie podjął uchwałę o zbrojnej interwencji w Bahii. Wysyłają na Canudos pułk wojsk federalnych.

— To znaczy, że rząd i Kongres oficjalnie potwierdzają tezę o konspiracji — przerwał Adalberto de Gumucio. — To znaczy, że ci fanatycy, ci sebastianiści, chcą przywrócić cesarstwo z pomocą hrabiego de Eu, monarchistów, Anglii i, jakżeby inaczej, Autonomicznej Partii Bahii. Wszystkie te wierutne bajdy, zmyślane przez paru jakobinów, zostały podniesione do rangi oficjalnego stanowiska republiki.

Baron nie okazał najmniejszego niepokoju.

— Wejście wojsk federalnych nie jest dla mnie zaskoczeniem — powiedział. — W tej sytuacji to było nieuniknione. Natomiast zadziwia mnie Canudos. Dwie ekspedycje rozbite! — Spojrzał z niedowierzaniem na Vianę. — Nic z tego nie rozumiem, Luis. Albo trzeba było zostawić tych szaleńców w spokoju, albo skończyć z nimi od razu. Ale spartaczyć sprawę do tego stopnia? Pozwolić, żeby stali się problemem całego kraju? Zrobić taki prezent wrogowi?

— Pięciuset żołnierzy, dwie armaty, dwa karabiny maszynowe to jest według ciebie za mało, żeby rozprawić się ze zgryzą rzezimieszków i dewotek? — odrzekł żywo Luis Viana. — Kto mógł przypuszczać, że z podobną siłą Febronio de Brito pozwoli się pokonać kilku nędznym obdartusom?

— Spisek, owszem, istnieje, tylko że nie nasz — znowu wtrącił Adalberto de Gumucio. Czoło miał zmarszczone, dłonie kurczowo zaciśnięte. Baron pomyślał, że nigdy dotąd nie widział, by jego przyjaciel tak się przejął kryzysem w polityce. — Major Febronio nie jest taki głupi, na jakiego chciałby wyglądać. Ta klęska była przemyślana, wynegocjowana, ukartowana z góry przez jakobinów z Rio de Janeiro i Epaminondasa Goncalvesa. No i mają ten swój skandal w narodzie, skandal, na który polują, odkąd ustąpił Floriano Peixoto. Od tamtej pory coraz to wymyślają jakiś monarchistyczny spisek, żeby armia miała pretekst do zawieszenia Kongresu i wprowadzenia dyktatury.

— Domysły odłóżmy na potem, Adalberto — powiedział baron. — Najpierw chciałbym wiedzieć dokładnie, co się dzieje. Fakty, mój drogi, fakty.

— Nie ma faktów, są tylko fantastyczne urojenia i najbardziej niewiarygodne intrygi — wtrącił poseł Rocha Seabra. — Oskarżają nas o podżeganie sebastianistów do buntu, o zaopatrywanie ich w broń, o znowę z Anglią w celu przywrócenia cesarstwa.

— Żeby tylko o takie sprawy oskarżał nas „Jornal de Noticias”, odkąd upadło cesarstwo — uśmiechnął się baron lekceważąco.

— Z tą różnicą, że teraz za „Jornal de Noticias” stoi pół Brazylii — powiedział Luis

Viana. Baron patrzył, jak wierci się w fotelu, zdenerwowany, i pociera ręką łysinę. — Wkrótce w Rio, w Sao Paulo, w Belo Horizonte, wszędzie zaczną powtarzać te idiotyzmy i nikczemne pomówienia, zmyślane przez republikanów.

Wiele głosów odezwało się naraz, lecz baron gestem ręki uciszył zebranych. Patrzył na majaczące za głowami przyjaciół drzewa ogrodu, lecz chociaż zajmowało go i niepokoiło to, co słyszał tu, w gabinecie, nie mógł się uwolnić od myśli, czy gdzieś wśród tej zieleni nie schował się kameleon, zwierzątko, z którym przyjaźnił się, jak inni ludzie z psem lub kotem.

— Teraz już wiemy, dlaczego Epaminondas powołał Gwardię Chłopską — mówił poseł Eduardo Glicerio. — Żeby we właściwym momencie dostarczyła dowodów: karabiny z przemytu dla jaguncos i zagranicznych szpiegów.

— Prawda, o tym jeszcze nie wiesz — powiedział Adalberto de Gumucio, widząc zaciekawienie na twarzy barona. — Czysta groteska. Angielski agent w sertonach! Zwłoki były wprawdzie zwęglone, ale to Anglik, ani chybi... Po czym poznali? Po rudych włosach! Wystawili je na pokaz w Parlamencie w Rio, razem z karabinami, znalezionymi podobno obok trupa w Ipupiara. A nas nikt nie chce słuchać, nawet nasi kochani przyjaciele z Rio dali się na to złapać. Cały kraj jest przekonany, że Canudos zagraża istnieniu republiki.

— Przypuszczam, że to ja jestem szarą eminencją spisku — mruknął baron.

— Pana obrzucają błotem chętniej niż kogokolwiek — powiedział wydawca „Diario de Bahia”. — Pan przecież oddał Canudos buntownikom i wyjechał do Europy, żeby spotkać się z emigrantami i zaplanować rebelię. Doszło do tego, iż mówi się, że istniał specjalny „wywrotowy budżet”: pan wyłożył połowę sumy, a drugą połowę dała Anglia.

— Fifty-fifty z Brytyjską Koroną, jak równy z równym — mruknął baron. — Do licha, przeceniają mnie.

— Wie pan, kto wyruszył na podbój Canudos? — zapytał poseł Lelis Piedades, który przysiadł na poręczy fotela, obok gubernatora. — Moreira Cesar na czele 7. Pułku.

Baron de Cañabrava pochylił się i zamrugał.

— Moreira Cesar? — Długo siedział w zadumie, od czasu do czasu poruszając ustami, jakby coś mówił po cichu. Potem zwrócił się do Gumucia: — Może masz rację, Adalberto. To może być śmiała akcja jakobinów. Od śmierci marszałka Floriano pułkownik Moreira Cesar jest ich tuzem, atutową kartą w rozgrywce, bohaterem. Liczą, że mając go za sobą, odzyskają władzę.

Znów zaczęli krzyżeć wszyscy naraz, ale już nie próbował ich uciszać. Podczas gdy pograżeni w dyskusji przyjaciele wymieniali poglądy, on, udając, że słucha, skierował uwagę na inne tory, co zawsze przychodziło mu z łatwością, kiedy rozmowa nudziła go albo kiedy jego własne myśli wydawały mu się ważniejsze od tego, co słyszy. Pułkownik Moreira Cesar! Jego osoba nie wróży nic dobrego. To fanatyk i — jak wszyscy fanatycy — może być niebezpieczny. Przypomniał sobie bezlitosne zdławienie insurekcji w Santa Catalina, przed czterema laty. Pamiętał, że na wezwanie Kongresu Federalnego, by Moreira Cesar stawił się przed obliczem posłów i zdał rachunek z rozstrzeliwań dokonanych na jego rozkaz, ów odpowiedział depeszą, która była wzorem lakoniczności i arogancji: „Nie”. Przypomniał sobie, że wśród ludzi rozstrzelanych na Południu był pewien marszałek, pewien baron i pewien admirał, których pułkownik znał osobiście, i że po ustanowieniu republiki marszałek Floriano Peixoto jemu właśnie polecił przeprowadzenie czystki w armii, z której usunięto wszystkich oficerów związanych z monarchią. 7. Pułk Piechoty przeciw Canudos! „Adalberto ma rację — pomyślał — to czysta groteska”. Z przymusem znów skupił się na rozmowie. — Przybywa nie po to, żeby wykończyć sebastianistów z sertonu, ale nas — mówił Adalberto de

Gumucio. — Przybywa wykończyć ciebie, Luisie Viano, Partię Autonomiczną i oddać Bahię w ręce Epaminondasa Goncalvesa, który tutaj jest człowiekiem jakobinów.

— Nie ma na razie powodów do rozpacz, panowie — przerwał baron, podnosząc nieco głos. Nie uśmiechał się już, mówił poważnie i stanowczo. — Nie ma na razie powodów do rozpacz — powtórzył. Przesunął wzrokiem po zebranych, pewien, że jego spokój udzieli się przyjaciółom. — Nikt nam nie wydrze tego, co nasze. W tym pokoju są politycy Bahii, rząd Bahii, sprawiedliwość Bahii, dziennikarze Bahii. Jest tu większość bahijskich gruntów, majątków i stad. Nawet pułkownik Moreira Cesar nie może tego zmienić. Wykończyć nas to wykończyć Bahię, panowie. Epaminondas Goncalves i ci, którzy stoją za nim, to kuriozum, przejściowa ekstrawagancja, wybryk natury. Nie mają środków, ludzi ani doświadczenia, żeby okiełznać tego rozhukanego rumaka, jakim jest Bahia. Nawet gdyby ktoś włożył im cugle w ręce, koń w jednej chwili wysadzi ich z siodła.

Zamilkł, a ktoś troskliwie podał mu szklanekę orzeźwiającego soku. Wypił z rozkoszą płyn, w którym rozpoznał miodowy smak guajawy.

— Bardzo nas cieszy twój optymizm, oczywiście — usłyszał głos Luisa Viany. — Przyznasz jednak, że zadano nam dotkliwy cios i że trzeba działać jak najszybciej.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości — przyznał baron. — Zrobimy tak: natychmiast wyślemy gratulacyjną depeszę do pułkownika Moreiry Cesara, proponując mu poparcie władz Bahii i Partii Autonomicznej. Zależy nam przecież na tym, żeby uwolnił nas od złodziei gruntów, od fanatyków, którzy pustoszą fazendy i nie pozwalają spokojnie pracować rolnikom. Poza tym dziś jeszcze ogłosimy kwestę, a całość zebranej sumy wręczymy wojskom federalnym z przeznaczeniem na walkę z bandytami.

Czekając, aż ucichną szmery, wypił drugi łyk napoju. Było gorąco, czoło mu zwilgotniało.

— Przypominam, że od lat cała nasza polityka polega na odsuwaniu rządu federalnego od wewnętrznych spraw Bahii — odezwał się wreszcie Luis Viana.

— A teraz została nam tylko jedna droga, jeżeli oczywiście nie chcemy popełnić politycznego samobójstwa. Musimy pokazać całemu krajowi, że nie jesteśmy wrogami republiki i rządu — powiedział baron sucho. — Trzeba natychmiast zdemontować tę intrygę. Nie ma innej drogi. Zgotujemy wspaniałe powitanie Moreiry Cesara i 7. Pułku. Właśnie my, a nie Partia Republikańska.

Osuszył czoło chusteczką i znów odczekał, aż gwar, głośniejszy teraz niż poprzednio, ucichnie.

— To zbyt nagły zwrot — powiedział Adalberto de Gumucio, a baron zobaczył, — że wiele głów pochyla się w geście aprobaty.

— Na forum Zgromadzenia, na łamach prasy wszelkie nasze działania zmierzały do uniknięcia interwencji federalnej — rzekł poseł. Rocha Seabra.

— Żeby bronić interesów Bahii, trzeba utrzymać się przy władzy, a żeby utrzymać się przy władzy, trzeba zmienić politykę, przynajmniej na razie — odparł spokojnie baron. Po czym, jakby ich zastrzeżenia były nieistotne, dalej wydawał dyrektywy: — My, fazenderzy, powinniśmy współpracować z pułkownikiem. Zapewnić kwatery dla pułku, przewodników, prowianty. To my, u boku Moreiry Cesara, zdławimy monarchistyczny spisek opłacany przez królową Wiktorię. — Wykrzywił twarz w udawanym uśmiechu i znowu otarł czoło chusteczką. — Wiem, że to farsa, ale nie mamy wyboru. A kiedy pułkownik skończy już z tymi nieszczęsnymi cangaceiros i bigotami z Canudos, uroczyste świętować będziemy

klęskę brytyjskiego imperium i dynastii Braganców.

Nikt nie zaklaskał, nikt się nie roześmiał. Zaległa krępująca cisza. Lecz patrząc na nich, baron zrozumiał, że niektórzy, aczkolwiek niechętnie, przyznają, że nie pozostaje im nic innego do zrobienia.

— Pojadę do Calumbi — powiedział. — Nie miałem tego w planach, ale to konieczne. Sam postawię do dyspozycji 7. Pułku, co tylko będzie trzeba. Wszyscy fazenderzy z okolicy powinni postąpić tak samo. Niech Moreira Cesar zobaczy, do kogo należy ta ziemia, kto tutaj rządzi.

Atmosfera była napięta, wszyscy chcieli zadawać pytania i udzielać odpowiedzi. Baron jednak uważał, że dyskusję lepiej odłożyć na później. Wieczorem, kiedy najedzą się i napiją, łatwiej będzie rozwiązać wątpliwości, przewyciężyć skrupuły.

— Przejdźmy do jadalni. Panie zapewne już na nas czekają — zaproponował, powstawszy z miejsca. — Potem porozmawiamy. Życie nie składa się z samej polityki. Na przyjemności także trzeba znaleźć czas.

## **Rozdział II**

Queimadas zmieniło się w wojskowy obóz. W podmuchach wiatru, który wszystko okrywa warstwą kurzu, wre gorączkowy ruch: krzyżują się rozkazy, łamią szyki, jeźdźcy z szablami gestykują i krzyczą. Nagle w poranek wdzierają się dźwięki trąbki: brzegiem Itapicurii pędzą gapie, żeby lepiej widzieć wyschniętą przestrzeń catingi, rozciągającej się aż do Monte Santo, bo oto wyruszają pierwsze oddziały 7. Pułku, a w powietrzu niesie się gromki śpiew żołnierzy.

Na stacji pułkownik Moreira Cesar od świtu studiuje mapy, wydaje instrukcje, podpisuje zlecenia i przyjmuje meldunki od batalionów. Przed drzwiami zaspani korespondenci oporzadzają swoje muły, konie i wóz bagażowy; tylko chuderlawy wysłannik „Jornal de Noticias”, z przenośnym pulpitem pod pachą i kałamarzem przypiętym do rękawa, snuje się po sali, usiłując zbliżyć się do pułkownika. Mimo wczesnej pory sześciu delegatów Rady Miejskiej przybyło pożegnać dowódcę 7. Pułku. Czekają, siedząc na ławce, a rój oficerów i adiutantów, którzy krążą dokoła, tam i z powrotem, zwraca na nich tyleż uwagi co na afisze Republikańskiej Partii Postępowej i Autonomicznej Partii Bahii, wciąż jeszcze zwisające z sufitu. Rajcy zabawiają się więc obserwowaniem wyglądającego jak strach na wróble dziennikarza, który wykorzystawszy chwilę spokoju, przedarł się w pobliże Moreiry Cesara.

— Czy mogę zadać panu pytanie, pułkowniku? — gęga przez zakatarzony nos.

— Konferencja dla prasy była wczoraj — odpowiada oficer, patrząc nań, jakby korespondent urwał się z księżycy. Ale cudaczna powierzchowność śmiałka albo jego odwaga rozbijają pułkownika. — Dobrze, proszę. O co chodzi?

— O więźniów — szepcze dziennikarz, wlepiając w niego zezowate oczy. — Zwróciło moją uwagę, że do pułku wciela pan złodziei i morderców. Wczoraj wieczorem udałem się do więzienia za dwoma porucznikami i widziałem, że zwerbowali siedmiu.

— Tak — mówi Moreira Cesar, przyglądając mu się ciekawie. — O co pan chce zapytać?

— Moje pytanie brzmi: dlaczego? Co pana skłoniło do obiecania wolności przestępcom?

— Umieją się bić — mówi pułkownik Moreira Cesar. I dodaje po chwili

zastanowienia: — Przeszłość to przypadek nadmiaru ludzkiej energii rozładowywanej w niewłaściwy sposób. Wojna może ją skierować na odpowiednie tory. Dobrze wiedzą, o co walczą, i to dodaje im odwagi, bywają nawet heroiczni. Przekonałem się o tym niejednokrotnie. I pan też się przekona, o ile dojdzie pan do Canudos. Bo — znów mierzy go wzrokiem od stóp do głów — na oko biorąc, nie przetrzyma pan ani jednej doby w sertonie.

— Postaram się wytrwać, pułkowniku. — I dziennikarz okularnik odchodzi, a naprzód występują pułkownik Tamarindo i major Cunha Matos, którzy czekali za nim.

— Przednia straż już wychodzi — mówi pułkownik Tamarindo. Major melduje, że patrole kapitana Ferreiry Rochy rozpoznały trasę aż do Tanquinho: droga wolna jest od jaguncos, za to wyboista, co utrudni marsz artylerii. Zwiadowcy Ferreiry Rochy sprawdzają, czy da się ominąć te przeszkody, a przodem wysłano pluton saperów w celu wyrównania terenu.

— Gdzie przydzielił pan więźniów? — pyta Moreira Cesar.

— Do różnych kompanii i z wyraźnym zakazem kontaktowania się między sobą — odpowiada major.

— Konwój byłaby także już wyszedł — mówi pułkownik Tamarindo, a po chwili wahania dodaje: — Febronio de Brito jest bardzo przybity. Załamał się, płakał.

— Kto inny na jego miejscu popełniłby samobójstwo — brzmi cały komentarz Moreiry Cesara. Wstaje, a ordynans z pośpiechem zgarnia papiery ze stołu, który służył mu za biurko. Pułkownik w asyście oficerów rusza do wyjścia. Wielu ludzi biegnie, żeby go zobaczyć, on jednak w połowie drogi do drzwi przypomina coś sobie, zmienia kierunek i podchodzi do ławki, gdzie czekają rajcy Queimadas. Wstają. Są to prości ludzie — rolnicy i sklepikarze — którzy wystroili się w odświeżone ubrania i wypucowali buty na znak szacunku. Kapelusze trzymają w rękach, są wyraźnie onieśmieleni.

— Dziękuję za gościnność i współpracę, panowie. — Spojrzenie pułkownika, bezosobowe i puste, peszy ich. — 7. Pułk nie zapomni wierności Queimadas. Oddaję was pod opiekę oddziału, który zostaje w mieście.

Nie mają czasu na odpowiedź, bo zamiast pożegnać się z każdym z osobna, salutuje, podnosząc prawą dłoń do czapki, i odwraca się do wyjścia.

Ukazanie się Moreiry Cesara ze swiątą oficerów na ulicy, gdzie stoi w szyku 7. Pułk — kompanie, jedna po drugiej, znikają w oddali w równych szeregach, wzdłuż kolejowych torów — witają oklaski i wiwaty. Kordon straży powstrzymuje gapiów, którzy chcą podejść bliżej. Piękny biały ogier rzy niecierpliwie, rwie się naprzód. Tamarindo, Cunha Matos i Olimpio de Castro wsiadają na koń, a eskorta i korespondenci, już w siodłach, czekają w pogotowiu u boku pułkownika. Moreira Cesar odczytuje depeszę skierowaną do najwyższych władz kraju: „Dziś, ósmego lutego, 7. Pułk rozpoczyna kampanię w obronie suwerenności ojczyzny. Żadnego przypadku braku dyscypliny w szeregach. Boimy się tylko jednego: że Antonio Nauczyciel i jego

buntownicy nie będą czekać, aż dojdziemy do Canudos. Niech żyje Republika”. Składa podpis i depesza wędruje natychmiast do rąk telegrafisty. Potem daje znak kapitanowi Olimpiowi de Castro, który przekazuje rozkaz trębaczom. Ciszę poranka zakłóca dźwięk przenikliwy i żalobny.

— To hejnał pułku — mówi Cunha Matos do siwowłosego korespondenta, stojącego tuż obok.

— Czy ma nazwę? — pyta natrętny głosik wysłannika „Jornal de Noticias”;



obladował swego muła pękatym workiem na przenośny pulpit, upodobniając tym swojskie zwierzę do samicy kangura.

— *Bij i tnij* — mówi Moreira Cesar. — Towarzyszy pułkowi od wojny paragwajskiej, kiedy z braku amunicji trzeba było walczyć na szable, bagnety i noże.

Prawą ręką daje sygnał do wymarszu. Muły, ludzie, broń, konie i wozy ruszają w kłębach pyłu, które wicher gna im na spotkanie. Opuściwszy Queimadas, poszczególne człony kolumny wojsk idą blisko siebie, odróżniając się tylko barwą proporców niesionych przez poczty. Wkrótce mundury oficerów i żołnierzy zlewają się ze sobą w kurzawie: wszyscy opuścili na oczy daszki czapek, usta obwiązali chustami. Z wolna bataliony, kompanie i plutony oddalają się od siebie, a kolumna, która z początku wydawała się zwartym cielskiem długiego węża, wijącym się po spękanej ziemi wśród uschniętych pni faveli, rozrywa się na osobne człony, szereg małych węży, które pełzną coraz dalej od siebie, to ginąc z oczu na chwilę, to znów ukazując się, zależnie od rzeźby terenu. Jeźdźcy, podtrzymujący stały system łączności, rozkazów i zwiadów, krążą tam i z powrotem pomiędzy częściami tego rozczłonkowanego organizmu, którego głowa po kilku godzinach marszu przeczuwa już w oddali pierwszą na trasie miejscowość — Pau Seco. Przednia straż, widzi pułkownik Moreira Cesar przez połowę lornetkę, zostawiła pośrodku osady ślady swej bytności: chorągiewkę i dwóch żołnierzy, którzy niewątpliwie oczekują go z meldunkiem.

Na przedzie jadą poczty sztandarowe, dalej pułkownik i jego sztab, a za nimi — egzotyczna plama w zuniformizowanej masie — idą korespondenci, którzy za przykładem wielu oficerów zsiadli z koni i rozmawiają w marszu. W samym środku kolumny widać baterię dział ciągniętych przez woły, poganiane przez dwudziestu żołnierzy pod czujnym okiem oficera z czerwonymi rombami artylerii na rękawach, kapitana Jose Agostinha Salomao da Rocha. Krzyki ludzi popędzających zwierzęta albo zaganiających je do szyku, jeśli wypadły z koleiny, są jedynym odgłosem, jaki dobiega od strony kolumny. Żołnierze rozmawiają po cichu, oszczędzając siły, lub maszerują w milczeniu, przyglądając się płaskiej, nagiej równinie, widzianej po raz pierwszy w życiu. Wielu poci się od słońca, obcisłych mundurów, ciężkich tornistrów i karabinów, lecz zgodnie z regulaminem starają się nie za często podnosić do ust manierki, wiedzą bowiem, że pierwszą bitwę już wydano: od dziś walczą z brakiem wody. W pełni ranka doganiają tabory i wkrótce zostawiają je za sobą. Bydło, barany i kozy prowadzi oddział zwerbowanych w przededniu żołnierzy i pastuchów, a na czele — ponury, poruszając bezgłośnie wargami, jakby spierał się o coś w wyimaginowanej dyspucie — sunie major Febronio de Brito. Pochód zamyka szwadron kawalerii pod wodzą prędkiego, buńczucznego kapitana Pedreiry Franco. Moreira Cesar nie odzywa się długą chwilę, a jego towarzysze milkną także, nie chcąc przerywać rozmyślań dowódcy. U wjazdu do Pau Seco pułkownik spogląda na zegarek.

— Z takim tempem, proszę panów, w Canudos nie zastaniemy żywej duszy — mówi, pochylając się do Tamarinda i Cunhi Matosa. — W Monte Santo trzeba będzie zostawić ciężki sprzęt i częściowo rozładować plecaki. To pewne, że amunicji mamy w nadmiarze. Byłoby przykro iść taki kawał tylko po to, żeby u celu zastać stadko sępów.

Pułk wiezie piętnaście milionów naboju i siedemdziesiąt pocisków artyleryjskich na zaprzężonych w muły wozach, które znacznie opóźniają pochód. Pułkownik Tamarindo zauważa, że za Monte Santo będą być może musieli posuwać się jeszcze wolniej, ponieważ według opinii inżynierów Dominga Alvesa Leite i Alfreda do Na-scimento, począwszy od tamtego punktu rzeźba terenu jest bardziej urozmaicona.

— Trzeba się też liczyć z możliwością pierwszych zbrojnych starć — dodaje. Zaczerwioną, obrzmiałą od upału twarz ociera kolorową chustką. Dawno już powinien był przejść w stan spoczynku i nie ma obowiązku być tutaj, ale uparł się, że będzie towarzyszył

pułkowi.

— Nie powinniśmy dać im czasu na ucieczkę — mówi pułkownik Moreira Cesar. Oficerowie słyszeli to już wiele razy, odkąd opuścili Rio. Mimo upału nie poci się. Na jego drobnej bladej twarzy o głębokich, niekiedy wręcz fanatycznych oczach uśmiech gości rzadko; jego głos, prawie pozbawiony modulacji, jest jednostrunny, cienki, napięty niby krótko ściągnięte cugle narowistego konia. — Jak tylko dowiedzą się, że jesteśmy blisko, pierzchną sromotnie, a cała kampania zakończy się niepowodzeniem. Nie można do tego dopuścić. — Znow patrzy na towarzyszy, którzy słuchają go bez słowa. — Na południu kraju wiedzą już, że republika jest faktem nieodwracalnym. Zmusiliśmy ich do tego. Ale tutaj, w Bahii, zostało wielu arystokratów, którzy nie mogą się z tym pogodzić. Zwłaszcza od śmierci marszałka. Sądzą, że skoro u władzy stanął bezideowy cywil, wszystko jeszcze można cofnąć. Nie zrezygnują, dopóki nie dostaną porządnej nauczki. A teraz mamy świetną okazję, panowie.

— Trzęsą się ze strachu, pułkowniku — mówi Cunha Matos. — Partia Autonomiczna organizuje uroczystość powitalną na naszą cześć i zbiera składki na obronę republiki! To jasne, że kulą ogon pod siebie.

— Choćby taki mistrzowski szczegółik jak łuk triumfalny na dworcu La Calzada: nazwali nas zbawcami ojczyzny — wspomina Tamarindo. — Najpierw bronią się zaciekle przed wkroczeniem wojsk federalnych do Bahii, a potem rzucają nam kwiaty pod nogi. A baron de Cañabrava przesyła ukłony i wyjeżdża do Calumbi, żeby postawić swoją własną fazendę do dyspozycji Pułku.

Śmieje się radośnie, ale jego dobry nastrój nie udziela się dowódcy.

— To znaczy, że baron jest sprytniejszy od swoich przyjaciół — mówi Moreira Cesar. — Nie mógł zapobiec interwencji Rio w sprawie tak palącej jak wybuch powstania, więc udaje patriotę, żeby republikanie nie zrzucili go ze stołka. Teraz odwraca uwagę od swojej osoby i symuluje, a potem pokaże pazury. Baron ma dobrą szkołę. Angielską szkołę, panowie.

Pau Seco jest jak wymarłe: zniknęli ludzie, sprzęty, zwierzęta. Obok pnia bez gałęzi, na którym tańczy chorągiewka zatknięta przez oddział straży przedniej, salutują dwaj żołnierze. Moreira Cesar wstrzymuje konia i przesuwając wzrokiem po lepiankach: przez otwarte lub powyrywane drzwi można zajrzeć do wnętrza. Z jednej z tych chałup wynurza się jakaś kobieta — bosa, w dziurawej sukni, przez którą prześwieca ciemna skóra. Dwoje rachitycznych dzieci o szklistym spojrzeniu — jedno jest gołe i ma wzdęty brzuch — uczepliło się jej boku. Patrzą ze zdziwieniem na żołnierzy. Moreira Cesar spogląda na nich z wysokości swego konia: wydają się wcieleniem opuszczenia. Na jego twarzy odbija się mieszanina smutku, gniewu, żalu. Nie odwracając oczu, rozkazuje:

— Nakarmić ich. — I zwraca się do przybocznych oficerów: — Widzicie, panowie, jak żyją ludzie w waszym kraju?

Głos mu drży, oczy ciskają błyskawice. W niewczesnym geście dobywa szpady z pochwy i podnosi do twarzy, jakby chciał ją pocałować. Korespondenci wyciągają szyje i widzą, że dowódca 7. Pułku, niczym na wojskowej paradzie przed sztandarem i generalicją, oddaje pożegnalne honory, prezentując broń przed trojgiem nędzarzy z Pau Seco.

Niezrozumiałe słowa tryskały niby karabinowe serie, odkąd znaleźli go obok tamtej smutnej kobiety i zdechłego muła rozdziobywanego przez sępy. Urywane, gwałtowne, grzmiące lub ściszone, szeptane, tajemne — tryskały dniem i nocą, wprawiając w przerażenie Głupka, który czasami dygotał ze strachu. Brodaczka, obwąchawszy mężczyznę o

czzerwonych włosach, rzekła do Juremy: „Ma złośliwą gorączkę, taką samą jak ta, która zabiła Dadiwę. Umrze najdalej dzisiaj”. Ale nie umarł, chociaż chwilami oczy zachodziły mu bielmem, a z piersi dobywało się przedśmiertne rżenie. Po okresach pozornej martwoty twarz wykrzywił mu znany grymas i znów sypały się słowa, które dla nich były tylko pustym dźwiękiem. Chwilami otwierał oczy i spoglądał na nich ze zdumieniem. Karzełek upierał się, że język obcego jest mową Cyganów, a Brodaczka, że przypomina mszalną łacinę.

Kiedy Jurema zapytała, czy może się do nich przyłączyć, Brodaczka zgodziła się, może z litości, a może przez zwykłą inercję. We czworo wrzucili cudzoziemca na wóz, obok koszyka kobry, i ruszyli w dalszą drogę. Nowi towarzysze niedoli przynieśli im szczęście, bo już o zmierzchu, w osadzie zwanej Querera, zaproszono ich do stołu. Jakaś staruszka okadziła Galileo Galla, obłożyła rany ziołami, napoiła go jakimś wywarem i powiedziała, że wyzdrowieje. Tej nocy Brodaczka zabawiała pastuchów sztuczkami z kobrą, Głupek robił wygibasy, a Karzełek opowiadał o przygodach rycerzy. Pociągnęli dalej, a cudzoziemiec istotnie zaczął połykać przeżute kęsy, którymi go karmili. Brodaczka zapytała Juremę, czy jest jego żoną. Nie. Skrzywdził ją, kiedy męża nie było w domu, a potem nie miała już wyjścia, musiała odejść razem z nim. „Teraz wiem, czemu jesteś taka smutna”, powiedział Karzełek ze współczuciem.

Poszli na północ, a prowadziła ich chyba szczęśliwa gwiazda, bo codziennie znajdowali coś do jedzenia. Trzeciego dnia dali przedstawienie na jarmarku w jakiejś osadzie. Największe powodzenie miała broda Brodaczki: ludzie płacili, żeby się przekonać, że nie jest przyprawiona, a przy okazji dotykali jej piersi, sprawdzając, czy aby na pewno jest kobietą. Karzełek tymczasem opowiadał historię jej życia: jak z początku była zupełnie normalną dziewczynką gdzieś w Ceara i jak potem stała się zakałą rodziny, kiedy pewnego dnia zaczęły jej się pokazywać włosy na plecach, na ramionach, na nogach i na twarzy.

Zaczęto szeptać, że ciąży na niej grzech matki, że jest córką zakrystiana albo Diabła. Dziewczynka połknęła tłuczone szkło, którym zabijano wściekłe psy. Ale nie umarła i żyła na pośmiewisko sąsiadom, aż przyjechał Cygan, Król Cyrku, zabrał ją ze sobą i zrobił z niej artystkę. Jurema myślała, że to fantazje Karzełka, ale on zapewnił ją, że *wszystko* jest szczerą prawdą. Siadali czasem i rozmawiali, a ponieważ mały człowieczek był miły i budził w niej ufność, opowiadała mu o swoim dzieciństwie na fazendzie Calumbi w służbie żony barona de Cañabrava, najpiękniejszej i najlepszej kobiety na świecie. Zmartwiła się, kiedy Rufino, jej mąż, odszedł od barona, zamieszkał w Queimadas i został przewodnikiem-tropicielem. To okropny fach, przez to nigdy nie było go w domu. A jeszcze bardziej martwiło ją, że nie może dać mu dziecka. Dlaczego Bóg ją pokarał, dlaczego nie może rodzić? „Kto to wie”, mruknął Karzełek. Wyroki boskie czasami trudno pojąć.

Wiele dni później biwakowali w Ipujiara, na rozstaju dróg. Właśnie stało się nieszczęście: jakiś wieśniak w ataku szału zabił swoich synów, a potem sam zarąbał się siekierą. Cyrkowcy trafili na pogrzeb dzieci-męczenników, nie dali więc przedstawienia, chociaż zapowiedzieli występ na następny wieczór. Osada była maleńka, ale miała własny sklep, w którym zaopatrywała się cała okolica.

Rankiem przyjechali capangas. Tętent koni zbudził Brodaczkę; podczołgała się na czworakach do wyjścia namiotu, żeby zobaczyć, kto to taki. Ten nagły najazd zdziwił i zaskoczył wszystkich mieszkańców. Zobaczyła sześciu zbrojnych jeźdźców: to nie cangaceiros ani Gwardia Chłopska, to capangas; poznała po stroju i jednakowych, wyraźnych piętnach na zadach koni, pochodzących widocznie z tej samej fazendy. Jadący na czele encuerado zsiadł z konia. Brodaczka spostrzegła, że idzie ku niej. Jurema zerwała się z koca. Brodaczka czuła, jak drży, zauważyła jej błądność, jej rozchylone wargi. „To twój mąż?”, spytała. „Nie, to Kajfasz”, odparła dziewczyna. „Chce cię zabić?”, nalegała Brodaczka. Ale

zamiast odpowiedzieć, Jurema wypełzła na czworakach z namiotu, wstała i wyszła na spotkanie capango. Przystanął, czekał na nią. Serce Brodaczki zadrżało na myśl o tym człowieku — kościstym, ogorzałym, o chłodnych oczach. Zbije ją, skopie, przebije nożem, a potem przyjdzie tutaj zakłuć mężczyznę o czerwonych włosach, którego poruszenia czuła na wozie. Ale nie, nie uderzył jej: zdjął kapelusz i powitał jak kogoś, kogo darzy się szacunkiem. Z wysokości końskich grzbietów pięciu mężczyzn patrzyło na ów dialog, który dla nich, tak jak i dla Brodaczki, był tylko ruchem warg. Co mówią? Karzełek i Głupek obudzili się i także zaczęli podglądać. Po chwili Jurema odwróciła się i pokazała na wóz, gdzie spał ranny cudzoziemiec.

Encuerado — dziewczyna ruszyła za nim — podszedł do wozu, wetknął głowę pod plandekę i Brodaczka zobaczyła, że obojętnym wzrokiem lustruje mężczyznę, który we śnie lub na jawie wciąż gadał do swoich duchów. Szef capangas miał nieruchome spojrzenie, spojrzenie kogoś, kto umie zabijać, takie samo, jakie Brodaczka widziała u bandyty Pedrao, kiedy mordował Cygana. Jurema, bardzo blada, czekała na wynik oględzin. Wreszcie encuerado odwrócił się do niej, powiedział coś, Jurema skinęła głową, a on pokazał jeźdźcom, żeby zsiadli z koni. Jurema podeszła do Brodaczki i poprosiła o nożyczki. Szukały ich chwilę, a Brodaczka szepnęła: „Nie zabije cię?”. Jurema powiedziała, że nie. I trzymając w ręku nożyczki, które kiedyś należały do Dadyvy, wdrapała się na wóz. Capangas, prowadząc konie za wodze, odeszli do sklepiku. Brodaczka zebrała się na odwagę i podeszła zobaczyć, co robi Jurema. Za nią przyszedł Karzełek, za Karzełkiem Głupek.

Kłęcząc nad bezwładnym ciałem — oboje ledwo się mieścili pod ciasną plandeką — dziewczyna strzygła do gołej skóry włosy cudzoziemca: jedną ręką przytrzymywała tuż przy czaszce rudawe, skręcone kosmyki, w drugiej skrzypiały nożyczki. Na czarnym surducie widać było rozdarcia, plamy krwi, kurz i ptasie łajno. Galileo Gall leżał na wznak między szmatami i skrzyniami pełnymi różu, obręczy, czernideł i papierowych kapeluszy w półksiężycy i gwiazdki. Oczy miał zamknięte, na długiej brodzie zakrzepły grudki krwi. Był bez butów, a z dziurawych pończoch wyłaziły wielkie, kredowobiałe palce o brudnych paznokciach. Ranę na szyi zasłaniał opatrunek z ziół znachorki. Głupek wybuchnął śmiechem. Brodaczka szturchnęła go, ale on chichotał bez przerwy: skręcał się w konwulsjach, bezwłosy, anemiczny, z opętaniem w oczach, otwartymi ustami i nitką śliny zwisającą z rozchylonych warg. Jurema nie zwracała na niego uwagi, ale cudzoziemiec otworzył oczy. Jego twarz przybrała wyraz zdumienia, bólu, przerażenia tym, co z nim robią, ale osłabienie nie pozwoliło mu wstać, poruszył się tylko w miejscu i wydał jeden z tych swoich niezrozumiałych dźwięków.

Strzyżenie trwało długo. Tak długo, że capangas zdążyli wejść do sklepu, wysłuchać historii dzieci pomordowanych przez szaleńca, pójść na cmentarz i popełnić świętokradztwo, które wprawi później w osłupienie całe Ipujiara: odkopali trupa dzieciobójcy i razem z trumną wrzucili go na grzbiet jednego ze swoich koni. Potem stanęli przed namiotem i czekali. Kiedy czaszka Galla była już dokładnie obsmyczona, pokryta nierównymi plamami rudawych prześwitów, Głupek znowu wybuchnął śmiechem. Jurema zebrała w pęk kosmyki włosów z podółka i związała je sznurkiem, który opasywał jej własne włosy. Brodaczka zobaczyła, że przeszukuje kieszenie cudzoziemca i wyciąga sakiewkę z pieniędzmi (powiedziała im kiedyś, gdzie je trzyma, żeby w razie czego mogli z nich skorzystać). Z rudą kitą w jednej ręce, z sakiewką w drugiej — zeszła z wozu.

Szef capangas wyszedł jej naprzeciw. Brodaczka zobaczyła, że odbiera z rąk Juremy włosy cudzoziemca i ledwie na nie spojrzawszy, chowa do juków. W jego nieruchomych źrenicach tała się groźba, chociaż zwracał się do Juremy z wystudiowaną, ceremonialną grzecznością, dłubiąc w zębach palcem wskazującym. Tytn razem Brodaczka mogła ich

słyszeć.

— To miał w kieszeni — powiedziała Jurema, podając mu sakiewkę.

Ale Kajfasz nie chciał jej wziąć.

— Nie wolno mi — rzekł i cofnął się, jakby odepchnięty niewidzialną siłą. — To także należy do Rufina.

Jurema bez najmniejszego sprzeciwu ukryła sakiewkę pod suknią. Brodaczka myślała, że odejdzie, ale dziewczyna, patrząc Kajfaszowi prosto w oczy, zapytała miękko:

— A jeżeli Rufino nie żyje?

Kajfasz rozmyślał chwilę; jego twarz pozostała nieruchoma.

— Jeżeli nie żyje, zawsze znajdzie się ktoś, kto pomści jego honor — usłyszała Brodaczka odpowiedź encuerado. Miała wrażenie, że słucha Karzełka i jego opowieści o księżętach i rycerzach. — Krewny, przyjaciel. Ja też mogę to zrobić, jeśli będzie trzeba.

— A jeżeli rwój patron dowie się, co zrobiłeś? — zapytała jeszcze Jurema.

— Patron to tylko patron — odparł Kajfasz twardo. — Rufino jest dla mnie kimś więcej. Tamten chce mieć martwego cudzoziemca i cudzoziemiec umrze. Może od ran, może z ręki Rufina. Kłamstwo wkrótce stanie się prawdą, a to będą włosy nieboszczyka.

Odrócił się plecami do Juremy i wskoczył na konia. Ona, wystraszona, położyła rękę na siodle:

— Mnie też zabije?

Brodaczka spostrzegła, że encuerado patrzy na nią bez współczucia, a nawet jakby z pogardą.

— Gdybym ja był na miejscu Rufina, zabiłbym ciebie, bo ty też jesteś winna, może bardziej niż on — powiedział Kajfasz z grzbietu wierzchowca. — Ale nie jestem na miejscu Rufina, więc nie wiem. On pewnie wie.

Spiął konia ostrogą i capangas odjechali ze swoim groteskowym, gnijącym łupem tam, skąd przybyli.

Zaledwie dobiegła końca msza odprawiana przez ojca Joaquina w kaplicy Świętego Antoniego, Joao Mnich poszedł zabrać skrzynię z zamówionymi towarami, którą zostawił w Sanktuarium. W głowie tłukło mu się jedno pytanie: „Cały pułk, ilu to będzie żołnierzy?“, Zarzucił pakunek na ramię i ruszył wielkimi krokami po zrytej ziemi Bello Monte, wymijając ludzi, którzy podchodzili doń, by zapytać, czy to prawda, że idzie nowe wojsko. Odpowiadał, że tak, nie zatrzymując się, podskakując, żeby nie podeptać kur, psów, kóz i dzieci, płaczących mu się pod nogami. Z ramieniem obolałym od ciężaru skrzyni doszedł do dawnego domu-fazendy, zamienionego teraz w skład.

Stłoczeni w drzwiach ludzie rozstąpili się przed nim, a Antonio Vilanova przerwał rozmowę ze swoją żoną Antonią i szwagierką Asun-ción, i wyszedł ku niemu. Z huśtawki mała papuzka wrzeszczała jak opętana: „Wszystkiego najlepszego! Wszystkiego najlepszego!“.

— Nadciąga pułk żołnierzy — powiedział Joao Mnich, zrzucając ciężar na podłogę. — Ilu to ludzi?

— Są lonty! — krzyknął Antonio Vilanova. Przykucnąwszy, przeglądał pilnie zawartość skrzynki. Jego twarz rozjaśniała się zadowoleniem, w miarę jak odkrywał, oprócz

paczek z lontami, opłatki przeciw biegunce, środki opatrunkowe, bandaż, kalomel, oliwę i spirytus. — Zawsze będziemy dłużnikami ojca Joaquim — rzekł, podnosząc skrzynię na kontuar. Półki ugięły się od puszek i flaszek, towarów, najrozmaitszego odzienia — od sandałów do kapeluszy — a wszędzie leżały rozrzucone worki i paki, wśród których uwijały się Sardelinie i wiele innych osób. Na kontuarze — zwykłej desce wspartej na beczkach — leżały czarne foliały, podobne do ksiąg rachunkowych używanych na fazendach.

— Są też nowiny — powiedział Joao Mních. — Jeden pułk to tyle co tysiąc?

— Tak, już słyszałem, idzie wojsko — przytaknął Antonio Vilanova, układając towary na ladzie. — Jeden pułk? Ponad tysiąc. Może dwa tysiące.

Joao Mních zrozumiał, że Antonia Vilanovy nie obchodzi, ilu żołnierzy wysła tym razem Bestia na Canudos. Patrzył, jak kupiec — łysawy, gruby, z gęstą brodą — segreguje paki i flaszki z właściwą sobie energią. W jego głosie nie wyczuł nawet odrobiny niepokoju, żadnego zainteresowania. „Ma za dużo spraw na głowie”, pomyślał Joao Mních, jednocześnie tłumacząc kupcowi, że natychmiast trzeba wysłać kogoś do Monte Santo. „Ma rację. Nie trzeba go obarczać troską o wojnę”. Bo Antonio od lat był tym człowiekiem w Canudos, który sypiał najmniej ze wszystkich, a pracował najwięcej. Z początku, zaraz po przybyciu Nauczyciela, nadal zajmował się tylko swoim kupiectwem, ale powoli, za milczącą zgodą większości, do jego pracy dochodziło organizowanie rodzącej się społeczności, co wkrótce pochłonęło go bez reszty. Bez niego trudno byłoby jeść, spać i w ogóle przeżyć, odkąd ze wszystkich stron zaczęły napływać do Canudos fale pątników. On rozdzielał tereny pod budowę domów i zagród, uczył, co należy siał i jakie zwierzęta hodować; on wymieniał w pobliskich miasteczkach wytwarzane w Canudos dobra na artykuły pierwszej potrzeby, a kiedy zaczęły nadchodzić dary, on decydował, co odesłać do skarbcza w Świątyni Dobrego Jezusa, a co przeznaczyć na broń i zaopatrzenie. Osadnicy, przyjęci już do społeczności przez Aniołka, zgłaszali się do Antonia Vilanovy, który pomagał im się zadomowić. Z jego pomysłu powstały Domy Zdrowia dla starców, chorych i kalek, a po bitwach pod Uaua i Cambaio nie kto inny, tylko on, za zgodą Joao Mnicha, wziął na siebie składowanie i podział zdobyczej broni. Każdego niemal dnia spotykał się z Nauczycielem, żeby zdać mu rachunki i wysłuchać jego życzeń. Podróży zaniechał zupełnie, a Joao Mních słyszał, jak Antonia Sardelinha mówiła, że jest to najbardziej niezwykły objaw zmiany, jaka zaszła w jej mężu, opętany przez demona ruchu. Teraz na wyprawy jeździł Honorio i nikt nie potrafiłby orzec, czy to zamilowanie starszego z braci Vi-lanova do osiadłego życia należy przypisać doniosłości obowiązków zatrzymujących go w Belo Monte, czy związanej z nimi możliwości codziennego widywania Nauczyciela i obcowania z nim choćby przez parę minut. Wracał z tych spotkań z nowym zapałem i głębokim pokojem w sercu.

— Nauczyciel zgodził się na straż przyboczną — powiedział Joao Mních. — I na to, żeby Joao Wielki był jej dowódcą.

Tym razem Antonio Vilanova zainteresował się i spojrzał na niego z ulgą. Papużka wrzasnęła znowu: „Wszystkiego najlepszego!”.

— Niech Joao Wielki przyjdzie do mnie. Mogę mu pomóc w doborze ludzi. Znam wszystkich. Zresztą, jak chcesz.

Podeszła do nich Antonia Sardelinha.

— Dziś rano Catarina pytała o ciebie — powiedziała do Joao Mnicha. — Masz czas, żeby teraz się z nią zobaczyć?

Joao pokręcił głową: nie, nie ma czasu. Może wieczorem. Poczł się zawstydzony, chociaż wiedział, że oni rozumieją, iż Bóg ma pierwszeństwo przed rodziną: może nie

postępują tak samo? Ale on, w głębi serca, dręczył się tym, że okoliczności, a może wola Dobrego Jezusa, coraz bardziej oddalają go od żony.

— Pójdę zaraz do Catariny i powiem jej — obiecała i uśmiechnęła się Antonia Sardelinha.

Joao Mnich wyszedł ze składu, myśląc o tym, jak dziwnie ułożyło się jego życie, a może i życie wszystkich ludzi. „Jak w opowieściach truwerów”, pomyślał. On, który spotkawszy Nauczyciela, uwierzył, że krew nigdy już nie stanie mu na drodze, jest teraz wpłątany w wojnę gorszą od wszystkiego, co znał. Czy po to Ojciec obudził w nim skrucę za grzechy? Po to, żeby nadal zabijał i patrzył na śmierć? Tak, na pewno po to. Posłał dwóch chłopaków z ulicy, żeby powiedzieli Pedrao i staremu Joaquimowi Macambirze, że czeka na nich przy szlaku do Geremoabo, a sam, przed spotkaniem z Joao Wielkim, poszedł poszukać Pajeu, który kopał transzeje na drodze do Rosario. Znalazł go kilkaset metrów za ostatnimi chałupami, jak maskował kolczastymi krzakami wykop przecinający ścieżkę. Mężczyźni ze strzelbami na ramieniu nosili i rozstawiali broń, a kobiety rozdawały miski zjedzeniem innym, siedzącym na ziemi, świeżo zluzowanym z pracy. Widząc, że nadchodzi, podeszli wszyscy: nagle znalazł się w samym środku kręgu badawczych twarzy. Jakaś kobieta bez słowa włożyła mu w ręce miskę pieczonego koziego mięsa posypanego kukurydzianą mąką, inna podała dzban wody. Był tak zmęczony po biegu, że musiał głęboko odetchnąć i łyknąć spory haust, zanim zdołał wydobyć głos. Mówił, jadł i nawet nie przeszło mu przez głowę, że ci sami ludzie jeszcze przed kilkanaście laty, kiedy jego banda i banda Pajeu masakrowały się nawzajem bez litości, daliby wszystko, żeby mieć go tak jak teraz na swojej łasce, męczyć w najwymyślniejszy sposób, a potem zabić. Na szczęście, tamte czasy zamętu zostały już za nimi.

Pajeu nie zmienił się na twarzy, dowiedziawszy się o nowinach ojca Joaquina. O nic nie pytał. A może on wie, ilu ludzi liczy jeden pułk? Nie, nie wie; inni też nie wiedzą. Joao Mnich wyłożył mu wówczas swoją prośbę: niech wyruszy na południe, niech tropi i nęka nadchodzące wojska. Jego banda całe lata grasowała w tamtych okolicach, zna je jak własną kieszeń. Któż lepiej od niego obstawi drogi, urządzi zasadzki, podeśle żołnierzom swoich tropicieli i tragarzy, żeby opóźnić marsz i dać Belo Monte czas na przygotowanie do wojny?

Pajeu zgodził się, ale nadal nie odezwał się ani słowem. Patrząc na tę masywną postać, na tę bladą, pożółkłą, wyszarzałą twarz przeoraną głęboką blizną, Joao Mnich zastanawiał się, ile lat ma ten człowiek. Kto wie, może jest już stary, chociaż tego po nim nie widać.

— Dobrze — usłyszał. — Codziennie będziesz miał świeże wieści. Ilu mogę ze sobą zabrać?

— Ilu chcesz — powiedział Joao Mnich. — To twoi ludzie.

— Byli moi — odburknął Pajeu, obrzucając ich wszystkich spojrzeniem zapadniętych, lisich oczu, w których zamigotały ciepłe ogniki. — Teraz są Dobrego Jezusa.

— Wszyscy jesteśmy Jego — rzekł Joao Mnich. I dorzucił z nagłą energią: — Niech Antonio Vilanova da ci amunicję i proch. Przyszły lonty. Taramela, zostaniesz z nami?

Zastępca Pajeu, niski, barczysty, o skośnych oczach i pomarszczonej, poznaczonej bliznami twarzy, postąpił krok do przodu.

— Chcę iść z tobą do Monte Santo — powiedział cierpko. — Zawsze byłem przy tobie. Przynoszę ci szczęście.

— Teraz będziesz przynosił szczęście Canudos. Ono jest ważniejsze ode mnie — odparł szorstko Pajei.

— Tak, przynieś nam szczęście — powiedział Joao Mnich. — Przyślę ci więcej ludzi, żebyś nie czuł się samotny. Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

— Na wieki wieków — odezwało się kilka głosów.

Joao Mnich odwrócił się i ruszył znowu na przełaj ku wyniosłej bryle Cambaio, gdzie pracował Joao Wielki. Biegając, myślał o żonie. Nie widział się z nią, odkąd postanowił wykopać transeje i schrony na wszystkich drogach, przez co dniem i nocą krążył po obwodzie koła, którego środkiem, tak jak środkiem całego świata, było Canudos. Joao Mnich poznał Catarinę, kiedy jeszcze był jednym z garstki mężczyzn i kobiet — rosnącej i malejącej jak woda w rzece — wędrujących po osi — dach razem z Nauczycielem i gromadzących się wokół niego nocami, żeby po znojnym dniu modlić się wspólnie i słuchać jego nauki. Była wśród nich dziewczyna tak wątła i szczupła, że w swojej obszernej sukni, białej niby całun, przypominała bezcielesną zjawę. Podczas marszu, modłów i odpoczynków były cangaceiro często napotykał utkwione w siebie oczy tej kobiety. Wywoływały w nim uczucie skrępowania, a chwilami budziły lęk. Były to oczy spustoszone cierpieniem, które zdawały się grozić mu karami nie z tego świata.

Pewnej nocy, kiedy wszyscy pielgrzymi ułożyli się już do snu wokół ogniska, Joao Mnich podpełznął do dziewczyny: w blasku iskier widział oczy wbite w swoją twarz. „Chcę wiedzieć, czemu ciągle na mnie patrzysz” — wyszeptał. Ona przemogła słabość lub odrazę i odparła ledwie słyszalnym głosem: „Byłam w Custodii, jak przyszedłeś się zemścić. Pierwszym człowiekiem, którego zabiłeś, tym, który krzyknął, był mój ojciec. Widziałam, jak wbiłeś mu nóż w żołądek”. Joao Mnich milczał. Wysłuchany w trzaski ogniska, bzyczenie owadów, oddech kobiety, usiłował przypomnieć sobie tamte oczy i tamten świt, tak teraz odległy. Po chwili, bardzo cicho, zapytał: „To nie wszyscy wtedy zginęli?”. „Troje z nas przeżyło — szepnęła kobieta. — Don Ma-tias, który schował się w słomie na dachu. Pani Rosa, która straciła rozum, chociaż wyleczyła się z ran. I ja. Mnie też chcieli zabić. I też wyzdrowiałam”. Rozmawiali, jakby chodziło o innych ludzi, inne wypadki, inne, nędzniejsze życie. „Ile lat miałaś?”, zapytał cangaceiro. „Dziesięć albo dwanaście, coś koło tego”, powiedziała. Joto Mnich spojrział na nią: czyli że musi być bardzo młoda. To głód i cierpienie tak ją postarzają. Wciąż bardzo cicho, żeby nie budzić pielgrzymów, mężczyzna i dziewczyna z powagą roztrząsali szczegóły tamtej nocy, wciąż żywej w ich pamięci. Zgwałciło ją trzech, a potem ktoś kazał jej uklęknąć przed jakimiś spodniami, cuchnącymi gnójem, a czyjeś szorstkie ręce wepchnęły jej twarde członek: ledwie mieścił się jej w ustach, a ona musiała go ssać, aż splunął jej w gardło nasieniem, które mężczyzna kazał jej połknąć. Kiedy jeden z bandytów ugodził ją nożem, Catarina poczuła wielki spokój. „Czy to byłem ja?”, wyszeptał Joao Mnich. „Nie wiem — szepnęła. — Był dzień, ale już nie mogłam rozpoznać twarzy, nie wiedziałam, gdzie jestem”.

Od tamtej nocy były cangaceiro i dziewczyna z Custodii zaczęli modlić się wspólnie. Szli zawsze razem, opowiadając sobie koleje swych żywotów, które teraz wydawały im się niezrozumiałe. Catarina przyłączyła się do świętego w jakiejś wiosce w Sergipe, gdzie żyła na łaskawym chlebie. Po Nauczycielu była najchudsza ze wszystkich i pewnego razu z wyczerpania padła w marszu. Joao Mnich wziął ją na ręce i szedł tak przez cały dzień, aż do zmierzchu. Niósł ją przez wiele innych dni, a na postojach podsuwał jej rozmoczone okruchy jedzenia, bo tylko taką strawę przyjmował jej żołądek. Nocami, po naukach, opowiadał jej do snu, jak dziecku, zasłyszane w chłopięcych latach historie truwerów, które teraz — być może dlatego, że dusza jego odzyskała dziecięcą niewinność — powracały do jego pamięci w całym przepychu szczegółów. Ona słuchała w milczeniu, ale potem wypytywała go swoim wątłym, ginącym głosikiem o Saracenów, o Fierabrasa i Roberta Diabła, a on przekonał się, że te widmowe postaci zlały się z życiem Catariny jak niegdyś z jego własnym.



Dawno już odzyskała siły i wędrowała z innymi o własnej mocy, *k* iedy pewnego wieczoru Joao Mnich, zmieszany i drżący, oskarżył się w obecności wszystkich pielgrzymów, że wiele razy pożądał jej ciała. Nauczyciel przywołał Catarinę i zapytał, czy ubliża jej to, co usłyszała przed chwilą. Pokręciła przecząco głową. Wobec milczącego kręgu Nauczyciel zapytał ją jeszcze, czy chowa w sercu żal za to, co stało się w Custodii. Ona znowu odpowiedziała, że nie. „Jesteś oczyszczona”, powiedział Nauczyciel. Złączył ich dłonie i poprosił, żeby wszyscy modlili się za nich do Ojca. W tydzień później proboszcz z Xique--Xique dał im ślub. Ileż to lat minęło? Cztery, może pięć? Czując, że serce pęka mu w piersi, Joao Mnich dojrzał nareszcie cienie jaguncos na stokach Cambaio. Zwolnił i ruszył dalej krótkim, szybkim krokiem, jakim tak długo wędrował po świecie.

W godzinę później stał obok Joao Wielkiego i opowiadał mu nowiny, popijając zimną wodę i zajadając kukurydzę z miski. Byli sami, bo obwieściwszy, że nadchodzi pułk wojska — nikt nie potrafił mu powiedzieć, ilu to jest żołnierzy — poprosił wszystkich, żeby odeszli. Dawny niewolnik był jak zawsze bosy. Spłowiełe spodnie przewiązał sznurkiem, rozchełstana koszula odsłaniała włochatą pierś, na której niczym naszyjnik dyndały dwa sznury kul; za pasem miał nóż i maczetę, a na plecach karabin. Kiedy usłyszał, że powstaje Gwardia Katolicka dla ochrony Nauczyciela, a on będzie jej dowódcą, potrząsnął gwałtownie głową.

— Dlaczego? — zapytał Joao Mnich.

— Nie jestem godzien — wymamrotał Murzyn.

— Nauczyciel mówi, że jesteś — odpowiedział Joao Mnich. — On wie najlepiej.

— Nie umiem rozkazywać — zaprotestował tamten. — I nie chcę umieć. Weźcie kogoś innego.

— Ty będziesz rozkazywał — powiedział Komendant Ulicy. — Nie ma czasu na dyskusje, Joao Wielki.

Murzyn popatrzył w zadumie na mężczyzn rozproszonych w skalnych rumowiskach i piargach góry, pod niebem, które przybrało barwę ołowiu.

— Nie dam rady — wymamrotał w końcu.

— Dobierz samych najlepszych, tych, którzy są tu najdłużej, których widziałeś w walce pod Uaua i tutaj, na Cambaio — powiedział Joao Mnich. — Kiedy przyjdzie wojsko, Gwardia Katolicka musi być gotowa. Będziecie tarczą Canudos.

Joao Wielki milczał. Poruszał szczękami, jakby coś przeżuwał, mimo że nic nie miał w ustach. Patrzył na pobliskie szczyty, jakby widział tam lśniących wojowników króla Sebastiana: wylękniony, oślepiiony, porażony niespodziewaną wieścią.

— To ty mnie wybrałeś. Nie Aniołek, nie Nauczyciel, ale ty — powiedział głucho. — Nie wyświadczyłeś mi przysługi.

— Tak — przyznał Joao Mnich. — Nie miałem takiego zamiaru. Ani nie miałem zamiaru wyrządzić ci krzywdy. Wybrałem cię, bo jesteś najlepszy. Idź do Belo Monte i bierz się do roboty.

— Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel — powiedział Murzyn. Podniósł się z kamienia, na którym siedział, i odszedł po piarzystej równinie.

— Na wieki wieków — odrzekł Joao Mnich. W parę chwil później zobaczył, że były niewolnik rusza biegiem.

— Czyli że zламаłeś słowo dwa razy — mówi Rufino. — Nie zabiłeś go, jak chciał Epaminondas. I skłamałeś, że nie żyje. Dwa razy.

— Tylko ten pierwszy raz się liczy — mówi Kajfasz. — Dostarczyłem mu włosy i trupa. To był inny trup, ale nikt tego nie zauważył. A cudzoziemiec i tak wkrótce będzie trupem, o ile już nie jest. To lekkie przewinienie.

Na rudawym brzegu Itapicurii, po przeciwnej stronie niż garbarnie Queimadas, jak w każdą sobotę rozłożyły się stragany i kramy, gdzie przekupnie z całej okolicy zachwalają swoje towary. Krzyki targujących się płyną nad czarnym morzem odkrytych lub osłoniętych kapeluszami głów, zlewając się z rżeniem, porykiwaniem, ujadaniem, wrzaskami dzieciarni i toastami pijaków. Żebracy zachęcają do szczodrości, demonstrując swoje garby i kikuty, pieśniarze przy dźwiękach gitary snują opowieści o miłości i bitwach chrześcijańskich rycerzy z pogańską hordą, Cyganki, stare i młode, wystrojone w szeleszczące spódnice, pobrzękując bransoletami, zgadują przyszłość.

— W każdym razie dziękuję ci — mówi Rufino. — Jesteś człowiekiem honoru, Kajfaszu. Dlatego zawsze cię szanowałem. Wszyscy cię szanują.

— Komu jestem winien więcej? — mówi Kajfasz. — Patronowi czy przyjacielowi? Ślepy by zobaczył, że postąpiłem słusznie.

Idą obok siebie, obaj poważni, obojętni na pstrokaty, kolorowy nastrój jarmarku. Brną przez tłum, nie mówiąc przepaszam, usuwając ludzi z drogi spojrzeniem lub naporem ciała. Czasami ktoś zza kontuaru, spod plandeki, rzuca słowa powitania, lecz odpowiadają tak oschle, że nikt do nich nie podchodzi. Tak jak się umówili, idą do budki z wyszynkiem: pod daszkiem z gałęzi stoją drewniane ławy i dyle, ludzi jest tu mniej niż gdzie indziej.

— Gdybym go wykończył wtedy, w Ipujiara, obraziłbym cię. -Z tonu Kajfasza wynika, że wszystko gruntownie przemyślał. — Bo inaczej jak byś zmył z siebie tę plamę?

— Dlaczego przyszli zabić go tutaj, wtedy za pierwszym razem? — przerywa Rufino. — Dlaczego w moim domu?

— Epaminondas tak chciał — mówi Kajfasz. — Tobie i Juremie nie spadłby włos z głowy. Ona żyje, ale przez nią zginęli moi ludzie. — Spluwa w zamyśleniu przez zęby. — Może *to* była moja wina, że pomarli. Nie sądziłem, że będzie się bronił, że umie walczyć. Nie wyglądał na takiego.

— Nie — mówi Rufino. — Nie wyglądał.

Przysuwają siedziska do siebie, żeby nikt nie słyszał rozmowy. Kobieta, która obsługuje stoisko, stawia przed nimi dwie szklanki i pyta, czy chcą gorzałki. Tak, chcą. Przynosi pół butelki wódki. Tropiciele nalewa i piją bez toastu. Teraz Kajfasz napełnia szklanki. Jest starszy od Rufina, a jego oczy, zawsze nieruchome, zmatowiały. Ma swoje zwykłe skórzane ubranie, od stóp do głów uwalany jest ziemią.

— Ona go uratowała? — mówi wreszcie Rufino, spuszczać oczy. — Ona złapała cię za rękę?

— Wtedy zrozumiałem, że należy do niego. — Kajfasz kiwa głową. W jego twarzy widać jeszcze ślady zdumienia z tamtego ranka. — Kiedy skoczyła i wykręciła mi ramię, kiedy zaatakowała mnie razem z nim. — Wzrusza ramionami i spluwa. — Już wtedy była jego kobietą, co miała zrobić? Musiała go bronić.

— Tak — mówi Rufino.

— Nie rozumiem, dlaczego mnie nie zabili — mówi Kajfasz. — Pytałem o to Juremę w Ipujiara i nie umiała mi wytłumaczyć. Ten cudzoziemiec jest dziwny.

— Dziwny — mówi Rufino.

W jarmarcznym tłumie kręcą się żołnierze, niedobitki ekspedycji majora Brito. Siedzą tu i rozpowiadają, że czekają na przybycie jakiegoś wojska. Mają podarte mundury, włączają się wszędzie jak dusze potępione, śpią na rynku, na stacji, w nadrzecznych wąwozach. Chodzą od straganu do straganu, po dwóch, po czterech, patrząc poządlawie na kobiety, jedzenie i trunki. Miejscowi starają się ich nie widzieć, nie słyszeć, nie odzywają się do nich.

— Słowo raz dane związuje ręce, prawda? — mówi Rufino nieśmiało. Głęboka zmarszczka przecina mu czoło.

— Związuje — przytakuje Kajfasz. — Nikt nie może zwolnić ze słowa danego Dobremu Jezusowi albo Najświętszej Paniencie.

— A ze słowa danego baronowi? — mówi Rufino, pochylając głowę.

— Z tego może zwolnić tylko baron — mówi Kajfasz. Ponownie napełnia szklanki i piją. W jarmarcznym zgiewku wybucha gdzieś daleko gwałtowna sprzeczka, która kończy się salwą śmiechu. Niebo poszarzało, jakby zbierało się na deszcz.

— Wiem, co czujesz — mówi nagle Kajfasz. — Wiem, że nie sypiasz po nocach i że życie dla ciebie się skończyło. Nawet kiedy jesteś' X ludźmi, tak jak teraz ze mną, mścisz się. Tak to jest, Rufino. Tak właśnie jest, kiedy ktoś ma poczucie honoru.

Rządek mrówek równym szykiem przebiega stół, opisując okrąg Wokół butelki, która jest już pusta. Rufino patrzy, jak idą naprzód, jak znikają za krawędzią blatu. Jego palce mocno ściskają szklankę.

— Jest coś, o czym musisz pamiętać — dodaje Kajfasz. — Śmierć to nie dość, sama śmierć nie zmyje hańby. Tylko uderzenie w twarz, ręką albo biczem. Bo twarz jest tak święta jak matka albo żona.

Rufino wstaje. Właścicielka budki podchodzi do nich. Kajfasz wkłada rękę do kieszeni, ale tropiciel jest szybszy. Płaci. Czekają na resztę, w milczeniu, każdy sam ze swymi myślami.

— Czy to prawda, że twoja matka poszła do Canudos? — pyta Kajfasz. A ponieważ Rufino kiwa głową, dodaje: — Wielu tam idzie. Epa-minondas ściąga mężczyzn do Gwardii Chłopskiej. Przyjdzie wojsko, a on chce pomóc żołnierzom. Moja rodzina też jest przy świętym. Trudno wojować ze swoimi, prawda, Rufino?

— Ja mam swoją własną wojnę — mamrocze Rufino, chowając monety, które podała mu kobieta.

— Mam nadzieję, że go znajdziesz, że choroba go nie zabiła — mówi Kajfasz.

Ich sylwetki wtapiają się w ciżbę sobotniego jarmarku w Queimadas.

— Czegoś tu nie rozumiem, drogi baronie — powtórzył pułkownik Jose Bernardo Murau, przeciągając się w fotelu na biegunach; bujał się powolutku, raz po raz odpychając się nogą. — Moreira Cesar nienawidzi nas, my też go nienawidzimy. Jego przyjazd jest wielkim sukcesem Epaminondasa, klęską autonomistów. Zawsze chodziło nam o to, żeby Rio nie wtrącało się w nasze sprawy. Tymczasem witamy go w Salvadorze jako bohatera, a teraz prześcigamy się z Epaminondasem w świadczeniu usług temu Rzeźnikowi.

Bielony wapnem, cienisty stary dom o splekanych ścianach był zniszczony i zaniedbany. Bukiet przywędłych kwiatów stał w miedzianym dzbanie, po podłodze walały się rozbite płytki posadzki. Z okien widać było trzcinowe pola rozświetlone słońcem, a tuż przy domu grupkę służących, którzy siodłali konie.

— Żyjemy w czasach zamętu, mój drogi Jose Bernardo — rzekł z uśmiechem baron

de Cañabrava. — Nawet ludzie inteligentni zagubili się w tej dżungli.

— Inteligentny to ja nigdy nie byłem, fazenderom inteligencja niepotrzebna— burknął pułkownik Murau. Bezradnie machnął ręką, wskazując krajobraz za oknem. — Pół wieku zeszło mi tutaj tylko po to, żebym na starość ujrzał, jak wszystko wali się w gruzy. Jedyna pociecha, że umrę wkrótce i nie zobaczę zupełnej ruiny tej ziemi.

Istotnie, był człowiekiem sędziwym, kościstym, o smagłej cerze i wężlastych rękach, którymi co chwila drapał się po źle ogolonej twarzy. Ubierał się jak peon — w spłowiełe spodnie, rozchełstaną koszulę i kamizelę z niewyprawionej skóry, z oberwanymi guzikami.

— Zła passa szybko minie — powiedział Adalberto de Gumucio.

— Nie dla mnie — stary fazender wyłamywał sobie palce, aż zatrzeszczały kości. — Wiecie, ilu ludzi odeszło stąd w ciągu ostatnich lat? Setki rodzin. Susza z 1877, mrzonki o kawowych plantacjach na Południu i kauczuku w Amazonii, a teraz to przeklęte Canudos. Wiecie, jakie tłumy tam wałą? Porzucają domy, zwierzęta, pracę, wszystko. Czekają tam razem na Apokalipsę i powrót króla Sebastiana. — Spojrzał na nich, zdumiony ludzką głupotą. — Powiem wam, co się stanie, chociaż nie jestem inteligentny. Moreira Cesar zrobi Epaminondasa gubernatorem Bahii, a już on i jego ludzie tak utrudnią nam życie, że trzeba będzie za bezcen sprzedawać fazendy albo oddać je darmo i wynosić się, byle dalej.

Przed baronem i Gumuciem stał stolik z orzeźwiającymi napojami i koszyczkiem biszkoptów, których żaden z nich nie spróbował.

Baron otworzył tabakierę, poczęstował przyjaciół, sam zażył także i przez chwilę delektował się nią z przymkniętymi powiekami.

Nie oddamy Brazylii jakobinom, Jose Bernardo — powiedział, otwierając oczy. — Sprytnie to sobie ułożyli, ale im się nie uda.

— Brazylia już do nich należy — przerwał Murau. — Najlepszy dowód, że Moreira Cesar już tu idzie, nasłany przez rząd.

— Mianowano go pod naciskiem Klubu Wojskowego w Rio; ten klub to ostatni szaniec jakobinów, którzy skorzystali z choroby prezydenta Moraisa — powiedział baron. — W rzeczywistości jest to spisek przeciw Moraisowi. Plan jest przejrzysty. Canudos to tylko pretekst, żeby ich człowiek zgarnął więcej zaszczytów, chwały i prestiżu. Mo-reira Cesar zdławił monarchistyczny spisek! Moreira Cesar zbawcą republiki! Czyż nie jest to niezbity dowód, że tylko armia może zapewnić bezpieczeństwo narodu? Władza dla wojska, a zatem: niech żyje dyktatura! — Śmiał się, lecz naraz spoważniał. — Nie pozwolimy na to, Jose Bernardo. Bo nie jakobini, ale my zgnieciemy spisek monarchistów. — Skrzywił się ze wstrętem. — Trzeba się wyrzec rycerskich zasad, mój drogi. Polityka to łajdackie zajęcie.

Zdanie to poruszyło jakąś wewnętrzną strunę w duszy starego Muraua, ożywił się bowiem i usłyszeli wybuch śmiechu.

— W porządku! Poddaję się, panowie łajdacy! — krzyknął. — Poślę Rzeźnikowi muły, przewodników, prowianty i co tam będzie trzeba. Czy mam przenocować u siebie cały 7. Pułk?

— Bądź spokojny, Moreira Cesar nie przejdzie przez twoją ziemię — zapewnił go baron z wdzięcznością. — Nie będziesz go musiał w ogóle oglądać.

— Nie możemy dopuścić do tego, żeby Brazylia uwierzyła, że powstaliśmy przeciw republice i wspólnie z Anglią knujemy, jak by tu przywrócić monarchię — powiedział Adalberto de Gumucio. — Rozumiesz, Jose Bernardo? Musimy czym prędzej zniweczyć tę intrygę. Nie igra się z patriotyzmem.

— Epaminondas igrał, i to z dobrym skutkiem — mruknął Murau.

— Tak, to prawda — przyznał baron. — Ja, ty, Adalberto, Viana, wszyscy sądziliśmy, że nie trzeba traktować go poważnie. Tymczasem Epaminondas udowodnił, że jest groźnym przeciwnikiem.

— Cała ta intryga jest tanią farsą szytą grubymi nićmi.

— Ale jak dotąd daje dobre wyniki. — Baron rzucił spojrzenie za okno: konie były gotowe. Oświadczył przyjaciółom, że musi zaraz ruszać dalej, osiągnął już bowiem swój cel: przekonał najbardziej upartego fazen-dera w Bahii. Pójdzie zobaczyć, czy Estela i Sebastiana są gotowe. Ale Jose Bernardo Murau przypomniał mu, że jakiś człowiek z Queimadas czeka na niego od dwóch godzin. Baron zapomniał o nim zupełnie.

„Ach tak, tak... rzeczywiście”, mruknął. I kazał go wprowadzić.

Po chwili w drzwiach zarysowała się postać Rufina. Patrzyli, jak zdejmuje słomiany kapelusz, wita ukłonem pana domu i Gumucia, wreszcie podchodzi do barona, pochyła się i całuje go w rękę.

— Jakże rad jestem, że cię widzę, chrześniaku — powiedział baron, poklepując go serdecznie po plecach. — Miło, że przyszedłeś nas odwiedzić. Jak się ma Jurema? Dlaczego nie wzięłaś jej ze sobą? Estela chętnie by się z nią spotkała.

Spostrzegł, że przewodnik wciąż stoi ze spuszczoną głową, mnąc kapelusz. I nagle zauważył, że jest straszliwie skrępowany. Domyślił się wówczas powodu wizyty swego dawnego peona.

— Coś się stało twojej żonie? — zapytał. — Czy Jurema jest chora?

— Ojcie chrzestny, zwolnij mnie ze słowa — rzekł Rufino jednym tchem.

Gumucio i Murau, dotąd zajęci sobą, nagle zainteresowali się rozmową. W ciszy, zagadkowej i napiętej, baron nie od razu pojął, co oznaczają słowa, które usłyszał, nie od razu zrozumiał, o co go proszą.

— Jurema? — zapytał, mrugając, cofając się, grzebiąc w pamięci. — Zrobiła ci coś? Nie opuściła cię przecież, Rufino? Chcesz powiedzieć, że to zrobiła, że odeszła z innym mężczyzną?

Przed oczami barona gęstwina prostych, brudnych włosów pochyliła się nieznacznie w niemym potwierdzeniu. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Rufino odwracał oczy; uświadomił sobie, ile wysiłku kosztuje go ta rozmowa i jak bardzo cierpi. Poczł litość.

— Po co ci to, Rufino? — odezwał się strapiiony. — Co zyskasz? Zadasz sobie tylko niepotrzebny ból. Jeśli odeszła, to tak, jakby umarła, jakby się sama zabiła. Zapomnij o niej. Zapomnij na pewien czas o Queimadas. Potem znajdziesz sobie żonę, która cię nie zdradzi. Jedź z nami do Calumbi, masz tam tylu przyjaciół.

Gumucio i Jose Bernardo Murau w napięciu oczekiwali odpowiedzi Rufina. Adalberto napelnił swoją szklankę chłodnym płynem, nie wypił jednak, lecz trzymał ją przy samych wargach.

— Ojcie chrzestny, zwolnij mnie ze słowa — powiedział wreszcie tropiciel, nie podnosząc oczu.

Serdeczny, pełen aprobaty uśmiech wykwitł na wargach Adalberta de Gumucio, który uważnie śledził rozmowę barona z dawnym sługą. Natomiast Jose Bernardo Murau zaczął ziewać. Baron wiedział już, że nie przemówi mu do rozsądku, że musi się pogodzić z

nieuniknionym, musi powiedzieć tak lub nie, wiedział, że oszukuje się, usiłując zmienić decyzję Rufina. Ale nawet teraz spróbował zyskać na czasie.

— Kto ci ją zabrał? — zapytał cicho. — Z kim odeszła? Rufino nie od razu przemówił.

— Jakiś cudzoziemiec, który przyjechał do Queimadas — odpowiedział. Zamilkł na chwilę i dodał z przezorną flegmą: — Przysłali go do mnie. Chciał iść do Canudos, zawieźć broń dla jaguncos.

Szklanka wyslizgnęła się z rąk Adalberta de Gumucio i rozbiła na kawałeczki u jego stóp, lecz ani hałas, ani rozlany płyn, ani deszcz szklanych odłamków nie otrzeźwiły trzech mężczyzn, którzy z wy-trzeszczonymi oczami patrzyli w zdumieniu na tropiciela, a on wciąż stał bez ruchu, ze spuszczoną głową, milczący, jakby nieświadomy wrażenia, jakie wywarły jego słowa. Pierwszy oprzytomniał baron.

— Jakiś cudzoziemiec chciał zawieźć broń do Canudos? — Starał się mówić naturalnie, lecz ten wysiłek tym bardziej zniekształcał mu głos.

— Chciał, ale nie zawiózł. — Gęstwa brudnych włosów pochyliła się. Rufino stał w postawie pełnej szacunku i wciąż patrzył w podłogę. — Pułkownik Epaminondas kazał go zabić i myśli, że już po nim. Ale on żyje. Jurema go uratowała. A teraz Jurema i on są razem.

Gumucio i baron zdziwieni spojrzeli po sobie, a Jose Bernardo Murau, mamrocząc coś pod nosem, czynił bezskuteczne wysiłki, żeby wstać z bujanego fotela. Baron podniósł się pierwszy. Był blady, ręce mu się trzęsły. Nawet teraz tropiciel zdawał się nie widzieć poruszenia, jakie zapanowało wśród trzech mężczyzn.

— A więc Galileo Gall żyje — wydukał wreszcie Gumucio, uderzając pięścią w otwartą dłoń. — To zwęglone ciało, ucięta głowa, całe to bestialstwo...

— Nie ucięli mu głowy — przerwał Rufino i po raz drugi cisza zelektryzowała zaniedbany salonik. — Obcięli mu włosy, miał bardzo długie. Ten zabity to był jakiś wariat, który zamordował własne dzieci. Cudzoziemiec żyje.

Zamilkł, a chociaż Adalberto de Gumucio i Jose Bernardo Murau zasypali go gradem pytań, żądali szczegółów i prosili, żeby mówił dalej, Rufino już się nie odezwał. Baron zbyt dobrze znał tutejszych ludzi, żeby nie wiedzieć, iż przewodnik powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, że nikt i nic nie wyciągnie zeń ani słowa więcej.

— Chciałbyś coś jeszcze dodać, chrześniaku? — Położył mu rękę na ramieniu, nie ukrywając wzruszenia.

Rufino pokręcił głową.

— Dziękuję ci, że przyszedłeś — powiedział baron. Wyświadczyłeś mi wielką przysługę, synu. Nam wszystkim, całemu krajowi, chociaż o tym nie wiesz.

Głos Rufina zabrzmiał znowu, bardziej nieustępliwy niż poprzednio:

— Chcę złamać słowo, które dałem przed tobą, ojczymie chrzestny. Baron pokiwał głową, zmartwiony. Pomyślał, że za chwilę wyda wyrok śmierci na kogoś, kto być może jest niewinny, a jeśli nawet zawinił, ma swoje racje, które należałoby uszanować. Pomyślał, że to, co powie, będzie wstrętne i złe, ale nie mógł postąpić inaczej.

— Rób, co ci nakazuje sumienie — mruknął. — Niech cię Bóg prowadzi i sądzi.

Rufino podniósł głowę, odetchnął. Baron ujrzał oczy przekrwione i wilgotne, twarz człowieka, który wiele przecierpiał. Tropiciel klęknął, a baron nakreślił mu znak krzyża na

czole i raz jeszcze podał dłoń do ucałowania. Rufino wstał i wyszedł z pokoju, nie zaszczywszy spojrzeniem pozostałych mężczyzn.

Pierwszy odezwał się Adalberto de Gumucio:

— Chylę czoło — powiedział, wpatrując się w kawałki szkła roz-sypane u jego stóp. — Epaminondas to człowiek wielkiego talentu. Omyliliśmy się co do niego.

— Szkoda, że nie jest jednym z nas — dodał baron. Ale mimo całej niezwykłości dokonanego przed chwilą odkrycia myślał nie o Epaminondasie Goncalvesie, lecz o Juremie — dziewczynie, którą Rufino ma zabić — i o przykrości, jaką ta wiadomość sprawi jego żonie.

### **Rozdział III**

— Obwieszczenie wisi od wczoraj — mówi Moreira Cesar, celując szpicrutą w obwieszczenie nakazujące ludności cywilnej zgłosić w 7. Pułku wszelką posiadaną broń palną. — A dziś rano, zanim wkroczyły wojska, odczytano je publicznie przed dokonaniem rewizji. Wiedzieliście, czym ryzykujecie.

Aresztanci są związani plecami do siebie. Na twarzach i piersiach nie widać śladów chłosty. Bosi, bez kapeluszy, mogliby być ojcem i synem, wujem i siostrzeńcem albo braćmi, tak są do siebie podobni i w jednaki sposób patrzą na polowy stolik wojskowego trybunału, który przed chwilą ich osądził. Spośród trzech oficerów, odgrywających rolę sędziów, dwaj — z tym samym pośpiechem, z jakim przyszli i wydali wyrok — odchodzą teraz do kompanii, nieprzerwanie napływających do Cansancao, by dołączyć do tych, które już rozłożyły się obozem w osadzie. Tylko Moreira Cesar stoi samotnie nad *corpus delicti*: dwiema strzelbami, skrzynką nabojów i woreczkiem prochu. Jeńcy nie tylko ukryli broń, ale zaatakowali i poranili żołnierza, który ich aresztował. Cała ludność Cansancao — wszystkiego kilkudziesięciu wieśniaków — stoi na placu za kordonem żołnierzy z obnażonymi bagnietami, broniącymi dostępu do więźniów.

— Dla takiego śmiecia nie było warto. — But pułkownika trąca strzelby. W jego głosie nie ma najmniejszej wrogości. Odwraca się do stojącego przy nim sierżanta i obojętnie, jakby pytał o godzinę, mówi: — Daj im gorzałki.

Tuż obok jeńców, zbici w gromadkę, milczący, osłupiali, wystraszeni, stoją korespondenci. Niektórzy są bez kapeluszy, osłaniają się od słońca chustkami. Spoza placu dobiega obozowa wrzawa: tupanie buciorów, tętent kopyt i rzenie, wrzaski rozkazów, szczęk broni i wybuchy śmiechu. Zdałoby się, że żołnierzy — tych, którzy dopiero nadchodzą i tych, którzy już odpoczywają — mało obchodzi, co tu się będzie działo. Sierżant odkorkował butelkę i podsuwa ją do ust skazańców. Obydwaj pociągają po sporym łyku.

— Chcę zginać od kuli, panie pułkowniku — prosi nagle ten młodszy. Moreira Cesar kręci głową.

— Nie będę tracił amunicji na zdrajców republiki — mówi. — Odwagi. Bądźże mężczyzną, człowieku.

Daje znak i dwaj żołnierze dobywają noży zza pasa. Podchodzą. Ich ruchy są precyzyjne, identyczne: lewą ręką chwytają skazańców za włosy, jednym szarpnięciem przeginają im głowy do tyłu i podrzynają gardła, jednocześnie, głębokim cięciem, które ucina w pół jęku zwierzęcą skargę młodego i rozpaczliwy okrzyk starego:

— Niech żyje Dobry Jezus Nauczyciel! Niech żyje Belo...! Żołnierze zwierają szeregi, jakby chcieli odciąć drogę mieszkańcom, chociaż ci nawet nie drgnęli. Ten i ów z

korespondentów spuścił oczy, inny patrzy zdruzgotany, a dziennikarz okularnik z „Jornal de Noticias” krzywi się z niesmakiem. Moreira Cesar spogląda na bezwładne ciała, zalane krwią.

— Wystawić ich na widok publiczny pod obwieszczeniem — mówi spokojnie.

I natychmiast, jakby już zapomniał o egzekucji, nerwowym, szybkim krokiem odchodzi przez plac do jednej z chałup, gdzie rozwieszono dlań hamak. Grupka dziennikarzy rusza za nim. Doganiają p.o. Idzie wśród nich, poważny, spokojny, blady, w odróżnieniu od korespondentów, poczerwieniałych ze spiekoty i wrażenia. Nie mogą dojść do siebie po wstrząsie, jakim był widok gardeł podrzynanych o kilka kroków od nich: sens pewnych słów, jak „wojna”, „okrucieństwo”, „los”, „cierpienie” — opuścił swe abstrakcyjne dominium, przybrawszy wymierny i dotykalny kształt, który odebrał im mowę. Dochodzą do drzwi chaty. Ordynans podsuwa pułkownikowi miednicę i ręcznik. Dowódca 7. Pułku obmywa ręce i odświeża twarz. Jeden z korespondentów, ten, który zawsze chodzi opatulony, jąka:

— Można podać do wiadomości tę egzekucję, pułkowniku? Moreira Cesar nie słyszy albo nie raczy słyszeć.

— W gruncie rzeczy człowiek boi się tylko śmierci. — Wyciera się i mówi bez patosu, swobodnie, a korespondentom wydaje się, że uczestniczą w jednej z pogawędek, jakie po nocach wiedzie ze swymi oficerami. — Dlatego jest to jedyna skuteczna kara. Pod warunkiem, że stosuje się ją sprawiedliwie. Służy ku nauce ludności cywilnej i demoralizuje wroga. To brzmi twardo, wiem. Ale tak wygrywa się wojny. Dziś, panowie, przeszliście swój chrzest bojowy. Już wiecie, jak to jest.

Żegna ich krótkim, lodowatym skinieniem głowy, w którym nauczyli się rozpoznawać nieodwołalny koniec rozmowy. Odwraca się i wkracza do chaty: przez drzwi zdążyli dojrzeć krzątanicę mundurów, rozpostartą mapę i garstkę adiutantów, którzy stukają obcasami. Speszeni, przygnębieni, zagubieni wracają przez plac do namiotu kuchni polowej, gdzie na każdym postoju otrzymują rację żywności i wody, taką samą jak racje oficerów. Ale dziś na pewno nie przełkną ani kęsa.

Cała piątka jest bardzo zmęczona tempem marszu kolumny. Nogi mają poobijane i zeszywniałe, a skórę spaloną słońcem tej najeżonej kaktusami i krzewami faveli, piaszczystej pustyni, która oddziela Queimadas od Monte Santo. Zastanawiają się, jak wytrzymują żołnierze piechoty — ogromna większość pułku. A wielu nie wytrzymuje: widzieli, jak wałęsali się z nóg, a potem rzucający się jak bezwładne toboły na wozy korpusu sanitarnego. Teraz już wiedzą, że ci wyczerpani żołnierze, gdy tylko dojdą do siebie, otrzymują surową naganę. „Czy tak wygląda wojna?” — myśli dziennikarz okularnik. Przed egzekucją bowiem nie widzieli nic, co by ją przypominało. Dlatego nie rozumieją, dlaczego dowódca 7. Pułku tak bezwzględnie zmusza swoich ludzi do pośpiechu. Czyżby to była gonitwa za cieniem? Skąd te pogłoski o gwałtach popełnianych przez jaguncos w interiorze? Gdzie są? jak dotąd, mijają tylko na wpol wyludnione wioski, których uboga ludność obojętnie patrzy na ich przemarsz, a na wszelkie pytania udziela wymijających odpowiedzi. Nikt nie atakował kolumny, nikt nie strzelał do żołnierzy. Czy aby na pewno zaginione bydło zostało /rabowane przez wroga, jak zapewnia Moreira Cesar? Ów człowiek, drobny i gwałtowny, nie zdobył ich sympatii, ale imponuje pewnością siebie, wytrzymałością na bezsenność i głód i energią, która nie opuszcza go ani na chwilę. Kiedy nocami owijają się w pledy, by zapaść w niespokojny sen, widzą go jeszcze na nogach, jak w dopiętym na ostatni guzik mundurze krąży wśród szeregów żołnierzy, przystaje, żeby zamienić kilka słów z wartownikami lub prowadzi dyskusje ze sztabem. O świcie zaś, kiedy dźwięczy trąbka pobudki, a oni, pijani snem, otwierają oczy, on już tu jest, świeży i wygolony, odbiera meldunki zwiadowców albo dokonuje przeglądu artylerii, jakby w ogóle nie kładł się spać. Aż do egzekucji, która odbyła się przed chwilą, on był dla nich wojną. Jedyiny spośród wszystkich mówił o niej bez przerwy i z tak niezbitą



pewnością, że ich także zdołał przekonać: widzieli ją wokół siebie, czuli się jak w oblężeniu. Wmówił im, że wielu z tych zuchwałych, wygłodniałych ludzi — jak choćby ci dwaj skazańcy — którzy wychodzą popatrzeć na przemarsz żołnierzy, jest w zмовie z wrogiem; że przyczajeni za apatią swych spojrzeń liczą, oceniają, kalkulują, rejestrują, a zdobyte w ten sposób informacje wyprzedzają żołnierzy w marszu do Canudos. Dziennikarz okularnik przypomina sobie, że stary wzniosł przed śmiercią okrzyk na cześć Nauczyciela, i myśli: „Bardzo możliwe, że to prawda. Bardzo możliwe, że wszyscy są wrogami”.

Tym razem, inaczej niż na poprzednich postojach, żaden z korespondentów nie kwapi się do drzemki. Tkwią, solidarni w swoim przygnębieniu, przed namiotem kuchni polowej, pogrążeni w myślach, a dziennikarz z „Jornal de Noticias” nie odrywa oczu od ciał wieśniaków, leżących u stóp drzewa z podrygującym na wietrze obwieszczeniem, do którego się nie zastosowali. W godzinę później znów zdążają na czele kolumny, za sztandarami i pułkownikiem Moreirą Cesarem, ku owej wojnie, która dla nich — teraz tak — już się zaczęła.

Druga niespodzianka czeka ich, zanim dotrą do Monte Santo, na skrzyżowaniu, gdzie nieczytelny drogowskaz wskazuje boczną drogę do fazendy Calumbi; kolumna przybywa tam w sześć godzin po podjęciu marszu. Z piątki korespondentów jedynie chuderławy strach na wróble z „Jornal de Noticias” będzie naocznym świadkiem tego wydarzenia. Pomiędzy nim i dowódcą 7. Pułku zaistniała dziwna więź, którą trudno by nazwać przyjaźnią lub choćby sympatią. Jest to raczej ciekawość zrodzona z wzajemnej odrazy, przyciąganie się dwóch przeciwnych biegunów. Faktem jest jednak, że człowiek, który wygląda jak karykatura samego siebie, i to nie tylko wówczas, kiedy pisze na tym swoim niedorzecznym pulpicie, opartym na kolanach albo łęku siodła, i macza pióro w tym swoim przenośnym kałamarzu, przypominającym naczynia, w jakich caboclos na polowaniu trzymają truciznę do strzał, ale także wtedy, kiedy idzie lub jedzie konno, zawsze sprawiając wrażenie, że za chwilę się rozsypie, zdaje się pochłonięty, urzeczony, opętany drobną postacią pułkownika. Nie spuszcza zeń oka, nie traci żadnej okazji, żeby się do niego zbliżyć, a w jego rozmowach z kolegami Moreira Cesar jest jedynym tematem, który obchodzi go naprawdę, bardziej — można by sądzić — niż Canudos i wojna. A co takiego mogło w pułkowniku wzbudzić zainteresowanie młodym dziennikarzem? Może ekscentryczność stroju i wyglądu, ta mizerność postury, ta dysproporcja członków, ta mnogość włosów i włosków, te długie paznokcie, teraz czarne od brudu, te rozlazłe ruchy, ta całość, w której nie ma nic, co pułkownik mógłby nazwać żołnierską męskością. A jednak jest coś w tej koślawej figurze o odpychającym głosie, coś, co uwodzi — być może wbrew jego własnej woli — małego oficera o niewzruszonych zasadach i energicznych oczach. To do niego się zwraca, rozmawiając z korespondentami, bywa też, że rozmawia z nim na osobności, po wieczornym posiłku. W marszu okularnik, jakby z inicjatywy swego wierzchowca, wysforowuje się zwykle naprzód i dogania pułkownika. Tak właśnie było i tym razem, gdy kolumna opuściła Cansancao. Telepiąc się w siodle jak kukła, wmieszał się w grupkę oficerów i ordynansów otaczając — cych białego konia Moreiry Cesara. Dojechawszy na rozstaje, skąd odchodzi droga do Calumbi, pułkownik podnosi w górę prawą dłoń, co oznacza „Stój!”. Łącznicy rozbiegają się, niosąc rozkazy, a trębacz daje sygnał, który zatrzymuje wszystkie kompanie pułku. Moreira Cesar, Olimpio de Castro, Cunha Matos i Tamarindo zsiadają z koni; dziennikarz zsuwa się niezdarnie na ziemię. W tyle korespondenci i żołnierze oplukują twarze, ramiona i stopy w kałuży stojącej wody. Major i Tamarindo studiują mapę, a Moreira Cesar obserwuje widnokrąg przez lornetkę. Słońce znika za jakąś górą, odległą i samotną — to Monte Santo — nadając jej widmowe kształty. Chowa lornetkę i blednie. Znać po nim napięcie.

— Coś pana niepokoi, pułkowniku? — pyta kapitan Olimpio de Castro.

— Czas — Moreira Cesar mówi, jakby miał coś w ustach. — Uciekną, zanim dojdziemy.

— Nie uciekną — odpowiada dziennikarz okularnik. — Wierzą, że Bóg jest po ich stronie. Tutejsi ludzie lubią się bić.

— Jak wróg ucieka, krzyżyk na drogę — żartuje kapitan.

— Nie w tym wypadku — mówi pułkownik z wysiłkiem. — Trzeba im dać nauczkę, która położy kres mrzonkom monarchistów i pomści zniewagę armii.

Mówiąc, robi tajemnicze pauzy między sylabami, głos mu się rwie. Otwiera usta, żeby jeszcze coś dodać, ale już tego nie robi. Jest siny, źrenice ma rozbiegane. Siada na zwalonym pniu i powolnym ruchem zdejmuje czapkę. Dziennikarz z „Jornal de Noticias” również zamierza usiąść, ale widzi, że Moreira Cesar obejmuje rękami głowę. Czapka spada na ziemię, a pułkownik, z twarzą nabiegłą krwią, zrywa się jednym skokiem, zatacza się, gwałtownymi szarpnięciami wyrywa guziki koszuli, jakby się dusił. Jęczy, tocząc pianę z ust, pada w ataku drgawek pod nogi kapitana Olimpia de Castro i dziennikarza, którzy stoją bezradnie. Kiedy się nad nim pochylają, już biegną do nich Tamarindo, Cunha Matos i kilku ordynansów.

— Nie dotykać go! — krzyczy pułkownik Tamarindo, gestykulując gwałtownie. — Szybko, koc! Zawołajcie doktora Souza Ferreiro! Nie zbliżać się! Do tyłu, do tyłu!

Major Cunha Matos odpycha szturchańcami dziennikarza. Z grupką ordynansów rusza w stronę korespondentów, odpędzając ich bez pardonu. Inni w tym czasie okrywają kocem Moreirę Cesara, a Olimpio de Castro i Tamarindo zwijają swoje kurtki i podkładają mu pod głowę zamiast poduszki.

— Otworzyć mu usta i wyciągnąć język — rozkazuje stary pułkownik, doskonale zorientowany, co trzeba zrobić. Odwraca się do dwóch łączników i każe rozbić namiot.

Kapitan siłą rozwiera szczęki Moreiry Cesara. Konwulsje nie ustają. Doktor Souza Ferreiro zjawia się wreszcie razem z wozem korpusu sanitarnego. Namiot już stoi. Moreira Cesar leży na połowym łóżku. Tamarindo i Olimpio de Castro stoją u wezgłowia, na zmianę podważają zaciśnięte zęby pułkownika i okrywają go kocem. Z twarzą mokrą od potu, z zamkniętymi oczami, niespokojny, wydając urywane jęki, chory co chwila bryzga pianą. Doktor i pułkownik Tamarindo krzyżują spojrzenia i nie zamieniają ani słowa. Kapitan melduje, jak przebiegał atak i jak długo trwa, a tymczasem Souza Ferreiro zdejmuje kurtkę i pokazuje na migi adiutantowi, jak ma przesunąć łóżko. Oficerowie wychodzą z namiotu, żeby lekarz mógł swobodnie zbadać pacjenta.

Kordon uzbrojonych wartowników oddziela namiot od reszty kolumny. W pobliżu, podglądając przez luki w szeregu karabinów, kręcą się korespondenci. Zasykali pytaniami dziennikarza okularnika, który już zdążył im opowiedzieć, co widział. Między wartownikami a obozowiskiem rozciąga się ziemia niczyja, gdzie nie wchodzi żaden oficer ani żołnierz, chyba że wezwany przez majora Cunchę Matosa. Ten przecha-dza się tam i z powrotem z rękami splecionymi na plecach. Pułkownik Tamarindo i kapitan Olimpio de Castro podchodzą do niego i korespondenci widzą, jak razem krążą wokół namiotu. Ich twarze pogrążają się w mroku, w miarę jak dogasa wielkie ognisko zmierzchu. Co chwila Tamarindo znika w namiocie, a kiedy pojawia się ponownie, wszyscy trzej wznawiają swój okrężny spacer. Mija w ten sposób wiele minut, może pół godziny, może godzina, bo kiedy kapitan de Castro rusza nagle w stronę korespondentów i macha, żeby dziennikarz z „Jornal de Noticias” poszedł za nim, zapłonęły już ogniska, a gdzieś z tyłu dźwięczy trąbka na capstrzyk. Wartownicy przepuszczają okularnika, a kapitan prowadzi go do pułkownika Tamarindo i majora.

— Pan zna okolicę, może pan nam pomóc — mówi Tamarindo bez właściwego mu dobrodusznego tonu, jakby przezwyciężając głęboką niechęć do mówienia o tych sprawach z kimś obcym. — Doktor nalega, żeby pułkownika przeniesiono w miejsce, gdzie będzie miał pewne wygody i dobrą opiekę. Czy jest tu w pobliżu jakaś fazenda?

— Pewnie, że jest — słychać cienki dyszkancik. — Pan wie o tym równie dobrze jak ja.

To znaczy oprócz Calumbi — poprawia się pułkownik Tamarindo, zły na siebie. — Pułkownik kategorycznie odrzucił zaproszenie barona i propozycję zakwaterowania pułku w jego domu. To nie jest miejsce stosowne dla niego.

Nie ma tu żadnej innej fazendy — mówi ostro dziennikarz okularnik, wpatrując się w półmroku w połowy namiot, z którego sączy się zielonkawa poświata. Wszystko, co można objąć wzrokiem od Cansancao do Canudos, należy do barona de Cañabrava.

Pułkownik patrzy na niego zgnębiony. W tym momencie z namiotu wychodzi doktor Souza Ferreiro, wycierając ręce. Jest to mężczyzna o siwiejących skroniach, z wielkimi kątami mądrości na czole; nosi mundur. Oficerowie podchodzą do niego, zapomniawszy o dziennikarzu, który korzysta z okazji i też wysuwa głowę, beczelnie wlepiając w nich oczy, wyołbrzymione szklami okularów.

— Fizyczne i nerwowe wyczerpanie ostatnich dni — gdera doktor, wkładając do ust papierosa. — Że też po dwóch latach musiało się to powtórzyć akurat teraz. To pech, robota diabła, a zresztą, czy ja wiem... Puściłem mu krew, żeby usunąć zator. Ale konieczne są kąpiele, nacierania, cała kuracja. Decyzja należy do panów.

Cunha Matos i Olimpio de Castro patrzą na pułkownika Tamarindo, który chrząka i milczy.

— Nalega pan, żebyśmy przewieźli go do Calumbi, wiedząc, że jest tam baron? — mówi w końcu.

— Nie mówiłem o Calumbi — odpowiada Souza Ferreiro. — Mówiłem o tym, czego potrzeba pacjentowi. I proszę mi pozwolić dodać coś jeszcze: nie odważyłbym się trzymać go tutaj, w takich warunkach.

— Zna pan pułkownika — wtrąca Cunha Matos. — W domu jednego z przywódców monarchistycznego przewrotu będzie się czuł znieważony, upokorzony, obrażony.

Doktor Souza Ferreiro wzrusza ramionami.

— Podporządkuję się pańskiej decyzji. Jestem podwładnym. Nie na mnie spadnie odpowiedzialność.

Jakiś ruch za ich plecami sprawia, że czterej oficerowie i dziennikarz oglądają się na połowy namiot. U wejścia stoi Moreira Cesar, widoczny w słabym świetle płonącej wewnątrz lampy. Rycząc coś, czego nie mogą zrozumieć, na wpół rozebrany, obiema rękami trzyma się brezentu, a na jego piersiach widać jakieś nieruchome, ciemne kształty, zapewne pijawki. Ustał na nogach tylko przez kilka sekund. Widzą, jak pada z jękiem. Doktor przykleka, żeby rozewrzeć mu szczęki. Oficerowie chwytają dowódcę za nogi, ramiona, plecy, aby dźwignąć go znowu na składane łóżko.

— Biorę na siebie odpowiedzialność za przewiezienie go do Calumbi — mówi kapitan Olimpio de Castro.

— W porządku — godzi się Tamarindo. — Będzie pan eskortował doktora. Ale pułk zostanie. Będziemy obozować tutaj.

— Mogę iść z nimi, kapitanie? — rozlega się w półmroku natrętny głos dziennikarza okularnika. — Znam barona. Pracowałem w jego gazecie, zanim objąłem posadę w „Jornal de Noticias”.

Zostali w Ipujiara jeszcze dziesięć dni po odjeździe konnych capan-gas, którzy za cały łup uwieźli ze sobą czerwoną czuprynę. Cudzoziemiec powoli przychodził do siebie. Pewnej nocy Brodaczka usłyszała, jak, w łamanej portugalszczyźnie rozmawia z Juremą, pyta, co to za kraj, jaki *jest* miesiąc, jaki *dzień*. Następnego wieczoru zwał się z wozu i postawił kilka chwiejnych kroków. A po upływie dwóch nocy— bez gorączki, wychudzony, pełen animuszu— sterczał już przed ladą, zanudzając sklepikarza (który patrzył ubawiony na jego czaszkę) pytaniami o Canudos i o wojnę. Upewniał się wielokrotnie, z pewnym rodzajem obłądu, że wojsko z Bahii, pół tysiąca ludzi pod wodzą majora Febronia de Brito, zostało pobite pod Cambaio. Nowina ta wprawiła go w takie podniecenie, że Jurema, Brodaczka i Karzełek pomyśleli, że znowu zaczną bredzić w swoim dziwacznym języku. Ale Galileo, trąciwszy się ze sklepikarzem szklaneczką cacha-cy, zapadł w głęboki sen, który trwał dziesięć godzin.

Na prośbę Galla ruszyli dalej. Cyrkowcy woleliby zostać jeszcze w Ipujiara, gdzie marnie, bo marnie, ale mogli się wyżywić, zabawiając mieszkańców opowieściami i kuglarstwem. Ale cudzoziemiec bał się powrotu capangas, tym razem — po jego głowę. Odzyskał siły i perorował z taką werwą, że Brodaczka, Karzełek, a nawet Głupek słuchali go w osłupieniu. Odgadywali zapewne część z tego, co mówił, a najbardziej intrygowała ich jego obsesja na punkcie jaguncos. Brodaczka zapytała Juremę, czy on też jest jednym z apostołów Dobrego Jezusa, których tylu wędruje po świecie. Nie, nie był w Canudos, nie zna Nauczyciela, w Boga nie wierzy. Jurema również nie rozumie tej manii. Kiedy Gall powiedział im, że wyrusza na Północ, Karzełek i Brodaczka postanowili iść razem z nim. Nie umieli wytłumaczyć dlaczego. Może powodem było swoiste prawo ciężenia — ciała silne zawsze przyciągają słabe — albo po prostu nie mieli nic lepszego do roboty, żadnego wyboru, żadnej woli, jaką mogliby przeciwstawić woli tego, kto w odróżnieniu od nich zdawał się mieć wytyczoną drogę życia.

Wyruszyli o świcie i maszerowali cały dzień w milczeniu, pośród kamieni i ostrych jak brzytwa mandacarusów: na przedzie wózek, po bokach Brodaczka, Karzełek i Głupek, z tyłu Jurema uczepiona kół, a na końcu karawany — Galileo Gall. Dla ochrony przed słońcem włożył kapelusz, który przedtem nosił Olbrzym Pedrin. Zmizerniał, spodnie mu opadały, koszula wisiała jak na kiju. Palące muśnięcie kuli pozostawiło mu sinoczerwoną smugę za uchem, a nóż Kajfasza — krętą bliznę między szyją i barkiem. Chudość i bladość jakby podsycaly jeszcze buntowniczy płomień jego oczu. Czwartego dnia marszu, na zakręcie drogi, w miejscu zwanym Kwiatowym Polem, natknęli się na zgraję wygłodniałych mężczyzn, którzy zabrali im osła. Cyrkowcy przedzierali się przez zagajnik ostów i mandacarusów, przecięty korytem wyschniętego strumienia. W oddali majaczyły grzbiety gór Engorda. Bandytów było ośmiu: kilku z nich miało skórzane ubrania, kapelusze naszywane monetami, noże, karabiny i wstęgi ładownic. Szef, mały i brzuchaty, o profilu drapieźnego ptaka i okrutnych oczach, zwał się Twardobrody, chociaż żadnej brody nie nosił. Wydał parę lakonicznych poleceń: jego ludzie raz-dwa zarżnęli osła, poćwiartowali go, ściągnęli skórę, a mięso upiekli. Musieli głodować wiele dni, bo rzucili się chciwie na jadło, a niektórzy zaczęli podśpiewywać, uszczęśliwieni niespodziewaną ucztą.

Galileo obserwował ich i myślał, ile też czasu upłynie, zanim zwierzęta i wiatr zamienią osłe ściervo w stos wypolerowanych kości — widok, do jakiego przywykł już w sertonie: szkielety — ślad, wspomnienie człowieka lub zwierzęcia — pouczające wędrowca o jego losie, jeśli podda się słabości lub śmierci. Siedział na wozie obok Brodaczki, Karzełka,

Głupka i Juremy. Twardobrody zdjął kapelusz, spięty z przodu błyszczącym funtem szterlingiem, i skinął na cyrkowców, zapraszając ich do jedzenia. Pierwszy ośmielił się Głupka: uklęknął i zanurzył palce w wonnym dymie. W jego ślady poszła Brodaczka, za nią Karzełek i Jurema. Wkrótce zajadali ze smakiem, wmieszani w gromadę bandytów. Gall podszedł do ogniska. Ogorzały od wiatru, spalony słońcem, wyglądał jak prawdziwy sertanero. Od chwili, gdy zobaczył, że Twardobrody zdejmuje kapelusz, nie odrywał wzroku od jego głowy. Wpatrywał się w nią bez przerwy, nawet wówczas, gdy podnosił do ust pierwszy kęs. Kiedy spróbował przełknąć, dostał ataku torsji.

— Może jeść tylko papkę — wyjaśniła Jurema mężczyznom. — Był chory.

— Jest cudzoziemcem — dodał Karzełek. — Mówi językami.

— Patrzy na mnie jak na wroga — warknął szorstko bandyta. — Nie gap się, przeszkadzasz mi.

Bo nawet wymiotując, Gall nie przestawał przyglądać mu się badawczo. Wszyscy obejrzeni się na nich. Galileo, nie odrywając oczu, postąpił kilka kroków, aż stanął obok Twardobrodego.

— Tylko twoja głowa mnie interesuje — powiedział bardzo powoli. — Pozwól mi jej dotknąć.

Zbój podniósł dłoń do noża, jakby chciał zaatakować. Gall uśmiechnął się pojednawczo.

— Pozwól mu — mruknęła Brodaczka. — Powie ci, jaki jesteś.

Bandyta przyjrzał się Gallowi z ciekawością. W ustach trzymał niedożuty kawałek mięsa.

— Jesteś uczony? — zapytał, a okrucieństwo wyparowało nagle z jego oczu.

Gall znów się uśmiechnął i postąpił jeszcze jeden krok, niemal otarł się o niego. Był wyższy od cangaceiro, którego szczeciniasta głowa ledwie sięgała mu do ramienia. Cyrkowcy i bandyci patrzyli zaintrygowani. Twardobrody wciąż trzymał dłoń na rękojeści noża. Był czujny i zaciekawiony zarazem. Galileo podniósł obie ręce, położył je na głowie Twardobrodego i zaczął ją obmacywać.

— Kiedyś chciałem być uczniem — sylabizował, podczas gdy jego palce poruszały się powoli, rozgarniając gęstwą kudłów i badając ze znawstwem owłosioną skórę. — Policja nie dała mi na to czasu.

— Lotne oddziały? — ze zrozumieniem powiedział Twardobrody.

— W tym jesteśmy do siebie podobni — mówił Gall. — Mamy wspólnego wroga.

Małe oczka Twardobrodego nagle napełniły się trwogą, jakby poczuł się osaczony bez ratunku.

— Chcę wiedzieć, jak umrę — wyszeptał, przewyciężając się.

Palce Galla rozgrzebywały włosy bandyty, zatrzymując się na dłużej w okolicy uszu. Był bardzo poważny, oczy błyszczały mu gorączką, jak w transie. Nauka nie myliła się: organ Agresji, właściwy ludziom skłonny do gwałtu, rozkoszującym się walką, nieujarzmionym ryzykantom, wychodził na spotkanie jego palców, krągły, zuchwały, na obu półkulach. Za nim, jeszcze lepiej wyczuwalny, guz Destrukcji, guz mściwych, niepohamowanych, bezlitosnych, który stwarza wielkich okrutników, jeśli nie równoważy go potęga etyki i rozumu, wybrzuszał się nad małżowinami uszu, nienaturalnie wielki: dwa twarde, rozpalone

nabrzmienia. „Człowiek drapieżnik”, pomyślał.

— Głuchy jesteś?! — ryknął Twardobrody, odskakując gwałtownie, aż zachwiał się na nogach. — Jak umrę?!

Gall przepraszająco potrząsnął głową.

— Nie wiem — powiedział. — Tego nie ma w twoich kościach. Mężczyźni z bandy rozproszyli się, wygrzebując z żaru resztki mięsa. Ale cyrkowcy zostali obok Galla i zamyślnego Twardobrodego.

— Kiedy nie śpię — rzekł ów z powagą — niczego się nie boję. Ale w nocy jest inaczej. Często widzę własnego kościotrupa. Jakby na mnie czekał, wiesz?

Machnął z niechęcią ręką, przejechał dłonią po ustach, splunął. Widać było, że dręczy go jakiś niepokój. Milczeli, słuchając brzęczenia much, os i gzów nad szczątkami osła.

— To nie jest nowy sen — dodał bandyta. — Śnił mi się, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, w Cariri, na długo zanim przywędrowałem do Bahii. I potem, kiedy chadzałem z Pajeu, też. Czasami mija wiele lat i nic. Aż tu nagle znowu, co noc.

— Pajeu? — powiedział Gall, zerkając niespokojnie. — Ten z blizną? Ten...?

— Pajeu — przytaknął cangaceiro. — Byłem z nim pięć lat i ani razu się nie sprzeczaaliśmy. Bił się najlepiej ze wszystkich. Spotkał anioła, nawrócił się. Teraz jest wybrańcem Boga, tam, w Canudos.

Wzruszył ramionami, jakby nie mógł zrozumieć albo jakby nic go to nie obchodziło.

— Byłeś w Canudos? — zapytał Gall. — Opowiedz mi. Co tam się dzieje? Jak tam jest?

— Słyszysz się różne rzeczy — powiedział Twardobrody i splunął. — Podobno zabili żołnierzy jakiegoś Febronia. Powiesili ich na drzewach. Jeżeli ciało nie jest pochowane, porywa je Zły. Przynajmniej tak mówią.

— Mają broń? — nalegał Gall. — Wytrzymają drugi atak?

— Wytrzymają — mruknął Twardobrody. — Nie sam jeden Pajeu tam jest. Joao Mnich, Taramela, Joaquim Macambira z synami, Pedrao. Najgorsze zabijaki z okolicy. Nienawidzili się, mordowali, a teraz są braćmi i walczą za Nauczyciela. Pójdą do nieba, chociaż narobili wiele zła. Nauczyciel im przebaczył.

Brodaczka, Karzełek, Głupek i Jurema usiedli na ziemi i słuchali jak urzeczeni.

— Wszystkich pątników Nauczyciel całuje w czoło — dodał Twardobrody. — Aniołek każe im uklęknąć, a Nauczyciel podnosi ich i całuje. To pocałunek wybranych. Ludzie płaczą ze szczęścia. Już jesteś wybrany, wiesz, że pójdziesz do nieba. Co znaczy śmierć po czymś takim?

— Ty też powinieneś być w Canudos — powiedział Gall. — To także twoi bracia. Walczą, żeby niebo zeszło na ziemię. Żeby zniknęło to piekło, którego tak się boisz.

— Nie boję się piekła, tylko śmierci — sprostował Twardobrody bez złości. — A raczej koszmaru, snu o śmierci. To co innego, wiesz? — Splunął znowu z wyrazem udręki na twarzy. Nagle zwrócił się do Juremy, pokazując na Galla: — Czy twojemu mężowi nigdy nie śni się kościotrup?

— To nie jest mój mąż — odpowiedziała Jurema.

Joao Wielki wpadł do Canudos biegiem. W głowie mu huczało i z każdą sekundą

wydawał się sobie bardziej niegodny odpowiedzialności, jaką przed chwilą obarczono właśnie jego — nędznika, grzesznika, którego kiedyś opętał Zły (ów lęk powracał doń jak pory roku). Zgodził się, nie może się cofnąć. W pobliżu pierwszych zabudowań przystanął, nie wiedząc, co robić. Miał zamiar pójść do Antonia Vi-lanovy, prosić go o pomoc w zorganizowaniu Gwardii Katolickiej. Ale teraz skołatane serce podpowiedziało mu, że bardziej od rad praktycznych potrzebuje wsparcia duchowego. Zmierzchało: wkrótce Nauczyciel wstąpi na wieżę. Jeżeli się pospieszy, może zastanie go jeszcze w Sanktuarium. Znowu ruszył biegiem przez kręte uliczki, w tłumie kobiet, dzieci i mężczyzn, którzy opuszczali swoje domy, chałupy, jaskinie, nory i płynęli jak co wieczór ku Świątyni Dobrego Jezusa, żeby wysłuchać nauk. Obok składu braci Vilanova zobaczył Pajeii z oddziałem około dwudziestu ludzi wyekwipowanych jak na długą drogę: zegnali się z rodzinami. Z trudem przedzierał się przez ciżbę wylewającą się na pusty plac przy kościołach. Ściemniało się, tu i tam migotały już naftowe latarnie.

Nauczyciela w Sanktuarium nie było: poszedł odprowadzić ojca Joaquina na drogę do Cumbe, a potem — z białym barankiem uwiązany na postronku i z pasterskim kijem w ręce — odwiedzał Domy Zdrowia, niosąc pociechę chorym i starym. Z powodu tłumu, który zawsze otaczał go zwartym murem, wędrowni świętego po Belo Monte z dnia na dzień były coraz bardziej uciążliwe. Tym razem towarzyszył mu Lew z Natuby i służebniczki z Chóru. Aniołek i Maria Quadrado zostali w Sanktuarium.

— Nie jestem godzien, Aniołku — rzucił od drzwi były niewolnik, dysząc ze zmęczenia. — Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

— Przygotowałem już przysięgę dla Gwardii Katolickiej — odparł Aniołek słodko. — Będzie surowsza od przysięgi pielgrzymów. Lew ją zapisał. — Podał mu kartkę, która zniknęła w czarnych łapskach. — Nauczysz się jej na pamięć. Każdy, kogo wybierzesz, przysięgnie przed tobą, a kiedy Gwardia Katolicka będzie już gotowa, przysięgną wszyscy w Świątyni i urządzimy procesję.

Maria Quadrado, która do tej pory stała w kącie izby, podeszła do nich ze ścierką i wiadrem wody.

— Usiądź, Joao — powiedziała ciepło. — Napij się, a potem cię umyję.

Murzyn usłuchał. Był tak wysoki, że na siedząco dorównywał wzrostem przełożonej Świętego Chóru. Pił chciwie. Był spocony i niespokojny; zamknął oczy, a Maria Quadrado zwilżała mu twarz, szyję i przyprószone siwizną kręcone włosy. Nagle wyciągnął rękę i ścisnął ramię świętej kobiety.

— Pomóż mi, matko Mario Quadrado — błagał, przejęty strachem. — Nie jestem godzien.

— Byłeś niewolnikiem człowieka — odpowiedziała, gładząc go jak dziecko. — Nie chcesz oddać się w niewolę Dobrego Jezusa? On ci pomoże, Joao Wielki.

— Przysięgam, że nigdy nie byłem republikaninem, że nie pogodzę się z wygnaniem cesarza ani z władzą Antychrysta — recytował Aniołek pobożnie. — Przysięgam, że nigdy nie uznaję ślubów cywilnych, rozdziału Kościoła od państwa ani dziesiętnego systemu miar. Przysięgam, że nie odpowiem na pytania spisu. Przysięgam, że nigdy więcej nie będę kradł, palił tytoniu, upijał się, zakładał o pieniądze ani żył w grzechu z kobietą. Przysięgam, że oddam życie za wiarę i Dobrego Jezusa.

— Nauczę się tego, Aniołku — wyjąkał Joao Wielki.

W tym momencie powrócił Nauczyciel, poprzedzany wielką wrza wą, która huczała

niecierpliwie po drugiej stronie drzwi także wów czas, gdy jego dostojna postać, trumienna i mroczna, przekroczyła próg Sanktuarium w asyście baranka, służebniczek i Lwa z Natuby podskakującego na swoich czterech łapach w niezdarnych piruetach Baranek podbiegł do Marii Quadrado i zaczął lizać jej stopy. Służebniczki przycupnęły w kącie pod ścianą. Nauczyciel podszedł do Joao Wielkiego. Murzyn klęczał, patrząc w ziemię. Wydawało się, że drży od stóp do głów. Już piętnaście lat był z Nauczycielem, a wciąż jeszcze czuł się wobec niego niczym, zwykłym śmieciem. Święty ujął jego twarz w obie dłonie i przemocą podniósł mu głowę. Pałace źrenice wbiły się w zalane łzami oczy byłego niewolnika.

— Ciągle cierpisz, Joao Wielki — szepnął.

— Nie jestem godzien cię bronić — zaszlochał Murzyn. — Zrób ze mną, co zechcesz. Jeżeli trzeba, zabij. Nie chcę, żeby coś ci się stało z mojej winy. Miałem w sobie diabła, ojczy, pamiętaj o tym.

— Ty utworzysz Gwardię Katolicką — odrzekł Nauczyciel. — Będziesz dowódcą. Wycierpiałeś wiele, cały czas cierpisz. Dlatego jesteś godzien. Ojciec powiedział, że sprawiedliwy obmyje ręce we krwi grzesznika. Jesteś teraz jednym ze sprawiedliwych, Joao Wielki.

Podał mu do ucałowania dłoni i z nieobecny spojrzaniem czekał aż Murzyn się wyplacze. W chwilę potem, odprowadzany przez nich wszystkich, znów wyszedł z Sanktuarium, aby wstąpić na wieżę i na uczać lud Belo Monte. Wmieszany w tłum, Joao Wielki słuchał, jak Nauczyciel modli się i opowiada o cudzie z wężem z brązu, którego Mojżesz sporządził na rozkaz Ojca, żeby uwolnić Żydów od plagi jadowitych gadzin, a każdy, kto na niego spojrzał, był uzdrowiony; i słuchał, jak prorokuje nową inwazję węży. Spadną na Belo Monte żeby wytępić wiernych Bogu. Ale ci, którzy dochowają wiary, nie umrą. Kiedy ludzie zaczęli rozchodzić się do domów, był już spokój. Przypomniał sobie, że wiele lat temu, w czasach wielkiej suszy Nauczyciel po raz pierwszy opowiedział im o tym cudzie i w sertonach, zagrożonych plagą grzechotników, stał się nowy cud. To wspomnienie dodało mu otuchy.

Kiedy zapukał do drzwi Antonia Vilanovy, był innym człowiekiem. Otworzyła Asunción Sardelinha, żona Honoria, a Joao zobaczył, że cała rodzina, razem z gromadką dzieci i pomocników obu braci, posiła się, siedząc za kontuarem. Zrobili mu miejsce, podali dymiącą miskę: Joao jadł, nie wiedząc, co zjada; czuł, że traci czas. Z roztargnieniem słuchał opowieści Antonia, jak to Pajeu wołał zamiast prochu zabrać ze sobą drewniane świstawki i zatrute strzały, mówiąc, że w ten sposób bardziej dokuczy żołnierzom. Murzyn przeżuwał i połykał, obojętny i głuchy na wszystko, co nie wiązało się z jego misją.

Po jedzeniu wszyscy rozeszli się spać: pokładli się w przyległych izbach, gdzie kto mógł — na podłodze, na pryczach, w hamakach i kocach rozwieszonych wśród półek i skrzyń. Dopiero wówczas, przy świetle lampy naftowej, Joao rozmówił się z Antoniem. Gadali długo, chwilami szeptem, chwilami głośno, chwilami zgodnie, chwilami gniewnie. W ciemnych kątach migotały błyszczące punkciki świetlików, które chmarą zlatywały się do izby. Antonio coraz to otwierał grubą księgę imion, zgonów i narodzin i wymieniał jakieś nazwiska. Ale Joao nie dawał mu spokoju. Wygładził kartkę, którą przez cały czas miętosił w palcach, podał mu ją i kazał przeczytać sobie kilka razy, aż zapamiętał wszystko. Kiedy Antonio Vilanova zasypiał, tak zmęczony, że nawet nie ściągnął butów, słyszał, jak były niewolnik, wciśnięty w kąt pod ladą, powtarza na głos słowa przysięgi ułożonej dla Gwardii Katolickiej przez Aniołka.

Nazajutrz rano synowie i pomocnicy braci Vilanova rozbiegli się po Belo Monte, obwieszczając wszystkim spotkanym na drodze ludziom, że każdy, kto nie boi się oddać życia



za Nauczyciela, może się starać o przyjęcie do Gwardii Katolickiej. Wkrótce kandydaci poczęli gromadzić się przed dawnym domem-fazendą, tarasując całe Campo Grande, jedyną prostą ulicę Canudos. Przyjmowali ich Joao Wielki i Antonio Vilanova, usadowieni na skrzynce towarów: kupiec sprawdzał, kim jest kandydat i od kiedy przebywa w osadzie, a Joao pytał go, czy gotów jest poświęcić wszystko, co ma, opuścić rodzinę, jak uczynili apostołowie Chrystusa, i przyjmując chrzest bojowy. Wszyscy zgadzali się z zapalem.

Pierwszeństwo mieli ci, którzy walczyli pod Uaua i Cambaio, odrzucono zaś każdego, kto nie umiał oczyścić lufy karabinu, nabić strzelby i ochłodzić przegrzanej broni. Odsyłano też z powrotem zbyt starych i zbyt młodych, niezdatnych do walki pomyślników i ciężarne kobiety. Nie przyjęto nikogo, kto dawniej był przewodnikiem lotnych oddziałów albo poborcą podatków, albo sporządzał listy przy spisie powszechnym. Co jakiś czas Joao Wielki prowadził grupkę wybranych na pusty plac i kazał, żeby atakowali go jak wroga. Tych, którzy się zawahali, odrzucał. Innym kazał bić się i tarmosić, żeby sprawdzić, czy są waleczni. Wieczorem Gwardia Katolicka liczyła osiemnastu ludzi, wśród nich znalazła się nawet jedna kobieta z bandy Pedrao, Joao Wielki przyjął od nich w sklepie przysięgę, a potem powiedział, żeby wrócili do domów pożegnać się z rodzinami, bo począwszy od jutra będzie się dla nich liczyć tylko Nauczyciel i jego bezpieczeństwo.

Następnego dnia selekcja szła szybciej, bo ludzie wybrani wczoraj pomagali Joao poddawać próbom ochotników i pilnowali porządku. Sardelinie tymczasem łamały sobie głowę nad tym, jak zdobyć błękitne chusty na opaski dla wybranych. Drugiego dnia Joao zaprzysiągł jeszcze trzydziestu, trzeciego — pięćdziesięciu, a po tygodniu miał blisko czterystu gwardzistów, w tym dwadzieścia pięć kobiet, które umiały strzelać, podkładać dynamit, władać nożem i maczetą.

Następnej niedzieli Gwardia Katolicka przeszła w procesji ulicami Canudos między podwójnym wałem ludzi, wśród zazdrości i oklasków tłumu. Uroczystość rozpoczęła się w południe: jak podczas wielkich świąt obnoszono po osadzie figury z kościoła Świętego Antoniego i nieukończonych jeszcze Świątyni, mieszkańcy wystawiali na próg święte obrazy trzymane po domach, puszczano sztuczne ognie, powietrze przesycone było kadzidłem i modlitwą. O zmroku w Świątyni Dobrego Jezusa, jeszcze nienakrytej stropem, pod kopułą nieba, na które wyległy gromady wczesnych gwiazd, jakby chciały popatrzeć na ich radość, gwardziści powtórzyli chórem przysięgę Aniołka.

A nazajutrz o świcie do Joao Mnicha przybiegł posłaniec od Pajeu z nowiną, że Wojsko Szatana liczy tysiąc dwustu ludzi i wiele armat, a jego wódz nosi przydomek Rzeźnika.

Szybkimi, pedantycznymi ruchami kończy Rufino przygotowania do nowej wyprawy, bardziej niebezpiecznej niż poprzednie. Zmienił koszulę i spodnie, w których pojechał na spotkanie z baronem do fa-zendy Pedra Vermelha, na inne, identyczne, zabrał maczetę, karabin, dwa noże i sakwę z jedzeniem. Rzuca okiem na izbę, miski, hamak, lawy, obrazek z Najświętszą Panią z Lapy. Jest wymizerowany, mruga bez przerwy. Ale już po chwili jego trójkątna twarz znów przybiera nieodgadniony wyraz. Sprawnymi ruchami czyni przygotowania. Kiedy kończy, podpala naftową lampą sprzęty, porozstawiane w rozmaitych miejscach. Chata zajmuje się ogniem. Bez pośpiechu idzie do drzwi, zabrawszy ze sobą tylko broń i sakwę. Na zewnątrz przykuca obok pustej zagrody i stamtąd kontempluje rozdmuchiwane słabym wiatrem płomienie, które trawią jego dom. Powoli jego także ogarnia chmura dymu. Krztusi się, wstaje. Zawiesza strzelbę na ban-dolecie, zatyka maczetę za pas, obok noży, zarzuca sakwę na ramię. Odwraca się i odchodzi, wiedząc, że nigdy nie wróci do Queimadas. Przechodząc obok stacji, nawet nie spostrzega transparentów zawieszonych na powitanie 7. Pułku i pułkownika Moreiry Cesara.

W pięć dni później, o zmierzchu, chudy, zwinny, zakurzony, wchodzi do Ipujiara. Nadłożył drogi, żeby oddać nóż, który pożyczył od Dobrego Jezusa: siedł po dziesięć godzin dziennie, odpoczywając tylko podczas najgęstszych ciemności i największego żaru. Jedzenie kupił tylko raz. Przez resztę dni sam zdobywał pożywienie, siłami lub kulą. W drzwiach sklepu rozsiadła się gromada starców: są tak podobni, że trudno ich odróżnić od siebie i wszyscy palą z tej samej fajki. Tropiciel podchodzi do nich, zdejmując kapelusz na powitanie. Znają go chyba, bo pytają, co słycać w Queimadas: chcą wiedzieć, czy widział żołnierzy i co się mówi o wojnie. Siada między nimi, opowiada, co wie, i wypytuje o ludzi z Ipujiara. Jedni nie żyją, inni odeszli na południe szukać szczęścia i pieniędzy, a dwie rodziny dopiero co wyruszyły do Canudos. Gdy się ściemnia, Rufino i starzy wchodzi do sklepu wypić szklaneczkę gorzałki. Po skwarze dnia nastął przyjemny chłód. Wówczas tropiciel w okrężnych słowach, jak każe obyczaj, naprowadza rozmowę na swoje sprawy. Nie mówi wprost, ale oni od początku wiedzieli, co go dręczy. Wypytuje ich, używając najbardziej bezosobowych zwrotów. Starzy słuchają, nie udając zdziwienia. Kiwiają głowami i mówią po kolei. Tak, byli tutaj, raczej widmo cyrku niż cyrk: zabiedzeni, aż trudno uwierzyć, że to ci sami, których w czasach dawnej świetności woził ze sobą Cygan. Rufino słucha uprzejmie, jak wspominają niegdysiejsze widowiska. W końcu, w chwili milczenia, zwraca ich do punktu wyjścia. Tym razem starcy, jakby oszczędzili, że dopełniono już rytuału grzeczności, mówią mu wreszcie to, czego przyszedł się dowiedzieć albo tylko potwierdzić: jak długo tu obozowali, jak Brodaczką, Karzełek i Głupek zarabiali na życie kuglarstwem i niezwykłymi opowieściami, jak cudzoziemiec w kółko pytał o jaguncos, jak przyjechali capangas, jak obcięli mu te jego czerwone włosy i jak wykradli ciało dzieciobójcy. On nie pyta, a oni nie wymieniają jej imienia, mówią tylko o cyrku i o cudzoziemcu. Ale ona, jej żywy cień, pojawia się w rozmowie, ilekroć mówią, jak tamten był pielęgnowany i karmiony. Wiedzą, że ten cień to żona Rufina. Wiedzą, a może odgadują, tak jak wiedzą lub odgadują, co powiedzieć, a co przemilczeć. Niby przypadkiem, kończąc rozmowę, Rufino upewnia się, w którą stronę odeszli cyrkowcy. Śpi w sklepiku na pryczy gospodarza, a o świcie rusza dalej swoim metodycznym truchcikiem.

Nie przyspieszając i nie zwalniając tempa, sylwetka Rufina przecina pejzaż, gdzie jedynym cieniem jest cień rzucany przez jego ciało, najpierw za nim, potem przed nim. Z napięciem w twarzy, ze zmrużonymi oczami, tropiciel idzie bez wahania, chociaż tu i ówdzie wiatr zatarł ślady. Ściemnia się, kiedy dochodzi do zagrody, górującej nad obsianym polem. Dzierzawca, jego żona i półnagie dzieciaki witają go jak dobrego znajomego. Je i pije razem z nimi, opowiada nowiny zasłyszane w Queimadas, Ipujiara i gdzie indziej. Rozmawiają o wojnie, o lęku, jaki budzi, o pielgrzymach, którzy przechodzą tędy w drodze do Canudos; roztrząsają możliwość końca świata. Dopiero potem Rufino pyta o cyrk i cudzoziemca bez włosów. Tak, byli tutaj i poszli dalej, ku górcom Olhos d'Água, żeby dostać się na szlak do Monte Santo. Kobieta pamięta zwłaszcza chudego mężczyznę bez zarostu, o żółtych oczach, który poruszał się jak zwierzę bez kości i bez powodu wybuchał śmiechem. Małżonkowie oddają Rufinowi własny hamak, a rano napełniają mu sakwę, nie przyjmując grosza zapłaty.

Sporą część dnia Rufino idzie, nie spotykając nikogo, przemierza truchcikiem równinę, ocienioną drzewami, w których dokazują stadka papug. Po południu raz i drugi mijają koziarzy: zamienia z nimi parę słów. Zaraz za Kwiatowym Polem, nazwanym tak chyba dla żartu, bo są tu tylko kamienie i spalona ziemia, zbacza z drogi do krzyża z patyków, obstawionego dokoła wystruganymi z drewna wo-tywnymi figurkami. Kapliczki pilnuje kobieta bez nóg, rozciągnięta na ziemi jak wąż. Rufino przyklęka, kobieta błogosławi go. Częstuje ją jedzeniem, rozmawiają. Nie wie, o kogo pyta, nie było ich tutaj. Przed odejściem Rufino zapala świeczkę, kłania się krzyżowi.

Przez trzy dni szuka śladu. Wypytuje wieśniaków i pastuchów, wreszcie dochodzi do wniosku, że zamiast iść do Monte Santo, zbczyli z drogi albo zaczęli się cofać. Może szukali jakiegoś jarmarku, bo już nie mieli co jeść? Krąży wokół Kwiatowego Pola, zatacza coraz szersze kręgi, pyta. Czy ktoś widział kobietę o zarośniętej

twarzy? A karzelka wysokiego na kilka piędzi? A głupka o giętkim ciele? A cudzoziemca o rudej, ogolonej czaszce, mówiącego językiem, który trudno zrozumieć? Odpowiedź zawsze brzmi: nie. Snuje domysły, zaszyty w przygodnych kryjówkach, A jeśli już go zabili albo umarł od ran? Schodzi do Tanquinho i wraca, nie natrafiwszy na ślad. Pewnego wieczoru, kiedy zrezygnowany układa się do snu, stają nad nim uzbrojeni ludzie, bezszelestni niby gromada duchów. Budzi go ucisk buta na piersi. Widzi mężczyzn, którzy oprócz karabinów mają maczety, noże, pasy z nabojami i drewniane świstawki. Nie są bandytami albo przynajmniej już nimi nie są. Z trudem udaje mu się ich przekonać, że nie szpieguje dla wojska, a od Queimadas nie widział żadnego żołnierza. Wojna jest mu tak bardzo obojętna, że myśli, iż kłamie. Ktoś przykładą mu nóż do gardła, lecz w końcu przesłuchanie zmienia się w zwykłą pogawędkę. Rufino spędza z nimi noc, słuchając opowieści o Antychryście, Dobrym Jezusie, Nauczycielu i Belo Monte. Dowiaduje się, że zabijali, porywali, kradli, żyli z dnia na dzień, ale teraz są święci. Mówią, że wojsko idzie przez kraj jak morowe powietrze: żołdacy Antychrysta konfiskują broń, zabierają mężczyzn i podrzynają gardła, jeżeli ktoś nie chce lżyć Chrystusa i pluć na krucyfik. Kiedy pytają, czy chce się do nich przyłączyć, Rufino odpowiada, że nie. Tłumaczy dlaczego, a oni ze zrozumieniem kiwają głowami.

Nazajutrz dociera do Cansancao, prawie równocześnie z wojskiem. Odwiedza znajomego kowala, który — zlany potem w snopach iskier tryskających spod młota — radzi, żeby zniknął stąd jak najprędzej, bo te diabły wcielone biorą ze sobą siłą wszystkich przewodników. Kiedy Rufino tłumaczy, o co mu chodzi, kowal także kiwa głową ze zrozumieniem. Tak, może mu pomóc. Niedawno przechodził tędy Twardobrody, on ich widział, opowiadał nawet o cudzoziemcu, który czyta z głów. Gdzie to było? Kowal mu tłumaczy i Rufino zostaje w kuźni. Rozmawiają do wieczora, a gdy zapada noc, opuszcza wioskę, niezauważony przez wartowników. W parę godzin później znowu spotyka apostołów z Belo Monte. Mówi im, że wojna doszła już do Cansancao.

Doktor Souza Ferreiro przecierał bańki spirytusem i podawał je baronowej Esteli, która obwiązała sobie głowę chustką, na kształt kornetu. Podpalała bańki i zręcznym ruchem stawiała je na plecach pułkownika. Leżał bez ruchu, w pościeli nieskalanej żadną zmarszczką.

— Tu, w Calumbi, wiele razy musiałam być lekarką i akuszerką — mówiła baronowa swoim dźwięcznym głosem, zwracając się do doktora, a może do chorego. — Ale baniek, prawdę mówiąc, nie stawiałam od lat. Czy bardzo pan przeze mnie cierpi, pułkowniku?

— Wcale, droga pani. — Moreira Cesar robił, co mógł, żeby ukryć zły humor, ale niezbyt mu się udawało. — Proszę przyjąć moje przeprosiny za ten najazd i przekazać je małżonkowi. To nie był mój pomysł.

— Pańska wizyta cieszy nas ogromnie. — Baronowa skończyła stawiać bańki i poprawiła poduszki. — Tak bardzo chciałam poznać bohatera z krwi i kości. Oczywiście wolałabym, żeby to nie choroba sprowadziła pana do Calumbi...

Głos miała uprzejmy, czarujący, płytki. Przy łóżku stał stolik, na nim fajansowe miski i miednice malowane w kolorowe pawie, bandaże, wata, słój na pijawki, szklane bańki i wiele rozmaitych flakoników. Do świeżego, czystego pokoju przez białe firanki wchodził świt. Sebastiana, pokojówka baronowej, stała bez ruchu przy drzwiach. Doktor Souza Ferreiro oczami, które zdradzały źle przespaną noc, popatrzył z troską na plecy chorego, upstrzone

szklanymi bańkami.

— Dobrze. Teraz poczekamy jakieś pół godziny, a potem kąpiel i nacieranie. Nie zaprzeczy pan, pułkowniku, że poczuł się pan lepiej: wróciły panu kolory.

— Kąpiel jest gotowa. Będę tu obok, gdyby panowie czegoś potrzebowali — powiedziała Sebastiana.

— Ja także jestem na pańskie rozkazy— pospieszyła zapewnić baronowa. — Teraz zostawiam panów samych. Ach, zapomniałam. Prosiłam doktora, żeby pozwolił panu wypić z nami herbatę, pułkowniku. Mój mąż pragnie pana powitać. Pan również jest zaproszony, doktorze. I kapitan de Castro, i tamten młodzieniec, taki oryginalny, jakże on się nazywa?

Pułkownik spróbował się uśmiechnąć, ledwie jednak małżonka barona de Cañabrava przekroczyła próg w towarzystwie Sebastiany, zgromił lekarza:

— Powiniennem pana rozstrzelać. To pan mnie wpakował w tę kabałę.

— Jeśli trafi pana apopleksja, będę musiał puścić krew i poleży pan w łóżku jeszcze jeden dzień. — Doktor Souza Ferreiro, pijany ze zmęczenia, opadł bezwładnie na bujany fotel. — A teraz proszę mi pozwolić odpocząć. Tylko pół godziny. I proszę się nie ruszać, z łaski swojej.

Dokładnie po upływie pół godziny otworzył oczy, przetarł powieki i zabrał się do zdejmowania baniek: odrywały się z łatwością, zostawiając na ciele sinoczerwone krążki. Pułkownik leżał na brzuchu z głową wtuloną w skrzyżowane ramiona i ledwie raczył otworzyć usta, kiedy wszedł kapitan Olimpio de Castro, żeby przekazać meldunek o ruchach kolumny. Souza Ferreiro zaprowadził Moreirę Cesara do łazienki, gdzie Sebastiana przygotowała już wszystko według jego wskazówek. Pułkownik rozebrał się — przy smagłej skórze ramion i twarzy jego rachityczne ciało wydawało się przeraźliwie białe — wszedł do kąpieli z kamienną twarzą i moczył się długą chwilę, zaciskając zęby. Potem doktor mocno natarł go spirytusem, obłożył gorczycą i zmusił do wdychania pary z ziół, wrzących nad płomieniem palnika. Kuracja odbywała się w milczeniu, ale gdy skończono inhalacje, pułkownik, chcąc rozładować atmosferę, mruknął, że ma uczucie, jakby praktykowano na nim czarnoksiężskie gusła. Souza Ferreiro odpowiedział, że trudno przeprowadzić granicę między nauką i magią. Zawarli pokój. W sypialni czekała na nich taca z owocami, świeżym mlekiem, bułeczkami, konfiturami i kawą. Moreira Cesar zjadł z apetytem i zasnął. Kiedy się obudził, było południe, a obok niego stał korespondent „Jornal de Noticias” z talią kart, proponując, że nauczy go gry w lombra, bardzo modnej wśród bahijskiej cyganerii. Grali, nie odzywając się do siebie, aż do chwili, gdy Souza Ferreiro, wymyty i ogolony, przyszedł powiedzieć pułkownikowi, że może wstać. Kiedy Moreira Cesar zszedł do salonu na kawę, zastał tam barona z małżonką, doktora, kapitana de Castro i dziennikarza okularnika, który jedyny nie mył się i nie przebierał od wczoraj.

Baron de Cañabrava podniósł się, by uścisnąć dłoń pułkownika. W obszernym pokoju, na biało-czerwonej posadzce, stały palisandrowe meble, wyplatane krzesła zwane „austriackimi”, stoliczki pod naftowe lampy i fotografie, oszklone serwantki pełne kryształów, porcelany i wyściełanych aksamitem gablotek z kolekcją motyli. Ściany zdobiły akwarele z życia wsi. Baron zapytał gościa o zdrowie. Wymienili grzeczności, z tym że fazender wczuł się w rolę lepiej niż oficer. Przez okna, otwarte na zmierzch, widać było kamienną kolumnadę wejścia, studnię, a po obu stronach wysadzanej tamaryndowcami i palmami alei stały dawne baraki niewolników, przekształcone w czworaki dla robotników rolnych. Sebastiana i jakaś inna służąca w kraciastym fartuchu roznosiły gościom imbryki, tacki, ciasta i herbatniki. Baronowa opowiadała doktorowi, dziennikarzowi i kapitanowi

Olimpiowi de Castro, z jakim trudem, całymi latami, zwozili do Calumbi meble i materiały na budowę domu, baron zaś pokazywał pułkownikowi zielnik, zwierając się, że w dzieciństwie chciał poświęcić się nauce i marzył, żeby całe życie spędzić w laboratoriach i salach wykładowych. Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, w końcu zajął się rolnictwem, dyplomacją, polityką — sprawami, które nigdy nie interesowały go w młodości. A pułkownik? Zawsze chciał zostać żołnierzem? Tak, kariera wojskowa była jego największym pragnieniem, odkąd zaczął robić użytek z rozumu, a może nawet wcześniej, daleko stąd, w małej paulistańskiej osadzie, gdzie przyszedł na świat, w Pindamonhangabie. Dziennikarz zostawił grupkę gości, skupionych wokół baronowej, i stanął obok nich, słuchając nachalnie.

— Ten młody człowiek zrobił mi nie lada niespodziankę, przyjeżdżając tutaj wraz z panem. — Baron uśmiechnął się i wskazał na okularnika. — Powiedział panu, że kiedyś pracował dla mnie? W tamtych czasach podziwiał Wiktora Hugo i chciał zostać dramaturgiem. Bardzo źle się wówczas wyrażał o dziennikarstwie.

— Pod tym względem się nie zmieniłem — ozwał się antypatyczny głosik.

— Gadanie! — wykrzyknął baron. — Pańskim właściwym powołaniem jest plotkografia, przeinaczanie, kalumnia i podstęp. Czy pan wie, pułkowniku, że ten chłopak był moim pupilem, a teraz, kiedy przeszedł do gazety mojego adwersarza, stał się najbezpieczniejszym z moich krytyków? Niech pan się strzeże, pułkowniku. Może być niebezpieczny.

Dziennikarz okularnik promieniał, jakby słuchał największych pochwał.

— Intelktualiści w ogóle są niebezpieczni — przytaknął Moreira Cesar. — Słabi, sentymentalni, potrafią wypaczyć najwspanialsze idee, usprawiedliwić najgorsze draństwo. Mogą być przydatni krajowi, ale trzeba ich trzymać krótko przy pysku, jak narowiste konie.

Dziennikarz okularnik wybuchnął śmiechem tak donośnym, że baronowa, doktor i Olimpio de Castro obejrzeni się w jego stronę. Sebastiana podawała herbatę. Baron wziął Moreirę Cesara pod rękę i podprowadził go do fotela.

— Mam dla pana drobny upominek. To taki zwyczaj sertonu: zawsze obdarowujemy naszych gości. — Wyjął omszałą flaszkę brandy. Pokazał etykietę i porozumiewawczo przymrużył oko. — Wiem, wiem, pan jest wrogiem Europy, ale przypuszczam, że dla brandy zrobi pan wyjątek.

Usiedli; baronowa podała pułkownikowi filiżankę herbaty i wrzuciła dwie kostki cukru.

— Moje karabiny są francuskie, a moje armaty niemieckie — powiedział Moreira Cesar tak poważnie, że wszyscy przerwali rozmowę. — Nie żywię nienawiści do Europy ani do brandy. Ale ponieważ nie pijam alkoholu, nie warto, żeby marnotrawił pan taki rarytas dla kogoś, kto nie umie go docenić.

— W takim razie proszę to zachować na pamiątkę — wtrąciła baronowa.

— Nienawidzę tutejszych posiadaczy ziemskich i angielskich kupców, którzy zatrzymali tę ziemię na etapie prehistorii — ciągnął pułkownik lodowato. — Nienawidzę tych, którym cukier droższy był od iudu Brazylii.

Baronowa bawiła gości z niewzruszonym spokojem, ale pan domu przestał się uśmiechać. Mimo to jego głos wciąż brzmiał serdecznie.

— A północnoamerykańskich kupców, których przyjmujecie na Południu z otwartymi rękami, interesuje naród czy kawa? — zapytał.

Moreira Cesar i na to miał gotową odpowiedź:

— Oni przynoszą ze sobą maszyny, technikę i pieniądze konieczne dla rozwoju Brazylii. Postęp bowiem to przemysł, praca, kapitał. Dowiodły tego Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. — I dodał, mrużąc swe lodowate oczy: — Właściciele niewolników nigdy tego nie rozumieją, baronie de Cañabrava.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, słychać było dzwonięcie łyżeczek w filiżankach i siorbnięcia dziennikarza okularnika, który pijąc, gulgotał, jakby płukał sobie gardło.

— Niewolnictwo zniosła monarchia, nie republika — przypomniała baronowa, radośnie uśmiechnięta, częstując gościa herbatnikami. — *A propos*, czy wiadomo panu, że w fazendach mojego męża niewolnicy zostali wyzwoleni już na pięć lat przed ogłoszeniem ustawy?

— Nie wiedziałem — odparł pułkownik. — Istotnie, to godne pochwały.

Uśmiechnął się z przymusem i wypił łyk herbaty. Napiętej atmosfery nie zdołały rozładować ani uśmiechy baronowej, ani nagłe zainteresowanie doktora Souzy Ferreiro kolekcją motyli, ani anegdota kapitana Olimpia de Castro o pewnym adwokacie z Rio, zamordowanym przez swą własną małżonkę. Sytuację pogorszył jeszcze komplement doktora:

— Tutejsi fazenderzy opuszczają majątki ze strachu przed jaguncos — powiedział. — Pan natomiast swoim powrotem do Calumbi wszystkim daje dobry przykład.

— Wróciłem, żeby oddać fazendę do dyspozycji 7. Pułku — rzekł baron. — Szkoda, że nie przyjęto mojej pomocy.

— Nikt by nie powiedział, widząc ten spokój tutaj, że wojna stoi za progiem — mruknął pułkownik Moreira Cesar. — Jaguncos nie tknęli pana nawet palcem. Ma pan szczęście.

— Pozory mylą — odparł baron, nie tracąc spokoju. — Wiele rodzin z Calumbi odeszło, plony zmniejszyły się do połowy. Po drugie, Canudos to przecież moja ziemia. Nikt w całej okolicy nie poniósł większej straty.

Baron zdołał jakoś ukryć gniew, wzbudzony słowami pułkownika, ale baronowa była nie do poznania, kiedy przemówiła ponownie:

— Przypuszczam, że pan nie bierze poważnie insynuacji, iż mój mąż dobrowolnie oddał Canudos w ręce bandytów — powiedziała z twarzą ściągniętą oburzeniem.

Pułkownik wypił kolejny łyk, nie potakując i nie zaprzeczając.

— A więc uwierzył pan w te oszczerstwa — mruknął baron. — Naprawdę sądzi pan, że pomagam obłąkanym heretykom, podpalaczom i złodziejom okradającym fazendy?

Moreira Cesar odstawił filiżankę na stół. Obrzucił barona lodowatym spojrzeniem i prędko przesunął językiem po wargach.

— Ci obłąkani strzelają do żołnierzy kulami dum-dum — wyskan— dowął, jakby bojąc się, że ktoś mógłby stracić choćby sylabę. — Ci podpalacze mają bardzo nowoczesne karabiny. Ci złodzieje wspierani są przez angielskich szpiegów. A kto, jeśli nie monarchiści, chciałby wznieść bunt przeciw republice?

Poblądł nagle, a filiżanka zaczęła drzeć w jego rękach. Wszyscy oprócz dziennikarza patrzyli w podłogę.

— Ci ludzie nie kradną, nie zabijają, nie podpalają, kiedy czują nad sobą ład, kiedy widzą, że na świecie panuje porządek, nikt bowiem bardziej niż oni nie potrafiłby uszanować społecznej hierarchii — powiedział baron stanowczo. — Ale republika zniszczyła nasz system prawami, które w życiu się nie sprawdzają. Zasadę posłuszeństwa zastąpiła zasada nieuzasadnionego entuzjazmu. Marszałek Floriano popełnił błąd, ponieważ idea społecznego bytu nie opiera się na entuzjazmie, ale na porządku.

— Czuje się pan niezdrowszy, pułkowniku? — przerwał doktor Souza Ferreiro, wstając z krzesła.

Ale jedno spojrzenie Moreiry Cesara osadziło go w miejscu. Zsinił na twarzy, czoło mu zwilgotniało, wargi sfiolutowiały, jakby je przed chwilą przygryzł. Zerwał się na równe nogi i rzekł do baronowej, cedząc przez zaciśnięte zęby:

— Proszę mi wybaczyć. Wiem, że moje maniery pozostawiają wiele do życzenia. Jestem prostym człowiekiem, wychowałem się w koszarach.

Wyszedł z salonu, zataczając się wśród mebli i oszklonych gablotek. Za plecami słyszał prostacki głos dziennikarza, proszącego o drugą filiżankę herbaty. Olimpio de Castro i korespondent „Jornal de Noticias” nie ruszyli się z miejsca, doktor jednak podążył za pułkownikiem i zastał go w łóżku. Dowódca 7. Pułku oddychał ciężko w napadzie duszności. Souza Ferreiro pomógł mu się rozebrać i podał lek na uspokojenie. „O świecie dołączamy do pułku — oświadczył Moreira Cesar — nie zniosę żadnej dyskusji na ten temat”. Co powiedział, poddał się kolejnej turze baniek i ponownie zanurzył w wannie lodowatej wody, z której wyszedł, trzęsąc się z zimna. Nacieranie terpentyną i gorczyczą rozgrzało go. Zjadł w sypialni, ale potem wstał i w szlafroku zszedł na kilka minut do salonu, by podziękować baronowi i baronowej za gościnę. Obudził się o piątej rano. Przy kawie zapewnił doktora Souzę Ferreiro, że nigdy nie czuł się lepiej, i przestrzegł dziennikarza okularnika — rozczochanego, ziewającego, niezupełnie jeszcze przytomnego — że jeśli w jakiegokolwiek gazecie ukaze się najmniejsza wzmianka o jego chorobie, natychmiast zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Wychodził już, kiedy zjawił się służący, który przekazał prośbę barona, by zaszedł do jego gabinetu. Wprowadził pułkownika do małego pokoju z wielkim drewnianym biurkiem, na którym poczesne miejsce zajmowała maszynka do obcinania cygar; dokoła stały półki pełne książek, a na ścianach wisiały noże, szpicruty, rękawice, skórzane kapelusze i ozdobna uprząż. Z okna, w słabym świetle poranka, widać było żołnierzy z eskorty, rozmawiających z dziennikarzem z Bahii. Baron był w szlafroku i kapciach.

— Mimo rozbieżności naszych poglądów uważam pana za patriotę, który Brazylii życzy jak najlepiej — powiedział na powitanie. — Nie, nie chcę zaskarbić sobie pańskiej sympatii tanim pochlebstwem. Nie zabiorę też panu wiele czasu. Po prostu muszę wiedzieć, czy armia, albo przynajmniej pan, pułkowniku, orientuje się w machinacjach moich politycznych przeciwników.

— Armia nie miesza się do lokalnych sporów — przerwał Moreira Cesar. — Przyjechałem do Bahii stłumić bunt, który zagraża republice. To wszystko.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

— O to właśnie chodzi w tej całej intrydze — powiedział baron. — Żeby wmówić stolicy, rządowi, armii, że tym zagrożeniem jest Canudos. To biedota, skąd im do nowoczesnej broni? Te „kule dum-dum” to zwykłe naboje z limonitu albo szarego hematytu, jeśli taki termin bardziej panu odpowiada. Góry Bendengó obfitują w ten minerał, a sertaneros od wieków robią z niego naboje.

— A pogromy pod Uaua i Cambaio? To też intryga? — zapytał pułkownik. — A karabiny z Liverpoolu przemycane przez angielskich szpiegów?

Baron uważnie przyjrzał się drobnej, nieustraszonej twarzy oficera, jego wrogim oczom, pogardliwemu grymasowi ust. Cynik? Trudno powiedzieć. Jedno widać wyraźnie: Moreira Cesar go nienawidzi.

— A owszem, angielskie karabiny są częścią intrygi — powiedział. — Zostały sprowadzone przez Epaminondasa Goncalvesa, pańskiego najgorliwszego poplecznika w całej Bahii, żeby oskarżyć mnie o zмовę z obcym mocarstwem i jaguncos. Tego angielskiego szpiega z Ipupiara też on sfabrykował. Kazał zabić jakiegoś biedaka, który na swoje nieszczęście miał jasne włosy. Wiedział pan o tym?

Moreira Cesar zamrugał, lecz w twarzy nie drgnął mu żaden mu-skuł; usta miał zaciśnięte. Odpowiedział baronowi zaciętym spojrzeniem — bardziej wymownym od słów — co myśli o nim i o jego wyjaśnieniach.

— A więc wie pan o wszystkim. Jest pan współnikiem, a może i szarą eminencją całej intrygi. — Baron odwrócił wzrok i stał ze spuszczoną głową, jakby rozmyślając, w rzeczywistości jednak w głowie czuł pustkę i oszołomienie. Wreszcie przyszedł do siebie. — Myśli pan, że warto? Tyle kłamstw, intryg, nawet zbrodni tylko po to, żeby wprowadzić dyktaturę? Myśli pan, że coś, co zostało poczęte w taki sposób, stanie się panaceum na wszelkie choroby Brazylii?

Sekundy płynęły, a Moreira Cesar nie otwierał ust. Na zewnątrz czerwony blask zwiastował słońce, słyhać było rzenie koni i ludzkie głosy. Na piętrze ktoś szurał nogami.

— Wybuchła zbrojna rebelia. Buntownicy powstali przeciw republice. Pokonali dwie wojskowe ekspedycje — powiedział pułkownik nagle, a jego głos, twardy, suchy, bezosobowy, nie uległ najmniejszej zmianie. — Obiektywnie patrząc, ludzie ci są narzędziami w ręku tych, którzy, jak pan, zaakceptowali republikę po to jedynie, by skuteczniej ją zdradzić, zawładnąć nią i zamieniwszy parę nazwisk na inne, utrzymać tradycyjny porządek. Przyszynają, że to się w pewnym stopniu udało. Mamy teraz prezydenta cywila, pluralizm partyjny, który dzieli i paraliżuje kraj, parlament, gdzie wszelkie wysiłki zmierzające do zmiany istniejącego stanu rzeczy są odwlekane i przeinaczane za pomocą rozmaitych sztuczek, w jakich panowie niewątpliwie celują. Już świętowaliście zwycięstwo... Mówiło się nawet o redukcji sił zbrojnych do połowy, czy tak? Co za triumf! Ale jesteście w błędzie. Przez całe wieki traktowaliście Brazylię jak udzielne włości, lecz tamte czasy już nie wrócą. Po to jest armia. My narzucimy narodowi jedność, my przyniesiemy postęp, ustanowimy równość wszystkich Brazylijczyków, uczynimy kraj nowoczesnym i silnym. Usuniemy wszelkie przeszkody, które staną nam na drodze: Canudos, pana, angielskich kupców. Nie będę tłumaczył, jak pojmujemy republikę my, prawdziwi republikanie. Nie pojąłby pan, bo pan jest przeszłością, pan spogląda wstecz. Nie rozumie pan, jak śmieszny tytuł barona teraz, gdy zaledwie cztery lata dzielą nas od dwudziestego stulecia. Pan i ja jesteśmy śmiertelnymi wrogami, nasza wojna jest wojną na śmierć i życie, i nie mamy o czym ze sobą mówić.

Skłonił się, odwrócił i ruszył do drzwi.

— Dziękuję za szczerość — mruknął baron. Patrzył, jak pułkownik wychodzi z gabinetu, a potem pojawia się przed domem. Patrzył, jak dosiada białego konia, którego przytrzymał mu ordynans, i odjeżdża wraz z eskortą w tumanie kurzu.



## **Rozdział IV**

Dźwięk świstawek przypomina głosy pewnych ptaków. Nierytmicznym lamentem przeszywa uszy i wciska się w nerwy żołnierzy, budząc ich po nocy lub zaskakując w marszu. Niby preludium śmierci, nadchodzi, niosąc ze sobą kule i strzały, które z ulotnym poświstem błyskają na słonecznym albo rozgwieżdżonym niebie, nim uderzą w cel. Milknie wówczas dźwięk świstawek, słychać za to parskanie bydła, koni, mułów, kóz i baranów. Czasem pada raniony żołnierz, ale rzadko, gdy bowiem świstawki atakują uszy, umysły i dusze ludzi, pociski obsesyjnie szukają zwierząt. Dość było dwóch trafionych sztuk, by odkryć, że ich mięso nie jest już jadalne nawet dla tych, którzy we wszystkich wspólnie odbytych wyprawach nauczyli się jadać kamienie. Ci, którzy je skosztowali, cierpieli tak straszliwe torsje i biegunki, że jeszcze przed orzeczeniem lekarzy zrozumieli, iż strzały jaguncos zabijają zwierzęta podwójnie, odbierając im życie, a zarazem możliwość utrzymania przy życiu tych, co pędzą stada. Odtąd, gdy tylko pada jakaś sztuka bydła, major Febronio de Brito oblewa ją naftą i podpala. Wychudzony, z gniewnym spojrzeniem, major wkrótce po opuszczeniu Queimadas stał się człowiekiem zgorzkniałym i ponurym. Ze wszystkich żołnierzy kolumny jest prawdopodobnie tym, na kogo świstawki działają najskuteczniej, odbierając mu sen i dręcząc duszę. Pechowym zrządzeniem losu on właśnie odpowiedzialny jest za czworonogi padające przy akompaniamencie elegijnych dźwięków, on wydaje rozkazy, by je dobijano i palono na węgiel, chociaż wie, że te egzekucje zwiastują przyszły głód. Zrobił, co było w jego mocy, aby osłabić skutki ostrzału: otoczył stada kordonem straży, osłonił zwierzęta skórami i parcianymi workami, ale skutek letnich upałów było poci się pod tym okryciem, traci siły, a czasami pada. Żołnierze widują majora na czele patroli, które wychodzą na zwiad, gdy tylko zaczyna się symfonia. Są to wyczerpujące, deprymujące wyprawy, służące jedynie temu, by mogli się przekonać, jak wszechobecni, nieuchwytni, widmowi są napastnicy. Przerażliwy zgiełk świstawek podsuwa myśl, że jest ich wielu, ale to niemożliwe, jakże bowiem mogliby pozostać niewidoczni w tym płaskim, skąpo zarośniętym terenie. Pułkownik Moreira Cesar wyjaśnił to: chodzi o znikome liczebnie grupki, rozsiane w kluczowych punktach, gdzie trwają godzinami i dniami na czatach w jaskiniach, rozpadlinach, norach, krzakach, dźwięk świstawek zaś jest zwodniczo wyolbrzymiony astralną ciszą okolic, którymi posuwają się wojska. Te sztuczki nie powinny wprowadzać rozprężenia w szeregach, bo wróg nie jest w stanie zagrozić kolumnie. I dając rozkaz wymarszu, po odebraniu meldunku o stratach wśród zwierząt, zauważa:

— Tym lepiej dla nas, pozbedziemy się balastu, szybciej dojdziemy.

Jego spokój imponuje korespondentom, tym bardziej że pozwala sobie na żarty, ilekroć nadchodzą meldunki o kolejnych stratach. A ich coraz bardziej denerwuje ten przeciwnik, który śledzi ich ruchy, a którego nikt nie widzi. O niczym innym nie mówią. Przypierają do muru dziennikarza okularnika z „Jornal de Noticias”, pytając, co naprawdę myśli pułkownik o tym ciągłym szarpaniu nerwów i zapasów kolumny, a on odpowiada za każdym razem, że Moreira Cesar nie mówi o strzałach i nie słyszy świstawek, ponieważ ciało i duszę oddał jednemu tylko zadaniu: dojść do Canudos, nie zostawić czasu na ucieczkę Nauczycielowi i jego powstańcom. On wie, on ma pewność, że wszystkie te strzały i świstawki mają na celu wyłącznie odwrócenie uwagi 7. Pułku, żeby bandyci zdążyli przygotować się do odwrotu. Ale pułkownik, jako sprawny żołnierz, nie daje się oszukać: nie traci nawet dnia na bezowocne oblawy, nawet na milimetr nie zbacza ze swojej trajektorii. Oficerom, zaniepokojonym o dalszą aprowizację, powiedział, że również z tego powodu muszą jak najszybciej dojść do Canudos, gdzie pułk znajdzie w spichlerzach, zagrodach i stajniach wroga wszystko, czego trzeba żołnierzom.

Odkąd ruszono w dalszą drogę, korespondenci często widywali, jak na czoło kolumny

podjeżdża młody oficer z pękiem zakrwawionych strzał, żeby złożyć meldunek o nowych napaściach. Tego jednak dnia, w południe, na kilka godzin przed wejściem do Monte Santo, oficer, wysłany przez majora Febronia de Brito, oprócz strzał przywozi kuszę i świstawkę. Kolumna stanęła w jakimś wózku, w słońcu, które oblewa potem twarze żołnierzy. Moreira Cesar starannie ogląda kuszę. Jest prosta w obsłudze i bardzo prymitywna: surowe drewno połączone grubą cięciwą. Pułkownik Tamarindo, Olimpio de Castro i korespondenci podchodzą bliżej. Pułkownik bierze bełt, zakłada go na kuszę, pokazuje dziennikarzom, jak działa. Potem podnosi do ust trzcinową świstawkę z otworkami: rozlega się żałobny lament. Dopiero wówczas kurier oznajmia wielką nowinę:

— Mamy dwóch jeńców, pułkownika. Jeden jest ranny, ale drugi może mówić.

Zalega cisza. Moreira Cesar, Tamarindo i Olimpio de Castro spoglądają po sobie. Młody oficer wyjaśnia dalej, że trzy patrole zawsze stoją w pogotowiu, by wyruszyć, gdy tylko odezwą się świstawki; przed dwiema godzinami wyszły wszystkie trzy, w różnych kierunkach: zanim jeszcze sypnęły się strzały, dostrzeżono łuczników przemykających się między skałami. Pobiegli za nimi, doścignęli, próbowali schwytać ich żywcem, ale jeden rzucił się na żołnierzy i jest ranny. Moreira Cesar natychmiast rusza na tyły, za nim korespondenci, podnieceni myślą, że wreszcie ujrzą oblicze wroga. Gdy po godzinie docierają do taborów, jeńcy wciąż siedzą zamknięci w baraku strzeżonym przez żołnierzy z bagnetami. Nie chcą ich wypuścić, krążą więc dokoła, patrzą na wchodzących i wychodzących oficerów, dostają wymijające odpowiedzi od tych, którzy widzieli więźniów. Dwie lub trzy godziny później Moreira Cesar powraca na swoje miejsce na czele kolumny. Wreszcie czegoś się dowiadują.

— Stan rannego jest ciężki — tłumaczy pułkownik. — Może nie dojechać do Monte Santo. Szkoda, bo właśnie tam powinni być straceni, żeby ich śmierć na coś się przydała. Tutaj byłaby bezcelowa.

Kiedy dziennikarz weteran, ten, który zawsze jest ubrany, jakby wracał do zdrowia po przeziębieniu, pyta, czy z jeńców dało się wyciągnąć jakieś informacje, pułkownik krzywi się sceptycznie.

— Zaslaniają się Bogiem, Antychrystem, końcem świata. Na ten temat mówią wszystko. A o współnikach i podżegaczach ani słowa. Możliwe, że nie wiedzą wiele, to prości ludzie. Są z bandy Pajeu, tego cangaceiro.

Kolumna niezwłocznie rusza dalej w opętającym tempie, a o zmroku wkracza do Monte Santo. W innych osadach żołnierze ograniczali się do krótkiej rewizji chat w poszukiwaniu broni. Tutaj korespondenci, zsiadając z koni pod tamaryndowcami na czworokątnym placu u stóp usianej kaplicami góry, w tłumie dzieci, starców i kobiet o spojrzeniach, które nauczyli się już rozpoznawać — ospałych, nieufnych, dalekich, pozornie obojętnych i tępych — widzą, że żołnierze, po dwóch, po trzech, biegną do lepierek z uniesionymi karabinami, jakby spodziewali się oporu. Z przodu, z tyłu, wszędzie, w rytm rozkazów i okrzyków, patrole kopniakami, uderzeniami kolb wyłamują drzwi i okna: po chwili widać szeregi mieszkańców, zaganianych jak bydło do czterech zagród strzeżonych przez wartowników. Tam odbywa się przesłuchanie. Ze swego miejsca dziennikarze słyszą wyzwiska, protesty, wrzaski, do których dołącza się płacz i szamotanina kobiet, próbujących sforsować kordon. W kilka minut całe Monte Santo staje się sceną dziwnej bitwy bez strzałów i szturmów. Nikt nie zajmuje się korespondentami, nikt im nie wyjaśnia, co się dzieje, krążą więc bez celu po tej wiosce kaplic i krzyży. Chodzą od zagrody do zagrody i widzą zawsze to samo: szeregi mężczyzn wśród żołnierzy z bagnetami, czasem jakiegoś jeńca wypchanego szturchańcami /. chaty albo tak zmaltretowanego, że ledwie trzyma się na nogach. Zbijają się w ciasną grupkę, przestraszeni, że wpadli w tryby niepojętej maszyny,

które obracają się wokół nich; nie rozumieją, co się dzieje, ale domyślają się, że to wszystko jest następstwem zeznań złożonych przez jeńców tego ranka.

I potwierdza to pułkownik Moreira Cesar, z którym rozmawiają jeszcze tej samej nocy, po straceniu wieśniaków. Przed egzekucją, która odbywa się pod tamaryndowcami, jeden z oficerów odczytuje rozkaz dzienny, podkreślając, że republika jest obowiązana bronić się przed tymi, co z chciwości, fanatyzmu, ignorancji lub uporu podnoszą na nią rękę, dogadzając apetytom wsteczników, pragnących utrzymać Brazylię w zacofaniu, by tym skuteczniej wyzyskiwać lud. Czy do mieszkańców dociera ta odezwa? Korespondenci instynktownie czują, że słowa wygłaszane grzmiącym głosem herolda są dla tych milczących istot za kordonem wartowników tylko pustym dźwiękiem. Po egzekucji, kiedy mieszkańcom wolno już podejść do bezgłowych trupów, dziennikarze odprowadzają dowódcę 7. Pułku do lepianki, w której spędzi noc. Okularnik z „Jornal de Noticias” jak zwykle urządza się tak, żeby znaleźć się blisko pułkownika.

— Czy przesłuchania były konieczne? Czy naprawdę trzeba było robić sobie wrogów ze wszystkich mieszkańców Monte Santo? — pyta.

— Oni i tak są wrogami. Cała osada jest w zмовie z przeciwnikiem — odpowiada Moreira Cesar. — Cangaceiro Pajeu przechodził tędy niedawno z pięćdziesięcioma ludźmi. Urządzili im fetę i dali prowianty. Tak jest, panowie. Bunt przeniknął głęboko w tych biednych ludzi, tę ziemię użyźnił religijny fanatyzm.

Nie znać po nim niepokoju. Wszędzie płoną naftowe latarnie, świece, ogniska, w ciemności krążą widmowe patrole pułku.

— Żeby stracić wszystkich spiskowców, trzeba by wyciąć w pień całe Monte Santo. — Moreira Cesar doszedł do chaty, gdzie oczekują go: pułkownik Tamarindo, major Cunha Matos i inni oficerowie. Odprawia dziennikarzy ukłonem i od razu zwraca się do jednego z poruczników: — Ile sztuk bydła mamy?

— Piętnaście, może osiemnaście, panie pułkowniku.

— Zanim zdążą je zatruć, wydamy ucztę dla oddziału. Proszę powiedzieć majorowi Febronio, żeby zabił wszystkie naraz. — Oficer rusza biegiem, a Moreira Cesar odwraca się do reszty podwładnych. — Od jutra trzeba zacisnąć pasa.

Znika w lepiance, a korespondenci odchodzą do baraku kuchni polowej. Tam piją kawę, palą, dzielą się wrażeniami i słuchają litanii dochodzących z kaplic na szczycie, gdzie osada czuwa nad zwłokami zmarłych. Później patrzą na dzielenie mięsa i radość żołnierzy, raczących się wystawnym posiłkiem; słyszą ożywione głosy, dźwięki gitary, śpiewy. Sami także jedzą i piją gorzałkę, ale nie dzielą zapału żołnierzy, rozgorączkowanych czymś, co oznacza dla nich bliskie zwycięstwo. Wkrótce potem kapitan Olimpío de Castro przychodzi zapytać, czy zostają w Monte Santo, czy pociągną dalej, do Canudos. Ten, kto pójdzie wraz z pułkiem, nie może mieć pewności, że wróci, bo drugiego obozu po drodze nie będzie. Z całej piątki dwóch decyduje się zostać w Monte Santo, a jeden wraca do Queimadas, bo czuje się niezdrów. Ci, którzy wyruszą z wojskiem — opatulony staruszek i okularnik — niech wyśpią się dobrze, radzi kapitan, bo dalszy marsz będzie bardzo forsowny.

Nazajutrz, kiedy dwaj dziennikarze budzą się — jest świt, słycać pianie kogutów — dowiadują się, że Moreira Cesar już odjechał, bo w przedniej straży doszło do jakiegoś incydentu: trzech żołnierzy zgwałciło dziewczynę. Wyruszają natychmiast z oddziałem pułkownika Tamarindo. Kiedy doganiają czoło kolumny, gwałciciele odbierają chłostę, przywiązani do drzewa, jeden przy drugim. Jeden wrzeszczy za każdym smagnięciem, drugi wygląda, jakby się modlił, a trzeci uparcie trwa w aroganckiej pozie, podczas gdy jego plecy

powlekają się czerwienią i spływają krwią.

Znajdują się na polanie obrośniętej dokoła mandacarusami, ve-lame i calumbi. W zaroślach stoją żołnierze przedniej straży, przyglądając się karze. Wśród mężczyzn, którzy nie odrywają wzroku od chłostanych, panuje zupełna cisza. Od czasu do czasu słychać wrzaski papug i kobiecey szloch. To płacze dziewczyna — albinoska, trochę koślawa i bosa; przez podarte ubranie wyzierają sińce. Nikt nie zwraca na nią uwagi, ale kiedy dziennikarz okularnik pyta jakiegoś oficera, czy to ona została zgwałcona, tamten kiwa głową. Moreira Cesar stoi obok majora Cunhi Matosa. Jego biały koń popasa kilka metrów dalej, bez siodła, świeży i czysty, jakby dopiero co wyszczotkowany.

Kiedy chłosta dobiega końca, dwaj spośród winowajców są nieprzytomni, ale trzeci, ten arogancki, popisuje się, udając, że słucha z uwagą słów pułkownika.

— To przykład dla was, żołnierze! — woła dowódca. — Armia jest i musi być najbardziej nieskazitelną instytucją republiki! Wszyscy, od naczelnego wodza do ostatniego ciury, mamy obowiązek postępować tak, by obywatele czuli respekt przed mundurem. Znacnie tradycje naszego pułku: wybryki karane są z najwyższą surowością. Jesteśmy tu, żeby chronić ludność cywilną, a nie żeby robić konkurencję bandytom. Następnym przypadku gwałtu zostanie ukarany śmiercią.

Żaden szept, żaden ruch nie odpowiada na jego słowa. Zemdlone ciała wiszą w niedorzecznych, komicznych pozach. Dziewczyna albinoska przestała płakać. Spojrzenie ma zagubione i bez przerwy się uśmiecha.

— Dajcie jeść tej biedaczce — mówi Moreira Cesar. I zwraca się do dziennikarzy, którzy podeszli bliżej: — Jest stuknięta. Nie ma co, panowie, wspaniały przykład dla ludu, który i bez tego darzy nas niechęcią. Nic dziwnego, że przezwali nas Antychrystem.

Ordynans siodła konia, polana rozbrzmiewa rozkazami i tupotem żołnierskich butów. Oddziały rozchodzą się w różnych kierunkach.

— W tę sprawę zamieszani są księża — mówi Moreira Cesar, szybko zapomniawszy o gwałcie. — Tak, panowie. Wiecie, kto jest dostawcą Canudos? Proboszcz z Cumbe, niejaki ojciec Joaquim. Habit to idealny giejt, wytrych otwierający wszystkie drzwi, niezawodny immunitet. Katolicki kapłan!

W jego twarzy więcej jest satysfakcji niż gniewu.

Cyrkowcy posuwali się naprzód między macambirami, po ziemi usłanej żwirem, na zmianę ciągnąc wóz. Okolica była sucha: czasami przez cały długi dzień nie mieli co włożyć do ust. Za Kwiatowym Polem zaczęli spotykać zdążających do Canudos pielgrzymów: byli jeszcze biedniejsi od nich, cały swój dobytek nieśli na plecach, a wraz z nimi ciągnęły gromady kalek i chorych. Gdzie tylko się dało, Bro-daczka, Głupek i Karzełek przepowiadali przyszłość, śpiewali romance i popisywali się kuglarstwem, ale ludzie na szlaku niewiele mogli dać im w zamian. Ponieważ krążyły pogłoski, że w Monte Santo bahijska Gwardia Chłopska obstawiła przejścia do Canudos i siłą wciela do szeregów wszystkich mężczyzn zdolnych do walki, wybrali dłuższą drogę przez Cumbe. Od czasu do czasu czuli swąd dymu; ludzie mówili, że to sprawka jaguncos, którzy wypalają ziemię, żeby zamorzyć głodem wojsko Bestii. Fala pożarów mogła ogarnąć ich w każdej chwili. Głupek, bardzo już słaby, stracił głos i ochotę do śmiechu.

Wóz ciągnęli parami, a cała piątka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, jakby dotknęła ich jakaś wielka klęska. Karzełek, ilekroć przypadała mu rola zwierzęcia pociągowego, zżymał się na Brodaczkę:

— Wiesz, że to szaleństwo tam iść, a idziemy. W Canudos nie ma co jeść, ludzie mrą z głodu. — Pokazał na Galla, marszcząc się gniewnie. — Dlaczego go słuchasz? — Zachichotał złośliwie. — Wiesz, czym jesteś? — powiedział, skręcając się ze śmiechu. — Powiem ci: jesteś niewolnicą. Lubisz to. Dawniej rządził tobą Cygan, a teraz on.

Brodaczka także się roześmiała, ale zamierzyła się, żeby uderzyć go w twarz. Karzelek zrobił unik.

— Lubisz być niewolnicą! — krzyczał. — Kupił cię, kiedy dotknął twojej głowy i powiedział, że byłabyś wspaniałą matką! Uwierzyłaś mu, sam widziałem, jak się rozbeczałaś!

Rechotał na całe gardło, uciekając przed Brodaczka, która rzucała za nim kamieniami. A po chwili znowu wędrowali obok siebie. Takie właśnie były ich kłótnie: bardziej przypominały grę albo jakiś osobliwy sposób prowadzenia rozmowy.

Maszerowali w milczeniu, dowolnie zmieniając się przy wozie, odpoczywając o różnych porach. Przystawali, kiedy któreś nie mogło iść dalej ze zmęczenia albo kiedy napotykali strumień, sadzawkę lub trochę cienia na czas najgorszego skwaru. Idąc, czujnymi oczami wypatrywali pożywienia i w ten sposób udawało im się czasem coś złapać. Ale zdarzało się to rzadko, żuli więc, co popadło, o ile tylko znaleźli coś zielonego. Najbardziej poszukiwane było drzewo imbuzeiro o słodkawych, wodnistych, orzeźwiających korzeniach. Galileo Gali szybko nauczył się doceniać ten przysmak.

Tego wieczoru, za Algodones, natknęli się na obozowisko pielgrzymów. Zostawili wóz i dołączyli do nich. W większości byli to mieszkańcy pobliskiej osady, którzy postanowili wyruszyć do Canudos. Prowadził ich apostoł, stary człowiek w skórzanych sandałach i tunice wypuszczonej na spodnie. Na piersi miał olbrzymi szkaplerz, a cała gromada spoglądała na niego z bojaźnią i czcią, jak na istotę nie z tego świata. Galileo Gall przykucnął obok i zaczął go wypytywać. Ale apostoł spojrzawszy nań niewidzącym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc, czego chce, i dalej rozmawiał ze swoimi. Później jednakże mówił o Canudos, o świętych księgach i prawdach głoszonych przez Nauczyciela, którego nazywał wysłannikiem Jezusa. Za trzy miesiące i jeden dzień powstaną z martwych. Ale czciciele Bestii umrą na zawsze. Jednych od drugich dzieli przepaść: przepaść życia i śmierci, nieba i piekła, zbawienia i potępienia. Niechże Antychryst śle wojska na Canudos: zgniją, przepadną. Wierni będą umierać, ale gdy miną trzy miesiące i jeden dzień, powrócą, nietknięci na ciele i oczyszczeni na duszy przez obcowanie z aniołami i tchnienie Dobrego Jezusa. Gall wpatrywał się weń pałającymi oczami, bojąc się uronić choćby jedną zgłoskę. W chwili przerwy wtrącił, że nie samą wiarą wygrywa się wojny: potrzebna jest broń. Czy Canudos obroni się przed wojskiem bogaczy? Spojrzenia pielgrzymów skierowały się na mówiącego i powróciły do apostoła, który słuchał, nie patrząc na Galla. Kiedy wojna dobiegnie końca, nie będzie już bogaczy, a raczej nie będzie ich widać, bo wszyscy staną się bogaci. Te kamienie zmienią się w rzeki, te wzgórza w żyzne pola, a piaski Algodones w ogród orchidei, takich jak te, które rosną na szczycie Monte Santo. Wąż, tarantula i jaguar będą przyjaciółmi człowieka, a byłoby tak i dziś, gdyby człowiek sam nie skazał się na wygnanie z raj. Nauczyciel jest na świecie po to, żeby przypominać ludziom te prawdy.

W ciemnościach ktoś wybuchnął płaczem. Żałosny, głęboki, cichy szloch trwał długą chwilę. Stary znowu zaczął mówić, a w jego głosie brzmiała jakaś czułość. Duch jest silniejszy od materii. Duch to Dobry Jezus, a materia to Szatan. Wydarzą się cuda tak wyczekiwane: zniknie nędza, choroby, brzydota. Jego ręce dotknęły Karzełka, skulonego obok Galla. On też będzie wysoki i piękny, jak inni ludzie. Płacz udzielił się wszystkim. Apostoł wsparł głowę o ramię sąsiada i zasnął. Łkanie cichło stopniowo. Pielgrzymi, jeden za drugim, układali się do snu. Cyrkownicy wrócili do wozu. Wkrótce rozległo się chrapanie Karzełka, który zawsze mamrotał przez sen.

Galileo i Jurema spali odsunięci od siebie na płachcie namiotu, nie-rozbijanego ani razu, odkąd odeszli z Ipujiara. Księżyc, okrągły i lśniący, błyszczał w orszaku niezliczonych gwiazd. Noc była chłodna, jasna, bezszelestna, mandacarusy i mangabeiry rzucały widmowe cienie. Jurema zamknęła oczy. Oddychała miarowo, a Gall, leżąc na wznak obok niej, patrzył w niebo. Głupio by było skończyć w tym pustkowiu, nie ujrzawszy Canudos. Może to i naiwne, prymitywne, zabobonne, ale na pewno coś w tym jest. Cytadela wolności — bez pieniądza, bez panów, bez policji, bez księży, bez bankierów, bez obszarników — reduta wzniesiona wiarą i krwią najbiedniejszych z biednych. Jeśli przetrwa, reszta przyjdzie sama: przesady religii i rojenia o tamtym świecie zwiędną, przestarzałe i nieprzydatne. Przykład raz dany będzie się szerzył, powstanie wiele innych Canudos i kto wie... Uśmiechnął się. Podrapał się w głowę. Włosy odrastały, mógł już uchwycić je opuszkami palców. Świadomość, że ma ogoloną czaszkę, napawała go trwogą. Skąd się bio-rą te smagnięcia strachu? To było wtedy, w Barcelonie, kiedy leczyli go przed egzekucją. Pawilon infirmerii, obłąkani więźniowie. Byli ogoleni i nosili kaftany bezpieczeństwa. Pielęgniarki, zwykli aresztanci, zjadali racje chorych, bili ich bez litości i z uciechą pławili w lodowatej wodzie tryskającej z gumowych węży. Ten majak ożywał w nim, ilekroć jakieś lustro, strumień lub studnia ukazywały mu jego głowę: głowę szaleńców katowanych przez strażników i lekarzy. Swego czasu napisał artykuł, który napawał go dumą: *Przeciw uciśnieniu chorych*. Rewolucja nie tylko wyrwie człowieka z jarzma kapitału i religii, ale uwolni go od przesądów narosłych w społeczeństwie klasowym wokół chorób; chory, zwłaszcza chory umysłowo, jest ofiarą systemu nie mniej pokrzywdzoną i cierpiącą niż robotnik, chłop, prostytutka i służąca. Czy ten stary prorok, przekonany, że mówi o Bogu, gdy w istocie mówił o wolności, nie powiedział przed chwilą, że w Canudos nie będzie nędzy, chorób, brzydoty? Takie są przecież ideały rewolucji. Jurema przyglądała mu się z otwartymi oczami. Czyżby myślał na głos?

— Dałbym wszystko, żeby być z nimi wtedy, kiedy pokonali Febronia de Brito — szepnął, jakby czynił jej miłosne wyznanie. — Życie przeszło mi na walce, a w naszym obozie widziałem tylko zdrady, rozłamy i klęski. Chciałbym zobaczyć zwycięstwo, chociaż raz. Wiedzieć, co się czuje, jak to jest, jak smakuje wygrana bitwa.

Zobaczył, że Jurema patrzy na niego, jak zawsze daleka i zaintrygowana. Leżeli o włos od siebie, ale ich ciała nie dotykały się nawzajem. Karzełek zaczął mamrotać po cichu.

— Ty nie rozumiesz mnie, ja nie rozumiem ciebie — powiedział Gall. — Dlaczego mnie nie zabiłaś, kiedy byłem nieprzytomny? Dla-czego nie namówiłaś capangas, żeby ucieli mi głowę, nie włosy? Dla-czego zostałaś ze mną? Przecież nie wierzysz w to, w co ja wierzę?

— Ciebie musi zabić Rufino — szepnęła Jurema bez nienawiści, jakby tłumacząc najprostsze rzeczy. — Gdybym ja cię zabiła, skrzywdziłabym go bardziej niż ty.

Tego właśnie nie rozumiem, pomyślał Gall. Rozmawiali już o tym przedtem, a on wciąż gubi się w domysłach. Honor, zemsta, cała ta bezwzględna religia, ten drobiazgowy kodeks postępowania — skąd się to wzięło tutaj, na końcu świata, wśród ludzi, którzy nie mają nic oprócz łachmanów i wszy? Honor, przysięga, słowo, cały ten luksus, rozrywka bogatych próżniaków i pasożytów — gdzie im do tej nędzy? Przypomniał sobie, że pewnego targowego dnia w Queimadas słyszał z okna izby w pensjonacie Matki Boskiej Łaskawej, jak wędrowny pieśniarz opowiadał historię, która była przeinaczoną średniowieczną legendą. Czytał ją jako chłopiec, a potem, jako młodzieniec, oglądał na scenie, przerobioną na romantyczny wodewil pod tytułem *Robert Diabeł*. Jakim sposobem dotarła aż tutaj? Świat jest bardziej zagadkowy, niż wydaje się z pozoru.

— Tych capangas, którzy zabrali moje włosy, też nie rozumiem — mruknął Gall. — To znaczy Kajfasza. Darował mi życie, żeby nie pozbawić przyjaciela przyjemności zemsty.

To dobre dla arystokraty ale dla chłopca?

Dawniej Jurema próbowała mu tłumaczyć, wyjaśniać; tej nocy milczała. Może przekonała się, że cudzoziemiec nigdy nie zrozumie tych spraw.

Nazajutrz podjęli marsz, wyprzedzając pielgrzymów z Algodones Przejście przez góry Francia zabrało im cały dzień, a wieczorem byli tak zmęczeni i głodni, że padali z nóg. Głupek zemdlął dwukrotnie w drodze, a za drugim razem myśleli nawet, że nie żyje, taki był cichut-ki i blady. Zmierzch wynagrodził im trudy dnia sadzawką zielonkawej wody. Pili, rozgarnawszy trawy, a Brodaczka napoiła Głupka z własnnej dłoni i spryskała kobrę deszczem zimnych kropel. Zwierzę nie cierpiało niedostatku, zawsze bowiem znalazły się dla niego liście albo jakiś robak. Gdy zaspokoili pragnienie, narwali korzeni, pędów i gałązek, a Karzełek zastawił sidła. Powiew wiatru był jak balsam po straszliwym skwarze dnia. Brodaczka usiadła obok Głupka i oparła jego głowę na swoich kolanach. Losem Głupka, kobry i wozu przejmowała się jak swoim własnym: zdawało się, że wierzy, iż jej przetrwanie zależy od tego, czy zdoła ochronić człowieka, zwierzę i rzecz, które były jej światem.

Jurema, Karzełek i Gall żuli powoli, bezradośnie, wypływając gałązki i korzonki, gdy już wyskali sok. U stóp rewolucjonisty leżał jakiś twardy kształt, na wpół zaryty w ziemi. Tak, to czerep: żółtawy, pęknięty. W sertonach nieraz widywał ludzkie kości na skraju dróg. Ktoś opowiadał mu, że niektórzy sertaneros odkopują ciała swoich wrogów i porzucają je pod gołym niebem na żer drapieżników, wierzą bowiem, że w ten sposób poślą ich dusze do piekła. Obejrzał czerep i opukał go dokładnie.

— Dla mojego ojca czaszki były jak książki, jak lustra — rzekł z tęsknotą. — Co by pomyślał, gdyby wiedział, że jestem w takim miejscu, w takim stanie? Kiedy widziałem go ostatni raz, miałem szesnaście lat. Sprawilem mu zawód, mówiąc, że działanie jest ważniejsze od wiedzy. Był buntownikiem na swój sposób. Lekarze kpili z niego, nazywali go szamanem.

Karzełek patrzył nań, usiłując zrozumieć, tak samo Jurema. Gall żuł dalej i spluwał w zamyśleniu.

— Dlaczego przyjechałeś? — mruknął Karzełek. Nie przeraża cię, że umrzesz z dala od swoich? Nie masz tu rodziny, przyjaciół, nikt cię nie będzie wspominał.

— Wy jesteście moją rodziną — rzekł Gall. — I jaguncos.

— Nie jesteś świętym, nie modlisz się, nie mówisz o Bogu — powiedział Karzełek. — Dlaczego uparłeś się iść do Canudos?

— Ja nie mogłabym żyć wśród obcych — odezwała się Jurema. -Nie mieć ojczyzny to tak, jak być sierotą.

— Pewnego dnia zniknie słowo „ojczyzna” — odparł pospiesznie Galileo. — Ludzie popatrzą wstecz, na nas, zamkniętych w ciasnocie granic, zabijających się nawzajem za kreski na mapach, i powiedzą: jacy oni byli głupi.

Karzełek i Jurema spojrzeli po sobie, a Gall czuł, że myślą, że to on jest głupi. Żuli i spluwali, krzywiąc się z obrzydzeniem od czasu do czasu.

— Wierzysz w to, co mówił apostoł z Algodones? — zapytał Karzełek. — Że pewnego dnia nadejdzie świat bez podłości, bez chorób...?

— I bez brzydoty — dodał Gall. Skinął głową z zapalem. — Wierzę w to, jak inni w Boga. Od dawna giną ludzie, którzy walczą o taki świat. Dlatego uparłem się, że dojdę do Canudos. Tam, w najgorszym razie, umrę za coś, za co warto umrzeć.

— Ciebie zabije Rufino — bąknęła Jurema, patrząc w ziemię. Głos jej się ozywił: —

Myślisz, że zapomniał obelgi? Szuka nas i zemści się, prędzej czy później.

Gall chwycił ją za ramię.

— Leziesz za mną, żeby zobaczyć, jak się mści, tak?! — zapytał ją. Wzruszył ramionami. — Rufino też by nie zrozumiał. Nie chciałem go obrazić. Żądza zrywa wszystkie tamy: siłę woli, przyjaźń. Nie zależy od nas, tkwi w kościach, w tym, co inni nazywają duszą. — Znowu przysunął twarz do Juremy. — Nie kajam się przed tobą. To było... kształcące. Myliłem się. Rozkosz nie kłóci się z ideałem. Nie trzeba się wstydzić ciała, rozumiesz? Nie, nie rozumiesz.

— A więc to może być prawda? — przerwał Karzelek. Głos mu się łamał, patrzył prosząco. — Mówią, że przywraca wzrok ślepym, słuch głuchym, goi wrzody trędowatym. Jeżeli mu powiem: „Przyszedłem, bo wiem, że uczynisz cud”, dotknie mnie i urosnę?

Gall spojrzał na niego, zbity z tropu, i nie znalazł żadnego kłamstwa, żadnej prawdy na odpowiedź. Wtem uderzyła w płacz Brodaczką, z żalu nad Głupkiem. „Już nie może dłużej — mówiła. — Już się nie śmieje, nie skarży się, umiera po troszeczkę, co chwila”. Jeszcze długo przed zaśnięciem słyszeli jej lament. O świcie zbudziła ich jakaś rodzina z Carnaiby, przynosząc złe nowiny. Patrole Gwardii Chłopskiej i capangas z okolicznych fazend zamykają wyjścia z Cumbe. Spodziewają się wojska. Jedyny sposób, żeby dojść do Canudos, to zboczyć na północ, zataczając wielkie koło przez Massacara, Angico i Rosario.

W półtora dnia później dotarli do cieplic Sao Antonio, małej stacji zdrojowej na zielonkawych brzegach Massacara. Cyrkowcy byli tu przed laty i pamiętali ludzi, którzy napływali zewsząd, żeby leczyć się z chorób skóry w bąbelkujących, cuchnących sadzawkach. Sao Antonio było też stałym celem bandytów, znęconych pieniędzmi chorych. A teraz zdawało się pustynią. Nie spotkali praczek nad rzeką, a na brukowanych uliczkach, wysadzanych fikusami, kaktusami i drzewami palm kokosowych, nie było widać żywego ducha — czło wieka, psa ani ptaka. Mimo to Karzelek wpadł w doskonały humor. Chwycił trąbkę, zadał, wyduszając z niej komiczny dźwięk, i zaczął obwieszczać przedstawienie. Brodaczką wybuchnęła śmiechem, a Głupek, chociaż jeszcze słaby, ponaglał wózek do szybszej jazdy — ramionami, rękami, głową; z rozchylonych ust ściekały mu niteczki śliny. Wreszcie dostrzegli jakiegoś koślawego staruszka, który mocował się ze skoblem u drzwi. Popatrzył na nich, jakby ich nie widział, ale kiedy Brodaczką posłała mu całusa, uśmiechnął się.

Cyrkowcy ustawili wóz na małym placu, pośród pnączy; powoli otwierały się okna i drzwi, z których wychylały się twarze zwabione dźwiękiem trąbki. Karzelek, Brodaczką i Głupek przetrząsnęli szmaty i rekwizyty i już po chwili malowali się, czernili, zakładali kolorowe łachy, a w ich rękach pojawiły się szczątki wygasłej przeszłości: klatka kobry, obręcze, czarodziejskie różdżki, papierowy akordeon. Karzelek trąbił z furją i wrzeszczał: „Zaczynamy przedstawienie!”. Pomału zgromadziła się dokoła publiczność jak ze złego snu: ludzkie szkielety nieokreślonego wieku i płci, o twarzach, ramionach i nogach przeważnie zżartych gangreną, wrzodami, wysypką, krostami, wyłaziły z domów i przezwyciężając początkową obawę, wspierając się o siebie nawzajem, na czworakach, pełzną, podchodziły powiększyć krąg widzów. „Nie wyglądają na konających — pomyślał Gall — wyglądają, jakby już dawno umarli”. Wszyscy, zwłaszcza dzieci, wydawali się bardzo starzy. Niektórzy uśmiechali się do Brodaczki, która owijała się kobrą, podawała jej usta do pocałunku, a zwierzę gięło się i wiło w jej ramionach. Karzelek złapał Głupka i małpował z nim numer Brodaczki: człowiek bez kości skręcał się i rozkręcał w jego rękach, zawiązywał się w supeł. Chorzy i mieszkańcy Sao Antonio patrzyli z powagą lub rozbawieniem, kiwając głowami na znak aprobaty. Czasami rozlegały się oklaski. Niektórzy odwracali się, zerkając na Galla i Juremę, jakby chcieli zapytać, kiedy przyjdzie kolej na tę parę. Rewolucjonista obserwował



ich zafascynowany; twarz Juremy wykrzywił grymas odrazy. Próbowala się opanować, ale w końcu szepnęła, że nie może na nich patrzeć, chce odejść. Galileo nie zwracał na nią uwagi. Oczy mu błyszczały, był wstrząśnięty. Zdrowie jest samolubne — jak miłość, jak bogactwo, jak władza: człowiek zasklepia się w sobie, odwraca się od innych. Tak, lepiej nie mieć nic, nikogo nie kochać... ale czy można wyrzec się zdrowia w imię solidarności z chorymi braćmi? Na świecie jest tyle zła, hydra ma tyle głów, gdzie tylko obrócisz oczy, zewsząd wyziera ludzka krzywda. Zauważył wstręt i lęk Juremy; chwycił ją za ramię.

— Patrz na nich, patrz — mówił w gorączce, wzburzony. — Patrz na te kobiety. Były młode, silne, ładne. Kto je takimi uczynił? Bóg? Kanalie, łajdaki, bogacze, zdrowi, egoiści, możni.

Twarz miał pełną uniesienia i żaru. Puścił Juremę i ruszył na środek koła, nie zważając, że Karzełek rozpoczął już osobliwą historię Królowny Magalony, córki władcy Neapolu. Widzowie spojrzeli na człowieka zarośniętego czerwona szczecina, w podartych spodniach i z blizną na szyi, który nagle zaczął wymachiwać rękami.

— Odwagi, bracia, nie pogrążajcie się w rozpacz. Nie dlatego gnijecie za życia, że zdecydowało o tym widmo ukryte w chmurach, ale dlatego, że społeczeństwo jest z gruntu złe. Jesteście tacy, bo nie dojadacie, bo nie macie lekarzy ani lekarstw, bo nikt się o was nie i roszczy, bo jesteście biedni. Wasza choroba nazywa się niesprawiedliwość, nadużycie, wyzysk. Nie poddawajcie się, bracia. Z dna waszej niedoli powstańcie, odbierzcie bogactwa tym, którzy odebrali wam młodość, ograbili was ze zdrowia i człowieczeństwa...

Brodaczka nie dała mu skończyć. Rozwścieczona, trzęsła nim i wrzeszczała:

— Głupi jesteś! Głupi! Nikt cię nie rozumie! Smucisz ich, nudzisz, nie dadzą nam jeść! No, idź, obmacuj im głowy, przepowiadaj przyszłość, zrób coś, rozwesel ich!

Aniołek leżał jeszcze z zamkniętymi oczami. Usłyszał pianie koguta i pomyślał: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus”. Chwilę modlił się na posłaniu, prosząc Ojca o siły na nowy dzień. Jego drobne ciało źle znosiło wyteżoną pracę, a ostatnio, wyczerpany rosnącą falą pielgrzymów, miewał zawroty głowy. Nocami, kiedy rzucał się na siennik za ołtarzem kaplicy Świętego Antoniego, bóle w mięśniach i kościach uniemożliwiały mu odpoczynek; nieraz leżał godzinami, zaciskając zęby, zanim sen uwolnił go od tej sekretnej męki. Bo Aniołek, choć wątłego zdrowia, był dość silny duchem, by we wspólnocie, w której był drugą po Nauczycielu osobą, nikt nie spostrzegł słabości jego ciała.

Otworzył oczy. Kogut zapiał po raz drugi: za szybką dymnika wstawał świt. Sypiał w swojej codziennej sukni, łatanej już niezliczone razy przez Marię Quadrado i służebniczki z Chóru. Wzuł na nogi al-pargaty, ucałował zawieszony na piersi szkaplerz i mocniej zacisnął zardzewiały pas pokutny, który dostał od Nauczyciela, kiedy był jeszcze dzieckiem, tam, w Pombal. Zwinął siennik i poszedł zbudzić klucznika, śpijącego u wrót kościoła. Był nim staruszek z Chorrochó.

Otworzywszy oczy, mruknął: „Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus”. „Na wieki wieków”, odparł Aniołek i podał mu bicz, którym każdego ranka składał Ojcu ofiarę cierpienia. Stary chwycił bat i dziesięć razy smagnął z całej siły pośladki i plecy kłęczącego Aniołka, a on przyjmował uderzenia bez jednego jęku. Potem przeżegnali się obaj. Tak zaczynali dzień.

Kiedy klucznik poszedł uprzątnąć ołtarz, Aniołek ruszył do drzwi i jeszcze przed progiem usłyszał głosy przybyłych nocą do Belo Monte pątników, czekających pod strażą ludzi z Gwardii Katolickiej, aż on zdecyduje, czy mogą zostać, albo każe im odejść jako niegodnym tej łaski. Obawa pomyłki, odtrącenia dobrego chrześcijanina albo przyjęcia kogoś,

czyja obecność mogłaby wystawić na szwank osobę Nauczyciela, rozdzierała mu serce, była przedmiotem najgorętszych próśb, jakie zanosił do Ojca. Otworzył drzwi: usłyszał gwar i zobaczył dziesiątki ludzi obozujących u wrót kościoła. Wśród nich kręcili się uzbrojeni gwardziści z błękitnymi przepaskami na ramionach lub głowach. Na jego widok krzyknęli chórem: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus!“. „Na wieki wieków“, mruknął Aniołek. Pątnicy przeżegnali się, a ci, którzy nie byli sparaliżowani ani chorzy, zerwali się z miejsc. W ich oczach był głód i było szczęście. Aniołek doliczył się co najmniej pięćdziesięciu.

— Witajcie w Belo Monte, na ziemi Ojca i Dobrego Jezusa — zaintonował śpiewnie.  
— Dwóch rzeczy żąda Nauczyciel od tych, co przychodzą tu, idąc za głosem powołania: wiary i prawdy. Niedowiarek i kłamca nie osiedli się na ziemi Pana.

Polecił gwardzistom, żeby przepuścili ich do niego. Dawniej rozmawiał z każdym z osobna, teraz musiał wzywać ich grupkami. Nauczyciel nie chciał, żeby z kimkolwiek dzielił ten obowiązek. „Ty jesteś bramą“, odpowiadał, ilekroć Aniołek prosił o kogoś do pomocy.

Wszedł jakiś ślepiec, jego córka, jej mąż i dwoje dzieci. Przyszli aż z Querera, a podróż zabrała im miesiąc. W drodze zmarła matka męża i dwoje bliźniąt. Pogrzebali ich po chrześcijańsku? Tak, w trumnach i z modlitwą. Podczas gdy starzec o sklejonych powiekach opowiadał o podróży, Aniołek przyglądał się im z uwagą. Po— wiedział sobie, że są zgodną rodziną i szanują starszych, cała czwórka bowiem słuchała ślepcę, nie przerywając mu, kiwali tylko głowami na poparcie jego słów. Na wszystkich pięciu twarzach malowała się owa mieszanina zmęczenia — skutek głodu i trudów — i duchowej radości, która wstępowała w pielgrzymów, gdy tylko postawili stopę na ziemi Belo Monte. Poczul na sobie tchnienie anioła i przyjął ich do wspólnoty. Zapytał jeszcze, czy nigdy nie byli w służbie Antychrysta. A kiedy przysięgli przed nim, że nie są republikanami, nie godzą się na wygnanie cesarza ani na rozdział Kościoła od państwa, ani na cywilne śluby, ani na nowe wagi i miary, ani na pytania spisu, uściskał ich i odesłał do Antonia Vilanovy. W drzwiach kobieta szepnęła coś ślepcowi na ucho. Ów nieśmiało zapytał Aniołka, kiedy zobaczą Dobrego Jezusa Nauczyciela. Czekali jego odpowiedzi w tak wielkim napięciu, że pomyślał: „Ci są wybrani“. Zobaczą go tego wieczoru w Świątyni; będą słuchać jego nauk, dowiedzą się, że Ojciec raduje się, bo przyjął ich do swej trzody. Patrzył, jak odchodzą oszołomieni własnym szczęściem. Jakże oczyszczająca jest obecność łaski w świecie skazanym na zagładę. Ci pątnicy — Aniołek to wiedział — zapomnieli już o swych trojgu zmarłych i o trudach drogi, a teraz czują, że warto jest żyć. Antonio Vilanova wpisze ich do swoich ksiąg, pošle ślepcę do Domu Zdrowia, kobietę przydzieli do pomocy Sardelinom, a męża i chłopców do noszenia wody. Słuchając kolejnej pary małżonków — kobieta trzymała w rękach jakieś zawiniątko — Aniołek myślał o Antoniu Vilanovie. Oto człowiek wierzący, wybrany, ukochana owieczka ze stada. On i jego brat mieli wykształcenie, sklepy, bydło, pieniądze; mogli byli poświęcić życie gromadzeniu bogactw, mogli mieć domy, ziemię, służbę. Ale woleli ze swymi prostymi braćmi dzielić służbę Bożą. To prawdziwa łaska mieć tutaj kogoś takiego jak Antonio Vilanova, który tak mądrze rozwiązuje tyle problemów. Teraz, na przykład, zorganizował rozdzielanie wody. Czerpano ją z Vassa Barris oraz źródeł Starej Fa-zendy i rozwożono za darmo po mieście. Woziwodami byli pielgrzymi, którzy niedawno przybyli do osady: w ten sposób stawali się znani, czuli się potrzebni Nauczycielowi i Dobremu Jezusowi, a ludzie dawali im jeść.

Z niewyraźnych słów mężczyzny Aniołek zrozumiał, że zawiniątko jest niedawno urodzoną dziewczynką, zmarłą w przededniu ich zejścia z gór Cañabrava. Podniósł róg materiału i zobaczył sztywne ciało pergaminowej barwy. Wyjaśnił kobiecie, że spotkała ją łaska nieba, bo jej córka zmarła na jedynym w świecie skrawku ziemi wolnym od władzy Szatana. Nie ochrzczili jej, więc zrobił to sam, nadając jej imię Maria Eufrazja, i poprosił Ojca,

żeby przyjął tę duszyczkę do *swej* chwały. Odebrał przysięgę i odesłał ich do braci Vilanova, żeby pogrzebali córkę. Brakowało drewna, pochówki stały się więc problemem w Belo Monte. Przeszedł go dreszcz. Tego obawiał się najbardziej: że jego ciało spocznie nagie, porzucone w rowie.

Wciąż jeszcze rozmawiał z pąnikami, kiedy weszło kilka służebniczek ze Świętego Chóru, żeby posprzątać kaplicę, a Alejandrinha Correa przyniosła mu gliniany garnuszek z poleceniem od Marii Qua-drado: „Masz to wszystko zjeść sam”. Bo Matka Ludzi wiedziała, że oddawał swoje porcje głodnym. Słuchając pielgrzymów, Aniołek dziękował Bogu, że obdarzył go tą siłą ducha, która sprawiała, że nie cierpiał głodu ni pragnienia. Parę łyków wody, jeden kęs — starczały mu na długo; nawet podczas pielgrzymki przez pustynię nie męczył się jak inni bracia. Dlatego jeden tylko Nauczyciel ofiarował Dobremu Jezusowi więcej postów niż on. Alejandrinha Correa powiedziała też, że Joao Mnich, Joao Wielki i Antonio Vilanova czekają na niego w Sanktuarium.

Jeszcze przez blisko dwie godziny przyjmował pielgrzymów; odrzucił tylko zbożowego kupca z Pedrinhas, który był poborcą podatków. Byłych żołnierzy, tropicieli i wojskowych dostawców Aniołek nie odtrącał. Ale poborcy podatków musieli odejść i nie wracać pod groźbą śmierci. Nieubłagani w swej chciwości, wyzyskiwali biedaków, licytowali ich plony, kradli ich zwierzęta: byli jak czerw toczący owoc. Aniołek wytłumaczył człowiekowi z Pedrinhas, że aby zyskać miłosierdzie nieba, musi walczyć z Bestią daleko stąd, na własną rękę i własne ryzyko. Powiedziawszy pąnikom na placu, żeby na niego poczekali, poszedł do Sanktuarium. Był późny ranek, kamienie połyskiwały w słońcu. Wiele osób usiłowało go zatrzymać, ale on gestem pokazywał, że się spieszy. Szedł w asyście ludzi z Gwardii Katolickiej. Początkowo nie chciał eskorty, ale teraz zrozumiał, że jest niezbędna. Bez tych braci przebycie kilku metrów od kaplicy do Sanktuarium trwałoby godziny, bo wszyscy wciąż zasypywali go prośbami i pytaniami. Szedł, myśląc, że wśród pielgrzymów z dzisiejszego ranka spotkał kilku aż z Alagoas i Ceara. Czy to nie nadzwyczajne? Wokół Sanktuarium stał zwarty tłum: starzy i młodzi, dorośli i dzieci, wszyscy wyciągali szyje ku drewnianym drzwiom, gdzie o jakiejś porze dnia ukaże się Nauczyciel. Aniołek utknął w ciżbie razem ze swoją obstawą. Gwardziści wymachiwali błękitnymi chustami, a ludzie strzegący Sanktuarium utorowali im przejście. Pochylony, parł naprzód przez uliczkę ciał i mówił sobie, że bez Gwardii Katolickiej w Belo Monte zapanowałby chaos, który stałby się bramą Szatana.

— Niech będzie pochwalony Pan Nasz, Jezus Chrystus — powiedział, usłyszał „Na wieki wieków” i odczuł spokój, jaki roztaczał wokół siebie Nauczyciel. Nawet gwar ulicy brzmiał tu jak muzyka. — Przykro mi, że musiałeś czekać, ojcze — szepnął. — Pielgrzymów przybywa i coraz trudniej mi rozmawiać ze wszystkimi. Nie mogę nawet spamiętać ich twarzy.

— Wszyscy mają prawo do zbawienia — powiedział Nauczyciel. — Raduj się za nich.

— Moje serce raduje się, gdy widzę, że z każdym dniem jest ich więcej — powiedział Aniołek. — Gniew zwracam przeciw sobie, bo nie umiem rozpoznać wybranych.

Usiadł na podłodze między Joao Mnichem a Joao Wielkim, którzy trzymali na kolanach karabiny. Był tam jeszcze Antonio Vilanova i jego brat Honorio, który wyglądał, jakby przed chwilą wrócił z podróży, tak był uwalany kurzem. Maria Quadrado podała mu kubek wody, a on wypił, mlaskając z zadowolenia. Nauczyciel siedział wyprostowany na posłaniu, spowity w swoją fioletową szatę, a u jego stóp Lew z Natuby z ołówkiem i zeszytem w ręku opierał wielką głowę na kolanach świętego, który jedną dłoń zanurzył w karogniade, splątane kudły. Nieme, nieruchome służebniczki siedziały w kucki pod ścianą.

Biały baranek spał. „To Nauczyciel, to mistrz, kwiatusek mój najdroższy — pomyślał Aniołek z miłością. — Jesteśmy jego dziećmi. Byliśmy niczym, a on nas przemienił w apostołów”. Poczł przyływ szczęścia: nowe tchnienie anioła.

Zorientował się, że wynika różnica zdań między Joao Mnichem i Antoniem Vilanovą. Jeden chciał spalić Calumbi, a drugi był temu przeciwny, mówiąc, że nie Zły, ale Belo Monte będzie poszkodowane, jeśli fazenda barona de Cañabrava przepadnie z dymem, bo stamtąd idzie całe zaopatrzenie dla Canudos. Starł się nikogo nie urazić, nie oskarżać, a mówił głosem tak cichym, że z trudnością mogli go słyszeć. „Zaprawdę bezspornie nadprzyrodzona aura musi otaczać Nauczyciela, skoro ktoś taki jak Antonio Vilanova stoi przed nim tak zmieszany”, pomyślał Aniołek. W życiu powszednim kupiec był samym żywiołem, przytłaczał swoją energią, przemawiał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ten potężny stentorowy głos, ten niestrudzony robotnik, ten gejzer pomysłów przy Nauczycielu zmieniał się w potulnego baranka. „Ale nie cierpi — pomyślał — lecz czuje ulgę”. On sam powtarzał mu to wiele razy, dawniej, kiedy przechadzali się po wieczornych kazaniach i prowadzili długie rozmowy: Antonio chciał wiedzieć o Nauczycielu wszystko, poznać dzieje jego wędrówki i naukę już posianą, a Aniołek tłumaczył mu prawdy wiary. Zateśnił do tych pierwszych dni Belo Monte, do utraconej swobody. Można było dumać, modlić się, rozmawiać. On i kupiec gawędzili ze sobą co dnia, spacerując od krańca do krańca osady, wówczas małej i odludnej. Antonio Vilanova otworzył przed nim serce, nie ukrywał, że Nauczyciel zmienił jego życie. „Żyłem burzliwie, nerwy miałem napięte do ostatnich granic, bałem się, że głowa mi pęknie. Teraz dość mi wiedzieć, że jest blisko, abym poczuł spokój, jakiego nigdy nie zaznałem. To jest balsam, Aniołku”. Już nie mogą ze sobą rozmawiać, niewolnicy własnych obowiązków. Niech się stanie wola Ojca.

Był tak pogrążony we wspomnieniach, że nie zauważył, w którym momencie zamilkł Antonio Vilanova. Teraz odpowiadał mu Joao Mnich. Nowiny były jednoznaczne, a potwierdził je Pajeu: baron de Cañabrava służy Antychrystowi, każe fazenderom dostarczać ca-pangas, żywność, tropicieli, konie i muły dla wojska, a Calumbi zmieniło się w obóz żołnierski. To najbogatsza, największa, najlepiej zaopatrzona fazenda w okolicy i może dać aprowizację dziesięciu takim armiom. Trzeba zrównać ją z ziemią, nie można pozwolić, żeby służyła psom. W przeciwnym razie o wiele trudniej będzie obronić Belo Monte, kiedy nadejdzie Bestia. Stali obaj, z oczami utkwionymi w wargach Nauczyciela. Dalsza dyskusja nie ma sensu: święty będzie wiedział, czy Calumbf ocaleje, czy spłonie. Mimo tej różnicy zdań — Aniołek wiele razy był świadkiem podobnych sprzeczek — ich braterstwo nie poniesie uszczerbku. Ale nim Nauczyciel otworzył usta, zastukano do drzwi Sanktuarium. Jacyś zbrojni ludzie właśnie nadjechali z Cumbe. Joao Mnich poszedł sprawdzić, jakie wieści przynoszą.

Kiedy wyszedł, Antonio Vilanova ponownie zabrał głos. Tym razem mówił o zgonach. Przybywało ich wraz z inwazją pielgrzymów, a stary cmentarz za kościołem nie mógł pomieścić tylu grobów. Dla-lego wyznaczył już ludzi do oczyszczenia i ogrodzenia terenu pod nowy cmentarz w Tabolerinho, między Canudos a Cambaio. Czy Nauczyciel to pochwała? Święty skinął krótko głową na znak zgody. W chwili, kiedy Joao Wielki, z włosami lśniącymi od potu, zmieszany, gestykulując wielkimi łapskami, zaczął opowiadać o transzei z podwójnym parapetem, którą od wczoraj kopie Gwardia Katolicka między Vassa Barris i Starą Fazendą, wrócił Joao Mnich. Nawet Lew z Natuby uniósł swoją olbrzymią głowę o badawczych oczach.

— Żołnierze weszli do Cumbe dziś o świcie. Pytali o ojca Joaqui— ima, szukali go. Podobno ucięli mu głowę.

Aniołek usłyszał szloch, ale nie obejrzał się: wiedział, że to płacze Alejandrinha

Correa. Łkanie wzmogło się i wypełniło całe Sanktuarium. Nauczyciel nawet nie drgnął.

— Pomódlmy się za ojca Joaquina — zabrzmiał jego serdeczny głos. — Teraz jest u Ojca. Stamtąd będzie nam nadal pomagał, skuteczniej niż na tym świecie. Radujmy się wraz z nim. Śmierć jest świętem dla sprawiedliwego.

Aniołek przyklęknął. Z całej duszy zazdrościł proboszczowi z Cumbe, bezpiecznemu już od Bestii, tam, wysoko, w miejscu wyróżnionym spośród wszystkich miejsc, gdzie wstępują tylko męczennicy Dobrego Jezusa.

Rufino przybywa do Cumbe jednocześnie z dwoma patrolami żołnierzy, którzy zachowują się, jakby osada była gniazdem wroga. Przeszukują domy, tłuką kolbami opornych, wywieszają rozporządzenie grożące śmiercią każdemu, kto ukrywa broń palną, i obwieszczają to łoskotem werbli. Szukają księdza. Rufino dowiaduje się, że w końcu go znaleźli i bez skrupułów wywlekli z kościoła. Wszędzie w Cumbe wypytuje o cyrkowców. Zatrzymuje się w domu pewnego ceglarza. Cała rodzina opowiada o rewizjach, o ludzkiej poniewierce, ale najbardziej gorszy ich świętokradztwo: napadać na kościół! pobić Bożego sługę! Prawdę mówią: to ludzie bez czci i wiary, zapredali się Szatanowi.

Rufino opuszcza osadę, pewien, że cudzoziemiec nie przechodził przez Cumbe. Może jest w Canudos? Albo w rękach żołnierzy? O mało co nie aresztują go oddziały Gwardii Chłopskiej, które obstały szlak do Canudos. Znają go, wstawiają się za nim u dowódcy i puszczają go wolno. Idzie na przelaj, na północ. Wkrótce słyszy strzał, spod nóg wzbija się kurz: strzelają do niego. Pada na ziemię, czołga się widzi dwóch gwardzistów skulonych za wzniesieniem. Krzyczą, żeby rzucił karabin i nóż. Podnosi się zwinnie, biegnie zakosami i nietknięty dopada ukrycia. Lawiruje w skalnym rumowisku, błądzi. Kiedy nabiera pewności, że nikt go nie ściga, jest tak wyczerpany, że zasypia jak kłoda. Według słońca odnajduje kierunek do Canudos. Gromady pielgrzymów płyną zewsząd po niewyraźnej ścieżce, którą przed kilkoma laty chadzały tylko stada bydła i zubożali handlarze. Wieczorem, obozując wśród pątników, słucha, jak okryty wrzodami staruuszek, idący z Sao Antonio, wspomina występy cyrkowców. Serce Rufina mocno bije. Pozwala staremu mówić, nie przerywa mu, a po chwili wie, że znów jest na tropie.

Po ciemku przybywa do Sao Antonio i siada nad sadzawką na brzegu Massacara, czekając, aż się rozwidni. Niecierpliwi się, nie może zebrać myśli. Z pierwszym promieniem słońca zaczyna prze-szukiwać jednakowe chaty. Większość z nich stoi pustkami. Pierwszy napotkany człowiek pokazuje, gdzie ma iść. Wchodzi do ciemnego, dusznego wnętrza, czeka, aż oczy przywykną do półmroku, z którego stopniowo wyłaniają się ściany, na nich smugi światła, jakieś gry-zmoły i Serce Jezusa. Nie ma sprzętów, obrazów, lampy, trwa tylko wspomnienie tych rzeczy, zabranych przez dawnych mieszkańców.

Kobieta leży na podłodze, wstaje na jego widok. Dookoła walają się kolorowe szmaty, wiklinowy koszyk, żarównik. Na podołku trzyma coś, co Rufino z trudem rozpoznaje: tak, to głowa węża. Tropiciel odkrywa teraz meszek ocieniający twarz i ramiona kobiety. Między nią i ścianą ktoś leży. Widać połowę ciała i parę nóg. W oczach Brodaczki dostrzega rozpacz. Skłania się z szacunkiem i pyta o cyrk. Ona patrzy nań, nie widząc, aż wreszcie podaje mu z niechęcią kobrę: może ją sobie zjeść. Rufino, siedząc w kucki, tłumaczy, że nie chce jej odebrać jedzenia, chce się tylko czegoś dowiedzieć. Brodaczka mówi o nieboszczyku. Konał powolutku, poprzedniej nocy wyzionął ducha. Słucha jej, kiwa głową. Ona usprawiedliwia się, ma wyrzuty sumienia: po co karmiła Idyllikę? Może powinna ją była zabić, może wtedy by przeżył? Sama sobie odpowiada, że nie. Kobra i nieboszczyk dzielili z nią życie od początku cyrku. W pamięci Rufina powraca obraz Cygana, Olbrzyma Pedrina i innych kuglarzy, których widział w dzieciństwie w Calumbi. Kobieta słyszała, że umarli idą do piekła, jeżeli się ich nie pochowa w trumnie. Boi się o niego. Rufino obiecuje, że zrobi

trumnę i wykopie dół dla jej przyjaciela. Czego od niej chce? Odpowiada, głos mu drży. Cudzoziemiec?, powtarza Brodaczka, Galileo Gall? Tak, to ten. Zabrali go jacyś ludzie na koniach, kiedy cyrk odchodził z osady. I znowu mówi o zmarłym. Nie mogła wlec go ze sobą, zlitowała się nad nim, została, pielęgnowała go. To byli żołnierze? Gwardia Chłopska? Bandyści? Nie wie. Ci sami, którzy obcięli mu włosy w Ipujiara? Nie, to nie tamci. Tylko jego szukali? Tak, cyrkowców zostawili w spokoju. Poszli w stronę Canudos? Tego też nie wie.

Rufino układa nieboszczyka między dwiema wyrwanymi okiennicami i obwiązuje całość jaskrawą szmatą. Zarzuca na barki tę wątpliwą trumnę. Wychodzi, a kobieta idzie w ślad za nim. Jacyś ludzie prowadzą go na cmentarz i pożyczają łopatę. Kopie dół, zasypuje go i czeka, aż Brodaczka skończy się modlić. Kiedy wracają do osady, dziękuje mu wylewnie. Rufino pyta, patrząc w drugą stronę: ją też zabrali? Brodaczka mruga. Ty jesteś Rufino, mówi. Tropiciele kiwa głową. Jurema wiedziała, że przyjdiesz. Ją też zabrali? Nie, odeszła z Karzelkiem do Canudos. Gromada ludzi, chorych i zdrowych, przysłuchuje się im z uciechą. Rufino czuje nagły przypływ zmęczenia. Chwieje się na nogach. Ofiarowują mu gościnę, a on przyjmuje nocleg w domu zajęty przez Brodaczkę. Śpi do wieczora, a kiedy się budzi, w chacie oprócz nich jest para nieznanym: kobieta i mężczyzna. Podsuwają mu miskę jakiejś gęstej papki. Rozmawia z nimi o wojnie, o tym, co się teraz wyrabia na świecie. Kiedy tamci odchodzą, wypytuje Brodaczkę o Juremę i Galla. Ona mówi wszystko, co wie, i dodaje, że też idzie do Canudos. Nie boi się leżeć wilkowi w paszczę? Bardziej boi się zostać sama; tam może odnajdzie Karzelka i znów będą razem.

Nazajutrz rankiem zegnają się. Tropiciele rusza na zachód, bo tutaj-si utrzymują, że tam właśnie udali się capangas. Przedziera się przez krzaki, ciernie i chaszczce. Późnym rankiem wymyka się patrolowi zwiadowców przeczesujących catingę. Często przystaje, bada ślady. Tego dnia nic nie może upolować, żuje trawę. Spędza noc w Ria-cho tle Varginha i rusza dalej. Niebawem dostrzega w oddali wojsko Rzeźnika, którego imię jest na ustach wszystkich. Widzi bagnety lśniące w tumanie kurzu. Słyszy trzeszczenie lawet toczących się w koleinach. Posuwa się szybko, ale do Zeli wchodzi dopiero pod wieczór. Dowiaduje się, że oprócz żołnierzy byli tu jaguncos Pajeu. Nikt nie pamięta oddziału capangas, nie widziano nikogo podobnego do Galla. Rufino słyszy w oddali zawodzenie drewnianych świstawek, których urywane dźwięki rozbrzmiewać będą przez całą noc.

Między Zelią i Monte Santo ziemia jest płaska, sucha i szorstka. Nic widać śladu ścieżki. Rufino idzie naprzód, bojąc się, że w każdej chwili może się natknąć na jakiś patrol. Wodę i jedzenie znajduje późnym rankiem. Wkrótce ogarnia go uczucie, że nie jest sam. Rozgląda się dokoła, wpatruje w catingę, idzie, zawraca: nic. Po chwili jednak przestaje wątpić: śledzą go, cała gromada. Próbuje ich zgubić, zmienia kierunek, kryje się, biegnie. Daremnie: to tropiciele, znają swój fach, są zawsze tuż obok, niewidzialni i bliscy. Zniechęcony, rezygnuje z ostrożności; idzie, czekając, aż go zabiją. Niebawem słyszy stado kóz. Wreszcie dostrzega polanę. Pierwej niż uzbrojonych mężczyzn widzi dziewczynę, koślawą albinoskę o udreżonych oczach. Przez jej podarte ubranie prześwitują siniaki. Bawi się pękiem pasterskich dzwoneczków i drewnianą świstawką. Mężczyźni — jest ich około dwudziestu — bez słowa pozwalają mu podejść. Wyglądają bardziej na wieśniaków niż na cangaceiros, ale są uzbrojeni: mają maczety, karabiny, ładownice, noże, rożki z prochem. Kiedy Rufino podchodzi, jeden z nich zbliża się do dziewczyny i uśmiecha się, żeby jej nie przestraszyć. Ona otwiera szeroko oczy i zastyga bez ruchu. Mężczyzna z uspokajającym gestem odbiera jej dzwoneczki i świstawkę, wraca do swoich towarzyszy. Rufino spostrzega, że wszyscy obwieszeni są dzwoneczkami i świstawkami.

Siedzą kołem, trochę z boku, i jedzą. Jego obecność nie dziwi ich, jakby na niego czekali. Tropiciele podnosi dłoń do słomianego kapelusza: „Dzień dobry”. Nie przerywają

posiłku, ktoś kiwa głową, a krzepki, smagły caboclo z blizną po cięciu, które niemal pozbawiło go nosa, bełkoce z pełnymi ustami: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus”. „Pajeu — myśli Rufino. — Zabije mnie”. Czuje smutek: umrze, nie uderzywszy w twarz człowieka, który go pohańbił. Pajei zaczyna go wypytywać. W jego głosie nie ma wrogości, nie każe mu nawet oddać broni: skąd jest, dla kogo pracuje, dokąd idzie, co widział. Rufino odpowiada bez wahania, milknąc jedynie wówczas, gdy słyszy nowe pytanie. Nikt nie przerywa posiłku, dopiero kiedy tropiciel wyjaśnia, czego szuka i dlaczego, zwracają ku niemu twarze i mierzą go wzrokiem od stóp do głów. Pajei każe mu powtórzyć, ile razy prowadził lotne oddziały w pościgu za cangaceiros. Chce sprawdzić, czy nie będzie sobie przeczył. Ale ponieważ od początku Rufino postanowił mówić prawdę, wszystko się zgadza. Wie, że jeden z nich tropił Pajeu? Tak, wie. Były bandyta mówi wówczas, że zapamiętał ten lotny oddział kapitana Geralda Macedo, Łowcy Bandytów, bo ledwie zdołał mu się wymknąć. „Dobry z ciebie tropiciel”, mówi. „Dobry — odpowiada Rufino — ale twoi są lepsi. Nie mogłem ich zgubić”. Co chwila zza gałęzi wynurza się jakaś bezszelestna postać, podchodzi, mówi coś do Pajeu i oddala się z tą samą widmową dyskrecją. Bez zniecierpliwienia, nie pytając, co z nim będzie, Rufino patrzy, jak kończą jeść. Jaguncos wstają, zasypują węgle ogniska, zacierają ślady swojej bytności gałęziami icó. Pajeu patrzy na niego. „Chcesz się zbawić?”, pyta. „Najpierw muszę zbawić mój honor”, mówi Rufino. Nikt się nie śmieje. Pajeu waha się kilka sekund. „Cudzoziemca, którego szukasz, zabrali do Calumbi, do barona de Cañabrava”, cedzi przez zęby. Oddala się ze swymi ludźmi, a Rufino spogląda na dziewczynę albinoskę, siedzącą na ziemi, i dwa sępy urubu w koronie imbuzeiro, skrzeczące chrapliwie jak starcy.

Odchodzi pospiesznie z polany, ale nim upłynęło pół godziny, jakaś drętwota, jakieś wielkie znużenie ogarnia jego ciało. Wali się na ziemię, tak jak stoi. Budzi się, pokąsany przez owady na twarzy, na szyi, na ramionach. Po raz pierwszy, odkąd opuścił Queimadas, czuje rozgoryczenie, przekonanie, że wszystko jest daremne. Wstaje, rusza w przeciwnym kierunku. Droga dłuży się w nieskończoność. A przecież wędruje okolicą znajomą od urodzenia, przedeptaną wzdłuż i wszerz: zna tu wszystkie skrótory, wie, gdzie szukać wody i gdzie najlepiej zastawiać sidła. Przez cały czas walczy ze zniechęceniem. Często powraca mu na myśl sen, jaki miał tego popołudnia: śniło mu się, że ziemia jest cienką skorupą, która w każdej chwili może pęknąć i po— chłonąć go. Mija ukradkiem Monte Santo i po niespełna dziesięciu godzinach marszu dociera do Calumbi. Szedł bez wytchnienia przez całą noc, czasami biegł. Przechodzi przez fazendę, gdzie się urodził, gdzie spędził dzieciństwo, i nie dostrzega wyniszczonych pól, wyludnienia, ogólnego upadku. Mija peonów, którzy pozdrawiają go, ale nie wita się z nimi, nie odpowiada na pytania. Nikt nie zastępuje mu drogi, tylko kilku mężczyzn podąża za nim z daleka.

Na grobli otaczającej dwór, wśród palm cesarskich i tamaryndowców kręcą się uzbrojeni ludzie, między stajniami, spichlerzami i barakami dla służby krążą peoni. Pałą, rozmawiają. Żaluzje w oknach są spuszczone. Rufino idzie przed siebie powoli, bacznie obserwując capangas. Bez rozkazu, w milczeniu wychodzą mu naprzeciw. Nie krzyczą, nie grożą, nie zadają pytań. Kiedy Rufino do nich dochodzi, chwytają go pod ramiona. Nie biją, nie odbierają mu karabinu, maczety ani noża; widać, że nie chcą być brutalni. Po prostu nie puszczają, go dalej. Poklepują go, pozdrawiają, radzą, żeby nie był uparty, żeby zrozumiał, że nie mogą inaczej. Tropiciel jest mokry od potu. Nie atakuje ich, ale próbuje się wyrwać. Kiedy strząsa z siebie tamtych dwóch i robi krok do przodu, już są przy nim dwaj inni, zmuszają, żeby się cofnął. Szamoczą się przez dłuższą chwilę, wreszcie Rufino ustępuje i spuszcza głowę. Mężczyźni zwalniają uścisk. Patrzy na dwupiętrowy fronton, na dachówki, na okno gabinetu barona. Robi krok do przodu i kordon natychmiast się zwiera. W otwartych drzwiach staje znajoma postać: to rządcza Aristarco, dowódca capangas.

— Jeśli chcesz się widzieć z baronem, przyjmie cię w tej chwili — mówi przyjaźnie.

Pierś Rufina wznosi się i opada.

— Wyda mi cudzoziemca?

Aristarco kręci przecząco głową.

— Wyda go żołnierzom. Wojsko pomści twoją hańbę.

— Jest mój — cedzi Rufino. — Baron dobrze o tym wie.

— On nie dla ciebie, tobie go nie odda — powtarza Aristarco. — Chcesz, żeby sam ci to wyjaśnił?

Rufino, zsiniąły, mówi, że nie. Żył na czole i szyi nabrzmiały mu, wzrok ma błędny, poci się.

— Powiedz baronowi, że już nie jest moim ojcem chrzestnym — odzywa się ochryplym głosem. — A tamtemu powiedz, że idę zabić kobietę, którą mi ukradł.

Spluwa, odwraca się i odchodzi z powrotem tą samą drogą.

Z okna gabinetu baron de Cañabrava i Galileo Gall zobaczyli, że Rufino odchodzi, a wartownicy i peoni wrócili na swoje miejsca. Galileo był czysty, dali mu koszulę i spodnie w lepszym stanie od tych, w których przyszedł. Baron siadł za biurkiem pod kolekcją noży i szpicrut. Z dymiącej filiżanki w zamyśleniu wypił łyk kawy. Potem przeniósł wzrok z powrotem na Galla, przypatrując mu się uważnie, jak entomolog zafascynowany rzadkim okazem. Patrzył na niego w ten sposób od chwili, gdy ujrzał, jak wchodzi do jego domu, wycieńczony i głodny, prowadzony przez Aristarca, a ciekawość ta wzrosła jeszcze, gdy usłyszał, co mówi.

— Czy kazałby pan zabić Rufina? — zapytał Galileo po angielsku. — Gdyby się uparł, że wejdzie, gdyby stał się zuchwały? O, tak, pewien jestem, że pan kazałby go zabić.

— Nie zabija się nieboszczyków, panie Gall — powiedział baron. — A Rufino jest nieboszczykiem. I to pan go zabił, odbierając mu Juremę. Każąc go zabić, wyświadczyłbym mu przysługę, uwolniłbym go od lęku przed hańbą. Nie ma gorszej męki dla sertanero.

Otworzył pudełko cygar. Wybrał jedno i zapalił, widząc oczami wyobraźni nagłówek w „Jornal de Noticias”: *Pacholek barona de Cañabrava przewodnikiem angielskiego agenta*. To było świetnie obmyślane, żeby akurat Rufino go prowadził. Czyż trzeba innego dowodu, że spiskowali wspólnie?

— Tego właśnie nie rozumiałem: jak Epaminondas zwabił w sertony domniemanego agenta — powiedział, poruszając nerwowo palcami. — Nie przeszło mi przez głowę, że samo niebo przyjdzie mu z pomocą, oddając w jego ręce pewnego idealistę. Ciekawa rasa ci idealisci. Nie znałem żadnego, a teraz w przeciągu kilku dni spo tkalem aż dwóch. Tym drugim jest pułkownik Moreira Cesar. Tak, to także marzyciel. Chociaż jego marzenia nie pokrywają się z pańskimi...

Przerwało mu gwałtowne ożywienie przed bramą. Podeszedł do okna i spojrzął przez pręty żelaznej kraty: nie, tym razem to nie Rufino, ale capangas Aristarca, którzy obstarpi czterech obcych mężczyzn z karabinami. „To Pajeu, ten z Canudos”, usłyszał słowa Galla— gościa czy więźnia w jego domu, tego baron sam dobrze nie wiedział. Przyjrzał się przybyszom. Trzech milczało, a czwarty mówił coś do Aristarca: niski, krępy, niemłody już caboclo o skórze grubej jak na by ku i twarzy przeciętej blizną. Tak, to może być Pajeu. Aristarco kiwnął kilka razy głową i ruszył w stronę domu. — Co za dzień! — mruknął baron, ssąc cygaro. Twarz Aristarca była nieprzenikniona jak zawsze, ale baron wyczytał w niej



trwożę.

— Pajeu — powiedział krótko. — Chce z panem mówić. Baron nie odpowiedział, lecz zwrócił się do Galla:

— Może pan odejść. Spotkamy się na kolacji. Tutaj, na wsi, jadamy wcześniej. O szóstej.

Kiedy Gall wyszedł, baron zapytał rządcę, czy jest ich tylko czterech. Nie, po okolicy kręci się co najmniej pół setki jaguncos. Czy ten caboclo to na pewno Pajeu? Tak, na pewno.

— A jeśli uderzą na Calumbi? — zapytał baron. — Obronimy się?

— Zginiemy — odparł capango, jakby już przedtem odpowiedział sobie na to samo pytanie. — Nie ufam naszym ludziom. W każdej chwili mogą odejść do Canudos.

Baron westchnął.

— Wprowadź go — powiedział. — Chcę, żebyś był przy tej rozmowie.

Aristarco wyszedł, a po chwili zjawił się z powrotem razem z caboclo. Człowiek z Canudos zdjął kapelusz, stając przed panem domu, blisko, zaledwie o metr. Baron spróbował odnaleźć w tych zawziętych oczach, w tej ogorzałej twarzy występki i zbrodnie, jakie mu przypisywano. Drapieżna blizna — od kuli, noża albo pazurów — była pamiątką życia pełnego gwałtu. Gdyby nie ona, można by go było wziąć za zwykłego wieśniaka. Ale wieśniacy, stając przed baronem, mrugali powiekami, spuszczały oczy... Pajeu zaś hardo spoglądał mu w twarz.

— Ty jesteś Pajeu? — zapytał wreszcie.

— Tak — potwierdził mężczyzna. Aristarco tkwił za nim niby posąg.

— Pustoszyłeś tę ziemię nie gorzej od suszy — powiedział baron. — Kradłeś, mordowałeś, paliłeś.

— To było dawno — odparł Pajeu bez urazy, z tajoną skruchą. -Grzeszyłem wiele i będę musiał zdać rachunek ze swego życia. Teraz służę Ojcu, nie Bestii.

Baron rozpoznał ten ton — ton kapucyńskich kaznodziejów z misji świętych, ton przygodnych apostołów nawiedzających Monte Santo, Moreiry Cesara, Galileo Galla. Ton niezachwianej pewności, pomyślał, ton ludzi, którzy nie wątpią. I po raz pierwszy zapragnął usłyszeć Nauczyciela, człowieka, który z łajdaka uczynił fanatyka wiary.

— Po co przyszedłeś?

— Przyszedłem spalić Calumbi — odpowiedział Pajeu beznamiętnym głosem.

— Spalić Calumbi? — Osłupienie odbiło się w twarzy, głosie, postaci barona.

— Żeby oczyścić ziemię — wyjaśnił powoli caboclo. — Ciężko pracowała, musi odpocząć.

Aristarco nie drgnął nawet, a baron, odzyskawszy pewność siebie, przyglądał się byłemu cangaceiro tak, jak w spokojniejszych czasach zwykł oglądać przez lupę motyle i rośliny ze swoich zbiorów. Poczł nagle pragnienie, by przeniknąć wewnątrz tego człowieka, poznać ukryte korzenie tego, co mówi. Jednocześnie zaś oczami wyobraźni widział Sebastianę szcnotkującą jasne włosy Esteli w ognistym kręgu ; płomieni. Zbladł.

— Czy ten wasz nieszczęsny Nauczyciel nie zdaje sobie sprawy, z tego, co robi? — Baron z trudem panował nad sobą. — Nie widzi, że spalone fazendy to głód i śmierć setek rodzin? Nie rozumie, że jego szaleństwo sprowadza wojnę na całą Bahię?

— Tak stoi w Biblii — tłumaczył Pajeu, niewzruszony. — Przyjdzie republika, przyjdzie Rzeźnik ze swoim wojskiem, będą wielkie klęski. Alec Belo Monte uratuje wszystkich biedaków.

— A czy ty w ogóle czytałeś Biblię? — mruknął baron.

— On ją czytał — powiedział caboclo. — Pan może odejść, z całą rodziną. Ale dał pan przewodników i bydło Rzeźnikowi. Calumbi jest ziemią przeklętą, stanęło po stronie Bestii.

— Nie pozwolę zniszczyć fazendy — rzekł baron. — Chodzi nie tylko o mnie. Chodzi o setki ludzi, którzy żyją z tej ziemi.

— Dobry Jezus zatroszczy się o nich lepiej niż pan — powiedział Pajeu.

Widać było, że nie szuka zaczepki, starał się mówić w sposób pełen szacunku. Był jakby speszony tym, że baron nie rozumie najprostszych spraw.

— Kiedy pan odjedzie, wszyscy pójdą do Belo Monte.

— Do tego czasu Moreira Cesar zmiecie Canudos z powierzchni ziemi — odparł baron. — Nie rozumiesz, że te wasze pukawki i noże na nic się nie zdadzą przeciw karabinom?

Nie, nie rozumie i nigdy nie zrozumie. Dyskusja z nim jest tak samo bezcelowa, jak z Moreirą Cesarem albo z Gallem. Barona przeszedł dreszcz; wydało mu się nagle, że świat stracił rozum, a życie dostało się we władzę irracjonalnych, ślepych sił.

— To tak mi się odplacacie za żywność, za bydło, za zboże? — powiedział. — Miałem umowę z Antoniem Vilanovą, że Calumbi i moich ludzi zostawicie w spokoju. To tak Nauczyciel dotrzymuje słowa?

— On musi być posłuszny Ojcu — wyjaśnił Pajeu.

— A więc to Bóg rozkazał spalić mój dom — mruknął baron.

— Ojciec — poprawił go caboclo żywo, jakby chcąc uniknąć wielkiego nieporozumienia. — Nauczyciel nie chce krzywdzić pana ani pańskiej rodziny. Możecie odejść wszyscy, kto tylko zechce.

— To bardzo uprzejmie — odparł baron sarkastycznie — ale nie pozwolę, żebyś spalił ten dom. Na krok się stąd nie ruszę.

Jakiś cień mignął w oczach caboclo, blizna na jego twarzy drgnęła.

— Jeżeli pan nie odjedzie, będę musiał zaatakować i zabić ludzi, których można uratować — tłumaczył strapiony. — Zabić pana i pańską rodzinę. Nie chcę, nie chcę, żeby ta śmierć spadła na moją głowę. A zresztą, kto by tutaj z nami walczył? — Machnął ręką do tyłu. — Niech pan zapyta Aristarca.

Czekał, błagając wzrokiem o pokojową odpowiedź.

— Możesz dać mi tydzień? — odezwał się wreszcie baron. — Nie mogę wyruszyć ot tak...

— Jeden dzień — przerwał Pajeu. — Może pan zabrać ze sobą, co pan chce. Nie mogę dłużej czekać. Szatan jest w drodze do Belo Monte. Muszę tam być i ja. — Włożył kapelusz, odwrócił się i ruszył do drzwi, prowadzony przez Aristarca. Przekraczając próg, rzucił przez ramię na pożegnanie: — Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

Baron spostrzegł, że cygaro zgasło. Strząsnął popiół, przypalił i wypuszczając dym,

obliczył, że w żadnym razie nie zdąży wezwać pomocy Moreiry Cesara w tak krótkim czasie. Wówczas, w fatali-stycznym poczuciu nieuchronnej klęski — ostatecznie on także był sertanero — zastanowił się, jak przyjmie Estela pożar tego domu i tej ziemi, nierozzerwalnie związanej z ich wspólnym życiem.

Pół godziny później jadł obiad, po prawej ręce mając Estelę, a po lewej Galileo Galla; wszyscy troje siedzieli na austriackich krzesłach o wysokich oparciach. Nie ściemniło się jeszcze, ale służba zapaliła już lampy. Baron obserwował Galla: Szkot podnosił łyżkę do ust bez apetytu, z udręczonym jakby z przyzwyczajenia wyrazem twarzy. Mimo iż baron powiedział mu, że jeśli zechce rozprostować nogi, może wyjść na spacer, Gall — poza chwilami, jakie spędzali na rozmowach — przesiadywał w swoim pokoju, tym samym, który przedtem zajmował Mo-reira Cesar, i pisał. Baron prosił go bowiem o wiarygodny opis wszystkiego, co wydarzyło się od rozmowy z Epaminondasem Goncalvesem. „Czy w zamian odzyskam wolność?“, zapytał Gall. Baron zaprzeczył ruchem głowy. „Pan jest najlepszą bronią, jaką mam przeciw moim wrogom“. Rewolucjonista milczał, a baron wątpił, czy rzeczywiście spisuje żądane zeznanie. Cóż więc mógł tam gryzmolić dniem i nocą? Poczul zaciekawienie, silniejsze w tej chwili od niepokoju.

— Idealista? — zaskoczył go głos Galla. — Człowiek, któremu przypisują tyle okrucieństw?

Zrozumiał, że Szkot bez uprzedzenia wraca do rozmowy z gabinetu.

— Wydaje się panu dziwne, że pułkownik może być idealistą? — odpowiedział po angielsku.— Otóż jest nim bez wątpienia. Nie interesują go pieniądze ani zaszczyty, a możliwe, że władzy też dla siebie nie pragnie. Jego pobudki są czysto abstrakcyjne: chorobliwy nacjonalizm, bałwochwalcze uwielbienie postępu technicznego, przeświadczenie, że tylko armia może przywrócić porządek, wyrwać kraj z chaosu i korupcji. Idealizm na modłę Robespierrea...

Milczał, gdy służący zbierał talerze. Z roztargnieniem bawił się serwetką, myśląc, że następnej nocy wszystko dokoła obróci się w gruzy i popiół. Przez chwilę pragnął, żeby stał się cud, żeby żołnierze jego wroga, Moreiry Cesara, zjawili się nagle w Calumbi, udaremniając zbrodnię.

— Jak często bywa z idealistami, jest bezlitosny, kiedy dąży do urzeczywistnienia swoich marzeń — dodał, a z jego twarzy nie sposób było wyczytać, co czuje. Estela i Gall spojrzeli nań. — Wie pan, co on zrobił w Fortaleza de Anhato Miram podczas rewolty federalistów przeciw marszałkowi Floriano? Kazał stracić stu osiemdziesięciu pięciu ludzi. Poddali się, ale jemu chodziło o co innego. Chciał im dać nauczkę.

— Wszystkim poderżnięto gardła — powiedziała baronowa po angielsku, lecz bez swobody barona: powoli, ostrożnie wymawiała każdą sylabę. — Wie pan, jak go nazywają chłopci? Rzeźnikiem.

Baron parsknął śmiechem. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w talerz, na który nałożono mu przed chwilą kolejną potrawę.

— Proszę sobie teraz wyobrazić, co będzie, kiedy ten idealista dostanie w swoje ręce monarchistów i anglofilów z Canudos — rzekł ponuro. — On wie, że i jedni, i drudzy to wytwór fantazji, ale dla jakobinów, dla sprawy, poręczniej jest, żeby istnieli, więc na jedno wychodzi. Dlaczego to robi? Dla dobra Brazylii, naturalnie. I z całej duszy wierzy, że tak jest.

Z trudem przełknął kęs i pomyślał o płomieniach, które zniszczą Calumbi. Widział, jak pożerają wszystko dokoła, słyszał trzaskanie ognia.

— Tych biedaków z Canudos znam dobrze — powiedział, czując, że dłonie mu wilgotnieją. — Są ciemni, przesadni i byle szarlatan z łatwością może im wmówić, że nadchodzi koniec świata. Ale to dzielni ludzie, wytrwali, obdarzeni nieomylnym instynktem godności. Co za absurd! Zginą jako monarchiści i anglofile. Oni, którzy myślą cesarza Pedra II z jednym z apostołów, nie mają pojęcia, gdzie leży Anglia, i spodziewają się, że król Sebastian wyjdzie z morza, żeby ich bronić.

Podniósł widelec do ust i przełknął kęs, który miał dla niego smak sady.

— Moreira Cesar mówił, że nie trzeba ufać intelektualistom — dodał. — Idealistom tym bardziej, panie Gall.

Głos tamtego dobiegł jego uszu jakby z oddali: — Niech mnie pan puści do Canudos. — Był rozogniony, wzruszony, oczy mu błyszczały. — Chcę umrzeć za to, co we mnie najlepsze, za to, w co wierzę, za to, o co walczyłem. Nie chcę skończyć jako głupiec. Ci biedacy przedstawiają sobą największą wartość tej ziemi: zbuntowane cierpienie. Mimo otchłani, jaka nas dzieli, może mnie pan przecież zrozumieć.

Baronowa gestem kazała służącemu zebrać nakrycia i wyjść.

— Na nic się panu nie przydam — dodał Gall. — Jestem być może naiwny, lecz brzydzę się fanfaronadą. Nic pan nie zyska, wydając mnie w ręce władz albo armii. Nie powiem ani słowa. A jeśli będzie trzeba, skłamię: przysięgnę, że zostałem opłacony przez pana, żeby oskarżyć Epaminondasa Goncalvesa o coś, czego nie zrobił. Bo chociaż on jest szczurem, a pan rycerzem, zawsze będę wolał jakobina od monarchisty. Jesteśmy wrogami, baronie, i proszę o tym nie zapominać.

Baronowa poderwała się z krzesła, jakby chciała wstać.

— Nie musisz wychodzić — powstrzymał ją baron. Słuchał Galla, ale myśleć mógł tylko o ogniu, który spali Calumbi. Jak o tym powiedzieć Esteli?

— Proszę mnie puścić do Canudos — powtórzył Gall.

— Ale po co?! — wykrzyknęła baronowa. — Jaguncos zabijają pana, myśląc, że jest pan wrogiem! Czyż nie twierdzi pan, że jest ateistą, anarchistą? Co też pan może mieć wspólnego z Canudos?!

— Łączy mnie z jaguncos wiele spraw, droga pani, chociaż oni tego nic wiedzą — powiedział Gall. I po chwili milczenia zapytał: — Wypuści mnie pan stąd?

Baron niemal bezwiednie odezwał się po portugalsku do żony:

— Musimy odejść, Estelo. Chcą spalić Calumbi. Nie ma innej rady. Nie obronię się z tą garstką ludzi, jaka przy mnie została. Nie warto popępniać samobójstwa.

Zobaczył, że Estela nieruchomieje, blednie, przygryza wargi. Pomyślał, że zaraz zemdleje. Zwrócił się do Galla:

— Jak pan widzi, muszę rozmówić się z żoną w pewnej bardzo ważnej sprawie. Zobaczę się z panem później.

Gall wyszedł natychmiast. Gospodarze zostali sami. Milczeli. Baronowa czekała, nie otwierając ust. Baron opisał jej swoją rozmowę z Pajeu. Spostrzegł, że stara się zachować spokój, co udawało jej się z wielkim trudem. Oczy miała wpadnięte, drżała. Zawsze bardzo ją kochał, a w chwilach trudnych — kochał i podziwiał jednocześnie. Nigdy nie widział w niej objawów słabości: jej filigranowa kruchość skrywała niezłomną wolę. Pomyślał, że i tym razem osłoni go przed nieszczęściem. Wytłumaczył jej, że prawie nic nie będą mogli zabrać ze sobą, więc wszystkie cenne rzeczy trzeba zapakować w kufry i zakopać, a resztę najlepiej

rozdać służącym i peonom.

— Nic się nie da zrobić?— szepnęła baronowa, jakby jakiś wróg mógł ją usłyszeć.

Baron pokręcił głową: nic.

— W rzeczywistości nie chcą nas skrzywdzić. Chcą zabić diabła, chcą, żeby ziemia odpoczęła. Dyskusja byłaby bezcelowa. — Wzruszył ramionami i jakby czując, że zaczyna się rozklejać, położył kres rozmowie: — Wyruszamy jutro w południe. Taki dali termin.

Baronowa skinęła głową. Jej rysy zaostrzyły się, czoło przecięła zmarszczka, wargi drżały.

— A więc czeka mnie pracowita noc — powiedziała, wstając.

Baron popatrzył za nią i wiedział, że najpierw pójdzie opowiedzieć wszystko Sebastianie. Kazał zawołać Aristarca i omówił z nim przygotowania do drogi. Potem zamknął się w gabinecie i długo darł zeszyty, papiery, listy. To, co zabierze ze sobą, zmieściło się w dwóch małych walizkach. Idąc do pokoju Galla, przekonał się, że Estela i Sebastiana już się wzięły do pracy. Cały dom opanowała gorączkowa aktywność, służący i pokojówki krążyli od izby do izby, nosząc rzeczy, zdejmując ze ścian ozdoby, pakując kosze, skrzynie, kufry i szepcząc po kątach, z paniką w oczach. Wszedł bez pukania. Gall pisał na nocnym stoliku, lecz usłyszawszy jego kroki, spojrzął pytająco, z piórem w dłoni.

— Wiem, że to głupota pozwolić panu odejść — powiedział baron z uśmiechem, który w rzeczywistości był grymasem. — Powiniennem raczej promenować się z panem po Salvadorze i po Rio, tak jak inni obnosili się z pańskimi włosami, pańskim domniemanym trupem i domniemaną angielską bronią... — Nie dokończył zdania, zniechęcony.

— Żeby nie było nieporozumień — powiedział Gall. Stał blisko barona, stykali się kolanami. — Nie zamierzam troszczyć się o pańskie sprawy, nigdy nie będziemy współnikami. Jest wojna i każda broń Jest dobra.

W jego mowie nie było napastliwości, baron patrzył nań jakby z oddalenia i widział małego, egzotycznego, nieszkodliwego, absurdalnego człowieka.

— Każda broń jest dobra — mruknął. — Oto istota nadchodzącej epoki dwudziestego stulecia, panie Gall. Nie dziwi mnie, że ci szaleńcy myślą, iż nastał koniec świata.

Dostrzegł tyle udreki w twarzy Szkota, że nagle poczuł litość. Pomyślał: „Wszystko, czego pragnie, to odejść, żeby umrzeć jak pies wśród ludzi, którzy go nie rozumieją i których on nie rozumie. Wierzy, że zginie śmiercią bohatera, tymczasem czeka go koniec, jakiego się obawiał: umrze jako głupiec”. Cały świat zdał mu się ofiarą jakiegoś beznadziejnego *qui pro quo*.

— Niech pan idzie — powiedział. — Dam panu przewodnika. Ale wątpię, czy pan dotrze do Canudos.

Zobaczył rumieniec na twarzy Galla, usłyszał, jak jąka słowa podziękowania.

— Sam nie wiem, dlaczego pozwalam panu odejść — dodał. — Fascynują mnie idealisci, choć sympatii bynajmniej we mnie nie budzą. Chociaż pan... może tak, odrobinę. Bo pan jest człowiekiem zgubionym bez ratunku, a pański koniec będzie skutkiem pomyłki.

Spostrzegł jednak, że Gall go nie słucha: zbierał ze stolika zapisane kartki. Podał je baronowi.

— Oto, w skrócie, kim jestem, co myślę. — Jego spojrzenie, ręce, skóra płonęły niczym w gorączce. — Być może nie jest pan najbardziej odpowiednią osobą, której

mógłbym to powierzyć, ale nie mam pod ręką nikogo innego. Proszę przeczytać, a potem wdzięczny będę, jeśli pan to wyśle pod ten adres w Lyonie. To gazeta, wydawana przez moich przyjaciół. Nie wiem, czy nadal się ukazuje... — Zamilkł, jakby zawstydzony. — Kiedy mogę odejść?

— Zaraz — powiedział baron. — Przypuszczam, że nie muszę uprzedzać, na co się pan naraża. Najprawdopodobniej wpadnie pan w ręce żołnierzy. A pułkownik zabije pana, tak czy inaczej.

— Nie zabija się nieboszczyków, sam to pan powiedział — odrzekł Gall. — Proszę pamiętać, że raz już mnie zabili, wtedy w Ipupiarą...

## **Rozdział V**

Oddział posuwa się naprzód przez piaszczystą równinę, z oczami Utkwionymi w zarośla. Wszystkie twarze są pełne nadziei; wszystkie, Oprócz twarzy dziennikarza okularnika. Od kiedy opuścili obozowisko, myśli: „Nic z tego nie będzie”. Ani słowem nie zdradził się ze (woim czarnowidztwem, z którym walczy, odkąd rozdzielono racje Wody. Niedostatek jedzenia nie stanowi dlań problemu, zawsze był niejadkiem. Źle za to znosi pragnienie. Co chwila przyłapuje się na liczeniu minut, jakie pozostały mu do pociągnięcia kolejnego łyka Wody, zgodnie ze sztywnym rozkładem godzin, jaki sam sobie narzucił. Być może dlatego dołączył do patrolu kapitana Olimpia de Castro. Czas postoju najrozsądniej byłoby wykorzystać na odpoczynek. Ten wypad zmęczy go — jest przecież kiepskim jeźdźcem — i z pewnością zwiększy jego pragnienie. Ale nie: tam, w obozie, owładnie nim trwoga, napelni go ponurymi przewidywaniami. Tutaj przynajmniej musi skoncentrować się na wysiłku, jaki stanowi dlań utrzymanie się w siodle. Wie, że jego okulary, ubranie, ciało, pulpit, kałamarz są powodem drwin żołnierzy. Ale wcale się tym nie przejmuje.

Tropiciel prowadzący patrol pokazuje studnię. Dziennikarzowi wystarczy rzut oka na jego twarz i już wie, że i ta studnia jest zasypana przez jaguncos. Żołnierze biegną z manierkami, przepychają się jeden przez drugiego; słyszy dźwięk blachy uderzającej o kamienie i widzi rozczarowanie, rozgoryczenie na twarzach ludzi. Co tu robi? Dlaczego nie siedzi teraz w swoim zabałaganionym mieszkaniu w Salwadorze, wśród własnych książek, paląc opium, czując tamten ogromny spokój?

— Cóż, można się było tego spodziewać — mruczy kapitan Olimpio de Castro. — Ile jeszcze zostało studni w okolicy?

— Tylko dwie. — Tropiciel krzywi się sceptycznie. — Ale chyba nie ma po co...

— Nieważne. Sprawdzić — przerywa mu kapitan. — Sierzancie! Macie tu być z powrotem, zanim się ściemni.

Oficer i dziennikarz jadą kawałek dalej z resztą patrolu. Kiedy zarośla zostają w tyle, a wokół znów otacza ich rozprażona równina, słyszą, jak tropiciel szepcze, że spełnia się proroctwo Nauczyciela: Dobry Jezus zamknie Canudos w kręgu, poza którym ustanie życie roślin, zwierząt i ludzi.

— Jeżeli w to wierzysz, co robisz wśród nas? — pyta Olimpio de Castro.

Tropiciel przesuwa dłonią po grdyce.

— Bardziej się boję Rzeźnika niż Złego.

Kilku żołnierzy wybucha śmiechem. Kapitan i dziennikarz okularnik odłączają się od patrolu. Galopują chwilę, aż wreszcie oficer lituje się nad swoim towarzyszem i zwalnia do stępa. Dziennikarz z ulgą, wyłamując się ze swego godzinowego reżimu, pociąga łyk wody.

Trzy kwadransy później dostrzegają w oddali obozowe namioty.

Gdy mijają pierwsze strażę, dogania ich w obłoku kurzu inny patrol, jadący z północy. Porucznik, który go prowadzi, bardzo młody, uwalany ziemią, jest zadowolony.

— I co? — zwraca się doń na powitanie Olimpio de Castro. — Ma go pan?

Porucznik wskazuje podbródkiem do tyłu. Dziennikarz okularnik dostrzega jeńca. Ma związane ręce, wystraszoną twarz, rozbiegane oczy, a to, co wygląda na nocną koszulę, musiało być niegdyś księżą sutanną. Jest niski, krępy, brzuchaty, z białymi kosmykami na skroniach. Żołnierze ruszają dalej, za nimi kapitan i dziennikarz. Kiedy stają przed namiotem dowództwa 7. Pułku, dwaj z nich otrzepują rękami ubranie jeńca. Jego osoba wywołuje zamieszanie. Wszyscy podchodzą, żeby mu się przyjrzeć: szczęka zębami i rozgląda się z przerażeniem, jakby w obawie, że zaczną go bić. Porucznik wpycha go do namiotu, a dziennikarz okularnik wślizguje się za nimi.

— Zadanie wykonane, pułkowniku — mówi młody oficer, stukając obcasami.

Moreira Cesar wstaje od składanego stolika, za którym siedział między pułkownikiem Tamarindo i majorem Cunuhą Matosem. Podchodzi i bada jeńca swoimi zimnymi oczami. Jego twarz nie zdradza emocji, ale dziennikarz okularnik spostrzega, że przygryza dolną war-gę, jak zawsze, gdy jest wzburzony.

— Dobra robota, poruczniku — mówi, ściskając mu dłoń. — A teraz proszę odpocząć.

Dziennikarz okularnik widzi, że oczy pułkownika zatrzymują się przez chwilę na jego oczach i boi się, że tamten każe mu odejść. Ale nic takiego się nie dzieje. Moreira Cesar wpatruje się w jeńca z uwagą. Są prawie jednego wzrostu, chociaż oficer jest dużo szczuplejszy.

— Pan umiera ze strachu.

— Tak jest, ekscelencjo, umieram — bełkocze jeńiec. Ledwo może mówić, tak się trzęsie. — Sponiewierali mnie. Moja suknia duchowna...

— ...nie odwiódła pana od przejścia na żołd wrogów ojczyzny — ucina pułkownik. Robi kilka kroków i staje przed proboszczem z Cumbe, który spuszcza głowę.

— Jestem człowiekiem pokoju, ekscelencjo — jęczy.

— Nie, jest pan wrogiem republiki na żołdzie monarchistów i obcych mocarstw.

— Obcych mocarstw? — bełkocze ojciec Joaquim, tak osłupiały, że zapomina o strachu.

— Panu nie przysługuje alibi w postaci zabobonu — dodaje Moreira Cesar spokojnie, z rękami na plecach. — Te wszystkie banialuki o końcu świata, o Diablu i o Bogu...

Pozostali śledzą w milczeniu wędrówkę pułkownika. Dziennikarz okularnik czuje w nosie łaskotanie poprzedzające zwykle kichnięcie, co — nie wiedzieć czemu — napełnia go trwogą.

— Po pańskim strachu poznaję, że wie pan, o czym mówię, panie księżu — mówi szorstko Moreira Cesar. — Istotnie, mamy sposoby, żeby zmusić do mówienia najdzielniejszego jagunco. Proszę więc nie zmuszać mnie, bym tracił czas.

— Nie mam nic do ukrycia — jąka proboszcz i znów zaczyna się trząść. — Nie wiem, czy robię dobrze, czy źle. Nie bardzo rozumiem...

— Przede wszystkim kontakty — przerywa pułkownik, a dziennikarz okularnik

spozstrzega, że nerwowo porusza splecionymi na plecach palcami. — Obszarnicy, politycy, doradcy wojskowi: nasi i Anglicy.

— Anglicy?! — wykrzykuje ksiądz, wytrącony z równowagi. — Nigdy nie widziałem w Canudos żadnego cudzoziemca. Toż to sama nędza. Żaden fazender ani polityk nie zadawałby się z taką hołotą. Zapewniam pana. Oczywiście, wielu przyszło z daleka. Z Pernambuco, z Piaui. To jedna ze spraw, które mnie w tym wszystkim zdumiewają. Jak tyłu ludzi...

— Ilu? — przerywa pułkownik gwałtownie, aż księżulo się wzdryga.

— Tysiące — mruczy — pięć, osiem tysięcy, a bo ja wiem? Najbiedniejsi, opuszczeni od Boga i ludzi. Rozmawia pan z kimś, kto widział ogrom nędzy. Tutaj też jej nie brak: susza, epidemie... Ale tam wygląda tak, jakby wyznaczyli sobie spotkanie, jakby sam Bóg zebrał ich razem. Chorzy, kaleki, ludzie pozbawieni wszelkiej nadziei, wszyscy w kupie. Czyż nie jest moim kapłańskim obowiązkiem być tam z nimi?

— Bo taka była zawsze polityka Kościoła katolickiego: być tam, gdzie spodziewa się własnej korzyści — mówi Moreira Cesar. — Czy pomaga pan buntownikom na polecenie biskupa?

— A przecież ci ludzie są szczęśliwi pomimo nędzy — ciągnie ojciec Joaquim, jakby nie słyszał. Wodzi oczami od Moreiry Cesara do Ta— marinda i Cunhi Matosa. — Najszczęśliwsi, jakich widziałem, proszę mi wierzyć. Trudno to pojąć także mnie. Ale tak jest, tak jest. On dał im jakiś spokój ducha, jakąś zgodę na wyrzeczenie, na cierpienie, i i o jest chyba cud.

— Porozmawiajmy o kulach dum-dum — mówi Moreira Cesar. — Zagłębiają się w ciało i rozpryskują się jak granat, rozrywając tkanki. Nasi lekarze nigdy dotąd nie widzieli takich ran. Skąd się biorą? Także cudem?

— Nie znam się na broni — jąka ojciec Joaquim. — Pan mi nie wierzy, ale to prawda, ekscelencjo. Przysięgam na suknię, którą noszę, Tam się dzieje coś nadzwyczajnego. Ci ludzie żyją w stanie łaski.

Pułkownik patrzy na niego szyderczo. Ale dziennikarz okularnik zapomniał w swoim kącie o pragnieniu i zawisł wzrokiem na wargach proboszcza, jakby to, co powie duchowny, było dlań sprawą życia i śmierci.

— Święci, sprawiedliwi, ewangeliczni, wybrańcy Boga? I ja mam to przełknąć? — mówi pułkownik. — Ci sami, którzy palą i mordują, a republikę nazywają Antychrystem?

— Źle mnie pan zrozumiał, ekscelencjo! — krzyczy jeniec. — Popełnili wiele zbrodni, to prawda. Ale, ale...

— Ale pan jest ich współnikiem — cedzi pułkownik. — Nazwiska księży, którzy im pomagają?

— Nie wiem, jak to wyjaśnić. — Proboszcz z Cumbe spuszcza głowę. — Z początku jeździłem odprawiać dla nich msze. Nigdy nie widziałem równej żarliwości, takiego uczestnictwa. Nadzwyczajna jest wiara tych ludzi. Popełniłbym grzech, odwracając się do nich plecami. Dlatego ciągle tam jeździłem, mimo zakazu arcybiskupa. To grzech zostawiać ich bez sakramentów. Nigdy u nikogo nie widziałem takiej wiary. Dla nich religia jest wszystkim. Otwieram przed panem moje sumienie. Wiem, że jestem niegodnym kapłanem.

Dziennikarz okularnik zapragnął nagle mieć przy sobie swój pulpit, swoje pióro, swój kałamarz, swoje papiery.



— Miałem kochankę. Żyłem z nią jak mąż z żoną przez wiele lat — jąka ksiądz z Cumbe. — Mam dzieci.

Spuszcza głowę, drży i na pewno, myśli dziennikarz okularnik, nie dostrzega uśmiešku majora Cunhi Matosa. Myśli, że księżulo z pewnością czerwieni się ze wstydu pod skorupą ziemi zaschniętą na jego umorusanej twarzy.

— To, że jakiś ksiądz jest dzieciaty, nie spędza mi snu z powiek — mówi Moreira Cesar. — Dziwi mnie natomiast, że Kościół katolicki stanął po stronie buntowników. Nazwiska księży, którzy czynnie pomagają Canudos?

— A on dał mi nauczkę — ciągnie ojciec Joaquim. — Wyrzekł się wszystkiego, poświęcił się sprawom ducha, temu, co najważniejsze Czyż sprawy Boga, duszy, nie powinny stać na pierwszym miejscu?

— Nauczyciel? — pyta Moreira Cesar z sarkazmem. — Święty, zapewne?

— Nie wiem, ekscelencjo — mówi jeniec. — Codziennie, odkąd wiele lat temu zobaczyłem go wchodzącego do Cumbe, zadaję sobie to samo pytanie. Pomylenieć, myślałem z początku, tak jak hierarchia. Arcybiskup przysłał kilku ojców kapucynów, żeby to sprawdzić. Nie zrozumieli nic, wystraszyli się, oni także powiedzieli, że jest szalony. Ale w takim razie czym to wytłumaczyć? Te nawrócenia, ten spokój ducha, to szczęście biedaków?

— A czym wytłumaczyć zbrodnie, dewastację majątków, atak na żołnierzy? — przerywa pułkownik.

— Zapewne, zapewne, nie mają usprawiedliwienia — zgadza się ojciec Joaquim. — Ale oni nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią. To znaczy popełniają zbrodnie w dobrej wierze. Z miłości do Boga. Tak, rzeczywiście, jest w tym wielki zamęt.

Rozgląda się wokół przerażony, jakby powiedział coś, co może stać się przyczyną tragedii.

— Kto nakładł do głowy tym nieszczęśnikom, że republika jest Antychrystem? Kto zmienił religijny obłęd w militarny ruch, wymierzony w politykę rządu? To właśnie chcę wiedzieć, panie księżu. — Moreira Cesar podnosi głos, który brzmi jak rozstrojony instrument. — Kto zaprzął tych biedaków w służbę politykierów, którzy chcą przywrócić monarchię w Brazylii?

— Oni nie politykują, nie mają pojęcia o polityce! — wrzeszczy ojciec Joaquim. — Występują przeciw ślubom cywilnym, stąd ten Antychryst. To prawdziwi chrześcijanie. Nie widzą powodu, żeby wprowadzać śluby cywilne, skoro istnieje sakrament ustanowiony przez Boga...

Milknie jednak, zachłysnąwszy się własnymi słowami, bo Moreira Cesar wyciąga pistolet z kabury. Spokojnie odbezpiecza spust i przykłada broń do skroni jeńca. Serce dziennikarza okularnika wali jak bęben, a skronie bolą go z wysiłku, bo natęża się, żeby powstrzymać kichnięcie.

— Nie zabijajcie mnie! Nie zabijajcie mnie, na wszystko, co panu drogie, ekscelencjo, wasza wielmożność! — Pada na kolana.

— Wbrew mojemu ostrzeżeniu, tracimy przez pana czas, panie księżu — mówi pułkownik.

— To prawda, wozilem im lekarstwa, żywność, kupowałem, o co prosili — jęczy ojciec Joaquim. — Materiały wybuchowe też. I proch, i dynamit. Kupowałem to w kopalniach Cacabu. To był błąd, na pewno. Nie wiem, nie myślałem o tym. Wstydzę się,

zazdroszczę im tej wiary, tego spokoju ducha. Nigdy czegoś podobnego nie zaznałem. Nie zabijajcie mnie!

— Kto im pomaga? — pyta pułkownik. — Kto dostarcza broń, żywność, pieniądze?

— Nie wiem kto, nie wiem — chlipie ksiądz. — To znaczy tak, wielu lazenderów. Tak każe obyczaj, ekscelencjo. Tak samo jak z bandytami. Dają im co nieco, żeby ich nie napadli, żeby sobie poszli.

— Z fazendy barona de Cañabrava też otrzymują pomoc? — przerywa mu Moreira Cesar.

— Tak, przypuszczam, że z Calumbi także. Taki już obyczaj. Ale to się zmienia, wielu uciekło. Nigdy nie widziałem w Canudos żadnego plantatora, żadnego polityka, żadnego cudzoziemca. Sami nędzarze. Mówię panu wszystko, co wiem. Nie jestem taki jak oni, nie chcę zostać męczennikiem, nie zabijajcie mnie.

Głos mu się łamie; kuli się i wybucha płaczem.

— Na stole leży papier — mówi Moreira Cesar. — Chcę mieć szczegółową mapę Canudos: ulice, bramy, system obrony.

— Tak, tak — pełźnie na czworakach do składanego stolika ojciec Joaquim. — Wszystko, co wiem. Po cóż miałbym kłamać?

Gramoli się na krzeselko i zaczyna rysować. Moreira Cesar, Ta-marindo i Cunha Matos stają dokoła. W swoim kącie dziennikarz z „Jornal de Notfcias” oddycha z ulgą: nie zobaczy, jak głowa księżula rozlatuje się w kawałki. Dostrzega jego załężniony profil pochylony nad kartką, widzi, jak rysuje mapę, której odeń zażądali. Słyszy pospieszne odpowiedzi na pytania o transzeje, pułapki, odcięte drogi. Dziennikarz okularnik siada na ziemi i kicha dwa, trzy, dziesięć razy. W głowie mu się kręci i znowu zaczyna odczuwać niezwaiczone pragnienie. Pułkownik i inni oficerowie rozmawiają z jeńcem o „gniazdach karabinów” i „posterunkach przedniej straży” — ksiądz wygląda, jakby niezbyt dobrze rozumiał, o co chodzi — a on otwiera manierkę i pociąga długi łyk, myśląc, że raz jeszcze wyłamuje się ze swego godzinowego reżimu. Roztargniony, oszołomiony, słucha obojętnie, jak oficerowie rozprawiają o bezładnych, nieścisłych informacjach proboszcza i jak pułkownik tłumaczy, gdzie staną karabiny maszynowe, gdzie armaty i jak należy rozmieścić oddziały, żeby wziąć jaguncos w dwa ognie. Słyszy jego głos:

— Musimy ich pozbawić wszelkiej możliwości ucieczki. Przesłuchanie dobiegło końca. Wchodzą dwaj żołnierze, by wyprowadzić jeńca. Przedtem jednak Moreira Cesar mówi:

— Zna pan okolicę, pomoże pan przewodnikom. A nam pomoże pan zidentyfikować prowodyrów, kiedy przyjdzie pora.

— Myślałem, że pan chciał go zabić — odzywa się z podłogi dziennikarz okularnik, kiedy wyprowadzono jeńca.

Pułkownik patrzy na niego, jakby dopiero teraz go zauważył

— Pan ksiądz przyda się nam w Canudos — odpowiada. — A poza tym trzeba, żeby wiedziano, iż przystąpienie Kościoła do obozu republiki nie jest tak szczere, jak sądzą niektórzy.

Okularnik wychodzi. Zapadła noc. Księżyc, wielki i żółty, oblewa światłem obozowisko. Kiedy dziennikarz idzie do namiotu, który dzieli z leciwym dziennikarzem, tak bardzo wrażliwym na zimno, właśnie trąbią na posiłek. Dźwięk odbija się gdzieś daleko. Tu i

tam zapłonęły ogniska, a on przechodzi między grupkami żołnierzy ciągnących po mizerne racje żywności. Przy kuchni polowej spotyka swego kolegę: szyję jak zwykle owiniętą ma szalikiem. Kiedy czekają w kolejce po jedzenie, dziennikarz z „Jornal de Noticias” opowiada mu wszystko, co widział i słyszał w namiocie pułkownika. Siedząc na ziemi, rozmawiają i jedzą gęstą breję o niewyraźnym posmaku tapioki, z dwiema kostkami cukru. Dostają też kawę, której aromat wydaje im się wręcz boski.

— Czym pan się tak przejął? — pyta go ten drugi.

— Nie rozumiem, co się dzieje w Canudos — odpowiada. — To bardziej skomplikowane, bardziej zagmatwane niż sądziłem.

— Jeśli o to idzie, nigdy nie wierzyłem, że emisariusze Jej Brytyjskiej Królewskiej Mości grasują po sertonach — chrząka stary dziennikarz. — Ale w bajeczki księżula, że za tym wszystkim stoi tylko miłość do Boga, także nie mogę uwierzyć. Za dużo karabinów, za dużo krwi, zbyt dobrze obmyślona taktyka, żeby to wszystko miało być dziełem niepiśmiennych sebastianistów.

Okularnik nie mówi nic. Wracają do namiotu, a stary dziennikarz okrywa się i zasypia natychmiast. On jednak czuwa; rozkłada na kolanach swój składany pulpit i pisze przy świeczce. Kiedy słycać trąbkę na capstryk, wyciąga się na kocu. Wyobraża sobie żołnierzy śpiących pod gołym niebem, w ubraniach, obok karabinów ustawionych w kozły, konie stojące w zagrodzie obok armat. Długo nie może zasnąć: myśli o wartownikach, którzy krążą wokół obozowiska i przez całą noc będą porozumiewać się za pomocą gwizdków. Ale jednocześnie — podświadoma, kłująca, niepokojąca — nurtuje go inna troska: pojmany ksiądz, jego bełkot, jego słowa. Czy stary korespondent i pułkownik mają rację? Czy można wyjaśnić Canudos poprzez znane pojęcia spisku, rebelii, buntu, intryg polityków, którzy dążą do restauracji monarchii? Dziś, słuchając zastrachanego księżula, miał pewność, że nie. Tu chodzi o coś bardziej powszechnego, niedzisiejszego, niezwykłego, coś, co wrodzony sceptycyzm wzbrania mu nazwać pierwiastkiem boskości lub diabelstwa albo po prostu uduchowieniem. A więc co? Oblizuje pustą manierkę i wkrótce zapada w sen.

Kiedy pierwszy brzask rozwidnia widnokrąg, na krańcu obozowiska słycać beczenie i dzwonki. Mała kępa zarośli zaczyna się poruszać. Kilka głów podnosi się w oddziale, który strzeże od tej strony pułku. Odchodzący wartownik wraca po cichu. Zbudzeni hałasem żołnierze wyteżają oczy, przykładają dłonie do uszu. Tak: beczenie, dzwonki. Na ich twarzach, zaspanych, spragnionych, wygłodniałych, widać radosny niepokój. Przecierają oczy, dają sobie znaki, żeby zachować ciszę, wstają ukradkiem i pędzą ku krzakom. Wciąż słycać beczenie, dzwonienie. Pierwsi, którzy dobiegają do zarośli, widzą z daleka owce biejące w błękitnym cieniu: meć, meć... Złapali jedno zwierzę i wtem wybucha strzelanina, słycać jęki ludzi, którzy padają na ziemię trafieni kulą lub strzałą.

Na przeciwległym krańcu obozowiska dźwięczy trąbka, ogłaszając wymarsz kolumny.

Bilans zasadzki nie jest zbyt poważny — dwóch zabitych, trzech rannych — a patrole, które wyruszyły w pościg za jaguncos, nie wracają z pustymi rękami: prowadzą tuzin owiec. Ich mięso pokrzepi żołnierzy. A jednak, może z powodu rosnących trudności z prowiantem i wodą, a może przez bliskość Canudos, w reakcji oddziału wyczuwa się pewną nerwowość, dotychczas nieujawniającą się w szeregach.

Żołnierze z kompanii, do której należą ofiary starcia, proszą Moreirę Cesara, żeby w odwecie stracił jeńca. Dziennikarz okularnik stwierdza zmianę w postawie mężczyzn stłoczonych wokół białego konia dowódcy 7. Pułku: wykrzywione twarze, w oczach nienawiść. Pułkownik pozwala im mówić, słucha, kiwa głową, a oni krzyczą jeden przez drugiego. Wreszcie tłumaczy im, że ów jeńiec nie jest pierwszym lepszym jagunco, ale kimś,

kto przyda się pułkowi w Canudos.

— Zemście się — mówi. — Już niedługo. Zachowajcie swój gniew, nie wyładujcie go przedwcześnie.

Ale jeszcze tego samego dnia w południe żołnierze biorą odwet, jakiego pragnęli. Pułk przechodzi u stóp kamienistego wzgórza, na którym widać — obraz taki nie należy do rzadkości — skórę i łeb krowy, z której sępy urubii wydziobały wszystko, co nadawało się do jedzenia. Tknięty przecuciem, jakiś żołnierz szepcze, że to martwe zwierzę jest zamaskowaną strażnicą. Ledwie wyrzekł te słowa, a inni już łamią szyki, biegną i wyją z entuzjazmu, widzą, jak z jamy pod krowim szkieletem wychyla się podobny do kościotrupa jagunco. Spadają na niego, dźgają go nożami, bagnetami. W mgnieniu oka obcinają mu głowę i niosą ją do Moreiry Cesara. Odgrają się, że wystrzelą ją z armaty na Canudos, żeby buntownicy wiedzieli, co ich czeka. Pułkownik mówi do dziennikarza okularnika, że oddział jest w świetnej formie bojowej.

Galileo Gall nie miał ochoty na sen, chociaż jechali całą noc. Szkapy były stare i chude, ale szły niezamordowanie aż *do* późnego ranka. Nie było łatwo porozumieć się z przewodnikiem. Nazywał się Ulpino, miał grube rysy, miedzianą skórę i bez przerwy żuł tytoń. Nie zamienili prawie słowa aż do południa, kiedy zrobili postój, żeby coś zjeść. Jak długo będą szli do Canudos? Przewodnik, wypluwając źdźbło trawy, nie udzielił mu dokładnej odpowiedzi. Jeśli konie wytrzymają — dwa, trzy dni. Ale to w normalnych czasach, nie dziś... Teraz nie pójdą prostą drogą, będą kluczyć, żeby uniknąć spotkania z jaguncos i żołnierzami, bo jedni i drudzy zabraliby im zwierzęta. Gall poczuł nagle wielkie zmęczenie i niemal natychmiast zasnął.

Po kilku godzinach ruszyli dalej. Wkrótce mogli się odświeżyć w nikłej strużce słonej wody. W marszu przez zwirowate pagórki, przez równiny popstrzone ostami i kandelabrami kaktusów, Galla zżerała niecierpliwość. Wspominał tamten świt w Queimadas, kiedy mógł zginąć i kiedy seks powrócił do jego życia. Wszystko zatarło się w jego pamięci. Odkrył, zdziwiony, że nie ma pojęcia o dacie: o dniu, miesiącu. Tylko rok może być wciąż ten sam: 1897. Było tak, jakby w tej okolicy, po której tak niestrudzenie wędrował, przemierzając ją od krańca do krańca, czas został zawieszony albo toczył się własnym, odmiennym rytmem. Spróbował odtworzyć chronologicznie odkrycia, jakie poczynił, badając czaszki tutejszych ludzi. Czy istnieje jakiś specjalny organ związany ze stosunkiem człowieka do czasu? Z pewnością tak. Może jakaś kosteczka, jakieś niedostrzegalne wgłębienie, jakaś wyczuwalna zmiana ciepłoty? Nie pamiętał, gdzie był umiejscowiony. Ale wiedział, w czym przejawia się jego wpływ: punktualność i niepunktualność, przewidywanie przyszłości albo nieustanna improwizacja, umiejętność metodycznej organizacji życia albo balansowanie nad chaosem... „Jak ja”, pomyślał. Tak, był typowym przypadkiem osobowości, której przeznaczeniem jest chroniczny bunt, nurzanie się w żywiole zamętu. Doszedł do tego w Calum-bi, kiedy gorączkowo usiłował podsumować wszystko, w co wierzył, i uporządkować główne fakty swej biografii. Miał wówczas demoralizujące uczucie niemożności uładzenia, zhierarchizowania podróży, pejzaży, ludzi, przekonań, niebezpieczeństw, wzlotów i upadków, od których kręciło się w głowie. Prawdopodobnie też w papierach pozostawionych w rękach barona de Cañabrava nie dość uwidoczniał jedyną stałą swego życia: niezłomną wierność — tę metodę w jego szaleństwie — rewolucyjną pasję, ogromną nienawiść do niesprawiedliwości i ludzkiej krzywdy, wolę, by przyczynić się do zmiany na lepsze. „Nabił pan sobie głowę mrzonkami, a pańskie ideały nie mają nic wspólnego z wydarzeniami w Canudos” — znów zadźwięczały mu w uszach słowa barona. Wpadł w rozdrażnienie. Co z jego ideałów pojąć może arystokrata, obszarnik, który żyje, jakby Rewolucji Francuskiej nigdy nie było? Ktoś, dla kogo „idealizm” jest słowem obelżywym? Co może zrozumieć z Canudos ktoś, komu

jaguncos zabrali jedną fazendę, a teraz palą drugą? Calumbf z pewnością wy-dane jest w tej chwili na pastwę płomieni. Ale on może zrozumieć ten ogień, on wie aż nazbyt dobrze, że nie rozniecił go fanatyzm ani szaleństwo. Jaguncos niszczą symbol ucisku. Z podświadomą mądrością wyczuwają, że całe wieki rządów prywatnej własności tak mocno zakorzeniły się w umysłach wyzyskiwanych, iż sądzą oni, że władza ta pochodzi z nieba, a plantatorów mają za istoty wyższego rzędu, niemal półbogów. Czyż ogień nie jest najlepszym sposobem, by wykazać fałsz tych mitów, rozproszyć obawy ofiar, uwidocznic głodującym masom, że rządy obszarników nie będą trwać wiecznie, a biedni są dość potężni, by z nimi skończyć? Nauczyciel i jego ludzie, mimo religijnej stęchlizny, jaka się za nimi wlecze, wiedzą, gdzie trzeba ugodzić: w same fundamenty ucisku — własność, armię, obskurancką moralność. Popęlnił błąd, spisując tę autobiografię, którą zostawił u barona? Nie, to nie może zaszkodzić sprawie. Ale czy nie zrobił głupstwa, powierzając rzecz tak osobistą pieczy wroga? Bo baron jest jego wrogiem. Ale dlaczego nie żywi doń nienawiści? Może dlatego, że dzięki niemu mógł poczuć, że rozumie wszystko, co słyszy, a inni rozumieją wszystko, co mówi: było to uczucie nie znane mu, odkąd wyjechał z Salwadoru. Dlaczego spisał te stronicę?

Bo wiedział, że umrze. Może pisał je w przyływie burżuazyjnej słabości, nie chciał skończyć, nie zostawiwszy po sobie śladu na ziemi. Nagle przyszło mu do głowy, że Jurema prawdopodobnie jest z nim w ciąży. Poczul coś w rodzaju paniki. Zawsze wzdragał się wewnątrz na myśl o dziecku i być może to właśnie wpłynęło na jego rzymskie śluby seksualnej abstynencji. Powtarzał sobie zawsze, że wstręt do ojcostwa jest skutkiem rewolucyjnych przekonań. Jakże mężczyzna może być w każdej chwili gotów do akcji, skoro obarczony jest odpowiedzialnością za garb, który trzeba żywić, odziewać chronić? W tym także był stały: żadnych kobiet, żadnych dzieci, nic co mogłoby ograniczyć wolność, osłabić bunt.

Gdy wzeszły gwiazdy, zsiadli z koni w zagajniku velame i macambir. Zjedli w milczeniu, a Galileo zasnął, nie dopiwszy kawy. We śnie dręczyły go koszmary, ukazała mu się śmierć. Kiedy Ulpino zbudził go, była jeszcze ciemna noc, a z oddali dobiegał żalostny lament, który mógł być głosem ciszy. Przewodnik podgrzał kawę i osiodłał konie. Gall spróbował go zagadnąć. Jak długo pracuje dla barona? Co myśli o jaguncos? Ulpino odpowiadał tak niechętnie, że Galileo przestał nalegać. Może jego cudzoziemski akcent budzi w tych ludziach nieufność, a może to jakiś głębszy rozdźwięk w sposobie odczuwania i myślenia?

Wtem Ulpino powiedział coś, czego Gall nie zrozumiał. Kazał mu powtórzyć i tym razem usłyszał wyraźnie: Po co idzie do Canudos? „Bo tam dzieją się sprawy, o które walczyłem przez całe życie — powiedział. — Tam stwarzają świat bez wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, wszyscy są wolni i równi”. Wy tłumaczył najprościej, jak umiał, dlaczego Canudos jest tak ważne dla całej ziemi: wiele z tego, co robią jaguncos, splata się z odwieczną ideą, za którą mnóstwo ludzi oddało życie. Ulpino nie przerywał i patrzył w bok, a Gall nie mógł pozbyć się wrażenia, że wszystko, co mówi, obija się o niego jak groch o ścianę, nie wywołując żadnego echa. Kiedy zamilkł, przewodnik przechylił głowę i tonem, który Gallowi wydał się dziwny, mruknął, że on myślał, że cudzoziemiec idzie do Canudos, żeby ratować swoją kobietę. A widząc zdumienie Galla, nalegał: przecież Rufino powiedział, że ją zabije. Nie obchodzi go, czy ją zabije, czy nie? A może Jurema nie jest jego kobietą? W takim razie dlaczego mu ją zabrał? „Nie mam kobiety, nic nikomu nie zabierałem — odparł Gall twardo. — Rufino mówił o kimś innym, padł ofiarą nieporozumienia”. Przewodnik znowu zamknął się w swoim milczeniu.

Nie rozmawiali więcej aż do chwili, kiedy po wielu godzinach napotkali wozy pielgrzymów, którzy dali im pić z wielkich glinianych dzbanów. Gdy pątnicy zostali w tyle,

Gall poczuł przygnębienie. Wszystko przez te pytania Ulpina, tak nieoczekiwane, i ten jego men-torski ton. Żeby zapomnieć o Rufinie i Juremie, pomyślał o śmierci. Nie bał się jej, wyzywał ją przecież tyle razy. Jeśli żołnierze schwytają go, zanim dotrze do Canudos, stawi im czoło, niech go zabiją, byle tylko uniknąć upokorzenia tortury, a może i tchórzostwa.

Zauważył, że Ulpino stał się niespokojny. Od pół godziny, w gorących tchnieniach powietrza, przedzierali się przez gęstą catingę, kiedy przewodnik zaczął bacznie przyglądać się gałęziom. „Otoczyli nas — szepnął — lepiej poczekajmy, aż podejda”. Zsiedli z koni. Gall nie spostrzegł niczego, co wskazywałoby na obecność ludzi w okolicy. Ale wkrótce kilku mężczyzn, uzbrojonych w strzelby, kusze, maczety i noże, wynurzyło się zza drzew. Jakiś Murzyn, podeszły w latach, ogromny, półnagi, powiedział na powitanie coś, czego Gall nie zrozumiał, i zapytał, skąd idą. Z Calumbi, odparł Ulpino, idą do Canudos; i opisał drogę, jaką przebyli, żeby — jak twierdził — nie wpaść na żołnierzy. Rozmowa była trudna, ale nie wydawała się wroga. Wtem Gall zobaczył, że Murzyn chwytą wodze konia Ulpina i wskakuje na siodło, a inny mężczyzna robi to samo z jego własnym koniem. Postąpił krok w stronę Murzyna i natychmiast ujrzał wymierzone w siebie strzelby. Wykonał pojednawczy gest i poprosił, żeby go wysłuchali. Tłumaczył, że musi szybko dotrzeć do Canudos, porozmawiać z Nauczycielem, powiedzieć mu coś ważnego, że pomoże im przeciw żołnierzom... zamilkł jednak, zmiażdżony widokiem ich twarzy — dalekich, apatycznych, drwiących. Murzyn odczekał chwilę, ale ponieważ Gall milczał dalej, wyrzekł kilka niezrozumiałych słów. I zaraz odjechali, równie bezszelestnie, jak się zjawili.

— Co powiedział? — mruknął Gall.

— Że Belo Monte i Nauczyciela strzeże Ojciec, Dobry Jezus i Duch Święty — odpowiedział Ulpino. — Nie potrzebują żadnej innej pomocy.

I dodał, że nie muszą martwić się końmi, bo są już niedaleko. Nie-zwłocznie ruszyli w dalszą drogę, a w gmatwaninie catingi posuwali się nie wolniej niż przedtem konno. Ale utrata zwierząt oznaczała utratę juków z zapasami. Odtąd zabijali głód suchymi owocami, pędami i korzonkami. Gall spostrzegł, że odkąd opuścili Calumbi, wspomnianie niedawnych zajęć czyni go podatnym na pesymistyczne nastroje, spróbował więc posłużyć się sprawdzonym sposobem i odświeżyć ducha abstrakcyjną, bezosobową refleksją: „Przygnębienie zwalczaj myśleniem”. Czy Canudos nie przedstawia sobą interesującego wyjątku od praw historii, zgodnie z którymi religia zawsze stanowi narkotyk dla ludu, udaremniający wszelki bunt? Nauczyciel posłużył się religijnym zabobonem, żeby podburzyć chłopów przeciw burżuazyjnemu porządkowi i konserwatywnej moralności, przeciwstawić ich tym, którzy tradycyjnie wykorzystują religijne wierzenia, żeby utrzymać masy w poddaństwie i wyzysku. Religia w najlepszym razie jest chorobliwym snem człowieka, jak napisał David Hume. Tak, ale w pewnych przypadkach, jak na przykład Canudos, może służyć wyrwaniu ofiar społeczeństwa z bierności, pchnąć je do rewolucji, w której prawdy naukowe, racjonalne, zastępować będą irracjonalne fetysze i mity. Czy uda mu się napisać coś o tym i wysłać do „L'Etincelle de la revolte”? Ponownie spróbował zagadnąć przewodnika. Co Ulpino myśli o Canudos? Ów nie przerywał zucia i nie odpowiadał długą chwilę. Wreszcie, z jakimś fatalistycznym spokojem, jakby jego to nie dotyczyło, rzekł: „Wszystkim zetną głowy”. Gall pomyślał, że nic więcej nie mają sobie do powiedzenia.

Wydostawszy się z catingi, weszli na płaskowyż zarośnięty xique--xique. Ulpino rozciął je nożem: w środku był kwaskowaty miąższ, który gasił pragnienie. Tego dnia minęli nowe gromady pielgrzymów, zdążające do Canudos. Ci ludzie o zmęczonych oczach, tłących się iskierkami zapалу silniejszego niż nędza, poprawili Gallowi nastrój, przywrócili mu optymizm i euforię. Zostawili swoje domy, żeby odejść tam, gdzie grozi im wojna. Tak, instynkt ludu jest nieomylny.

Idą, bo czują, że Canudos jest wcieleniem ich głodu, sprawiedliwości, wolności. Zapytał Ulpina, kiedy dotrą na miejsce. Przed nocą, jeśli nie będzie kłopotów. Jakich kłopotów? Przecież nie mają nic, co można by ukraść? „Mogą nas zabić”, powiedział Ulpino. Ale Gall nie poddawał się demoralizacji. Pomyślał z uśmiechem, że utracone konie posłużą, w końcu, dla dobra sprawy.

Odpoczęli w opustoszałej zagrodzie ze śladami pożaru. Nie było roślinności ani wody. Gall masował nogi, zeszytywniałe od marszu. Na-gle Ulpino powiedział, że przekroczyli krąg. Krąg? Ten, który oddziela Canudos od reszty świata. Mówią, że wewnątrz niego rządzi Dobry Jezus, a na zewnątrz Bestia. Gall nic nie powiedział. Ostatecznie na-zwy nie mają znaczenia, to tylko opakowanie, a skoro dzięki nim ci ciemni ludzie łatwiej identyfikują zawartość, obojętne, czy zamiast powiedzieć: sprawiedliwość i niesprawiedliwość, *wolność i ucisk*, społeczeństwo wyzwolone i społeczeństwo klasowe, powie się: Bóg i Diabeł. Pomyślał, że dojdzie do Canudos i zobaczy coś, co jako chłopiec widział w Paryżu: wrzenie ludu, zębami i pazurami broniącego swej godności. Jeżeli przekona ich, żeby go słuchali, jeżeli go rozumieją, będzie mógł im pomóc, chociażby dzieląc się z nimi wszystkim, czego nie znają, a czego on sam nauczył się w wędrówkach po świecie.

— Naprawdę nie obchodzi pana, czy Rufino zabije pańską kobietę? — usłyszał słowa Ulpina. — To dlaczego mu pan ją zabrał?

Poczuł, że dławi go gniew. Zachłystując się, ryknął, że nie ma żadnej kobiety: jak śmie pytać o to, na co już raz mu odpowiedział? Czuł, że go nienawidzi, miał ochotę go skłąć.

— To nie do pojęcia — usłyszał mlaskanie Ulpina.

Bolały go nogi, a stopy miał tak spuchnięte, że nie uszli daleko, bo powiedział, że musi jeszcze trochę odpocząć. Pomyślał, kładąc się nu ziemi: „Nie jestem już ten sam co kiedyś”. Był wychudzony: czy to jego to kościste ramię, na którym opiera głowę?

— Zobaczę, może znajdę coś do jedzenia — powiedział Ulpino. — Niech pan się prześpi chwilę.

Gall patrzył, jak znika za bezlistnymi drzewami. Kiedy zamykał oczy, na jednym z pni spostrzegł na wpół oderwany drogowskaz z zatartym napisem: Caracata. Nazwa ta wirowała mu w głowie, kiedy spał.

Nastawiając uszu, Lew z Natuby pomyślał: „Przemówi do mnie”. Jego ciałkiem wstrząsnął dreszcz szczęścia. Nauczyciel leżał w milczeniu na pryczy, ale skryba z Canudos poznawał po oddechu, czy śpi, czy czuwa. Tak, czuwa. Na pewno przymknął swe przepastne oczy, a pod powiekami widzi jedną z tych bezcielesnych istot, które zstępują, żeby z nim rozmawiać, a czasami on wstępuje w przestworza i odwiedza je wysoko w chmurach: obcuje ze świętymi, z Najświętszą Panią, Dobrym Jezusem, z samym Ojcem. A może duma teraz nad mądrościami, jakie rankiem wypowiedzą jego usta, a wówczas on, Lew, zapisze je na kartkach przywiezionych przez ojca Joaquina, żeby w przyszłości wierni mogli czytać je tak, jak dzisiaj Ewangelię. Pomyślał, że skoro ojciec Joaquim już nie przyjedzie do Canudos, papier szybko się skończy, a on będzie musiał pisać na arkuszach ze sklepu braci Vilanova, na których rozmazuje się atrament. Ojciec Joaquim odzywał się doń rzadko, a kiedy zobaczył go po raz pierwszy tamtego ranka, gdy Lew wbiegał truchcikiem do Cumbe w orszaku Nauczyciela, w oczach księdza spostrzegł to samo zdumienie, zażenowanie i odrazę, jakie jego osoba budziła wszędzie, gdziekolwiek się pokazał; zauważył ten szybki ruch odwracanych oczu, pragnących zapomnieć jego widok. Od tamtej pory powtarzało się to wiele razy. Ale wrażenie, jakie na Nauczycielu wywarło pojmanie proboszcza i jego prawdopodobna śmierć z rąk żołnierzy Rzeźnika, sprawiło, że Lew także się zmartwił. „Radujcie się, moje dzieci — powiedział święty tamtego wieczoru na naukach z wieży

nowego kościoła. — Belo Monte ma swego pierwszego męczennika". Potem jednak, w Sanktuarium, Lew z Natuby zobaczył jego smutek: odtrącił jedzenie podane przez Marię Quadrado, a kiedy służebniczki myły jego ciało, nie pieścił tak jak zwykle baranka, którego przyprowadziła mu Alejandrinha Correa, zaupuchnięta od płaczu. Oparłszy głowę na kolanach Nauczyciela, Lew nie poczuł jego dłoni, a potem usłyszał, że wzdycha: „Nie będzie już mszy, zostawił nas sierotami". Lew miał przeczucie klęski. Dlatego również nie mógł zasnąć. Co teraz będzie? Wojna znowu jest za progiem, a tym razem będzie gorsza niż wtedy, kiedy wybrani starli się z heretykami na Tabolerinho. Będą walki na ulicach, będzie więcej zabitych i rannych, a on umrze jako jeden z pierwszych. Nikt nie przyjdzie go wybawić, jak wybawił go Nauczyciel od śmierci na stosie w Natubie. Z wdzięczności poszedł za nim i z wdzięczności przyłgął do niego, wędrując po świecie nierównym truchcikiem, chociaż te długie wyprawy wymagały nadludzkiego wysiłku od ciała poruszającego się na czterech łapach. Lew rozumiał, dlaczego wielu pielgrzymów z utęsknieniem wspomina tamte wędrowki. Było ich wówczas mało i mieli Nauczyciela wyłącznie dla siebie. Jakże zmieniło się wszystko! Pomyślał o tysiącach ludzi, zazdroszczących mu, że dzień i noc jest u boku świętego. A jednak on także nie miał już okazji do spokojnej rozmowy z jedynym człowiekiem, który zawsze traktował go tak, jakby niczym nie różnił się od innych. Bo nigdy Lew nie zauważył najmniejszej oznaki, iż Nauczyciel widzi w nim potworka o krzywym grzbiecie i olbrzymiej głowie, dziwaczne zwierzę przez pomyłkę urodzone wśród ludzi.

Wspominał tamtą noc na przedmieściach Tepidó, wiele lat temu. Iluż to pielgrzymów było wtedy wokół Nauczyciela? Po modlitwie zaczęli głośno wyznawać grzechy. Kiedy nadeszła jego kolej, Lew z Natuby w nieprzemyślanym porywie powiedział nagle coś, czego nikt dotąd od niego nie usłyszał: „Nie wierzę w Boga, nie wierzę w religię. Wierzę tylko w ciebie, ojcze, bo ty sprawiłeś, że poczułem się człowiekiem", Zapadła głucha cisza. Drżący, przerażony własną śmiałością, poczuł na sobie spłoszone spojrzenia pątników. I znów usłyszał słowa Nauczyciela; „Wycierpiałeś tyle, że nawet diabeł pierzcha przed takim bólem. Ojciec w niebie wie, że twoja dusza jest czysta, bo przez cały czas czynisz pokutę. Nie masz za co się kajać, Lwie: twoje życie jest pokutą".

Powtórzył w myślach: „Twoje życie jest pokutą". Jednak i w takim życiu bywają chwile niezrównanego szczęścia. Na przykład znaleźć coś nowego do czytania — strzęp książki, stronę gazety, jakikolwiek drukowany papier — i uczyć się tych bajkowych rzeczy, o których mówią litery. Albo wyobrażać sobie, że Almudia żyje, wciąż jest tą śliczną dziewczyną z Natuby, on śpiewa dla niej, a jego piosenki zamiast zaczarować ją i zabić, wywołują uśmiech na jej twarzy. Albo położyć głowę na kolanach Nauczyciela i czuć, jak jego palce przedzierają się przez gęste kudły, rozczesują je, głaszczą włochatą skórę: usypiała go wówczas fala kojącego ciepła, które przenikało go od stóp do głów, i czuł, że ta dłoń na jego włosach i te kości pod jego policzkiem są mu nagrodą za wszystkie złe chwile życia.

Ale nie, to niesprawiedliwe, przecież nie tylko Nauczycielowi winien jest wdzięczność. Czy inni nie nosili go, kiedy już nie starczało mu sił? Czy nie modlili się żarliwie, zwłaszcza Aniołek, żeby wreszcie uwierzył? Czy Maria Quadrado nie jest dla niego dobra, miłosierna i hojna? Spróbował pomyśleć z czułością o Matce Ludzi. Dokonywała cudów, żeby go sobie zjednać. Podczas wędrowek, kiedy widziała jego wyczerpanie, cierpliwie masowała mu ciało, tak samo jak stopy Aniołka. A kiedy miał gorączkę, kołysała go do snu w ramionach, ogrzewała własnym ciałem. Szyła mu ubrania, wymyśliła nawet dla niego przemyślnie rękawice-buty z drewna i skóry. To dlaczego jej nie lubi? Na pewno dlatego, że słyszał, jak przełożona Świętego Chóru, późną nocą na pustyni, obwiniła się głośno, że czuje wstręt do Lwa z Natuby, że myśli, iż jego brzydota jest dziełem Diabła. Maria Quadrado płakała, wyznając te grzechy, i bijąc się w piersi, błagała go o przebaczenie za swoją niechęć. On mówił, że przebacza, i nazywał ją matką. Ale w głębi serca nie



przebaczył. „Jestem pamiętliwy — pomyślał. — Jeśli istnieje jakieś piekło, będę się tam smażył na wieki wieków”. Zwykle myśl o ogniu przerażała go. Dziś go zmroziła.

Przypomniał sobie ostatnią procesję i zaczął się zastanawiać, czy powinien wziąć udział w następnych. Ileż strachu się najadł! Ileż razy o mało go nie zadusiły, nie zdeptały cisnące się do Nauczyciela tłumy. Gwardia Katolicka robiła, co mogła, żeby nie zalali ich pielgrzymi, którzy w blasku pochodni i woni kadzideł wyciągali ręce, żeby dotknąć świętego. Odepchnęli Lwa, przewrócili go na ziemię i już miała pochłonąć go ludzka fala, kiedy zaczął głośno wrzeszczeć: dopiero wówczas gwardziści podnieśli go w górę. A ostatnio nie śmiał już zapuszczać się poza Sanktuarium, bo ulice stały się bardzo niebezpieczne. Ludzie rzucali się nań, żeby dotknąć jego grzbietu, w przekonaniu, że przyniesie im szczęście; wyrwali go sobie jak kukłę i godzinami trzymali w domach, wypytując o Nauczyciela. Czy będzie musiał spędzić resztę swoich dni zamknięty w tych glinianych ścianach? Nieszczęście nie ma dna, niewyczerpane są zapasy cierpienia.

Po oddechu poznał, że Nauczyciel już śpi. Łowił dźwięki dochodzące z izdebki, gdzie stłoczone na podłodze służebniczki spały także. Nawet Alejandrinha Correa usnęła. A on? Czy przez tę wojnę już nigdy nie będzie mógł zasnąć? Jest nieuchronna: ani Joao Mnich, ani Pajeu, ani Macambira, ani Pedrao, ani Tarameia, ani ci, którzy strzegą dróg i transzei, nie pojawili się na naukach, a Lew widział uzbrojonych ludzi za wzniesionymi wokół kościołów szanćcami i wielu innych, którzy chodzili tam i z powrotem, dźwigając strzelby, ładownice, kusze, kije, widły, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku.

Usłyszał pianie koguta. Przez szpary sączył się świt. Kiedy rozległy się trąbki nosiwodów, Nauczyciel obudził się i ukląkł do modlitwy. Po chwili weszła Maria Quadrado. Lew, mimo nieprzespanej nocy, był już na nogach, gotów spisywać myśli świętego. Ów modlił się długą chwilę, a gdy służebniczki myły mu stopy i zawiązywały rzemienie sandałów, siedział z zamkniętymi oczami. Wypił miskę mleka, którą podała mu Maria Quadrado, i zjadł kukurydzianą bułkę. Ale baranka nie pogłaskał. „Nie tylko z powodu ojca Joaquina jest taki smutny — pomyślał Lew z Natuby. — Martwi się wojną”.

Wtem weszli Joao Mnich, Joao Wielki i Tarameia, którego Lew pierwszy raz zobaczył w Sanktuarium. Kiedy Komendant Ulicy i dowódca Gwardii Katolickiej powstali z kolan, ucałowawszy dłoń Nauczyciela, zastępca Pajeu wciąż klęczał.

— Taramela miał wczoraj nowiny, ojczcie — powiedział Joao Mnich.

Lew pomyślał, że Komendant Ulicy prawdopodobnie także nie zmrzył oka. Był spocony, brudny, przygnębiony. Joao Wielki pił zachłannie z kubka podanego mu przed chwilą przez Marię Quadrado. Lew wyobraził sobie, jak biegają obydwoj przez całą noc od transzei do transzei, od bramy do bramy, dźwigają proch, sprawdzają broń, sprzeczą się. Pomyślał: „To będzie dzisiaj”. Taramela wciąż klęczał, miętosząc w rękach skórzany kapelusz. Miał dwie strzelby i tyle sznurów naboju, że wyglądał jak w karnawałowym przebraniu. Przygryzał wargi, niezdolny wydobyć słowa. Wreszcie wyjąkał, że przyjechali Cintio i Cruces. Jednego konia zajędzili na śmierć, a drugi też już pewnie padł do tej pory, bo kiedy odchodzili, piana płatami sływała mu z boków. Galopowali dwa dni bez przerwy. Sami też o mało co nie padli. Zamilkł, zmieszany, a jego zapuchnięte oczka patrzyły błagalnie na Joao Mnicha.

— Powiedz ojcu Nauczycielowi, jakie wieści przywieźli Cintio i Cruces od Pajeu — podpowiedział były cangaceiro. Jemu także Maria Quadrado podała kubek mleka i bułkę. Mówił z pełnymi ustami.

— Rozkaz wykonano, ojczcie — rzekł, oprzytomniawszy, Taramela. — Calumbi splanęło. Baron de Cañabrava wyjechał do Queimadas z całą rodziną i garstką capangas.

Przewycięzając onieśmielenie, jakie budził w nim święty, tłumaczył, że Pajeu po spaleniu fazendy, zamiast wysunąć się przed żołnierzy, cofnął się na tyły, żeby zająć tabory, kiedy Rzeźnik zaatakuję Belo Monte. I jednym tchem przeszedł znów do sprawy zdechłego konia. Wydał rozkaz, żeby zjedli go ludzie z jego transzei, a jeżeli padnie i drugi, niech oddadzą go Antoniowi Vilanovie, a on nim rozporządzi... ale widząc, że Nauczyciel otwiera oczy, zamilkł. Głębokie, mroczne spojrzenie jeszcze bardziej speszyło Taramelę: Lew zobaczył, że miętosi kapelusz z całej siły.

— Dobrze, synu — szepnął Nauczyciel. — Dobry Jezus wynagrodzi wiarę i męstwo Pajeu i tych, którzy są razem z nim.

Wyciągnął dłoń, a zastępca Pajeti ucałował ją i patrząc na nią z wielką czcią, przytrzymał chwilę w swoich rękach. Nauczyciel pobłogosławił go, a on się przeżegnał. Joao Mnich odprawił go krótkim gestem. Taramela cofał się, kiwając głową z szacunkiem, a zanim wyszedł, Maria Quadrado dała mu pić w tym samym kubku, z którego pili Joao Mnich i Joao Wielki. Nauczyciel spojrzał na nich pytająco.

— Są bardzo blisko, ojcze — powiedział Komendant Ulicy, kucając. Mówił tonem tak poważnym, że Lew z Natuby przestraszył się i poczuł, że służebniczki również się wzdrygnęły. Joao Mnich wyciągnął nóż, nakreślił koło, a teraz dorysowywał kreski przedstawiające drogi, którymi nadchodzili żołnierze.

— Z tej strony nie ma nikogo — oznajmił, pokazując szlak do Geremoabo. — Bracia Vilanova przenoszą tam starców i chorych, żeby uchronić ich od strzelaniny.

Spojrzał na Joao Wielkiego, żeby ten mówił dalej. Murzyn wycelował palcem w koło.

— Urządziliśmy dla ciebie kryjówkę między stajniami i Mocambo — rzekł cicho. — Głęboką, obłożoną kamieniami, żeby wytrzymała wszystkie kule. Tu nie możesz zostać, bo stąd właśnie nadchodzą.

— Ciągną armaty — powiedział Joao Mnich. — Widziałem je wczoraj w nocy. Tropiciele wpuścili mnie do obozowiska Rzeźnika. Są olbrzymie, mają wielki zasięg ognia. Sanktuarium i obydwie kościoły będą ich pierwszym celem.

Lew z Natuby był tak senny, że pióro wyslizgnęło mu się z ręki. Odsunął ramiona Nauczyciela i położył mu na kolanach swoją skołataną głowę. Jak przez mgłę dotarły doń słowa świętego:

— Kiedy tu będą?

— Najdalej dziś w nocy — odparł Joao Mnich.

— W takim razie idę do okopów — powiedział Nauczyciel łagodnie. — Niech Aniołek przygotuje świętych, krzyże i urnę z Dobrym Jezusem, a wszystkie figury z kościołów niech każe przenieść na drogi, po których nadchodzi Antychryst. Wielu umrze, ale nie trzeba płakać: śmierć jest szczęściem dla wiernych.

Lwa z Natuby szczęście spotkało w tej właśnie chwili — dłoń Nauczyciela spoczęła na jego głowie. Pogodzony z życiem, zapadł w sen.

Kiedy Rufino zostawia za plecami dwór w Calumbi, czuje dziwną lekkość: zerwanie więzi łączącej go z baronem daje mu nagle poczucie większej swobody w dążeniu do celu. Pół mili dalej przyjmuje gościnę w domu, gdzie znają go od dziecka. Nie pytają o Juremę ani o powód bytności na fazendzie, ale są dlań bardzo serdeczni, a nazajutrz przy pożegnaniu wręczają mu zapasy na drogę.

Wędruje przez cały dzień. Od czasu do czasu spotyka idących do Canudos

pielgrzymów; ciągle proszą go o coś do jedzenia, więc o zmierzchu kończy mu się cały prowiant. Śpi niedaleko grot, z których kiedyś, razem z innymi chłopcami z Calumbi, wykurzał dymem nietoperze. Nazajutrz jakiś wieśniak ostrzega go, że niedaleko przechodził oddział żołnierzy, a po całej okolicy kręcą się patrole jaguncos. Idzie dalej z mrocznym przecuciem w duszy.

O zmierzchu jest już niedaleko Caracata — widocznej w oddali garstki domów rozrzuconych wśród kaktusów i zarośli. Odpoczywa po słonecznej spiekocie w dobroczynnym cieniu pod mangabeirami i cipo. Wtem spostrzega, że nie jest sam. Otaczają go jakieś postaci, które kocim krokiem wynurzyły się z catingi: gromada mężczyzn uzbrojonych w karabiny, kusze i maczety. W rękach trzymają dzwonki i drewniane świstawki. Poznaje kilku jaguncos Pajeu, ale caboc-lo nie ma wśród nich. Dowódca, bosy Metys o indiańskich rysach, podnosi palec do ust i macha ręką, żeby poszedł za nimi. Rufino waha się, ale spojrzenie jagunco mówi mu, że powinien iść, że robią mu grzeczność. W głowie błyska mu myśl o Juremie. Wyraz twarzy zdradza go widocznie, bo jagunco kiwa głową. Wśród drzew i zarośli dostrzega innych ukrytych mężczyzn. Wielu z nich nie widać spoza pęków traw. Pochyleni, w kucki, na leżąco, obserwują drogę i osadę. Pokazują Rufinowi, żeby się schował. Po chwili słyszy jakiś szelest.

Jest to patrol dziesięciu żołnierzy w szaro-czerwonych mundurach, pod dowództwem młodego, jasnowłosego sierżanta. Prowadzi ich przewodnik, który z pewnością, myśli Rufino, jest w zmowie z jaguncos. Tknięty nagłym przecuciem, sierżant robi się ostrożny. Kładzie palec na spuście karabinu, przeskakuje od drzewa do drzewa, a za nim jego ludzie przemykają się pod osłoną pni. Przewodnik idzie środkiem drogi. Jaguncos jakby rozpułnili się w powietrzu. W catindze nie porusza się żaden liść. Patrol dochodzi do pierwszego z brzegu domostwa. Dwaj żołnierze wyłamują drzwi i wpadają do środka, reszta ich osłania. Przewodnik przykucnął na uboczu. Rufino widzi, że zaczyna się wycofywać. Po chwili dwaj żołnierze wychodzą i na migi pokazują sierżantowi, że wewnątrz nikogo nie ma. Idą do następnej chaty i powtarzają całą operację, z tym samym skutkiem. Ale nagle z drzwi domu większego niż inne wygląda rozczochrana kobieta, a za nią druga. Patrzą, wystraszone. Żołnierze już je zauważyli, mierzą do nich z karabinów, ale one machają przyjaźnie rękami, krzyczą coś. Rufina ogarnia odrętwienie, podobnie jak wówczas, kiedy Brodaczka wspomniała przy nim imię Galileo Galla. Korzystając z zamieszania, przewodnik niknie w krzakach.

Żołnierze okrążają dom. Rufino domyśla się, że rozmawiają z kobietami. Wreszcie dwóch wchodzi z nimi do środka, a inni czekają na zewnątrz z karabinami gotowymi do strzału. Tamci wkrótce wracają i sprośnymi gestami zachęcają innych, żeby poszli w ich ślady. Rufino słyszy śmiechy, głosy i widzi, że wszyscy żołnierze pędzą uradowani w stronę domu. Ale dwóch sierżant stawia przy drzwiach na straży.

Catinga zaczyna się poruszać. Zaczajeni w zasadzce jaguncos czołgają się, pełzną na czworakach, skradają się na palcach. Rufino widzi, że jest ich co najmniej trzydziestu. Idzie szybko za nimi, dogania dowódcę. „Jest tam ta, która była moją żoną?“, słyszy własne słowa. „Był z nią karzełek?“. „Tak“. „A więc to musi być ona“, potakuje jagunco.

W tym momencie salwa strzałów powala żołnierzy stojących na straży a w izbie rozlegają się wrzaski, krzyki, bieżanina, jakiś wystrzał. Biegnąc z gromadą jaguncos, Rufino wyciąga nóż, jedyną broń, jaka mu pozostała. W drzwiach i oknach domu widać żołnierzy: jedni strzelają, inni próbują uciekać. Zaledwie odbiegli parę kroków, a już padają od strzały lub kuli, jaguncos doskakuje do nich, dobijają ich nożami i maczetami. Wtem Rufino potyka się i pada na ziemię. Kiedy wstaje, słyszy piski świstawek i widzi, jak przez okno wyrzucają z izby zakrwawionego trupa jakiegoś żołnierza, z którego zdarto ubranie. Ciało uderza o ziemię

z suchym łoskotem.

Rufino wchodzi do chaty. Jego oczy uderza widok rozpasania i przemocy: konający żołnierze leżą pokotem na podłodze, a nad nimi pastwi się kłębowisko kobiet i mężczyzn — dźgają ich nożami, walą kijami, kamieniami, tłuką i ranią bez miłosierdzia. Co chwila ktoś wpada do izby i przyłącza się do rzezi. Kobiety — cztery, może pięć — z wrzaskiem zdzierają mundury ze swoich ofiar, znieważają ich ciała, umierające, martwe, wyrrywają im członki. Wszędzie pełno krwi i smrodu, a w podłodze widać wykopaną jamę, gdzie zapewne ukryli się jaguncos w oczekiwaniu na patrol. Jakaś kobieta z raną na czole jęczy, skulona pod stołem.

Podczas gdy jaguncos obnażają żołnierzy, zabierają im karabiny i tornistry, Rufino, pewien, że nie znajdzie tu tej, której szuka, przedziera się do dalszych izb. Widzi trzy pary drzwi, jedne otwarte: tam również nie ma nikogo. Idzie dalej, przez szparę dostrzega pryczę z desek i nogi kobiety wyciągnięte na podłodze. Wchodzi i widzi Juremę. Żyje. Jej twarz kurczy się na jego widok, cała postać kuli się w odruchu zdumienia. Obok Juremy widzi wykrzywionego ze strachu maleńkiego, dziwnie znajomego mu karzełka, a na posłaniu - jasnowłosego sierżanta, którego ciało, już bez życia, dwaj jaguncos wciąż dźgają nożami: obaj ryczą przy każdym ciosie. Krew bryzga aż na Rufina. Jurema, znieruchomiała, patrzy nań z rozchylonymi ustami: jest mizerna, nos jej się zaostriął, w oczach widać przerażenie i rezygnację. Do izby wchodzi bosy Metys o indiańskich rysach; pomaga tamtym podnieść sierżanta i wyrzucają go przez okno. Wychodzą, zabierając ze sobą mundur, karabin i tornister nieboszczyka. Kiedy przechodzą obok Rufina, dowódca wskazuje Juremę i szepcze: „Widzisz? To ona”. Karzełek zaczyna wygłaszać mowę, którą Rufino słyszy, ale nie rozumie z niej ani słowa. Wciąż stoi w drzwiach, opanowany, jego twarz znów nie wyraża żadnych uczuć. Serce przestaje rnu łomotać, mija pierwszy zawrót głowy, ogarnia go zupełny spokój, Jurema wciąż siedzi na podłodze, nie ma siły wstać. Przez okno widać jaguncos — kobiety i mężczyzn — oddalających się ku catindze.

— Odchodzą — bełkocze Karzełek. Jego oczy błędzą niespokojnie od tropiciela do jego żony. — My też musimy iść, Juremo.

Rufino kręci głową.

— Ty idź — mówi łagodnie. — Ona zostaje.

Ale Karzełek nie rusza się z miejsca. W pomieszczeniu, w rozterce, miota się po pustym domu wśród smrodu i krwi, przeklinając swój los, wzywając Brodaczkę, żegna się, błaga o coś Boga. Tymczasem Rufino przeszukuje dom: znajduje dwa słomiane sienniki i wywleka je do pierwszej izby, skąd może widzieć jedyną ulicę i chaty Caracata. Kiedy wyciągał sienniki, nie myślał, co robi, ale teraz już wie: Spać, natychmiast spać. Jego ciało jest jak miękka, namoknięta gąbka, tonąca w wodzie. Zdejmuje z haka postronek, zbliża się do Juremy i rozkazuje: „Chodź”. Idzie za nim, obojętnie, bez lęku. Sadza ją obok sienników, wiąże jej ręce i nogi. Karzełek, zdrętwiały z przerażenia, krzyczy: „Nie zabijaj jej, nie zabijaj jej!”. Tropiciele odwraca się tyłem i nie patrząc na niego, rozkazuje:

— Stój tutaj. Jeżeli kogoś zobaczysz, obudź mnie.

Karzełek mruga zbity z tropu, ale po chwili kiwa głową i biegnie w podskokach do drzwi. Rufino zamyka oczy. Zanim odchodzi w sen, zastanawia się, dlaczego dotąd nie zabił Juremy. Dlatego, że chce widzieć, jak cierpi, czy dlatego, że teraz, gdy już ją ma, osłabła w nim nienawiść? Czuje, że ona, zaledwie metr od niego, kładzie się na drugim sienniku.

Ukradkiem śledzi ją spod powiek: jest dużo chudsza, oczy ma wpadnięte, apatyczne, suknię podartą, włosy potargane, podrapane ramię.

Rufino budzi się; wstaje jednym skokiem, jakby uciekał przed koszmarem. Ale nie pamięta, czy coś mu się śniło. Nie patrząc na Juremę, podchodzi do Karzełka, który wciąż siedzi w drzwiach i popatruje nań na wpół ze strachem, na wpół z nadzieją. Może iść razem z nim? Rufino kiwa głową. Nie zamieniają ani słowa więcej: w dogasającym świetle dnia tropiciel szuka czegoś, co mogłoby uśmierzyć głód i pragnienie. Kiedy wraca, Karzełek pyta: „Zabijesz ją?”. Nie odpowiada. Wyciąga z juków zioła, korzonki, liście, lodygi i kładzie je na sienniku. Rozwiązuje Juremę, nie patrząc na nią, a raczej patrzy tak, jakby jej tu nie było. Karzełek ma pełne usta ziół. Żuje zachłannie. Jurema też coś żuje, przetyka machinalnie, od czasu do czasu rozciera nadgarstki i kostki nóg. Jedzą w milczeniu, a tymczasem na zewnątrz zapadają ciemności, wzrasta się buczenie owadów. Rufino myśli, że fetor tutaj przypomina smród, jaki czuł tamtej nocy, którą spędził w wilczym dole, obok zdechłego jaguara. Nagle słyszy Juremę:

— Dlaczego nie zabijesz mnie od razu?

Patrzy wciąż przed siebie, jakby jej nie słyszał. Ale śledzi z uwagą głos, coraz bardziej zacięty, rozdzierający:

— Myślisz, że boję się śmierci? Nie boję się. Przeciwnie, czekałam na ciebie. Myślisz, że nie mam dosyć wszystkiego? Że nie jestem zmęczona? Już dawno sama bym się zabiła, gdyby nie to, że Bóg tego zabrania, bo to grzech. Kiedy mnie zabijesz? Na co czekasz?

— Nie, nie — bełkocze Karzełek, krztusząc się jedzeniem. Tropiciel wciąż siedzi bez ruchu, nie odpowiada. Jest już prawie ciemno. Po chwili Rufino czuje, że Jurema pełźnie, dotyka go. Jego ciałem wstrząsa dreszcz wstępu, żądy, żalu, gniewu, tęsknoty. Ale niczego nie daje po sobie poznać.

— Zapomnij, zapomnij o tym, co było, na Najświętszą Panią. Na Dobrego Jezusa — słyszy, jak go błaga, czuje, jak drży. — Wziął mnie siłą, ja nie zawiniłam, broniłam się. Przestań już cierpieć, Rufino.

Obejmuje go i nagle tropiciel odpycha ją zimno, spokojnie. Wstaje, szuka po omacku postronka i bez słowa wiąże ją znowu. Wraca i siada tam, gdzie przedtem.

— Jestem głodna, chce mi się pić, jestem zmęczona, nie chcę żyć dłużej — słyszy, jak łka. — Zabij mnie wreszcie.

— Zabiję cię — mówi. — Ale nie tutaj. W Calumbi. Żeby widzieli, jak umierasz.

Mija długa chwila; szloch Juremy urywa się, cichnie zupełnie.

— Już nie jesteś ten sam Rufino co dawniej — słyszy jej szept.

— Ty też — mówi on. — Teraz masz w sobie cudze nasienie. Teraz wiem, dlaczego Bóg ukarał cię zawczasu, dlaczego nie dał ci dzieci.

Światło księżycy wpada nagle ukosem przez drzwi i okna, w powietrzu widać srebrzystą zawieszynę kurzu. Karzełek zwija się w kłębek U stóp Juremy, Rufino także się kładzie. Ile czasu już tak leży z zaciśniętymi zębami, rozmyślając, wspominając? Kiedy słyszy ich głosy, ma wrażenie, że się obudził, chociaż jeszcze nie zmrużył oka.

— Dlaczego tu siedzisz? Przecież nikt cię nie zmusza — mówi Jurema. — Jak wytrzymujesz ten smród, jak wytrzymasz to, co się stanie? Idź, lepiej do Canudos.

— Boję się iść, boję się zostać — wzdycha Karzełek. — Nie umiem hyc: sam, nigdy nie byłem sam, odkąd kupił mnie Cygan. Boję się śmierci, jak wszyscy.

— Kobiety, które czekały tutaj na żołnierzy, nie bały się — mówi Jurema.

— Bo wiedziały, że zmartwychwstaną — piszczy Karzełek. — Gdybym ja miał taką pewność, też bym się nie bał.

— A ja się nie boję śmierci, chociaż nie wiem, czy zmartwychwstanę — odzywa się Jurema, a tropiciel wie, że teraz mówi do niego, nie do Karzełka.

Coś budzi go, kiedy świt jest zaledwie błękitnozielonkawą poświata. Poświst wiatru? Nie, coś więcej. Jurema i Karzełek otwierają jednocześnie oczy; mały człowieczek przeciąga się, ale Rufino go ucisza:

„Ćśśś, ćśśś”. Skulony za drzwiami wygląda przez szpary: jakaś męska sylwetka — wysoka, bez strzelby — idzie jedyną ulicą Caracata, wtyka głowę we wszystkie okna. Poznaje go, kiedy jest już blisko: to Ulpino z Calumbi. Widzi, jak podnosi obie ręce do ust i woła: „Rufino! Rufino!”. Tropiciel wychyla się zza drzwi, staje wyprostowany. Ulpino poznaje go, z wyrazem ulgi podnosi brwi, macha ręką. Rufino wycho dzi mu naprzeciw, kładąc dłoń na rękojęści noża. Nie odzywa się na powitanie. Z wyglądu Ulpina zgaduje, że ma za sobą długą drogę.

— Szukam cię od wczoraj wieczór! — wykrzykuje Ulpino przyjaźnie. — Powiedzieli mi, że idziesz do Canudos. Ale spotkałem jaguncos, którzy zabili żołnierzy. Szedłem całą noc.

Rufino słucha z zaciśniętymi wargami, bardzo poważny. Ulpino patrzy nań z sympatią, jakby chciał mu przypomnieć, że byli przyjaciółmi.

— Przeprowadziłem ci go — mówi powoli. — Baron kazał mi go zabrać do Canudos. Ale postanowiliśmy, Aristarco i ja, że jeśli cię znaję, będzie twój.

Na twarzy Rufina odbija się zdumienie, niedowierzanie.

— Przeprowadziłeś go? Tego cudzoziemca?

— To łajdak bez czci. — Ulpino podkreśla splunięciem swoją pogardę. — Nie obchodzi go, czy zabijesz jego kobietę, chociaż ci ją zabrał. Nie chciał o tym gadać. Kłamał, wyparł się jej i tyle.

— Gdzie on jest? — Rufino mruga, przesuwając językiem po wargach. Myśli, że to nieprawda, że Ulpino wcale go nie przeprowadził.

Ale przyjaciel tłumaczy szczegółowo, gdzie go znajdzie.

— To nie moja sprawa, ale chciałbym wiedzieć — dodaje. — Zabiłeś Juremę?

Nie mówi nic, kiedy Rufino, kręcąc głową, odpowiada, że nie. Przez chwilę wydaje się zawstydzony swym natręctwem. Macha za siebie w stronę catingi.

— Koszmar — mówi. — Powiesili na drzewach wszystkich, których tu zabili. Dziobią ich sępy. Włosy stają na głowie.

— Kiedy go zostawiłeś? — ucina Rufino, chwiejąc się nagle.

— Wczoraj wieczorem — mówi Ulpino. — Nie ruszy się stamtąd. Był ledwie żywy ze zmęczenia. A poza tym dokąd ma iść? Nie jest mężczyzną. To cherlak bez honoru, bez pojęcia o orientacji w terenie.

Rufino chwyta go za ramię i mocno ściska.

— Dziękuję — mówi, patrząc mu w oczy.

Ulpino kiwa głową, uwalnia ramię. Nie żegnają się. Tropiciel jednym skokiem wraca do chaty, oczy mu błyszczą. Tamci witają go na stojąco, zdziwieni. Rozwiązuje Juremie nogi, sprawdza węzeł na rękach i prędkim, zręcznym ruchem zarzuca jej postronek na szyję.

Karzełek pis/czy, zakrywa twarz. Ale on nie ma zamiaru jej wieszać: będzie włókł ją za sobą na powrozie. Wyprowadza ją z chaty. Ulpino odszedł. Karzełek idzie za nimi, biegnie, podskakuje. Rufino odwraca się i rzuca: „Nie hałasuj”. Jurema potyka się o kamienie, zaczepia o gałęzie, ale nie piotestuje, dotrzymuje kroku Rufinowi. Za nimi Karzełek przez cały czas bredzi o powieszonych żołnierzach, których jedzą sępy urubu.

— Widziałam wiele nieszczęść w swoim życiu — powiedziała baronowa Estela, patrząc na splekaną posadzkę salonu. — Tam, na wsi. Rzeczy, od których włosy stanęłyby na głowie mieszkańcom Salwadoru. — Spojrzała na barona: bujał się w fotelu na biegunach, naśladowując bezwiednie pana domu, sędziwego pułkownika Jose Bernarda Muraua. — Pamiętasz tego byka? Wpadł w amok i szarżował na dzieci wychodzące z lekcji religii. Czy straciłam wtedy przytomność? Nie jestem kobietą słabą. W czasach wielkiej suszy, na przykład, widzieliśmy rzeczy straszne, prawda?

Baron skinął głową. Jose Bernardo Murau i Adalberto de Gumucio, który przyjechał z Salwadoru na spotkanie z państwem de Cañabrava do fazendy Pedra Vermelha i zdążył spędzić z nimi dopiero parę godzin, słuchali jej, usiłując zachowywać się naturalnie, ale nie mogli ukryć zakłopotania, w jakie wprawiało ich wzburzenie baronowej. Ta rozumna kobieta, ukryta zawsze pod maską dwornych manier, odgradzona od reszty świata nienamacalną ścianą swoich uśmiechów, plotła teraz trzy po trzy, żaliła się, monologowała bez przerwy, jakby tknięta manią gadatliwości. Nawet Sebastiana, która od czasu do czasu zwilżała jej czoło wodą kolońską, nie potrafiła jej uciszyć. Ani mąż, ani pan domu, ani Gumucio nie mogli jej namówić na odpoczynek.

— Przywykłam patrzeć na nieszczęście — powtórzyła, błagalnym gestem wyciągając ku nim białe ręce. — Ale widzieć pożar Calumbi... to było gorsze niż agonია mojej matki, kiedy słyszałam, jak wyje z bólu, i własnymi rękami podawałam jej laudanum, które zabijało ją powoli. Ten ogień wciąż płonie, tu w środku. — Dotknęła żołądka i skuliła się, drżąc. — To było tak, jakby w moim brzuchu zwęglowały się dzieci, które straciłam przy porodzie.

Odwróciła twarz, żeby spojrzeć na barona, na pułkownika Murau, na Gumucia, prosząc, żeby jej uwierzyli. Adalberto uśmiechnął się. Starał się sprowadzić rozmowę na inne tory, ale za każdym razem baronowa powracała do pożaru Calumbi. Spróbował raz jeszcze odsunąć od niej to wspomnienie:

— A jednak, droga Estelo, można przywyknąć do najgorszych tragedii. Czy mówiłem ci kiedyś, czym była dla mnie śmierć Adeli— nii Isabel z rąk dwóch niewolników? Co czułem, kiedy znaleźliśmy zwłoki mojej siostry, już nadpsute i tak pocięte sztyletem, że trudno ją było rozpoznać? — chrypiał, wiercąc się w fotelu. — Dlatego wolę konie od czarnych. W niższych warstwach i rasach zalegają pokłady barbarzyństwa i podłości, od jakich kręci się w głowie. A przecież, droga Estelo, godzimy się w końcu z wolą Bożą i pełni rezygnacji odkrywamy, że mimo wszystkich naszych krzyży życie jest piękne.

Prawa ręka baronowej spoczęła na ramieniu Gumucia.

— Przykro mi, że przypominałam ci Adelinię Isabel — powiedziała serdecznie. — Wybacz.

— Nie przypominałeś mi jej. Nigdy o niej nie zapominam — uśmiechnął się Gumucio, ujmując dłoń baronowej. — Minęło dwadzieścia lat, a mnie się zdaje, że to było wczoraj. Mówię ci o Adelinii Isabel, żebyś zrozumiała, iż utrata Calumbi jest raną, która się zablizni.

Baronowa próbowała się uśmiechnąć, ale nie był to szczery uśmiech. Weszła Sebastiana z flakonem w ręku. Delikatnie zwilżyła czoło i policzki Esteli, a drugą ręką

poprawiła jej wzburzone włosy.

„Jej uroda, młodość, odwaga zostały w Calumbi”, pomyślał baron. Miała podkrążone oczy, mroczna zmarszczka przecięła czoło, rysy jej zwiotczały, a źrenice straciły blask i spokój, które zawsze w nich widział. Czyżby wymagał od niej za wiele? Czyżby na ołtarzu polityki poświęcił własną żonę? Przypomnił sobie, że kiedy postanowił wracać do Calumbi, Luis Viana i Adalberto de Gumucio radzili mu, żeby nie brał ze sobą Esteli, bo okolice Canudos są bardzo niespokojne. Poczł się nieswojo. Przez nieświadomość i egoizm wyrządził być może nieodwracalną krzywdę kobiecie, którą kochał nade wszystko. A jednak, gdy galopujący u jego boku Aristarco krzyknął: „Niech państwo spojrzą, już podpalili Calumbi!”, Estela zachowała nadzwyczajną równowagę. Stali na skraju płaskowyżu, gdzie baron zatrzymywał się zawsze w drodze na polowanie, by popatrzeć na swoje włości; stamtąd pokazywał gościom fazendę, tam wspinał się w czasie powodzi lub suszy, by ocenić ogrom strat. A teraz, w bezwietrzną, gwiazdzistą noc, patrzyli w rozedrgane płomienie — czerwone, nie-bieskie, żółte — równające z ziemią dwór, z którym było związane ich życie. Baron słyszał szloch Sebastiany w ciemnościach, widział zalane Izami oczy Aristarca, ale Estela nie płakała, był tego pewien. Wyprostowana, trzymała go pod rękę. W pewnej chwili usłyszał jej szept: „Pałą nie tylko dom. Pałą stajnie, obory, spichlerze”. A nazajutrz zaczęła głośno wspominać pożar i odtąd nie można jej było uspokoić. „Nigdy sobie tego nie daruję”, pomyślał.

— Gdyby o mnie chodziło, leżałbym tam teraz martwy — odezwał się nagle pułkownik Murau. — Musieliby spalić i mnie.

Sebastianą wyszła z pokoju, bąknąwszy: „Za pozwoleniem”. Baron pomyślał, że gniew starego musi być straszny, gorszy niż gniew Adalberta. Pomyślał, że w czasach niewolnictwa pułkownik na pew-no torturował krnąbrnych albo zbiegłych niewolników.

— Nie dlatego, że Pedra Vermelha jest wiele warta — chrząknął, patrząc na spękane ściany salonu. — Myślałem kiedyś nawet, żeby ją spalić, bo przysparza mi zbyt wielu trosk. Każdy ma prawo zniszczyć swoją własność, skoro ma na to ochotę. Ale żeby jakaś zgraja łajdaków, pomyleńców i złodziei paliła moją posiadłość, bo ziemia tak się napociła, że musi odpocząć? O, nie! Pierwej musieliby zabić mnie.

— Tobie nie daliby wyboru — spróbował zażartować baron. — Ciebie spaliliby w pierwszej kolejności.

Pomyślał: „Są jak skorpiony. Palić fazendy to wbijać żądło we własny grzbiet, wygrać wyścig ze śmiercią. Ale komu składają tę ofiarę z samych siebie, z nas wszystkich?”. Spostrzegł z radością, że baronowa ziewa. Ach, gdyby mogła zasnąć; byłoby to dla niej najlepszym lekarstwem. W ostatnich dniach Estela nie zmrużyła oka. Na popasie w Monte Santo nie chciała nawet położyć się na twardym łóżku na plebanii: przesiedziała całą noc, łkając w ramionach Sebastiany. To wtedy baron zaczął się niepokoić, Estela bowiem nie zwykła płakać, nigdy.

— Ciekawe — powiedział Murau, zamieniając z baronem i Gumuciem spojrzenie pełne ulgi, bo baronowa przymknęła oczy. — Kiedy przejeżdżałeś tędy w drodze do Calumbi, moja nienawiść kierowała się głównie na Moreirę Cesara. A teraz nawet czuję do niego sympatię. Moja nienawiść do jaguncos jest silniejsza od tej, jaką kiedykolwiek darzyłem Epaminondasa i jakobinów. — Kiedy byłam bardzo wzburzony, wymachiwał rękami i drapał się po podbródku: baron spodziewał się, że to zrobi. Ale stary ręce miał skrzyżowane w hieratycznej pozie. — To, co zrobili z Calumbi, z Poco da Pedra, z Sucurana, z Jii i Curral Novo, z Penedo i Lagoa, jest niegodziwe, niepojęte. Niszczyć fazendy, które ich żywią, ogniska cywi— lizacji w tym kraju! Nie ma dla nich miłosierdzia. To diabły, potwory.



„No, nareszcie”, pomyślał baron: stary pułkownik zrobił oczekiwany gest — zatoczył szybki krąg wężłastą ręką z wyciągniętym wskazującym palcem i z furią zaczął rozdrapywać zarośnięty podbródek.

— Nie krzycz tak, Jose Bernardo — przerwał Gumucio, wskazując na baronową. — Przeniesiemy ją do sypialni?

— Niech zaśnie mocniej — odparł baron. Wstał i podłożył poduszkę pod głowę żony. Potem, przyklękawszy, oparł jej stopy o podnózek.

— Myślałem, że im szybciej zawieziesz ją do Salwadoru, tym lepiej — szepnął Adalberto de Gumucio. — Ale nie wiem, czy rozsądnie będzie narażać ją na trudy nowej podróży.

— Poczekajmy do rana. — Baron usiadł z powrotem obok pana domu. Ich fotele kołysały się rytmicznie.

— Spalić Calumbi! Oni, którzy tyle ci zawdzięczają! — Murau zatoczył znów ręką jeden, dwa kręgi i podrapał się. — Mam nadzieję, że drogo za to zapłacą. Moreira Cesar dopilnuje tego. Chciałbym tam być, kiedy pójdą pod jego nóż.

— Nadal brak wieści? — przerwał ponownie Gumucio. — Po Canudos już pewnie ani śladu.

— Tak, obliczyłem to sobie — przytaknął baron. — Nawet gdyby wlekli się jak za pogrzebem, już dawno powinni byli dojść na miejsce. Chyba że... — Zauważył, iż przyjaciele spoglądają nań zaintrygowani, — Chyba że znów dostałby ataku, jak wtedy, kiedy musiał szukać schronienia w Calumbi. To mogło się powtórzyć.

— Tego tylko brakowało, żeby Moreira Cesar rozchorował się i umarł, zanim zdąży wykończyć tych degeneratów — fuknął Jose Bernardo Murau.

— Możliwe też, że nie mają telegrafu — powiedział Gumucio. — Jeśli bandyci palą ziemię, żeby miała czas na sjęstę, to pewnie zrywają druty i niszczą słupy, żeby zaoszczędzić im bólu głowy. Pułkownik może być odcięty.

Baron uśmiechnął się ze smutkiem. Ostatnio, kiedy byli tu wszyscy razem, nadejście Moreiry Cesara przyjęli jako akt zgonu autonomistów z Bahii. A teraz aż się palą, żeby poznać szczegóły jego zwycięstwa nad ludźmi, z których pułkownik chciał zrobić monarchistów i angielskich agentów, rozmyślał, czujnie śledząc sen baronowej: była blada, twarz miała spokojną.

— Angielscy agenci! — wykrzyknął nagle. — Dzicz, która pali fazendy, żeby ziemia mogła odpocząć! Słyszałem i uszom nie wierzę. Cangaceiro Pajeu: morderca, gwałciciel, złodziej, obcinacz uszu, kat wieśniaków, przemieniony w krzyżowca wiary. Te oczy to widziały. Któż by powiedział, że tutaj się urodziłem, że tutaj spędziłem większą część mego życia? Ta ziemia stała mi się obca. I ludzie nie ci, jakich znałem. Już chyba ten szkocki anarchista rozumie ich lepiej. Albo Nauczyciel. Możliwe, że tylko wariat zrozumie wariata...

Urwał, machnąwszy bezradnie ręką.

— Skoro mowa o szkockim anarchiście... — zaczął Gumucio. Baron poczuł wewnętrzny niepokój: wiedział, że to pytanie nastąpi, oczekiwał go od dwóch godzin. — Wiadomo ci, że nigdy nie wątpiłem w twój polityczny rozsądek. Ale żebyś pozwolił temu Szkotowi wyjechać, jak gdyby nigdy nic, tego nie rozumiem. Był naszą atutową kartą przeciw wrogowi numer jeden. — Spojrzał na barona, mrugając. — No co, może nie?

— Naszym wrogiem numer jeden nie jest już Epaminondas ani żaden z jakobinów —

mruknął baron niechętnie. — Naszym wrogiem są jaguncos. Kryzys gospodarczy Bahii. Oto, co nam grozi, jeśli ktoś nie skończy z tym oblędem. Ziemia leży odłogiem, wszystko diabli biorą. Zwierzęta idą pod nóż, hodowla upada. A co najgorsze, okolica, w której brak rąk do pracy zawsze stanowił problem, wyludni się zupełnie. Ludzi, którzy teraz masowo stąd odchodzą, już nie ściągniemy z powrotem. Każdy sposób jest dobry, jeżeli powstrzyma wywołaną przez Canudos lawinę zniszczeń.

Napotkał zdumione, pełne nagany oczy Gumucia i Jose Bernarda. Zrobiło mu się przykro.

— Wiem, że nie odpowiedziałem na twoje pytanie o Galileo Galla — mruknął. — Przy okazji dodam, że wcale się tak nie nazywa. Czemu go wypuściłem? Może to jeszcze jeden objaw szaleństwa dzisiejszych czasów, mój prywatny wkład w powszechny oblęd. — Nie spostrzegł, że ręką zatoczył krąg, zupełnie jak Murau. — Wątpię, czy przydałby się na coś, nawet gdybyśmy nadał chcieli wojować z epaminondasem...

— Chcieli wojować nadal? — zaperzył się Gumucio. — Ależ nawet na chwilę nie przerwaliśmy wojny, przynajmniej tak mi wiadomo. Po przyjeździe Moreiry Cesara jakobini rozpanoszyli się w Salwadorze jak nigdy dotąd. „Jornal de Noticias” żąda, żeby parlament oddał Vianę pod sąd i powołał trybunał specjalny do zbadania naszych rzekomych spisków i malwersacji.

— Nie zapomniałem republikanom tego, co nam zrobili — prze-rwał baron. — Ale teraz sprawy przybrały inny obrót.

— Mylisz się — odparł Gumucio. — Czekają tylko, aż Moreira Cesar powróci na czele swego pułku do Bahii, z głową Nauczyciela zatknię-tą na szabli, żeby usunąć Vianę, zamknąć parlament i zacząć nagonkę na nas.

— Czy Epaminondas Goncalves poniósł z rąk monarchistów jakąś osobistą stratę? — Baron uśmiechnął się. — Ja, poza Canudos, straciłem Calumbi, najstarszą i najlepiej prosperującą fazendę w interiorze. Mam więcej powodów od niego, żeby powitać Moreirę Cesara jako wybawcę.

— Tak czy inaczej, to nie tłumaczy tego, że tak beztrósco puściłeś wolno jego „angielskiego nieboszczyka” — powiedział Jose Bernardo. Baron odgadł natychmiast, ile wysiłku kosztują starego te słowa. — Był przecież żywym dowodem braku skrupułów Epaminondasa, bezcennym świadkiem, mógł wykazać jego cynizm i pogardę dla narodu.

— Owszem, w teorii — zgodził się baron. — W sferze hipotez.

— Oprowadzalibyśmy go wszędzie tam, gdzie oni obnosili się z je-go słynnym skalpem— mruknął Gumucio. Jego głos również był uschły i pełen urazy.

— Ale nie w praktyce — ciągnął dalej baron. — Gall nie jest pospo-litym wariatem. Tak, nie śmieście się, to wariat wyjątkowy. Fanatyk. Zeznałby przeciw nam. Potwierdziłby oskarżenia Epaminondasa, okryłby nas śmiesznością.

— Przykro mi, ale znów mam inne zdanie — powiedział Gumucio. — Jest aż nadto sposobów, żeby zmusić do mówienia prawdy zarówno rozumnych, jak i szalonych.

— Ale fanatyków nie — odparł baron. — Ich przekonania silniejsze są niż strach przed śmiercią. Tortury nie zrobiłyby na Gallu wrażenia, przeciwnie, umocniłyby jego wiarę. W historii religii mamy wiele przykładów...

— W tym wypadku lepiej było go zastrzelić i przywieźć tu trupa — mruknął Murau. — Ale puszczać go wolno...

— Ciekawe, co się z nim stało — powiedział baron. — Chciałbym wiedzieć, kto go zabił. Przewodnik, żeby nie dostał się do Canudos? Jaguncos dla rabunku? Czy Moreira Cesar?

— Przewodnik? — Gumucio otworzył szeroko oczy. — Dałeś mu na dodatek przewodnika?

— I konia — potwierdził baron. — Miałem do niego słabość. Wzbudził moje współczucie, sympatię.

— Sympatię? Współczucie? — powtórzył pułkownik Jose Bernardo Murau, bujając się nerwowo. — Dla anarchisty, który marzy o tym, żeby utopić świat we krwi i poźodze?

— I z paroma trupami na sumieniu, sądząc z tego, co napisał — po wiedział baron. — Jeżeli nie kłamał, co także nie jest wykluczone. Biedaczysko... był przekonany, że Canudos to powszechne braterstwo, materialistyczny raj. Mówił o jaguncos jak o politycznych współwyznawcach. Nie można go było nie lubić...

Zauważył, że przyjaciele patrzą nań z coraz większym zdumieniem.

— Mam tu jego testament — oznajmił. — Trudna lektura; sporo tam nonsensów, ale ciekawa. Zawiera szczegóły intrygi Epaminondasa... jak go skaptował, jak go potem próbował zabić itd.

— Lepiej by było, gdyby obwieścił to światu własnym, żywym głosem — powiedział z oburzeniem Adalberto de Gumucio.

— Nikt by mu nie uwierzył — odparł baron. — Fantastyczne bzdury Epaminondasa Goncalvesa, razem z jego tajnymi agentami i przemytem broni, są bardziej prawdopodobne od faktów. Po kolacji przetłumaczę wam kilka fragmentów. Napisał to po angielsku. Tak... — Milczał chwilę, patrząc na baronową, która westchnęła przez sen — Wiecie, dlaczego zostawił mi ten testament? Żebym go wysłał do jakiegoś anarchistycznego szmatławca wydawanego w Lyonie. Wyobraźcie sobie: już nie spiskuję z angielską monarchią, ale z fran-cuskimi terrorystami, którzy walczą o światową rewolucję.

Roześmiał się, widząc, że irytacja przyjaciół rośnie z każdą chwilą.

— Jak widzisz, nie podzielamy twego poczucia humoru — powiedział Gumucio.

— A przecież to właśnie mnie spalono Calumbi.

— Przestań silić się na żarty i wytłumacz się nam wreszcie — zgromił go Murau.

— Teraz nie chodzi już o to, żeby zaszkodzić Epaminondasowi, mój ty zaściankowy polityku — powiedział baron de Cañabrava. — chodzi oto, żeby z nim dojść do porozumienia. Wojna między nami się skończyła, same okoliczności położyły jej kres. Nie można prowadzić dwóch wojen naraz. Szkot na nic by nam się nie przydał, a na dłuższą metę tylko skomplikowałby sprawę.

— Porozumienie z postępowymi republikanami? Czy dobrze słyszę? — Gumucio patrzył nań osłupiały.

— Powiedziałem: porozumienie, a pomyślałem: sojusz, pakt — powiedział baron. — To trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej zrobić, ale innego wyjścia nie ma. Tak, myślę, że teraz już można przenieść Estelę do sypialni.

## **Rozdział VI**

Przemoknięty do nitki, skulony na kocu, który trudno odróżnić od błota, dziennikarz

okularnik z „Jornal de Noticias” słucha grzmotu dział. Częściowo przez ten deszcz, częściowo przez to, że bitwa jest bliska, nikt nie śpi w obozie. Wyteża słuch: czy w ciemnościach biją jeszcze dzwony Canudos? Słyszy tylko przerywany huk armat i trąbkę wygrywającą pułkowy hejnał. Czy jaguncos także nadali nazwę symfonii świstawek nękającej 7. Pułk od samego Monte Santo? Jest niespokojny, wystraszony, ma dreszcze. Kości z wolna nasiąkają wodą. Myśli o swoim koledze po piórze, wiecznie zmarzniętym starym dziennikarzu, który zostawszy w tyle wśród półnagich żołnierzy-dzieci, powiedział mu: „Chleb zbyt blisko ognia przypala się, młody przyjacielu”. Zginął? Podzielił razem z chłopcami los jasnowłosego sierżanta i żołnierzy z jego patrolu, znalezionych dziś po południu na stokach gór? Wtem, w dole, dzwony odpowiedziały pułkowym trąbkom; w ciemnościach i deszczu brzmi ów dialog niby preludium walki, która rozpocznie się przed świtem.

Los jasnowłosego sierżanta mógł być i jego losem: już miał powiedzieć „tak”, kiedy Moreira Cesar zaproponował, żeby poszedł z nimi. Co go ocaliło? Zmęczenie? Przeczucie? Przypadek? Stało się to zaledwie wczoraj, ale w jego pamięci jest już odległą przeszłością, bo jeszcze wczoraj Canudos wydawało mu się niedosiężne. Czoło kolumny staje — dziennikarz okularnik przypomina sobie, że szumiało mu w uszach, że nogi trzęsły się pod nim, że miał owrzodzone wargi — pułkownik prowadzi konia za wodze, oficerowie mieszają się z żołnierzami i tropicielami, ziemia czyni z nich jednolitą masę. Spostrzega zmęczenie, „brud, nędzę dokoła siebie. Tuzin żołnierzy odrywa się od szeregów i lekkim krokiem idzie zameldować się przed pułkownikiem i majorem Cunha Matosem. Dowodzi ten sam młody oficer, który schwytał księdza z Cumbe. Słyszy, jak stuka obcasami, powtarza instrukcje:

— Umocnić się w Caracata, zamknąć wąwóz krzyżowym ogniem, gdy tylko rozpocznie się atak. — Wygląda rezolutnie, zdrowo, opty— mistycznie, jak w każdym momencie tego długiego marszu. — Proszę się nie obawiać, pułkowniku, żaden bandyta nie prześlizgnie się przez Caracata. Tropiciel stojący obok sierżanta to chyba ten, który był przewodnikiem, kiedy szukali wody. To on zaprowadził żołnierzy w zasadzkę, a dziennikarz okularnik myśli, że on sam — przemoknięty, zdezorientowany, majaczący— znalazł się tutaj po prostu cudem. Pułkownik Moreira Cesar widział, jak siedział na ziemi, wyczerpany, skurczony, ze swoim składanym pulpitem na kolanach.

— Chce pan iść z patrolem? W Caracata będzie dla pana bezpieczniej niż z nami.

Co sprawiło, że powiedział „nie”, zawahawszy się przez ułamek sekundy? Wspomina, że często rozmawiał z młodym sierżantem; tamten wypytywał go o „Jornal de Noticias” i jego pracę, a Moreira Cesar był człowiekiem, krórego podziwiał najbardziej na świecie — „Bardziej niż marszałka Floriano” — i tak samo jak pułkownik uważał, że politycy cywilni są plagą republiki, źródłem korupcji i rozłamów, bo tylko ludzie munduru i szpady mogą odnowić upodloną przez monarchię ojczyznę.

Przestało padać? Dziennikarz okularnik przewraca się na plecy, nie otwierając oczu. Tak, już nie kropi, to tylko wiatr, omiatający zbocze, chłoszcze go igiełkami wody. Kanonada ucichła także. Postać młodego sierżanta zastępuje w jego umyśle obraz starego, wiecznie zmarzniętego dziennikarza: jego na wpół białe, na wpół żółtawe włosy, jego mizerna, dobrodusznna twarz, jego szalik, paznokcie, które kontemplował, jakby pobudzały go do medytacji. Czy on także zawisnął na jakimś drzewie? Wkrótce po odejściu patrolu przybywa goniec z wiadomością, że coś się stało z dziećmi. „Kompania dzieciaków!”, myśli. To wszystko jest zapisane, spoczywa na dnie sakwy, którą własnym ciałem osłania przed deszczem: na czterech lub pięciu kartkach opowiada historię tych chłopców — nieledwie dzieci — których dowódca 7. Pułku werbuje, nie pytając o lata. Dlaczego to robi? Dlatego, że według Moreiry Cesara dzieci mają celniejsze oko i silniejsze nerwy niż dorośli. Widział ich, rozmawiał z tymi piętnasto- i czternastoletnimi żołnierzami, przezwanymi w pułku

dzieciakami. Dlatego, kiedy słyszy, że coś im się stało, rusza za pułkownikiem na tyły. Znajdują ich po upływie pół godziny.

W mokrych ciemnościach dreszcz przebiega go od stóp do głów. Znów głośno brzmią trąbki i dzwony, a on wciąż widzi ośmiu, może dziesięciu chłopców-żołnierzy, skulonych w kucki lub leżących na żwirze w zachodzącym słońcu. Zostali w tyle za taborami. To są najmłodsi, w mundurach wyglądają jak przebierańcy, widać, że ledwie żyją ze zmęczenia i głodu. Osłupiały dziennikarz dostrzega wśród nich swego kolegę po piórze. Wąsaty kapitan, który wygląda jak ofiara sprzecznych uczuć — litości, gniewu, niezdecydowania — wita pułkownika: nie chcą iść dalej, co mam robić? Dziennikarz okularnik cierpliwie przekonuje siwowłosego korespondenta: niech wstanie, niech się przewycięży. „Nie potrzebował mojego gadania, gdyby miał w sobie choćby żdźbło energii, szedłby dalej”. Wspomina jego wyciągnięte nogi, zsiniałą twarz, psie ziajanie. Jedno z dzieci popłakuje: woła, żeby pan ich kazał zabić, pułkowniku, mają poranione nogi, zawroty głowy, nie zrobią ani kroku dalej. Szlocha, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, i stopniowo inni, dotąd cisi, wybuchają płaczem, zakrywają twarze rękami, czepiają się nóg pułkownika. Wspomina spojrzenie Moreiry Cesara, jego zimne oczy, wodzące tam i z powrotem po całej grupce.

— Myślałem, że wojsko zrobi z was mężczyzn. Straciecie najlepszą część zabawy. Zawiedliście mnie, chłopcy. Powinienem oskarżyć was o dezercję, ale w dowód łaski uznaję was za poległych. Zdajcie broń i mundury.

Dziennikarz okularnik oddaje pół racji wody swojemu koledze i jeszcze teraz ma przed oczami uśmiech, jakim ten mu dziękuje, podczas gdy dzieci, podpierając się nawzajem, bezsilnymi rękami ściągają polowe kurtki i czapki, oddają karabiny magazynierom.

— Nie sterczcie tutaj, teren jest odkryty — mówi Moreira Cesar. — Spróbujcie dojść do skał, gdzie dziś rano stanęliśmy na popas. Scho wajcie się tam, może złapiecie jakiś patrol. Prawdę mówiąc, macie małe szanse.

Robi zwrot i wraca na czoło kolumny. Stary dziennikarz szepcze na pożegnanie: „Zbyt blisko ognia przypała się chleb, młody przyjacielu”. Oto jest, że swoim niedorzecznym szalikiem wokół szyi, zostaje w tyle, siedząc niby nauczyciel wśród półnagich, rozbeczanych malców. Myśli: „Tam też padał deszcz”. Wyobraża sobie zdumienie, szczęście, zmartwychwstanie, jakim musiała być dla starego i dzieciaków ta nagła ulewa zesłana przez rozwścieczone niebiosa, zaciągnięte nagle ciemnymi chmurami. Wyobraża sobie niedowierzanie, śmiechy, usta otwierające się zachłannie, radośnie, dłonie stulone w garstki, żeby zatrzymać wodę, wyobraża sobie, jak chłopcy zrywają się na nogi, obejmują, wypoczęci, rozswawoleni, nieczuli na ból. Będą iść, może dogonią tabory? Skulony, przyciskając podbródek do kolan, dziennikarz okularnik odpowiada sam sobie, że nie: ich zniechęcenie i wyczerpanie było tak wielkie, że nawet deszcz nie poderwie ich na nogi.

Ile to już godzin leje? Zaczęło o zmierzchu, kiedy przednie straże zajmowały wzniesienia wokół Canudos. Jakaś nieopisana eksplozja nastąpiła w całym pułku, żołnierze i oficerowie skaczą, poklepują się, piją wodę czapkami, z otwartymi ramionami wystawiają się na walące z nieba strugi, biały koń pułkownika rży, potrząsa grzywą, tapla się kopytami w błocie, którego jest coraz więcej. Dziennikarz okularnik podnosi głowę, zamyka oczy, otwiera usta, nadstawia nos, z niedowierzaniem, wprawiony w ekstazę tymi kroplami pryskającymi na jego ciało, i stoi, tak odurzony, tak uradowany, że nie słyszy wystrzałów ani krzyków żołnierza, który toczy się po ziemi obok niego, wrzeszcząc z bólu i łapiąc się za twarz. Kiedy spostrzega panujący wokół zamęt, przypada do ziemi, podnosi pulpit i sakwę, zasłania głowę. Z tej lichej kryjówki widzi, jak kapitan Olimpio de Castro strzela z rewolweru, a żołnierze biegną, szukając osłony, albo rzucają się na rozmokłą ziemię. A między ubłoconymi nogami, które biegną tam i z powrotem, widzi — obraz ten wyrył się w jego pamięci jak dagerotyp —

pułkownika Moreirę Cesara chwytającego wodze, wskakującego na siodło i szarżującego z podniesioną szablą na catingę, tam, skąd padły strzały. Krzyczał: „Niech żyje Republika — myśli — niech żyje Brazylia!”. W ołowianym świetle, w strugach wody, na wietrze targającym drzewa oficerowie i żołnierze rzucają się biegiem, wrzeszcząc chórem wraz z pułkownikiem i nagle — zapomniawszy w jednej chwili o chłodzie i niebezpieczeństwie, dziennikarz z „Jornal de Noticias” śmieje się na wspomnienie tej chwili — widzi, że on także biegnie wśród nich, także w stronę gęstwiny, także na spotkanie niewidzialnego wroga. Pamięta, jak potykając się co krok, myślał, że jak idiota pędzi na bitwę, w której nie będzie walczył. Bo czym miał walczyć? Swoim przenośnym pulpitem? Skórzaną sakwą wypchaną bielizną i papierem? Pustym kałamarzem? Ale wroga, jak zwykle, nie zobaczyli.

„To, co zobaczyliśmy, było gorsze”, myśli i nowy deszcz przebiega mu jak jaszczurka po plecach. W szarym zmierzchu, powoli przechodzącym w noc, widzi znowu tamten krajobraz, który nagle nabiera cech fantasmagorii: favele i umburany uginające się pod dziwnym ludzkim owocem, buty, pochwy od szabel, bluzy, czapki, tańczące na gałęziach. Z niektórych trupów zostały już tylko szkielety bez oczu, brzuchów, pośladków, ud, jąder, członków, wydziobanych przez sępy lub wyżartych przez gryzonie, a ich nagość odbija od zielonkawej, widmowej szarości drzew i brunatnej barwy ziemi. Nieruchomieje nagle, tknięty niezwykłością tego widowiska, i idzie powoli, otumaniony, wśród szczątków mundurów i ludzi, w jakie przystroiła się catinga. Moreira Cesar zsiadł z konia, wokół niego tłoczą się oficerowie i żołnierze, których powiódł do szarży. Stoją, skamieniali. Jakaś głęboka cisza, jakiś naprężony bezruch zastąpił wrzawę i niedawny impet. Wszyscy patrzą, a na twarzach osłupienie i strach zamieniają się w smutek i gniew. Młody jasnowłosy sierżant głowę ma nietkniętą, choć pozbawioną oczu, a ciało, porwane sinoczerwonymi bruzdami, porozrywane wystającymi kośćmi i obrzękłymi dziurami, które zdają się krwawić, kołysze się łagodnie, obmywane deszczem. W owej chwili, zanim jeszcze się przestraszył, zanim poczuł litość, dziennikarz okularnik pomyślał o tym, o czym dotąd nie może przestać myśleć, o tym, co nawet teraz nurtuje go i odbiera mu sen: o przypadku, o cudzie, dzięki któremu nie wisi tam, wśród kaktusów, nagi, okaleczony, wykastrowany nożami jaguncos lub dziobami sępów. Ktoś szloch. To kapitan Olimpio de Castro z pistoletem w dłoni podnosi ręce do twarzy. W półmroku dziennikarz okularnik widzi, że inni oficerowie i żołnierze też oplakują jasnowłosego sierżanta i jego ludzi, których zaczynają odcinać od gałęzi; Moreira Cesar stoi, uczestnicząc w tej dokonywanej po ciemku ceremonii, z twarzą ściągniętą twardym grymasem, jakiego dotychczas nigdy u niego nie widziano. Żołnierze pospiesznie zakopują owinięte kocami, leżące pokotem trupy. W ciemności prezentują broń, słysząc huk salwy honorowej. Gra trąbka: Moreira Cesar wyciąga szablę ku wznoszącym się przed nimi stokom gór i wygłasza zwięzłą mowę:

— Żołnierze! Mordercy nie uciekli. Są tam, czekają kary. Teraz będę milczał. Niechaj przemówią karabiny i bagnety.

Znowu słyszy ryk armaty — tym razem bliżej. Podskakuje w miejscu, całkiem już rozbudzony. Przypomina sobie, że w ostatnich dniach prawie wcale nie kichał, mimo tej deszczowej wilgoci, i mówi sobie, że przynajmniej jedno zyskał na tej wyprawie: zmore jego życia, katar, który doprowadzał do szału redakcyjnych kolegów, a jemu przez całe noce odbierał sen, uśmierzył się, może nawet ustał zupełnie. Wspomina, że zaczął palić opium nie po to, żeby śnić na jawie, ale żeby spać bez kichania, i mówi sobie: „Jakie to płaskie”. Przewraca się na bok i wpatruje się w niebo — czarną plamę bez iskiek. Jest tak ciemno, że nie odróżnia twarzy żołnierzy leżących obok niego, po prawej i po lewej. Ale słyszy sapanie, słowa, które im się wymykają przez sen. Co pewien czas jedni wstają, a inni przychodzą odpocząć, podczas gdy tamci wspinają się na szczyty, żeby ich zluzować. Myśli: to będzie straszne. Coś, czego nigdy nie zdoła wiernie przelać na papier. Myśli: zioną nienawiścią,

zatruci żądzą zemsty, żądają zapłaty za zmęczenie, głód, pragnienie, stracone konie i krowy, a przede wszystkim za zmasakrowane, sponiewierane trupy towarzyszy, których zaledwie kilka godzin temu widzieli odchodzących na pozycje w Caracata. Myśli: tego właśnie było trzeba, żeby wprowadzić ich w bojowy trans. To dzięki nienawiści wbiegali w szalonym pędzie na skaliste zbocza, zaciskając zęby, to ona trzyma ich bez snu, z karabinami w garści, gdy ze szczytu obsesyjnie wpatrują się w ciemności, tam, w dół, gdzie czekają ich przyszłe ofiary. I jeśli z początku nienawidzili z obowiązku, to teraz nienawidzą serdecznie tego wroga, który musi im spłacić honorowy dług.

Z powodu szaleńczego tempa, w jakim 7. Pułk pokonywał wzniesienia, nie mógł pozostać na czele, obok pułkownika, sztabu i eskorty. Przeszkadzał mu brak światła, potknięcia, spuchnięte stopy, serce, które zdawało się wyskakiwać z piersi, łomot w skroniach. Co sprawiło, że wytrzymał, że powstawał tyle razy i wspinał się dalej? Myśli: strach, że zostanie sam, ciekawość, co będzie dalej. Raz, upadając, zgubił pulpit, ale jakiś żołnierz z ogoloną głową — goli się tu zawszonych — podniósł go i oddał. Ale już mu nie jest potrzebny: skończył się atrament, a ostatnie gęsie pióro złamało się wczoraj. Teraz, kiedy przestało padać, wychwytuje rozmaite odgłosy, łoskot kamieni, i zastanawia się, czy w nocy kompanie wciąż rozwijają szyki po obu stronach, czy wloką działa i karabiny maszynowe na stanowiska, czy przednia straż ruszyła już na dół, nie czekając dnia.

Nie dał się zostawić w tyle, dotarł szybciej od wielu żołnierzy. Czuje dziecinną radość, jakby wygrał zakład. Te sylwetki bez twarzy już nie idą naprzód: gorączkowo rozwiązują toboły, zrzucają tornistry; znika zmęczenie, znika trwoga. Pyta, gdzie jest dowództwo, wpada na grupki żołnierzy, łązi tam i z powrotem, aż natrafia na rozpięty na kółkach brezent, oświetlony słabą świeczką. Jest już późna noc, wciąż leje jak z cebra, a dziennikarz okularnik wspomina poczucie bezpieczeństwa, ulgę, jaką podchodząc do namiotu, poczuł na widok Moreiry Cesara. Pułkownik pisze meldunki, wydaje instrukcje, goryczkowa aktywność wre wokół stolika, na którym migocze płomień. Dziennikarz okularnik osuwa się na ziemię u wejścia, myśląc jak zawsze, że jego poza, jego obecność tutaj jest jak poza i obecność psa i że na pewno właśnie z psem kojarzy się dowódcy 7. Pułku. Widzi, jak wchodzą i wychodzą oficerowie, zbryzgani błotem, słyszy, jak pułkownik Tamarindo dyskutuje z majorem Cunhą Matosem, jak Moreira Cesar wydaje rozkazy: owinięty czarną peleryną, wygląda pokracznie w oleistym świetle. Czyżby miał kolejny napad swojej tajemniczej choroby? Bo stoi przy nim doktor Souza Ferreiro.

— Otworzyć ogień z dział — słyszy rozkaz. — Poślijcie im z krup — pów nasze wizytówki, żeby zmiękli trochę przed szturmem.

Oficerowie opuszczają namiot; musi odsunąć się na bok, żeby go nie podeptali.

— Zagrajcie im hejnał pułku — mówi pułkownik do kapitana Olimpia de Castro.

I wkrótce dziennikarz okularnik słyszy dźwięk długi, ponury, żałobny, ten sam, który towarzyszył wymarszowi kolumny z Queimadas.

Moreira Cesar wstaje i idzie do wyjścia, zgięty pod peleryną, ściska dłonie oficerom, życzy im szczęścia.

— Ho, ho! Doszedł pan do Canudos — mówi na jego widok. — Przyznaję, że pan mnie zdumiewa. Nigdy nie sądziłem, że jako jedyny z korespondentów dotrze pan z nami aż tutaj.

I nagle, straciwszy zainteresowanie dla jego osoby, odwraca się do pułkownika Tamarindo. Hejnał pułku rozbrzmiewa w różnych punktach okolicy, zagłuszając szum deszczu. Wtem, w chwili ciszy, dziennikarz okularnik słyszy bicie dzwonów. Wspomina, że

pomyślał wtedy to samo, co myśleli wszyscy: „Jaguncos dają odpowiedź”. „Jutro zjemy śniadanie w Canudos”, docierają doń słowa pułkownika. Serce mu zamiera, bo jutro to już dziś.

Obudził go silny, piekący ból: szeregi mrówek przebiegały po ra— mionach, zostawiając na skórze strużkę czerwonych punkcików. Rozgniatł je rękami, otrząsając się z otępienia. Spojrzał na niebo, szare w rzedającym blasku, i spróbował określić godzinę. Zawsze zazdrościł Rufinowi, Juremie, Brodacze, wszystkim tutejszymi lu— dziom pewności, z jaką jednym rzutem oka na słońce albo gwiazdy mogli odgadnąć porę dnia lub nocy. Jak długo spał? Niedługo, bo Ulpino jeszcze nie wrócił. Kiedy zobaczył pierwsze gwiazdy, przestraszył się. Może coś mu się stało? Może uciekł, może bał się iść aż do Canudos? Poczłł chłód, uczucie, którego — zdawało się — nie doświadczał od wieków.

Wiele godzin później, jasną nocą, Galileo Gall nabrał pewności, że Ulpino już nie wróci. Wstał i nie wiedząc, co zamierza, począł iść w kierunku wskazanym przez tablicę z napisem „Caracata”. Drożyna gubiła się w labiryncie cierni, które kaleczyły mu skórę. Wrócił na polanę. Z trudem zapadł w sen, pełen koszmarów i lęków, które mgliście pamiętał o świecie. Był tak głodny, że zapomniawszy o przewodniku, żuł przez dłuższą chwilę zioła, aż zapełnił pustkę w żołądku. Potem zbadał okolicę, wiedząc, że teraz musi dawać sobie radę sam. W końcu nie będzie to trudne: wystarczy natknąć się na pierwszą lepszą grupę pielgrzymów i iść za nimi. Ale gdzie ich szukać? Podejrzanie, iż Ulpino rozmyślnie sprowadził go na manowce, budziło w nim taki lęk, że odrzucił je stanowczo, gdy tylko zaświtało mu w głowie. W ręku niósł grubą gałąź, którą torował sobie drogę przez las, a juki zarzucił na ramię. Nagle lunął deszcz. W upojeniu zlizywał krople padające mu na twarz, kiedy dostrzegł wśród drzew jakieś ludzkie sylwetki. Zawołał i pobiegł ku nim, rozbryzgując błoto, mówiąc sobie, że już, że nareszcie, lecz wtem poznał Juremę. I Rufina. Stanął jak wryty. Przez kurtynę wody dojrzał kamienny spokój tropiciela, prowadzącego za sobą Juremę, jak zwierzę, na postronku okręconym wokół szyi. Zobaczył, że puszcza powróż, i spostrzegł wylęknioną twarz Karzełka. Patrzyli na niego wszyscy troje. Poczłł się bezradny, nierzeczywisty. Rufino trzymał w ręku nóż; oczy jarzyły mu się jak dwa węgle.

— To na ciebie, Gall. Nie przyszedłeś bronić swojej kobiety — zrozumiał, że przewodnik mówi do niego raczej z pogardą niż z gniewem. — Nie masz honoru, Gall.

Poczłł, że wzmaga się wrażenie nierealności. Wolną rękę podniósł do góry i wykonał uspokajający, przyjazny gest.

— Nie mam czasu na głupstwa, Rufino. Potem wszystko ci wyja śnię. Teraz są pilniejsze sprawy. Był tysięcy mężczyzn i kobiet zagrożony jest przez ambicje garstki politykierów. Twoim obowiązkiem...

Nagle zdał sobie sprawę, że mówi po angielsku. Rufino szedł ku niemu; Galileo zaczął się cofać. Z ziemi zrobiło się błoto. Za nimi Karzełek próbował rozwiązać Juremę. Wydawało mu się, że słyszy: „Nie zabiję cię jeszcze”, i rozumiał, że tropiciel chce go spoliczkować, żeby tą zniewagą odzyskać swój honor. Miał ochotę się roześmiać. Dzieląca ich odległość malała z każdą chwilą. Pomyślał: „Nie rozumie i nie rozumie żadnych racji”. Nienawiść jest jak pożądanie, wyklucza intelekt, zamienia człowieka w czysty instynkt. Ma umrzeć przez takie głupstwo, przez babską szparę? Wciąż wykonywał uspokajające gesty, a jego twarz przybrała tchórzliwy, błagalny wyraz.

Jednocześnie obliczał dystans, a kiedy Rufino był już blisko, nagle zamierzył się na niego kijem, który ścisnął w garści. Tropiciel upadł na ziemię. Gall usłyszał krzyk Juremy, ale nim dobiegła, zdążył jeszcze parę razy uderzyć Rufina, ogłuszyć go i podnieść nóż, który wypadł mu z ręki. Powstrzymał gestem Juremę, dając jej do zrozumienia, że nie zabije jej



męża. Rozwścieczony, wygrażał pięściami leżącemu człowiekowi i wrzeszczał:

— Ty ślepy egoisto, ty wrogu klasowy, ty łajdaku, nie potrafisz wy chylić nosa poza własną próżność! Honor mężczyzny nie znajduje się na jego twarzy ani w babskiej dupie, głupcze! W Canudos są tysiące niewinnych ludzi! Tam rozstrzyga się los twoich braci, zrozumże to!

Rufino potrząsał głową, powoli wracając do siebie.

— Może ty go przekonasz! — krzyknął jeszcze Gall do Juremy, za nim odszedł.

Ona patrzyła nań, jakby był szalony albo jakby go nie znała. Znow ogarnęło go wrażenie absurdu i nierealności. Dlaczego nie zabił Rufina? Ten idiota będzie go ścigał aż na koniec świata, to pewne. Biegł zadyszany, kalecząc się o catingę, pod strugami wody, ubłocony, nie wiedząc, dokąd zmierza. Ścisnął mocno kij i sakwę, ale zgubił kapelusz i czuł krople bębniące o nagą czaszkę. W jakiś czas potem — po minucie? po godzinie? — zatrzymał się. Powoli ruszył dalej. Nie było żadnej ścieżki, żadnego punktu odniesienia, tylko zarośla i kaktusy: nogi grzęzły mu w błocie, hamując marsz. Czuł, że poci się pod strugami wody. W milczeniu przeklinał swój los. Szarzało, a on nie mógł uwierzyć, że już jest noc. Wreszcie uświadomił sobie, że rozgląda się na wszystkie strony, jakby wzywając pomocy od tych szarych, jałowych drzew o ostrych kolcach zamiast liści. Zrobił gest ni to litości, ni rozpaczony i znowu zaczął biec. Ale po kilku metrach znieruchomiał, sparaliżowany uczuciem bezsilności. Wyrwał mu się płaczliwy okrzyk:

— Rufinoooo! Rufinoooo! — krzyknął, podniósłszy ręce do ust. — Chodź, chodź, tu jestem, potrzebuję cię! Pomóż mi, zaprowadź mnie do Canudos, przydadmy się na coś, nie bądźmy głupcami. Potem będziesz mógł się zemścić, zabić mnie, spoliczkować. Rufinoooo!

W plusku wody usłyszał echo własnego krzyku. Był przemoknięty do nitki, umierał z zimna. Ruszył dalej, przed siebie, poruszając ustami, potykając się o własny kij. Jest zmierzch, wkrótce będzie noc, może to wszystko było zwykłym koszmarnym snem, i ziemia usunęła mu się spod nóg. Zanim uderzył o dno, zrozumiał, że nadepnął na gałęzie maskujące jakąś dziurę. Wstrząs nie pozbawił go zmysłów, bo grunt był rozmiękły od deszczu. Wstał, obmacał ramiona, nogi, obolałe plecy. Poszukał po omacku noża, który wypadł mu z pasa, i pomyślał, że mógł być się przebić, padając. Spróbował wdrapać się na brzeg jamy, ale stopy obsuwały mu się i ciągle ześlizgiwał się z powrotem na dno. Usiadł na rozmokłej ziemi, oparł się o ścianę wykopu i zasnął z uczuciem dziwnej ulgi. Zbudził go słaby szelest deptanych gałęzi i liści. Już miał krzyknąć, kiedy coś świsnęło mu koło ramienia, a w półmroku dojrzał drewnianą strzałę wbijającą się w ziemię.

— Nie strzelać! Nie strzelać! — krzyknął. — Jestem przyjacielem, przyjacielem!

Rozległy się szepty, głosy, a on wciąż krzyczał, aż wreszcie w głąb jamy zanurzyła się płonąca głownia, za którą przeczuwał obecność ludzkich twarzy. Mężczyźni byli uzbrojeni, obwieszani pękami traw. W jego stronę wyciągnęło się naraz wiele rąk. Dzięki ich pomocy wydostał się na powierzchnię. Z twarzą rozjaśnioną szczęściem Galileo Gall stał naprzeciw jaguncos, którzy mierzyli go wzrokiem od stóp do głów w świetle pochodni sypiących iskrami w wilgoci po niedawnym deszczu. W swoich okryciach z traw, z dyndającymi u szyi drewnianymi świstawkami, ze swymi karabinami, maczetami, kuszami, ładownicami, łachmanami i szkaplerzami z Sercem Jezusa wyglądali jak przebierańcy. Kiedy tak patrzyli na niego, obwąchiwali go niemal, zdumieni, skąd się tu wzięła ta istota, tak różna od wszystkiego, co widywali do tej pory, Galileo Gall błagał ich namiętnie, żeby zabrali go do Canudos: może im się przydać, może pomóc Nauczycielowi, wyjaśnić mu, że padli ofiarą machinacji skorumpowanych burżua-zyjnych polityków i wojskowych. Wodził dokoła wytrzeszczonymi oczami i gestykulował, chcąc dodać siły i elokwencji swym słowom i

wypełnić luki nieskładnej mowy: jako doświadczony rewolucjonista, zaprawiony w walce towarzysz ludu, chce podzielić ich los.

— Niech będzie pochwalony Dobry Jezus — zrozumiał Gall czyjeś słowa. Czyżby się przesłyszał?

Kpią z niego? Bełkotał, wyłamywał sobie język, walczył z uczuciem bezsilności, które opadło go, kiedy zdał sobie sprawę, że nie mówi tego, co chce powiedzieć i co oni mogliby zrozumieć. A kiedy w chybottliwym świetle pochodni spostrzegł, że jaguncos wymieniają znaczące spojrzenia i gesty, że uśmiechają się doń litościwie, prezentując brak lub nadmiar użębienia, poczuł się zupełnie bezradny. Myślał pewnie, że nie ma piątej klepki, ale muszą mu uwierzyć! Jest tutaj po to, żeby im pomóc, z takim trudem przedzierał się do Canudos. Dzięki nim odrodził się płomień, który gnębiciele ludu dawno mieli za wygasły. Zamilkł znowu, zbity z tropu, doprowadzony do rozpaczycy życzliwymi oczami obwieszonych trawą ludzi, spoglądającymi nań z ciekawością i współczuciem. Zamarł z wyciągniętymi rękami i poczuł, że oczy ma pełne łez. Co tu robi? Jak doszło do tego, że wpakował się w tę pułapkę bez wyjścia, w przekonaniu, że w ten sposób dorzuci jeszcze jedno ziarnko piasku do wielkiego dzieła likwidacji barbarzyństwa na świecie? Ktoś dodawał mu otuchy: Niech się nie boi, to tylko masoni, protestanci, słudzy Antychrysta, Nauczyciel i Dobry Jezus są mocniejsi. Ten, który się odezwał, miał podłużną twarz i maleńkie oczy, powoli wymawiał każde słowo: kiedy nadejdzie pora, jakiś król zwany Sebastianem wyjdzie z morza i zjawi się w Belo Monte. Nie trzeba płakać, niewinnych dotknął swoim skrzydłem anioł; Ojciec wskrzesi go, jeśli heretycy go zabiją. Chciał odpowiedzieć im, że rozumie, że potrafi pod zwodniczą warstwą ich mowy dostrzec prawdę o nieustającej walce dobra, ucieleśnionego w biednych, okradanych i cierpiących, ze złem, którym są bogacze i ich wojska, a kiedy walka dobiegnie końca, rozpocznie się era powszechnego braterstwa — ale nie znajdował właściwych słów. Czuł, że poklepują go po ramieniu i pocieszają, bo widzą, że płacze. Pochwycił na wpół zrozumiałe urywki zdań: pocałunek wybranych, pewnego dnia będzie bogaty i że powinien się modlić.

— Chcę iść do Canudos — wykrztusił, szarpiąc za ramię tego, który mówił. — Weźcie mnie ze sobą. Mogę iść z wami?

— Nie możesz — odparł ktoś, pokazując na góry. — Tam są psy. Utną ci głowę. Ukryj się. Pójdiesz potem, kiedy szczytną.

Pomachali doń przyjaźnie i zniknęli nagle, zostawiając go w środku nocy, ogłupiałego, z tym zdaniem dźwięczącym mu w uszach jak szyderstwo: Niech będzie pochwalony Dobry Jezus. Zrobił parę kroków, chciał iść za nimi, ale wtem coś zważyło się nań z impetem. Walcząc zaciekle, pojął, że to Rufino, że te rtęciowe błyski za plecami jaguncos to były jego oczy. Czekał, aż tamci odejdą, żeby się na niego rzucić. W milczeniu zadawali ciosy, sapiąc w błocie catingi. Znowu padał deszcz, Gall słyszał grzmoty, plusk wody, a ta zwierzęca przemoc uwalniała go w jakiś sposób od rozpaczycy, nadawała chwilowy sens jego życiu. Gryzł, kopał, drapał, walił bykiem i przez cały czas słyszał krzyki kobiety, którą na pewno była Jurema wołająca Rufina, i zmieszany z jej głosem płaczliwy pisk Karzelka wołającego Juremę. Lecz nagle wszystkie dźwięki utonęły w jazgocie niezliczonych trąbek, dobiegającym ze szczytu wzniesienia, i w biciu dzwonów, które odezwały się w odpowiedzi. Odgadywał, co znaczą te trąbki, te dzwony, i było tak, jakby zagrzewały go do walki: bił się teraz odważniej, nie czując zmęczenia ani bólu. Padał i wstawał, nie wiedząc, czy to pot, czy deszcz, czy krew lejąca się z ran ścieka mu po skórze. Wtem Rufino wyslizgnął mu się z rąk: usłyszał łoskot ciała uderzającego o dno wykopu. Leżał zdyszany, próbował wymacać ręką krawędź, która rozstrzygnęła walkę, i myślał, że po raz pierwszy od wielu dni coś mu się wreszcie udało.

— Ty ciemniaku! Głupcze! Ty ośle! — dławił się własnym krzykiem. — Nie jestem twoim wrogiem. Twoi wrogowie grają tam na trąbkach.

Słyszysz ich? Tylko to jest ważne, stokroć ważniejsze niż twoje nasienie, niż dupa twojej żony, gdzie złożyłeś swój honor jak głupi burzuj.

Spostrzegł, że znowu mówi po angielsku. Wstał z wysiłkiem. Lało jak z cebra, a woda, którą chwycił w otwarte usta, przynosiła mu ulgę. Kulejąc, ranny w nogę od upadku lub walki, ruszył w głąb catingi, potykając się, kalecząc o ciernie, smagany gałęziami kolczastych drzew. Szedł za elegijnym, żalobnym lamentem trąbek, za uroczystym dźwiękiem dzwonów. Wtem jednak coś uczepliło się jego nóg i obaliło na ziemię: poczuł błoto w zębach. Wierzgął, usiłując się uwolnić, ale usłyszał jęk Karzełka, który oblał go i piszczał:

— Nie opuszczaj mnie, Gall, nie zostawiaj mnie samego. Nie słyszysz? Nie widzisz, co się dzieje?

Znowu powróciło doń uczucie koszmaru, nierealności, absurdu. Przypomnił sobie, że Karzełek widzi w ciemnościach: Brodaczka czasami nazywała go kotem albo sową. Opadł z sił. Nie próbował wstać, nie odpychał Karzełka, słuchał, jak popłakuje, że nie chce umierać. Położył mu rękę na plecach i głaskał go, wsłuchując się w noc. Nie ma wątpliwości: strzelano z armat. Przedtem brał kanonadę za bicie bębnow, ale teraz pewien był, że słyszy wybuchy. To na pewno mały kaliber, chyba moździerz, ale i tak zetrą Canudos na proch. Ogarnęło go wielkie zmęczenie, jakaś omdłość, jakaś senność i stracił przytomność.

Ocknął się, drżąc z zimna, w wątłym blasku dnia. Usłyszał szczekanie zębów Karzełka, dostrzegł jego przerażone oczy, wyłazące z orbit. Mały człowieczek chyba przygniótł mu we śnie nogę, która zupełnie ścierpła. Stopniowo wracał do przytomności. Zamrugał, rozejrzał się: zobaczył rozwieszane na drzewach resztki mundurów, czapki, buciory, kurtki, manierki, tornistry, pochwy na szable i bagnety, kilka topornych krzyży. To te zwisające z drzew strzepy przeraziły Karzełka: patrzył w nie jak urzeczony, jakby widział nie ubrania i rzeczy, ale duchy ludzi, którzy je nosili: „No, chociaż tym się dostało”, pomyślał Gall.

Nasłuchiwał. Tak, znowu wybuch. Nie padało już od kilku godzin: dookoła było sucho, ale chłód ścinał mu kości. Słaby, obolały, podniósł się z trudem. Znalazł za pasem nóż i pomyślał, że kiedy walczył z Rufinem, nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zrobić z niego użytek. Dlaczego tym razem także nie próbował go zabić? Usłyszał, teraz już wyraźnie, kolejny wybuch i jazgot trąbek — ponury dźwięk, brzmiący niby hejnał nieboszczyków. Jak we śnie ujrzał Rufina i Juremę wychodzących z gęstwiny. Tropiciele był ciężko ranny, a może zmęczony, bo opierał się na jej ramieniu. Gall odgadł, że spędził noc, szukając go niezamordowanie w ciemnościach lasu. Poczul nienawiść do tego uporu, do tej ślepej, niewzruszonej woli mordy. Drżał, kiedy patrzyli sobie w oczy. Dobył noża i machnął ręką tam, skąd dochodził dźwięk trąbek.

— Słyszysz? — wycedził. — W twoich braci walą z karabinów, lu dzie mrą jak muchy. Zatrzymałeś mnie, przez ciebie nie mogę umrzeć razem z nimi. Zrobiłeś ze mnie głupca, pajaca...

Rufino trzymał w ręku coś w rodzaju drewnianego sztyletu. Zobaczył, że odrywa się od Juremy, odpycha ją, kuli się do skoku.

— Niezły z ciebie ptaszek, Gall — usłyszał. — W kółko gadasz o biednych, ale zdradzasz przyjaciela, ubliżasz domowi, w którym dano ci gościnę.

Uciszył go, rzucając się ku niemu. Gniew go oślepił. Zaczęła się szarpanina, a

Jurema patrzyła na nich, otępiała ze zmęczenia i trwogi. Karzełek zgiął się we dwoje.

— Nie mam zamiaru ginąć przez chwilę słabości! — ryczał Gall. — Moje życie jest więcej warte niż kropla nasienia, ty głupcze!

Tarzali się po ziemi, kiedy z gęstwiny wypadło dwóch żołnierzy. Stanęli jak wryci na ich widok. Biegli w podartych mundurach, jeden bez butów, z uniesionymi karabinami. Karzełek zakrył sobie głowę. Jurema skoczyła ku nim i zasłoniła sobą walczących, prosząc:

— Nie strzelajcie, to nie jaguncos...

Ale żołnierze wypalili z obu luf prosto w Rufina i Galla, a potem, sapiąc, rzucili się na nią i powlekli w kępę suchych zarośli. Ranieni ciężko, tropiciel i frenolog walczyli dalej.

„Powinnam być zadowolona, bo to znaczy, że cierpienie ciała się skończy, zobaczę Ojca i Najświętszą Panienkę”, pomyślała Maria Quadrado. Ale przeszywał ją strach. Robiła, co mogła, żeby służebniczki tego nie spostrzegły. Gdyby coś zauważyły, jej lęk udzieliłby się innym i runęłaby misterna konstrukcja opieki nad Nauczycielem. A w nadchodzących godzinach, tego jest pewna, Święty Chór będzie bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Poprosiła Boga o przebaczenie za swoje tchórzostwo, a kiedy Nauczyciel rozmawiał z apostołami, spróbowała się pomodlić, tak jak nauczyła służebniczki i jak sama zawsze się modliła. Ale nie mogła się skupić na Credo. Joao Mnich i Joao Wielki już nie nalegali, żeby zabrać świętego do schronu, ale Komendant Ulicy próbował odwieść go od wyprawy do okopów: wojna może cię zaskoczyć pod gołym niebem, bez żadnej osłony, ojcze.

Nauczyciel nie sprzeczał się nigdy i teraz też tego nie zrobił. Odsunął z kolan głowę śpiącego twardo Lwa z Natuby. Wstał. Joao Mnich i Joao Wielki podnieśli się także. Chudł z każdym dniem i wydawał się coraz wyższy. Maria Quadrado wzdrygnęła się, widząc, jak bardzo cierpi: siatka zmarszczek okalała mu oczy, a w grymasie półotwartych ust czało się straszliwe proroctwo. W jednej chwili postanowiła, że będzie mu towarzyszyć. Nie zawsze to robiła, zwłaszcza w ostatnich tygodniach, kiedy z powodu zbiegowiska na wąskich uliczkach Gwardia Katolicka zwartym murem otaczała Nauczyciela, tak że i jej, i służebniczkom trudno było się utrzymać w pobliżu jego osoby. Ale teraz poczuła nieodwołalnie, że powinna iść. Dała znak i służebniczki zgromadziły się wokół niej. Wyszły za mężczyznami, zostawiając w Sanktuarium uśpionego Lwa z Natuby.

Pojawienie się Nauczyciela w progu Sanktuarium tak zaskoczyło stłoczonych za drzwiami ludzi, że nie mieli czasu zastąpić mu drogi.

Na znak Joao Wielkiego mężczyźni w niebieskich opaskach, którzy znajdowali się na placu między kościołkiem Świętego Antoniego i nieukończoną Świątynią, strzegąc porządku wśród nowo przybyłych pielgrzymów, podbiegli i skupili się wokół świętego, który kroczył już uliczką Męczenników ku pochyłości Umburanas. Podążając za Nauczycielem w gronie służebniczek, Maria Quadrado wspominała swoją drogę z Salwadoru do Monte Santo i tego chłopca, który ją zgwałcił i wzbudził jej litość. To był zły znak: największy grzech swego życia wspominała tylko wówczas, kiedy była bardzo przygnębiona. Kajała się zań niezliczone razy, wyznawała go publicznie, powierzała uszom spowiedników i pokutowała na wszelkie możliwe sposoby. Ale wina zawsze tkwiła na dnie jej pamięci, skąd niekiedy powracała, by ją dręczyć.

Zdawała sobie sprawę, że wśród wiwatów na cześć Nauczyciela były głosy, które wykrzykiwały także jej imię — Matka Maria Qua-drado! Matka Ludzi! — pytały o nią, wzywały jej. Ta popularność wydała jej się diabelską sztuczką. Z początku mówiła sobie, że o wstawiennictwo proszą ją tylko pielgrzymi z Monte Santo, którzy znali ją stamtąd. Ale w końcu zrozumiała, że cześć, jakiej jest przedmiotem, to skutek lat spędzonych przez nią w

służbie Nauczyciela, że ludzie wierzą, iż on napełnił ją swoją świętością.

Gorączkowy ruch, przygotowania, które widziała na wyboistych ulicach i w chatach Belo Monte, stopniowo odsuwały od przełożonej Świętego Chóru jej zmartwienie. Te łopaty i motyki, te uderzenia młotem oznaczały przygotowania do wojny. Osada przeobrażała się, jakby walka miała się toczyć w każdym domu. Widziała, że niekto-rzy mężczyźni wznosili na dachach ambony, jakie widywała ukryte w drzewach catingi, gdzie myśliwi czatowali na jaguary. Nawet we wnętrzu domostw kobiety, dzieci i mężczyźni, którzy widząc ich, przerywali pracę, żeby się przeżegnać, kopali rowy albo napełniali ziemią worki. Wszyscy nosili karabiny, garłacze, dzidy, kije, noże, knury nabojów albo dźwigali kamienie, stemple, głazy.

Umburanas, pochyłość, która otwierała się po obu brzegach strumienia, była nie do poznania. Gwardziści prowadzili służebniczki przez podziurawiony jak sito plac, między rowami, które mnożyły się i rozrastały w oczach. Oprócz transzei, którą widziała podczas ostatniej procesji, a która doszła aż tutaj, wszędzie pełno było jam wykopanych w ziemi: w każdej mogło zmieścić się dwóch ludzi i każda miała kamienny parapet dla osłony głów i oparcia karabinów.

Nadejście Nauczyciela wywołało wielką radość. Rzucili łopaty i pakunki, i przybiegli, żeby go posłuchać. Maria Quadrado u stóp wozu, na którym stanął święty za podwójną palisadą Gwardii Katolickiej, dojrzeć mogła w transzejach dziesiątki zbrojnych ludzi: wielu spało w niedorzecznych pozach i nie zbudzili się mimo panującej wrzawy. Wyobraziła sobie, jak czuwali całą noc, strażowali, pracowali, przygotowywali obronę Belo Monte przed Wielką Bestią, i poczuła przypływ tklivości, zapragnęła otrzeć im czoła, podać wodę i świeżo upieczony chleb, i powiedzieć im, że za te trudy Najświętsza Matka i Ojciec wybaczą im wszystkie winy.

Nauczyciel zaczął mówić, uciszając zgiełk. Nie mówił o heretykach ani o wybranych, ale o burzy cierpienia, jaka rozpętała się w Sercu Maryi, kiedy szanując żydowskie prawa, zaniósła swego Syna do Świątyni, w osiem dni po urodzeniu, żeby wykrwawić go w ceremonii obrzezania. Głosem, który przenikał na dno duszy Marii Quadrado — u wszystkich spostrzegła to samo wzruszenie — opisywał, jak Dzieciątko Jezus, dopiero co obrzezane, wyciągało rączkę do Najświętszej Matki, wołając pociechy, pobekując jak bezbronny baranek, a jego łyzy rozdzierały jej duszę, kiedy nagle lunął deszcz. Pomruk, ludzie, którzy padli na kolana wobec jawnego znaku, że nawet żywyoty zapłakały nad przywołanym przez Nauczyciela wspomnieniem — wszystko to powiedziało Marii Quadrado, że jej bracia i siostry pojęli, iż oto właśnie stał się cud. „Czy to znak, matko?“, szepnęła Alejandrinha Correa. Skinęła głową. Nauczyciel mówił, że trzeba było słyszeć rozdzierające westchnienie Maryi na widok tego ślicznego kwiatuszka skąpanego we krwi już u zarania swego drogiego życia, a ów cichy jęk stał się symbolem łez, jakie Pani nasza po dziś dzień wylewa za grzechy i tchórzostwo ludzi, którzy jak kapłan żydowskiej świątyni ranią Jezusa do krwi. Na to nadszedł Aniołek na czele orszaku niosącego święte figury z kościołów i urnę z obliczem Dobrego Jezusa. Razem z nimi przybiegł prawie bez tchu, zakrzywiony jak sierp, przemoczony Lew z Natuby. Aniołka i skrybę podniesiono z ziemi na należne im miejsce na wozie.

Gdy procesja ruszyła dalej ku Vassa Barris, deszcz zmienił ziemię w bajoro. Wybrani taplali się w błocie, a figury świętych, chorągwie, baldachimy i proporce w kilka chwil zmieniły się w ołowianoszare bezkształtne bryły i szmaty. Podczas gdy deszcz pokrywał wysypką wody rzeki, Nauczyciel, wspiąwszy się na ołtarz z beczek, przemówił do tłumu: jego głos mogli dosłyszeć tylko stojący najbliżej, ale ci powtarzali stojącym z tyłu, a tamci stojącym jeszcze dalej i tak kręgami koncentrycznych łal rozchodziły się jego słowa o tym, co

było, być może, wojną.

Nawiązując do Boga i Jego Kościoła, powiedział, że ciało powinno stanowić jedność z głową albo nie będzie żywym ciałem, ani nie będzie żyło życiem głowy, a Maria Quadrado, ze stopami zanurzonymi w gorącym błocie, czując u swoich kolan baranka, trzymanego na postronku przez Alejandrinę Correę, rozumiała, że mówi o nierozzerwalnym związku, jaki podczas bitwy powinien istnieć między wybranymi i nim samym, i Ojcem, Synem i Duchem Świętym. I dość było spojrzeć na twarze dokoła, żeby wiedzieć, iż wszyscy— tak jak ona— wiedzą, że o nich właśnie myśli, mówiąc, iż pobożny wyznawca przebiegły jest jak wąż, a cichy jak gołąb. Maria Quadrado drżała, słuchając jego psalmodii: „Rozlany jestem jak woda i rozłączają się wszystkie moje kości; jak wosk się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje”. Słyszała, jak śpiewał ten sam psalm — ileż to? — cztery, pięć lat temu, w górach Massete, w dniu starcia, które położyło kres pielgrzymkom.

Rzesze szły za Nauczycielem wzdłuż Vassa Barris po polach, które wybrani zaorali i obsiali kukurydzą i maniokiem, po pastwiskach pełnych stad bydła, kóz i owiec. I to wszystko ma zniknąć, zrównane z ziemią przez herezję? Nawet w środku zasiewów ujrzała okopy i zbrojnych ludzi. Nauczyciel, ze szczytu pagórka, mówił wprost o wojnie. Czy karabiny masonów rzygną wodą zamiast kul? Ona wiedziała, że słów jego nie należy brać dosłownie, bo często były to trudne do odszyfrowania przenośnie i symbole, które tylko wówczas mogły zostać odczytane, gdy to, co przepowiadał, już się dokonało. Przestało padać i zapalono pochodnie. W powietrzu rozlała się rześka woń. Nauczyciel tłumaczył, że biały koń Rzeźnika nie jest niczym nowym dla wiernych, bo czyż nie napisano w Apokalipsie, że przybędzie, a jego jeździec będzie niósł łuk i wieniec, i wyruszy jako zwycięzca, by zwyciężyć? Ale jego zwycięstwa skończą się u bram Belo Monte, za wstawiennictwem Przenajświętszej Pani.

I tak ciągnął, ze szlaku do Geremoabo na szlak do Uaua, od Cam-baio do szlaku z Rosario, od drogi na Chorrochó do Cural de Bois, niosąc ludziom ogień swojej obecności. Zatrzymywał się we wszystkich transzejach i we wszystkich witały go i żegnały owacje wiernych. Była to najdłuższa procesja, jaką pamiętała Maria Quadrado — wśród ulewy i okresów ciszy, zmiennych kolei żywiołów, odbijających wzloty i upadki jej duszy, która w ciągu tego dnia przeszła, jak niebo, od paniki do ukojenia, od niewiary do entuzjazmu.

Była już noc, a na szlaku do Cocorobó Nauczyciel roztrząsał różnice między Ewą, uosobieniem nieposłuszeństwa i ciekawości, a Maryją, uosobieniem miłości i służby: Matka Boga nigdy nie uległaby pokusie zakazanego owocu, który unieszczęśliwił ludzkość. W rzednącym blasku Maria Quadrado patrzyła na Nauczyciela stojącego między Joao Mniczem, Joao Wielkim, Aniołkiem, braćmi Vilanova i myślała, że tak samo Maria Magdalena, tam, daleko, w Judei, patrzyła na Dobrego Jezusa i jego uczniów, ludzi tak samo ubogich i dobrych jak ci tutaj, i pomyślała pewnie, tak samo jak ona w tej chwili, że wspaniałomyślny jest Pan, który chcąc zmienić bieg historii, nie wybrał bogatych właścicieli ziem i ich pacholców, ale garstkę najbiedniejszych z biednych.

Spostrzegła, że wśród apostołów nie ma Lwa z Natuby. Serce podskoczyło jej w piersi. Może upadł, podeptali go, może leży gdzieś w błocie, ze swym ciałkiem dziecka i oczami mędrca? Wyrzucała sobie, że nie zatroszczyła się o niego, i poleciła służebniczkom, żeby go odszukały. Ale w gęstej ciżbie zaledwie mogły się poruszać.

W drodze powrotnej Maria Quadrado precisięła się do Joao Wielkiego i mówiła mu właśnie, że trzeba odnaleźć Lwa z Natuby, kiedy huknął pierwszy armatni wystrzał. Tłum stanął, nasłuchując, a niektórzy spojrzeli niepewnie w niebo. Ale wtem zagrzemiał drugi wystrzał i zobaczyli, że w pobliżu cmentarza wylatuje w powietrze jakiś dom, wypluwając w górę płomień i drzazgi. W popłochu, jaki zapanował dokoła, Maria Quadrado poczuła, że jakiś nieforemny kształt szuka schronienia, przywarłszy do jej ciała. Poznała grzywę i drobne

kosteczki Lwa z Natuby. Objęła go, przytuliła, pocałowała czule, szepcząc: „Synku, syneczku, bałam się, że się zgubiłeś, twoja mama tak się cieszy”. Zamęt nocy powiększały jeszcze przeciągłe, ponure dźwięki dalekich i rąb. Nauczyciel spokojnym krokiem wracał do serca Belo Monte. Usiłując osłonić Lwa z Natuby od szturchańców, Maria Quadrado chciała precyzyjnie się do pierścienia mężczyzn, który zamknął się znowu wokół Nauczyciela, gdy tylko minęło pierwsze zamieszanie. Ale upadki i wstrząsy opóźniły ich kroki: kiedy doszli wreszcie na plac między kościołami, zastali tam tłumy. Ponad krzyki ludzi, którzy nawoływali się lub prosili niebo o opiekę, wybijał się tubalny głos Joao Mnicha, rozkazujący, by zgaszono wszystkie lampy w Canudos.

Wkrótce miasto stało się niecką ciemności, a Maria Quadrado nie widziała już twarzy skryby.

„Już się nie boję”, pomyślała. Zaczęła się wojna, w każdej chwili następna armatnia kula mogła upaść właśnie tutaj i zmienić ich, ją i Lwa, w lepka masę mięsa i kości, jak mieszkańców tamtego zniszczonego domu. A jednak już się nie bała. „Dzięki Ci, Ojczy, Maryjo”, pomodliła się. Objęła drobne ciało Lwa i za przykładem innych padła na ziemię. Nasłuchiwała, ale wystrzałów nie było. To po co te ciemności? Powiedziała to chyba głośno, bo odpowiedział jej żwawy głosik skryby: „Żeby nie mogli w nas wycelować, matko”.

Rozbrzmiały dzwony Świątyni Dobrego Jezusa, a ich spiszowe słowa zagłuszyły trąbki, którymi Zły chciał przerazić Belo Monte. Było to jakby tchnienie wiary, ukojenia, ten lot dzwonów, który będzie trwać przez całą noc. „On jest na górze, w dzwonnicy”, powiedziała Maria Quadrado. Przez zgromadzony na placu tłum, skąpany w wyzywającym, ożywym dźwięku, przeszedł ryk uznania i poparcia. A Maria Quadrado pomyślała o mądrości Nauczyciela, który umiał zapanować nad przerażeniem, wlewając w serca wiernych nadzieję i ład.

Nowy armatni wystrzał żółtym blaskiem rozświetlił powierzchnię placu. Wybuch podrzucił i cisnął o ziemię Marię Quadrado, zagrzmiał w jej mózgu. W sekundzie światła zdążyła dojrzeć twarze kobiet i dzieci wpatrzone w niebo, jakby widziały tam piekło. Nagle przeszło jej przez głowę, że te kawałki sprzętów, które dostrzegła wtedy w powietrzu, pochodzą z domu szewca Eufrazia z Chorrochó, który mieszkał obok cmentarza z gromadą córek, pasierbów i wnucząt. Po huku zapadła cisza. Tym razem nikt nie biegał. Dzwony były z tą samą radością. Dobrze jej było czuć Lwa z Natuby, tulącego się do niej, jakby chciał ukryć się wewnątrz jej starego ciała.

Wokół zapanowało poruszenie, pojawiły się jakieś cienie, które torowały sobie drogę, krzycząc: „Nosiwody! Nosiwody!”. Poznała Antonia i Honoria Vilanovów i zrozumiała, dokąd idą. Dwa lub trzy dni temu były kupiec powiedział Nauczycielowi, że przygotowując Canudos do wojny, przyuczył nosiwodów, żeby w wypadku bitwy zbierali rannych i zanosili ich do Domów Zdrowia, a martwych wlekli do zamienionej w kostnicę stajni, żeby potem urządzić im chrześcijański pogrzeb. Dawni roznosiciele wody, a teraz sanitariusze i grabarze, przystąpili do pracy. Maria Quadrado pomodliła się za nich, myśląc: „Wszystko dzieje się tak, jak było zapowiedziane”.

Tuż obok ktoś zapłakał. Na placu widać było tylko kobiety i dzieci. Gdzie są mężczyźni? Zapewne pobiegli wspiąć się na palisady, przyczaić w transejach i za parapetami, pewnie stoją teraz z Joao Mni-chem, z Macambirą, z Pajeu, z Joao Wielkim, z Pedrao, z Taramelą: ściskając swoje karabiny i strzelby, dzidy, noże, maczety i kije, wpa-trują się w ciemności, czekają na Antychrysta. Poczują wdzięczność i miłość do tych mężczyzn, którzy szli w pazury Bestii, nie bojąc się śmierci. Pomodliła się za nich, ukołysana dzwonami z wieży.

I tak minęła noc, wśród krótkich ulewnych deszczów i grzmotów zagłuszających dzwony, przerywana kanonadą, która obracała w proch jedną lub dwie chaty i rozniecała pożary, gaszone kolejną ulewą. Chmura dymu, drapiącego w gardła i oczy, rozłożyła się nad miastem. Maria Quadrado, uśpiona, z Lwem z Natuby w ramionach, zaczęła kasłać i pluć. Nagle ktoś nią potrząsnął. Otworzyła oczy i w słabym jeszcze świetle, które walczyło z pomroką, zobaczyła, że otaczają ją służebniczki ze Świętego Chóru. Lew z Natuby spał, oparty o jej kolana. Dzwony biły nadal. Służebniczki obejmowały ją: szukały jej wszędzie, wołały w ciemnościach, a ona nie mogła ich usłyszeć, zmęczona i odrętwiała. Obudziła Lwa. Napotkała spojrzenie wielkich oczu, błyszczących w gęstwinie kudłów. Podnieśli się z trudem.

Spora część placu opustoszała. Od Alejandrinii Correi Matka Ludzi dowiedziała się, że kobietom, które nie zmieściły się w kościołach, Antonio Vilanova kazał odejść do domów i ukryć się w piwnicach, bo teraz, za dnia, wybuchy wymiotą plac do czysta. W orszaku służebniczek Lew z Natuby i Maria Quadrado odeszli do Świątyni Dobrego Jezusa. Gwardia Katolicka wpuściła ich do środka. Wewnątrz, między belkami drewnianego szkieletu, pod osłoną wzniesionych do połowy ścian, było jeszcze ciemno. Wśród skulonych w półmroku kobiet i dzieci przełożona Świętego Chóru zobaczyła uzbrojonych mężczyzn i Joao Wielkiego, który biegł gdzieś z karabinem i ładownicami przewieszonymi przez ramię. Poczuli, że ją popychają, ciągną, prowadzą na rusztowania, obwieszone gronami ludzi usiłujących wyrzeć na zewnątrz Świątyni. Weszła tam z pomocą czyichś muskularnych ramion, słyszała, że ktoś mówi do niej „matko”, i przez cały czas mocno przyciskała do siebie Lwa, który co chwila wymykał jej się z rąk. Nim stanęła na szczycie dzwonnicy, dobiegł ją daleki huk wystrzału.

Na podeście pod dzwonami ujrzała Nauczyciela. Klęczał i modlił się, otoczony murem mężczyzn, którzy nikomu nie pozwalali wejść na schodki. Ale ją i Lwa przepuścili. Rzuciła się na podłogę i ucałowała stopy świętego, pokryte po stracie sandałów skorupą zeschniętego błota. Kiedy wstała, spostrzegła, że niebo szybko się rozjaśnia. Podeszła do kamiennej framugi. Mrużąc oczy, zobaczyła jakąś wielką, rozlaną plamę: szara, niebieskawa, czerwona, oznaczona punkcikami rozbłysków, spływała ze wzgórz wprost na Canudos. Nie spytała zasępionych, milczących mężczyzn, którzy zmieniali się kolejno przy biciu w dzwony, co to może być, bo serce powiedziało jej, że to psy. Już nadchodzą, dysząc nienawiścią do Belo Monte, żeby dokonać nowej rzezi niewinnych.

„Nie chcą mnie zabić”, myśli Jurema. Pozwala się wlec żołnierzom, którzy z żelazną siłą chwytają ją za nadgarstki i wciągają w labirynt pni, gałęzi, cierni i błota. Ślizga się, upada, wstaje, rzucając przepraszające spojrzenie na mężczyzn w podartych mundurach, a w ich oczach, w ich rozchylonych wargach spostrzega to coś, co nauczyła się rozpoznawać tamtego ranka w Queimadas, który odmienił jej życie, kiedy po strzelaniu Galileo Gall rzucił się na nią. Ze spokojem, który ją zdumiewa, myśli: „Dopóki patrzą w ten sposób, dopóki tego chcą, nie zabiją mnie”. Zapomina o Rufinie i o Gallu, myśli tylko o własnym ratunku, o tym jak ich powstrzymać, jak zadowolić, ubłagać, chce zrobić wszystko żeby tylko jej nie zabili. Znowu ślizga się, ale tym razem jeden z nich puszcza ją wolno i wali się na nią, przykleka z rozkraczonymi nogami. Drugi też ją puszcza i cofa się kilka kroków. Patrzy w podnieceniu jak ten, który siedzi na niej, wywija strzelbą, grożąc, że rozwali jej twarz, jeżeli będzie krzyczała, a ona, przytomna, posłuszna, rozluźnia się natychmiast i kładzie się bezwolnie, kiwając leciutko głową, żeby go uspokoić. Spostrzega to samo spojrzenie, ten sam zwierzęcy, wygłodniały wyraz twarzy, co wtedy. Spod zmrużonych powiek widzi jak żołnierz grzebie w spodniach, jak je rozpina, a drugą ręką, z której przed chwilą wypuścił karabin, próbuje zdrzeć jej spódnice. Pomaga mu, kuli się, prostuje nogę, ale nawet teraz mężczyzna denerwuje się i zaczyna ją szarpać. Przez głowę przelatują jej najróżniejsze myśli, a w jego



sapaniu słyszy huk, trąbki, dzwony. Leży na niej, dźga ją łokciem. Zrozumiała: odsuwa nogę, która mu przeszkadza, i czuje między udami twarde, wilgotny, natarczywy członek. Dusi się pod zwalistym ciałem, a każdy jego ruch zdaje się łamać jej kości. Robi wszystko, żeby nie okazać wstrętu, jaki ją ogarnia, kiedy brodata twarz ociera się o jej policzki, a zielonkawe usta, jeszcze pełne niedożutej trawy, rozgniatają jej wargi, napierają, zmuszając je, żeby się rozchyliły na przyjęcie chciwego, ruchliwego języka. Tak bardzo jest zajęta tym, żeby nie zrobić nic, co mogłoby go rozdrażnić, że nie spostrzega ludzi, obwieszonych pękami traw, nie widzi, jak przykładają żołnierzowi nóż do gardła i jednym kopniakiem zrzucają go z jej ciała. Dopiero kiedy znowu oddycha swobodniej, kiedy czuje się wolna, zauważa ich obecność: dwudziestu, trzydziestu, może nawet więcej mężczyzn, od których nagle zaroїła się catinga. Pochylają się nad nią, poprawiają jej spódnice, pomagają jej usiąść, wstać. Słyszy wokół siebie słowa otuchy, widzi zbójeckie twarze wykrzywione w serdecznym uśmiechu.

Ma wrażenie, że się budzi, że wraca z dalekiej podróży, a przecież, minęło zaledwie parę chwil, odkąd żołnierze powalili ją na ziemię. Co się stało z Rufinem, z Gallem, z Karzelkiem? Jak przez sen przypomina sobie, że walczyli, przypomina sobie, że do nich strzelano. Żołnierza, którego z niej zwlekli, przesłuchuje jakiś niski, krępy, niemłody już caboclo. Jego żółtopopielatą twarz od ust do oczu przecina odrażająca blizna. Myśli: „Pajeu”. Boi się, po raz pierwszy tego dnia. Przerażony żołnierz gorliwie odpowiada na pytania i błaga, prosi oczami, ustami, rękami, bo oto podczas gdy Pajeu go przesłuchuje, inni ściągają zeń ubranie. Zdejmują podartą kurtkę, postrzępione spodnie, bez szarpaniny, bez bicia. Jurema bez radości, bez smutku, wciąż jakby we śnie, widzi, że kiedy jest już nagi, jaguncos na znak caboclo, o którym ludzie opowiadają takie straszne rzeczy, wbijają mu noże w brzuch, w plecy, w szyję, a żołnierz traci przytomność, nie zdążywszy nawet krzyknąć. Widzi dalej, jak ktoś schyla się, chwytając jego seks, zwiotczały teraz i śmiesznie mały, jednym cięciem pozbawia mężczyznę członka i wpycha mu go do ust. Wyciera nóż o trupa i zatyka za pas. Jurema nie czuje żalu ani radości, ani przerażenia. Dopiero po pewnej chwili spostrzega, że caboclo bez nosa mówi do niej:

— Idziesz do Belo Monte sama czy z pielgrzymami? — Mówi wolno, jakby nie mogła go zrozumieć, dosłyszeć. — Skąd jesteś?

Odzywa się z wysiłkiem. Głosem, który wydaje jej się głosem innej kobiety, bełkocze, że idzie z Queimadas.

— To daleka droga — mówi caboclo, ciekawie mierząc ją wzrokiem i od stóp do głów. — A w dodatku roi się od żołnierzy.

Jurema potakuje. Powinna powiedzieć mu coś miłego, podziękować — wać za ratunek, ale Pajeu budzi w niej zbyt wielki strach. Jaguncos podchodzi bliżej: obwieszeni trawami, bronią, świstawkami, nie sprawiają na niej wrażenia ludzi z krwi i kości, wyglądają jak istoty z baśni lub ze złego snu.

— Tędy nie przejdiesz do Belo Monte — mówi Pajeu z grymasem, który prawdopodobnie ma oznaczać uśmiech. — Wzgórza zajęli protestanci. Wracaj na drogę do Geremoabo. Tam nie ma żołnierzy.

— Mój mąż — szepcze Jurema, pokazując na gęstwinę. Głos jej się łamie w wybuchu płaczu. Rusza w tamtą stronę, zalękniona; powróciło do niej wszystko, co działo się, kiedy napadli ją żołnierze. W nagim, zakrwawionym ciele tańczącym na gałęzi obok własnego munduru poznaje tego drugiego, tego, który patrzył, czekając na swoją kolej. Jurema idzie pewnie. Prowadzi ją jakiś hałas i rzeczywiście, po kilku chwilach, w obwieszonych mundurami catindze dostrzega Galla z Rufinem. Złali się w jedno z błotnistą ziemią, są niemal konający, ale wciąż walczą — dwa skręcone flaki ludzkiej skóry, które walą się głowami, nogami, gryzą

i drapią w zwolnionym tempie, jakby dla zabawy. Jurema staje nad nimi. Caboclo i jaguncos otaczają ich ciasnym kręgiem, przypatrując się walce, która już dobiega końca. Patrzą na te dwie bryły błota, nierozpoznawalne, nieruchawe, nieświadome ich obecności, dyszące, krwawiące, wlokące za sobą strzępy odzienia.

— To ty jesteś ta Jurema, żona tropiciela z Queimadas — mówi z ożywieniem Pajeu. — A jednak cię znalazł. Znalazł tego ubogiego duchem. Widziałem go w Calumbi.

— To ten sam pomylenieć, który wczoraj w nocy złapał się w sidła — odzywa się ktoś z przeciwnej strony. — Ten, który tak się bał żołnierzy.

Jurema czuje w dłoni uścisk czyjejś drobnej, krągłej rączki. To Karzełek. Patrzy na nią z radością i nadzieją, jakby przyszła ocalić mu życie. Klei się do jej ciała, ubłocony od stóp do głów.

— Powstrzymaj ich, powstrzymaj ich, Pajeu — mówi Jurema. — Ratuj mojego męża, ratuj tego...

— Chcesz, żebym ratował obydwóch? — żartuje Pajeu. — Chcesz Ich obydwóch mieć?

Jurema słyszy, że inni jaguncos śmieją się ze słów beznosego caboclo.

— To męska sprawa, Juremo — tłumaczy Pajeu spokojnie. — Wszyst ko przez ciebie. Zostaw ich, niech załatwią to jak mężczyźni. Jeżeli twój mąż wyjdzie cało, zabije cię, a jeżeli umrze, jego śmierć spadnie na ciebie i ty odpowiesz za nią przed Bogiem. W Belo Monte Nauczy ciel poradzi ci, jak się masz odkupić. A teraz idź, bo wojna jest tuż. Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel!

Catinga porusza się i w kilka chwil jaguncos znikają wśród faveli. Karzełek ciągle ściska ją za rękę i patrzy razem z nią. Jurema widzi, że w ciele Galla, na wysokości żeber, tkwi wbity do połowy nóż. Wciąż słyszy trąbki, dzwony, świstawki. Nagle szamotanina ustaje, a Galileo Gall toczy się ze zwierzęcym rykiem po ziemi, o kilka metrów od Rufina. Jurema widzi, jak chwyta nóż i z wrzaskiem wrywa go ze swego ciała. Patrzy na Rufina, który odpowiada mu spojrzeniem, leżąc w błocie z otwartymi ustami i martwymi oczami.

— Nie spoliczkowałeś mnie jeszcze — słyszy słowa Galla, który *przyzywa*. Rufina uzbrojoną w sztylet ręką.

Jurema widzi, jak Rufino kiwa głową, i myśli: „Rozumieją się”. Sens tych słów nie jest dla niej jasny, ale czuje, że są trafne. Rufino powoli czołga się w stronę Galla. Dostanie go? Odpycha się łokciami, kolanami, szoruje twarzą w błocie jak glista, a Gall wabi go, kiwając nożem. „Męskie sprawy”, myśli Jurema. Myśli: „Wina spadnie na mnie”. Rufino dopada Galla, który zamierza się sztyletem, a tropiciel wali go w twarz. Ale chyba brak mu sił, a może czuje się zbyt upokorzony, bo cios traci impet, nim zdążył osiągnąć rywala, a dłoń nieruchomieje na policzku Galla w geście swoistej pieśczoły. Gall oddaje uderzenia — raz, dwa razy — i jego ręka także zastyga na głowie Rufina. Konają w objęciach, patrząc sobie w oczy. Juremie wydaje się, że na ich twarzach, oddalonych od siebie zaledwie o włos, dostrzega uśmiech. Dźwięki trąbek i świstawek zastąpiła gęsta strzelanina. Karzełek mówi coś, czego nie można zrozumieć.

„No i dałeś mu w twarz, Rufino — myśli Jurema. — Co ci z tego przyszło, Rufino? Na co ci zemsta, skoro nie żyjesz, skoro zostawiłeś mnie samą na świecie, Rufino?”. Nie płacze, nie rusza się, nie odrywa oczu od nieruchomych mężczyzn. Ręka spoczywająca na głowie Rufina przypomina jej, że w Queimadas, kiedy na zgubę ich wszystkich Bóg zesłał tego przybłądę, który zaproponował pracę jej mężowi, obcy dotknął kiedyś głowy Rufina i

wyczytał z niej wszystkie tajemnice, jak czarownik Porfirio z listków kawy albo stara Casilda w kadzi z wodą.

— Mówiłem wam już, kto pojawił się w Calumbi u boku Moreiry Cesara? — powiedział baron de Cañabrava. — Tamten dziennikarz, który swego czasu pracował u mnie, a potem przeszedł do Epaminondasa, do „Jornal de Noticias”. Takie półtora nieszczęścia w okularach jak teleskopy. Krygował się jak panna, a ubierał jak pajac. Pamiętasz go, Adalberto? Pisywał wiersze, palił opium.

Ale ani pułkownik Jose Bernardo Murau, ani Adalberto de Gumucio nie słuchali go. Ten ostatni zatopiony był w lekturze papierów, które baron dla nich przetłumaczył. Przynął kartki bliżej świecznika oświetlającego stół w jadalni, zastawiony pustymi filiżankami po kawie. Stary Murau kiwał się w krześle na swym honorowym miejscu, jakby wciąż siedział w fotelu na biegunach, i zdawał się drzemać. Lecz baron wiedział, że rozmyśla o tym, co przeczytał. — Zajrzę do Esteli — powiedział, wstając.

Idąc mrocznymi korytarzami tego niszczonego domu do sypialni, gdzie tuż przed kolacją przenieśli baronową, zastanawiał się, jakie wrażenie uczynił na jego przyjaciółkach niecodzienny testament szkockiego awanturnika. Potykając się o dziurę w posadzce, pomyślał: „W Salwadorze będzie jeszcze więcej pytań. I za każdym razem, tłuma— cząc, dlaczego pozwoliłem mu odejść, będę miał uczucie, że kłamię”. Dlaczego pozwolił odejść Galileo Gallowi? Z głupoty? Z rezygnacji? Z przesytu? Z sympatii? Pomyślał o Szkocie i o dziennikarzu okularniku: „Mam słabość do rzadkich okazów, do wybryków natury”. Od progu, w nikłym czerwonym blasku szklanego motyla oliwnej lampki oświetlającej nocny stolik, ujrzał profil Sebastiany. Siedziała przy łóżku, w fotelu wymoszczonym poduszkami. Nigdy nie należała do kobiet pogodnych, ale teraz przeraził go poważny wyraz jej twarzy. Podniosła się na jego widok.

— Śpi spokojnie? — zapytał baron, uchylając moskitierę i pochylając się nad żoną: oczy miała zamknięte, a jej twarz, chociaż bardzo blada, w półmroku zdawała się cicha i łagodna. Prześcieradła unosiły się i opadały lekko w rytm oddechu.

— Śpi, owszem. Ale niezbyt spokojnie — szepnęła Sebastiany, odprowadzając go z powrotem do drzwi sypialni. Ściszyła jeszcze głos, a baron zauważył niepokój w głębi czarnych, bystrych oczu pokojówki. — Majaczy, mówi przez sen. Wciąż to samo.

„Nie śmie powiedzieć: pożar, ogień, płomienie”, pomyślał baron, czując ucisk w piersi. Czy te słowa staną się tabu, czy powinien nakazać, żeby nigdy więcej w jego domu nie mówiono nic, co Esteli mogłoby skojarzyć się z całopaleniem Calumbi? Ścisnął Sebastianę za łokieć, chciał ją uspokoić, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Pod palcami czuł gładką, ciepłą skórę pokojówki.

— Pani nie może zostać tutaj — szepnęła. — Proszę ją zabrać do Salwadoru. Trzeba wezwać lekarza, trzeba ją leczyć, wymazać złe wspomnienia. Nie może wciąż żyć w tej udręce, dzień i noc.

— Wiem, Sebastiano — odparł baron. — Ale to uciążliwa, daleka droga. Boję się narażać ją w tym stanie na trudy nowej podróży. Chociaż trzymanie jej tu bez opieki może być jeszcze bardziej niebezpieczne. Zobaczymy jutro. Teraz powinnaś odpocząć. Ty też nie zmrużyłaś oka od wielu dni.

— Chcę spędzić noc tutaj, przy pani — odparła Sebastiany nieustępliwie.

Baron patrzył, jak pokojówka siada znowu przy Esteli, i pomyślał, że jej ciało nadal jest piękne i jędrne, jakby czas nie miał do niego przystępu. „Zupełnie jak Estela”, rzekł do siebie. I owiane nostalgiczną mgiełką powróciło doń wspomnienie pierwszych dni po ślubie,

kiedy zaczął odczuwać jakąś namiętną, niepokojącą zazdrość na widok niedostępnej dla niego zażyłości obu kobiet.

Wracając do jadalni, zobaczył za oknem nocne niebo, szczelnie otulone chmurami. Przypomniał sobie z uśmiechem, że kiedy wiedziony tą zazdrością poprosił Estelę, żeby odprawiła Sebastianę, wybuchła między nimi najpoważniejsza sprzeczka w całym ich małżeńskim pożyciu. Wszedł do jadalni, w myślach mając żywy, czysty, bolesny obraz baronowej, z pałającymi policzkami broniącej swojej pokojówki, powtarzającej mu, że jeśli Sebastiana odejdzie, ona odejdzie razem z nią. To wspomnienie, które długo było iskrą podsycającą jego pożądanie, wzruszyło go teraz do głębi. Chciało mu się płakać. Zastał przyjaciół pogrążonych w domysłach nad tym, co przeczytali w papierach Galla.

— Fanfaron, samochwała, szelma z bujną wyobraźnią, oszust pierwszej wody — mówił pułkownik Murau. — Tylu przygód nie ma nawet w powieściach. Z tego wszystkiego uwierzyć mogę tylko w umowę z Epaminondasem co do broni dla Canudos. Zwyczajny przemytnik, który zmyślił historyjkę o anarchistach, żeby usprawiedliwić przestępstwo.

— Usprawiedliwić? — Adalberto de Gumucio poruszył się na krze śle. — To go raczej obciąża.

Baron usiadł obok, usiłując okazać zainteresowanie.

— Dążenie do obalenia własności, religii, małżeństwa, moralności jest dla ciebie okolicznością łagodzącą? — nalegał Gumucio. — To gorsze niż handel bronią.

„Małżeństwo, moralność”, pomyślał baron. I zadał sobie pytanie, Czy Adalberto pozwoliłby w swoim domu na zażyłość tak ścisłą, jak przyjaźń Esteli i Sebastiany. Serce znów ścisnęło mu się na myśl o żonie. Postanowił wyjechać nazajutrz rano. Nalał sobie kieliszek porto i pociągnął długi łyk.

— Skłonny jestem uwierzyć, że ta historia jest prawdziwa — powiedział Gumucio. — Przemawia za tym naturalność, z jaką mówi o sprawach niezwykłych, o ucieczkach, zabójstwach, pirackich eskapadach, seksualnym poście. Nie zdaje sobie sprawy, że to wykracza poza przeciętność. To skłania do myślenia, że wszystko przeżył naprawdę, że wierzy w te bzdury, jakie wypisuje przeciw rodzinie i społeczeństwu.

— Że w nie wierzy, to pewna — powiedział baron, delektując się słodkawym, piekącym smakiem porto. — Potwierdził to wiele razy w Calumbi.

Stary Murau ponownie napełnił kieliszki. Przy jedzeniu nie pili, ale po kawie fazender wyjął karafkę porto, która teraz była już prawie pusta. Czy jeśli upije się do utraty zmysłów, przestanie wreszcie myśleć o zdrowiu Esteli?

— Płacze rzeczywistość z iluzją, nie wie, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie — powiedział. — Być może mówi szczerze, być może wierzy w to wszystko. To nieważne. Bo on nie patrzy na świat oczami, lecz przekonaniami, ideą. Przypomnijcie sobie, co pisze o Canudos, o jaguncos! Tak samo jest z całą resztą. Możliwe, że burdy sutenerów w Barcelonie albo oblawa na przemytników w Marsylii są dla niego batalią wyzyskiwanych przeciw wyzyskiwaczom, wojną o zerwanie oków krępujących ludzkość.

— A seks? — powiedział Jose Bernardo Murau; małe oczka zaiskrzyły się w jego nalanej twarzy, ale głos miał ospały. — Te dziesięć lat czystości? Przełkniecie to tak gładko? Dziesięć lat czystości, żeby gro madzić energię, która eksploduje w światowej rewolucji?

Mówił w taki sposób, że baron pomyślał, iż za chwilę zacznie opowiadać pieprzne historyjki.

— A księża? — zapytał. — Może nie żyją w celibacie z miłości do Boga? Gall to ktoś

w rodzaju księdza.

— Jose Bernardo sądzi innych wedle siebie — zażartował Gumucio, zwracając się do pana domu. — Ty na pewno nie wytrwałbyś w czystości przez dziesięć lat.

— Na pewno — zarechotał fazender. — Czy to nie głupie, odmawiać sobie tych niewielu życiowych przyjemności, jakie nam zostały?

Jedna ze świec w lichtarzu zamigotała i wypuściła smuzkę dymu. Murau wstał, żeby ją zgasić. Przy okazji nalał nową kolejkę porto, opróżniając karafkę do dna.

— Przez tyle lat abstynencji zgromadziłby dość energii, żeby zapłodnić oślicę — powiedział, potoczywszy wkoło szklistym spojrzeniem. Zachichotał oblesnie i chwiejnym krokiem podszedł do kredensu, by wyjąć drugą butelkę. Świece przygasały jedna po drugiej, w pokoju zapanował mrok. — Jaka jest ta żona tropiciela? Ta, która go zniechęciła do czystości?

— Nie widuję jej od dawna — rzekł baron. — Dawniej była szczuplutką dziewczynką, posłuszną i nieśmiałą.

— Jędrne pośladki? — wybełkotał pułkownik Murau; dłoń trzęsła mu się, gdy podnosił kieliszek. — W tych okolicach dziewczuchy mają wspaniałe tyłki. Są niziutkie, cherlawe, szybko się starzeją. Ale pośladki mają pierwszorzędne.

Adalberto de Gumucio pospiesznie zmienił temat:

— Trudno będzie zawrzeć pokój z jakobinami, jak sugerowałeś — powiedział do barona. — Nasi przyjaciele nie będą zadowoleni ze współpracy z partią, która atakuje nas od tyłu lat.

— Oczywiście, że będzie trudno — odparł baron z wdzięcznością. -Zwłaszcza przekonać Epaminondasa, który ma się za tryumfatora. Ale w końcu wszyscy rozumieją, że nie ma innej drogi. To dla nas kwestia przetrwania...

Przerwał mu głośny stukot kopyt i rżenie, a zaraz potem silne walenie do drzwi. Jose Bernardo Murau skrzywił się z niesmakiem.

— Co u diabła? — warknął, z trudem wstając na nogi. Chwiejnym krokiem wyszedł z jadalni.

Baron znów napełnił kieliszki.

— Ty pijesz? To coś nowego — zdziwił się Gumucio. — Z powodu Ca-lumbi? No, świat się przecież nie skończył. Nieszczęście, jakich wiele.

— To przez Estelę — powiedział baron. — Nigdy sobie tego nie wybaczę. To moja wina, Adalberto. Za wiele od niej wymagałem. Nie powinienem był jej tam zabierać. Ty i Viana dobrze mi radziliście. Myłem egoistą, głupcem.

Rozległ się szcęk odsuwanego rygla i jakieś męskie głosy.

— To przejściowe załamanie, wkrótce dojdzie do siebie — powiedział Gumucio. — To nonsens, żebyś robił sobie wyrzuty.

— Postanowiłem wyjechać jutro do Salwadoru — odrzekł baron. — Nie mogę jej tu trzymać bez opieki, bez lekarzy.

W drzwiach stanął Jose Bernardo Murau. Zdawało się, że nagle wytrzeźwiał, a wyraz twarzy miał tak osłupiały, że baron i Gumucio zerwali się z krzesel.

— Moreira Cesar...? — Baron potrząsnął nim z całej siły.

— Nie do wiary, nie do wiary — mamrotał stary fazender przez laciśnięte zęby, jakby nagle zobaczył ducha.

## **Rozdział VII**

Pierwsze, co spostrzega dziennikarz okularnik w świetle wstającego dnia, otrzepując się z zaskorupiałego błota, to ból ciała, dotkliwszy niż wczoraj, jakby podczas bezsennej nocy okładano go kijami. Drugie to gorączkowa aktywność, ruch mundurów, odbywający się bez rozkazów, w ciszy tak odmiennej od kanonady, dzwonów i trąbek, które bombardowały jego uszy przez całą noc. Zarzuca na ramię skórzaną sakwę, bierze pulpit pod pachę i czując w stopach ukłucia igiełek, a w nosie nieuchronne łaskotanie, zaczyna wdrapywać się pod górę do namiotu pułkownika Moreiry Cesara. „To ta wilgoć”, myśli, wstrząsany atakiem kichnięć, co sprawia, że zapomina o wojnie, o wszystkim oprócz tych wewnętrznych eksplozji, od których oczy zachodzą mu łzami, uszy głuchną, mózg tępieje, a nozdrza zmieniają się w mrowisko. Potrącany, popychany przez żołnierzy z karabinami w dłoniach, dopinających w biegu tornistry, słyszy słowa komendy. Na szczycie widzi Moreirę Cesara w grupie oficerów: wszedł na jakąś skrzynię i obserwuje przez lornetkę podnóże zbocza. Dokoła panuje straszliwy bałagan. Biały koń, osiodłany, przysiada na zadzie i staje dęba wśród żołnierzy i trębaczy, którzy przychodzą i odchodzą, biegają, wykrzykują zdania ledwie zrozumiałe dla dziennikarza, któremu od kichania dzwoni w uszach. Słyszy głos pułkownika: „Co jest z artylerią, Cunha Matos?”. Odpowiedź ginie w dźwiękach trąbki. Dziennikarz, rzuciwszy sakwę i pulpit, podchodzi, by popatrzeć na Canudos. W nocy nie mógł dojrzeć osady i myśli, że za parę minut lub parę godzin już nikt nie będzie mógł zobaczyć tego miejsca. Rogiem kamizelki pospiesznie przeciera zaparowane szkła okularów i spogląda w dół. Światło, ni to niebieskawe, ni to ołowiane, oblewa szczyty, ale nie dociera jeszcze na dno kotliny. Z trudem odróżnia zarys wzgórz, plamy pól i pastwisk od płataniny chałup i zagród, stłoczonych na rozległej przestrzeni. Nagle z oddali wyłaniają się dwa kościoły — jeden mały, a drugi bardzo wysoki, o imponujących wieżach — oddzielone od siebie czworokątnym placem. Wytęża wzrok, żeby dostrzec w półmroku obszar wyznaczony linią rzeki, niosącej teraz obfitość wody, kiedy raptem podskakuje i zatyka uszy, ogłuszone niespodziewaną kanonadą. Ale oczy ma otwarte: zafascynowany, widzi krótki błysk, a potem chałupy wylatujące w powietrze snopami iskier, odłamkami desek, cegieł, blachy, strzępami mat, jakichś nierozpoznawalnych przedmiotów, które wybuchają, rozpadają się i znikają. Kanonada wzmaga się, a Canudos zostaje pogrzebane pod chmurą dymu, który wpełza na stoki gór i rozłazi się, otwierając kratery wypluwające odłamki dachów i ścian, ugodzonych celnym pociskiem. Nachodzi go głupia myśl, że jeśli chmura będzie się wciąż podnosić, dojdzie mu pod sam nos, a wtedy znowu zacznie kichać.

— Na co czeka Siódmy?! Dziewiąty?! Szesnasty?! — odzywa się Mo reira Cesar tak blisko, że okularnik odwraca się i widzi pułkownika

i grupkę oficerów o krok od siebie.

— Tam, tam szturmujcie Siódmy! — odpowiada tuż obok kapitan Olimpio de Castro.

— I Dziewiąty, i Dziesiąty — wtrąca ktoś za jego plecami.

— Jest pan świadkiem widowiska, które uczyni pana sławnym. — Pułkownik Moreira Cesar poklepuje go w przelocie.

Dziennikarz nie nadaża z odpowiedzią, bo oficer mija go razem ze swoją świtą i odchodzi, by usadowić się na małym cyplu poniżej.

„Siódmy, dziewiąty, szesnasty? — myśli. — Bataliony? Plutony? Kom— panie?”. Ale nagle rozumie. Z trzech stron, z dookolnych pagórków, pobłyskując bagnietami, pułkowe

oddziały schodzą na dno za-dymionego kotła Canudos. Działa przestały grać; w nieoczekiwanej ciszy dziennikarz okularnik słyszy dzwony. Żołnierze biegną, wywracają się, przeskakują wertepy na stokach, strzelają. Zbocza z wolna zasnuwa dym. Czerwono-niebieska czapka Moreiry Cesara porusza się na znak aprobaty. Okularnik podnosi sakwę i pulpit, schodzi te kilka metrów dzielących go od dowódcy 7. Pułku i sadowi się w ja— kimś zagłębieniu, obok oficerów i białego konia, którego ordynans przytrzymuje za uzdę. Czuje się dziwnie, jak w hipnotycznym śnie: przez głowę przechodzi mu niedorzeczna myśl, że wcale nie widzi tego, co widzi.

Wiatr rozwiewa powoli ołowiane garby, spiętrzone nad miastem. Widzi, jak rzedną, rozłazą się, oddalają, gnane podmuchami w stronę otwartej równiny, gdzie powinien znajdować się gościniec do Geremoabo. Teraz bez trudu śledzi ruchy żołnierzy. Ci po prawej przedarli się na brzeg rzeki i właśnie ją przekraczają: czerwono-zielono-niebieskie figurki szarzeją, nikną i pojawiają się po drugiej stronie wody, kiedy nagle, pomiędzy nimi a Canudos, wyrasta wał kurzu. Wiele figurek przewraca się.

— Transzeje — mówi ktoś.

Dziennikarz okularnik decyduje się podejść do grupki stojącej wokół pułkownika, który zszedł jeszcze kilka kroków w dół i obserwuje walkę, zastąpiwszy połową lornetkę długą lunetą. Od dłuższej chwili teatr bitwy oświetla czerwona kula słońca. Prawie bezwiednie dziennikarz z „Jornal de Noticias”, ciągle dygocząc, wspina się na wystającą skałę, żeby lepiej widzieć. Zgaduje wówczas, co się dzieje. Pierwsze szeregi żołnierzy, przeszedłszy rzekę w bród, zostały ostrzelane z zamaskowanych stanowisk obronnych, a teraz trwa tam nieprzerwana wymiana ognia. Niemal pod stopami widzi inną grupę szturmową, która posuwa się tyralierą i również zostaje zatrzymana na karabinową salwą, wydobywającą się jakby spod ziemi. Strzelcy siedzą ukryci w okopach. Widzi jaguncos. To te głowy — w kapelu szach? w chustkach? — które nagle wyrastają z dymiącej ziemi, a cho ciał w kurzawie rozmywają się twarze i sylwetki, można dostrzec ludzi trafionych kulą, staczających się na dno jam, gdzie z pewnością trwa walka wręcz.

Zwała go z nóg zawierucha kichnięć, tak potężna, że przez chwilę wydaje mu się, że traci przytomność. Zgięty wpół, z zamkniętymi oczami, z okularami w rękę, kicha i otwiera usta, rozpaczliwie usiłując zaczerpnąć powietrza w płuca. Wreszcie może się wyprostować, odetchnąć i zdaje sobie sprawę, że ktoś wali go po plecach. Wkłada okulary i widzi pułkownika.

— Myśleliśmy, że pana trafili — mówi Moreira Cesar. Wygląda na to, że jest w wyśmienitym humorze.

Dokoła siebie widzi oficerów i nie wie, co powiedzieć, bo myśl, że mógłby zostać ranny, zaskakuje go, jakby dotąd nie przeszło mu przez głowę, że on też bierze udział w tej wojnie, że też jest na łasce kul.

— Już mija, już mija — jąka.

— Dziewiąty już jest w Canudos; teraz wchodzi Siódmy — mówi pułkownik z lornetką przy twarzy.

Dziennikarz okularnik dyszy, w skroniach wali mu tętno; ma uczucie, że wszystko się przybliżyło, że wojna jest na wyciągnięcie ręki. Na obrzeżach Canudos domy stoją w płomieniach, a w chmurach, które są chyba obłokami wystrzałów, dwa szeregi żołnierzy wkraczają do miasta. Znikają, wchłonięci przez labirynt dachówek, słomianych strzech, blaszanych dachów i słupów, skąd co chwila buchają w górę płomienie. „Rozstrzeliwują wszystkich, którzy przeżyli ogień armatni”, myśli. I wyobraża sobie pasję oficerów i żołnierzy

mszczących się za wiszące w catindze trupy, za zasadzki i świstawki, które odbierały im sen przez całą drogę z Monte Santo.

— W kościołach są stanowiska strzeleckie — słyszy słowa pułkownika. — Niech Cunha Matos zaczeka, aż się uciszą.

Dzwony wciąż biją, a on wciąż ich słucha w zgiełkowej muzyce wystrzałów i dział. W plątaninie domów odróżnia postacie, które biegną, mundury, które mijają się i wymijają. „Cunha Matos jest w tym piekle -myśli. — Biegnie, potyka się, zabija”. Tamarindo i Olimpio de Castro także? Szuka oczami starego pułkownika i nie znajduje go, ale kapitan stoi w grupce obok Moreiry Cesara. Czuje ulgę, sam nie wie dlaczego.

— Tylne straże i żandarmeria z Bahii. Atak z drugiej flanki — słyszy rozkaz pułkownika.

Kapitan Olimpio de Castro z kilkoma łącznikami pędzi w górę wzniesienia: grają trąbki, z oddali odpowiadają im bliźniacze dźwięki. Dopiero teraz zauważył, że rozkazy przekazywane są za pomocą trąbek. Chciałby to zapisać, żeby nie umknęło mu z pamięci, ale oficerowie krzyczą unisono, więc znowu patrzy. Na placu między kościołami dwóch oficerów biegnie na czele dziesięciu, dwunastu, piętnastu czerwono-niebieskich mundurów — z daleka widzi wyciągnięte szable, próbuje rozpoznać tych poruczników lub kapitanów, których widywał przecież tyle razy, atakujących w widocznym zamiarze zajęcia świątyni o niebotycznych białych wieżach, obwarowanych belkami rusztowań, gdy wtem gęsty ogień z wnętrza budowli powala szeregi żołnierzy. Niedobitki robią w tył zwrot i nikną w kurzawie.

— Powinni byli ostrzelać ich z karabinów — słyszy lodowaty głos Moreiry Cesara — zniszczyć najpierw tę redutę...

Z kościołów wybiega gromada postaci: doskakują do ciał i pochylają się nad poległymi. „Dobijają ich, kastrują, wylupiają im oczy”, myśli i w tej samej chwili słyszy szept pułkownika: „Rozbierają ich, są niespełna rozumu”. „Rozbierają?”, powtarza w duchu. I znowu widzi ciało jasnowłosego sierżanta i ciała jego żołnierzy, zwisające z gałęzi drzew. Czuje nagły chłód. Plac rozmazał się w tumanie kurzu. Oczy dziennikarza błędzą to tu, to tam, usiłując dojrzeć, co się dzieje na dole. Żołnierzy z kompanii, które weszły już do Canudos, pochłonęła rozedrgana pajęczyna dymów. Tymczasem trzeci oddział, ten po prawej, zagłębia się wciąż dalej w miasto, a okularnik może śledzić jego przemarsz wedle wirów kurzu, które podnoszą się przed idącymi i rozłazą w meandrach uliczek i zaułków, gdzie odgaduje starcia, walkę wręcz, wyłamywanie drzwi ciosami kołob, wrywanie desek, kołków, zwalanie dachów, epizody tej wojny, która rozdzielona na tysiąc chałup staje się żywiołem zamętu, walką jednego przeciw jednemu, jednego przeciw dwóm, dwóch przeciw trzem.

Od rana nie wziął do ust nawet łyka wody, poprzedniej nocy też nic nie jadł, ma pustkę w żołądku i czuje, jak skręcają mu się kiszki. Słońce świeci wysoko na niebie. Czy to możliwe, że jest południe, że minęło już tyle godzin? Moreira Cesar z grupką przybocznych oficerów schodzi jeszcze parę metrów w dół; dziennikarz okularnik chwiejnym krokiem idzie przyłączyć się do nich. Chwyta za ramię Olimpia de Castro i pyta, co się dzieje, ile godzin trwa bitwa.

— Tylne straże i żandarmi z Bahii już tam są — mówi Moreira Cesar z lornetką przy twarzy. — Tędy nam nie uciekną.

Na przeciwnym krańcu zabudowań, rozmazanych w zawieszonym kurzu, dziennikarz okularnik rozróżnia jakieś niebieskie, zielonkawe i złote plamy, przesuwane się po obszarze dotąd nietkniętym, bez dymów, bez pożarów, bez ludzi. Działania stopniowo obejmują całe Canudos, płomienie są wszędzie.



— Za długo to trwa — mówi pułkownik, a dziennikarz okularnik spostrzega jego nagłe zniecierpliwienie, jego gniew. — Niech kawaleria wesprze Cunhę Matosa.

Natychmiast wyczuwa — ze zdziwienia, ze sprzeciwu na twarzach żołnierzy — że rozkaz pułkownika jest zaskakujący, ryzykowny. Nikt nie protestuje, ale spojrzenia są bardziej wymowne od słów.

— O co chodzi? — Moreira Cesar przesuwając oczami po oficerach. Zatrzymuje wzrok na Olimpiu de Castro: — Jakież obiekcje?

— Żadnych, ekscelencjo — mówi kapitan. — Tylko że...

— Niech pan mówi — łaje go Moreira Cesar. — To rozkaz.

— Ten szwadron kawalerii to jedyne, co mamy w odwodzie, pułkowniku — kończy kapitan.

— A po co nam odwody? — Moreira Cesar wskazuje w dół. — Przecież bitwa toczy się tam. Jak zobaczą jeźdźców, kto żywy rzuci się do Ucieczki, a my ich dobijemy. Niech ruszają natychmiast!

— Proszę o pozwolenie na udział w szarży — jąka Olimpio de Castro.

— Pan jest mi potrzebny tutaj — ucina sucho pułkownik.

Znowu słyszy głos trąbki, a w parę minut później ze szczytu wzgórza spływają ku nim jeźdźcy w plutonach po dziesięciu, po piętnastu, na czele oficer; salutują szablami przed Moreirą Cesarem, który krzyczy:

— Oczyszczyć kościoły, zepchnąć ich na północ!

Myśli, że te twarze — młode, pełne napięcia, białe, smagłe, czarnej miedziane — wchłonienie bitewny wir, kiedy wstrząsa nim nowy atak kichania, silniejszy niż poprzedni. Okulary wylatują niby wystrzelone z procy, a on — czując łaskotanie w nosie i duszności rozsadzające skronie i pierś — myśli z przerażeniem, że się stłukły, że ktoś może je nadepnąć, że jego dni zasnuje nieustanna mgła. Gdy atak mija, pada na kolana, maca z trwogą wokół siebie, aż trafia na zgubione szkła. Uszczęśliwiony, stwierdza, że są całe. Przeciera je, zakłada, patrzy. Stu jeźdźców zjechało ze wzgórza. Jak szybko znaleźli się na dole! Ale coś się z nimi dzieje, tam, w rzece. Nie mogą jej przekroczyć. Wierzchowce wchodzą w wodę i zaraz stają dęba, rzucają się na boki, mimo furii, z jaką są popędzane, chłostane, rękami, butami, szablami. Tak jakby rzeka budziła w nich popłoch. Kładą się, zawracają w pół drogi, a niektóre zrzucają jeźdźców.

— Wpadli w pułapkę — mówi jakiś oficer.

— Strzelają do nich, z tamtego szanca.

— Konia! — krzyczy Moreira Cesar.

Dziennikarz okularnik widzi, że rzuca lornetkę ordynansowi. Sadowiąc się w siodle, dodaje zniecierpliwiony:

— Trzeba dać chłopcom ostrogę. Pan przejmie komendę, Olimpio. Serce bije mu szybciej na widok pułkownika, który wyciąga szablę, bodzie wierzchowca piętami i z pośpiechem rusza w dół pochyłości.

Lecz nie ujechał nawet pięćdziesięciu metrów, a już kuli się w siodle i kładzie na końskiej szyi. Koń staje jak wryty. Jeździec ściąga wodze w bok, chce zawrócić, ale zwierzę, jakby otrzymując sprzeczne rozkazy, kręci się w kółko, raz, drugi, trzeci, a dziennikarz okularnik pojmuje nagłe, dlaczego oficerowie i żołnierze straży przybocznej wołają, krzyczą i

biegną w dół z rewolwerami gotowymi do strzału. Moreira Cesar stacza się na ziemię i niemal w tym samym czasie dziennikarzowi znika z oczu kapitan i żołnierze, którzy dźwignęli ciało i niosą je w pośpiechu w jego stronę. Słysząc ogłuszające wrzaski, strzały, narasta zgiełk.

Stoi otępiały, bierny, patrząc na grupkę mężczyzn wbiegających truchcikiem na zbocze, za nimi biały koń wlecze cugle po ziemi. Został sam. Gnany strachem pnie się pod górę, ślizga się, wstaje, pełźnie na czworakach. Wreszcie dociera na szczyt, doskakuje do brezentu i jak przez mgłę spostrzega, że dokoła jest prawie zupełnie pusto: żołnierze zniknęli. Poza niewielką grupką, stłoczoną u wejścia do namiotu, widzi tylko jednego czy dwóch wartowników, zerkających niespokojnie na boki. „Może pan pomóc doktorowi Souzie Ferreiro?“, słyszy, ale nie poznaje głosu i ledwo kojarzy rysy twarzy mówiącego człowieka, chociaż jest nim Olimpio de Castro. Kiwa głową: kapitan wpycha go do środka tak silnie, że dziennikarz wpada na jakiegoś żołnierza. Widzi pochylone nad pryczą plecy doktora Souzy Ferreiro i nogi pułkownika.

— Sanitariusz? — Souza Ferreiro odwraca się i na jego widok krzywi się kwaśno.

— Mówiłem panu, że sanitariuszy nie ma! — krzyczy kapitan de Castro i potrząsa dziennikarzem okularnikiem. — Są na dole, przy batalionach. Niech on panu pomoże.

Ich rozdrażnienie udziela się okularnikowi: też ma ochotę tupać i wrzeszczeć.

— Albo wyjmijemy te kule, albo zakażenie skończy z nim raz dwa — jęczy doktor Souza Ferreiro, rozglądając się dokoła, jakby spodziewał się cudu.

— A więc proszę dokonać niemożliwego — mówi kapitan, odcho dząc. — Ja nie mogę porzucić komendy, muszę powiadomić pułkownika Tamarindo, żeby przejął...

Wychodzi, nie dopowiedziawszy zdania.

— Proszę zawinąć rękawy i zdezynfekować się tym płynem! — wrzeszczy doktor.

Posłusznie wykonuje polecenie, najszybciej, na ile pozwala mu własna ślamazarność, a po chwili odkrywa w narkotycznym odurzeniu, że klęczy na ziemi w oparach eteru — jego woń przywodzi mu na myśl karnawał w Politeamie — i zwilża nim tampony, które przykładają do nosa i ust pułkownika Moreiry Cesara, utrzymując go w uśpieniu, podczas gdy lekarz przeprowadza operację. „Proszę się nie trząść, niech pan nie będzie idiotą i trzyma mu ten eter pod nosem“, strofuje go doktor Souza Ferreiro. Koncentruje się więc na swojej roli — otworzyć probówkę, nasączyć płótno, umieścić je na tym spiczastym nosie, na wargach wykrzywionych w grymasie nieskończonej udręki — i myśli o bólu, jaki musi odczuwać to mizerne ciało, gdy doktor Souza Ferreiro wtyka twarz w otwarty brzuch, jakby go wachał lub lizał. Co pewien czas, przewyciężając wstręt, rzuca spojrzenie na plamy rozbryźnięte na koszuli, rękach i mundurze lekarza, na pledzie okrywającym pryczę, na jego własnych spodniach. Ile krwi mieści się w tak drobnym ciele! Mdlący zapach eteru wywołuje torsje. Myśli: „Nie wolno mi rzygać“. Myśli: „Dlaczego nie jestem głodny, dlaczego nie chce mi się pić?“. Ranny leży z zamkniętymi oczami, czasami jednak wierci się, a wówczas lekarz ponagla: „Eter! Eter!“. Ale ostatnia próbówka jest już prawie pusta. Okularnik mówi mu o tym z poczuciem winy.

Wchodzą ordynansi, wnoszą dymiące miednice: doktor jedną ręką myje lancety, igły, nici, nożyczki. Okularnik słyszy, jak, bandażując rannego, miota pod nosem przekleństwa, obelgi, złorzeczy własnej matce za to, że wydała go na świat. Ogarnia go senność, ale doktor przywołuje go do porządku: „Niech pan nie będzie idiotą, nie czas na sjęstę“. Jąka przeprosiny, a gdy znowu wnoszą miednicę, prosi o łyk wody.

Spostrzega, że już nie są sami w namiocie: cień, podsuwający mu manierkę do ust, to

kapitan Olimpio de Castro. Są tu też, plecami oparci o brezent, z ponurymi twarzami, w podartych mundurach, pułkownik Tamarindo i major Cunha Matos. „Więcej eteru?“, pyta i czuje się głupio, bo próbówka jest pusta od dłuższej chwili. Doktor Souza Ferreiro zabandażował już Moreirę Cesara, a teraz okrywa go kocem. Okularnik myśli zdumiony: „To już noc“. Jest ciemno, ktoś wiesza lampę na maszcie namiotu.

— Co z nim? — szepcze pułkownik Tamarindo.

— Cały brzuch zmasakrowany — wzdycha doktor. — Boję się, że...

Spuszczając rękawy koszuli, dziennikarz okularnik myśli: „Przecież jeszcze przed chwilą był świt, południe... jak to możliwe, że czas leci tak szybko“.

— Wątpię, czy w ogóle odzyska przytomność — dodaje Souza Ferreiro.

Jakby w odpowiedzi pułkownik Moreira Cesar porusza się. Wszyscy podchodzą. Uwierają go bandażem? Mruga. Dziennikarz okularnik wyobraża sobie, jak ranny widzi sylwetki, jak słyszy dźwięki. Próbuje to zrozumieć, próbuje coś sobie przypomnieć i przypomina sobie scenę jakby z innego życia, przebudzenie po nocy ukojonej opium. Tak samo powolny, trudny, niewyraźny musi być powrót pułkownika do rzeczywistości. Moreira Cesar oczy ma otwarte i w napięciu wpatruje się w Tamarinda, dokonując przeglądu jego podartego munduru, jego podrapanej szyi, jego przygnębienia.

— Canudos wzięte? — chrypi.

Pułkownik Tamarindo spuszcza oczy i kręci przecząco głową. Moreira Cesar przebiega wzrokiem po zasępionych twarzach majora, kapitana, doktora Souzy Ferreiro, i dziennikarz okularnik widzi, że jemu także się przygląda, jakby dokonując szczegółowych oględzin.

— Atakowaliśmy trzykrotnie — jąka pułkownik Tamarindo. — Ludzie walczyli do upadłego.

Pułkownik Moreira Cesar podnosi się na posłaniu, coraz bardziej bledy, i wymachuje zaciśniętą, wściekłą pięścią.

— Do szturm, Tamarindo! To rozkaz!

— Straty są ogromne — szepcze pułkownik, zawstydzony, jakby to była jego wina. — Nie utrzymamy się. Musimy się wycofać w bez— pieczne miejsce i wezwać posiłki...

— Pójdzie pan pod sąd — przerywa Moreira Cesar, podnosząc głos. — 7. Pułk zmyka przed garstką rzezimieszków?! Proszę oddać swoją szablę, Cunha Matos.

„Jak on może robić takie wygibasy z otwartym brzuchem?“, myśli dziennikarz okularnik. W przedłużającej się ciszy pułkownik Tamarindo patrzy na innych oficerów z niemą prośbą w oczach. Cunha Matos występuje naprzód, podchodzi do połowego łóżka.

— Szerzy się dezercja — mówi. — Jednostka jest w rozsypce. Jeśli jaguncos zaatakują, wezmą obóz. Proszę zarządzić odwrót.

Zza pleców doktora i kapitana dziennikarz okularnik widzi, jak Moreira Cesar opada z powrotem na łóżko.

— Pan także zdradził? — szepcze z rozpaczą. — Wiecie wszyscy, czym ta kampania jest dla sprawy. Chce pan powiedzieć, że naraża— łem swój honor na darmo?

— Wszyscy narażaliśmy honor — mówi pułkownik Tamarindo.

— Wiecie, że musiałem przymknąć oczy na machinacje skorumpowanych

politykierów — Moreira Cesar mówi z opryskliwą, absurdalną intonacją. — Chce pan powiedzieć, że na próżno okłamaliśmy cały kraj?

— Niech pan posłucha, co się dzieje, pułkowniku! — wrzeszczy major Cunha Matos, a okularnik mówi sobie, że już od jakiegoś czasu słyszy tę symfonię chaosu, tę wrzawę, ten tupot, ten popłoch, ale nie chciał wiedzieć, co to wszystko znaczy, żeby nie bać się jeszcze bardziej. — Uciekają w rozsypce. Jaguncos wytną cały pułk, jeśli nie zaczniemy regularnego odwrotu.

W beładzie bieganiny i ludzkich głosów dziennikarz okularnik słyszy świstawki i dzwony. Pułkownik Moreira Cesar patrzy na nich, na każdego z osobna, wymizerowany, z otwartymi ustami. Mówi coś, czego nie słychać. Dziennikarz okularnik zdaje sobie sprawę, że oczy błyszczące w tej sinej twarzy wbite są właśnie w niego.

— Pan, pan... — słyszy. — Pióro i papier, nie rozumie pan? Chcę spisać protokół hańby. Dalej, proszę zaczynać. Gotów pan?

W tym momencie dziennikarz wspomina swój pulpit, swoją sakwę; szuka wszędzie, miota się, jakby ukąsiła go żmija. Z uczuciem, że zgubił część swego ciała, amulet, który chronił go przed złem, przypomina sobie, że nie zabrał ich ze sobą na górę, że leżą gdzieś, porzucone na zboczach, ale nie może myśleć dalej, bo Olimpio de Castro z oczami pełnymi łez wtyka mu w ręce plik kartek i ołówki, a major Cunha Matos przysuwa lampę.

— Jestem gotów — mówi, myśląc, że nie będzie mógł pisać, bo ręce mu się trzęsą.

— Ja, dowódca 7. Pułku, będąc w pełni władz umysłowych, stwierdzam, że wycofanie się z oblężenia Canudos jest decyzją powziętą wbrew mojej woli przez podwładnych, którzy niezdolni są pojąć ogromu własnej odpowiedzialności. — Moreira Cesar prostuje się na chwilę i znów opada na pryczę. — Historia nas osądzi. Ufam, że znajdą się obywatele, którzy staną w mojej obronie. Zawsze starałem się postępować zgodnie z interesem republiki, która powinna rozszerzyć swą władzę na każdy zakątek naszego kraju, jeśli chcemy, by ojczyzna weszła na drogę postępu.

Głos, tak cichy, że prawie niesłyszalny, milknie. Mija jednak długa chwila, zanim dziennikarz okularnik zdaje sobie z tego sprawę, bo ledwie nadażał z notowaniem dyktowanych słów. Pisanie, będące pracą manualną, tak jak przykładanie przesyconych eterem gałka-nów do nosa rannego, jest zajęciem dobroczynnym, uwalnia go od dręczących pytań, jak wytłumaczyć, że 7. Pułk nie zdobył Canudos, dlaczego muszą się wycofać. Kiedy podnosi oczy, doktor trzyma ucho przy piersi pułkownika, bada puls. Prostuje się i robi wymowny gest. Powstaje nagły zamęt: Cunha Matos i Tamarindo wiodą krzykliwą dyskusję, a Olimpio de Castro mówi do doktora, że nie można dopuścić, by zbezczeszczono zwłoki pułkownika.

— Odwrót? Teraz, po ciemku?! To szaleństwo! — krzyczy Tamarindo. — Dokąd? Którędy? Ludzie walczyli przez cały dzień, są u kresu sił. Mam ich posłać na pewną śmierć? Jutro...

— Jutro nie będzie tu nawet nieboszczyków. — Cunha Matos wymachuje rękami. — Nie widzi pan, że pułk jest w rozsypce, że nie ma komendy, że jeśli teraz nie zbierzemy się do kupy, wyłapią nas jak króliki?

— Niech ich pan zbiera, niech pan robi, co chce. Ja zostaję tutaj do rana, żeby przeprowadzić regularny odwrót. — Pułkownik Tamarindo zwraca się do Olimpia de Castro: — Niech pan spróbuje przedrzeć się do artylerii. Działa nie powinny wpaść w ręce wroga. Niech Salomao da Rocha je zniszczy.

— Tak jest, pułkowniku.

Kapitan i Cunha Matos wychodzą razem z namiotu, a dziennikarz okularnik idzie za nimi jak automat. Słyszy ich i nie wierzy w to, co słyszy:

— Czekać to czyste szaleństwo, Olimpio. Musimy wycofać się teraz albo nikt nie dożyje jutra.

— Spróbuję się dostać do artylerii — ucina Olimpio de Castro. — Może to i szaleństwo, ale moim obowiązkiem jest posłuszeństwo nowemu dowódcy.

Dziennikarz okularnik szarpie go za ramię, szepcze: „Pańska manierka, umieram z pragnienia”. Pije zachłannie, krztusząc się, podczas gdy kapitan radzi mu:

— Nie może pan zostać tutaj, major ma rację, źle się dzieje. Niech pan stąd idzie.

Iść stąd? Sam, przez catingę, po ciemku? Olimpio de Castro i Cunha Matos znikają. Zostaje sam, bezradny, wystraszony, skamieniały. Dookoła ludzie chodzą, biegają. Robi kilka kroków w jedną stronę, w drugą, wraca do namiotu, ale ktoś potrąca go, więc zmienia kierunek. „Pozwólcie mi iść z wami, nie odchodźcie!”, krzyczy, a jakiś żołnierz ponagla go, nie odwracając głowy: „Szybko, szybko, już tu są, nie słyszysz świstawek?”. Tak, słyszy. Rusza biegiem razem z innymi, ale ciągle się potyka i zostaje w tyle. Opiera się o jakiś cień, wyglądający na drzewo, ale gdy go dotyka, czuje, że to coś się porusza. „Rozwiąż mnie, na miłość boską”, słyszy. Poznaje głos księdza z Cumbe, głos zapamiętany ze śledztwa Moreiry Cesara, jęczący teraz w panice: „Rozwiąż mnie, rozwiąż, jedzą mnie mrówki”.

— Już, już — bełkocze dziennikarz okularnik, szczęśliwy, że ma towarzysza. — Rozwiązuję, już rozwiązuję.

— Chodźmy wreszcie — prosi Karzełek. — Chodźmy, Jurema. Chodźmy teraz, kiedy nie strzelają.

Jurema stała, patrząc na Rufina i Galla, nie widząc słońca, które złościło catingę, osuszało łązy, wysysało wilgoć z powietrza i roślin. Karzełek szarpał ją bez przerwy.

— Dokąd? — odpowiedziała, czując wielkie zmęczenie i jakiś ciężar w żołądku.

— Do Cumbe, do Geremoabo, gdziekolwiek — nalegał Karzełek, ciągnąc ją za sobą.

— A jak się idzie do Cumbe, do Geremoabo? — szepnęła Jurema. — Ja nie wiem. A co, może ty wiesz?

— Nieważne! Nieważne! — pisał Karzełek, nie przestając jej tarosić. — Nie słyszałaś, co mówili jaguncos? Tutaj będzie bitwa, będą strzelać, zabiją nas.

Jurema wstała i podeszła do maty utkanej z traw, którą okryli ją jaguncos, kiedy rozprawili się z żołnierzami. Pod palcami poczuła wilgoć. Narzuciła matę na trupy, starając się zasłonić najbardziej pokiereszowane części ciała: torsy i głowy. Potem z nagłą determinacją, przewyciężając drętwotę, ruszyła tam, dokąd odszedł Pajeu. W prawej dłoni poczuła drobną, krągłą rączkę.

— Dokąd idziemy? — zapytał Karzełek. — A żołnierze?

Wzruszyła ramionami. Żołnierze, jaguncos, co za różnica.

Czuła, że ma dość wszystkiego i wszystkich, że chce tylko jednego: zapomnieć, co widziała. Szła, zrywając liście i gałązki, z których wysysała sok.

— Strzelają — powiedział Karzełek. — Strzelają, strzelają.

Szybka karabinowa palba w kilka chwil wypełniła zwartą, splątaną catingę, która

zdawała się pomnażać huk i błyski. A przecież dokoła nie było widać żywego ducha: tylko pochyłe zbocze, pokryte gęstwiną cierni, strąconymi przez ulewę liśćmi, kałużami błota, zarośnięte macambirami o szponiastych gałęziach, mandacarusami i xique-xique jeżącymi ostre kolce. W nocy zgubiła gdzieś sandały, a chociaż większą część swego życia chodziła boso, czuła, że stopy ma poranione. Wzgórze stawało się coraz bardziej strome. Słońce świeciło jej prosto w twarz, wskrzeszało do życia obolałe członki. Że dzieje się coś niedobrego, spostrzegła dopiero wtedy, kiedy paznokcie Karzełka wbiły się w jej dłoń. Z odległości czterech metrów mierzyła w nich strzelba o krótkiej lufie i szerokim wylocie: trzymał ją jakiś leśny człowiek o skórze z kory drzewnej, gałęziastych kończynach, z pióropuszem trawy zamiast włosów.

— Zmiałaj stąd — powiedział, wysuwając głowę zza maty. — Pajeu kazał wam iść do Geremoabo.

— Nie wiemy którędy — odpowiedziała Jurema.

„Cśśś, ćśśś”, usłyszała w tej samej chwili z różnych stron, jakby krzewy i kaktusy nagle przemówiły. Zobaczyła, że z plataniny gałęzi wychylają się twarze mężczyzn.

— Ukryj ich — usłyszała rozkaz Pajeu, ale nie miała pojęcia, skąd dochodzi głos. Wtem poczuła, że leży na ziemi, przygnieciona męskim ciałem, które owijając ją w trawiastą matę, sapało: „Cśś, ćśś”. Zastygła w bezruchu, śledząc świat spod przymkniętych powiek. Czuła oddech jagunco i myślała, czy Karzełek też leży tak jak ona. Zobaczyła żołnierzy. Byli tak blisko, że serce jej zamarło. Szli dwójkami, w spodniach z czerwonymi lampasami, w niebieskich kurtkach i czarnych butach. Błyskały obnażone bagnety. Wstrzymała oddech, zamknęła oczy, czekała na strzały, ale nic się nie stało: podniosła powieki. Przed nią wciąż maszerowały szeregi mężczyzn. Mogła zajrzeć im w oczy, błyszczące podnieceniem lub wyniszczone bezsennością, w twarze, nieustraszone lub bojaźliwe, mogła słyszeć oderwane słowa, To nie do wiary, żeby tylu żołnierzy przeszło, niemal dotykając ich, niemal po nich depcząc, nie spostrzegłszy, że jaguncos są tuż.

W tejże chwili catingę rozświetliła eksplozja, a Juremie w ułamku sekundy przypomniały się obchody dnia świętego Antoniego w Queimadas, kiedy przyjeżdżał cyrk i puszczano fajerwerki. W zamęcie strzelaniny dostrzegła rój trawiastych postaci, pod którymi zniknęły mundury żołnierzy. Wokół dymiło i huczało. I nagle poczuła, że nikt jej nie trzyma, za to podnoszą ją, wloką gdzieś, a jednocześnie jakiś głos mówi do niej: „Kryj się, kryj się”. Usłuchała i skulona, wtuliwszy w ramiona głowę, pobiegła ile sił w nogach, czekając strzału w plecy, niemal go pragnąc. Złana potem, bała się, że serce wyskoczy jej z piersi. I wówczas ujrzała przed sobą beznosego caboclo, który patrzył na nią drwiąco.

— Kto był lepszy? Twój mąż czy tamten wariat?

— Pozabijali się nawzajem — wydyszała.

— Tym lepiej dla ciebie — stwierdził Pajeu z uśmiechem. — Teraz będziesz mogła poszukać sobie nowego męża w Belo Monte.

Obok stał zasapany Karzełek. W oddali zobaczyła Canudos. Rozciągało się przed nią wzdłuż i wszerz, wstrząsane wybuchami, lizane językami ognia, zasnułe dymami, pod niebem, które wisiało nad rozpasaną ziemią czyste, błękitne, rozslonecznione. Łzy napłynęły jej do oczu i poczuła smagnięcie nienawiści do tej osady i tych mężczyzn, zabijających się nawzajem w uliczkach ciasnych jak zwierzęce legowiska. Jej niedola tu wzięła swój początek: to przez Canudos cudzoziemiec wszedł pod jej dach, a potem ruszyła lawina nieszczęść, odbierając jej wszystko, zostawiając ją samą jedną na świecie, zabłąkaną w jakiejś wojnie. Całą duszą zapragnęła cudu: żeby wszystko było tak jak dawniej, żeby znalazła się nagle w

Queimadas, razem z Rufinem.

— Nie płacz, dziewczyno — powiedział caboclo. — Umarli będą wskrzeszeni, nie wiesz o tym? Nie słyszałaś? Ciała zmartwychwstaną.

Mówił spokojnie, jakby on i jego ludzie jeszcze przed chwilą nie zabijali żołnierzy. Otarła łzy ręką i rozejrzała się. Poznała to miejsce: przejście między dwoma pagórkami, rodzaj tunelu. Po lewej skalny okap osłaniał ją od góry, a po prawej catinga, nieco przeredzona, schodziła w dół, gubiąc się na kamienistej równinie, która za szeroką rzeką zmieniała się w beład koślawych domków o czerwonych dachach. Pajeii włożył jej coś w rękę. Nie patrząc nawet, podniosła to do ust. Małymi kęsami pochłaniała owoc o miękkim, kwaśnym miąższu. Trawiaści rozpraszali się stopniowo, przywierając do krzaków, spuszczając się do wykopanych w ziemi jam. I znowu krągła rączka poszukiwała jej dłoni. Ogarnęła ją litość, wzruszył ją ten znajomy dotyk. „Właźcie tutaj”, rozkazał Pajeii, rozsuwając gałęzie. Kiedy siedzieli w kukki w rowie, tłumaczył, pokazując na skały: „Tam są psy”. W jamie był jeszcze jeden jagunco, bezzębny mężczyzna, który przesunął się, żeby zrobić im miejsce. Miał kuszę i wypchany strzałami kołczan.

— Co będzie? — szepnął Karzelek.

— Siedź cicho — warknął jagunco. — Nie słyszysz? Heretycy stoją na nas.

Jurema wyjrzała przez gałęzie. Strzelanina trwała nadal, rozproszona, przerywana, wciąż płonął ogień i walił dym, ale ze swego miejsca nie mogła już dojrzeć umundurowanych postaci, które przekroczyły rzekę i zniknęły między domkami osady. „Cicho”, powiedział jagunco i po raz drugi tego dnia z nicości wyłonili się żołnierze. Tym razem byli konno: jechali dwójkami, na wierzchowcach siwych, karych, bułanych, jabłkowitych, rżących, które w niewiarygodnie bliskiej odległości odrywały się od skalistej ściany po lewej stronie i na łeb, na szyję gnały ku rzece. Zdawało się, że niewiele brakuje, a stoczą się z pionowego urwiska, ale nie traciły równowagi; widziała, jak mkną rączo, hamując tylnymi kopytami. Poczowała, że kręci jej się w głowie od migających przed oczami twarzy i szabli wzniesionych nad głowami oficerów, kiedy catinga nagle zafalowała. Trawiaści wyskakiwali z jam, spośród gałęzi i strzelali z fuzji albo — jak jagunco, który siedział z nimi, a teraz czołgał się w dół zbocza — razili żołnierzy strzałami, syczącymi niby węże. Usłyszała wyraźny głos Pajeu: „W konie, w tych z maczetami”. Już nie mogła dojrzeć jeźdźców, ale wyobrażała sobie, jak szamocą się w rzece — w strzelaninie i dalekim biciu dzwonów odróżniała rzenie koni — znienacka rażeni w plecy pociskami jaguncos. Beznosy caboclo nie strzelał. Gestem ręki nakazał trawiastym przesunąć się trochę niżej, bardziej na prawo. Wtem poczuła, że coś gniecie jej brzuch: uścisk Karzelka niemal pozbawił ją tchu. Czowała, jak drży. Potrzęsnęła nim obiema rękami. „Już przeszli, poszli sobie, patrz”. Ale kiedy ona także spojrzała, zobaczyła jeźdźcę zstępującego po skałach na białym koniu z rozwianą grzywą. Mały oficer jedną ręką ścigał wodze, a drugą wywijał szablą. Był tak blisko, że widziała zmarszczone brwi i płonące oczy, a po chwili ujrzała, że się kuli. Jego twarz zgasła natychmiast. Pajeu mierzył weń. Pomyślała, że to on do niego strzelił. Zobaczyła, że biały koń robi woltę, wirując w szalonym piruecie, jakimi popisują się poganiacze na jarmarkach, zobaczyła, że z jeźdźcem wczepionym w kark zawraca i wspina się na zbocze, a kiedy już zniknął, ponownie spojrzała na Pajeu, który wymierzył raz jeszcze i na pewno wystrzelił.

— Chodźmy, chodźmy, tu wszędzie jest wojna — popłakiwał Ka rzelek i znowu przylgnął do jej brzucha.

Jurema skrzyczała go:

— Zamknij się, głupi tchórze!

Karzełek zaniemówił, odsunął się i spojrział na nią ze strachem, błagając oczami o przebaczenie. Łoskot wybuchów, strzałów, trąbek, dzwonów trwał, a trawiaści odchodzili, biegnąc lub czołgając się po lesistym zboczu, opadającym w dół ku rzece i Canudos. Rozejrzała się za Pajeu, ale caboclo również zniknął. Byli sami. Co robić? Zostać tutaj? Iść za jaguncos? Szukać ścieżki, która wyprowadzi ją daleko od Canudos? Poczula zmęczenie, sztywność w mięśniach i kościach, jakby jej ciało buntowało się przeciw samej myśli o ruchu. Oparła się o wilgotną ścianę wykopu i zamknęła oczy. Popłynęła, pogrążyła się we śnie.

Czuła, że Karzełek potrząsa nią, słyszała, jak przeprosza, że ją budzi, i poruszyła się z trudem. Bolały ją kości, musiała rozmasować sobie kark. Było już chyba późno, bo cienie kładły się ukosem, a słońce rzucało łagodny blask. Ten ogłuszający dźwięk to sen czy jawa? „Co się dzieje?“, zapytała, czując, że język ma obrzmiały i suchy. „Są coraz bliżej, słyszysz?“, szepnął Karzełek, pokazując na zbocze. „Trzeba tam iść, zobaczyć“, powiedziała Jurema. Karzełek uwiesił się na niej, próbował zastąpić jej drogę, ale kiedy wygrzebała się z wykopu, ruszył za nią na czworakach. Zeszła do skał i kolczastych zarośli, gdzie przedtem spotkali Pajeu, i przykucnęła. Mimo kurzawy dostrzegła przed sobą, u stóp pagórków, rojowisko ciemnych mrówek. Pomyślała, że to wciąż nowi żołnierze schodzą do rzeki, wnet jednak pojęła, że nie schodzą, ale wspinają się na urwisko, uciekają z Canudos. Tak, nie ma wątpliwości: wynurzali się z rzeki, biegli, wdrapywali się na górę, a na drugim brzegu poruszały się grupki ludzi, strzelających i ścigających samotnych żołnierzy, którzy wypadali spośród chałup, usiłując dopaść brzegu. Tak, żołnierze uciekają przed jaguncos. „Idą tutaj“, jęknął Karzełek; poczuła w ciele lodowaty chłód, kiedy spostrzegła, że zajęta obserwacją pagórków naprzeciwko, nie zauważyła, że wojna toczy się również u jej stóp, na obu brzegach Vassa Barris. To stamtąd dochodził gwar, który wzięła za sen.

W zamęcie, który przyprawiał ją o zawrót głowy, dostrzegła — na wpół rozmazane w kurzawie i dymach, zniekształcających widok — konie leżące lub grzęznące w błocie na brzegach rzeki; wiele z nich dogorywało, poruszały długimi szyjami, jakby wzywały pomocy, błagały, żeby ktoś wyciągnął je z tej mulistej wody, gdzie krwawiły i tonęły, czekając na śmierć. Jakiś wierzchowiec bez jeźdźca kręcił się w kółko w szalonym tańcu na trzech nogach, usiłując ugryźć własny ogon, a żołnierze, z karabinami wzniesionymi nad głowę, rzucali się wpław przez rzekę, spychani przez swoich towarzyszy, którzy z krzykiem wybiegali z uliczek Canudos. Wypryskiwali w pędzie po dwóch, po trzech, często tyłem, jak skorpiony, i skakali do wody, chcąc dostać się na zbocze tam, gdzie stała razem z Karzełkiem. Widzieli, jak żołnierze, rycząc i wyjąc, padają od niewidzialnych kul, a na skałach zaczęli się pokazywać ludzie w mundurach, którzy wspinali się wprost ku nim.

— Zabijają nas, Juremo — chlipnął Karzełek.

Tak, pomyślała, zabijają. Wstała, wzięła Karzełka za rękę i krzyknęła: „Biegiem, biegiem!“. Rzuciła się w górę zbocza, przez największy gąszcz catingi. Zmęczyła się wkrótce, ale wspomnienie żołnierza, który napastował ją rankiem, dodało jej sił. Kiedy nie mogła już biec, szła. Litowała się nad Karzełkiem, nad jego krótkimi nóżkami, myślała, że musi być bardzo wyczerpany, chociaż wcale nie narzekał i biegł wytrwale, uczepony jej ręki. Ściemniało się już, kiedy stanęli. Znajdowali się na przeciwległym zboczu, teren był chwilami płaski, roślinność gęstniała. Z oddali dochodził bitewny zgiełk. Osunęła się na ziemię, po omacku zerwała trochę ziół, podniosła je do ust i żuła powoli, aż na podniebieniu poczuła kwaśny sok. Wypłuła, zerwała drugi pęk i tak stopniowo oszukiwała pragnienie. Karzełek — nieruchomy, niewyraźny kształt tuż obok niej — robił to samo. „Ale długo biegliśmy“, powiedziała, lecz nie usłyszała jego głosu. Pomyślała, że on też pewnie nie ma siły mówić. Dotknęła jego ramienia, a on ścisnął jej rękę z wdzięcznością. Siedzieli tak, żując i wypluwając żdźbła, dopóki wśród rzadkich gałęzi faveli nie zapaliły się gwiazdy. Ujrzawszy



je, Jurema przypomniała sobie o Rufinie i Gallu. Pewnie dobrały się już do nich sępy, pewnie już się zaczęły psuć. Nigdy więcej nie ujrzy ich zwłok, które prawdopodobnie leżą o parę metrów stąd, splecione w uścisku. Twarz miała mokrą od łez. Wtem, tuż obok, usłyszała jakieś głosy, a jej dłoń natrafiła na ubłoconą rękę Karzełka, którą właśnie ktoś nadepnął. Karzełek wrzasnął, jakby dźgnięty nożem.

— Nie strzelać, nie zabijajcie nas! — zawodził ktoś żałośnie tuż nad nimi. — Jestem ojciec Joaąim, proboszcz z Cumbe. Jesteśmy spo kojnymi ludźmi!

— Ja jestem kobietą, a to jest Karzełek, ojcze — powiedziała Jurema, nie ruszając się. — My też jesteśmy spokojnymi ludźmi.

Teraz już mogła wydobyć z siebie głos.

Gdy wybuchł pierwszy armatni pocisk tej nocy, Antonio Vilanova, po chwilowym szoku, odruchowo zasłonił świętego własnym ciałem. Tak samo zrobili Joao Mnich i Joao Wielki, Aniołek i Joaąim Macambira, i Honorio: chwycili się pod ramiona i stanęli wokół Nauczyciela, obliczając trajektorię granatu, który uderzył w uliczkę świętego Cypriana, siedlisko guślarzy, znachorów, czarowników i zielarzy z Belo Monte. Jeden czy więcej z tych szalasów, zamieszkanych przez kręgarzy, którzy prostowali grzbiety kopniakami, i staruchy, które leczyły z uroku odwarami z juremy i manaca, wyleciało w powietrze? Nauczyciel wyrwał ich z odrętwienia: „Pójdźmy do Świątyni”. Gdy wciąż trzymając się pod ramiona, podążyli przez Campo Grande w stronę kościołów, Joao Mnich zaczął krzyczeć, żeby zgaszono światła w domach, bo naftowe lampy i ogniska są przynętą dla wroga. Jego rozkazy zostały powtórzone, rozgłoszone i spełnione: w miarę jak zostawiali za sobą zaułki i lepianki przy Ducha Świętego, Świętego Augustyna, Najświętszego Jezusa, Papieskiej i Marii Magdaleny, które odgałęziały się po obu stronach Campo Grande, domostwa niknęły w ciemnościach. Przed stromą uliczką Męczenników Antonio Vilanova usłyszał, że Joao Wielki mówi do Komendanta Ulicy: „Idź, zajmij się wojną, my przeprowadzimy go cało i zdrowo”. Ale były cangaceiro szedł jeszcze z nimi, kiedy wybuchł drugi armatni pocisk; podmuch rozproszył ich. Ujrzeni deski, gruz, dachówki, szczątki zwierząt i ludzi, zawieszane w powietrzu, wśród płomieni, które rozświetliły całe Canudos. Tym razem granaty wybuchły, zdaje się, w okolicach Świętej Inez, gdzie mieszkali wieśniacy uprawiający sady, albo w pobliskim skupisku chałup, zwanym Mocambo, a zaję-tym przez cafuzos, Mulatów i Murzynów.

Nauczyciel rozstał się z nimi u wrót Świątyni Dobrego Jezusa, dokąd odprowadziły go rzesze wiernych. W ciemnościach Antonio Vilanova usłyszał, że plac zapełnia się ludźmi, którzy nadchodzili tłumną procesją i już nie mieścili się w kościołach. „Boję się?”, pomyślał, zaskoczony małodusznym pragnieniem, by przykucnąć, ukryć się w ciżbie mężczyzn i kobiet. Nie, to nie był strach. Dawniej, w latach, kiedy jako wędrowny kupiec przemierzał sertony, z towarami i pieniędzmi, przeżył wiele niebezpieczeństw i nie czuł strachu. A tu, Canudos, dzięki Nauczycielowi, nauczył się liczyć, odnajdywać sens rzeczy, najwyższą rację dla wszystkiego, co robił, i to go wyzwoliło z tamtego strachu, który przedtem, w bezsenne noce, oblewał mu plecy zimnym potem. To nie był strach, ale smutek. Potrząsnęła nim jakaś szorstka dłoń.

— Nie słyszysz, Antonio Vilanova? — dobiegł go głos Joao Mnicha. — Nie widzisz, że tu są? Czy nie gotowaliśmy się na ich przyjęcie? Na co czekasz?

— Wybacz — mruknął, przesuwając ręką po łysawej czaszce. — Jestem trochę otumaniony. Tak, tak, idę.

— Trzeba odciągnąć stąd ludzi — mówił były cangaceiro, potrząsając nim mocno. — Tutaj zginą, rozerwie ich na kawałki.

— Idę, idę, nie martw się, wszystko będzie jak trzeba — powiedział Antonio. — Nie zawiodę.

Zawołał brata, szukał go, potykając się o skulone ciała; po krótkiej chwili usłyszał odpowiedź: „Jestem, kumie”. Ale nawet wówczas, gdy razem z Honoriem zabrali się do roboty, krzycząc na ludzi, żeby odeszli do schronów wykopanych pod podłogami domów, gdy zwoływali nosiwodów, żeby zabrali nosze, gdy wracali przez Campo Grande do składu, Antonio wciąż walczył ze smutkiem, który rozdzierał mu duszę. Czekala już na niego gromada sanitariuszy. Rozdzielił między nich nosze sporządzone z agawy i kory, wysłał kilku tam, skąd dochodziły wybuchy, a innym kazał czekać. Żona i szwagierka poszły do Domów Zdrowia, a synowie Honoria byli w transzei Umburanas. Otworzył magazyn — dawniej stajnię, a teraz zbrojownię Canudos: wspólnymi siłami wynieśli na zaplecze sklepu skrzynki z prochem i nabojami. Przykazał, żeby wydawali amunicję tylko Joao Mnichowi albo jego wysłannikom. Zostawił Honoria przy rozdziale prochu, a sam, z trzema pomocnikami, pobiegł przez meandry uliczek Świę— i tego Eliasza i Świętego Piotra do kuźni Dzieciątka Jezus, gdzie kowale już od tygodnia, zamiast robić podkowy, motyki, sierpy i noże, dniem i nocą przemieniali gwoździe, blachy, stemple, haki i wszelkie metalowe przedmioty, jakie udało się zebrać, w naboje do garłaczy i gwintówek. Zastał kowali zdeorientowanych, niepewnych, czy rozkaz wygaszenia lamp i ognisk dotyczy także ich. Kazał im, żeby zatkali szpary w ścianach wychodzących na wzgórze, rozniecili pa— leniska i zabrali się z powrotem do pracy. Kiedy wracał do sklepu ze skrzynką amunicji pachnącej siarką, dwa pociski przecięły niebo i po— szybowwały daleko, rozbijając się obok zagród. Pomyślał o kozłętach, wypatroszonych, z oberwanymi nogami, wśród nich leży może jakiś pasterz, o kozach, które rozbiegły się w popłochu, łamiąc sobie kości na wertepach, kalecząc się o kolce kaktusów. Wówczas zrozumiał, dlaczego jest smutny. „Znowu wszystko na marne, wszystko będzie stracone”, pomyślał. W ustach czuł smak popiołu. Pomyślał: „Zupeł— nie jak zaraza w Assare, jak susza w Joazeiro, jak powódź w Caatinga do Moura”. Ale ci, którzy tej nocy ostrzeliwują Belo Monte, gorsi są niż wrogie żywioły, bardziej dotkliwi niż plagi i klęski. „Dzięki Ci, że pozwoliłeś mi odczuć tak namacalnie istnienie Szatana — modlił się. — Dzięki, bo przez to wiem, że Ty istniejesz, Ojcze”. Usłyszał dzwony, a ich donośny dźwięk przywrócił mu spokój.

Zobaczył Joao Mnicha z dwudziestką ludzi: istoty bez twarzy, nie— wyraźne kształty, które poruszały się w milczeniu w strugach deszczu bębniącego o dach. Nieśli amunicję i proch. „Zabierasz wszystko?”, zapytał zdziwiony, bo Joao Mnich sam przecież nalegał, żeby sklep był ośrodkiem rozdzielającym naboje i broń. Komendant Ulicy wyciągnął byłego kupca na środek Campo Grandę, zamienionego w błotniste bajoro. „Okrażają nas. — Wskazał na zbocza Faveli i Cambaio. — Uderzą z dwóch stron. Jeżeli ludzie Joaquina Macambiry nie utrzymają się, ten odcinek pójdzie na pierwszy ogień. Lepiej rozdzielić kule już teraz”. Antonio kiwnął głową. „Gdzie będziesz?”, zapytał. „Wszędzie”, odpowiedział były cangaceiro. Mężczyźni czekali, z workami i skrzyniami na ramionach.

— Powodzenia, Joao — powiedział Antonio. — Idę do Domów Zdrowia. Przekazać coś Catarina?

Były cangaceiro zawahał się. W końcu rzekł powoli:

— Jeżeli mnie zabiją, powiedz jej, że chociaż ona przebaczyła mi Custodię, ja sobie tego nigdy nie wybaczę.

Rozpłynął się w wilgotnej nocy, która zagrziała nagłym wybuchem.

— Czy wiesz, o czym on mówił, kumie? — zapytał Honorio.

— To stara historia — odparł.

W blasku świecy, w milczeniu słuchając rozmowy dzwonów, trąbek i urywanego ryku dział, rozdzielali żywność, bandaże, lekarstwa. Potem przybiegł jakiś chłopiec z wiadomością od Antonii Sardelinii, że do Domu Zdrowia Świętej Anny przyniesiono rannych. Antonio złapał skrzynkę z jodoformem, substratem bizmutu i kalomelu, przywiezionymi przez ojca Joaquina, i poszedł zanieść ją żonie, powiedziawszy bratu, żeby odpoczął trochę, bo najgorsze zacznie się rano.

Dom Zdrowia na stokach Świętej Anny wyglądał jak dom wariatów. Zewsząd rozlegały się płacze i jęki, a Antonia Sardelina, Catarina i inne kobiety, które przychodziły tu gotować dla starców, kalek i chorych, grzęzły teraz w tłumie krewnych i przyjaciół ofiar, szarpane, wydzierane z rąk do rąk, tak że ledwie mogły precyzyjnie się do rannych: leżeli jedni na drugich, na podłodze, poniewierani i deptani. Z pomocą nosiwodów Antonio wyrzucił intruzów z izby i postawiwszy strażę przed drzwiami, pomagał zakładać opatrunki, Wybuchy urywały palce i ręce, otwierały dziury w ciałach, a jakai kobieta straciła nogę. Jak teraz będzie żyła? — myślał Antonio, podsuwając jej eter. Cierpi przecież tak straszliwie. Im szybciej umrze, tym lepiej dla niej. Kiedy kobieta konała mu na rękach, stanął nad nimi aptekarz. Szedł z innego Domu Zdrowia, gdzie, powiedział, było tyle samo ofiar, co tutaj, i zaraz kazał wynieść do kurnika wszystkie trupy, które rozpoznawał od jednego rzutu oka. Był jedynym człowiekiem w Canudos z jakimkolwiek pojęciem o medycynie: jego obecność wniosła ze sobą ład i spokój. Antonio Vilanova odnalazł Catarina, kiedy zwilżała czoło chłopca z błękitną opaską Gwardii Katolickiej któremu odłamek wyłupił oko i zmiażdżył policzek; przywarł do niej z dziecięcą zachłannością, a ona nuciła mu półgłosem.

— Przynoszę ci wiadomość od Joao — powiedział Antonio. I powtórzył jej słowa cangaceiro. Catarina nie odrzekła nic, skinęła tylko głową. Ta kobieta, chuda, smutna i milcząca, stanowiła dlań zagadkę. Była uczynna, pobożna, ale żyła w jakimś oddaleniu od wszystkiego i wszystkich. Mieszkała z Joao Mniczem przy ulicy Dzieciątka Jezus, w lepiance wtłoczonej między dwa drewniane domy. Lubili samotność. Antonio widywał ich często, jak spacerowali po poach za Mocambo, pogrążeni w niekończącej się rozmowie. „Będziesz się z nim widział?“, zapytała. „Może. Chcesz coś przekazać?“ „Powiedz mu, że jeśli on się potępia, ja potępiam się także“, odpowiedziała łagodnie Catarina.

Resztę nocy były kupiec spędził, przystosowując na infirmerię dwa domy przy ścieżce do Geremoabo; ich mieszkańcy musieli wynieść się do sąsiadów. Kiedy z grupką pomocników opróżniał izby, znosił ławy, prycze, koce, wiadra wody, leki i bandaże, poczuł nowy przypływ smutku. Tyle trudu włożył w tę ziemię, żeby znów zaczęta rodzić: wyznaczył i wykopał kanały, zorał i użyźnił kamienisty grunt pod przyszłe plony kukurydzy i fasoli, bobu i trzciny, melonów i arbuzów z takim trudem sprowadził, hodował, rozmnożyłkozy i owce. Tyle pracy, tyle wiary, tyle poświęceń tylu ludzi trzeba było, żeby te pola i zagrody stały się tym, czym są. A teraz armatnie kule zniszczą wszystko, żołnierze wejdą do osady i wytną w pień tę garstkę ludzi, którzy zgromadzili się tutaj, żeby żyć w miłości Boga i pomagać sobie wzajemnie, bo im samym nikt nigdy nie pomagał. Usiłował otrząsnąć się z tych myśli: budziły w nim gniew, tak potępiany przez Nauczyciela. Ktoś przyszedł powiedzieć mu, że psy schodzą już w dół pagórków.

Był świt, był jazgot trąbek, na zboczach mrowiły się czerwono-niebieskie kształty. Antonio Vilanova wyciągnął rewolwer i rzucił się biegiem do sklepu przy Campo Grande, dokąd przybył akurat na czas. O pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczył szeregi żołnierzy: przekraczali rzekę, idąc wprost na trasę starego Joaquina Macambiry, który strzelał jak opętany.

Honorio z grupką pół tuzina jaguncos zabarykadował się w sklepie za kontuarem, pryzkami, skrzyniami i workami ziemi. Antonio i jego ludzie przeszli na czworakach na drugą

stronę, wciągnięci przez ukrytych wewnątrz mężczyzn. Zdyszany kupiec usadowił się tak, żeby mieć oko na wszystko. W bitewnym zgłębku nie słyszał słów brata, chociaż siedzieli ramię w ramię. Wyrżał zza sterty gratów: jakieś ziemiste chmury nadchodziły od rzeki przez Campo Grande, przelewały się po stokach Świętego Józefa i Świętej Anny. Zobaczył dym i ogień. Pała domy, chcą nas upiec żywcem. Pomyślał, że jego żona i szwagierka są tam, na dole, może duszą się w płomieniach razem z rannymi z Domu Zdrowia, i znowu poczuł gniew. Kilku żołnierzy wyłoniło się z dymu i kurzu, rozglądając się wokół z szaleństwem w oczach. Mieli niebieskie kurtki i czerwone spodnie, na długich karabinach lśniły ostrza bagnetów. Jeden z nich rzucił pochodnię na barykadę. „Zgaś!”, ryknął Antonio do siedzącego obok chłopca, a sam wymierzył w pierś najbliższego przeciwnika. Wystrzelił, w tumanie pyłu nic nie widział, bębunki pękały mu w uszach. Tak zużył wszystkie kule. Kiedy, oparty plecami o jakąś beczkę, ładował rewolwer, zobaczył, że Pedrin, chłopiec, któremu kazał zgasić pochodnię, leży na smolnej belce, z krwawą raną w plecach. Ale nie mógł do niego dotrzeć, bo lewa strona barykady zapadła się, a przez wyłom wdarli się z impetem dwaj żołnierze. „Uwaga, uwaga!”, krzyknął i wypalił z rewolweru; strzelał, dopóki nie poczuł, że kurek na próżno uderza o iglicę. Żołnierze upadli, a kiedy przyskoczył do nich ze sztyletem w dłoni, dobijało ich już nożami trzech jaguncos, miotając wyzwiska i przekleństwa. Poszukał oczami Honoria i ucieszył się, widząc, że uśmiecha się doń cały i zdrowy. „Wszystko w porządku, kumie?”, zapytał, a brat skinął głową. Poszedł zobaczyć, co z Pedrinem. Żył, ale okazało się, że oprócz rany w plecach ma spalone obydwie ręce. Przeniósł go do przyległej izby i położył na kocach. Chłopiec miał twarz zupełnie mokrą. Był sierotą, którego on i Antonia przygarnęli wkrótce po osiedleniu się w Canudos. Słyszając nową strzelaninę, Antonio okrył go derką i odszedł ze słowami: „Zaraz wracam, Pedrin. Opatrzę ci rany”.

Na barykadzie jego brat strzelał ze zdobytego na żołnierzach karabinu, a wyłom został już naprawiony. Załadował rewolwer i usadowił się obok Honoria, który powiedział: „Właśnie przeszli, około trzydziestu”. Ogłuszająca strzelanina zacieśniała się wokół nich. Wypatrywał, co też się dzieje na zboczach Świętej Anny, i usłyszał głos Honoria: „Myślisz, że Antonia i Asuncióń przeżyją, kumie?”. Wtem, w błocie przed barykadą, dostrzegł żołnierza z karabinem i szablą w dłoni. „Potrzeba nam tej broni”, powiedział. Zrobili otwór i wypadł na ulicę. Gdy schylał się po strzelbę, żołnierz zamierzył się szablą. Bez wahania zatopił mu sztylet w brzuchu, przygniatając go całym swoim ciężarem. Ciało żołnierza wydało odgłos podobny do beknięcia, chrupnęło, zwiotczało i znieruchomiało. Kiedy zabierał sztylet, szablę, karabin i tornister, przypatrzył się poszarzałej, żółtawej twarzy, jakich wiele widywał u wieśniaków i pastuchów. Poczul przyływ goryczy. Honorio z kilkoma ludźmi rozbijał obok innego żołnierza. Wtem rozpoznał głos Joao Mnicha. Komendant Ulicy wyrósł jak spod ziemi. Przyszło z nim dwóch jaguncos. Wszyscy trzej uwalani byli krwią.

— Ilu was jest? — zapytał, dając znak, żeby przysunęli się do ściany domu.

— Dziewięciu - powiedział Antonio. — A w izbie leży Pedrin, ranny.

— Chodźcie — powiedział Joao Mnich, oglądając się za siebie. — Uważajcie, w domach siedzą żołnierze.

Lecz on sam nie uważał wcale: szedł wyprostowany, swoim szybkim krokiem, środkiem ulicy, a w drodze mówił im, że wojsko przypuściło zza rzeki atak na kościoły i cmentarz: trzeba czym prędzej zamknąć tę drogę, bo jeżeli żołnierze przedostaną się tamtędy, Naczyciel zostanie odcięty. Chciał przegrodzić Campo Grande barykadą na wysokości Męczenników, tuż za węglem kaplicy Świętego Antoniego. Od tego miejsca dzieliło ich jakieś trzysta metrów. Antonio zdumiał się na widok zniszczeń: szli wśród zburzonych, podziurawionych domów o zerwanych dachach, wśród rumowisk i gruzów, rozbitych dachówek, zwęglonych belek i trupów, w chmurze dymu i pyłu, który wszystko zacierał,

stapiał, rozmazywał. Tu i tam, niby kamienie milowe żołnierskiego pochodu, wysuwały się języki płomieni. Podszedłszy bliżej do Joao Mnicha, powtórzył mu słowa Catariny. Cangaceiro, nie odwracając się, skinął głową. U wylotu uliczki Marii Magdaleny wpadli nieoczekiwanie na patrol żołnierzy. Antonio zobaczył, że Joao wyskakuje w górę, biegnie i rzuca nożem w powietrze, jakby chciał popisać się celnością. Ruszył za nim, strzelając. Kule gwizdały wokół niego, po chwili potknął się i upadł na ziemię, o włos wymijając nastawiony bagnet, który spostrzegł w ostatnim ułamku sekundy, i pociągnął żołnierza za sobą w błoto. Przyjmował i zadawał ciosy, niepewny, czy wróg nie trzyma noża w dłoni. Nagle poczuł, że żołnierz się kuli. Joao Mnich pomógł mu wstać.

— Zabierzcie broń tym psom — rozkazał. — Bagnety, tornistry, kule.

Honorio pochylił się nad swoim pomocnikiem, Anastazjem, próbując go podnieść.

— To na nic, nie żyje — powstrzymał go Joao Mnich. — Odciągnij cie ciała, żeby zagrozić ulicę.

I pierwszy dał przykład, chwytając za nogi najbliższego trupa i ruszając w kierunku uliczki Męczenników. U wylotu grupka jaguncos zaczęła wznosić barykadę ze wszystkiego, co było pod ręką. Antonio Vilanova zaraz zabrał się do pracy. Słychać było pojedyncze strzały i karabinowe salwy, a wkrótce zjawił się jakiś chłopak z Gwardii Katolickiej, żeby powiedzieć Joao Mnichowi, który nosił z Antoniem koła od wozu, że heretycy znowu szturmują Świątynię Dobrego Jezusa. „Za mną, wszyscy!”, krzyknął Joao Mnich. Jaguncos pobiegli za nim. Wpadli na plac w tym samym czasie, gdy z cmentarza wysypali się żołnierze, prowadzeni przez młodego blondyna, który wywijał szablą i strzelał z rewolweru. Gęsty ogień z kaplicy, z wież i dachów nieukończonyj Świątyni odciął im drogę. „Dalej, za nimi!”, usłyszał Antonio ryk Joao Mnicha. Z kościołów wyległy dziesiątki mężczyzn, dołączając do pościgu. Zobaczył, jak Joao Wielki, olbrzymi, bosy, dopada Komendanta Ulicy i krzyczy coś do niego w biegu. Żołnierze okopali się na tyłach cmentarza, a jaguncos, wpadając pędem na ulicę Świętego Cypriana, zostali przyjęci gradem kul. Antonio rzucił się twarzą w błoto. „Zabiją go”, pomyślał na widok Joao Mnicha, który stał na środku ulicy i dawał znaki biegnącym za nim, żeby ukryli się w domach albo padli na ziemię. Potem podszedł do Antonia i rzekł, kucając obok:

— Wracaj ubezpieczać barykadę. Trzeba ich stąd wykurzyć, wy przemy ich prosto w ręce Pajeii. Leć, odetnij im odwrót.

Antonio skinął głową i w chwilę później biegł razem z Honorio i dziesięcioma innymi jaguncos do skrzyżowania Męczenników z Campo Grandę. Czuł, że oprzytomniał wreszcie, wyrwał się z otępienia. „Umiesz organizować — rzekł sobie. — A teraz tego im potrzeba, właśnie tego”. Kazał przenieść na barykadę trupy i gruz, i sam także pomagał, dopóki w bezładzie krzątający nie usłyszał krzyków ewnątrz jednego z domów. Wszedł pierwszy, rozwaliwszy ścianę kopniakiem, i strzelił w skulony w kącie mundur. Zdumiony pojął, że zabity przez niego żołnierz jadł: w ręku trzymał kawałek suszonego mięsa, wyciągnięty zapewne z paleniska. Obok, z bagnetem wbitym w brzuch, konał jakiś starzec, a trójka dzieci zanosila się od wrzasku. Musiał być tak głodny — pomyślał — że zapomniał o wszystkim i pozwolił się zabić za kęs suszonego mięsa”. Z oddziałem pięciu ludzi sprawdził domy, od wylotu ulicy do placu. Wszystkie wyglądały jak pobojuwisko: bałagan, dziurawe stropy, strzaskane ściany, pogruchtane sprzęty. Kobiety, dzieci, starcy, wszyscy uzbrojeni w kije, noże i widelce, oddychali z ulgą na ich widok albo wybuchali gwałtownym potokiem słów. W jakiejś chacie znaleźli dwa wiadra wody. Zanieśli je na barykadę: jaguncos pili z zachłanną radością.

Wspiąwszy się na barykadę, wyjrzał zza stosu rupieci i trupów: jedyna prosta ulica

Canudos, Campo Grande, świeciła pustkami. Po prawej strzelanina wznosiła się w płomieniach pożaru. „Ciężko im tam w Mocambo, kumie”, powiedział Honorio. Jego czerwoną twarz oblewał pot. Antonio uśmiechnął się. „Nie wyciągną nas stąd, co?”, powiedział. „Pewnie, że nie, kumie”, odrzekł Honorio. Usiadł na jakimś wózku i wrzucając w rewolwer resztki kul z ładownic opasujących mu brzuch, zobaczył, że jaguncos uzbroili się już w karabiny żołnierzy. Wygrywają tę wojnę. Przypomniawszy sobie o Sardelinianach, lam, na dole, na stokach Świętej Anny.

— Zostań tutaj i powiedz Joao, że poszedłem do Domów Zdrowia zobaczyć, co się dzieje — powiedział bratu.

Przeskoczył na drugą stronę barykady, deptając po trupach, napastowanych przez tysiące much. Czterech ludzi skoczyło za nim. Kto wam kazał iść?!, krzyknął. „Joao Mních”, powiedział jeden. Nie miał czasu na odpowiedź, bo na ulicy Świętego Piotra wpadli w sam środek strzelaniny: walczone w drzwiach, na dachach i we wnętrzu domów. Wrócili na Campo Grandę i tamtędy zeszli do Świętej Anny, nie napotkawszy żołnierzy. Ale na dole znowu strzelano. Ukryli się za węglem dymiącej chaty. Kupiec rozejrzył się: na wysokości Domu Zdrowia wzbijał się w niebo słup dymu; strzelano stamtąd. „Podejdę bliżej, czekajcie tutaj”, powiedział, ale spostrzegł, że jaguncos czołgają się razem z nim. Parę metrów dalej zobaczył pół tuzina żołnierzy: nie widzieli ich, strzelali w domy. Wstał i pobiegł ku nim ile sił w nogach, z palcem na spuście rewolweru, ale wystrzelił dopiero wtedy, gdy jeden z żołnierzy się obejrzał. Władował w niego sześć kul, a w drugiego, który rzucił się ku niemu, cisnął nożem. Padł na ziemię i zwałił z nóg tego samego albo jakiegoś innego żołnierza: nie wiedząc nawet kiedy, zacisnął palce na jego szyi. „Zabiłeś dwóch psów, Antonio”, powiedział jeden z jaguncos. „Karabiny, kule, zabierzcie”, odpowiedział. Otworzyły się drzwi, a z domów wychodzili grupkami ludzie, kaszląc, uśmiechając się, machając rękami. Wśród nich stała jego żona, Antonia, i żona Honorio, Asunción, a z tyłu Catarina, żona Joao Mnicha.

— Patrz. — Potrząsnął nim jakiś jagunco. — Patrz, jak zmykają do rzeki.

Na prawo i na lewo, przez najeżone dachami stoki Świętej Anny, biegli ludzie w mundurach, wdrapując się w pośpiechu na zbocze, inni skakali wprost do wody, ciskając za siebie karabiny. Ale on myślał o tym, że wkrótce będzie noc. „Bierzmy broń! — krzyknął z całych sił. — Dalej, chłopcy, nie rzuca się roboty w połowie!”. Wielu jaguncos ruszyło za nim w stronę rzeki. „Śmierć republice! Śmierć Antychrystowi! — zawołał ktoś głośno. — Niech żyje Nauczyciel! Niech żyje Dobry Jezus!”.

W tym śnie, który jest i nie jest, w pół śnie, pół jawie, kiedy zaciera się granica między czuwaniem a snem, co przypomina mu opiumowe noce w jego zagraconym mieszkaniu w Salwadorze, dziennikarz okularnik z „Jornal de Notfcias” ma wrażenie, że wcale nie spał, że przez całą noc mówił i słuchał, opowiadał tym istotom bez twarzy, dzielącym z nim catingę, głód i niepewność, że najgorsze dla niego nie jest wyczerpanie i niewiedza, co się wydarzy, gdy wstanie dzień, ale utrata skórzanej sakwy z plikiem zagryzmołonych papierów, troskliwie owiniętych w resztki bielizny. Pewien jest, że zwierzył im się z tego, co dotąd napawa go wstydem: że przed dwoma dniami, kiedy się skończył atrament i złamało się ostatnie gęsie pióro, wybuchnął płaczem, jakby umarł mu ktoś bliski. I pewien jest, ale jest to pewność mglista, oderwana, gąbczasta, niby świat zanurzony w oparach opium, że przez całą noc żuł bez wstrętu zioła, liście, gałązki, może nawet insekty, jakieś trudne do rozpoznania substancje, suche lub wilgotne, galaretowate lub twarde, które podawali sobie z ręki do ręki. I pewien jest, że wysłuchał tyluż intymnych zwierzeń, ile sam uczynił. Myśli: „Wszyscy boimy się straszliwie. Oprócz niej”.

Przyznał się do tego ojciec Joaquim, z którym służyli sobie nawzajem za poduszki: powiedział, że prawdziwy strach odkrył dopiero dzisiaj, kiedy przywiązany do drzewa czekał,

aż jakiś żołnierz poderżnie mu gardło. Słyszał strzały, widział marsze i kontrmarsze, wywózkę rannych. I ten strach nieskończenie przerastał wszystko, co przeżył do tej pory, nawet lęk przed Szatanem i piekłem. Opowiadając o tym, ksiądz wzdychał i co chwila błagał Boga o przebaczenie, że mówi takie rzeczy. Ale jeszcze bardziej boi się ten, którego ona nazwała Karzełkiem. Głosikiem równie koślawym, jak koślawe jest jego ciało, popłakiwał bez przerwy, bredząc o brodatych kobietach, Cyganach, siłaczach i człowieku bez kości, który potrafił składać się we czworo. Co to za karzełek? Jest jego matką? Co tu robi ta para? Jak to możliwe, żeby ona się nie bała? Co ją spotkało? Co może być gorszego od strachu? Bo dziennikarz okularnik wyczuł jakiś ton niszczący, rozdzierający, ostateczny, kiedy kobieta przerywanym szeptem mówiła nie o strachu przed śmiercią — mimo że tylko to miało jeszcze jakiś sens — ale o zawziętości kogoś, kto już nie żyje i leży teraz nie-pogrzebany, moknąc, marznąc, dziobany przez sępy i zżerany przez zwierzęta. Może jest obłąkana? Może przestała się bać, bo bała się tak bardzo, że straciła rozum?

Czuje, że ktoś nim potrząsa. Myśli: „Moje okulary”. Widzi jakąś zielonkawą jasność, jakieś ruchome cienie. Obmacuje się, szuka na ziemi wokół siebie i słyszy ojca Joaquim: „Proszę się obudzić, już świta, spróbujemy znaleźć drogę do Cumbe”. Znajduje je wreszcie między nogami. Są nietknięte. Przeciera szkła, wstaje, bełkocze: „Chodźmy, chodźmy”. Gdy nakłada okulary, świat przybiera wreszcie określone kształty; spostrzega Karzełka. Rzeczywiście jest malutki jak dziesięcioletnie dziecko, ale twarz ma pooraną zmarszczkami. Ktoś trzyma go za rękę. To ona: kobieta w nieokreślonym wieku, z rozpuszczonymi włosami, tak szczupła, że skóra zdaje się okrywać nagie kości. Oboje są ubłoceni i obdarci. Dziennikarz okularnik zastanawia się, czy on też sprawia wrażenie niechlujnego, opuszczonego, bezradnego, tak jak tych dwoje i krzepki księżulo, który już ruszył zdecydowanie w kierunku wschodzącego słońca.

„Jesteśmy po drugiej stronie Faveli — mówi ojciec Joaquim. — Tędy powinniśmy wyjść na ścieżkę do Bendengó. Oby Bóg dał, żeby nie było żołnierzy...”. „Ale będą”, myśli dziennikarz okularnik. Albo żołnierze, albo jaguncos. Myśli: „Jesteśmy niczym, nie jesteśmy ani tu, ani tam. Zabiją nas”. Idzie, zdziwiony, że nie czuje zmęczenia. Przed sobą widzi szczupłą sylwetkę kobiety i Karzełka, który podskakuje, żeby nie zostać w tyle. Idą długo, w milczeniu, nie zmieniając szyku. Jest świt, słyszą ptasie śpiewy, buczenie owadów i jakieś dźwięki niewyraźne, wielorakie, narastające: pojedyncze wystrzały, dzwony, lament trąbki, huk eksplozji, ludzkie głosy. Księżulo skręca, wygląda na to, że wie, gdzie idzie. Zarośla i kaktusy są coraz niższe, catinga rzednie, przechodząc w nagą stromiznę. Idą wzdłuż skalistej grzędy, która zasłania im widok z prawej strony. W pół godziny potem stają na szczycie. Dziennikarz okularnik słyszy okrzyk księdza i niemal jednocześnie odkrywa jego powód: tuż obok są żołnierze, a z tyłu, z przodu, po bokach — jaguncos. „Tysiące”, szepcze. Ma ochotę usiąść, zamknąć oczy, zapomnieć o wszystkim. Karzełek piszczy: „Juremo, popatrz, popatrz”. Ksiądz pada na kolana, kuli się, żeby go nie dostrzegli, a reszta idzie w jego ślady. „Akurat musieliśmy wpakować się w sam środek wojny”, szepcze Karzełek. „To nie wojna — myśli dziennikarz okularnik. — To ucieczka”. Widowisko u stóp wzgórza sprawia, że zapomina o strachu. A więc nie usłuchali majora Cunhi Matosa, nie wycofali się nocą, odchodzą dopiero teraz, jak chciał pułkownik Tamarindo.

Tłumy żołnierzy, wlokących wozy infirmerii, dźwigających nosze, kłębiących się bez ładu i składu, tam, na dnie kotliny, częściowo w zwartym szyku, częściowo w rozsypce, w oplakany stan, z karabinami zwisającymi byle jak albo służącymi im za laski i kule, w niczym nie przypominają 7. Pułku Moreiry Cesara, jaki utkwiał mu w pamięci: zdyscyplinowanej jednostki regularnej armii, lubującej się w wojskowej pompie. Pogrzebali go tam, na górze? Dźwigają go na noszach? Wrzucili jego ciało na wóz?

— Zawarli pokój? — szepcze ksiądz obok niego. — Albo rozejm? Myśl o zgodzie wydaje mu się niedorzeczna, ale istotnie na dole

dzieje się coś dziwnego: nikt nie walczy. A przecież żołnierze i jaguncos są blisko, z każdą chwilą bliżej. Krótkowzrocznymi, chciwymi oczami chłonie to widowisko nie do opisania, ściga wzrokiem grupki jaguncos o cudacznym wyglądzie, z głowami okutanyymi w chusty, uzbrojonych w strzelby, karabiny, kije, maczety, grabie, kusze, kamienie—wcielenie bezładu i zamętu, podobnie zresztą jak ci, których gonią, a raczej eskortują, odprowadzają.

— Czyżby żołnierze się poddali? — mówi ojciec Joaquim. — Wzięli ich do niewoli?

Jaguncos tłumnie schodzą w dół zbocza po obu stronach pijanego, zygzakowatego strumienia żołnierzy, zbliżają się, zaciskają pętlę. Ale nikt nie strzela. A przynajmniej nie ma kanonady i huku wczorajszego dnia, czasami tylko do ich uszu dociera odosobniony wystrzał, razem z echem obelg i wyzwisk, bo czymże innym są te strzepy głosów? Na tyłach kolumny niedobitków dziennikarz okularnik rozpoznaje nagle kapitana Salomao da Rocha na czele grupki maruderów, którzy chłoszczą bez miłosierdzia muły ciągnące cztery ciężkie działa. Na osamotniony oddział spadają z flanki jaguncos, odcinając go od reszty wojsk. Działa zatrzymują się, a dziennikarz okularnik pewien jest, że ten oficer z pistoletem i szablą, który chodzi wśród przypartych do armatnich zaprzęgów żołnierzy, najwidoczniej dodając im ducha i powtarzając rozkazy, w miarę jak szeregi jaguncos zwierają się wokół nich, to Salomao da Rocha. Wspomina jego modnie przycięty wąsik — towarzysze przezywali go Fircykiem — i manię gadania o nowościach zapowiadanych w katalogu Comblaina, o precyzji Kruppa i dział, którym nadał imię i nazwisko. Na widok małych pióropuszy dymu pojmuje, że strzelają do siebie z bliska, ale on, żadne z nich, nie słyszy wystrzałów, bo wiatr wieje w przeciwną stronę. „Przez cały czas strzelali, zabijali się, obrzucali wyzwiskami, tylko że my tego nie słyszeliśmy”, myśli i zaraz przestaje myśleć, bo fala jaguncos zalewa nagle żołnierzy i działa. Dziennikarz okularnik mruga, otwiera usta: widzi, że oficer z szablą przez kilka krótkich chwil wytrzymuje napór kijów, dzid, motyk, sierpów, maczet, bagnatów — Bóg wie zresztą, czym są te ciemne przedmioty — a potem niknie wraz z żołnierzami pod mrowiem napastników, którzy podskakują i prawdopodobnie krzyczą, chociaż nie może ich dosłyszeć. Słyszcy za to rzenie niewidocznych dla niego mułów.

Spostrzega, że na skalnej półce, z której oglądał wzięcie artylerii 7. Pułku i pewną śmierć żołnierzy, został zupełnie sam. Proboszcz z Cumbe biegnie w dół — dwadzieścia, może trzydzieści metrów poniżej — za nim kobieta i Karzelek. Biegną wprost na jaguncos. Wszystko w nim waha się. Jednak strach przed samotnością przeważa. Wstaje i pędem rzuca się w ich ślady. Potyka się, ślizga, pada, podnosi się, łapie równowagę. Jaguncos dostrzegli ich, wiele głów odwraca się, podnosi ku zbocz, po którym schodzi on, z uczuciem, że jest śmieszny, niezdarny, ofermowaty. Ksiądz z Cumbe, teraz dziesięć metrów na przedzie, mówi coś, krzyczy, wymachuje rękami, daje jaguncos jakieś znaki. Denuncjuje go, wydaje? Aby wkupić się w ich łaski, powie, że jest żołnierzem, a wtedy...? I znów toczy się po ziemi, w całej okazałości, widoczny jak na dłoni. Koziółkuje, turla się jak beczka, nie czując bólu ani wstydu, myśląc tylko o swoich okularach, które cudem trzymają się na nosie, aż wreszcie nieruchomieje. Próbuje wstać, ale jest tak poobijany, ogłuszony i przerażony, że nie daje rady i dopiero czyjeś ramiona dźwigają w górę jego bezwładne ciało. „Dziękuję”, szepcze i widzi ojca Joaquima poklepywanego, obejmowanego, całowanego po rękach przez jaguncos — roześmianych, zdziwionych, podnieconych. „Znają go — myśli — jeśli on ich poprosi, nie zabiją mnie”.

— To ja, to ja, Joao, we własnej osobie — mówi ojciec Joaquim do jakiegoś wysokiego, krzepkiego mężczyzny o spalonej słońcem skórze, ubłoconego, stojącego w gromadzie ludzi z naszyjnikami ładownic na piersiach. — To nie duch, nie zabili mnie,



uciekłem. Chcę wrócić do Cumbe, Joao Mnichu, muszę stąd odejść, pomóż mi...

— To niemożliwe, ojczy, niebezpieczne. Nie widzisz, że wszędzie strzelają? — mówi mężczyzna. — Idź do Belo Monte, poczekaj, aż woj na się skończy.

„Joao Mnich? — myśli dziennikarz okularnik. — Joao Mnich też jest w Canudos?”. Słyszy karabinową salwę, nagłą, głośną, wszechobecną, i krew ścina mu się w żyłach. „A ten czterooki zuch to kto?”, słyszy słowa Joao Mnicha, który pokazuje na niego. „Ach, ten! Pomógł mi uciec, nie jest żołnierzem, pisuje do gazet. A ta kobieta i ten...”. Strzelanina nie pozwala mu dokończyć zdania. „Wracaj do Belo Monte, ojczy, tam jest bezpieczniej”, mówi Joao Mnich, biegnąc jednocześnie w dół z boku na czele swoich jaguncos. Z ziemi dziennikarz okularnik dostrzega nagle w oddali pułkownika Tamarindo, który chwyta się za głowę pośrodku pierzchającej w popłochu gromady żołnierzy. Panuje totalny bałagan i zamęt: kolumna jest rozproszona, rozbita.

Żołnierze biegną na oślep, przerażeni, ścigani. Leżąc na ziemi z usta mi pełnymi piachu, dziennikarz okularnik widzi plamę ludzkich postaci, która rozmywa się, rozłazi, kłębi, sylwetki, które przewracają się i szamocą, a jego oczy raz i drugi wracają do miejsca, gdzie padł stary Tamarindo, i widzi pochylonych jaguncos — czyżby go dobijali? Ale zwlekają coś za długo, przykucnięci nad ciałem. Wreszcie, wyężdżając zażawione z wysiłku źrenice, dziennikarz okularnik dostrzega, że go rozbierają.

Czuje jakiś cierpki smak, zaczyna się dławić i nagle zdaje sobie sprawę, że machinalnie zuje piach, który wpadł mu do ust, kiedy rzucał się na ziemię. Spluwa, nie odrywając wzroku od gigantycznego obłoku kurzu wznieconego bezładną ucieczką żołnierzy. Biegają we wszystkie strony, jedni strzelają, inni ciskają — na ziemię, w powietrze — broń, skrzynie, nosze. Chociaż są już daleko, dostrzega, że w szalonym, ogłupiałym pędzie zrzucają z siebie czapki, kurtki, lederwerki, ładownice. Dlaczego rozbierają się sami, co to za obłęd? Na co patrzy? Domyśla się, że wyzbywają się wszystkiego, co może zdradzić, że są żołnierzami, chcą, by w zamieszaniu brano ich za jaguncos. Ojciec Joaąim wstaje i zaczyna biec. Ale w biegu znowu wyczynia dziwne rzeczy: kiwa głową, wymachuje rękami, woła, krzyczy coś do ścigających i ściganych. „Pakuje się prosto w strzelaninę, w sam środek rzezi”, myśli. Jego oczy spotykają się z oczami kobiety, która patrzy nań wystraszona, prosząc o radę. I wówczas, wiedziony nagłym impulsem, zrywa się z miejsca i krzyczy: „Musimy się go trzymać, tylko on nas może uratować!”. Jurema wstaje i biegnie, ciągnąc za sobą Karzełka, który z wyrazem obłędu na umazanej ziemi twarzy wrzeszczy, przebierając drobnymi stopami. Dziennikarz okularnik wkrótce traci ich z oczu, bo jego długi nogi, a może po prostu strach, dają mu przewagę. Biegnie — lek ki, przygięty, tułów podany do przodu, głowa wciśnięta w ramio' na — owładnięty hipnotyczną myślą, że jedna z tych kul, które syczą i gwizdzą, przeznaczona jest dla niego, że sam ku niej biegnie, że jeden z tych noży, sierpów, toporów, bagnetów, które przed nim majaczą, czyha, żeby położyć kres jego biegowi. Ale biegnie dalej przez chmury pyłu, widząc, gubiąc, odnajdując przysadzistą sylwetkę księdza z Cumbe, gnającego naprzód niby uskrzydłony wiatrak. I nagle traci go z oczu. Nienawidzi go w tej chwili, miota przekleństwa i myśli: „Gdzie go niesie, po co tak pędzi, dlaczego szuka swojej i naszej śmierci?”. Leci naprzód z wywieszonym językiem, łykając kurz, prawie na oślep, bo okulary pokryła warstwa pyłu, ale wciąż biegnie, chociaż brak mu tchu, chociaż słania się na nogach, Bo ta odrobina sił, jaka mu jeszcze została, mówi mu, że jego życie jest w rękach ojca Joaąima.

Kiedy pada na ziemię, kiedy zmęczenie lub kamień podcina mu nogi, odczuwa dziwny błogostan. Opiera głowę na ramionach, próbuje zaczerpnąć powietrza w płuca, słucha bicia swego serca. Lepiej umrzeć niż biec tak dalej. Stopniowo wraca do siebie, łomotanie w skroniach pomalu cichnie. Mdli go, chwytają go torsje, ale nie wymiotuje. Zdejmuje okulary,

przeciera je, zakłada. Dokoła jest pełno ludzi. Nie boi się już, nic go nie obchodzi. Zmęczenie wyzwoliło go od strachu, niepewności, wyobraźni. Zresztą nikt chyba nie zwraca na niego uwagi. Zbierają z ziemi karabiny, amunicję, bagnety, ale nie lylko. Wzrok nie myli go na pewno, od pierwszej chwili wie, że ci jaguncos, których widzi tutaj, tam i jeszcze dalej, obcinają maczetami głowy trupów, metodycznie jak w rzeźni, wrzucają je do worków, wloką za włosy, nabijają na lance i na te same bagnety, które były im przeznaczone, gdy tymczasem inni rozpalają ogniska, gdzie zaczynają płonąć, skwierczeć, pękać, skręcać się i przypiekać bezgłowe trupy. Jedno z ognisk jest tuż obok niego: widzi, że na dwa ciała, które już się smażą, jacyś ludzie okutani w niebieskie szmaty rzucają inne zwłoki. „Teraz moja kolej, myśli, przyjdą, obetną mi ją, zabiorą ją ze sobą na kiju, a moje ciało wrzucą do tego ogniska...”. Nadal jest senny, uodporniony na wszystko przez niezmiernie zmęczenie. Jaguncos rozmawiają, ale nie rozumie ich słów.

Wtem widzi ojca Joaquina. Tak, ojca Joaquina. Nie idzie, lecz nadchodzi, nie biegnie, lecz idzie, na szeroko rozstawionych nogach wynurza się z tumanu kurzu, który już zaczął łaskotać go w nozdrzach, Powtarza wciąż te same gesty, grymasy, znaki przeznaczone dla nikogo i dla wszystkich, nawet dla płonących w ogniu nieboszczyków. Idzie ubłocony, obdarty, potargany. Kiedy mija jego bezwładne ciało, dziennikarz okularnik wstaje i mówi: „Proszę nie odchodzić, proszę wziąć mnie ze sobą, proszę nie pozwolić, żeby obcięli mi głowę, proszę nie pozwolić, żeby mnie spalili...”. Czy ksiądz z Cumbe w ogóle go słyszy? Gada coś do siebie albo do jakichś niewidzialnych zjaw, powtarza nie zrozumiałe słowa, nieznane imiona, wymachuje rękami. Dziennikarz okularnik idzie tuż obok niego, czując, że ta bliskość przywraca mu życie. Po swojej prawej ręce spostrzega bosą kobietę i Karzełka. Wymi zerowani, uwalani ziemią, obdarci, wyglądają jak para lunatyków.

Nic z tego, co widzi i słyszy, nie dziwi go, nie przeraża, nie porusza. Czy to właśnie jest ekstaza? Myśli: „Nawet opium, tam, w Salwadorze...”. Po drodze widzi jaguncos wieszających na gałęziach faveli rozrzucone po obu stronach ścieżki czapki, bluzy, manierki, koce lederwerki, buty, jakby ubierali drzewko na Boże Narodzenie. Ale to także nic a nic go nie obchodzi. Nawet kiedy schodząc ku morzu dachów i gruzu Canudos, widzi po obu stronach ścieżki ułożone sze-regiem, oblepione przez owady, wpatrzona gdzieś przed siebie głowy żołnierzy, serce nie skacze mu w piersi, nie powracają majaki i lęki Nawet kiedy jakaś absurdalna postać, podobna do stracha na wróble zagradza im drogę, a on poznaje w tym nagim, tłustym kształcie nadzianym na suchą gałąź, ciało i twarz pułkownika Tamarindo, pozostaje niewzruszony. Ale po chwili staje jak wryty i ze spoko-jem, osiągniętym z takim trudem, zaczyna wpatrywać się badawczo w jedną z głów w aureoli rozszalałych much. Nie ma najmniejszej wątpliwości: to głowa Moreiry Cesara.

Kichnięcie zaskakuje go znienaćka, nie dając mu czasu na podniesienie rąk do twarzy i przytrzymanie okularów: wylatują niby wystrzelone z procy, a on, zgięty wpół pod nagłą salwą kichnięć, pewien jest, że słyszy odgłos szkła uderzającego o kamień. Kuca, maca wokół siebie. Znajduje je natychmiast. I dopiero teraz, gdy dotyka ich i czuje, że potłukły się w drobny mak, wraca doń koszmar z ostatniej nocy, z tego ranka, sprzed chwili.

— Stójcie, stójcie! — krzyczy, wkładając okulary, widząc świat w ka wałkach, spękany, rozbity na atomy. — Nic nie widzę! Błagam, stójcie!

Czuje w prawej dłoni czyjaś dłoń: w jej kształcie i uścisku poznaje rękę bosej kobiety. Ciągnie go, bez słowa, prowadząc w świat, nagle tak nieuchwytny i ślepy.

Kiedy Epaminondas Goncalves wszedł, po raz pierwszy w swoim życiu, do pałacu barona de Cañabrava, uderzyła go woń octu i aromatycznych ziół przesycająca pokoje, przez które wiódł go czarny sługa, przyświecając naftową latarnią. Wprowadził go do gabinetu zastawionego półkami pełnymi książek. Lampa z zielonego kryształu nadawała nieco leśny

wygląd biurku o wygiętych nóżkach, fotelom, komódkom i rzeźbionym stolikom. Epaminondas przyglądał się właśnie starej mapie, na której zdołał odczytać wypisaną szkarłatnymi literami nazwę Calumbi, kiedy wszedł baron. Chłodno podali sobie ręce, jak dalecy znajomi.

— Dziękuję, że pan przyszedł — powiedział baron, podsuwając mu krzesło. — Może byłoby lepiej odbyć tę rozmowę na neutralnym gruncie, pozwoliłem sobie jednak zaproponować panu mój dom, ponieważ moja małżonka niedomaga i wolę nie oddalać się na dłużej.

— Mam nadzieję, że wkrótce przyjdzie do zdrowia — odrzekł Epaminondas Goncalves, odsuwając pudełko cygar, które baron wyciągnął w jego stronę. — Cała Bahia chciałaby znowu ujrzeć ją zdrową i piękną jak zawsze.

Baron schudł i zestarzał się bardzo; wydawca „Jornal de Noticias” zastanawiał się, czy te zmarszczki i przygnębienie są dziełem lat, czy też ostatnich wydarzeń.

— Fizycznie Estela czuje się zupełnie dobrze, jej ciało odzyskuje siły — powiedział baron żywo. — Tylko duch wciąż cierpi nad pożarem Calumbi.

— To nieszczęście dotknęło wszystkich obywateli Bahii — mruknął Epaminondas. Podniósł wzrok, żeby nie stracić z oczu barona, który wstał i rozlewał koniak do kieliszków. — Oświadczyłem to w parlamencie i w „Jornal de Noticias”. Niszczenie posiadłości jest zbrodnią tak wobec sojuszników, jak i wrogów.

Baron skinął głową. Podał Epaminondasowi kieliszek i stuknę się w milczeniu. Epaminondas odstawił kieliszek na stolik, a baro obracał swój w dłoni, ogrzewając rudawy płyn.

— Pomyślałem, że dobrze byłoby porozmawiać — rzekł powoli. Wynik negocjacji między Partią Republikańską i Partią Autonomią zależy od tego, czy pan i ja dojdziemy do porozumienia.

— Uprzedzam, że nie zostałem upoważniony przez moich politycznych przyjaciół do prowadzenia rozmów dziś wieczorem — przerwał Epaminondas Goncalves.

— Niepotrzebne panu upoważnienia — uśmiechnął się baron drwiąco. — Mój drogi Epaminondasio, skończmy wreszcie z tym teatrem cieni. Szkoda czasu. Sytuacja jest poważna i pan o tym wie. W Rio, w Sao Paulo mnożą się napady na redakcje monarchistycznej prasy, linczuje się właścicieli. Damy zastawiają klejnoty i włosy, żeby nieść pomoc armii, która jest w drodze do Bahii. Wyłóżmy karty na stół. Nie możemy po-stąpić inaczej, chyba że chcemy popełnić polityczne samobójstwo.

Pociągnął łyk koniaku.

— Skoro pan żąda szczerości, wyznam, że gdyby nie to, co stało się z Moreirą Cesarem w Canudos, nie byłbym tutaj teraz, a nasze pan i ja nie rozpoczęłyby negocjacji — rzekł Epaminondas Goncalves.

— Co do tego obaj jesteśmy zgodni — powiedział baron. — Przypuszczam, że zgadzamy się również co do politycznych skutków, jakie będzie miała dla Bahii powszechna mobilizacja, ogłoszona przez rząd federalny w całym kraju.

— Nie wiem, czy patrzymy na to w ten sam sposób. — Epaminon— das wziął kieliszek, wypił, posmakował i dodał zimno: — Dla pana i pańskich przyjaciół to oczywiście koniec.

— Przynajmniej dla pana, Epaminondasio — odparł uprzejmie baron. — Nie

widzi pan tego? Wraz ze śmiercią Moreiry Cesara jakobini otrzymali śmiertelny cios. Utracili jedyną liczącą się osobistość, jedyne go człowieka, na którego mogli liczyć. Tak, przyjacielu, jaguncos wyświadczyli grzeczność prezydentowi Prudente de Morais i parlamentowi, temu rządowi „bakalarzy” i „kosmopolitów”, który panowie chcieliście obalić, żeby wprowadzić dyktaturę. Morais i pauliści posłużą się obecnym kryzysem, żeby administrację i armię oczyścić z jakobinów. Zawsze stanowiliście nieliczną garstkę, a teraz jesteście bez wodza. Pana także wymiotą przy okazji tej czystki. I dlatego tu pana wezwałem. Kiedy gigantyczna armia federalna wkroczy do Bahii, obaj znajdziemy się w tarapatkach. Rząd mianuje wojskowego i politycznego naczelnika na cały stan, kogoś z zaufanych Prudente de Morais, a nasze zgromadzenie utraci wszelkie wpływy, o ile nie zostanie zawieszony jako instytucja zupełnie zbędna. Organa władzy lokalnej będą w Bahii zniesione i staniemy się jeszcze jednym satelitą Rio. Wyobrażam sobie, że nawet przy całym pańskim oddaniu idei centralizmu, pańska ofiarność nie sięga tak daleko, by zgodził się pan na całkowite usunięcie z życia politycznego.

— Zapewne, jest to jakiś pogląd na sprawę — mruknął Epaminondas, niewzruszony.  
— Może mi pan zdradzić, w jaki sposób proponowany przez pana wspólny front zrównoważy zagrożenie?

— Nasza unia zmusi Moraisa do negocjacji, do paktowania z nami, i ocali Bahię od samowoli wojskowych kacyków — powiedział baron. — A panu da możliwość przejęcia władzy.

— W towarzystwie... — powiedział Epaminondas Goncalves.

— Nie, solo — sprostował baron. — Gubernatura należy do pana. Luis Viana nie zgłasza pretensji. Pan będzie naszym kandydatem. Przedstawimy wspólne listy do parlamentu i rad miejskich. Czy nie o to pan walczy od tylu lat?

Epaminondas Goncalves spurpurowiał. Co wywołało tak nagle uderzenie krwi: koniak, duchota, to, co usłyszał, czy to, co pomyślał! Dumał w milczeniu przez kilka chwil.

— I pańscy stronnicy godzą się na to? — zapytał wreszcie po cichu.

— Zgodzą się, kiedy zrozumieją, że tak właśnie powinni postąpić — powiedział baron.  
— Zobowiązuję się ich przekonać. Zadowolony?

— Muszę wiedzieć, czego pan zażąda w zamian — oświadczył Epaminondas Goncalves.

— Nietykalności majątków ziemskich i wolnego rynku w miastach — odparł bez wahania baron de Cañabrava. — Będziemy wspólnie walczyć z każdą próbą konfiskaty, wywłaszczenia, interwencjonizmu lub podwyższenia podatków od ziemi i handlu. To jedyny warunek.

Epaminondas Goncalves odetchnął głęboko, jakby zabrakło mu powietrza. Jednym haustem wychylił resztę koniaku.

— A pan, baronie?

— Ja? — mruknął baron, jakby mówił o kimś z zaświatów. — Ja wy-cofam się z polityki. Nie stanę panu na drodze. Zresztą, jak wiado-mo, wyjeżdżam w przyszłym tygodniu do Europy. I nie wiem, kiedy wrócę. Uspokaja to pana?

Epaminondas Goncalves nie odpowiedział: wstał i przeszedł kilka kroków po pokoju, z rękami założonymi z tyłu. Baron milczał. Wydawca „Jornal de Noticias” nie usiłował ukrywać, że miotają nim sprzeczne uczucia. Był poważny, przygnębiony, a w jego oczach oprócz zwykłej mu kipiącej energii, odbijał się niepokój i rozterka.

— Nie jestem dzieckiem, chociaż brak mi pańskiego doświadczenia — powiedział, patrząc wyzywająco na pana domu. — Wiem, że pan mnie oszukuje, że w pańskiej propozycji tkwi jakiś podstęp.

Baron skinął głową, nie okazując najmniejszej irytacji. Wstał, żeby dolać koniaku do pustych kieliszków.

— Rozumiem pańską nieufność — powiedział z kieliszkiem w ręku i, przeszedłszy przez pokój, stanął przy oknie wychodzącym na ogród. Otworzył je: podmuch ciepłego powietrza wpadł do gabinetu razem z hałaśliwą muzyką świerszczy i dalekiej gitary. — To naturalne. Ale żadnego podstępu nie ma, zapewniam. Prawda jest taka, że w obecnym stanie rzeczy doszedłem do przekonania, iż jedynym człowiekiem obdarzonym zaletami koniecznymi do kierowania polityką bahii jest pan.

— Czy mam to rozumieć jako komplement? — zapytał cierpko Epaminondas Goncalves.

— Sądzę, że skończył się pewien styl, pewien sposób uprawiania polityki — uściślił baron, jakby nie słyszał pytania. — Przyznaję, że tacy jak ja wyszli z mody. Funkcjonowałem sprawnie w starym systemie, kiedy chodziło o utrzymanie ludzi w posłuchu wobec instytucji władzy, kiedy istotą rządzenia były negocjacje, perswazja, dyplomacja, przestrzeganie form. Radziłem sobie całkiem nieźle. Ale oczywiście to już przeszłość. Teraz nadszedł czas działania, śmiałych posunięć, przemocy, nawet zbrodni. Drogi polityki i moralności rozeszły się. W tym stanie rzeczy osobą najlepiej predysponowaną do utrzymania porządku w Bahii jest pan.

— Podejrzewałem, że nie zamierza mnie pan chwalić — mruknął Epaminondas Goncalves, siadając.

Baron zajął miejsce obok niego. Razem z gadaniem świerszczy do pokoju wdzierał się turkot powozów, piosenka nocnego stróża, poszczekiwanie psa.

— W pewnym sensie pana podziwiam. — Baron spojrzał nań z przelotnym błyskiem źrenic. — Miałem okazję docenić pańską śmiałość, misterność i chłód politycznych poczynań. Tak, w całej Bahii nie ma człowieka, który jak pan potrafiłby stawić czoło nadchodzącej epoce.

— Powie mi pan wreszcie, czego pan ode mnie chce? — powiedział przywódca Partii Republikańskiej. W jego głosie zabrzmiał dramatyczny ton.

— Chcę, żeby pan zajął moje miejsce — oświadczył baron z naciskiem. — Czy rozproszę pańską nieufność, jeśli powiem, że czuję się przez pana pokonany? Nie w faktach, bo my wciąż mamy więcej możliwości od pańskich jakobinów, żeby porozumieć się z Moraisem i paulistami z rządu federalnego. Ale pan wygrał wojnę psychologiczną. — Wypił łyk koniaku, odwrócił wzrok. — Zaszły wydarzenia, o jakich nigdy by mi się nie śniło — rzekł sam do siebie. — Doborowy pułk pokonany przez bandę fanatycznych żebraków. Któż to pojmie? Wielki strateg wojskowy rozbity w pył w pierwszym starciu...

— Rzeczywiście, to trudno pojąć — przyznał Epaminondas Goncalves. — Widziałem się dziś po południu z majorem Cunha Matosem. Prawda jest dużo gorsza od oficjalnych komunikatów. Czy pan jest zorientowany w liczbach? Są niewiarygodne: straty dochodzą do trzystu, czterystu poległych, trzecia część całej jednostki. Dziesiątki zmasakrowanych oficerów. Stracili całe uzbrojenie, od armat po bagnety. Niedobitki przedzierają się do Monte Santo: goli, w samych kalesonach, bredzą jak w malignie. 7. Pułk! Pan był blisko, w Calumbi, pan ich widział. Co tam się wyprawia, baronie?

— Nie wiem, nie rozumiem — odparł baron, zasepiony. — To prze-rasta wszelkie moje wyobrażenia. A przecież sądziłem, że znam tę ziemię, tych ludzi. Takiej klęski nie da się już wyjaśnić fanatyzmem paru głodomorów. W tym jest coś więcej. — Obrzucił Goncalvesa nieobecny spojrzeniem. — Doszło do tego, iż zacząłem myśleć, że ta fantastyczna bujda o angielskich oficerach i karabinach monarchistów, roztrąbiona przez was na cały kraj, może mieć w sobie cień prawdy. Nie, zostawmy tę sprawę, to stara historia. Mówię o tym żeby zobaczył pan, do jakiego stopnia zdumiewa mnie to, co się stało z Moreirą Cesarem.

— Mnie to raczej przeraża — powiedział Epaminondas. — Skoro ci ludzie mogą zetrzeć na miazgę doborowy pułk regularnej armii, mogą też rozszerzyć anarchię na cały stan, na stany sąsiednie, dojść aż tutaj...

Wzruszył ramionami w bezradnym geście katastrofisty.

— Wyjaśnienie jest tylko jedno: do bandy sebastianistów przyłączyły się tysiące wieśniaków, nawet z innych prowincji — powiedział baron. Wiedzeni ignorancją, zabobonem, głodem. Bo nie istnieją już hamulce, które mitygowałyby szaleństwo, jak dawniej. A to oznacza wojnę, armię panoszącą się po całym stanie, ruinę Bahii. — Chwycił Epaminondasa Goncalvesa za ramię. — Dlatego pan musi zająć moje miejsce. W tej sytuacji tylko ktoś taki jak pan zjednoczy wszystkich wartościowych obywateli, żeby w oku cyklonu bronić interesów Bahii. Reszta kraju ma do nas żal o Moreirę Cesara. Mówię o tej hołocie, która napadała na gazety monarchistów w Rio, wrzeszcząc „Śmierć Bahii!”.

Milczał dłuższą chwilę, nerwowo kołyszając kieliszkiem koniaku.

— Wiele majątków popadło w ruinę, tam, w interiorze — odezwał się znów. — Ja sam straciłem dwie fazendy. Wojna domowa zniszczy i zabije wielu ludzi. Jeśli wciąż będziemy tępić się nawzajem, jaki odniesiemy skutek? Stracimy wszystko. Wzrośnie exodus na południe i do Maranhao. Co się stanie z Bahią? Trzeba zawrzeć pokój, Epa-minondasie. Proszę zapomnieć o jakobińskiej przesadzie, niech pan da spokój tym biednym Portugalczykom, zaniecha żądań nacjonalizacji handlu i myśli praktycznie. Jakobinizm umarł razem z Moreirą Cesarem. Niech pan przyjmie gubernaturę i brońmy razem, w tej ogólnej rzezi, cywilnego porządku. Nie pozwólmy, żeby republika przeistoczyła się, jak w tyłu krajach naszej Ameryki, w groteskowy sabat, chaos, koszarową farsę, korupcję, demagogię...

Dobłą chwilę milczeli z kieliszkami w rękę, myśląc lub nasłuchując. Czasami w głębi domu rozlegały się kroki, głosy. Jakiś zegar wybił dziewięć uderzeń.

— Jestem wdzięczny za zaproszenie — powiedział Epaminondas, wstając. — Wszystko, co pan mówił, przemyślę starannie. Teraz nie mogę udzielić żadnej odpowiedzi.

— Tak, naturalnie — odrzekł baron, powstawszy również. — Proszę to rozważyć, a potem porozmawiamy. Oczywiście, chciałbym zobaczyć się z panem przed wyjazdem.

— Dam odpowiedź pojutrze — powiedział Epaminondas, idąc ku drzwiom.

Kiedy szli przez pokoje, zjawił się czarny sługa z latarnią. Baron odprowadził Epaminondasa aż na ulicę. W bramie zapytał:

— Czy miał pan wiadomość od swojego korespondenta, tego, który był z Moreirą Cesarem?

— Tego dziwaka? — zapytał Epaminondas. — Nie, nie pojawił się u mnie. Przypuszczam, że zginął. Jak pan wie, nie był człowiekiem czynu.

Wymienili pożegnalne ukłony.

## CZTERY

### *Rozdział I*

Kiedy służący powiedział, kto o niego pyta, baron de Cañabrava, zamiast kazać odprawić intruza, jak innych, którzy stukali do drzwi jego domu, zbiegł z pośpiechem po schodach, minął obszerne pokoje rozświetlone porannym słońcem i wyszedł aż do bramy, żeby sprawdzić, czy się nie przesłyszał; tak, to on, we własnej osobie. Bez słowa podał mu rękę i zaprosił do środka. W jednym nagłym błysku pamięci powróciło doń wszystko, o czym od miesięcy usiłował zapomnieć: płonące Calum-bi, Canudos, choroba Esteli, odejście z politycznej sceny Bahii.

W milczeniu, przewyciężając zaskoczenie wywołane wizytą i nagłym wskrzeszeniem przeszłości, wprowadził przybysza do gabinetu, gdzie zwykle omawiał wszystkie ważne sprawy. Mimo wczesnej pory było gorąco. W oddali, ponad konarami ogrodowych krotonów, mangowców, fikusów, drzew guajawy i pitangi, słońce polerowało stalową taflę morza. Baron zaciągnął zasłony i pokój pogrzyżył się w półmroku.

— Przypuszczałem, że pan się zdziwi — zabrzmiał znajomy operetkowy dyszkantik. — Dowiedziałem się, że powrócił już pan z Europy, i w pierwszym odruchu... Zresztą, powiem wprost. Szukam pracy.

— Proszę, niech pan spocznie — powiedział baron. Słyszał go jak przez sen: nie zwracając uwagi na słowa, przypatrywał mu się z zaciekawieniem i porównywał z tamtym strachem na wróble, którego widział ostatnim razem, jak wczesnym rankiem odjeżdżał z Gumbi wraz z pułkownikiem Moreirą Cesarem i jego świtą. „Ten są i nie ten sam”, pomyślał. Bo dziennikarz zatrudniony w „Diario de Bahia”, a potem w „Jornal de Noticias”, był młodzieńcem, a ten mężczyzna w masywnych okularach, który siadając, zdawał się giąć, składać we dwoje, we czworo, był starcem. Twarz poźłobiły mu głębokie bruzdy, skronie przyprószyła siwizna, ciało miał słabowite i wątłe. Koszulę nosił rozpiętą, kamizelkę zatłuszczoną lub wyświeconą ze starości, spodnie poprute na szwach, bucior jak u pastucha.

— Tak, teraz sobie przypominam — powiedział baron. — Pisali mi, że pan żyje. Dowiedziałem się o tym w Europie. „Widmo z zaświatów”. Tak mi napisali. Mimo to miałem pana za zmarłego, zaginionego.

— A ja nie umarłem ani nie zaginałem — odezwał się bez śladu rozbawienia nosowy głosik. — Co dzień w kółko słyszałem to samo co pan przed chwilą powiedział, aż wreszcie pojąłem, że ludzie czują się zawiedzeni, że wciąż jeszcze chodzę po świecie.

— Jeżeli mam być szczerzy, guzik mnie obchodzi, czy pan żyje, czy nie — usłyszał własne słowa, zdumiony ich szorstkim tonem. — Może bym nawet wolał, żeby pan nie żył. Nienawidzę wszystkiego, co mi przypomina o Canudos.

— Wiem, mówiono mi o pańskiej żonie — rzekł dziennikarz okularnik; baron czekał na nieuniknioną gafę. — Postradała rozum, to dla pana wielki cios.

Pod jego spojrzeniem gość zamilkł, spłoszony. Odchrząknął, zamrugał, zdjął okulary i zaczął przecierać szkła rogiem koszuli. Baron poczuł zadowolenie, że zdołał się opanować i nie wyrzucił go za drzwi.

— Teraz wszystko zaczyna się na nowo — powiedział uprzejmie. — Dostałem list od Epaminondasa Goncalvesa, parę miesięcy temu. Od niego wiem, że wrócił pan do Salwadoru.

— Koresponduje pan z tym łajdakiem? — zadzwieczał nosowy głosik. — Ach,

prawda, panowie są teraz sprzymierzeńcami.

— Wyraża się pan w taki sposób o gubernatorze Bahii? — Baron uśmiechnął się. — Nie przyjął pana do „Jornal de Noticias”?

— Owszem, nawet zaproponował podwyżkę — odparował dziennikarz okularnik. — Pod warunkiem, że zapomnę o Canudos.

Zaśmiał się skrzekliwym głosem egzotycznego ptaka, a baron obserwował, jak ten śmiech zmienia się w zawieruchę kichnięć, które Wstrząsają fotelem.

— To znaczy, że Canudos zrobiło z pana uczciwego dziennikarza — powiedział z rozbawieniem. — To znaczy, że pan się zmienił. Ho mój sprzymierzeniec, Epaminondas, jest taki sam jak zawsze, nie zmienił się ani trochę.

Odczekał, aż dziennikarz wysmarka się w niebieską szmatę wyszarpiętą z głębi kieszeni.

— W swoim liście Epaminondas pisał, że pojawił się pan w towa-i /ystwie jakiegoś dziwnego osobnika. Jakiegoś karzełka czy coś W tym stylu?

— To mój przyjaciel — wyjaśnił dziennikarz okularnik. — Mam wobec niego dług wdzięczności. Ocalił mi życie. Chce pan wiedzieć jak? Opowieściami o Karolu Wielkim, Dwunastu Parach Francji i Królowie Magalonie. Straszliwą i Pouczającą Historią Roberta Diabła.

Mówił prędko, zacierał ręce, wiercił się w fotelu. Baronowi przypomniał się profesor Thales de Azevedo, uczony, który przed laty bawił u niego w Calumbf i godzinami przysłuchiwał się jarmarczynom truwerom: kazał sobie dyktować słowa śpiewnie recytowanych tekstów i zapewniał, że są to średniowieczne romance, przywiezione i u przez pierwszych Portugalczyków i przechowane w tradycjach sertonu. Wreszcie spostrzegł niepokój gościa.

— Jeszcze da się go uratować — dotarły doń jego słowa, błaganie w rozbieganych oczach. — Jest gruźlikiem, ale można go operować. Doktor Magalhaes ze Szpitala Portugalskiego wielu ludziom ocalił życie. Chcę to dla niego zrobić. Dlatego szukam pracy, między innymi. Ale przede wszystkim... musimy coś jeść.

Baron spostrzegł jego zażenowanie, tak jakby przyznał się do czegoś podłego, nikczemnego.

— A dlaczego ja miałbym pomagać jakiemuś karzełkowi — mruknął. — Albo panu?

— Nie ma żadnego powodu, zapewne — odparł natychmiast okularnik, wyłamując sobie palce. — Po prostu postanowiłem spróbować szczęścia. Myślałem, że mógłbym pana wzruszyć. Dawniej miał pan opinię hojnego.

— To był tylko taki chwyt polityczny — powiedział baron. — Teraz już tego nie potrzebuję. Wycofałem się z polityki.

Wtem, przez okno wychodzące na ogród, zobaczył kameleona, Rzadko udawało mu się dojrzeć to zwierzątko, a raczej odróżnić je od kamieni, trawy, krzewów i gałązek, do których tak się upodabniało, że raz o mało co go nie nadepnął. Poprzedniego dnia wieczorem razem z Sebastianą wyprowadził Estelę do ogrodu, żeby zażyła ochłody w cieniu mangowców i figusów. Kameleon był wspaniałą rozrywką dla baronowej, która bujając się w wiklinowym fotelu, zabawiała się poka zywaniami zwierzątko i rozpoznawała je, z tą samą łatwością co niegdyś, na tle kory lub traw. Baron i Sebastiana widzieli, jak uśmiecha się na widok uciekającego kameleona, kiedy podchodzili, żeby sprawdzić, czy to na pewno on. A



teraz siedział tam, u stóp mangowca, zielonobrazowy, migotliwy, z drgającym wolem, ledwo widoczny na tle trawy. Baron przemówił doń w myślach: „Kochane, płochliwe zwierzątko, mój niezawodny przyjacielu, dziękuję ci, dziękuję za uśmiech mojej żony”.

— Mam tylko to, co na sobie — powiedział dziennikarz okularnik. — Kiedy wróciłem z Canudos, okazało się, że właścicielka domu wystawiła na licytację wszystkie moje rzeczy, żeby odebrać należność za komorne. „Jornal de Noticias” nie chciał pokryć kosztów. — Po chwili dodał: — Sprzedała moje książki. Czasami widuję niektóre z nich na straganach w Santa Barbara.

Baron pomyślał, że utrata książek musiała bardzo zboleć człowieka, który dziesięć czy dwanaście lat temu oświadczył mu, że pewnego dnia stanie się brazylijskim Oscarem Wilde em.

— Dobrze — powiedział. — Przyjmę pana do „Diario de Bahia”. Poza wszystkim, był pan niezłym redaktorem.

Dziennikarz zdjął okulary i skinął głową kilka razy, blady, niezdolny do innych podziękowań. „Czy to ważne? — pomyślał baron. — I tak nie robię tego dla niego ani dla jego karzelka. Zrobię to dla kameleona”. Popatrzył przez okno, szukając wzrokiem zwierzątka i poczuł zawód: już go nie było, a może czując, że jest obserwowane, wtopiło się w barwy ogrodu.

— Panicznie boi się śmierci — powiedział cicho dziennikarz, wkładając z powrotem okulary. — To nie jest umiłowanie życia, proszę mnie zrozumieć. Życie miał niewesołe. W dzieciństwie został sprzedany do wędrownego cyrku, pokazywali go publicznie jako wybryk natury. Ale jego strach przed śmiercią jest tak ogromny, tak niewiarygodny, że dzięki niemu przeżył. A przy okazji i ja.

Baron pożałował nagle, że dał mu posadę, bo stwarzało to między nimi pewną więź. A on nie chciał żadnych więzi z człowiekiem, który tak bardzo łączył się ze wspomnieniem Canudos. Ale zamiast dać mu do zrozumienia, że rozmowa jest skończona, odezwał się mimo woli:

— Widział pan straszne rzeczy. — Odchrząknął, zły na siebie, że uległ ciekawości, a jednak dodał: — Tam, w Canudos.

— Tak naprawdę to nie widziałem nic — odrzekła prędko szkieletowata postać, zginając się w pół i prostując. — W tym samym dniu, w którym rozgromili 7. Pułk, stłukły mi się okulary. Przez cztery miesiące widziałem tylko cienie, bryły, widma.

W jego głosie było tyle ironii, że baron zaczął się zastanawiać, czy gość chce go rozdrażnić, czy też może w ten szorstki, odpychający sposób daje mu do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

— No, dlaczego pan się nie śmieje — usłyszał ostry, prowokacyjny głos. — Przecież wszyscy się śmieją, kiedy mówię, że nie widziałem, co się działo w Canudos, bo potłukły mi się okulary. To takie zabawne.

— Owszem, zabawne — przyznał baron, wstając. — Ale ten temat mnie nie interesuje. Tak więc...

— Ale chociaż nic nie widziałem, za to czułem, słyszałem, dotykałem tamtych zdarzeń — powiedział dziennikarz, śledząc go spoza szkieł. — A resztę odgadłem.

Baron zobaczył, że znów się śmieje, tym razem jakoś szelmowsko patrząc mu wyzywająco w oczy. Usiadł z powrotem.

— Naprawdę przyszedł pan tylko po to, żeby prosić mnie o posadę i opowiadać mi o jakimś karzełku? — zapytał. — A czy ten schorowany karzełek w ogóle istnieje?

— Pluje krwią, a ja muszę mu pomóc — powiedział gość. — Ale przyszedłem również z innego powodu.

Pochylił głowę, a baron, patrząc w gęstwę potarganych, szpakowatych włosów oproszonych łupieżem, zobaczył w wyobraźni wbite w podłogę wodniste oczy. Powziął fantastyczne podejrzenie, że ten człowiek ma dla niego wiadomość od Galileo Galla.

— Ludzie z wolna zapominają o Canudos — rzekł dziennikarz okularnik głosem dalekim jak echo. — Ostatnie wspomnienie tych wydarzeń ulotni się wraz z eterem i muzyką nadchodzącego karnawału, — Canudos? — mruknął baron. — Epaminondas ma słuszość, kiedy nie chce, żeby mówiono o tej sprawie. Zapomnijmy o niej, tak będzie najlepiej. To tylko nieszczęsny epizod; mętny, niejasny. To na nic. Historia powinna być pouczająca, przykładowa. W tej wojnie nikt nic okrył się chwałą. I nikt nie rozumie tego, co zaszło. Ludzie postanowili spuścić na wszystko zasłonę milczenia. Bardzo mądrze. I zdrowo.

— Nie pozwolę im zapomnieć — powiedział dziennikarz, wlepiwszy w niego spojrzenie spłoszone, lecz stanowcze. — Przyrzekłem to sobie

Baron uśmiechnął się. Nie z powodu nagłego patosu tych słów, ale dlatego, że kameleon właśnie się zmateriałizował, tam, za oknem, w lśniącej zieleni ogrodowej trawy, wśród wężlastych gałęzi pitangi.

Podłużny, nieruchomy, zielonkawy, zwieńczony ostrym grzebieniem, niemal przezroczysty, połyskiwał niby drogocenny kamień. „Witaj, przyjacielu”, pomyślał.

— W jaki sposób? — powiedział, żeby przerwać ciszę.

— W jedyny, w jaki można coś utrwalic — usłyszał mrukliwy głos. — Opiszę to.

— Ach tak, pamiętam — przytaknął baron. — Pan chciał zostać po etą, dramatopisarzem. Zamierza pan opisać historię Canudos, które go pan nie widział?

„Cóż zawinił ten biedak, że Estela nie jest już tą rozumną, błyskotliwą kobietą co niegdyś?”, pomyślał.

— Kiedy wreszcie pozbyłem się natrętów, poszedłem do czytelnicy w Instytucie Historii — powiedział okularnik. — Przerzuciłem sterty czasopism, wszystkie wzmianki o Canudos w „Jornal de Noticias”, „Diario de Bahia”, „O Republicano”. Przeczytałem wszystko, co napisano, co sam pisałem. To... trudno wyrazić. Jest zbyt irrealne, wie pan? Wygląda na jakąś powszechną zмовę, totalne nieporozumienie.

— Nie rozumiem. — Baron zapomniał o kameleonie, zapomniał nawet o Esteli i przyglądał się zaintrygowany temu człowiekowi: skulony w fotelu, z podbródkiem dotykającym kolan, wyglądał, jakby siedział na nocniku.

— Krwiożercza horda, fanatycy, mordercy, kanibale z sertonu, degeneraci, potwory w ludzkiej skórze, wyrzutki społeczeństwa, łajdacy, szaleńcy, dzieciobójcy, zdeprawowani do szpiku kości — wyrecytował gość, skandując każdą sylabę. — Część z tych epitetów wyszła spod mojego pióra. Nie tylko tak pisałem, ja w to naprawdę wierzyłem.

— Chce pan zostać piewą Canudos? — spytał baron. — Zawsze mi się wydawało, że jest pan trochę stuknięty. Ale nie uwierzę, że jest pan stuknięty do tego stopnia, żeby mnie prosić o pomoc. Wie pan przecież, jaką cenę zapłaciłem za Canudos? Przez Canudos straciłem pół majątku, przez Canudos dotknęła mnie największa życiowa klęska, Estela...

Poczuł, że głos mu drży; zamilkł. Zerknął w okno, szukając pomocy. I znalazł ją: był

tam, nieruchomy, piękny, prehistoryczny wieczny, w pół drogi między królestwem roślin i zwierząt, spokojny w blasku poranka.

— Ale tego od nas oczekiwano, wszyscy myśleliśmy tak samo — powiedział dziennikarz, jakby go nie słyszał. — A teraz nagle milczenie. Czy słyszy się o Canudos w kawiarniach przy ulicy Chile, na targowiskach, w knajpach? Słyszy się o sierotkach rozdzielonych przez dyrektora Przytułku Świętej Rity. Albo o antytrypanolowych pigułkach doktora Silvy Limy, albo o ostatniej przesyłce rosyjskiego mydła i angielskiego obuwia dla Domów Handlowych Clarks. — Spojrzał baronowi prosto w oczy, a ów dostrzegł w krótkowzrocznych źrenicach furię i popłoch. — Ostatnia wiadomość o Canudos ukazała się w prasie dwanaście dni temu. Wie pan jaka?

— Odkąd porzuciłem politykę, nie czytuję gazet — powiedział baron. — Nawet mojej własnej.

— Zamieścili wzmiankę, że do Rio de Janeiro powróciła komisja wysłana przez Stołeczny Klub Spirytystów, żeby siłami nadprzyrodzonymi wesprzeć siły porządkowe w dobijaniu resztek jaguncos. No więc wrócili do Rio na statku „Rio Vermelho”, razem ze swoimi stolikami na trzech nogach, szklanymi kulami i tak dalej. Od tamtej pory ani linijki. A przecież nie minęły nawet trzy miesiące.

— Nie chcę tego dłużej słuchać — powiedział baron. — Już panu mówiłem, że temat Canudos jest dla mnie zbyt bolesny.

— Muszę wiedzieć wszystko, co pan wie — przerwał dziennikarz przed-kim, konspiracyjnym szeptem. — A pan wie sporo, wysyłał im pan mąkę i bydło. Utrzymywał pan z nimi kontakty, rozmawiał pan z Pajeu.

Szantażysta? Przyszedł tu grozić, wyłudzić pieniądze? Baron poczuł się zawiedziony, że za tą całą zagadkową gadaniną kryją się sprawy tak wulgarne.

— Naprawdę prosiłaś Antonia Vilanovę, żeby mi to powtórzył? — mówi Joao Mnich, wymykając się fali ciepła, w którym pograżają go szczupłe palce Catariny, gdy zanurzają się w jego włosach, zajęte iskaniem gnid.

— Nie wiem, co ci powtórzył Antonio Vilanova — odpowiada Catarina, pochłonięta przeczesywaniem jego głowy.

„Jest zadowolona”, myśli Joao Mnich. Zna ją tak dobrze, że odgaduje jej nastrój z iskerek w brunatnych oczach, ze skrywanego drżenia głosu. Wie, iż ludzie mówią, że Catarina jest śmiertelnie smutna, bo nikt nie widział, żeby się śmiała, a niewielu słyszało, żeby coś mówiła. Po co wyprowadzać ich z błędu? On przecież widział, jak się śmieje, i słyszał, jak mówi, chociaż zawsze robi to jakby ukradkiem.

— Że jeżeli ja pójde do piekła, ty pójdziesz ze mną — szepcze.

Palce kobiety nieruchomieją, tak samo jak wówczas, gdy napotykają zagnieżdżoną we włosach wesz, zanim rozgniotą ją paznokciami. Po chwili wracają do przerwanej pracy, a on znów pograża się w błogostanie: jak wspaniale wylegiwać się tak bez butów, bez koszuli, na drewnianej pryczy w maleńkim, skleconym z desek i gliny domku przy ulicy Dzieciątka Jezus, obok żony, która iska go, klęcząc za plecami. Joao ubolewa nad ludzką ślepotą. Bez zbędnych słów Catarina i on mówią sobie więcej niż najbardziej gadatliwe kumoszki z Canudos. Jest późny ranek, przez szpary w drzwiach i dziury w niebieskiej szmacie zasłaniającej jedyne okno do izby wpada słońce. Z zewnątrz dochodzą strzępy rozmów, tupot dzieciarni, odgłosy codziennej krzątania, jakby na świecie panował pokój, a przecież tak niedawno zginęło tylu ludzi, że Canudos przez cały tydzień grzebało swoich zmarłych i

wywlekało za miasto ciała żołnierzy, sępom na pożarcie.

— To prawda — szepcze Catarina, jej oddech laskocze go w ucho. — Jeżeli pójdziesz do piekła, pójdę za tobą.

Joao wyciąga ramię, obejmuje ją w pół i sadza sobie na kolanach, otyka jej zawsze z wielką delikatnością, bo jej przeraźliwa chudość, może jego własne wyrzuty sumienia sprawiają, że ciągle drży, by jej nie skrzywdzić; nie może pozbyć się myśli, że zaraz będzie musiał ją puścić, że znów napotka ten opór, który pojawia się zawsze, nawet wtedy kiedy próbuje wziąć ją za rękę. Wie, że fizyczne zbliżenie jest dla niej nie do zniesienia i nauczył się ją szanować, gwałcąc siebie samego, bo tak bardzo ją kocha. Chociaż już tyle lat przeżyli razem, rzadko kochali się ze sobą, przynajmniej do końca, myśli Joao Mnich, bez tych przerw, po których zostaje pełen niedosytu, sapiący, spocony, z roztrzepotaniem sercem. Ale tego ranka, ku jego zdziwieniu, Catarina nie odpycha go. Przeciwnie, tuli się do niego. Czuje, jak jej kruche ciało o wystających żebrach, prawie pozbawione piersi, przywiera do jego ciała.

— Wtedy, w Domu Zdrowia, bałam się o ciebie — mówi Catarina. — Kiedy opatrywałyśmy rannych, kiedy widziałyśmy, jak żołnierze biegną, strzelają i rzucają pochodnie. Bałam się. O ciebie.

Jej słowom brak żaru, namiętności; są chłodne, jakby mówiła o kimś obcym. Ale Joao Mnich czuje głębokie wzruszenie i nagłą żądzę. Jego ręka wślizguje się pod fartuch Catariny i pieści jej plecy, brzuch, drobne piersi, a jego pozbawione przednich zębów usta wędrują po jej szyi, po policzku, szukają jej ust. Catarina pozwala się pocałować, ale zaciska wargi i sztywnieje, kiedy próbuje przewrócić ją na pryczę. Puszczą ją natychmiast, oddycha głęboko, zamyka oczy. Catarina wstaje, poprawia fartuch, owija głowę niebieską chustką, która spadła na ziemię. Strop jest tak niski, że Joao nie może się wyprostować, siedzi schylony w kącie, gdzie leżą skromne zapasy: suszone mięso, tapioka, fasola, rapadura. Patrzy, jak Catarina przygotowuje jedzenie, i liczy, ile dni — a może tygodni — nie zaznał szczęścia, żeby być z nią sam na sam, zapomnieć o wojnie, o Antychryście.!

Po krótkiej chwili Catarina siada obok na pryczy, z miską pełną fasoli z maniakiem. W rękę trzyma drewnianą łyżkę. Jedzą na zmianę, dwa lub trzy kęsy jego za każdy jej kęs.

— Czy to prawda, że Belo Monte uratowali przed Rzeźnikiem In— dianie z Mirandeli? — szepcze Catarina. — Joaquim Macambira tak mówił.

— I czarni z Mocambo, i wielu innych — mówi Joao Mnich. — Ale Indianie rzeczywiście bili się dzielnie. Nie mieli karabinów ani strzelb.

Nie chcieli nic, przez zwykły kaprys, przesady, nieufność czy co tam jeszcze było. On sam, bracia Vilanova, Pedro, Joao Wielki, Macambira wiele razy proponowali im broń palną, amunicję, dynamit. Kacyk potrząsał tylko energicznie głową, zasłaniając się rękami, jakby ze wstrętem. Na krótko przed nadejściem Rzeźnika, Joao zaofiarował się, że nauczy ich, jak się ładuje i czyści broń, jak się strzela z fuzji i karabinu. Odpowiedź brzmiała — nie. Doszedł do wniosku, że Kariri i tym razem nie będą walczyć. Nie chcieli bić się z psami pod Uaua i Cambaio; nawet nie wyjrżeli ze swoich szałasów, jakby ta wojna nie była także ich wojną. „Z tamtej strony Belo Monte jest bezbronne — powiedział Joao Mnich — prosimy Dobrego Jezusa, żeby nie próbowali przejść tamtędy”. Ale spróbowali. „Jedyne miejsce, gdzie nie zdołali się przebić”, myśli Joao Mnich. A powstrzymali ich swoimi łukami, strzałami, dzidami i nożami ci śniadzi, posepni, dalecy, niepojęci ludzie. Może to cud? Szukając wzrokiem oczu żony, Joao pyta:

— Pamiętasz, jak pierwszy raz weszliśmy do Mirandeli razem z Na— uczyicielem?

Przytakuje. Skończyli jeść. Catarina zabiera miskę i łyżkę do kąta od piecem. Potem Joao widzi, że podchodzi do niego — szczuplutka, poważna, bosa, głową zawadzając o zakopcony sufit— i kładzie się przy nim na pryczy. Obejmuje jej plecy ramieniem i układa ją wygodnie. Leżą cicho, słuchając bliskich i dalekich odgłosów Canudos. Mogą tak leżeć godzinami i są to może najgłębsze chwile ich wspólnego życia.

— Wtedy nienawidziłam cię tak samo, jak ty nienawidziłeś Custodii — szepcze Catarina.

Mirandela, wioska Indian przygarniętych w XVIII wieku przez kapucynów z misji Massacara, była dziwną enklawą w sertonie Canudos, oddzieloną od Pombal czterema milami piaszczystej ziemi porośniętej gęstą, kolczastą catingą, miejscami nieprzebytą, o powietrzu tak rozpalonym, że usta pękały od żaru, a skóra wysychała na pergamin. Osada Indian Kariri, wzniesiona na szczycie góry pośrodku tej dzikiej krainy, od niepamiętnych czasów była sceną krwawych sporów, czasami przeradzających się w rzeź Indian i okolicznych białych osadników, walczących o prawo do najżyźniejszych gruntów. Indianie żyli stłoczeni w krytych strzechą chatach o drzwiach i oknach pomalowanych na niebiesko. Te nędzne siedziby rozrzucone były bezładnie wokół kościoła Wniebowstąpienia Pańskiego, kamiennej budowli sprzed dwóch stuleci, stojącej na zastępującym rynek placu ubitej ziemi, którego jedyną ozdobę stanowiło kilka samotnych palm kokosowych i drewniany krzyż. Biali siedzieli po okolicznych fazendach. Sąsiedztwo to nie było zgodnym współistnieniem, ale milczącą wojną, wybuchającą okresowo we wzajemnych najazdach potyczkach, rabunkach i zabójstwach. Indian z Mirandeli było kilkuset, chodzili półnaczy, mówili tubylczym językiem, pomagając sobie spluwaniem, a polowali zatrutymi strzałami i oszczepem. Byli to ludzie posępni i ubodzy, obwarowani koliskiem szałasów krytych liśćmi icó i poletek kukurydzy, a żyli w takiej nędzy, że bandy cangaceiros i oddziały lotnej żandarmerii omijały Mirandelę z daleka. Wrócili do pogaństwa. Od lat już ojcowie kapucyni i lazaryści nie odprawiali w wiosce nabożeństw, zaledwie bowiem zjawiali się misjonarze, Indianie zabierali swoje kobiety i dzieci i znikali w catindze, a zrezygnowani księża poprzestawali na mszy dla białych osadników Joao Mnich nie pamięta, kiedy Nauczyciel postanowił udać się do Mirandeli. W jego pamięci czas pielgrzymki nie wykreśla prostej linii z jakimś przedtem i jakimś potem; zatacza koło, powtarzając wciąż te same dni i noce. Ale Joao pamięta, jak to było. Po odbudowaniu kaplicy w Pombal Nauczyciel podążył pewnego ranka na północ łańcuchem ostrych, zwartych wzgórz, które prowadziły prosto do owej indiańskiej twierdzy, gdzie niedawno dokonano masakry białych. nikt nie rzekł słowa, nikt bowiem nigdy nie wypytywał o jego zamiary.

Ale podczas znojnego marszu, kiedy słońce zdawało się przewiercać im na wylot czaszki, wielu pomyślało, tak jak Joao Mnich, że u celu zastaną opustoszałą wioskę albo grad zatrutych strzał.

Nie zdarzyło się ani jedno, ani drugie. O zmierzchu pielgrzymi wspięli się na górę i procesją weszli do osady, śpiewając na chwałę Maryi. Indianie przyjęli ich bez lęku, bez wrogości, z udawaną obojętnością. Patrzyli, jak rozkładają się na placu przed ich szałasami, rozpalają ogień i siadają dokoła ciasnym kręgiem. Potem patrzyli, jak wchodzi do kościoła Wniebowstąpienia Pańskiego i odprawiają Drogę Krzyżową, a jeszcze później, ze swoich chat, zagród i poletek, ludzie z nacięciami na twarzach pomalowanych w biało-zielone pasy słuchali wieczornych nauk Nauczyciela. Słuchali, jak mówi o bólu Maryi i o Duchu Świętym, który jest wolnością, jak wychwala cnoty wstrzeźliwości, ubóstwa i wyrzeczenia, jak tłumaczy, że każde cierpienie poświęcone Bogu przemienia się w nagrodę w przyszłym życiu. Potem słuchali, jak pielgrzymi Dobrego Jezusa odmawiają różaniec do Jego Matki. A następnego ranka, cały czas z daleka, cały czas bez uśmiechu i przyjaznych gestów, patrzyli,

jak odchodzą drogą obok cmentarza, gdzie zatrzymali się, żeby uprzątnąć groby i skosić wysoką trawę.

— To Ojciec natchnął Nauczyciela, żeby poszedł wtedy do Mirandeli — mówi Joao Mnich. — Posiał ziarno, a ono wydało plon. Catarina nie mówi nic, ale Joao wie, że też wspomina zadziwiające wkroczenie do Belo Monte ponad setki Indian, którzy przyciągnęli tu ze swoim dobytkiem, kobietami, dziećmi i niesionymi na marach starcami, drogą z Bendengó. Przeszły lata, ale nikt nie wątpił, że przybycie tych półnagich, wymalowanych ludzi było odwzajemnieniem wizyty Nauczyciela. Kariri weszli do Canudos — był z nimi pewien biały z Mirandeli, Antonio Pirotechnik — jakby wchodzili do własnego domu, i osiedlili się na placu sąsiadującym z Mocambo, który wskazał im Antonio Vilanova. Tam postawili swoje szałas i skopali ziemię pod małe poletka. Przychodzili słuchać nauk, porozumiewali się łamaną portugalszczyzną z resztą pielgrzymów, ale tworzyli zupełnie odrębny świat. Nauczyciel chadzał do nich w odwiedziny, a oni witali go, przytupując w rytmie swych dziwacznych tańców. Chadzali tam też bracia Vilanova, z którymi Indianie handlowali swoimi wyrobami. Joao Mnich zawsze myślał o nich jak o obcych. Ale teraz już nie. Bo w dniu napaści Rzeźnika widział, jak stawili opór natarciom piechoty, które trzykrotnie — dwa od strony Vassa Barris, a trzecie od szlaku na Geremoabo — spadły prosto na ich siedlisko. Kiedy z dwudziestką ludzi z Gwardii Katolickiej przybył wzmocnić ten odcinek, stanął zdumiony liczbą napastników i zażartym oporem Indian, którzy razili ich strzałami z dachów i rzucali się na nich z kamiennymi siekierami, procami i oszczepami. Kariri, ciasno zwarci, walczyli z napastnikami pierś w pierś, a ich kobiety skakały na żołnierzy z dachów, gryzły i drapały, wrywały im karabiny i bagnety, wykrzykując jakieś przekleństwa i zaklęcia. Co najmniej jedna trzecia Indian poległa lub odniosła rany w tej bitwie.

Stukanie do drzwi wrywa Joao z zamyślenia. Catarina odsuwa umocowaną drutem deskę: do izby, razem z kłębami kurzu, światłem dnia i hałasem ulicy wpada jeden z synów Honoria Vilanovy.

— Stryj Antonio prosi do siebie Komendanta Ulicy — mówi.

— Powiedz, że już idę — odpowiada Joao Mnich.

Takie szczęście nie mogło trwać długo, myśli, i z twarzy żony poznaje, że ona myśli to samo. Wkłada samodzielowe spodnie wzmocnione skórą, alpargaty, koszulę i wychodzi. Jaskrawy blask południa oślepia go. Jak zwykle, dzieci, kobiety i starcy wygrzewający się w drzwiach domów witają go, a on macha im ręką na pożegnanie. Mija siedzące kołem kobiety, które tłuką ziarna kukurydzy w moździerzach, mija mężczyzn, którzy rozmawiają głośno, wznosząc na miejscu zwalonych ścian trzciny szkielety i wypełniając je garściami gliny. I wie, choć tego nie może już widzieć, że w tej samej chwili, na brzegu Vassa Barris, przy drodze do Geremoabo, setki ludzi orzą ziemię, sprzątaję ogrody i podwórza. Gruzy prawie zupełnie zniknęły z ulic, większość spalonych chat znów stoi na dawnym miejscu. „To Antonio Vilanova”, myśli. Jeszcze nie skończyła się w Belo Monte dziękczynna procesja za zwycięstwo nad heretyckimi wojskami, a już Antonio Vilanova stanął na czele ochotników i ludzi z Gwardii Katolickiej, organizując grzebanie zmarłych, usuwanie ruin, odbudowę chałup i warsztatów, poszukiwanie spłoszonych owiec i kóz. „Ale nie tylko on — myśli Joao Mnich. — Ludzie dają z siebie wszystko, jak w walce”. Widzi ich. Są spokojni, witają go, uśmiechają się, wieczorem zaś pospieszają do Świątyni Dobrego Jezusa, żeby słuchać Nauczyciela, jakby nic się nie stało. A przecież w każdej rodzinie zginął ktoś na wojnie od kuli, bagnetu lub ognia, a wśród rannych jęczących z bólu w Domach Zdrowia i kościółku Świętego Antoniego, zamienionym teraz w infirmerię, każdy z nich ma swoich bliskich.

Raptem coś go zatrzymuje. Zamyka oczy, żeby lepiej słyszeć. Nie, nie myli się, to nie złudzenie. Głos, monotony, czysty, melodyjny, nie cichnie. Z głębi pamięci Joao wytryska

strumień, który wzbiera, zamienia się w rwącą rzekę, wreszcie zastyga w oddział rycerzy z mieczami, blask pałaców i przepych komnat. „Oliwier walczy z Fierabra-sem”, myśli. Ze wszystkich opowieści o Dwunastu Parach Francji najbardziej urzeka go historia tego pojedynku, tak dawno przezeń niesłyszana. Głos truvera dochodzi ze skrzyżowania Campo Grande i uliczki Ducha Świętego, gdzie ciśnie się tłum ludzi. Podchodzi; poznają go, robią mu przejście. Przed nim stoi mały chłopiec i śpiewa o uwięzieniu Oliwiera i jego pojedynku z Fierabrasem. Nie, nie chłopiec: karzełek. Małeńki, wychudzony, udaje, że uderza w struny gitary, naśladuje grzechot włóczni, galop jeźdźców, dworne ukłony składane przed Karolem Wielkim. Na ziemi, trzymając między nogami blaszaną puszkę, siedzi kobieta o długich włosach, a obok jakaś postać koścista, pokraczna, utyłana ziemią, z oczami ślepeca. Poznaje ich: przyszli razem z ojcem Joaąimem; Antonio Vilanova pozwala im spać w sklepie. Wyciąga rękę i dotyka małego człowieczka, który milknie natychmiast.

— Znasz Straszliwą i Pouczającą Historię Roberta Diabła? — pyta. Karzełek po chwili wahania przytakuje.

— Chętnie bym jej kiedyś posłuchał — uspokaja go były cangaceiro. I rusza biegiem, żeby nadrobić stracony czas. Na Campo Grande widzi wyrwy po pociskach, fasadę dawnego dworu podziurawiły kule.

— Niech będzie pochwalony Dobry Jezus — mamrocze Joao Mnich, siadając na beczce obok Pajerii. Z twarzy caboclo trudno coś wyczytać, za to Antonio i Honorio Vilanova, stary Macambira, Joao Wielki i Pedro patrzą ponuro. Na środku stoi ojciec Joaąim, uwalany kurzem od stóp do głów, zarośnięty, potargany.

— Dowiedziałeś się czegoś w Joazeiro, ojcze? — pyta Komendant Ulicy. — Idzie więcej żołnierzy?

— Zgodnie ze swoją obietnicą, ojciec Maksymilian przyjechał z Queimadas i przywiózł mi pełną listę — chrypi ojciec Joaąim. Wyciąga z kieszeni jakiś papier i czyta, zasapany: — Pierwsza Brygada: Siódmy, Czternasty i Trzeci Batalion Piechoty pod komendą pułkownika Joaauima Manuela de Medeiros. Druga Brygada: Szesnasty, Dwudziesty Piąty i Dwudziesty Siódmy Batalion Piechoty pod komendą pułkownika Ignacia Marii Gouvei. Trzecia Brygada: Piąty Pułk Artylerii oraz Piąty i Dziewiąty Batalion Piechoty pod dowództwem pułkownika Olimpia de Silveira. Dowódca dywizji: generał Joao da Silva Barboza. Dowódca ekspedycji: generał Artur Oscar.

Kończy czytać i patrzy na Joao Mnicha, wyczerpany i osłupiały.

— Ile to będzie w żołnierzach, ojcze? — pyta były cangaceiro.

— Około pięciu tysięcy, tak mi się zdaje — bełkocze księżulo. — Ale to tylko ci, którzy są w Queimadas i Monte Santo. Z północy, przez Sergipe, idzie jeszcze więcej. — Czyta dalej, drżącym głosem: — Kolumna pod dowództwem generała Claudia de Amaral Savagety, trzy brygady: Czwarta, Piąta i Szósta, złożone z Dwunastego, Trzydziestego Pierwszego i Trzydziestego Trzeciego Batalionu Piechoty, dywizji artylerii i Trzydziestego Czwartego, Trzydziestego Piątego, Czterdziestego, Pięćdziesiątego Szóstego, Trzydziestego Drugiego Batalionu i jeszcze jednej dywizji artylerii. Kolejne cztery tysiące ludzi, mniej więcej. Wysiedli w Aracaju i idą w stronę Geremoabo. Ojciec Maksymilian nie zdobył nazwisk dowódców. Powiedziałem mu, że to nieważne. Nieważne, prawda, Joao?

— Jasne, że nie, ojcze Joaąimie — mówi Joao Mnich. — I tak ojciec zdobył sporo informacji. Bóg to księdzu wynagrodzi.

— Ojciec Maksymilian to dobry chrześcijanin — mruczy księżulo. — Wyznał mi, że bardzo się boi. Powiedziałem mu, że ja boję się jeszcze bardziej. — Wybuchą wymuszonym

śmiechem i zaraz dodaje: — Mówił mi, że w Queimadas mają sporo kłopotów. Za dużo gąb do jedzenia. Nie rozwiązali sprawy transportu. Nie mają wozów i zaprzęgów. Za dużo ich jest. Mówi, że zejdą całe tygodnie, zanim wyruszą.

Joao Mnich kiwa głową. Nikt się nie odzywa. Wszyscy zdają się zajęci brzęczeniem much i akrobacjami osy, która w końcu siada na kolanie Joao Wielkiego. Murzyn przytyka palcem, żeby ją przegonić. Joao Mnich zatęsknił nagle za paplaniną papugi braci Vilanova.

— Widziałem się też z doktorem Aguilarem de Nascimento — do daje ojciec Joaquim. — Kazał wam powiedzieć, że jedyne, co wam pozostaje, to rozesłać ludzi z powrotem do domów, zanim wymie cie ich stąd żelazna miotła. — Przerzywa, zerka bojaźliwie na siedmiu mężczyzn, którzy wpatrują się weń z szacunkiem i skupieniem. — Ale jeżeli pomimo wszystko chcecie się zmierzyć z żołnierzami, to oczy wiście ma coś dla was.

Schyla głowę, jakby zmęczenie lub strach nie pozwalały mu powiedzieć więcej.

— Sto karabinów Comblaina i dwadzieścia pięć skrzynek amuni cji — mówi Antonio Vilanova. — Nieużywane, prosto z wojskowych magazynów, w fabrycznym opakowaniu. Można je przewieźć przez Uaua i Bendengó, droga jest wolna. — Poci się obficie, ociera czoło. — Ale w całym Canudos nie ma tylu skór ani wołów, ani kóz, żebyśmy mogli zapłacić, ile żąda.

— Jest srebro i złoto — mówi Joao Mnich, czytając z oczu kupca to, co ten na pewno już powiedział albo pomyślał przed jego przyjściem.

— Są własnością Najświętszej Pani i Jej Syna — szepcze ojciec Joaquim ledwo słyszalnym głosem. — Nie boicie się świętokradztwa?

— Nauczyciel będzie wiedział, co robić, ojcie — mówi Joao Mnich. — Jego spytajmy.

„Zawsze można bać się bardziej”, pomyślał dziennikarz okularnik. Wielką nauką tych dni bez godzin, postaci bez twarzy, światła za mgłą, którą jego oczy starały się przebić, aż powieki piekły go z wysiłku i musiał je przymykać, żeby na chwilę znów zanurzyć się w ciemnościach, w rozpaczy bez dna, było odkrycie własnego tchórzostwa. Co powiedzieliby na to koledzy z „Jornal de Noticias”, z „Diario de Bahia”, z „O Republicano”? Miał wśród nich opinię odważnego, bo wciąż szukał nowych wrażeń: jako jeden z pierwszych uczestniczył w candomble w zakazanych uliczkach i zapadłych wioskach, w czasach, kiedy religijne praktyki czarnych budziły w białych z Bahii odrazę i lęk; był stałym gościem czarowników i czarownic i jako jeden z pierwszych zaczął palić opium. To skłonność do awanturnictwa sprawiła, że wybrał się do Joazeiro, żeby zrobić wywiad z niedobitkami ekspedycji porucznika Piresa Ferreiry i że sam zaproponował Epaminondasowi Goncalvesowi, że będzie towarzyszył pułkowi Moreiry Cesara. „Jestem największym tchórzem na świecie”, pomyślał. Karzelek wciąż wyliczał dole, niedole i dworności Oliwiera i Fierabrasa. Dziennikarz okularnik patrzył na rozmazane, nieruchome kształty, w których nie potrafił rozpoznać mężczyzn ani kobiet, zasłuchanych, oderwanych od swojego miejsca i czasu. Jak to możliwe, że tutaj, na końcu świata, słyszy opowieść o Rycerzach Okrągłego Stołu przywiezioną przed laty w podróźnej sakwie jakiegoś żeglarza lub bakalarza z Coimbry, a teraz recytowaną przez karzełka, który na pewno nie umie czytać? Jakże jeszcze niespodzianki czekają go na tej ziemi?

Poczuł skurecz w żołądku i pomyślał, czy w zamian za ten występ dostaną coś do jedzenia. Było to kolejne odkrycie tych pouczających dni: troska o jedzenie może pochłonąć bez reszty, zniewolić świadomość na długie godziny, stać się źródłem trwogi większym niż ślepotą, w jakiej pograżyło go rozbicie okularów, sprawiające, że wciąż wpada na wszystkich



i na wszystko, a ciało ma posiniaczone od obijania się o kanty tych nieokreślonych przedmiotów, które wchodzą mu w drogę, co zmusza go do ciągłych przeprosin, do ciągłego powtarzania nic nie widzę, bardzo mi przykro, żeby upредить wybuch spodziewanego gniewu.

Karzelek przerwał i oświadczył, że aby kontynuować opowieść — w wyobraźni widział, jak stroi błagalne miny — jego ciało domaga się wsparcia. Wszystkie organy dziennikarza przystąpiły do działania. Prawa ręka wyciągnęła się w stronę Juremy i dotknęła jej. Robił tak wiele razy w ciągu dnia, zawsze kiedy działo się coś nowego, bo właśnie w obliczu tego, co nowe i nieprzewidziane, jego strach — wciąż obecny, wciąż przyuczony — odyskiwał nad nim władzę. Było to tylko szybkie muśnięcie, które podtrzymywało go na duchu, bo ta kobieta była jego jedyną nadzieją teraz, kiedy ojciec Joaquim stał się nieosiągalny. Opiekowała się nim, koła jego rozpacz. I on, i Karzelek byli dla niej tylko ciężarem. Dlaczego nie odejdzie, dlaczego ich nie zostawi? Wielkoduszność? Nie, raczej lenistwo, ta straszliwa apatia, w jakiej zdaje się pogrążona. Ale Karzelek swoimi błazeństwami zdobywał przynajmniej tę szczyptę kukurydzianej mąki albo parę kawałków suszonego mięsa, które trzymały ich przy życiu. Tylko on jest zupełnie bezużyteczny i ona pozbędzie się go prędzej czy później.

Karzelek, po kilku żartach, z których nikt się nie śmiał, podjął opowieść o Oliwierze. Dziennikarz okularnik przeczuł dłoń Juremy i natychmiast rozwarł palce. Błyskawicznie podniósł do ust coś, co wydawało się kawałkiem czerstwego chleba. Przeżuwał zawzięcie, zachłannie, całą swoją istotą skupioną na papce rozmiękającej mu w ustach; przełykał z trudem, pełen szczęścia. Pomyślał: „Jeśli przeżyję, znenawidzę ją, będę przeklinał nawet kwiaty, które noszą jej imię”. Bo Jurema znała otchłań jego tchórzostwa, wiedziała, do czego mogło go pchnąć. Żując, niespieszny, chciwy, szczęśliwy, wystraszony, wspominał swoją pierwszą noc w Canudos: jak wyczerpany do cna, na nogach z waty, na wpół ślepy, potykał się i upadał, ogłuszony wiwatami na cześć Nauczyciela, gdy nagle porwał go ze sobą żywioł woni, świecących, oleistych punktów i gwar litanii. A potem, równie nagle, wszystko ucichło. „To on, to Nauczyciel”. Jego ręka tak mocno ścisnęła tamtą dłoń, której nie puścił przez cały dzień, że kobieta powiedziała: „Puszczaj, puść mnie”. Później, kiedy ochrypli głos umilkł, a ludzie zaczęli się rozchodzić, wszyscy troje położyli się na opustoszałym placu. U wejścia do Canudos zgubili w tłumie księdza z Cumbe. W swoim kazaniu Nauczyciel dziękował Niebu za to, że powróciło go, wskrzesiło, a dziennikarz okularnik domyślił się, że ojciec Joaquim stoi tam, u boku świętego, na jakiejś trybunie, podium albo wieży, skąd dochodzi głos mówcy. Poza wszystkim Moreira Cesar miał rację: ten ksiądz był jagunco, był jednym z nich. To wtedy okularnik wybuchnął płaczem. Szlochał jak nigdy dotąd, nawet w dzieciństwie, i błagał tę kobietę, żeby pomogła mu wydostać się z Canudos. Obiecował jej stroje, dom, wszystko, co zechce, byle tylko nie zostawiła go, na wpół ślepego, na wpół żywego z głodu. Tak, ona wie, że strach zrobił z niego śmiecia, zdolnego do wszystkiego, żeby wzbudzić litość.

Karzelek skończył. Dziennikarz okularnik usłyszał oklaski i publiczność zaczęła się rozchodzić. W napięciu próbował dostrzec, czy nie wyciąga się jakaś dłoń, czy coś im dają, ale miał rozpaczliwe wrażenie, że nikt nie podchodzi w ich stronę.

— Nic? — szepnął, kiedy poczuł, że są sami.

— Nic — odparła kobieta ze zwykłą obojętnością i wstała. Dziennikarz okularnik podniósł się także, a spostrzegłszy, że ona — wydłużo na figurka, której rozpuszczone włosy i suknię w strzępach zapamiętał sobie dobrze — odchodzi, poszedł za nią. Karzelek, sięgający mu głową do łokcia, dreptał obok.

— Są jeszcze bardziej wychudzeni od nas — usłyszał jego szept. — Pamiętasz Cipo,

Juremo? Tutaj się widzi jeszcze więcej kalek. Czy wi działaś naraz tylu bezręcznych, ślepych, paralityków, albinosów, tylu lu dzi bez nosów, bez uszu, bez włosów, pokrytych strupami i liszajami? Nawet tego nie zauważyłaś. A ja tak. Bo tutaj czuję się normalny.

Roześmiał się radośnie; dziennikarz okularnik usłyszał, że pogwizduje jakąś skoczną melodyjkę.

— Czy dzisiaj też nam dadzą tapioki? — zapytał nagle z niepokojem. Ale myślał o czym innym, bo dodał z goryczą: — Jeśli to prawda, że ojciec Joaquim wyjechał, nie został już nikt, kto by mógł nam pomóc. Dlaczego nam to zrobił, dlaczego nas zostawił?

— A dlaczego nie miałyby nas zostawić? — powiedział Karzelek. — Co go z nami łączy? Zna nas czy co? Niech pan się cieszy, że dzięki niemu mamy dach nad głową.

To prawda, już im pomógł, dzięki niemu mają dach nad głową. Któż, jeśli nie ojciec Joaquim, sprawił, że nazajutrz, kiedy po przespanej pod gołym niebem nocy bolały ich wszystkie kości, jakiś tubalny, władczy głos, który zdawał się należeć do tamtego zwalistego ciała, do tamtej zarośniętej twarzy, powiedział do nich:

— Chodźcie, możecie spać w sklepie. Ale nie opuszczajcie Belo Monte.

Czyżby byli więźniami? Ani on, ani Jurema, ani Karzelek nie pytali o nic tamtego mężczyzny o rozkazującym głosie, który jednym prostym zdaniem zorganizował im życie. Bez słowa zaprowadził ich do jakiejś izby, wielkiej, ciemnej, dusznej i zatłoczonej, a zanim odszedł, nie sprawdzając, kim są ani co tu robią, ani co mają zamiar robić, powtórzył, że nie wolno im opuszczać Canudos, i kazał uważać na broń. Karzelek i Jurema powiedzieli, że wszędzie dokoła pełno jest karabinów, prochu, moździerzy, nabojów. Domyślił się, że to broń zdobyta na 7. Pułku. Czy to nie absurd, że będą spać tutaj, na wojennych łupach? Nie, świat stracił wszelką logikę i dlatego nic już nie jest absurdem. Takie jest życie: trzeba je brać, jakie jest, albo od razu ze sobą skończyć.

Myślał tak, bo tutaj nic nie podlegało władzy rozumu, a wszystkimi sprawami, ludźmi, czasem, śmiercią rządziło coś, co niesłusznie byłoby nazwać obłędem, a zbyt ogólnie wiarą lub przesądem. Zrozumiał to tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy słuchał Nauczyciela, wtopiony w tłum, który na dźwięk głębokiego, donośnego, dziwnie bezosobowego głosu zastygł w kamiennym bezruchu, w namacalnej ciszy. Bardziej niż słowa, bardziej niż majestatyczny głos tego człowieka uderzył go, ogłuszył, zalał ten bezruch i ta cisza. To było jak... było jak... Szukał rozpaczliwie podobieństwa do tego czegoś, co spoczywało gdzieś na dnie jego pamięci. Pewien był, że gdy tylkozdoła uchwycić to myślą, potrafi nazwać to, co czuje. Już ma: candomble. Kiedyś, w jednym z tych nędznych murzyńskich domostw, jakich pełno w Salvadorze, a może w jakimś zaułku za dworcem La Calzada, uczestnicząc we frenetycznych obrzędach sekty, słuchając pieśni w zapomnianych afrykańskich językach, spostrzegł organizację życia wspólnotę przeżyć, czasu i przestrzeni tak samo pozbawioną logiki, zdrowego rozsądku, rozumu, jak to, co tamtej gwałtownej nocy, która poczynała już rozmazywać sylwetki, spostrzegał w szeregach istnień ludzkich czerpiących pociechę, siły i ład z tego głosu głębokiego, głu-chego, rozdartego, tak pełnego pogardy dla materialnych potrzeb, tak wyniośle skupionego na sprawach ducha, na wszystkim, czego się nie je, nie wdziewa, nie używa, na myślach, na uczuciach, na wzruszeniach, na cnotach. Słuchając go, miał wrażenie, że wyczuwa, skąd się wzięło Canudos, czemu trwa ta aberracja, której na imię Canudos. AleI kiedy głos umilkł i ustała ekstaza, znów popadł w dawny zamęt.

— Macie tutaj trochę tapioki — usłyszał głos żony Antonia Vilano-vy, a może żony Honoria: ich głosy były identyczne. — I mleko.

Przestał myśleć, roztrzasać; łączywie, koniuszkami palców, podnosił do ust

kukurydzianą mąkę, zwilżał ją śliną i przed połknięciem długo trzymał między podniebieniem i językiem, przepelniony uczuciem wdzięczności, ilekroć łyk koziego mleka wlewał w żaka marki jego ciała dobroczynne ciepło.

Kiedy skończyli, Karzełek beknął; dziennikarz okularnik usłyszał jego radosny śmiech. „Jeżeli ma co jeść, jest zadowolony, jeżeli nie — smutny”, pomyślał. On tak samo: jego szczęście lub nieszczęście zależało teraz w dużej mierze od jego własnych kiszek. Tak, to jest ta elementarna prawda, która króluje tu, w Canudos, a przecież czy tych ludzi można nazwać materialistami? Bo drugą uporczywą myślą owych dni było, że ta społeczność po mrocznych ścieżkach pomyłek i przypadków dotarła do wyzwolenia od spraw cielesnych, od troski i byt, od pośpiechu, od tego wszystkiego, co stanowiło podstawę jego świata. Czy ten niechlujny raj duchowości i nędzy stanie się jego grobem? Z początku łudził się, myślał, że księżulo z Cumbe przypomni sobie o nim, wyszuka mu przewodników i konia, że będzie mógł wrócić do Salwadoru. Ale ojciec Joaquim nie pokazał się więcej, a teraz mówią, że wyjechał. Nie pojawiał się już wieczorami na rusztowaniach nieukończonych Świątyni, nie odprawiał porannej mszy. Nigdy nie zdołał do niego podejść, przebić się przez zwartą, zbrojną masę mężczyzn i kobiet w niebieskich opaskach, otaczającą Nauczyciela i jego orszak, a teraz nie wiadomo, czy ojciec Joaquim w ogóle wróci. Czy inaczej potoczyłyby się jego losy, gdyby z nim porozmawiał? Co by mu powiedział? „Ojciec Joaquimie, boję się zostać wśród jaguncos, zabierz mnie stąd, weź mnie tam, gdzie są żołnierze i policja, gdzie będę jako tako bezpieczny?”. Zdawało mu się, że słyszy odpowiedź księżula: „A czy ja będę bezpieczny? Zapomniał pan, że tylko cudem ocalałem z rąk Rzeźnika? Wyobraża pan sobie, że mógłbym spokojnie wrócić tam, gdzie jest wojsko i policja?”. Wybuchnął niepowstrzymanym, histerycznym śmiechem. Słuchał go pełen obawy, myśląc, że może nim obrazić zamazanych, niewyraźnych mieszkańców tej osady. Karzełek, któremu udzielił się jego nastrój, chichotał także. Wyobraził sobie, jak skręca się ze śmiechu, maleńki, garbaty. Drażniła go za to powaga Juremy.

— No, no, jaki ten świat mały, znowu się spotykamy — odezwał się jakiś szorstki, męski głos i dziennikarz okularnik spostrzegł sylwetki zbliżających się ludzi. Najniższy, z czerwoną plamą, która chyba była chustą, stanął przed Juremą. — Myślałem, że zabili cię tam, na górze.

— Nie zabili — odpowiedziała Jurema.

— To dobrze — powiedział mężczyzna. — Szkoda by było. „Chce ją mieć, zabierze ją”, pomyślał prędko dziennikarz okularnik. Ręce mu zwilgotniały. Zabierze ją, a Karzełek odejdzie razem z nimi. Zaczął się trząść: widział już, jak samotny, wydany na pastwę półślepoty, potłuczony, poobijany umiera z wycieńczenia i przerażenia.

— Co to, karzełek już ci nie wystarcza? Przyprowadziłaś sobie jeszcze jednego? — usłyszał głos mężczyzny, na wpół pochlebny, na wpół kpiący. — No cóż, jeszcze się zobaczymy. Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

Jurema nie odpowiedziała; dziennikarz okularnik siedział skulony, uważny, oczekując — sam nie wiedział czemu — kopniaka, szturchańca, splunięcia.

— To jeszcze nie wszystko — odezwał się jakiś inny głos; po chwili rozpoznał Joao Mnicha. — W magazynie, obok skór, jest więcej.

— Wystarczy — rzekł pierwszy mężczyzna, tym razem obojętnie.

— Za mało — powiedział Joao Mnich. — Za mało, jeżeli to prawda, że idzie osiem albo dziewięć tysięcy. Dwa, trzy razy tyle też będzie mało.

— Racja — przyznał pierwszy.

Czuł, jak się poruszają, krążą przed nim i za nim, i odgadł, że obmacują karabiny, podnoszą je, wodzą po nich rękami, przysuwają je sobie do oczu, żeby zobaczyć, czy celowniki są dobrze ustawione, a lufy wyczyszczone. Osiem, dziewięć tysięcy? Idzie osiem, dziewięć tysięcy żołnierzy?

— A do tego nie wszystkie są dobre, Pajeii — powiedział Joao Mních. — Popatrz. Zgięta lufa, urwany kurek, pęknięta kolba.

Pajeu? Ten, który chodzi tu obok, rozmawia, ten, który rozmawiał z Juremą, to Pajeu. Mówili coś o klejnotach Najświętszej Pani, wymieniali jakiegoś doktora imieniem Aguilar de Nascimento, ich głosy się oddalały i przybliżały wraz z ich krokami. Wszyscy bandyci z sertonu zebrali się tutaj, wszyscy stali się święci? Kto to zrozumie? Właśnie przechodzą przed nim: dziennikarz okularnik dostrzegł dwie pary nóg w zasięgu swojej ręki.

— Czy chcesz teraz posłuchać Straszliwej i Pouczającej Historii Roberta Diabła? — usłyszał pytanie Karzełka. — Znam ją, opowiadałem ją z tysiąc razy. Zaśpiewać ją teraz dla ciebie, panie?

— Teraz nie — powiedział Joao Mních. — Innym razem. Dlaczego mówisz do mnie „panie”? Nie wiesz, jak się nazywam?

— Wiem — mruknął Karzełek — wybacz...

Kroki dwóch mężczyzn ucichły. Dziennikarz okularnik zaczął rozmyślać: „Ten, który obcinał uszy i nosy. Ten, który kastrował wrogów i wypalał im na ciałach swoje inicjały. Ten, który wymordował całą osadę, żeby udowodnić, że jest Szatanem. I Pajeii, ten rzeźnik, ten złodziej bydła, ten morderca, ten łajdak”. Są tutaj, obok niego. Był jak ogłuszony i miał ochotę pisać.

Widziałś, jak do ciebie mówił, jak patrzył — usłyszał głos Karzełka. — Mamy szczęście, Juremo. Zabierze cię do siebie, będziesz miała dom i jedzenie. Bo Pajeii to jeden z tych, co tu rządzą.

A co będzie z nim?

Nie dziesięć, ale tysiąc much na jednego mieszkańca, myśli porucznik Pires Ferreira. Skąd wiedzą, że są bezkarne? Czy dlatego nie reagują, kiedy ktoś naiwny próbuje je spłoszyć? Były to jedyne muchy na świecie, które nie ruszały się na widok ręki wymachującej im energicznie przed samym nosem. Ich liczne oczy spoglądały wyzywająco na swą ofiarę. Prawda, że pokonując obrzydzenie, można je było rozgnieść bez najmniejszego wysiłku. I co z tego? Dziesięć, dwadzieścia innych materializowało się w jednej chwili w tym samym miejscu. Lepiej pogodzić się z ich sąsiedztwem, jak sertaneros, którzy pozwalali im na wszystko: przechadzały się po jedzeniu i ubraniach, czarną skorupą pokrywały domy i zapasy, gnieździły się w ciałach noworodków; odganiał je tylko od rapadury, na którą rzucały się żarłocznie, a jeśli wpadały im do ust, pluli. Były większe od salwadorskich, jedyne upasione stworzenia w tych stronach, gdzie ludzie i zwierzęta wydawali się zredukowani do samych kości.

Leży nagi na łóżku w hotelu „Continental”. Przez okno widzi stację i napis: „Vila Bela de Santo Antonio das Queimadas”. Nie wiadomo, czy bardziej nienawidzi much, czy tej miłośnicy; ma wrażenie, że spędzi tu resztę swoich dni, chory z nudów, rozczarowany, zajęty filozofowaniem na temat much. To jedna z tych chwil, kiedy gorycz każe mu zapomnieć, że jest uprzywilejowany, ma przecież w hotelu własny pokój, który jest przedmiotem pożądania tysięcy żołnierzy i oficerów, stłoczonych po dwóch, po czterech, w domach zarekwirowanych lub wynajętych przez wojsko oraz w barakach na brzegu Itapicurii. Pokój w hotelu „Continental” zajmuje prawem weterana. Jest tutaj, odkąd przeszedł przez Queimadas 7. Pułk,

a pułkownik Moreira Cesar powierzył mu upokarzającą funkcję opieki nad chorymi na tyłach. Ze swego okna widział wydarzenia, które w ciągu ostatnich trzech miesięcy wstrząsnęły sercem, Bahią, całą Brazylią: wymarsz Moreiry Cesara do Monte Santo i powrót ocalałych z pogromu żołnierzy o oczach porażonych paniką i zdumieniem; widział potem, jak tydzień za tygodniem pociąg z Salvadoru wypływał oddziały wojska, jednostki policji i regimenty ochotników, którzy dotąd jeszcze przybywają ze wszystkich części kraju do tego opanowanego przez muchy miasteczka, aby pomścić poległych patriotów, ratować upokorzone państwo i przywrócić zwierzchność republiki. Z tego samego okna w hotelu „Continental” porucznik Pires Ferreira widział, jak tysiące żołnierzy, tak pełnych entuzjazmu, tak żądnych czynu, grzęzły niby w pajęczynie, beczynne, nieruchome, pochłonięte sprawami dalekimi od szczytnych ideałów, jakie ich tu przywiodły: bójkami, rabunkiem, brakiem mieszkań, jedzenia, transportu, wroga, kobiet. Wczoraj porucznik Pires Ferreira uczestniczył w zebraniu oficerów 3. Batalionu Piechoty, zwołanym z powodu niesłychanego skandalu, jakim było zniknięcie stu karabinów Comblaina i dwudziestu pięciu skrzynek amunicji. Pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros, po odczytaniu rozkazu z ostrzeżeniem, że jeśli broń nie będzie natychmiast zwrócona, winni kradzieży zostaną straceni w trybie doraźnym, powiedział, że główny problem — jak przewieźć do Canudos ogromny ekwipunek korpusu ekspedycyjnego — dotąd nie został rozwiązany, w związku z czym nie wiadomo jeszcze nic pewnego o terminie wymarszu.

Ktoś stuka do drzwi; porucznik Pires Ferreira mówi: „Wejść”. Wchodzi ordynans z poleceniem, że trzeba ukarać żołnierza Queluzę. Ubiera się, ziewając, i usiłuje przypomnieć sobie twarz człowieka, którego, pewien jest, chłostał już tydzień lub miesiąc temu, może nawet z tego samego powodu. Jakiego? Zna je na pamięć: okradanie pułku albo tych mieszkańców, którzy jeszcze nie odeszli z Queimadas, bójka z żołnierzami z innych oddziałów, próba dezercji. Dowódca kompanii często powierza mu wykonanie chłosty, którą usiłuje utrzymać dyscyplinę, coraz bardziej rozluźnioną przez nudę i niewygody. Karanie nie sprawia mu specjalnej przyjemności, ale teraz nie jest mu też przykre, stało się nieodłącznym elementem codzienności w Queimadas, jak spanie, ubieranie się, rozbieranie, jedzenie, pokazywanie żołnierzom części mannlicera lub comblaina, tłumaczenie, co to jest pole obrony i pole ataku, albo rozmyślanie o muchach.

Wyszedłszy z hotelu „Continental”, porucznik Pires Ferreira idzie aleją Itapicuru, która po kamienistej pochyłości wznosi się ku kościołowi Świętego Antoniego. Ponad dachami domów pomalowanych na zielono, biało lub niebiesko spogląda na otaczające Queimadas wzniesienia, porośnięte wyschniętymi zaroślami. Żał mu żołnierzy piechoty ćwiczących musztrę na rozprażonych pagórkach. Setki razy prowadził rekrutów w te chaszcze i patrzył, jak oblewają się potem. Czasami tracili przytomność. Są to głównie ochotnicy z chłodniejszych rejonów kraju, mdleją jak kurczęta po krótkim marszu przez pustynię, z plecakiem na grzbiecie i karabinem na ramieniu.

O tej porze ulice Queimadas nie zaroily się jeszcze od mundurów. Za to wieczorem, kiedy żołnierze wylewają się z domów, żeby poroz mawiać, pograć na gitarze, posłuchać piosenek z rodzinnych stron i wypić łyk gorzałki, zdobytej po wyśrubowanych cenach, można tu obejrzeć kolekcję uniformów z całej Brazylii. Tu i ówdzie stoją grupki wojskowych w porozpinanych koszulach, ale na drodze do Rynku, wysadzonej palmami uricuri zawsze rojącymi się od ptaków, nie widzi się nikogo z tutejszych. Zresztą tutejszych już prawie nie ma. Wszyscy gdzieś zniknęli, oprócz paru pastuchów, zbyt starych, chorych lub zubożniałych, patrzących z nieskrywaną nienawiścią z progu domów, które muszą dzielić z nieproszonymi gośćmi.

Na rogu ulicy, pod pensjonatem Matki Boskiej Łaskawej — nad wejściem napisane

jest: „Zabrania się wstępu bez koszuli” — porucznik Pires Ferreira w idącym z przeciwka młodym oficerze o twarzy zamazanej przez słońce poznaje porucznika Pinto Souzê z tego samego batalionu. Jest tu zaledwie od tygodnia, zachował dotąd zapał nowicjusza. Zaprzyjaźnili się, wieczorami często razem spacerują.

— Przeczytałem twój raport o Uaua — mówi, idąc obok Piresa Ferreira w stronę obozowiska. — To straszne.

Porucznik Pires Ferreira patrzy na niego, osłaniając dłonią oczy od słońca:

— Dla tych, którzy to przeżyli, bez wątpienia. A zwłaszcza dla nieszczęśliwego doktora Antonia Alvesa de Santos — mówi. — Ale tego, co się działo pod Uaua, nie można nawet porównać z tym, co przydarzyło się majorowi Febroniowi i pułkownikowi Moreirze Cesarowi.

— Nie chodzi mi o poległych, ale o to, co piszesz o mundurach i broni — poprawia się porucznik Pinto Souza.

— A, tamto — mruczy porucznik Pires Ferreira.

— Nie rozumiem! — wykrzykuje skonsternowany Pinto Souza. -Dowództwo nic w tej sprawie nie zrobiło?

— Drugiej i trzeciej ekspedycji przytrafiło się to samo, co nam — mówi Pires Ferreira. — Zwyciężył ich upał, ciernie i kurz, a nie jaguncos.

Wzrusza ramionami. Pisał ten raport świeżo po przybyciu do Joazeiro, po klęsce, ze łzami w oczach, pragnąc, by z jego doświadczeń skorzystali towarzysze broni. Drobiazgowo wyjaśniał, że mundury zniszczyły się od słońca, deszczu i kurzu, że flanelowe koszule i płócienne spodnie przylegały do ciała jak gorący kompres i darły się o gałęzie catingi, że żołnierze pogubili czapki i buty i większą część drogi musieli iść boso. Ale przede wszystkim dosadnie, skrupulatnie, dobitnie przedstawił sprawę uzbrojenia: „Mimo swej nadzwyczajnej celności, mannlichery łatwo się zacinają: wystarczy kilka ziarenek piasku w komorze zamkowej, żeby spust przestał działać. Z drugiej strony, przy długotrwałym prowadzeniu ognia ciepło rozszerza lufę, a wówczas zwięża się komora nabojoya i naboje już się w niej nie mieszczą. Wyrzutnik psuje się, a zużyte łuski trzeba wyciągać ręcznie; wreszcie, kolba jest tak delikatna, że łamie się przy pierwszym uderzeniu”. Nie poprzestał na pisaniu — zeznał wszystko przed komisją, która go przesłuchiwała, dziesiątki razy powtarzał w prywatnych rozmowach. I na co to się zdało?

— Z początku myślałem, że mi nie wierzą — mówi. — Że myślą, że napisałem tak, aby usprawiedliwić klęskę. Ale teraz już wiem, dlaczego dowództwo nic nie zrobiło.

— Dlaczego? — pyta porucznik Pinto Souza.

— Mają zmieniać umundurowanie całego wojska? Wszystko szyją z flaneli i płótna. Mają wyrzucić na śmietnik wszystkie buty? Wyrzucą do morza wszystkie mannlichery? Musimy ich używać, czy się nadają, czy nie.

Doszli do namiotów 3. Batalionu Piechoty, rozstawionych tuż obok miasteczka na prawym brzegu Itapicuru. Pozostałe obozy rozkładają się coraz dalej od Queimadas w górę rzeki. Namioty stoją szeregiem naprzeciw zarzuconych ciemnymi, wielkimi głazami czerwonych, gliniastych zboczy, u stóp których płyną zielonoczarne wody. Żołnierze już czekają. Chłosta zawsze cieszy się dużym powodzeniem, jest bowiem jedną z niewielu rozrywek batalionu. Szeregowy Queluz, już gotów, nagi do pasa, stoi w grupce żołnierzy, którzy pokpiwają sobie z niego. Odpowiada im ze śmiechem. Na widok nadchodzących oficerów wszyscy poważnieją; Pires Ferreira spostrzega w oczach skazańca nagły lęk, który

żołnierz próbuje pokryć lekceważącym, bezczelnym grymasem.

— Trzydzieści kijów — czyta w rozkazie dnia. — Sporo. Kto cię ukarał?

— Pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros, wasza wielmożność — mruczy Queluz.

— Co zrobiłeś? — pyta Pires Ferreira, naciągając skórzaną rękawiczkę, żeby kij nie obtarł mu dłoni.

Queluz mruga, trochę nieswój, zerka kątem oka na prawo i lewo. Wybuchają chichoty, słysząc szepty.

— Nic, wasza wielmożność — mówi zdławionym głosem. Pires Ferreira patrzy pytająco na setkę żołnierzy, którzy otaczają ich ciasnym kręgiem.

— Chciał zgwałcić trębacza z 5. Pułku — mówi porucznik Pinto Souza z niesmakiem. — Dzieciaka, który nie ma jeszcze piętnastu lat. Nakrył go sam pułkownik. Jesteś zboczeńcem, Queluz.

— To nie tak, wasza wielmożność, to nie tak — mówi żołnierz, kręcąc przecząco głową. — Pułkownik źle zrozumiał moje zamiary. Po prostu kąpaliśmy się w rzece. Przysięgam.

— I dlatego trębacz wzywał pomocy? — mówi Pinto Souza. — Nie bądź cyniczny.

— Bo trębacz też źle zrozumiał moje zamiary, wasza wielmożność — mówi żołnierz, bardzo poważnie. Ale ponieważ wybucha ogólny śmiech, sam też zaczyna się śmiać.

— Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim mówi Pires Ferreira, wybierając pierwszy z brzegu kij z tych, które podaje mu ordynans. Płynnym ruchem wypróbował go w powietrzu. Słysząc przeciągły świst, krąg żołnierzy cofa się. — Mam cię związać czy zachowasz się jak mężczyzna?

— Jak mężczyzna, wasza wielmożność — mówi żołnierz Queluz, blednąc.

— Jak mężczyzna, który napastuje trębaczy — dodaje ktoś i rozlega się nowy wybuch śmiechu.

— No, to w tył zwrot i łap się za jaja — rozkazuje porucznik Pires Ferreira.

Z całej siły wymierza pierwsze kije, widząc, jak żołnierz chwieje się, cofa, zatacza, kiedy pałka znaczy mu plecy czerwienią; później, gdy sam oblewa się potem, uderzenia słabną. Krąg żołnierzy liczy razy. Nie doszli jeszcze do dwudziestu, kiedy sinofioletowe pręgi na plecach Queluzza zaczynają krwawić. Pod ostatnim ciosem żołnierz pada na kolana, ale wstaje natychmiast; zatacza się i odwraca do porucznika:

— Wielkie dzięki, wasza wielmożność — mruczy, z mokrą twarzą i przekrwionymi oczami.

— Pociesz się, że jestem tak samo wykończony jak ty — sapie Pires Ferreira. — Idź do infirmerii, niech cię opatrzą. A na przyszłość trzymaj się z daleka od trębaczy.

Krąg żołnierzy rozprasza się. Kilku z nich odchodzi razem z Queluzem, którego ktoś okrywa ręcznikiem, inni zbiegają do gliniastego wozu, żeby chłodzić się w rzece. Pires Ferreira oplukuje twarz w wiadrze wody przyniesionym przez ordynansa. Podpisując wykonanie rozkazu, odpowiada na pytania porucznika Pinto Souzy, który wciąż obsesyjnie powraca do raportu o Uaua. Czy te karabiny były używane, czy nowo kupione?

— Nie były nowe — mówi Pires Ferreira. — Były w użyciu podczas kampanii w Sao Paulo i Paranie w 1894. Ale to niczego nie tłumaczy. Problem tkwi w konstrukcji

mannlicherów. Ten typ broni powstał w Europie, jest dostosowany do innego klimatu, do potrzeb wojska o innej zdolności bojowej.

Przerywa mu jednoczesny dźwięk trąbek we wszystkich obozach.

— Zwołują wszystkich — mówi Pinto Souza. — Tego nie było w planie.

— Pewnie chodzi o kradzież tych stu karabinów Comblaina — zgaduje Pires Ferreira. — Dowództwo szaleje. Może złapali złodziei i będą ich rozstrzeliwać.

— To raczej minister wojny — mówi Pinto Souza. — Zapowiadał swój przyjazd.

Idą na miejsce zbiórki Trzeciego Batalionu, ale tam okazuje się, że mają dołączyć do oficerów z Siódmego i Czternastego, to znaczy do całej Pierwszej Brygady. Pędzą na punkt dowodzenia, mieszczący się w garbarni, w odległości ćwierć mili w górę Itapicuru. Po drodze widzą niezwykły ruch w obozowiskach, a jazgot trąbek tak się nasilił, że trudno zrozumieć treść sygnałów. W garbarni jest już kilkudziesięciu oficerów, niektórzy zostali wyrwani z poobiedniej drzemki; wpycha ją koszule w spodnie, zapinają bluzy. Dowódca Pierwszej Brygady, pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros, przemawia, gestykulując, z wysokości jakiejś ławki, ale Pires Ferreira i Pinto Souza nie słyszą, co mówi, bo dookoła wznoszą się okrzyki: „Hurra! Niech żyje Brazylia! Niech żyje republika!”, lecą w górę wojskowe czapki. Panuje ogólna radość.

— Co się dzieje? Co się dzieje? — pyta porucznik Pinto Souza.

— Za dwie godziny wyruszamy na Canudos! — odkrzykuje w euforii jakiś kapitan artylerii.

## **Rozdział II**

— Obłąd? Nieporozumienie? To nie wystarczy, to nie tłumaczy wszystkiego — mruknął baron de Cañabrava. — Głupota i okrucieństwo też zrobiły swoje.

Stała mu nagle przed oczami łagodna, rumiana, okolona jasnymi faworytami twarz Gentila de Castro, pochylona nad dłonią Esteli na jakimś przyjęciu w pałacu, jeszcze w czasach, kiedy był ministrem w gabinecie cesarza. Gentil był subtelny jak dama, naiwny jak dziecko, dobroduszny, uczynny i chyba jedynie ludzka głupota i podłość mogły wytłumaczyć to, co go spotkało.

— Przypuszczam, że nie tylko Canudos, ale historia w ogóle na tym właśnie się opiera — powtórzył, krzywiąc się z niesmakiem.

— Chyba że się wierzy w Boga — przerwał dziennikarz okularnik, a jego chropawy głos przypominał baronowi o istnieniu gościa. — Tak jak oni. Wszystko tam było jasne, przejrzyste. Głód, bombardowania, rozprute brzuchy, zmarli z wycieńczenia. Bestia i Bóg Ojciec, Antychryst i Dobry Jezus. Od razu wiedzieli, co pochodzi od jednego, a co od drugiego, co jest dobre, a co złe. Nie zazdrości im pan? Życie staje się takie proste, jeśli ktoś potrafi dostrzec zło lub dobro we wszystkim, co się dzieje dookoła.

— Przyszedł mi nagle na myśli Gentil de Castro — mruknął baron de Cañabrava. — Jakże on się musiał zdziwić, dowiedziawszy się, dla czego demolują jego gazety, dlaczego niszczą jego dom.

Dziennikarz okularnik wyciągnął szyję. Siedzieli naprzeciw siebie w skórzanych fotelach, przedzieleni stolikiem, na którym stał dzbanek pełen zimnego soku z papai i bananów. Ranek mijał szybko, ostre, południowe słońce przeszywało ogród. Krzyki przekupniów, zachwalających żywność, papużki, modlitwy i rozmaite usługi, przenikały



przez ściany.

— Tę część historii da się wytłumaczyć — zabrzączał zjadliwie głos okularnika, który niemal złożył się w pół na swoim fotelu. — To, co wydarzyło się w Rio de Janeiro, w Sao Paulo, jest logiczne i zrozumiałe.

— Logiczne i zrozumiałe, że motłoch wylęga na ulice, niszczy gazety, rabuje domy, morduje ludzi, którzy nie umieliby pokazać palcem na mapie, gdzie leży Canudos, a wszystko tylko dlatego, że o tysiące kilometrów stąd jacyś fanatycy pobili żołnierzy? I to ma być logiczne, zrozumiałe?

— Byli zatruci propagandą — upierał się dziennikarz okularnik. — Nie czytywał pan gazet, baronie.

— Wiem, co się działo w Rio, od człowieka, który padł ofiarą zamieszek — powiedział baron. — Był o włos od śmierci.

W Lizbonie spotkał wicehrabiego de Ouro Preto. Całe popołudnie spędził w towarzystwie tego sędziwego przywódcy monarchistów, który po pospiesznej ucieczce z Brazylii i straszliwych dniach, jakie przeżył w Rio de Janeiro, gdy dotarła tam wiadomość o klęsce 7. Pułku i śmierci Moreiry Cesara znalazł schronienie w Portugalii. Pełen sprzecznych uczuć, przerażony, sędziwy eks-dygnitarz patrzył z niedowierzaniem, jak ulicą Markiza de Abrantes, pod balkonami domu baronowej de Guanabara, gdzie właśnie bawił z wizytą, przeszła zorganizowana przez Klub Wojskowy manifestacja, niosąc trans parenty z żądaniem jego głowy, jako odpowiedzialnego za klęskę sił republikańskich pod Canudos. Wkrótce potem przybiegł posłaniec z ostrzeżeniem, że dom hrabiego został splądrowany, tak jak domy innych znanych monarchistów, i że płoną redakcje gazet „Noticias” i „A Liberdade”.

— Angielski szpieg z Ipujiara — recytował dziennikarz okularnik, bębniąc palcami w stół. — Karabiny przechwycone w sertonie w drodze do Canudos. Znaleziono u jaguncos naboje Kropaczka, przywiezione niechybnie na pokładzie brytyjskich statków. I kule dum-dum. Kłamstwo sto razy powtórzone staje się prawdą.

— Przecenia pan popularność „Jornal de Noticias” — rzekł z uśmiechem baron de Cañabrava.

— Rio de Janeiro też ma swojego Epaminondasa. Nazywa się Aleindo Guanabara, a jego gazeta „A Republica” — oświadczył dziennikarz okularnik. — Od klęski majora Febronia „A Republica” nawet na jeden dzień nie zaprzestała prezentacji niezbitych dowodów zmywy monarchistów i buntowników z Canudos.

Baron słuchał go z roztargnieniem, wciąż bowiem brzmiały mu w uszach słowa otulonego pędem po czubek nosa wicehrabiego de Ouro Preto: „Szczególny patos całej sprawy tkwi w tym, że nigdy nie braliśmy na serio Gentila de Castro. W czasach cesarstwa był nikim. Nigdy nie zaszczycono go żadną godnością, odznaczeniem, urzędem. Jego monarchizm był sentymentalny, oderwany od rzeczywistości”.

— Na przykład bydło i broń z Setę Lagoas w Minas Gerais — ciągnął dziennikarz okularnik. — Może nie były przeznaczone dla Canudos? Może nie wiozł ich znany przywódca capangas, opłacanych przez monarchistycznych caudillos, Manuel Joao Brandao? Może nie pracował dla Joaquina Nabuco i dla wicehrabiego de Ouro Preto? Aleindo wymienia nazwiska policjantów, którzy go schwytali, druku je oświadczenia, gdzie Brandao przyznaje się do wszystkiego. Czy to ważne, że nie istnieje żaden Brandao i że nigdy nie odkryto podobnej przesyłki? To, co napisane, stało się prawdą. Historia szpiega z Ipujiara, powtórzona, zwielokrotniona. Widzi pan, jakie to logiczne, zrozumiałe? Pan uniknął linczu tylko dlatego, że w Salwadorze nie ma jakobinów, baronie. My tu, w Bahii, żyjemy

karnawalem, polityka guzik nas obchodzi.

— Rzeczywiście nadaje się pan do „Diario de Bahia” — zażartował baron. — Zna pan wszystkie szalbierstwa naszych adwersarzy.

— Wy też nie jesteście lepsi — zasyczał dziennikarz okularnik. — Zapomniał pan, że Epaminondas jest pańskim sojusznikiem, a pańscy dawni wrogowie członkami rządu?

— Trochę późno pan odkrywa, że polityka to brudna sprawa — powiedział baron.

— Nie dla Nauczyciela — odparł dziennikarz okularnik. — Dla niego była czysta.

— Dla biednego Gentila de Castro też — westchnął baron.

Po powrocie z Europy znalazł na biurku list, wysłany z Rio wiele miesięcy temu, w którym Gentil de Castro swoim starannym, wyszukany pismem pytał go: „Co to za historia z tym Canudos, drogi baronie? Co się dzieje w tak bliskich pańskiemu sercu ziemiach północno-wschodnich? Przypisują nam tutaj rozmaite nonsensy i spiski, a my nawet nie możemy się bronić, bo nie wiemy, o co chodzi. Co to za Antonio Nauczyciel? Czy ktoś taki w ogóle istnieje? Co to za rozbójnicy, sebastianiści, z którymi usiłują powiązać nas jakobini? Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał mnie Pan objaśnić...”. A teraz staruszek, do którego imię Gentil tak dobrze pasowało, nie żyje, zabity za uzbrojenie i sfinansowanie rebelii mającej przywrócić cesarstwo i oddać Brazylię w niewolę Anglikom. Wiele lat temu, kiedy zaczęto mu przysyłać „A Gazeta de Noticias” i „A Liberdade”, baron de Cañabrava napisał do wicehrabiego de Ouro Preto, żeby się dowiedzieć, skąd wziął się pomysł wydawania przez monarchistów dwóch nostalgicznych pisemek, teraz, kiedy dla wszystkich jest jasne, że cesarstwo upadło bezpowrotnie. „Cóż Pan chce, mój drogi... Tonie był pomysł mój ani Joao Alfredo, ani Joaquim Nabuco, ani żadnego z pańskich tutejszych przyjaciół, ale wyłącznie i jedynie pułkownika Gentila de Castro. Postanowił wydać swoje pieniądze na redagowanie tych dwóch arkuszy, żeby bronić dobrego imienia ludzi, którzy wciąż służą cesarzowi, przed oszczerstwami, jakimi nas tu obrzucają. Wszystkim nam się wydaje niewczesna ta rewindykacja monarchii akurat teraz, ale jak to wybić z głowy biednemu Gentilowi de Castro? Nie wiem, czy Pan go sobie przypomina. Poczciwina, nigdy się zbytnio nie liczył...”

— Nie było go w Rio, bawił w Petrópolis, kiedy wieści dotarły do stolicy — powiedział wicehrabia de Ouro Preto. — Przez mego syna, Alfonsa Celso, przekazałem mu, żeby przypadkiem nie wracał: jego dzienniki zostały zdemolowane, jego dom zniszczony, a wzburzony motłoch na ulicy Ouvidor i Largo de Sao Francisco żądał jego głowy. To wystarczyło, żeby Gentil de Castro powrócił natychmiast.

Baron wyobraził sobie, jak zarumieniony z przejścia pakował walizeczkę i szedł na stację, podczas gdy w Rio, w Klubie Wojskowym, dwudziestu oficerów zawierało braterstwo krwi przed cyrklem i ekierką, i przysięgając, że pomszczą Moreirę Cesara, sporządzało listę zdrajców, którzy powinni zostać straceni. Na pierwszym miejscu: Gentil de Castro.

— Na dworcu Meriti Alfonso Celso kupił mu gazety — ciągnął wicehrabia de Ouro Preto. — Gentil de Castro mógł przeczytać o wszystkim, co zdarzyło się w przededniu w stolicy. O mityngach, o zamknięciu sklepów i teatrów, o flagach spuszczonej do połowy i czarnej krepie na balkonach, o atakach na redakcje dzienników, o rozbojach. I oczywiście przeczytał sensacyjną wiadomość w „A Republica”: „Karabiny znalezione w »A Gazeta de Noticias« i »A Liberdade« mają ten sam kaliber i markę co broń z Canudos”. Jak pan myśli, co zrobił?

— Nie mam wyjścia, jestem zmuszony posłać moich sekundantów do Aleinda Guanabary — mruknął pułkownik Gentil de Castro, przyglądając białe wąsy. — Tym razem posunął się za daleko.

Baron wybuchnął śmiechem. „Chciał się pojedyńkować — pomyślał. — Jedyne, co mu przyszło do głowy, to wyzwąć na pojedynek Epaminondasa Goncalvesa z Rio. Motłoch szukał go, żeby go zlinczować, a on myślał o sekundantach w uroczystej czerni, o szpadach i pojedynkach do pierwszej krwi lub na śmierć i życie”. Oczy łzawiły mu ze śmiechu; dziennikarz okularnik spojrział na niego ze zdumieniem. Kiedy to wszystko się działo, był jeszcze w drodze do Salwadoru, zdumiony, to prawda, klęską Moreiry Cesara, ale w rzeczywistości, pochłonięty Estelą, liczył godziny brakujące do chwili, w której lekarze ze Szpitala Portugalskiego i Akademii Medycznej uspokoją go, zapewnią, że to przejściowy kryzys, że baronowa wkrótce znów będzie radosna jak dawniej, błyskotliwa i pełna życia. Był tak przejęty chorobą żony, że jak przez mgłę przypominał sobie swoje rozmowy z Epaminondasem Goncalvesem i to, co czuł, kiedy dowiedział się o powszechnej mobilizacji, o wysłaniu batalionów ze wszystkich stanów, o formowaniu ochotniczych oddziałów, o kiermaszach i loteriach fantowych, gdzie damy oddawały swoje klejnoty i pukle włosów, żeby uzbroić nowe kompanie, które wyruszą bronić republiki. Znów przyszedł ów zawrót głowy, który poczuł wtedy, zdawszy sobie sprawę z ogromu tego labiryntu pomyłek, bredni i okrucieństw.

— Przybywszy do Rio, Gentil de Castro i Alfonso Celso przemknęli ukradkiem do jednego z zaprzyjaźnionych domów, w pobliżu dworca Sao Francisco Xavier — dodał wicehrabia de Ouro Preto. Tam spotkałem się z nimi po kryjomu. Przygarniali mnie to tu, to tam, chroniąc od zamieszek, które wciąż trwały na ulicach. Wszyscy straciliśmy sporo czasu, żeby przekonać Gentila de Castro, że jedyne, co nam pozostaje, to uciec czym prędzej z Rio i Brazylii.

Ukrywszy twarze w fałdach obszernych płaszczy, udali się na dworzec. Dosłownie sekundy dzieliły ich od pół do szóstej wieczorem, godziny odjazdu pociągu do Petrópolis, gdzie w pewnej zaprzyjaźnionej fazendzie mieli czekać, aż zostanie przygotowana ich ucieczka za granicę.

— Ale los sprzyjał mordercom — mruknął wicehrabia. — Pociąg opóźnił się pół godziny. Trzech zamaskowanych mężczyzn musiało zwrócić na siebie uwagę. Zaczęły się pojawiać grupki demonstrantów: biegali po peronie, wiwatując na cześć marszałka Floriano i żądając mojej głowy. Wchodziliśmy właśnie do wagonu, kiedy otoczyła nas gromada ludzi, uzbrojonych w rewolwery i noże. W chwili, gdy pociąg ruszał, padły strzały. Wszystkie kule trafiły Gentila de Castro. Dotąd nie rozumiem, czemu zawdzięczam życie.

Baron ujrzał w wyobraźni rumianego staruszka, który leżąc z roz-trzaskaną głową i piersią, jeszcze próbował się przeżegnać.

— Może ta śmierć nie była mu przykra: w końcu była to śmierć rycerska.

— Może — powiedział wicehrabia de Ouro Preto. — Za to pewien jestem, że pogrzeb sprawiłby mu dużą przykrość.

Za radą władz, pochowali go ukradkiem. Minister Amaro Caval-canti ostrzegł krewnych, że w związku z niepokojami na ulicach rząd nie może zagwarantować bezpieczeństwa rodzinie i przyjaciółom, jeśli mają zamiar urządzić wystawny pogrzeb. Żaden z monarchistów nie wziął udziału w uroczystości: Gentil de Castro został przewieziony na cmentarz zwyczajnym powozem, za którym jechała berlinka, a w niej ogrodnik i dwóch siostrzeńców zmarłego. Ze strachu, że za chwilę zjawią się jakobini, nie pozwolili księdzu dokończyć modlitwy nad grobem.

— Widzę, że bardzo się pan przejął śmiercią tamtego człowieka w Rio — ponownie wyrwał go z zamyślenia dziennikarz okularnik. — Szkoda, że tyle innych śmierci nie zrobiło na panu żadnego wrażenia. Bo zginęło więcej ludzi, tam, w Canudos.

Kiedy on zdążył podnieść się z miejsca? Stał przed biblioteką, pochylony, wygięty jak sękaty kostur i patrzył na niego — z furią? — spoza grubych szkielek.

— Łatwiej wyobrazić sobie śmierć jednego człowieka niż stu lub tysiąca — mruknął baron. — Zwielokrotnione cierpienie staje się abstrakcją. Niełatwo jest się wzruszyć abstrakcją.

— Chyba że ktoś widział, jak z jednego robi się dziesięć, sto, tysiąc, tysiące — powiedział dziennikarz okularnik. — Jeśli śmierć Gentila de Castro była absurdem, to w Canudos, z powodów nie mniej absurdalnych, zginęło wielu.

— Ilu? — mruknął baron.

Wiedział, że nigdy nikt się tego nie dowie. Ta liczba, tak jak większość liczb w historii, będzie zwiększana lub zmniejszana przez historyków i polityków, stosownie do wyznawanych przez nich doktryn i korzyści, jakie będą mogli z tego wyciągnąć. Ale nie zdołał się powstrzymać, żeby nie zapytać.

— Próbowałem się dowiedzieć — powiedział dziennikarz, podchodząc swym niezdecydowanym krokiem, i ciężko zwałił się na fotel. — Nie ma dokładnych danych.

— Trzy tysiące? Pięć tysięcy? — mruknął baron, szukając wzrokiem jego oczu.

— Od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy.

— Wlicza pan rannych i chorych? — zachnął się baron.

— Nie mówię o poległych żołnierzach — powiedział dziennikarz. — Co do nich, mamy oczywiście dokładne statystyki. Ośmiuset dwudziestu trzech, łącznie z ofiarami epidemii i wypadków.

Zapadła cisza. Baron spuścił oczy. Nalał sobie trochę soku, ale nawet go nie spróbował: nagrzany płyn przypominał zupę.

— To niemożliwe, żeby w Canudos było trzydzieści tysięcy dusz — powiedział. — Żadna osada w sertonie nie pomieściłaby tylu.

— Rachunek jest względnie prosty — stwierdził dziennikarz. — Generał Oscar kazał policzyć domy. Nie wiedział pan? Pisały o tym gazety: 5783. Ile osób mieszkało w każdym? Co najmniej pięć, sześć. Czyli od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy zmarłych.

Znowu zapadła cisza, długa, przerywana brzęczeniem gżów.

— W Canudos nie było rannych — powiedział dziennikarz. — Tak zwani „pozostali przy życiu”, te kobiety i dzieci, które Komitet Państwowy pańskiego przyjaciela Lelisa Piedadesa rozparcelował po całej Brazylii, nie pochodzą z samego Canudos, ale z okolicznych miejscowości. Z oblężenia ocalało tylko siedem osób.

— I to również pan wie? — podniósł oczy baron. — Byłem jednym z tych siedmiorga — powiedział dziennikarz okularnik. I jakby chciał uniknąć pytań, dodał szybko: — Jaguncos zajęci byli inną statystyką. Liczyli, ilu zginęło od kuli, a ilu od noża. Milczał długą chwilę. Potrząsnął głową, żeby odpędzić natrętną muchę. — Oczywiście nie sposób dokonać ścisłego rachunku — ciągnął, zaciskając dłonie. — Ale jest ktoś, kto mógłby naprowadzić nas na ślad. Interesujący gość, baronie. Był z pułkiem Moreiry Cesara, a wrócił z czwartą ekspedycją na czele kompanii z Rio Grandę do Sul. Chorąży Maranhao.

Baron patrzył na niego, zgadując niemal, co powie.

— Nie wiedział pan, że podrzynanie gardeł to specjalność gauczów? Chorąży Maranhao i jego ludzie to specjaliści. Zręczność łączy się u niego z zamiłowaniem. Lewą ręką

chwycił jagunco za nos, za dzierał mu głowę i jednym cięciem na głębokość około dwudziestu pięciu centymetrów otwierał tętnicę. Głowa opadała jak u kukły.

— Próbuje mnie pan wzruszyć? — zapytał baron.

— Gdyby chorąży Maranhao powiedział nam, ilu jaguncos za rznął ze swoimi ludźmi, wiedzilibyśmy, ilu poszło do nieba, a ilu do piekła — kichnął okularnik. — Poderżnięcie gardła niosło ze sobą tę drugą przykrość: skazywało duszę na piekło. Tak przynajmniej utrzymywali.

Tej nocy, gdy na czele trzystu zbrojnych ludzi — więcej niż kiedykolwiek miał pod swymi rozkazami — Pajeii opuszcza Belo Monte, postanawia nie myśleć już o tej kobiecie. Wie, jak ważna jest jego misja i wiedzą to jego towarzysze, wybrani spośród najlepszych piechurów z Canudos, czeka ich bowiem daleka droga. U stóp Faveli robią postój. Pokazując wysunięte ostrogi wzgórza, ledwie majaczącego w ciemności rozedrganej głosami świerszczy i żab, Pajeii przypomina raz jeszcze, że tu właśnie mają podprowadzić żołnierzy, zwabić ich na górę i otoczyć, a wówczas Joao Mnich, Joao Wielki i ci wszyscy, którzy nie pociągnęli z Pedrao i braćmi Vilanova do Geremoabo na spotkanie nadchodzącego wojska, rozniosą ich ogniem z pobliskich równin i wzgórz, gdzie jaguncos zajęli już pozycje w okopach po brzegi wypełnionych amunicją. Joao Mnich ma rację, że to jedyny sposób, aby zadać śmiertelny cios pomiotowi Szatana: muszą zepchnąć ich na to nagie wzgórze. Będą widoczni jak na dłoni, wystawieni na cel niewidzialnych strzelców. „Albo dadzą się złapać w pułapkę i wtedy albo my ich wykończymy — powiedział Komendant Ulicy — albo oni nas, bo jeżeli okrążą Belo Monte, nie starczy nam ludzi ani broni, żeby ich zatrzymać. Wszystko w waszym ręku, chłopcy”. Pajeii radzi ludziom, żeby oszczędzali naboje: niech biorą na cel tylko tych heretyków, którzy mają epolety, szable albo konie, i żeby nikt ich nie zobaczył. Dzieli ich na cztery oddziały i wyznacza spotkanie nazajutrz wieczorem przy stawie Lage, niedaleko gór Aracata, gdzie, jak wypada z jego obliczeń, dotrze już do tego czasu przednia straż wojska, które wczoraj wyruszyło z Monte Santo. Jeżeli napotkają patrol, nie wolno im przyjąć walki; niech się ukryją i pozwolą mu przejść, najwyżej niech wyślą za nim tropiciela. Za wszelką cenę muszą podprowadzić heretyków do Faveli: nikt i nic nie może im w tym przeszkodzić.

Sam, na czele siedemdziesięciu ludzi, wyrusza ostatni. Ku wojnie, raz jeszcze... Tyle już razy, odkąd przestał być dzieckiem, wyruszał tak, nocami, po kryjomu, żeby uderzyć znienacka albo uniknąć uderzenia, że i tym razem nie czuje żadnego niepokoju. Dla Pajeju żyć to uciekać albo iść na spotkanie wrogów, wiedząc, że przed nim i za nim, zawsze i wszędzie, były i będą kule, ranni i trupy.

Przed oczami — uparcie, natrętnie — znowu staje mu twarz tej kobiety. Caboclo próbuje odegnać te zrezygnowane oczy, te gładkie włosy luźno opadające na ramiona, te blade policzki, i gorączkowo szuka czegoś, czym mógłby zająć myśli. Obok idzie Taramela, drobny, energiczny, żuje coś, szczęśliwy, że są razem, jak w czasach cangaco. W nagłym przeblysku Pajeju pyta go, czy ma przy sobie to mazidło z żółtek, które jest najlepszym lekarstwem na ukąszenie węża. Taramela przypomina mu, że sam rozdzielił je po trochu między Joa-quima Macambirę, Mane Quadrado i Felicia. „Tak, prawda”, mówi Pajeii. A ponieważ Taramela milknie i patrzy wyczekująco, Pajeii chce się jeszcze dowiedzieć, czy dla wszystkich starczyło glinianych lampek, dzięki którym będą mogli porozumiewać się nocami na odległość, jeśli zajdzie potrzeba. Taramela ze śmiechem przypomina mu, że przecież sam dopilnował, aby wzięli je ze składu braci Vilanova. Pajeju mamrocze pod nosem, że ten brak pamięci to znak, że jest już stary. „Albo zakochany”, żartuje Taramela. Pajeju czuje, że palą go policzki, a twarz tej kobiety znowu staje mu przed oczami. Dziwnie zawstydzony, myśli: „Nie wiem, jak się nazywa, nie wiem, skąd jest”. Jak wróci do Belo Monte, musi ją o to zapytać.

Osiemdziesięciu jaguncos idzie za nim i za Taramela: jedni milczą, inni rozmawiają,

ale tak cicho, że chrzęst żwiru i miarowe skrzypienie rzemiennych sandałów tłumi ich głosy. Są wśród nich ci, którzy chadzali razem z nim na cangaco, i ci, którzy byli towarzyszami wypraw Joao Mnicha albo Pedrao, zabijaki z lotnych oddziałów żandarmerii, a nawet ochotnicy z Gwardii Chłopskiej i piesi dezertery. To Ojciec, tam w Niebie, i Nauczyciel, tu na ziemi, sprawili ten cud, że ludzie, którzy do niedawna byli nieprzejednanymi wrogami, maszerują teraz ramię w ramię; to oni zbratali kaina z kainem, przemienili w braterstwo nienawiść królującą w sertonie.

Pajeii przyspiesza kroku i maszeruje zwawo przez całą noc. Kiedy o świcie dochodzą do gór Caxamando i pod osłoną żywopłotu z xique-xique i mandacarusów robią postój, żeby coś zjeść, głód wszystkim dał się już we znaki.

Taramela budzi Pajeii po czterech godzinach snu. Przyszło dwóch tropicieli. To jeszcze młodzi chłopcy. Obaj dyszą ze zmęczenia, a jeden rozciera sobie spuchnięte stopy: mówią, że idą za wojskiem od Monte Santo. Żołnierzy są tysiące. Podzieleni na dziewięć oddziałów, posuwają się bardzo powoli, bo mają kłopoty z transportem broni, wozów i namiotów, a marsz opóźnia jeszcze wielka armata, która grzęźnie co chwila i muszą poszerzać dla niej drogę. Ciągnie ją aż czterdzieści wołów. Robią najwyżej pięć mil dziennie. Pajeu przerywa im: nieważne, ilu ich jest, ważne, gdzie są. Chłopak, który rozciera sobie stopy, mówi, że zrobili postój w Rio Pequenho, a nocowali w Caldeirao Grande. Potem skręcili w stronę Gitirany, gdzie znowu się zatrzymali, a w końcu, napotykając po drodze liczne przeszkody, dobrnęli do Jiia, gdzie spędzili kolejną noc.

Trasa obrona przez heretyków jest dla Pajeu zaskoczeniem. Dlaczego nie idą śladem poprzednich ekspedycji? Czyżby zamierzali nadejść nie przez Bendengó, Cambaio albo góry Cañabrava, ale przez Rosario? Jeżeli tak, to wszystko pójdzie gładko, bo starczy parę podchodów i sztuczek, żeby zaprowadzić ich wprost na Favelę.

Wysła do Belo Monte jednego z tropicieli, żeby powtórzył Joao Mnichowi wszystko, co usłyszeli przed chwilą, po czym ruszają dalej. Idą, nie zatrzymując się aż do zmierzchu, niespokojną okolicą zarośniętą mangabeirami, cipo i macambirami. Przy stawie Lage czekają już Macambira, Felicio i Mane Quadrado, któremu przeciął drogę konny patrol, penetrujący teren od Aracaty do Juete. Przykucnięci za ścianą kaktusów, widzieli jego przejście, a w parę godzin później powrót. Czyli wszystko jest jasne: skoro wysyłają zwiady w kierunku Juete, to znaczy, że wybrali drogę przez Rosario. Stary Macambira drapie się w głowę: po co robić takie koło? Po co nadkładać czternaście, piętnaście mil drogi?

— Bo tam jest płasko — mówi Taramela. — Prawie nie ma wzniesień i spadków. Będzie im łatwiej przeprowadzić armaty i wozy.

Zgadniają się, że to najbardziej prawdopodobne. Kiedy inni odpoczywają, Pajeu, Taramela, Mane Quadrado, Macambira i Felicio naradzają się. Ponieważ są niemal pewni, że wojsko nadejdzie od Rosario, postanawiają, że Mane Quadrado i Joaquim Macambira zaczną się gdzieś w okolicy, a Pajeu i Felicio przyłączą się do nich za górami Aracata.

O świcie Macambira i Mane Quadrado odchodzą, zabierając ze sobą połowę ludzi. Pajeii wysła Felicia przodem z sześćdziesięcioma jaguncos w stronę Aracaty: mają obsadzić drogę na przestrzeni pół mili, żeby szczegółowo rozpoznać ruchy batalionów. Pajeii zostanie tutaj.

Staw Lage nie jest stawem. Może i kiedyś był tam staw, z którego pozostała tylko wilgotna niecka, gdzie uprawiano kukurydzę, jukę i fasolę. Pajeu zapamiętał to miejsce, bo często nocował w okolicznych chatach, teraz spalonych. Tylko jedna z nich ma nietknięte ściany i cały dach. Jakiś Metys z jego oddziału pokazuje na dachówkę i mówi, że przydałyby się do Świątyni Dobrego Jezusa. W Belo Monte już nie robią dachówek, bo we wszystkich

piecach wytapia się kule. Pajeii kiwa głową i każe rozebrać dach. Rozsyła ludzi po okolicy. Wydaje właśnie polecenia tropicielowi, którego wyprawia do Canudos, gdy wtem słyszy tętent i rzenie. Pada na ziemię, kryje się wśród kamieni. Widzi stamtąd, że jego ludzie też się zdążyli schować, zanim pojawił się patrol. Wszyscy, oprócz tych, którzy rozbierają dach. Widzi dalej, jak tuzin jeźdźców ściga trzech jaguncos, umykających zygzakiem na wszystkie strony. Znikają wśród skał, chyba nie są ranni. Ale czwarty nie zdążył zeskoczyć z dachu. Pajeu próbuje dojrzeć, który to, ale nie, jest za daleko: jagunco patrzy przez chwilę na wymierzone w niego karabiny i podnosi ręce nad głowę na znak, że się poddaje. Ale nagle rzuca się na jednego z jeźdźców. Chce odebrać mu konia, uciec wierzchem? Nie udaje mu się: żołnierz pociąga go ze sobą na ziemię. Jagunco szarpie się, wali pięściami na prawo i lewo, aż wreszcie dowódca plutonu wypala mu z pistoletu prosto w pierś. Widać, że robi to niechętnie, że chciałby go wziąć żywcem. Patrol odchodzi. Pajeii jest zadowolony ze swoich ludzi: oparli się pokusie, chociaż mogli wybić do nogi te ścierwa.

Zostawia Taramelę przy stawie Lage, żeby pochowali zabitego jagunco. Sam odchodzi zająć pozycje na wzgórzach w połowie drogi do Aracaty: przemykają się małymi grupkami z dala od ścieżki, a przy pierwszych skałkach — dobry punkt obserwacyjny — dostrzegają forpocztę wojska. Pajeu czuje, że blizna na twarzy ściera się, napina, jakby na jej miejscu miała otworzyć się świeża rana. Zawsze tak jest, kiedy nadchodzą krytyczne chwile, kiedy przeżywa coś wyjątkowego. Żołnierze uzbrojeni w kilofy, łopaty, maczety i piły oczyszczają i wyrównują drogę, zwalają drzewa, usuwają kamienie. Musieli mieć ciężką przeprawę wśród ostrych, poszarpanych szczytów gór Aracata: idą trójkami, półmadzy, przewiązani w pasie koszulami, prowadzeni przez konnych oficerów. Heretyków rzeczywiście jest sporo, jeżeli aż dwustu ludzi musi przecierać im szlak. Z daleka Pajeu dostrzega podążającego trop w trop za saperami jednego z jaguncos Felicia.

Wieczór dopiero się zaczyna, kiedy mija ich pierwszy z dziewięciu oddziałów. Kiedy przechodzi ostatni, niebo usiane jest gwiazdami, a okrągła tarcza księżyca oblewa seroton słabą, żółtą poświatą. Przechodzili, czasem jeden za drugim, czasem w kilometrowych odstępach, pieszo i konno, w czapkach, w kapeluszach, w kamaszach, w ciężkich butach, w sandałach; migały lederwerki, zmieniał się krój i barwa mundurów: zielonkawych, niebieskich z czerwonymi wypustkami, szarych ze złotymi guzikami. W środku każdego oddziału armatnie zaprzęgi. Pajeii — blizna ani na chwilę nie przestaje palić mu twarzy — rachuje amunicję i prowianty: siedem wozów zaprzężonych w woły, czterdzieści trzy wózki zaprzężone w osły, około dwustu tragarzy zgiętych pod ciężarem tobołów (wielu z nich to jaguncos). Wie, że w tych drewnianych skrzyniach są naboje do karabinów: w głowie piętrzy mu się labirynt liczb, kiedy próbuje odgadnąć, ile kul wypada na jednego mieszkańca Belo Monte.

Jego ludzie zamarli w bezruchu: żaden nie odetchnie, żaden nie mrugnie, żaden nie otworzy ust. Niemi, nieruchomi, stopieni w jedno z kamieniami, kaktusami i zaroślami, słuchają trąbek przenoszących rozkazy od batalionu do batalionu, patrzą na sztandary powiewające nad głowami chorążych, łowią okrzyki ludzi obsługujących działa, poganiających woły, muły, osły. Każdy oddział ugrupowany jest w trzy kolumny: środkowa czeka, nie ruszając się z miejsca, dopóki oba skrzydła nie wysuną się naprzód. Po co ten manewr, który tak opóźnia marsz, że nie wiadomo, czy idą naprzód, czy się cofają? Pajeu domyśla się, że chcą uniknąć niespodziewanej napaści, nie chcą dać się zaskoczyć z flanki, jak to przytrafiło się Rzeźnikowi i jego żołnierzom, których jaguncos zaatakowali z samego skraju ścieżki. Kiedy tak napawa się tym hałaśliwym, różnobarwnym widowiskiem, rozgrywającym się powolnie u jego stóp, w myślach powtarza wciąż te same pytania: którądy zamierzają podejść? co będzie, jeżeli rozłożą się wachlarzem, żeby ruszyć na Canudos z dziesięciu stron naraz?

Po przejściu tylnej straży zjada garść tapioki, zagryza rapadurą i zbiera się do odejścia, żeby czekać na żołnierzy w Juete, o dwie mile stąd. Po drodze, która zajmuje im parę godzin, Pajeu słyszy, jak jego ludzie rozprawiają półgłosem o olbrzymiej armacie, której nadali imię Matadeira. Ucisza ich. Faktycznie, jest ogromna. Jednym wystrzałem może zburzyć wiele domów, a nawet podziurawić kamienne mury nieukończonych Świątyni. Trzeba ostrzec Joao Mnicha przed tą Matadeira.

Tak jak wyliczył, żołnierze obozują przy stawie Lagę. Pajeu podchodzi ze swoimi ludźmi tak blisko namiotów, że słyszą rozmowy wartowników. Spotykają się z Taramelą przed północą w Juete. Na miejscu zastają gońca od Mane Quadrado i Macambiry: obydwaj są już w Rosario. Po drodze widzieli konne patrole. Podczas gdy przy blasku księżyca jego ludzie piją i obmywają twarze w sadzawce Juete, gdzie przedtem prowadzali swoje stada okoliczni pasterze, Pajeu wyprawia tropiciela z wieściami dla Joao Mnicha, a potem układa się do snu między Taramelą i jakimś starszym, który ciągle mówi o Matadeira. Byłoby dobrze, żeby któryś z jaguncos dał się złapać heretykom: niech zezna, że wszystkie drogi do Belo Monte są obsadzone, oprócz wzgórz Faveli. Pajeu długo obraca tę myśl, aż wreszcie zasypia. We śnie nawiedza go tamta kobieta.

Kiedy zaczyna się rozwidniać, przybywa oddział Felicia. Zaskoczył go jeden z żołnierskich patroli osłaniających konwój bydła i kóz, idący za kolumną. Jaguncos rozpięchli się, bez strat w ludziach; nie przyszedł na czas, bo długo trwało, zanim zebrali się z powrotem, a i tak trzech gdzieś przepadło. Kiedy dowiadują się o starciu przy stawie Lagę, jakiś curiboca, niespełna trzynastoletni chłopak, goniec I Pajeu, wybuchł płaczem. Jest synem jagunco, którego heretycy zaskoczyli na dachu i zabili.

Kiedy rozbici na małe grupki maszerują w stronę Rosario, Pajeu podchodzi do chłopca, który siłą powstrzymuje się od łez, chociaż czasami z gardła wyrывa mu się szloch. Pyta go bez ogródek, czy chce zrobić coś dla Nauczyciela, coś, co pomści śmierć jego ojca. Chłopak patrzy nań z taką determinacją, że nie trzeba innej odpowiedzi. Pajeu tłumaczy, o co chodzi. Otaczają ich inni jaguncos: słuchają, spoglądając to na niego, to na chłopca.

— Nie wystarczy, żebyś dał się złapać — mówi Pajeu. — Muszą być przekonani, że nie chciałeś dać się złapać. I nie zaczynaj gadać od razu. Muszą być przekonani, że zmusili cię do mówienia. Masz im pozwolić, żeby cię bili, nawet okaleczyli. Muszą być przekonani, że się boisz. Tylko wtedy ci uwierzą. Dasz radę?

Oczy chłopca są suche, jego twarz poważnieje, jakby w pięć minut wydorósł o pięć lat.

— Dam radę, Pajei.

Spotykają się z Mane Quadrado i Macambirą pod Rosario: z tutejszej fazendy pozostały tylko ruiny senzali i dworu. Pajei rozstawia ludzi w rowie po prawej stronie drogi. Nie wolno im strzelać bez rozkazu: heretycy muszą zobaczyć ich ucieczkę w stronę Bendengó. Chłopiec jest przy nim. W rękach ściska strzelbę śrutówkę, prawie tak długą jak on sam. Przechodzi oddział saperów, nie spostrzegłszy niczego. Dopiero później, kiedy pojawia się pierwszy batalion, wybuch strzelanina. Podnoszą się kłęby pyłu: Pajei czeka z wystrzałem, aż kurz trochę opadnie. Mierząc spokojnie, wystrzeliwuje z mannlichera, który służył mu jeszcze pod Uaua, sześć kul, co parę sekund jedna. Słyszy zgiełk gwizdków, trąbek, krzyków, widzi popłoch w szeregach żołnierzy. Wreszcie, opanowawszy jako tako zaskoczenie, ponaglani przez dowódców, przykłękają i odpowiadają ogniem. Trąbki jazgoczą jak opętane, zaraz nadejdą posiłki. Docierają do niego słowa oficerów; żołnierze, posłuszni rozkazom, ruszają za napastnikami w głąb catingi.

Wówczas ładuje karabin, podnosi się i na czele swoich jaguncos wyskakuje na środek



drogi. Staje twarzą w twarz z żołnierzami, którzy znajdują się o pięćdziesiąt metrów od niego, celuje i opróżnia w nich cały magazynek. Jego ludzie robią to samo. Z zarośli wyskakują nowi jaguncos. Żołnierze wreszcie ruszają im naprzeciw. Chłopak, który nie odstępował go na krok, przystawia sobie śrutówkę do ucha i strzela z zamkniętymi oczami. Skronie zalewa mu krew.

— Weź moją strzelbę, Pajeii — mówi. — Pilnuj jej. Jak ucieknę, wrócę do Belo Monte.

Pada na ziemię i zaczyna wrzeszczeć, trzymając się za twarz. Pajeii rzuca się biegiem — kule bzykają ze wszystkich stron — i na czele jaguncos niknie w catindze. Jakiś oddział rusza za nimi: pozwalają się ścigać przez dłuższy czas. Kluczą w zaroślach xique-xique i wysokich mandacarusów, aż żołnierze spostrzegają się, że ludzie Macambiry strzelają im w plecy. Wycofują się. Pajeju zawraca także. Podzieliwszy ludzi tak jak przedtem na cztery oddziały, każe im zawrócić, wysforować się przed żołnierzy i oczekiwać ich w Baixas, milę za Rosario. Po drodze wszyscy mówią, że chłopak dzielnie się spisał. Czy protestanci uwierzą, że to oni go zranili? Będą go przesłuchiwać? Czy wściekli, że dali się złapać w pułapkę, rozniosą go na szablach?

Po kilku godzinach z gęstych zarośli gliniastej równiny Baixas — odpoczęli, zjedli, pogadali z ludźmi, doliczyli się jedenastu rannych i dwóch zabitych — Pajeii i Taramela widzą nadchodzące forpoczty kolumny wojsk. Na czele, uwiązany na powrozie przy koniu, w obstawie żołnierzy idzie chłopak. Kuleje, na spuszczonej głowie bieleje bandaż. „Uwierzili mu — myśli Pajeju. — Prowadzą go na przedzie, wzięli go na przewodnika”. Zalewa go fala uczucia dla dzieciaka.

Taramela trąca go łokciem i szepcze, że heretycy nie idą w tym samym szyku co w Rosario. Rzeczywiście. Niesione na przedzie chorągwie, przedtem niebieskie, teraz są szkarłatne ze złotem, a pochód otwiera artyleria z Matadeirą na czele. Idące na skrzydłach oddziały przeczesują catingę: jeśli zostaną tu dłużej, któryś z nich wyjdzie wprost na nich. Pajeju wysłał Macambirę i Felicia do Rancho do Vigario, gdzie wojsko z pewnością stanie obozem. Na czworakach, bezszelestnie, nie mącąc żadnym ruchem spokoju gałęzi, ludzie starego i Felicia odchodzą i giną mu z oczu. Wkrótce potem wybucha strzelanina. Odkryli ich? Pajeju nie rusza się: w odległości pięciu metrów od siebie widzi przez plataninę zarośli konny oddział uzbrojony w długie lance z żelaznym grotem. Usłyszawszy strzały, żołnierze przyspieszają, pędzą galopem przy dźwięku trąbek. Ogień nie ustaje, przybiera na sile. Pajeju nie patrzy na Taramelę, nie patrzy na żadnego spośród rozplaszczonych na ziemi, skulonych pod gałęziami jaguncos. Wie, że półtorej setki ludzi wstrzymuje, tak samo jak on, najłżejszy nawet oddech i ruch, bo łączy ich myśl, że Macambira i Felicio giną teraz z rąk wroga. Nagle wstrząsa nim huk eksplozji. Ale głośniejszy niż armatni wystrzał brzmi w jego uszach zduszony okrzyk, który wyrwał się jakiemuś jagunco, tuż za jego plecami. Nie odwraca się, żeby go zwymyślać: w tym wrzasku i rzeniu nie mogli go usłyszeć. Po armatniej salwie strzały cichną.

W ciągu następnych godzin blizna, jakby rozżarzona do czerwoności, wysyła palące fale do jego mózgu. Źle wybrał miejsce, dwiema razami przechodzą mu za plecami patrole: pod ciosami drwali krzew; fruują w powietrzu. Tamci chyba tylko cudem nie widzą jego ludzi, chociaż niemal po nich depczą. A może ci drwale to wybrani Dobrego Jezusa? Jeśli ich odkryją, ocaleje niewielu, bo przy tych tysiącach żołnierzy wojsko otoczy ich z łatwością. To ten lęk, że zostaną zdziesiątkowani, zanim zdążą wypełnić swą misję, przemienia w żywą ranę jego twarz. Ale ruszać się z miejsca akurat teraz przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi.

Kiedy zaczyna się ściemniać, naliczył już dwadzieścia oślich zaprzęgów: brakuje jeszcze połowy. Przez pięć godzin patrzył na żołnierzy, armaty, zwierzęta. Nigdy by nie pomyślał, że na świecie jest tylu żołnierzy. Czerwona kula zachodzi szybko, za pół godziny

będzie ciemno. Każe Tarameli zabrać połowę ludzi do Rancho do Vigario i umawia się z nim w grotach, gdzie leży ukryta broń. Ściskając mu ramię, szepcze: „Uważaj na siebie”. Jaguncos odchodzą po trzech, po czterech, pochyleni tak nisko, że piersią dotykają kolan.

Pajeii czeka, aż na niebie pokażą się gwiazdy. Naliczył jeszcze dziesięć wozów, zyskując pewność, że żaden oddział nie poszedł inną drogą. Podnosi do ust drewnianą świstawkę i dmucha krótko. Tak długo tkwi tu bez ruchu, że bolą go wszystkie kości. Mocno rozciera sobie łydki przed dalszą drogą. Sięga do kapelusza, żeby mocniej nacisnąć go na głowę, ale przypomina sobie, że zgubił go w Rosario: zmiotła go ta sama kula, której gorący oddech czuje do tej pory.

Marsz do Rancho do Vigario, dwie mile od Baixas, jest powolny, męczący: idą skrajem ścieżki, gęsiego, zatrzymując się co chwila, pełzną niczym glisty po nieosłoniętym terenie. Przychodzą już po północy. Omijają dom misjonarzy, od którego miejsce to przyjęło nazwę, i zbaczają na zachód w poszukiwaniu skalistego wąwozu, za którym znajdują się wzgórza z grotami, gdzie jaguncos wyznaczyli sobie spotkanie. Na miejscu czekają już Joaquim Macambira i Felicio, którzy stracili tylko trzech ludzi w starciu z żołnierzami. Jest z nimi także Joao Mnich.

Siedzą na ziemi w jaskini, wokół naftowej lampy. Pajeii popija ze skórzanego bukłaka słoną wodę i zajada fasolę z oliwą. Opowiada Joao Mnichowi, co widział, co robił, czego się obawiał i czego domyślał, odkąd opuścił Canudos. Były cangaceiro słucha go z uwagą, nie przerywa, czeka z pytaniami, aż Pajeu umilknie, żeby pociągnąć łyk lub przełknąć jedzenie. Obok siedzą inni: Taramela, Mane Quadrado i stary Macambira, który co chwila wtrąca swoje trzy grosze, przerażony Matadeirą. Na zewnątrz jaguncos pokładli się spać. Noc jest jasna, grają świerszcze. Joao Mnich mówi, że kolumna idąca od Sergi-pe i Geremoabo jest o połowę mniej liczna, nie więcej niż dwa tysiące ludzi. Pedrao i bracia Vilanova czekają na żołnierzy w Cocorobó. „To najlepsze miejsce na zasadzkę — mówi. — Dalej jest płasko. Od trzech dni całe Belo Monte kopie transeje tam, gdzie dotąd stały zagrody. Chcą się ubezpieczyć na wypadek, gdyby Pedrao i bracia Vilanova nie zdołali zatrzymać republikanów w Cocorobó”. I zaraz wraca do sprawy, która dla nich jest najważniejsza. Zgadza się z nimi, że jeżeli kolumna doszła aż do Rancho do Vigario, rano przejdzie przez góry Angico. Bo jeśli nie, będzie musiała nadłożyć dziesięć mil na zachód, zanim znajdzie inną drogę dla swoich armat.

— Za Angico się zacznie — mruczy Pajeii.

Joao Mnich, jak zawsze, kreśli po ziemi czubkiem noża.

— Jeżeli zбочą za Tabolerinho, wszystko weźmie w łeb. Ludzie czekają już na nich pod Favelą.

Pajeii przypomina sobie rozwidlenie grani za najeżonym piarżyskiem Angico. Jeśli nie skręcą na Pitombas, nie dojdą do Faveli. A ni— by dłaczego mieliby skręcać na Pitombas? Równie dobrze mogą pójść inną drogą, tą, która prowadzi do podnóży Cambaio i Tabolerinho.

— Chyba że natkną się na ścianę kul — mówi Joao Mnich, oświetla— jąc lampą pokreśloną ziemię. — Jeżeli nie będą mieli przejścia tamtędy, nie pozostanie im nic innego, jak skręcić na Pitombas i Umburanas.

— No to poczekamy na nich pod Angico — godzi się Pajeii. — Będziemy ostrzeliwać drogę z prawej strony. Zobaczą, że szlak jest zamknięty.

— To jeszcze nie wszystko — mówi Joao Mnich. — Musicie potem zdążyć na czas, żeby wzmocnić Joao Wielkiego w Riacho. Po drugiej stronie mamy dość ludzi. Ale w Riacho jest nas mało.

Zmęczenie i napięcie nagle spadają na Pajeii: Joao Mnich widzi, jak uśpiony osuwa się na ramię Tarameli, który układa go na ziemi i wyjmuje mu z rąk karabin i fuzję chłopca curiboki. Joao Mnich żegna się z nimi krótkim „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”.

Kiedy Pajeu budzi się, nad wąwozem wstaje dzień, ale wokół niego jest jeszcze ciemna noc. Potrząsa za ramię Taramelę, Felicia, Mane Quadrado i starego Macambirę, którzy razem z nim spali w grocie. Kiedy wzgórze powleka niebieskawy blask, uzupełniają z zapasów zakopanych przez Gwardię Katolicką amunicję zużytą w Rosario. Każdy jagunco niesie teraz w torbie trzysta nabołów. Pajeii każe im powtórzyć, co mają robić. Cztery oddziały wyruszają w różne strony.

Wspiąwszy się na płaszczyznę gór Angico, Pajeii — zaatakuj pierwszy i pozwól się gonić stąd aż do Pitombas, gdzie czekają już inne oddziały — słyszy daleki dźwięk trąbek: kolumna ruszyła do marszu. Zostawia na szczycie dwóch jaguncos i idzie zacząć się u stóp zbocza, naprzeciw spadzistej platformy, stanowiącej jedyne przejście dostępne dla ciężkich wojskowych zaprzęgów. Wyznacza ludziom stanowiska w gęstwinie zarośli, blokując drogę, która odchodzi na zachód, i raz jeszcze powtarza im, że tym razem nie chodzi o pozorowanie ucieczki: biec będą później. Najpierw trzeba przetrzymać strzelaninę. Niech te antychrysty myślą, że mają przed sobą setki jaguncos. Potem muszą dać się zobaczyć, a potem niech gonią ich, choćby do Pitombas. Jeden z zostawionych na szczycie jaguncos przynosi wiadomość, że zbliża się patrol sześciu żołnierzy. Pozwalają im przejść, nie strzelają. Jeden spada z konia, bo skała jest śliska, zwłaszcza rankiem, z powodu wilgoci nagromadzonej przez noc. Po tym patrolu przechodzą jeszcze dwa inne, a za nimi saperzy, uzbrojeni w łopaty, oskardy i piły. Drugi patrol zbacza w stronę Cam-baio. Źle. Czy to znaczy, że mają zamiar przebić się tamtędy? Niemal zza ich pleców wylania się przednia straż. Czyżby wszystkie dziewięć oddziałów szło teraz razem, tak blisko siebie?

Jednym ruchem zarzuca karabin na ramię i mierzy w siwego mężczyznę na koniu, chyba dowódcę, kiedy nagle pada strzał, potem drugi, za nim cała salwa. Widzi zamieszanie na skalnej platformie: protestanci wpadają w panikę, przepychają się, depczą jedni drugich. Strzela i mówi sobie, że trzeba sprawdzić, kto rozpętał tę strzelaninę, nie czekając na jego znak. Powoli, mierząc starannie, opróżnia swoją torbę z nabojami i nie może pozbyć się myśli, że przez ten pochopny wystrzał heretycy mieli czas wycofać się bezpiecznie na szczyt.

Platforma pustoszeje, ogień ustaje. Na wierzchołku mającą czerwono-niebieskie czapki, błyski bagnetów. Żołnierze, ukryci pod osłoną skał, usiłują ich zlokalizować. Słyszy szcęk broni, głosy ludzi, zwierząt, czasem jakieś przekleństwo. Nagle na platformę wypada pluton prowadzony przez oficera, który macha szablą w stronę catingi. Pajeu widzi, jak bodzie piętami bułanego konia, niespokojnego, roztańczonego. Żaden z jeźdźców nie ześlizgnął się z platformy: zasypywani gradem kul, bez szwanku docierają do stóp wzgórza, ale już w pierwszych zaroślach catingi padają jeden za drugim. Oficer z szablą, trafiony celnym strzałem, krzyczy: „Pokażcie się, tchórze!”. „Pokazać się, żeby nas wybili do nogi? — myśli Pajeu. — I to ateiści nazywają męstwem?”. Dziwne rozumowanie. Diabeł jest nie tylko przewrotny, ale i głupi. Ponownie ładuje karabin, rozgrzany w ogniu. Platforma zapełnia się żołnierzami, inni spuszczają się po skałach. Pajeu, ciągle spokojny, z okiem na muszcę, oblicza, że jest ich przynajmniej stu, może stu pięćdziesięciu.

Kątem oka dostrzega żołnierza szamoczącego się z jakimś jagunco. „A ten skąd się tu wziął?”, dziwi się Pajeu. Bierze nóż w zęby jak w czasach cangaco. Blizna pali mu twarz, słyszy tuż obok wyraźne okrzyki: „Niech żyje republika!”, „Niech żyje marszałek Floriano!”, „Śmierć Anglikom!”. Jaguncos odpowiadają: „Śmierć Antychrystowi!”, „Niech żyje Nauczyciel!”, „Niech żyje Belo Monte!”.

„Nie możemy tu zostać, Pajeu”, mówi Taramela. Po platformie schodzi teraz zwarta masa pieszych i konnych żołnierzy, zjeżdżają wozy zaprzężone w woły, toczy się armata pod osłoną dwóch oddziałów, które ostrzeliwują catingę; raz po raz zagłębiają bagnety w gęstwinie, łudząc się, że przebiją na wylot niewidzialnego wroga. „Albo odejdziemy teraz, albo zostaniemy tu na zawsze”, powtarza Taramela, ale w jego głosie nie ma strachu. Pajeu chce się upewnić, że żołnierze rzeczywiście obrali kierunek na Pitombas. Tak, nie ma wątpliwości: rzeka mundurów płynie na północ; na zachód nie skręca nikt, oprócz tych, którzy przeczesują zarośla. Wystrzeliwuje ostatnie kule, potem chowa nóż i z całych sił dmucha w drewnianą świstawkę. W jednej chwili zewsząd wyskakują jaguncos: skuleni, na czworakach, biegną tyłem, przemykają od drzewa do drzewa, pędzą co tchu, prześlizgują się między nogami żołnierzy. „Nikt nie zginął”, myśli zdumiony. Znowu dmucha w świstawkę i razem z Taramelą ruszają do odwrotu. Czy nie zwlekał za długo? Nie biegnie po prostej: wykreśla kulfony zakrętów, kluczycy tam i z powrotem, żeby nie mogli wziąć go na cel. W oddali, z prawa i z lewa, widzi żołnierzy, którzy podnoszą broń do twarzy albo biegną z nastawionymi bagnetami w pościgu za jaguncos. Gnając przez catingę ile sił w nogach, znów myśli o tamtej kobiecie, o tamtych dwóch, którzy się dla niej pozabijali: a może to taka, co przynosi pecha?

Jest wyczerpany, serce o mało mu nie pęknie. Taramelą też dyszy ze zmęczenia. Jak to dobrze, że jest przy nim ten wierny druh, przyjaciel wypróbowany od lat, z którym nigdy, ani razu, się nie posprzeczał. Wtem wyrastają przed nim cztery mundury, cztery pistolety. „Padnij, padnij!”, krzyczy. Rzuca się na ziemię i toczy się, słysząc co najmniej dwa strzały. Ledwie zdołał się ukryć, a już jego karabin wycelowany jest w żołnierzy, którzy idą wprost na niego. Mannlicher zaciął się, kurek bezradnie uderza o iglicę. Słyszy strzał, jeden z protestantów pada, łapiąc się za brzuch. „Tak, Taramelą, przynosisz mi szczęście”, myśli, chwytając za kolbę, i rzuca się na trzech żołnierzy, zdezorientowanych widokiem ранego towarzysza. Uderza, powala jednego, ale dwaj pozostali spadają mu na kark. Czuje piekące ukłucie. Nagle twarz jednego z żołnierzy tryska krwią, słychać okrzyk bólu. To Taramelą przedarł się do nich i uderzył niby pocisk. Pajeu walczy dalej, ale z takim przeciwnikiem jak ten poradzi sobie bez trudu. To jakiś smarkacz: poci się, wciśnięty w mundur krępujący swobodę ruchów. Mocują się, aż wreszcie Pajeu wrywa mu karabin i żołnierz ucieka. Taramelą i ten drugi, sapiąc, tarzają się po ziemi.

Pajeu podchodzi i błyskawicznie zatapia nóż, aż po rękojeść, w szyi żołnierza, który charczy, drga i nieruchomieje. Taramela naciera ranę caboclo mazidłem z żółtek i owija koszulą jednego z zabitych. „Przynosisz mi szczęście”, mówi Pajeu. „Tak”, odpowiada Taramela. Nie mogą już teraz biec, bo oprócz swego własnego ekwipunku niosą karabiny i tornistry żołnierzy.

Wkrótce potem słyszą strzelaninę. Początkowo dość niemrawa, stopniowo przybiera na sile. To ludzie Felicia atakują w Pitombas forpoczty kolumny. Pajeu cieszy się na myśl, że żołnierze wściekną się, kiedy zobaczą zżarte przez sępy resztki mundurów, butów, czapek i lederwerków ludzi Rzeźnika, zwisające z gałęzi drzew. Prawie przez całą drogę do Pitombas trwa strzelanina. „Ileż oni mają kul, że mogą tak strzelać i strzelać”, dziwi się Taramela. Nagle ogień cichnie. Felicio pewnie już się wycofuje, ściągając na siebie wojsko aż do Umburanas, gdzie stary Macambira i Mane Quadrado powitają je gradem kul.

Pajeu i Taramela muszą chwilę odsapnąć, bo ciężar karabinów i tornistrów daje im się we znaki. Kiedy dochodzą do catingi Pitombas, zastają tam jeszcze rozproszonych jaguncos. Od czasu do czasu strzelają w stronę kolumny wojsk, z niezmaconym spokojem płynącej w żółtawym obłoku kurzu ku głębokiej depresji wyschniętego rzeczno-łożyska, które sertaneros nazywają drogą Umburanas.

— Chyba nie tak bardzo cię boli, Pajeu, skoro się śmiejesz — mówi Taramela.

Pajeu dmucha w drewnianą świstawkę, dając znać jaguncos, że już tu jest, i myśli, że ma powód do radości: heretycy, batalion za batalionem, schodzą do wąwozu przez Umburanas, drogą, która zawiedzie ich wprost ku Faveli.

Stoi razem z Taramela na lesistej równinie, zawieszanej ponad nagimi ścianami wąwozów; nie kryją się wcale, niewidoczni dla oczu żołnierzy oślepionych przez słońce. Widzą, jak wojsko, tam, w dole, zaniebieszczą, czerwieni szarawą ziemię. Przez cały czas słyszą pojedyncze strzały. Wciąż przybywają nowi jaguncos: czołgają się, wychodzą z jaskiń, spuszcza się z ambon zamaskowanych wśród drzew. Wokół Pajeu robi się tłoczno. Ktoś podaje mu bukłak pełen mleka: popija małymi łykami, z kącików ust ściekają mu białe strużki. Nikt nie pyta go o ranę, raczej starają się na nią nie patrzeć, jakby była czymś wstydliwym. Pajeu zjada garść owoców, które wkładają mu w ręce: quixabay, kawałki umbii, mangabay. Jednocześnie słucha urywanego raportu dwóch mężczyzn zostawionych tu przez Felicia, który odszedł wzmacnić Joaquim Macambirę i Mane Quadrado w Umburanas. Heretycy nie od razu zareagowali na strzały z równiny: może obawiali się, że na zboczu staną się zbyt łatwym celem, a może się domyślali, że atakuje ich tylko garstka. Ale kiedy Felicio stanął ze swoim oddziałem na krawędzi wąwozu i protestanci zobaczyli, że zaczynają tracić ludzi, posłali za nim kilka plutonów. Przez jakiś czas żołnierze usiłowali wspiąć się na górę, a jaguncos spychali ich z powrotem w dół, aż wreszcie żołnierze odeszli, znikając w zaroślach. Felicio wyruszył zaraz potem.

— Jeszcze przed chwilą — mówi jeden z wysłanników Felicia — było tu pełno wojska.

Taramela doliczył się trzydziestu pięciu ludzi i pyta, czy czekać na resztę.

— Nie ma czasu — odpowiada Pajeu. — Jesteśmy potrzebni gdzie indziej.

Dla orientacji pozostałych zostawia na szczycie jednego ze swoich jaguncos, między resztę rozdziela broń i tornistry, które przydzwigał ze sobą, i wyrusza skrajem przepaści na spotkanie Mane Quadrado, Felicia i Macambiry, pokrzepiony odpoczynkiem, napitkiem i jadłem. Mięśnie już go nie boją, blizna mniej pali. Idzie szybko, nie kryjąc się, krętą ścieżyną. U jego stóp trwa przemarsz kolumny wojsk. Jej czoło jest już daleko, może wspina się na stoki Faveli, bo chociaż nic nie przesłania mu widoku, nie może go dostrzec. Rzeka żołnierzy, koni, armat, wozów nie ma końca. „Zupełnie jak grzechotnik”, myśli Pajeu.

Bataliony to pierścienie, mundury to łuski, proch armat to jad, który zatruwa ofiary. Chciałby opowiedzieć to wszystko tamtej kobiecie.

Wtem słyszy strzały. Wszystko poszło tak, jak zaplanował Joao Mnich. Są tam, strzelają do węża ze skał Umburanas, nieubłaganie spychają go ku Faveli. Okrążywszy jakiś pagórek, widzi pluton jeźdźców wspinający się na górę. Zaczyna strzelać do zwierząt, chce strącić je na dno przepaści. Ależ mają konie, jak one się wspinają na tę pionową stromiznę. Pod karabinową salwą padają dwa, ale większość dociera na szczyt. Pajeii daje rozkaz ucieczki. Biegnie, wiedząc, że ludzie mają do niego żal, że pozbawił ich łatwego zwycięstwa.

Dotarłszy do wąwozu, gdzie zastaje resztę jaguncos, Pajeii widzi, że jego towarzysze mają kłopoty. Stary Macambira, którego dostrzega po dłuższej chwili, tłumaczy mu, że żołnierze bombardują szczyty, zrzucając im na głowy lawiny kamieni, a każdy przechodzący korpus podsyła na górę świeże oddziały. „Sporo naszych zginęło — mówi stary, pedantycznie ładując karabin: podsypuje prochu, przybijają stemplem. — Co najmniej dziesięciu — chrząka — nie wiem, czy wytrzymamy następny atak. Co wtedy?”.

Ze swego miejsca Pajeu widzi przed sobą promienistą wiązkę grzbietów masywu

Faveli, a dalej Monte Mario. Wzgórza, z szarych i brunatnożółtych, stały się niebieskawe, czerwone, zielonkawe i poruszają się, jakby oblażło je robactwo.

— Już od trzech czy czterech godzin tak włożą — mówi stary Ma cambira. — Nawet działa tam wciągnęli. I Matadeirę też.

— No, to zrobiliśmy, co do nas należało — mówi Pajeu. — Chodźmy teraz wzmocnić Riacho.

Kiedy Sardelinie zapytały, czy pójdzie z nimi gotować dla mężczyzn, którzy czekają na żołnierzy w Trabubii i Cocorobó, Jurema powiedziała: „Dobrze”. Jej odpowiedź była równie automatyczna jak wszystko, co mówiła i robiła. Karzełek czynił jej o to gorzkie wymówki, a z ust okularnika wyrwał się ów dźwięk, ni to jęk, ni to gulgot, jaki wydawał z siebie zawsze, ilekroć coś napawało go lękiem. Już od dwóch miesięcy byli w Canudos i nigdy nie rozstawali się ze sobą.

Myślała, że Karzełek i okularnik zostaną w mieście, ale kiedy konwój złożony z czterech mułów, dwudziestu tragarzy i tuzina kobiet był gotów, ruszyli razem z nią. Szli drogą do Geremoabo. Nikt nie przejął się obecnością dwóch intruzów, którzy nie mieli broni ani oskardów, ani łopat do kopania transzei. Mijając zagrody, odbudowane i znowu pełne kóz i owiec, wszyscy zaczęli śpiewać hymny, ułożone podobno przez Aniołka. Jurema szła w milczeniu, czując przez sandały kamienie leżące na ścieżce. Karzełek śpiewał razem z innymi. Okularnik w skupieniu wpatrywał się w ziemię. Stapał ostrożnie, jedną ręką podtrzymując przy prawym oku szylkretową ramkę, w którą powciskał kawałki rozbitych okularów. Przy tym mężczyźnie, który zdawał się mieć więcej kości niż inni ludzie, kiedy tak człapał niezdarnie, z oczami utkwionymi w dziwny przyrząd z okruchów szkła, wiecznie wpadając na kogoś lub na coś, Jurema zapominała chwilami o swojej złej gwiazdzie. W ciągu tych wszystkich tygodni, kiedy była mu okiem, laską i pociechą, wyobrażała sobie, że jest jego matką. Rozśmieszała ją to i po kryjomu bawiła się myślą, że ten dryblas jest jej synem. Bóg stawiał na jej drodze dziwnych ludzi, jakich istnienia nawet by nie podejrzewała: Galileo Galla, cyrkowców albo tego pechowca, który właśnie się potknął.

Po drodze spotykali uzbrojone oddziały gwardzistów; zatrzymywali się, żeby rozdzielić między nich tapiokę, owoce, rapadurę, suszone mięso i naboje. Co chwila pojawiali się posłańcy: zwalniali biegu, żeby porozmawiać z Antoniem Vilanovą. Wówczas w gromadzie podnosiły się szeptki. Temat był zawsze ten sam: wojna, nadchodząca heretycka armia. W końcu zrozumiała, że idą na nich dwa wojska, jedno od Queimadas przez Monte Santo, a drugie przez Sergipe i Geremoabo. W ubiegłych dniach wyruszyły tam setki jaguncos. Każdego wieczoru podczas nauk, na które Jurema uczęszczała bardzo pilnie, Nauczyciel przykazywał, żeby się za nich modlić. Widziała powszechną obawę przed nową wojną, ale dla niej ważne było tylko to, że na tę wojnę wyruszył i pewnie szybko nie wróci krzepki caboclo z blizną, którego oczy napawały ją lękiem.

Konwój dotarł do Trabubu o zmierzchu. Nakarmili jaguncos obwarowanych wśród okolicznych skał i zostawili z nimi trzy kobiety. Potem ruszyli dalej w stronę Cocorobó. Ostatni odcinek pokonali już po ciemku. Jurema podała okularnikowi rękę. Mimo jej pomocy potykał się tak często, że Antonio Vilanova posadził go na muła, na workach z kukurydzą. U wejścia do wąwozu Cocorobó przywitał ich Pedrao. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, prawie taki jak Joao Wielki, starszy już Mulat o jasnej cerze, z wysłużoną maczugą na ramieniu, z którą nie rozstawał się nawet we śnie. Był boso, w spodniach sięgających przed kostkę i kamizeli odsłaniającej opalone ręce. Mówiąc, drapał się co chwila po krągłym brzuchu. Juremę przeraził jego widok, pamiętała bowiem opowieści, jakie krążyły o nim w Varzea de Ema, gdzie dopuścił się wielkich zbrodni z bandą kompanów o zbójceckich twarzach, którzy nie odstępowali go ani na krok. Czuła, że przestawanie z ludźmi takimi jak

Pedrao, Joao Mnich albo Pajeu, żeby nie wiem jak byli teraz święci, jest równie niebezpieczne jak towarzystwo jaguara, węża i tarantuli, które, wiedzione mrocznym instynktem, mogą w każdej chwili rozszarpać lub ukąsić.

Na razie jednak Pedrao wyglądał nieszkodliwie: roztopiony w ciemnościach nocy rozmawiał z braćmi Vilanova, którzy niby zjawy wyłonili się spoza skał. Wraz z nimi spuścili się po piarżysku liczni jaguncos, żeby pomóc tragarzom, zgiętym pod ciężarem tobołów. Jurema pomagała rozpaść chrust. Mężczyźni otwierali skrzynki z amunicją, worki z prochem, rozdzielali lonty. Kobiety zabrały się do gotowania. Jaguncos byli tak wygłodniali, że nie mogli się doczekać jedzenia. Tłoczyli się wokół Asuncióń Sardelinii: napełniała wodą miski i blaszanki, a inne kobiety rozdawały im garście manioku; zapanował ogólny rozgardiasz i Pedrao musiał przywołać ich do porządku.

Pracowała całą noc, raz za razem napełniała garnki, smażyła mięso, podgrzewała fasolę. Wszyscy ci mężczyźni byli dla niej jak jeden człowiek o wielu obliczach. Podchodzili po dziesięciu, po piętnastu, a kiedy któryś rozpoznał wśród kucharek swoją żonę, brał ją pod rękę i prowadził na stronę, żeby porozmawiać. Dlaczego Rufino nie poszedł z innymi do Canudos? Gdyby tak zrobił, żyłby dotąd.

Zagrzmiało. Ale powietrze było suche, nic nie zapowiadało deszczu. Zrozumiała, że to huk armat; Pedrao i bracia Vilanova kazali pogasić ogniska, a tych, którzy jeszcze jedli, wysłali z powrotem na górę. Sami jednak nie ruszyli się z miejsca. Rozmawiali. Pedrao powiedział, że żołnierze znajdują się pod Canche; nie zjawią się tu prędko. Noce spędzają na postojach, szedł za nimi od Simao Dias i zna ich obyczaje. Jak tylko się ściemnia, rozstawiają namioty i strażę, ruszają dopiero następnego dnia. O świcie, przed wymarszem, strzelają w powietrze: ten wystrzał to pewnie znak, że odchodzą z Canche.

— Dużo ich jest? — wtrącił ktoś z ziemi głosem, który przypominał skrzeczenie ptaka. — Ilu ich jest?

Jurema zobaczyła, że wstaje; jego sylwetka rysowała się między nią i rozmawiającymi mężczyznami, długa, patykowata, z oczami wlepionymi w okulary sklecone z okruchów szkła. Bracia Vilanova i Pedrao wybuchnęli śmiechem, a za nimi kobiety, które zbierały naczynia i resztki jedzenia. Ona jednak stłumiła śmiech. Zrobiło jej się przykro. Czy jest na świecie ktoś bardziej nieporadny i wystraszony niż jej syn? Wszystkiego się boi: potracających go ludzi, paralityków, opętanych i trędowatych, żebraków, szczura przebiegającego przez sklep; krzyczy z byle powodu, blednie na twarzy, szuka jej ręki.

— Nie liczyłem — zarechotał Pedrao. — Po co, przecież i tak ich wybijemy do nogi.

Rozległ się nowy wybuch śmiechu. Niebo nad nimi zaczęło się rozjaśniać.

— Lepiej, żeby kobiety stąd odeszły — powiedział Honorio Vilanova.

Jak jego brat, oprócz strzelby nosił pistolet i buty z cholewami. Jurema uważała, że bracia Vilanova strojem, mową, a nawet urodą różnią się bardzo od reszty mieszkańców Canudos. Ale nikt nie traktował ich inaczej.

Pedrao zapomniał o okularniku i kiwnął na kobiety, żeby poszły za nim. Połowa tragarzy wspięła się już na górę, a reszta czekała z tobołami na grzbiecie. Czerwony łuk podnosił się z za wzgórz Cocoro-bó. Okularnik, kręcąc głową, wciąż siedział na tym samym miejscu, chociaż konwój ruszył, żeby się schować w pobliskich skałach. Jurema wzięła go za rękę: była mokra od potu. Spoza strzaskanych szkieł spojrzały na nią z wdzięcznością rozbiegane oczy. „Chodźmy — powiedziała, ciągnąc go za sobą — zostaliśmy w tyle”. Obudzili Karzelka, który spał beztrudnie. Kiedy doszli na osłoniętą platformę tuż pod szczytem, forpoczą wojska wchodziły do wąwozu i bitwa już się zaczęła. Bracia Vilanova i

Pedrao zniknęli: kobiety, okularnik i Karzełek zostali sami wśród złomisk, wsłuchani w strzały. Jurema słyszała je, dalekie, rozproszone, to z prawej, to z lewej, przytłumione przez wiatr. Nie widziała nic. Ściana omszałych skał zasłaniała strzelców. Ta wojna, mimo że była tak blisko, wydawała jej się bardzo odległa. „Dużo ich jest?“, wybełkotał okularnik, wciąż uczepony jej ręki. Odpowiedziała, że nie wie, i poszła pomóc Sardelinioom zdjąć juki mułom, przygorować cebry z wodą, garnki z jedzeniem, maści, lekarstwa i pasy na bandażę, które aptekarz włożył do jednej ze skrzynek. Zobaczyła, że Karzełek wdrapuje się na szczyt. Okularnik usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach, jakby płakał. Ale kiedy jedna z kobiet krzyknęła, żeby nabierał gałęzi na szałas, zerwał się z miejsca. Jurema widziała, jak gramoli się z wysiłkiem, macając wokół siebie w poszukiwaniu patyków, liści i trawy, jak potyka się, żeby po nie sięgnąć. Był taki komiczny, kiedy łąził tam i z powrotem, padając i wstając, gapiąc się w ziemię przez te swoje dziwaczne okulary, że kobiety zaczęły z niego pokpiwać, pokazując go sobie palcami. Karzełek zniknął w piarżysku.

Wtem strzały nasiliły się i przybliżyły. Kobiety znieruchomiały. Jurema zobaczyła, że spoważniały nagle, zapatrzone, zasłuchane w nieprzerwane błyski i trzaski; zapomniały o okularniku, a przypomniały sobie o swoich mężach, ojcach, synach, którzy na przeciwległym zboczach byli celem tego ognia. Mignęła jej przed oczami twarz Rufina. Ju-remma przygryzła wargi. Nie bała się, chociaż ogłuszał ją huk wystrzałów. Czowała, że ta wojna jej nie dotyczy i dlatego kule ją oszczędzą. Ogarnęła ją wielka senność, przytuliła się do skały, tuż przy Sardeliniaach.

Spała i nie spała zarazem, pogrążona w przytomnym śnie, świadoma strzelaniny wstrząsającej górami nad Cocorobó, i śniła o innych strzałach, które rozległy się tamtego ranka w Queimadas, tamtego świtu, kiedy o mało co nie zabili jej capangas i kiedy zgwałcił ją cudzoziemiec o dziwacznej mowie. Śniła, że wiedząc, co się z nimi stanie, prosiła go, żeby jej zaniechał, tłumaczyła, że zgubi Rufina, ją i siebie, ale on nie rozumiał jej języka, nie zwracał uwagi na prośby.

Kiedy się obudziła, okularnik, skulony u jej stóp, patrzył na nią spojrzeniem Głupka z cyrku. Dwaj jaguncos, otoczeni wianuszkami kobiet, pili wodę z dzbana. Wstała i podeszła dowiedzieć się, co słychać. Karzełek nie wrócił, a strzelanina nie słabła. Przyszli po amunicję; ledwo mogli mówić ze zmęczenia i napięcia: wąwóz zasłany był ciałami ateistów, padali jak muchy, ilekroć ruszali do ataku na szczyt. Jaguncos raz za razem odpierali natarcia, nie dopuszczając ich nawet do połowy zbocza. Ten, który mówił, mały człowieczek o rzadkiej bródce przyprószonej siwizną, wzruszył ramionami: cóż z tego? Żołnierzy jest tak wielu, że nic ich nie powstrzyma. Im za to zaczyna kończyć się amunicja.

— A co będzie, jeżeli zajmą zbocza? — usłyszała Jurema bełkot okularnika.

— W Trabubu nie zdołają ich zatrzymać — wychrypiał drugi jagun — co. — Tam już prawie nikogo nie ma, wszyscy przyszli nam pomóc.

Jakby te słowa przypomniały im, że muszą odejść, jaguncos mruknęli: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus“ i Jurema zobaczyła, jak znikają za skałami. Sardelinie powiedziały, że trzeba podgrzać jedzenie, bo lada chwila nadejdzie więcej ludzi. Pomagając im, Jurema czuła, że uczepony jej spódnicy okularnik dygocze jak w febrze. Odgadła jego przerażenie, lęk, że mężczyźni w mundurach wychyną lada chwila zza skał, strzelając i ścinając wszystko, co stanie im na drodze. Strzelaninę przerywały wybuchy armatnich pocisków, którym towarzyszył łoskot kamieni, jak przy trzęsieniu ziemi. Jurema wspominała, jak jej syn miotał się w rozterce przez te wszystkie tygodnie, nie wiedząc, co zrobić ze sobą: zostać czy uciekać. Chciał odejść, pragnął tego, i po nocach, kiedy wyciągnięci na podłodze w sklepie słyszeli chrapanie rodziny Vilanova, mówił im, rozdygotany: chce odejść stąd, uciec do Salwadoru, do Cumbe, do Monte Santo, do Geremoabo, gdzie mógłby zwrócić się o pomoc, dać znać



przyjaciołom, że żyje. Ale jak tu iść, skoro mu zabronili? Dokąd by doszedł sam jeden, na wpół ślepy? Schwytaliby go i zabili. Czasami próbował ją namówić w tych szeptanych nocnych rozmowach, żeby zaprowadziła go do pierwszej lepszej wioski, gdzie mógłby nająć przewodników. Ofiarowywał jej wszystkie skarby świata, jeżeli mu pomoże, ale opamiętawszy się, mówił, że ucieczka byłaby szaleństwem, bo znaleźliby ich i pozabijali wszystkich. Przedtem drżał przed jaguncos, teraz drży przed żołnierzami. „Mój biedny synuś”, pomyślała. Było jej smutno, czuła się zniechęcona. Zabiją ją żołnierze? I co z tego? Ciekawe, czy to prawda, że kiedy umiera któryś z pielgrzymów, przylatują anioły po jego duszę? W każdym razie śmierć będzie wytchnieniem, snem bez koszmarów, na pewno lepszym niż to życie, jakie prowadziła, odkąd odeszła z Queimadas.

Nagle kobiety wstały. Poszła za ich wzrokiem: ze szczytów pędziło ku nim kilkunastu jaguncos. Kanonada przybrała na sile; Juremie wydawało się, że wybucha w jej głowie. Razem z innymi podbiegła do nich i zrozumiała, że chcą więcej amunicji; nie mieli czym walczyć, ludzie byli wściekli. Kiedy Sardelinie odparły „jaka amunicja?”, przecież ostatnią skrzynkę zabrali przed chwilą dwaj jaguncos, spojrzeli po sobie, a jeden splunął i tupnął ze złością. Częstowały ich jedzeniem, ale oni tylko się napili, podając sobie chochłę z ręki do ręki, i pobiegli z powrotem na górę. Kobiety patrzyły, jak piją i odchodzą, spoceni, ze ściągniętymi brwiami, z nabrzmiałymi żyłami, z przekrwionymi oczami, i o nic już nie pytały. Ostatni odwrócił się do Sardelinii.

— Wracajcie lepiej do Belo Monte. Nie wytrzymamy długo. Za dużo ich jest, nie mamy kul.

Po chwili wahania kobiety, zamiast podejść do mułów, ruszyły na górę. Jurema nie wiedziała, co robić. Nie są szalone: poszły na tę wojnę, bo tam są ich mężczyźni, chciały dowiedzieć się, czy jeszcze żyją. Nie myśląc więcej, pobiegła za nimi, krzycząc do okularnika skamieniałego z otwartymi ustami, żeby na nią zaczekał.

Wspinając się na wierzchołek, podrapała sobie ręce, dwa razy się przewróciła. Podejście było strome; bolało ją serce, brakowało jej tchu. Nad sobą widziała chmury, żółtawe, ołowiane, pomarańczowe, wiatr skłębiał je, rozpędzał i napędzał, a do jej uszu oprócz strzałów, oderwanych, bliskich, docierały jakieś niewyraźne odgłosy. Schodziła na czworakach po gładkim zboczu, próbując się rozejrzeć. Znalazła dwa wielkie głazy leżące jeden na drugim; wpatrzyła się w tumany kurzu. Powoli zaczynała widzieć, wyczuwać, odgadywać. Jaguncos nie byli daleko, ale trudno ich było dojrzeć, bo stapiali się w jedno z podłożem. Odnajdywała ich wzrokiem, ukrytych w jamach, skąd wystawały tylko głowy, skulonych za kamiennymi płytami albo w kaktusowych zaroślach. Na przeciwległych wzgórzach, których masywne sylwetki rysowały się niewyraźnie w tumanie pyłu, było ich jeszcze więcej, strzelali przyczajeni, rozproszeni wśród skał. Miała wrażenie, że za chwilę ogłuchnie, że te wybuchy będą ostatnim dźwiękiem, jaki słyszy.

I wówczas zdała sobie sprawę, że te ciemne, ruchome zarośla na dnie wąwozu, pięćdziesiąt metrów niżej, to żołnierze. Tak, żołnierze: w płamie, która wpelzała pod górę, coraz bliżej i bliżej, widziała jakieś błyski, lśnienia, odbłaski, czerwone iskierki — wystrzały? bagnety? szable? — pojawiały się i znikwały zamazane twarze. Rozejrzała się w obie strony: po prawej plama dotarła już niemal do jej stóp. Poczowała ucisk w żołądku i nagłe mdłości. Zwymiotowała przez ramię. Była sama na środku zbocza, zdawało jej się, że za chwilę zaleje ją ta wzbierająca fala. Bezwiednie, bezwładnie zsunęła się na siedząco w najbliższe zagłębienie terenu, gdzie dostrzegła trzy kapelusze: dwa skórzane i jeden słomiany. „Nie strzelać, nie strzelać!”, krzyknęła, tocząc się po ziemi. Ale żaden z jaguncos nie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, kiedy wskoczyła do jamy, osłoniętej kamiennym parapetem. Wówczas zobaczyła, że dwóch z tamtych trzech nie żyje. Spleceni uściskiem, podtrzymywali się

nawzajem jak głązy, za którymi była ukryta. Jednemu wybuch zmienił twarz w jasnoczerwoną miazgę, w oczach i ustach drugiego kłębiły się roje much. Pozostały przy życiu jagunco spojrział na nią z ukosa. Przymrużywszy jedno oko, mierzył starannie, za każdym strzałem karabin uderzał go w ramię. Nie odrywając oka od muszki, poruszył wargami. Jurema nie zrozumiała, co powiedział. Podeszła do niego na czworakach. Na próżno. W uszach czuła szum i tylko to mogła dosłyszeć. Pokazał coś i wreszcie zrozumiała, że chce sakwę, leżącą obok trupa bez twarzy. Podała mu ją i zobaczyła, że jagunco, siedząc po turecku, czyści karabin i ładuje go spokojnie, jakby miał dużo wolnego czasu.

— Żołnierze już tu są! — krzyknęła Jurema. — O mój Boże, co z na mi będzie, co z nami będzie?!

Wzruszył ramionami i znowu usadowił się przy parapecie. Powinna odejść z tej transzei, wrócić na tamtą stronę, uciekać do Ca-nudos? Ciało odmawiało jej posłuszeństwa, nogi miała jak z waty; jeżeli wstanie, upadnie. Dlaczego nie przychodzą, dlaczego zwlekają, przecież widziała ich tak blisko? Jagunco poruszał ustami, ale ona wciąż słyszała tylko ten nieokreślony szum, w który teraz wmieszały się jakieś metaliczne dźwięki: czyżby trąbki?

— Nic nie słyszę, nic nie słyszę! — krzyknęła na cały głos. — Ogłuchłam!

Jagunco kiwnął głową i dał jej znak, jakby chciał pokazać, że ktoś odchodzi. Był młody, miał długie, kędzierzawe włosy, spływające spod ronda kapelusza z zielonkawej skóry. Na ramieniu nosił opaskę Gwardii Katolickiej. „Co?!”, krzyknęła Jurema. Pokazał jej na migi, żeby wyjrzała zza parapetu. Depcząc po martwych ciałach, wystawiła głowę przez otwór między kamieniami. Żołnierze zeszli niżej. Odchodzili. „Dlaczego odchodzą, przecież wygrywają?”, pomyślała, patrząc, jak połykają ich wiry kurzu. Dlaczego odchodzą, zamiast wspiąć się na górę i dobić ostatki jaguncos?

Kiedy sierżant Fructuoso Medrado — 1. Kompania, 22. Batalion — słyszy trąbkę do odwrotu, wydaje mu się, że zwariował. Jego oddział znajduje się na czele kompanii, a ta z kolei na czele batalionu w ataku na bagnety. Po raz piąty tego dnia szturmują zachodnie stoki Cocorobó: prą naprzód, bagnetem i szablą wyluskując Anglików z kryjówek. Sierżantowi po prostu nie mieści się w głowie, a ma ją dość dużą, że każą im się wycofywać teraz, kiedy zajęli już trzy czwarte zbocza. Ale nie, nie myli się: wszystkie trąbki wzywają do odwrotu. Przez kłęby kurzu patrzy na swoich jedenastu strzelców, ukrytych na dobrze osłoniętych pozycjach, i widzi, że są tak samo zdziwieni jak on. Czy tam, w sztabie, upadli na głowę, żeby odbierać im zwycięstwo, kiedy wystarczy już tylko oczyścić szczyty? Anglików jest ledwie garstka, są prawie bez amunicji; sierżant Fructuoso Medrado dostrzega daleko na górze tych, którzy wymknęli się kolejnym falom żołnierzy, i widzi, że nie strzelają: wymachują rękami, wywijają nożami i maczetami, ciskają kamieniami. „Jeszcze nie zabiłem mojego Anglika”, myśli Fructuoso.

— Dlaczego 1. Pluton Strzelców nie słucha rozkazu?! Na co czekacie?! — krzyczy dowódca kompanii, kapitan Almeida, który nagle wyrasta obok niego.

— 1. Pluton Strzelców! Odwrót! — wrzeszczy natychmiast sierżant i jedenastu ludzi rzuca się pędem w dół zbocza.

Ale jemu samemu się nie spieszy; dotrzymuje kroku kapitanowi.

— Zaskoczył mnie ten rozkaz, wasza wielmożność — mruczy, przechodząc na lewą stronę oficera. — O co tu chodzi? Odwrót? I to teraz?

— Mamy słuchać, nie rozumować — mówi kapitan Almeida, który ześlizguje się na piętach, podpierając się szablą jak laską. Ale po chwili dodaje, nie tając złości: — Ja też tego nie rozumiem. Wystarczyło ich dobić, to była już dziecinna igraszka.

Fructuoso Medrado myśli, że jednym z minusów żołnierskiego życia, które tak mu się przecież podoba, są zagadkowe decyzje dowództwa. Uczestniczył w pięciu natarciach na wzgórzu Cocorobó, a mimo to nie jest zmęczony. Walczy od sześciu godzin, odkąd o świcie tego dnia jego batalion, idący w przedniej straży kolumny, znalazł się nagle w krzyżowym ogniu, u wylotu wąwozu. Za pierwszym razem szedł tuż za 3. Kompanią i widział, jak oddziały<sup>1</sup> strzelców chorążego Sepiilvedy skosiła karabinowa salwa oddana nie wiadomo skąd. Za drugim stracili tylu ludzi, że trzeba się było wycofać. Trzeciego natarcia dokonały dwa bataliony 6. Brygady, 26. i 32., a kompania kapitana Almeidy wykonała na rozkaz pułkownika Carlosa Marii de Silva Tellesa manewr okrążający. Niestety, nieudany, bo na tylnym zboczu przecięły im drogę cierniste zarośla. Wracając, sierżant poczuł pieczenie w lewej ręce: kula urwała koniec małego palca. Nie bolało go i w taborach, kiedy lekarz batalionu dezynfekował mu dłoń, żartował, żeby podnieść morale rannych leżących na noszach. Do czwartego natarcia zgłosił się na ochotnika, mówiąc, że chce się zemścić za ten kawałek palca i zabić choć jednego Anglika. Dotarli do połowy wzgórza, ale z takimi stratami, że raz jeszcze musieli się wycofać. Za to teraz pobili ich na całej linii: po co ten odwrót? Może po to, żeby 5. Brygada dobiła resztę, a całą chwałę zgarnął pułkownik Donaciano de Araujo Pantoja, ulubieniec generała Savageta? „Niewykluczone”, mruczy kapitan Almeida.

U stóp wzgórza, gdzie kompanie wśród przepychanek próbują ustawić się w szyku, poganiacze usiłują zaprzęgnąć pociągowe zwierzęta do dział, wozów i sanitarek, trąbki podają sprzeczne sygnały, jęczą ranni, sierżant Fructuoso Medrado odkrywa przyczynę nagłego odwrotu: kolumna wojsk idąca z Queimadas i Monte Santo wpadła w zasadzkę. Druga kolumna, zamiast ruszyć na Canudos od północy, pójdzie forsownym marszem, żeby wy dostać tamtych z potrzasku.

Sierżant zaciągnął się do wojska jako czternastoletni chłopak, był na wojnie z Paragwajem, walczył w rewolucjach nękających Południe od upadku monarchii. Nie robi na nim wrażenia pomysł marszu w nieznanym terenie, po całodziennej walce. I to jakiej walce! Bandyci biją się dobrze, wiadomo. Nawet nie drgnęli pod gradem armatnich kul, a kiedy żołnierze rzucili się na nich z bagnetami, bronili się zażarcie: sukinsyny, walczą jak Paragwajczycy. On sam, po paru łykach wody i kilku sucharach, czuje się rześki i wypoczęty, ale jego ludzie są wyczerpani. Są jeszcze zupełnie zieloni, rekrutowani w Bage przez ostatnie pół roku; dzisiaj przeszli swój chrzest. Całkiem nieźle sobie poczynali, nie widział, żeby się który przestraszył. Czyżby jego bali się bardziej niż Anglików? Dla podwładnych jest ostry, niech wiedzą, z kim mają do czynienia. Zamiast regulaminowych kar — cofnięcie przepustki, karcer, kije — sierżant woli strzelić w pysk, palnąć w ucho, kopnąć w tyłek albo wytarzać w świńskim gnoju. Są nieźle wyszkoleni, udowodnili to dzisiaj. Wszyscy wyszli cało, z wyjątkiem żołnierza Corintia, który uderzył się o kamień i teraz kuleje. Jest chuderlawy, ciężki plecak przygniata go do ziemi. Porządny chłop ten Corintio: uczynny, zrywa się przykładnie o świcie, a w dodatku są prawie krewniakami. Przez żonę, Florisę. Sierżanta bierze nagła chętka. Chichocze w duchu. „Niezła z ciebie dziwka, Florisa — myśli — staje mi na odległość, i to na wojnie”. Ma ochotę roześmiać się w głos: co też za głupstwa chodzą mu po głowie. Patrzy na Corintia, który kuleje, zgarbiony pod plecakiem; wspomina dzień, kiedy na bezczelnego zjawiał się w obejściu praczki: „Jak się ze mną nie prześpisz, Florisa, wpakuję Corintia do ścisłego, bez prawa odwiedzin. Będzie siedział, aż się zdecydujesz”. Florisa opierała się przez miesiąc; uległa z początku po to, żeby zobaczyć się z Corintiem, ale teraz, myśli sierżant Fructuoso, sypia z nim, bo jej się spodobało. Robią to u niej w domu albo w zakolu rzeki, gdzie zwykle chodzi prac. Po pijanemu Fructuoso przechwala się tym związkim na prawo i lewo. Czy Corintio coś podejrzewa? Nie, nie wie o niczym. Albo udaje, że nie wie. No, bo co mu może zrobić? Sierżant to kawał chłopca, a w dodatku jest jego

dowódcą.

Słyszysz strzały, gdzieś po prawej, idzie więc poszukać kapitana Al-meidy. Mieli rozkaz iść na odsiecz pierwszej kolumnie, nie dopuścić, żeby rozbili ją fanatycy. Bandyty strzelają dla zmylenia przeciwnika: chcą ściągnąć ich na siebie i zatrzymać w Trabubu. Generał Savaget wyznaczył dwa bataliony z 5. Brygady, które się nimi zajmą, podczas gdy inne szybkim marszem podążą tam, gdzie znajduje się teraz generał Oscar. Kapitan Almeida jest tak ponury, że Fructuoso pyta, czy wszystko w porządku.

— Za duże straty — mruczy kapitan. — Ponad dwustu rannych, siedemdziesięciu zabitych, zginął major Tristao Sucupira. Nawet generał Savaget jest ranny.

— Generał Savaget? — mówi sierżant. — Ależ przed chwilą widziałem go na koniu, wasza wielmożność.

— Bo to naprawdę dzielny chłop — odpowiada kapitan. — W brzuchu ma dziurę od kuli.

Fructuoso wraca do swoich strzelców. Przy tylu rannych i zabitych mieli szczęście: wyszli bez szwanku, nie licząc kolana Corintia i jego własnego małego palca. Ogląda ranę. Nie boli, ale krwawi, na bandażu widać ciemną plamę. Lekarz, który go opatrywał, major Nieri, roześmiał się tylko, kiedy sierżant zapytał, czy skreśli go z rejestru za inwalidztwo. „Co, może nie widziałeś kalekich oficerów i żołnierzy?” Tak, widział. Ale włosy mu stają na głowie, kiedy pomyśli, że mogliby go skreślić. Co by ze sobą zrobił? Nie ma żony, dzieci, rodziców, wojsko jest dla niego wszystkim.

Podczas marszu wokół szczytów otaczających Canudos piechota, jazda i artylerzyści z drugiej kolumny słyszą co chwila strzały dobiegające ze skalistych, zarośniętych chaszczami wertepów. Jakaś kompania zwalnia i oddaje kilka salw. Reszta, nie zatrzymując się, idzie dalej. O zmierzchu 22. Batalion nareszcie robi postój. Trzystu ludzi zrzuca tornistry i karabiny. Są wykończeni. Ta noc nie jest taka jak inne, jak wszystkie te noce, które minęły, odkąd opuścili Aracajii, udając się w te strony przez Sao Cristovao, Lagarto, Itaporangę, Simao Dias, Geremoabo i Canche. Przedtem na postojach żołnierze szlachtowali bydło i rozchodzili się w poszukiwaniu wody i chrustu, a noc nappełniała się dźwiękami gitar, pieśnią i gawędą. Teraz nikt się nie odzywa. Nawet sierżant jest zmęczony.

Odpoczynek nie trwa długo. Kapitan Almeida zwołuje dowódców plutonów, żeby dowiedzieć się, ile im zostało nabojów: niech uzupełnią braki, tak żeby każdy żołnierz miał w tornistrze dwieście kul. Oznajmia też, że ich brygada pójdzie teraz w przedniej straży, a jego batalion wysunie się na samo czoło. Animusz sierżanta Fructuosa Medrado odżywa, ale wiadomość, że mają iść jako szpica, nie wywołuje najmniejszej reakcji wśród jego ludzi, którzy ruszają do marszu z ziewaniem, bez słowa komentarza.

Kapitan Almeida powiedział, że wejdą w kontakt z pierwszą kolumną dopiero o świcie, ale nie upłynęły nawet dwie godziny, a już forpoczty 4. Brygady widzą w oddali ciemny masyw Faveli, gdzie według słów łączników generała Oscara znajduje się on sam, okrążony przez bandytów. Dźwięk trąbek przeszywa bezwietrzną, ciepłą noc i zaraz w oddali słychać sygnał odpowiedzi. Przez batalion przechodzi fala radosnych okrzyków: tam, na górze, są ich towarzysze. Sierżant Fructuoso Medrado widzi, że jego ludzie, również wzruszeni, wymachują czapkami i krzyczą: „Niech żyje republika! Niech żyje marszałek Floriano!”.

Pułkownik Silva Telles rozkazuje kontynuować marsz ku Faveli. „To sprzeczne z zasadami taktyki tak rzucać się prosto w paszczę lwa, w nieznanym terenie — prycha kapitan Almeida do chorążych i sierżantów, wydając ostatnie instrukcje: — Idźcie naprzód jak

skorpiony, krok w tę, krok w tamtą, utrzymujcie odległości i unikajcie niespodzianek". Sierżantowi Medrado też się wydaje, że to niezbyt inteligentnie pchać się naprzód po omacku, wiedząc, że od pierwszej kolumny oddziela ich wróg. Wkrótce bliskość niebezpieczeństwa pochłania go bez reszty; na czele swego plutonu posuwa się po kamienistym gruncie, wężąc na prawo i lewo.

Strzelanina spada na nich znienacka, nagle, piorunująca, zagłusza trąbki z Faveli, które ich prowadzą. „Padnij, padnij!”, ryczy sierżant, rozplaszczony na kamieniach. Wyteża słuch: ogień idzie z prawej? Tak, z prawej. „Macie ich po prawej! — ryczy. — Przygrzejcie im, chłopcy!”. A kiedy wsparty na lewym łokciu ładuje swój karabin, myśli, że dzięki tym angielskim bandytom ogląda rzeczy tak zadziwiające, jak odwrót z bitwy już wygranej albo żołnierzy strzelających po omacku w nadziei, że Pan Bóg poniesie kule, gdzie trzeba. Żeby tylko nie pozabijali się nawzajem. Przypomina sobie zasady, jakie wpajał im na szkoleniu: „Zabłąkana kula godzi w tego, kto ją wystrzelił; strzelaj tylko wtedy, kiedy widzisz cel”. Ależ jego ludzie muszą się teraz śmiać... Coraz to w przerwach strzelaniny słychać przekleństwa, jęki. Wreszcie przychodzi rozkaz, żeby wstrzymać ogień; znowu wzywają ich trąbki z Faveli. Kapitan Almeida jeszcze przez chwilę trzyma kompanię na „padnij”, dopóki nie upewnia się, że bandyci zostali odparci. Strzelcy sierżanta Fructuosa Medrado otwierają pochód.

„Od kompanii do kompanii, osiem metrów. Od batalionu do batalionu, szesnaście. Od brygady do brygady, pięćdziesiąt”. Kto zdoła zachować odległość po omacku? Regulamin mówi też, że dowódca plutonu powinien być na tyłach w marszu, na czele w ataku, w środku na polu bitwy. Mimo to sierżant idzie na czele, bo myśli, że jeśli się cofnie, jego ludzie mogą osłabnąć, rozkojarzeni marszem w ciemnościach, z których lada chwila wytrysną kule. Co pół godziny, co godzina, może co dziesięć minut — nic już nie wie, bo te błyskawiczne ataki, które trwają przez mgnienie oka i czynią większą szkodę nerwom niż ciału, mącą mu poczucie czasu — grad pocisków powala ich na ziemię i zmusza do bezsensownej strzelaniny, bardziej honorowej niż skutecznej. Podejrzewa, że napastników jest niewielu, może nawet dwóch lub trzech. Ale świadomość, że ciemności sprzyjają Anglikom, którzy widzą ich, sami nie będąc widziani, wyczerpuje sierżanta i wyprowadza go z równowagi. Jak mogą czuć się jego ludzie, skoro on, taki doświadczony, reaguje w ten sposób.

Chwilami dźwięki trąbek z Faveli zdają się oddalać. Wzajemne sygnały zakłócają, opóźniają marsz. Dwa razy robią krótki odpoczynek, żeby żołnierze mogli się napić i obliczyć straty. Kompania kapitana Almeidy wyszła bez szwanku, za to w oddziale kapitana Noronii jest trzech rannych.

— No i widzicie, szczęściarze, wyszliście cało — pociesza swoich sierżant.

Zaczyna świtać. W słabym świetle widać, jak uśmiechają się z ulgą, że skończył się wreszcie koszmar strzałów z ciemności, że teraz już będą widzieli, co mają pod nogami i kto ich atakuje.

Ostatni odcinek jest dziecinną igraszką w porównaniu z tym, co było przedtem. Grzbiety Faveli są tuż; w świetle wstającego dnia sierżant rozróżnia pierwszą kolumnę: niebieskawe plamy, punkciki, które stopniowo przeobrażają się w sylwetki ludzi, zwierząt, wozów, tworzących jedno bezładne skupisko. „Też niezbyt zgodnie z taktyką i regulaminem”, myśli Fructuoso Medrado. Mówi właśnie do kapitana Almeidy — plutony znów się połączyły i cała kompania maszeruje czwórkami na czele batalionu — że wróg się gdzieś ulotnił, kiedy o kilka kroków od nich, wśród gałęzi i pni, wyrastają nagle głowy, ramiona i lufy karabinów, które naraz plują ogniem. Kapitan Almeida szarpie za rewolwer, chcąc wyciągnąć go z kabury, zgina się wpół, łapie ustami powietrze, a w wielkiej, rozczochranej głowie sierżanta Fructuosa Medrado pojawia się błyskawiczna myśl, że paść teraz na ziemię byłoby samobójstwem, bo wróg jest tuż; cofnąć się też nie może, bo trafiliby go natychmiast. Z

karabinem w rękę wrzeszczy co sił w płucach: „Naprzód, naprzód, naprzód!” i sam daje przykład, wskakując w gardziel najbliższej transzei, ziejącą za kamiennym parapetem. Wpada do środka i czuje, że cyngiel ani drgnie, za to ostrze bagnetu pograża się w czymś ciele i grzęźnie w nim tak głęboko, że nie można go wyrwać. Puszczając karabin i rzuca się ku pierwszej z brzegu postaci, próbuje namacać kark. Ciągłe wrzeszcząc: „Naprzód, naprzód, przygrzejcie sukinsynom!”, młóci rękami, wali bykiem, gniecie, gryzie i rozplywa się, kołując, w wirze, w którym ktoś recytuje elementy, jakie składają się na prawidłowo przeprowadzony atak: odwody, wsparcie, rozpoznanie, natarcie.

Mijają minuty lub stulecia, a kiedy otwiera oczy, jego wargi wciąż powtarzają: odwody, wsparcie, rozpoznanie, natarcie. To jest atak mieszany, sukinsyny. O czym oni mówią? Jaki konwój? Jaki prowiant? Leży zupełnie przytomny, nie w transzei, ale w jakimś wyschniętym wąwozie. Przed sobą widzi strome zbocze, kaktusy, a nad sobą błękitne niebo, czerwona kulę. Co tu robi? Skąd się tu wziął? Jak się wydostał z okopu? Słowa o konwoju dźwięczą mu w uszach, lękliwe, zawodzące. Nadludzkim wysiłkiem odwraca głowę i widzi żołnierzyka. Czuje ulgę: bał się, że to jakiś Anglik. Żołnierzyk leży na brzuchu, o niecały metr dalej. Bredzi w gorączce, a do tego ledwo można go zrozumieć, bo mówi wprost w ziemię. „Masz wodę?”, pyta sierżant. Ogniste ukłucie bólu przeszywa jego mózg. Zamyka oczy, próbuje przewyciężyć panikę. Jest ranny? Kula? Gdzie? Znow z ogromnym wysiłkiem otwiera oczy: z brzucha sterczy mu ostre drzewce. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że zakrzywiona dzida nie tylko przebiła go na wylot, ale także przygwoździła do ziemi. „Nadziali mnie jak na rożen”, myśli. Myśli: „Dadzą mi medal”. Dlaczego nie może poruszyć ręką ani nogą? Kiedy go tak urządzili, że nic nie poczuł, nic nie zauważył? Stracił dużo krwi? Nie chce patrzeć na swój brzuch. Odwraca się do żołnierzyka:

— Pomóż mi, pomóż — prosi, czując, że głowa mu pęka. — Wyciągnij to, uwolnij mnie. Musimy wspiąć się na górę, pomóżmy sobie nawzajem.

Nagle gadanie o wspinaniu się na górę wydaje mu się głupie, skoro nie może nawet ruszyć palcem.

— Wzięli cały transport, całą amunicję — chlipie żołnierzyk. — To nie moja wina, ekscelencjo. To wszystko przez pułkownika Campelo.

Fructuoso Medrado słyszy, że tamten popłakuje jak dziecko, i przychodzi mu na myśl, że może jest pijany. Ogarnia go gniew i nienawiść do tego sukinsyna, który chlipie, zamiast coś zrobić, zamiast wzywać pomocy. Żołnierzyk podnosi głowę, rozgląda się.

— Jesteś z 2. Piechoty? — pyta sierżant, czując w ustach skołowaciały język. — Z brygady pułkownika Silvy Tellesa?

— Nie, ekscelencjo — pociąga nosem żołnierzyk. — Jestem z 5. Piechoty, 3. Brygada pułkownika Olimpia de Silveira.

— Nie becz, nie bądź idiotą, chodź tu, pomóż mi to wyciągnąć z brzucha — mówi sierżant. — No, chodźże tu, sukinsynu.

Ale żołnierzyk wtula głowę w ziemię i płacze.

— To znaczy, że jesteś jednym z tych, których mieliśmy ratować z rąk Anglików — mówi sierżant. — Chodź i teraz ty mnie ratuj, głupcze.

— Wszystko zabrali, wszystko ukradli — płacze żołnierzyk. — Powiedziałem pułkownikowi Campelo, że konwój nie może wlec się w tyle, że mogą nas odciąć od kolumny. Mówiłem mu to! Mówiłem! I stało się, ekscelencjo! Zabrali mi nawet konia.

— Co mnie obchodzi twój konwój, wyciągnij to ze mnie! — krzyczy Fructuoso. —

Chcesz, żebyśmy tu pozdychali jak psy?! Nie bądź idiotą, zastanówże się!

— Zdradzili nas tragarze! Zdradzili nas przewodnicy! — chlipie żołnierz. — To byli szpiedzy, ekscelencjo, też powyciągali strzelby. Niech pan sam policzy: dwadzieścia wozów amunicji, siedem wozów soli, mąki, cukru, wódki, lucerny, czterdzieści worków kukurydzy. Zabrali ponad sto sztuk bydła, ekscelencjo! Rozumie pan teraz szaleństwo pułkownika Campelo? Ostrzegałem go. Jestem kapitan Manuel Porto i nigdy nie kłamię, ekscelencjo. To była jego wina.

— Pan jest kapitanem? — bełkocze sierżant Fructuoso Medrado. — Przepraszam, wasza wielmożność, nie zauważyłem naszywek.

W odpowiedzi słyszy rżenie. Jego sąsiad milknie i nieruchomieje. „Po nim”, myśli Fructuoso Medrado. Czuje dreszcz. Myśli: „Kapitan! A wyglądał jak rekrut”. On też umrze lada chwila. Dał się Anglikom, Fructuoso. Zabili cię. Zamorskie sukinsyny! Wtem widzi dwie sylwetki rysujące się na krawędzi wąwozu. Przez strugi potu nie może dostrzec, czy noszą mundury, ale krzyczy: „Na pomoc, na pomoc!”. Usiłuje się poruszyć, przekręcić, żeby zobaczyli, że żyje, i podeszli. W głowie ma rozżarzone węgle. Tamci dwaj zbiegają skokami w dół zbocza. Czuje, że zaraz się rozplacze, kiedy widzi, że ubrani są na niebiesko, że mają getry. Próbuje krzyknąć: „Wyciągnijcie mi ten drąg z brzucha, chłopcy”.

— Nie poznaje mnie pan, sierżancie? Nie wie pan, kim jestem? -mówi jeden z żołnierzy. Głupiec, zamiast przykucnąć, żeby go uwolnić, opiera mu ostrze bagnetu o szyję.

— Jasne, że cię poznaję, Corintio! — ryczy. — Na co czekasz, idioto! Wyciągaj mi to z brzucha! Co robisz, Corintio?! Corintio!

Mąż Florisy zagłębia bagnet w jego ciało, pod pełnym wstrętem spojrzeniem tego drugiego, którego Fructuoso też teraz poznaje: to Argimiro. Zdążył jeszcze pomyśleć, że Corintio jednak wiedział.

### **Rozdział III**

— Jak mieli nie uwierzyć tam, w Rio de Janeiro, w Sao Paulo, ci, którzy wyszli na ulice linczować monarchistów, skoro uwierzyli ci, którzy stali u bram Canudos i widzieli na własne oczy całą prawdę? — powiedział dziennikarz okularnik.

Zsunął się ze skórzanego fotela na podłogę: siedział na parkiecie, z podwiniętymi nogami, z podbródkiem opartym na kolanie, i mówił, nie zwracając uwagi na obecność barona. Było już po południu. Słoneczne światło, gorące, otepiające, sączyło się przez żaluzje. Baron przywykł już do nagłych przejść swego rozmówcy, który przeskakiwał z tematu na temat bez uprzedzenia, wiedziony tylko wewnętrzną potrzebą; nie przeszkadzało mu już, że wątek rwie się co chwila, iskrząc krótkimi spięciami, to znów grzęznąc w próżni, kiedy on sam albo okularnik, albo obydwaj naraz, pogrążali się we własnych myślach lub wspomnieniach.

— Na przykład korespondenci — ciągnął dziennikarz okularnik, skręcając się w jednym z tych nieprzewidzianych ruchów, które zdawały się przemieszczać każdą kosteczkę jego kościstego ciała. Za grubymi szklami powieki zamrugały gwałtownie: — Mogli widzieć, ale nie widzieli. Widzieli tylko to, co chcieli widzieć. Widzieli nawet to, czego nie było. Po to tam pojechali. I to nie dwóch lub trzech; wszyscy odkryli niezbite dowody spisku monarchistów i brytyjskiej Korony. Czym to tłumaczyć?

— Łatwowiernością, głodem fantazji, iluzji — powiedział baron. — Musieli sobie jakoś wytłumaczyć ten niepojęty fakt, że bandy wieśniaków i włóczęgów pokonały trzy ekspedycje zawodowej armii, miesiącami stawiając opór siłom zbrojnym z całego kraju. Ten

spisek był potrzebny: dlatego go wymyślili i uwierzyli weń bez zastrzeżeń.

— Powinien pan przeczytać relacje mojego następcy w „Jornal de Noticias” — powiedział dziennikarz okularnik. — Tego, którego Epaminondas wysłał, kiedy uwierzył, że nie żyje. Porządny gość. Uczciwy, bez wyobraźni, bez pasji, bez własnych przekonań. Idealnie nadawał się do przekazania beznamiętnej i obiektywnej wersji tego, co tam się działo.

— Umierano i zabijano po obu stronach — mruknął baron, patrząc na niego z politowaniem. — Czy na wojnie beznamiętność i obiektywizm są w ogóle możliwe?

— W jego pierwszej relacji oficerowie generała Oscara przyłapują na wzgórzach Canudos czterech zwiadowców, jasnowłosych i dostatnio ubranych — mówił powoli dziennikarz. — W drugiej żołnierze generała Savageta znajdują wśród martwych jaguncos jakiegoś blondyna o jasnej cerze. Miał dystynkcje oficera, czapkę zrobioną szydełkiem i mundur, jakiego nigdy nie nosił żaden żołnierz brazylijskiej armii.

— Oficer Jej Powabnej Wysokości, zapewne? — uśmiechnął się baron.

— W trzeciej relacji pojawia się nagle list wydobyty z kieszeni jednego z jeńców. Brakowało podpisu, ale charakter pisma był niedwuznacznie arystokratyczny — ciągnął dziennikarz, nie zwracając na niego uwagi. — Adresowany do Nauczyciela, zawierał wyjaśnienia, dlaczego należy przywrócić rządy konserwatystów i monarchistów, ludzi pobożnych i bojących się Boga. Wszystko wskazuje na to, że autorem listu był pan.

— Naprawdę był tak naiwny, żeby uwierzyć w to, co piszą w gazetach? — zapytał baron. — Sam będąc dziennikarzem?

— Jest jeszcze relacja o sygnałach świetlnych — ciągnął dziennikarz okularnik, nie odpowiadając na jego pytanie. — Dzięki nim jaguncos mogli porozumiewać się nocami na olbrzymią odległość. Tajemnicze światła gasły i zapalały się, przekazując szyfry tak wyszukane, że wojskowi specjaliści nigdy nie zdołali ich odcyfrować.

Tak, nie ma wątpliwości, mimo swoich ekscentrycznych wybryków, mimo eteru, opium i candomble, jest naiwny i niewinny jak dziecko. Zresztą trudno się temu dziwić, to się zdarza wśród artystów i intelektualistów. Canudos odmieniło go, to fakt. Ale co z niego zrobiło? Frustrata? Sceptyka? Fanatyka? Krótkowzroczne oczy spoglądały na niego w napięciu spoza masywnych szkieł.

— Istotą tych relacji są aluzje — zakończył ostry, metaliczny dysz-kancik. — Nie to, co mówią, ale to, co sugerują, czego pozwalają się domyślać. Pojechali zobaczyć angielskich oficerów. I zobaczyli. Rozmawiałem z moim następcą przez cały długi wieczór. Nie skłamał ani razu, nie zdawał sobie sprawy, że kłamie. Po prostu pisał nie to, co widział, ale to, co myślał i czuł, co myśleli i czuli wszyscy w jego otoczeniu. I w ten sposób montowano intrygę, tak naszpikowaną bujdami i błagą, że nikt nie zdoła jej rozwikłać. Jak wobec tego poznamy prawdę o Canudos?

— Widzi pan, najlepiej byłoby o tym zapomnieć — powiedział baron. — Nie warto tracić czasu.

— Cynizm tu nic nie pomoże — odparł dziennikarz okularnik. — Zresztą nie wierzę, żeby pańska pogarda była szczera.

— To obojętność, nie pogarda — poprawił go baron. Estela, tak długo nieobecna w jego myślach, pojawiła się znowu, a wraz z nią ów ból żrący jak kwas, ból, wobec którego czuł się zupełnie bezbronny. — Mówiłem już panu. Nie obchodzi mnie to, co zaszło w Canudos.



— Obchodzi pana, obchodzi — zawibrował głosik okularnika. — Z tego samego powodu co i mnie: Canudos odmieniło pańskie życie. Przez Canudos pańska małżonka postradała zmysły, przez Canudos stracił pan sporą część majątku i władzy. Oczywiście, że pana obchodzi. Dlatego mnie pan nie wyrzucił, dlatego rozmawiamy już od tylu godzin...

Tak, możliwe, że ma rację. Baron poczuł w ustach gorzyc: miał dość tego natręta, nie było powodu, żeby przedłużać spotkanie, a jednak wciąż nie mógł się zdobyć na to, żeby go wyprosić. Co go powstrzymuje? Wreszcie przyznał to w duchu: boi się, że zostanie sam, sam z Estelą, sam ze swoją straszną tragedią.

— Widzieli to, czego nie było — dodał dziennikarz okularnik — ale nikt nie widział tego, co było naprawdę.

— Frenolodzy? — mruknął baron. — Szkoccy anarchiści?

— Księża — powiedział dziennikarz okularnik. — Nikt o nich nie wspomina. A byli tam, szpiegowali dla jaguncos, nawet walczyli z bronią w ręku. Przekazywali informacje, przynosili lekarstwa, przemycali saletrę i siarkę do produkcji dynamitu. Czy to nie szokujące? Czy to nie było ważne?

— Jest pan pewien? — ożywił się baron.

— Jednego z tych księży poznałem osobiście, mógłbym niemal powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy — przytaknął dziennikarz okularnik. — Ojciec Joaquim, proboszcz z Cumbe.

Baron spojrział badawczo na swego gościa.

— Ten księżulo z czeredą bękartów? Ten pijaczyna, ten wyznawca siedmiu grzechów głównych był w Canudos?

— Czy to nie wspaniały dowód charyzmy Nauczyciela? — rzekł dziennikarz. — Mało, że złodziei i morderców przerobił na świętych, to jeszcze nawracał zdeprawowanych księży z sertonu. Niepokojący człowiek, prawda?

Pewien epizod, zatarty już w pamięci barona, zdawał się wynurzać z samego dna czasu. W małej grupce zbrojnych wjeżdżali z Estelą do Cumbe. Nie tracąc czasu, udali się do kościoła, posłuszni dzwonom wzywającym na niedzielną mszę. Słynny ojciec Joaquim mimo widocznych wysiłków nie zdołał zatrzeć śladów bezsennej nocy przy gitarze, gorzałce i spódniczkach. Przypomniał sobie zgorzenie swojej żony, pomyłki księżula, któremu plątał się język, mdłości, jakie naszły go w samym środku nabożeństwa, i jego nagłą rejteradę, żeby ulżyć sobie na stronie. Pamiętał nawet twarz jego kochanki. Czy to nie ta dziewczyna, którą nazywali „planetniczką”, bo umiała wykrywać podziemne źródła? A więc ten łajdaczyna też przystąpił do jaguncos?

— Tak, w pewnym sensie stał się nawet bohaterem. — Dziennikarz wybuchnął śmiechem, który brzmiał jak suchy grzechot kamyków przesypujących się przez gardło; jak zwykle, tak i tym razem zakończył potężnym kichnięciem.

— Był rozpustny, ale nie był głupi — odezwał się baron. — Na trzeźwo można z nim było porozmawiać. Rozgarnięty, a nawet ocytany. Trudno mi uwierzyć, że dał się złapać w sidła tego szarlatana, jak ci analfabeci z sertonu...

— Kultura, inteligencja, książki nie mają tu nic do rzeczy — powiedział dziennikarz okularnik. — Ale to jeszcze nic. Zdumiewające jest nie to, że ojciec Joaquim przystąpił do jaguncos, ale że Nauczyciel zrobił z niego odważnego człowieka. Z takiego tchórza! — Zamrugał, spłoszony. — A to jest nawrócenie najtrudniejsze, najbardziej cudowne. Ja to panu mówię. A ja wiem, co to strach. Księżulo z Cumbe miał dość wyobraźni, żeby odczuwać

grozę, lęk, trwogę. A jednak...

Głos mu zmatowiał, twarz wykrzywił grymas. Co mu się stało tak nagle? Baron spostrzegł, że jego gość sili się, żeby zachować spokój, zerwać coś, co go krępuje. Spróbował mu pomóc:

— A jednak...? — zachęcił go.

— A jednak przez całe miesiące, a może i lata, jeździł po osadach, po fazendach, po kopalniach, skupując proch, dynamit, lonty. Wymyślał kłamstwa, żeby usprawiedliwić te zakupy, które musiały przecież zwracać uwagę. A kiedy w serotonie zaroilo się od żołnierzy, wie pan, jak sobie radził? Beczki z prochem chował w skrzyni z dewocjonaliami, razem z tabernakulum, kielichem, krucyfiksem, ornatem, komżami. Przewoził to na oczach całej armii. Domyśla się pan, co to znaczyło dla tchórza? Potrafi pan sobie wyobrazić, jak się trząsał, jak się oblewał zimnym potem? Domyśla się pan, jakiej wiary potrzeba, żeby zdobyć się na coś takiego?

— W katechizmie pełno jest podobnych historii, mój młody przyjacielu — mruknął baron. — Męczenników przeszytych strzałami, pożartych przez lwy, ukrzyżowanych. Ale to prawda, że trudno sobie wyobrazić ojca Joaquina poświęcającego się dla Nauczyciela.

— Na to trzeba głębokiej wiary — powtórzył dziennikarz okularnik. — Jakiejś wewnętrznej, niezachwianej pewności, wiary, jakiej pan na pewno nigdy nie miał. Ja zresztą też...

Znowu poruszył głową jak strwożona kura i podciągnął się na swoich długich, kościstych ramionach na siedzenie skórzanego fotela. Przez kilka chwil bawił się dłońmi, podejrzliwy, nieufny, po czym ciągnął dalej:

— Kościół wyklął Nauczyciela jako heretyka, siewcę zabobonu, agitatora i mąciociela sumień. Arcybiskup Bahii zabronił proboszczom zezwalać mu na głoszenie kazań w kościołach. Trzeba wiary absolutnej, żeby, będąc księdzem, nie usłuchać samego Kościoła, samego arcybiskupa, i ryzykować klątwą, żeby pomóc Nauczycielowi.

— Co pana tak przeraża? — powiedział baron. — Czyżby sądził pan, że Nauczyciel rzeczywiście jest drugim Chrystusem, który pojawił się powtórnie na ziemi, żeby odkupić ludzkość?

Powiedział to bez zastanowienia i zaraz poczuł się nieswojo. Czy to miał być żart? Ale żaden z nich się nie roześmiał. Zobaczył, że dziennikarz okularnik potrząsa przecząco głową, nie wiadomo, czy w odpowiedzi, czy żeby odpędzić natrętną muchę.

— O tym także myślałem — odparł. — Czy był Bogiem? Czy zesłałgo Bóg, czy Bóg w ogóle istnieje?... Nie wiem. W każdym razie nie zostawił po sobie uczniów, którzy mogliby szerzyć jego mit i nieść dobrą nowinę poganom. Z tego, co wiem, został tylko jeden; wątpię czy to wystarczy...

Znowu parsknął śmiechem i na dłuższy czas pochłonęła go fala kichnięć. Kiedy skończył, oczy i nos miał czerwone.

— Ale bardziej niż o jego domniemanej boskości, myślałem o duchu solidarności, braterstwa, o nierozzerwalnym węzle, jaki zdołał zadzierzgnąć między tamtymi ludźmi — powiedział dziennikarz okularnik z patosem. — To zadziwiające, wzruszające. Po osiemnastym lipca otwarte były już tylko szlaki na Chorrochó i Riacho Seco. Logicznie rzecz biorąc, usiłowałiby odejść, uciec stamtąd za wszelką cenę, zanim i ta droga zostanie odcięta, prawda? Ale stało się przeciwnie. Ludzie próbowali dostać się do Canudos, napływali ze wszystkich stron, rozpaczliwie, w pośpiechu, pakowali się w tę pułapkę, prosto do piekła,

zanim żołnierze zamkną okrażenie. Widzi pan? Tam nic nie działo się normalnie.

— Mówił pan, że księży było więcej — przerwał mu baron. Solidarność, wola zbiorowej ofiary... Ten temat budził w nim jakieś zażenowanie. Kilkakrotnie pojawiał się w tej rozmowie i baron zawsze go unikał. Teraz też.

— Innych nie znałem — odparł dziennikarz, również jakby z ulgą witając zmianę tematu. — Ale wiem, że byli. Ojciec Joaquim dostawał od nich informacje i pomoc. A zresztą może i nie zauważyłem ich, ginęli pewnie w masie jaguncos. Ktoś wspominał mi o jakimś ojcu Martinezie. Wie pan kto? Musiał pan o niej słyszeć przed laty, przed wielu laty. Dzieciobójczyni z Salwadoru, mówi to coś panu?

— Dzieciobójczyni z Salwadoru? — powtórzył baron.

— Bywałem w sądzie, kiedy jeszcze nosiłem krótkie porcięta. Mój ojciec był obrońcą z urzędu, adwokatem ubogich, to on jej bronił. Poznałem ją, chociaż bez okularów nie mogłem widzieć jej twarzy, chociaż minęło już dwadzieścia pięć lat. Czytał pan wówczas gazety, prawda? Cała prowincja pasjonowała się sprawą Marii Quadrado, dzieciobójczyni z Salwadoru. Cesarz zamienił karę śmierci na dożywocie. Nie pamięta jej pan? Ona też była w Canudos. Widzi pan, ta historia nie ma końca...

— To już wiem — powiedział baron. — Wszyscy, którzy mieli porachunki ze sprawiedliwością, z własnym sumieniem, z Panem Bogiem, w Canudos znaleźli schronienie. To naturalne.

— Naturalne jest to, że tam się ukryli, ale nie to, że stali się inny mi ludźmi. — Jakby nie wiedząc, co zrobić ze swoim ciałem, dziennikarz znowu zsunął się na podłogę, podkurczywszy swoje długie nogi. — Była świętą, Matką Ludzi, przełożoną pobożnych niewiast, które czuwały nad osobą Nauczyciela. Przypisywano jej cuda, mówiono, że pielgrzymowała wraz z nim po całym świecie.

Historia tej zbrodni z wolna odżywała w pamięci barona. Znana sprawa, przedmiot niekończących się plotek. Służyła u jakiegoś notariusza i udusiła swojego malutkiego synka, wpychając mu do buzi kłębek wełny, bo bardzo płakał i bała się, że przez to straci posadę. Przez wiele dni trzymała trupka pod łóżkiem; dopiero po zapachu odkryła go pani domu. Dziewczyna od razu przyznała się do wszystkiego. Na rozprawie w sądzie zachowywała się potulnie, chętnie i szczerze odpowiadała na pytania. Baron przypomniał sobie dyskusję, jaką wywołała osobowość dzieciobójczyni pomiędzy tymi, którzy bronili tezy „niepoczytalności”, i tymi, którzy przypisywali jej „zbrodnicze skłonności”. A więc uciekła z więzienia?

Dziennikarz znowu zmienił temat:

— Przed osiemnastym lipca działy się rzeczy straszne, ale tak naprawdę dopiero tamtego dnia dotknąłem, powąchałem i łyknąłem horroru, aż poczułem go we flakach. — Baron zobaczył, że okularnik uderza się po żołądku. — Tamtego dnia spotkałem ją, rozmawiałem z nią i dowiedziałem się, że jest tą samą dzieciobójczynią, która w dzieciństwie śniła mi się po nocach. Pomogła mi, bo zostałem zupełnie sam.

— Osiemnastego lipca byłem w Londynie — powiedział baron. Nie jestem wprowadzony w szczegóły tej wojny. Co się wówczas wydarzyło?

— Zaatakują jutro — wysapał Joao Mnich, który właśnie przybiegł do składu braci Vilanova. Naraz przypomniał sobie coś ważnego: — Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

Już od miesiąca żołnierze stali na szczytach Faveli, wojna się przedłużała: od czasu do czasu rozlegały się pojedyncze strzały i huk pocisków, zazwyczaj w porze bicia dzwonów. O świcie, w południe i wieczorem przebywali tylko w wyznaczonych miejscach. Człowiek

przywyknie do wszystkiego, ze wszystkim się pogodzi. Ginęli ludzie, co noc odbywały się pogrzeby. Bombardowania na oślep niszczyły skupiska domów, rozrywały sterców i dzieci, wszystkich, którzy nie poszli do okopów. Wydawało się, że będzie to trwało w nieskończoność. Ale sądząc z tego, co powiedział Komendant Ulicy, miało być znacznie gorzej. Jurema i Karzełek poszli zanieść obiad dla Pajeu. Dziennikarz okularnik był sam, kiedy w sklepie pojawili się ci, którzy kierowali wojną: Honorio Vilanova, Joao Wielki, Pedrao, sam Pajeu. Byli niespokojni, wystarczyło pociągnąć nosem: coś wisiało w powietrzu. Nikt nie był zaskoczony, kiedy Joao Mnich oznajmił, że mają zaatakować jutro. Wiedział wszystko. Przez całą noc będą ostrzeliwać Canudos z ciężkich dział, żeby osłabić obronę, a o piątej rano ruszą do szturm. Wiedział nawet którędy. Rozmawiali spokojnie, przydzielali sobie miejsca, ty czekaj na nich tutaj, tam trzeba zamknąć ulicę, tu postawimy barykady, lepiej stąd odejść, mogą uderzyć z innej strony. Czy baron potrafi sobie wyobrazić, co czuł, kiedy tego słuchał? Wówczas wynikła sprawa kartki. Jakiej kartki? Tej, którą przyniósł jakiś dzieciak od Pajeu. Naradzali się nad nią szeptem, pytali go, czy może przeczytać, przyświecając sobie świeczką, spróbował przez szczątki swoich okularów odcyfrować litery. Nie dał rady. Wtedy Joao Mnich kazał wezwać Lwa z Natuby.

— Nikt tam nie umiał czytać? — zapytał baron.

— Umiał Antonio Vilanova, ale nie było go w Canudos — powiedział dziennikarz okularnik. — Umiał też ten, którego kazali wezwać. Lew z Natuby. Jeden z zaufanych Nauczyciela, jego apostoł. Czytał, pisał, był tamtejszym mędrce.

Umilkł i złapał się za brzuch, zgięty wpół w ataku kichnięć.

— Nie mogłem mu się przyjrzeć dokładnie — wysapał po chwili. — Widziałem tylko zarys, kształt, a raczej bezkształt. Wystarczyło, żeby domyślić się reszty. Chodził na czworakach, miał wielką głowę i potężny garb. Kazali go zawołać. Przyszedł z Marią Quadrado. Przeczytał im tę kartkę. Były to instrukcje dowództwa dotyczące porannego szturm.

Głos głęboki, melodyjny, zupełnie normalny, wyliczał dyspozycje dowództwa, rozmieszczenie pułków, odległości od kompanii do kompanii, od żołnierza do żołnierza, sygnały, hejnały, a jego przenikał strach i bezgraniczne pragnienie, żeby Jurema i Karzełek wreszcie wrócili. Zanim Lew z Natuby skończył czytać, żołnierze przystąpili do wykonania pierwszej części planu: zaczęli bombardowanie Canudos.

— Teraz wiem, że w tamtej chwili grało tylko dziewięć dział, i że nigdy nie strzelało naraz więcej niż szesnaście — powiedział dziennikarz okularnik. — Ale tamtej nocy miałem wrażenie, że jest ich tysiąc, miałem wrażenie, że gwiazdy całego nieba sypnęły na nas ogniem.

Od huku drżały belki, trzęsły się ściany i kontuar, słysząc było, jak wszystko się wali, rozpada, wokół rozlegały się wrzaski, tupot, pisk przerażonych dzieci. „Zaczęło się”, powiedział jeden z jaguncos. Wyszli rozejrzeć się, wrócili, powiedzieli Marii Quadrado i Lwu z Natuby, że droga do Sanktuarium jest odcięta. Dziennikarz słyszał, że kobieta upiera się, żeby iść z powrotem, Joao Wielki odradzał jej to, przysięgał, że jak tylko ucichnie ogień, sam ich przeprowadzi. Jaguncos wyszli, a on zrozumiał, że Jurema i Karzełek, jeśli jeszcze żyją, też nie będą mogli wrócić do niego z Rancho do Vigario. Zrozumiał w swoim niezmiernym lęku, że będzie musiał to wszystko znieść, mając za towarzystwo tylko tę świętą i tego człekokształtnego czworonoga z Canudos.

— Z czego się pan śmieje? — zapytał baron de Cañabrava.

— To zbyt nikczemne, żebym mógł o tym panu powiedzieć — wybelkotał dziennikarz

okularnik. Siedział pogrążony we własnych myślach, ale nagle podniósł głowę i wykrzyknął: — Canudos zmieniło moje poglądy na historię, na Brazylię, na ludzi! Ale przede wszystkim na samego siebie!

— Sądząc z pańskiego tonu, nie na lepsze — mruknął baron.

— To prawda — szepnął dziennikarz. — Dzięki Canudos mam o sobie bardzo niskie mniemanie.

Czy w pewien sposób nie był to także jego przypadek? Przecież Canudos wywróciło do góry nogami jego życie, jego idee, jego nawyki, niby wojenna zawierucha. Pozbawiło go złudzeń. Obraz Esteli siedzącej w bujanym fotelu w pokoju na drugim piętrze, w towarzystwie Sebastiany, która skulona na podnóżku czyta jej na głos wyjątki lubianych niegdyś przez nią powieści, a może czesze ją albo nakręca sprowadzoną z Austrii pozytywkę, obraz tej twarzy nieobecnej, odległej, nieosiągalnej, twarzy kobiety, która była największą miłością jego życia, która zawsze była dlań wcieleniem radości, piękna, energii, elegancji — powrócił, by ściąć lodem jego serce.

Z wysiłkiem powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

— Wspomniał pan Antonia Vilanovę — wtrącił pospiesznie. — To ten kupiec, prawda? Stalowy człowiek, wyrachowany jak rzadko. Znałem go dobrze, jego brata też. Byli dostawcami Calumbi. On także został świętym?

— Nie siedział tam przecież dla zarobku — odzyskał swój szyderczy uśmiezek dziennikarz okularnik. — Trudno było robić interesy w Canudos. Bez pieniędzy? Nie wie pan może, że to były pieniądze Bestii, Szatana, ateistów, protestantów i masonów? A jak pan sądzi, dlaczego jaguncos zabierali żołnierzom broń, a portfele zostawiali?

„A więc jednak nasz frenolog nie mylił się znów tak bardzo — pomyślał baron. — Dzięki własnemu obłądowi Gall potrafił przeczuć coś z obłądu Canudos”.

— Nie należał do tych, którzy żegnają się co chwila i biją w piersi — ciągnął dziennikarz okularnik. — Był człowiekiem praktycznym, człowiekiem czynu. Zawsze w drodze, zawsze coś organizował, przemyślał nawet nad perpetuum mobile. W ciągu tych pięciu nieskończonych miesięcy troszczył się, żeby Canudos miało co jeść. Po co to robił, po co tam siedział wśród kul i padliny? Wyjaśnienie jest tylko jedno: Nauczyciel poruszył w nim jakąś sekretną strunę.

— Tak jak w panu — powiedział baron. — Mało brakowało, żeby z pana także zrobił świętego.

— Do samego końca wyruszał z miasta po żywność — mówił dziennikarz, nie zwracając na niego uwagi. — Wychodził z garstką ludzi, po kryjomu. Przechodzili linie obrony, napadali na konwoje. Powiem panu, jak to się odbywało. Piekielnym jazgotem garłaczy wywoływali popłoch wśród bydła. W ogólnym zamieszaniu przeganiali dziesięć, piętnaście sztuk do Canudos. Żeby ci, którzy mają umrzeć za Dobrego Jezusa, mogli walczyć jeszcze trochę dłużej.

— Wie pan, skąd pochodziło to bydło? — przerwał mu baron.

— Z konwojów, które wysyłało wojsko z Monte Santo na Favelę — powiedział dziennikarz okularnik. — Tak samo jak broń i kule jaguncos. Oto jeden z paradoksów tej wojny: armia żywiła i siebie, i wroga.

— Jaguncos kradli kradzione — westchnął baron. — To były moje krowy, moje kozy, moje owce. Mam przyjaciela fazendera, starego Muraua, który wytoczył państwu sprawę o bydło zjedzone przez żołnierzy. Żąda siedemdziesięciu tysięcy i ani reala mniej.

W północy Joao Wielki czuje zapach morza. Przenika go fala ciepła, jakieś dziwne szczęście. W ciągu tych lat, kiedy dzięki Nauczycielowi znalazł ukojenie dla tej wrzącej kipieli, jaką była jego zaprzędana Diabłu dusza, miał tylko jedno pragnienie. Ileż to lat nie widział, nie wahał, nie czuł swoim ciałem morza? Nie ma pojęcia, ale wie, że upłynęło mnóstwo czasu, odkąd oglądał je po raz ostatni z tamtego wysokiego cypla otoczonego trzcinową plantacją, gdzie panna Adelinha Isabel de Gumucio chadzała podziwiać zachody słońca. Pojedyncze strzały przypominają, że bitwa jeszcze nie skończona, ale Joao Wielki jest spokojny: sumienie mówi mu, że gdyby nawet nie spał, to i tak nic by się nie zmieniło, bo i jemu, i jego ludziom, skulonym na dnie okopów, nie został już ani jeden nabój do mannlichera, ani jedna garstka śrutu, ani jedno ziarnko prochu, żeby ożywić broń zrobioną przez kowali z Canudos, którzy z musu stali się rusznikarzami.

Więc po co tu jeszcze siedzą w tych jaskiniach, rozsianych po wzgórzach i w wąwozie u stóp Faveli, zajętej przez heretyków? Są posłuszni rozkazom Joao Mnicha, który upewniwszy się, że wszystkie siły pierwszej kolumny znajdują się już na Faveli, okrążone przez jaguncos rażących wojsko ogniem z okopów, transzei i kryjówek, odszedł, żeby przechwycić konwój z amunicją, prowiantem i bydłem, który z powodu złej drogi i ciągłych ataków Kajet nadchodzi ze znacznym opóźnieniem. Joao Mnich chce zaskoczyć żołnierzy w Umburanas i zepchnąć ich ku Canudos. Przykazał Joao Wielkiemu, żeby razem ze swoimi gwardzistami za wszelką cenę zatrzymał pułki stojące na Faveli. Pograżony w północy, były niewolnik myśli, że heretycy muszą być bardzo głupi albo stracili wielu ludzi, bo jak do tej pory ani jeden patrol nie zawrócił na drogę Umburanas, żeby sprawdzić, co się dzieje z konwojem. Gwardia Katolicka wie, że musi udaremnić im każdą próbę opuszczenia Faveli, zastąpić drogę, bronić przejścia nożami, maczetami, bagnietami, zębami, pazurami. Stary Joaquim Macambira i jego ludzie, zczajeni po drugiej stronie ścieżki wyoranej przez armaty i wozy zdążające ku Faveli, mają zrobić to samo. Ale żołnierze nie będą próbować, zbyt są zajęci bombardowaniem Canudos i odpieraniem ataków jaguncos, żeby się domyślić, co się dzieje za ich plecami. „Joao Mnich jest sprytniejszy od nich”, myśli przez sen Joao Wielki. To on wpadł na pomysł, żeby ściągnąć heretyków na Favelę. To on posłał Pedrao i braci Vilanova do Cocorobó, żeby tam czekali na kolejne oddziały. Do tej pory musieli już sobie z nimi poradzić. Zapach morza wciska się w jego nozdrza, odurza, oddala od wojny; widzi fale, czuje, jak spieniona woda pieści jego skórę. Zasnął po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin nieustannej walki. O drugiej budzi go posłaniec od Joaquina Macambiry, jeden z jego synów, młody, smukły, długowłosy chłopak. Siedząc na dnie okopu, czeka cierpliwie, aż Joao Wielki oprzytomnieje. Stary potrzebuje amunicji, kończą się kule, nie ma prochu. Z językiem zdrętwiałym od snu Joao Wielki odpowiada, że sam też nic nie ma. Były wieści od Joao Mnicha? Żadnych. A od Pedrao? Chłopak kiwa głową: musiał wycofać się z Cocorobó, zostali bez amunicji, stracili sporo ludzi. W Trabubu też nie udało się zatrzymać heretyków.

Joao Wielki czuje, że się wreszcie obudził. To znaczy, że wojsko z Geremoabo idzie tutaj?

— Idzie — mówi syn Joaquina Macambiry. — Pedrao i wszyscy, którzy uszli z życiem, są już w Belo Monte.

Może Gwardia Katolicka powinna zrobić to samo? Wrócić do Canudos, żeby bronić Nauczyciela przed szturmem, nieuniknionym teraz, kiedy zbliża się nowe wojsko? A co ma zamiar zrobić Joaquim Macambira? Chłopak nie wie. Joao Wielki postanawia rozmówić się ze starym.

Noc jest późna, niebo nabite cekinami gwiazd. Przykazawszy ludziom, żeby nie ruszali się z miejsca, były niewolnik bezszelestnie schodzi po piarżystym zboczu razem z młodym Macambira. Na nieszczęście noc jest jasna: będzie musiał patrzeć na rozplątane

brzuchy koni, szarpane przez sępy, i na trupa tej starej. Przez całe dwa dni oglądał te zwierzęta, które pierwsze padły ofiarą strzelaniny. Wiele z nich zastrzelił sam. Nie miał wyjścia, zagrażały Ojcu i Dobremu Jezusowi Nauczycielowi, i Belo Monte, wszystkiemu, co jest mu drogie. Jeżeli będzie trzeba, zrobi to znowu. Ale coś w jego duszy buntuje się na widok tych szlachetnych stworzeń padających z przeraźliwym rżeniem, cierpi, widząc, jak leżą w niekończącej się agonii, z trzewiami rozlanymi po ziemi, w smrodzie zatruwającym powietrze. Wie, skąd się bierze to poczucie winy, grzechu, które opada go, kiedy strzela do koni oficerów: wciąż żyje w nim wspomnienie troski, jaka otaczała te zwierzęta na fazendzie, gdzie pan Adalberto de Gumucio narzucił krewnym, pracownikom i niewolnikom niemal religijną cześć dla koni. Nisko pochylony przebiega przez drogę za młodym Macambira, patrzy na ziemię usłaną zwłokami wierzchowców i zastanawia się, dlaczego Ojciec tak silnie zachowuje w jego pamięci pewne wydarzenia z grzesznej przeszłości, jak tęsknota za morzem, jak miłość do koni.

Wtem widzi trupa tej starej. Czuje uderzenie krwi w piersi. Widział ją tylko przez moment: skąpana w księżycu twarz, otwarte, oszalałe oczy, wyszczerzone resztki zębów, rozczochrane włosy, czoło i brwi spazmatycznie ściągnięte. Nie wie, jak jej na imię, ale zna ją bardzo dobrze: już dawno osiedliła się w Canudos ze swoją liczną rodziną synów, córek, wnuków, siostrzeńców i znajdów w małej lepiance przy ulicy Serca Jezusowego, pierwszej, którą zmiotły armaty Rzeźnika. Stara była na procesji, a kiedy wróciła, z jej domu została kupa gruzu, pod którą leżały jej trzy córki i wszystkie wnuki — tuzin dzieciaków śpiących na kupie w kilku hamakach i na gołej ziemi. Przed trzema dniami wyruszyła za Gwardią Katolicką do transzei Umburanas, żeby tutaj oczekiwać nadchodzących żołnierzy. Razem z innymi kobietami gotowała i nosiła dla jaguncos wodę z pobliskiego źródła, ale gdy tylko zaczęła się strzelanina, ujrzeli ją nagle pośrodku kurzawy: potykając się o kamienie, zbiegła w dół piarżyska, przedostała się na środek drogi i nie kryjąc się wcale, zaczęła dobijać nożem rannych żołnierzy. Widzieli, jak krąży wśród trupów, obszukując mundury. Zanim dosięgły ją kule, zdążyła jeszcze obnażyć kilka ciał, obciąć im członki i wepchnąć je im do ust. Podczas walki, kiedy widział idących żołnierzy i jeźdźców, kiedy patrzył, jak umierają, strzelają, potykają się, depczą po ciałach poległych i rannych, uciekają przed kulami, rzucając się w popłochu na *szczyty Faveli* — jedyne wolne przejście, jakie im zostało — Joao Wielki nieustannie zwracał oczy na trupa tej starej, którego dopiero co zostawił za sobą.

Na brzegu bajora porośniętego kępami faveli, kaktusów i pojedynczymi drzewami imbuzeiro młody Macambira podnosi do ust drewnianą świstawkę i wydobywa z niej dźwięk podobny do głosu papużki. Odpowiada mu taki sam dźwięk. Wziąwszy Joao pod ramię, chłopak prowadzi go przez bajoro; grzęzną w błocie po kolana, ale wkrótce potem były niewolnik pije już z bukłaka słodkawą wodę, siedząc w kucki obok Joaquina Macambiry, w szałasie, wokół którego świecą w ciemności liczne punkciki żrenic.

Stary jest pełen obaw, ale Joao Wielki dziwi się, odkrywszy, że przyczyną jego lęku jest tylko wielka armata o długiej, lśniącej lufie, ciągnięta przez czterdzieści wołów, którą widział po drodze do Juete. „Jak Matadeira wystrzeli, wieże i ściany Świątyni Dobrego Jezusa wylecą w powietrze i nie będzie już Belo Monte...”, mamrocze posępnie. Joao Wielki słucha go z uwagą. Joaquim Macambira budzi w nim szacunek, ma w sobie coś czcigodnego, patriarchalnego. Jest już bardzo wiekowy, białe włosy opadają mu w kędziorach na ramiona, rzadka bródka srebrzy ogorzałą twarz o długim, haczykowatym nosie. W okolonych siateczką zmarszczek oczach wre nieujarzmiona energia. Był właścicielem wielkiego pola manioku i kukurydzy, gdzieś między Cocorobó i Trabubu, w okolicy, która nazywa się właśnie Macambira. Uprawiał tę ziemię z jedenastoma synami i wojował z sąsiadami o miedzę. Pewnego dnia rzucił wszystko i przeniósł się razem ze swoją liczną rodziną do Canudos, gdzie zajmują pół tuzina chat naprzeciw cmentarza. Wszyscy w Belo Monte traktują starego z

pewną obawą, słynie bowiem z nieprzystępnej dumy.

Joaquim Macambira wysłał posłańców, żeby zapytać Joao Mnicha, czy w tej sytuacji nadal ma pilnować Umburanas, czy wycofać się do Canudos. Jeszcze nie ma odpowiedzi. A co myśli Joao Wielki? Były niewolnik potrząsa głową, strapiiony: nie wie, co robić. Z jednej strony, należałoby natychmiast wracać do Belo Monte, żeby bronić Nauczyciela przed spodziewanym atakiem z północy. Z drugiej, Joao Mnich powiedział wyraźnie, że mają ubezpieczać mu tyły.

— Ale czym?! — wrzeszczy Macambira. — Gołymi rękami?!

— Tak — przytakuje pokornie Joao Wielki. — Jeśli nie można inaczej. Uzgadniają, że zostaną w Umburanas i poczekają na wieści od

Komendanta Ulicy. Żegnają się jednocześnie: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”. Joao Wielki znowu zanurza się w bajoro, tym razem samotnie. Znów słyszy dźwięk podobny do głosu papużki: znak dla jaguncos, że mają go przepuścić. Podczas gdy tapla się w błocie, czując na twarzy, ramionach i piersi ukłucia moskitów, próbuje wyobrazić sobie Matadeirę, to śmiertelne narzędzie, które tak niepokoi Macambirę. Musi być ogromna, grzmiąca, istny smok z żelaza zionący żywym ogniem, skoro przeraziła takiego śmiałka jak stary Macambira. Wielka jest potęga Bestii, skoro wysłała na Canudos zastępy coraz liczniejsze, coraz lepiej uzbrojone. Jak długo jeszcze chce Ojciec doświadczać wiarę swoich dzieci? Czy nie dość już wycierpieli? Czy nie zaznali dość głodu, śmierci i męki? Widocznie nie dość. Tak powiedział Nauczyciel: pokuta będzie na miarę naszych win. Ponieważ jego wina jest cięższa od innych, będzie musiał zapłacić więcej. Ale to wielka pociecha być rycerzem dobrej sprawy, wiedzieć, że walczy u boku świętego Jerzego, a nie u boku Smoka.

Kiedy wraca do transzei, zaczyna już świtać; wszyscy śpią, czuwają tylko strażę na skałach. Joao Wielki kuli się, czując, że nadchodzi kojący sen, kiedy coś nagle zrywa go na równe nogi. W tumanie kurzu pędzi na niego ośmiu jeźdźców. Zwiad? Forpoczty oddziału, który jedzie osłaniać konwój? W nikłym jeszcze świetle grad strzał, kamieni, oszczepów spada z góry na patrol. Słyszysz strzały od strony bajora, gdzie jest stary Macambira. Jeźdźcy ustawiają konie zadem do Faveli. Teraz jest już pewien, że oddział wzmacniający konwój ukaże się lada chwila, liczny, nie do powstrzymania dla ludzi, którym zostały tylko kusze, bagnety i noże, i Joao Wielki błaga Ojca, żeby Joao Mnich zdążył wykonać swój plan.

Nadchodzą w godzinę później. Do tego czasu Gwardia Katolicka tak zaważyła wawóz trupami koni, mułów i żołnierzy, głazami, krzakami i kaktusami zepchniętymi ze zboczy, że dwie kompanie saperów muszą pójść przodem, żeby na nowo przetrzeć drogę. Nie jest to łatwe, bo Joaquim Macambira ładuje w nich ostatki swojej amunicji, kilkakrotnie zmuszając do odwrotu, a później, kiedy saperzy zaczynają wysadzać zatory, dopada ich z setką ludzi Joao Wielki; zwierają się w walce wręcz i zanim pojawia się reszta oddziału, zabijają i ranią wielu żołnierzy, a w dodatku zdobywają kilka rewolwerów i bezcenne tornistry z nabojami. Kiedy najpierw świstawką, a potem krzykiem Joao Wielki daje sygnał do odwrotu, droga zasłana jest ciałami martwych lub konających jaguncos. Już na górze, osłonięty od kul kamiennymi płytami, był niewolnik ma wreszcie czas, żeby przekonać się, że jest cały i zdrow. Uwalany krwią, tak, ale to cudza krew. Wyciera się piaskiem. Czy to palec Boży, że z tych trzech dni wojny wyszedł bez jednego draśnięcia? Zadyszany, przywiera brzuchem do ziemi, na wolnej już drodze widzi żołnierzy maszerujących czwórkami, zmierzających tam, gdzie jest Joao Mnich. Są ich dziesiątki, setki. Idą osłaniać konwój, to pewne; a więc mimo wszystkich zaczepek Gwardii Katolickiej i Macambiry nie udało się ich zwabić na zbocza ani w bajoro. Tylko paru strzelców, przyklekawszy na ziemi, posyła do nich z flanki kilka kul. Joao Wielki nie ma złudzeń. Tutaj już w niczym nie może pomóc Komendantowi Ulicy.



Upewnia się, że rozkaz odwrotu dotarł do wszystkich: przeskakuje od skały do skały, od tranzei do tranzei, obchodzi wkoło pagórki, żeby zobaczyć, czy kobiety, które przyszły gotować, odeszły. Już ich nie ma. Wówczas sam także wraca do Belo Monte.

Idzie krętą odnogą Vassa Barris, która wypełnia się wodą tylko w porze wielkich deszczów. W mizernym, zasłanym otoczkami łożysku Joao czuje narastający skwar poranka. Wlecze się noga za nogą, wypatrując martwych ciał, myśląc o smutku Nauczyciela, Aniołka, Matki Ludzi, kiedy dowiedzą się, ilu braci zgnije porzuconych pod gołym niebem. Sprawia mu ból wspomnienie tych chłopców, których sam uczył strzelać, szarpanych teraz przez sępy, bez pogrzebu, bez modlitwy. Ale jak tu odzyskać ich szczątki?

Przez całą drogę słyszą strzały z Faveli. Jakiś jagunco dziwi się, że Pajeu, Mane Quadrado i Tarabela przyjmują heretyków tak silnym ogniem. Joao Wielki przypomina, że większą część amunicji rozdzielono między ludzi z okopów, które odgradzają Belo Monte od Faveli.

I że nawet kowale przenieśli się tam razem ze swoimi kowadłami i miechami, żeby odlewać kule jak najbliżej walczących. A jednak, zaledwie dostrzegają przesłonięte obłoczkami wybuchów Canudos — słońce jest już wysoko, wieże Świątyni i bielone wapnem domy błyszczą z daleka — Joao Wielki przeczuwa dobrą nowinę. Mruga, patrzy, liczy, porównuje. Tak, nieprzerwany ogień idzie od Świątyni Dobrego Jezusa, od kościoła Świętego Antoniego, od umocnień cmentarza, od głębokich jarów Vassa Barris i ze Starej Fazendy. Skąd wzięli tyle amunicji? Po chwili jeden z dzieciaków przynosi mu wiadomość od Joao Mnicha.

— To znaczy, że wrócił do Canudos! — wykrzykuje były niewolnik.

— Razem z setką krów — mówi chłopak z zapalem. — Przynieśli karabiny i skrzynki z kulami, i granaty, i wielkie puszki z prochem. Ukradł to psom i teraz całe Belo Monte zajada mięso.

Joao Wielki, hamując wzruszenie, kładzie swoją potężną dłoń na głowie chłopca. Joao Mnich chce, żeby Gwardia Katolicka poszła do Starej Fazendy wzmocnić Pajeu i żeby były niewolnik spotkał się z nim w domu braci Vilanova. Joao Wielki wysła swoich ludzi przez głębokie jary Vassa Barris — martwe pole, w którym będą mieli osłonę przed strzałami z Faveli — do Starej Fazendy, gdzie kilometr wertepów i ziemianek wykopanych w zagłębieniach terenu stanowi pierwszą linię obrony Belo Monte, zaledwie pięćdziesiąt metrów od żołnierzy. Pajeu, który już wrócił do Canudos, ma pieczę nad tym frontem.

Przybywszy do Belo Monte, Joao Wielki prawie nic nie może dostrzec przez gęsty kurz, zniekształcający wszystko dokoła. Ogień jest bardzo silny, a do huku wystrzałów dochodzi trzask pękających dachówek, łoskot walących się ścian i metaliczny zgrzyt zrywanych blach. Chłopiec bierze go za rękę: wie, gdzie nie padają kule. W tych dniach bombardowań i strzelaniny ludzie ustalili swoistą geografę bezpieczeństwa. Poruszają się tylko po określonych ulicach, przystają w określonych miejscach, nieosiągalni dla karabinów żołnierzy. W uliczce Duchy Świętego, zamienionej teraz w rzeźnię, trwa ubój bydła, które przyprowadził Joao Mnich. Stoi tam długa kolejka starców, dzieci i kobiet czekających na przydział mięsa, a Campo Grande, zavalone skrzyniami, beczkami i bronią, przypomina wojskowy obóz. Wre gorączkowa krzątania, rzą spłoszone muły, które przydzwigwały ładunek do Belo Monte; na ich pokrwawionych od bata grzbietach widać wypalone znaki poszczególnych pułków. Joao Wielki mija zdechłego osła, pożeranego przez wychudzone psy, nad którymi unoszą się chmury much. Rozpoznaje Antonia i Honoria stojących na jakiejś skrzyni: krzycząc i gestykulując, rozdzielają skrzynki z amunicją. Młodzi jaguncos, nieledwie dzieci, tak samo jak ten, który nie pozwala mu podejść do braci Vilanova i pogania go, żeby

prędzej wszedł do sklepu, gdzie, jak mówi, czeka na niego Komendant Ulicy, przynoszą je po dwóch, przemykając pod ścianami domów. To był pomysł Pajeu, żeby chłopcy z Canudos — nazywają ich tu dzieciakami — byli łącznikami jaguncos. Kiedy to zaproponował, wtedy w sklepie, Joao Mnich powiedział, że to ryzykowne, dzieci są lekkomyślne, mogą o czymś zapomnieć, coś popłatać, ale Pajeu nalegał, przekonywał, że jest właśnie odwrotnie: są szybkie, sprawne i ofiarne. „To Pajeu miał rację”, myśli były niewolnik, patrząc na drobną rączkę, która nie puszcza jego dłoni, dopóki nie stają przed Joao Mniczem: rozparty za ladą, spokojnie je i pije, słuchając, co mówi Pedrao, którego otacza z tuzin jaguncos. Na jego widok kiwa ręką, żeby podszedł bliżej, i mocno ściska mu dłoń. Joao Wielki chce powiedzieć, co czuje, podziękować, powinszować zdobycia takiej ilości broni, amunicji i jedzenia, ale jak zwykle coś go powstrzymuje, onieśmiela, zawstydzają: tylko Nauczyciel umiał przełamać tę barierę, która od dzieciństwa nie pozwala mu dzielić się z ludźmi tym, co dzieje się w jego duszy. Wita innych skinieniem głowy lub klepieniem po plecach. Czuje nagle ogromne zmęczenie i przykuca na podłodze. Asunción Sardelinha wkłada mu w ręce miskę pełną pieczonego mięsa z maniakiem i dzban wody. Na chwilę zapomina o wojnie, o tym, kim jest, je i pije uszczęśliwiony. Kiedy kończy, spostrzega, że Joao Mnich, Pedrao i inni milczą, czekając, aż skończy. Zmieszany, skrępowany, bąka jakieś przeprosiny.

Opowiada im właśnie, jak było w Umburanas, kiedy gwałtownie przerywa mu nieopisany łoskot. Na parę chwil nieruchomieją wszyscy. Kulą się, wtulają głowy w ramiona, czując, jak drżą kamienie, sufit, sklepowe sprzęty, jakby wszystko od tego drżenia miało rozlecieć się w kawałki.

— Widzicie, widzicie, teraz już wiecie! — wpada z krzykiem stary Joaquim Macambira, nie do poznania pod warstwą błota i kurzu. — Widzisz, jaka jest Matadeira, Joao Mniczu?!

Zamiast odpowiedzi Komendant Ulicy każe dzieciakowi, który przyprowadził Joao Wielkiego, zobaczyć, czy strzał nie uszkodził Świątyni Dobrego Jezusa albo Sanktuarium. Chłopak, z twarzą wykrzywioną strachem, odrywa się od Pajeu, na którego rzucił go podmuch pocisku. Joao Mnich kiwa na Macambirę, żeby usiadł i coś zjadł. Ale stary jest jak w gorączce: odgryzając kawał mięsa podanego mu przez Antonię, wciąż jeszcze z trwogą i nienawiścią mówi o wielkiej armacie. Joao Wielki słyszy, jak bełkocze z pełnymi ustami: „Trzeba coś zrobić, inaczej po nas”.

I nagle Joao Wielki zapada w kojący sen. Widzi tabun rozhukanych kasztanów galopujących po piaszczystej plaży, napierających piersią na białe, spienione morze. W powietrzu rozchodzi się zapach trzciny cukrowej, świeżej melasy i wyłoków. Ale szczęście, jakim przepelnia go widok tych lśniących zwierząt, rżących z radości pośród chłodnych fal, trwa krótko, bo wtem z morskiej głęбини wynurza się podłużny, złowrogi kształt, ziejący ogniem jak smok, którego Oxossi na candomble w Mocambo uśmierca błyszczącym mieczem. Jakiś grzmiący głos obwieszcza: „Diabeł zwycięży”. Ze strachu budzi się.

Przez powieki klejące się od snu widzi w chybotliwym świetle kaganka troje ludzi zajętych jedzeniem: kobietę, ślepcę i karzełka, którzy przyszli do Belo Monte razem z ojcem Joaquimem. Jest noc, nikogo więcej nie ma w izbie, spał bardzo długo. Wyrzuty sumienia otrzeźwiają go do reszty. „Co się stało?!”, krzyczy, zrywając się na równe nogi. Ślepiec wypuszcza z rąk kawałek mięsa: szuka go, macając po ziemi.

„Powiedziałem im, żeby dali ci się wyspać”, słyszy głos Joao Mnicha; w półmroku zarysowuje się barczysta postać. „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”, mamrocze były niewolnik i zaczyna się usprawiedliwiać, ale Komendant Ulicy ucina: „Potrzebowałeś snu, Joao Wielki, nikt nie może żyć bez snu”. Siada na beczce obok kaganka; były niewolnik widzi, że jest wymizerowany, oczy ma wpadnięte, czoło pobrużdzone. „Ja

sobie spałem, a ty walczyłeś, biegałeś, pomagałeś", myśli. Ogarnia go poczucie takiej winy, że nawet nie zauważa, kiedy Karzełek podchodzi do cangaceiro i podaje mu blaszankę z wodą. Wypiwszy, Joao Mnich oddaje ją Joao Wielkiemu.

Nauczyciel jest bezpieczny w Sanktuarium, ateści nie ruszyli się krokiem z Faveli; strzelają od czasu do czasu. Na zmęczonej twarzy Joao Mnicha widać niepokój. „Co ci jest, Joao? Mogę ci jakoś pomóc?”. Komendant Ulicy patrzy na niego ciepło. Choć niewiele ze sobą rozmawiają, były niewolnik wie, że już od czasu wspólnych wędrówek po sertonie były cangaceiro szanuje go bardzo; tysiące razy dawał mu to do zrozumienia.

— Joaquim Macambira i jego synowie wybierają się na Favelę, chcą zagwoździć Matadeirę — mówi. Trzy osoby siedzące na podłodze przerywają jedzenie, a ślepiec wyciąga szyję, patrząc na nich prawym okiem przyklejonym do tych swoich okularów, które wyglądają jak łamigłówka ze szkielek. — Wątpię, czy dojdą na górę. Ale jeśli dojdą, może się udać. To proste. Wystarczy uszkodzić zamek albo rozerwać dynamitem łufę.

— Mogę iść z nimi? — przerywa Joao Wielki. — Zatkam ją prochem, wysadzę ją w powietrze.

— Możesz pomóc Macambirom dostać się tam — mówi Joao Mnich. — Ale nie pójdiesz z nimi, Joao Wielki. Pomożesz im tylko. To ich plan, ich decyzja. Chodź, idziemy.

Kiedy wychodzą, Karzełek czepia się ręki Joao Mnicha i przypocholebia mu się słodziutkim głosem: „Chcesz, to opowiem ci Straszliwą i Przykładną Historię Roberta Diabła, Joao Mniczu”. Były cangaceiro odsuwa go bez słowa.

Na zewnątrz jest noc, późna i pochmurna. Nie świeci ani jedna gwiazda. Nie słychać strzałów, nie widać ludzi na Campo Grande ani świateł w domach. Bydło, gdy tylko się ściemniło, zapędzono aż za Mocambo. Uliczka Ducha Świętego cuchnie padliną i zaschniętą krwią; wysłuchując planu Macambirów, Joao Wielki słyszy tysiące much unoszących się nad resztkami mięsa rozwłóczonymi przez psy. Zostawiając za sobą Campo Grande, wychodzą na plac między kościołami, obwarowany ze wszystkich stron podwójnymi i potrójnymi wałami z cegły, kamienia, skrzyń wypełnionych ziemią, wywróconych wozów, baryłek, drzwi, blachy, kołków, za którymi tłoczą się uzbrojeni ludzie. Odpoczywają, leżąc na ziemi, rozmawiają, siedząc wokół dymiących żarowników, gdzieś na rogu ktoś śpiewa do wtóru gitary. „Jak można być takim zerem, żeby nie wytrzymać bez snu, nawet kiedy chodzi o zbawienie duszy?”, myśli z udręką.

W progu Sanktuarium, ukrytego za wysokim szańcem ze skrzyń z ziemią i worków, rozmawiają z ludźmi z Gwardii Katolickiej, czekając na Macambirów. Stary, jego jedenastu synów i ich żony są teraz u Nauczyciela. Joao Wielki dobiera w myśli chłopaków, którzy pójdą razem z nim, i myśli, że chciałby usłyszeć, co Nauczyciel powie tej rodzinie, która ma ofiarować się za Dobrego Jezusa. Kiedy wychodzą, oczy starego błyszczą. Aniołek i matka Maria Quadrado odprowadzają ich do szańca i błogosławią. Macambirowie obejmują żony, które tulą się do nich z płaczem. Ale Joaquim Macambira kładzie kres pożegnaniom, przypominając, że czas ruszać. Kobiety idą z Aniołkiem modlić się w Świątyni Dobrego Jezusa.

Po drodze do transzei Starej Fazendy zabierają ekwipunek przydzielony przez Komendanta Ulicy: drągi, sztaby, petardy, topory, młotki.

Stary i jego synowie rozdzielają je między siebie w milczeniu, podczas gdy Joao Mnich tłumaczy, że kiedy oni będą się wspinać do Matadeiry, Gwardia Katolicka ściągnie na siebie uwagę psów pozorowanym atakiem. „Chodźmy zapytać, czy dzieciaki już wiedzą, gdzie stoi”, mówi.

Tak, znalazły ją, potwierdza Pajeu, witając się z nimi na Starej Fazendzie. Matadeira stoi na pierwszym wzniesieniu, zaraz za Monte Mario, razem z innymi armatami pierwszej kolumny. Ustawili je szeregiem, obłożyli beczkami i workami pełnymi kamieni. Dwójka dzieciaków podczołgała się tam: za pasem ziemi niczyjej i linią martwych strzelców naliczyli trzy stanowiska obserwacyjne na niemal pionowych zboczach Faveli.

Joao Wielki zostawia Joao Mnicha i Macambirów z Pajeu, a sam przemyka się labiryntem wykopanym wzdłuż terenów przyległych do Vassa Barris. To tutaj żołnierze dostali największą nauczkę w tej wojnie, zaledwie bowiem doszli na szczyty i zobaczyli Canudos, rzucili się w dół ku miastu leżącemu u ich stóp. Straszliwy ogień osadził ich w miejscu: szarpnęli się w tył, w przód, przepychali się, deptali, biegali w popłochu, widząc, że nie mogą cofnąć się ani iść dalej, ani uciekać w bok, mogą tylko paść na ziemię i walczyć. Joao Wielki przechodzi wśród uśpionych jaguncos; co kilkadziesiąt kroków zza parapetu wychyla się strażnik, żeby zamienić z nim parę słów. Były niewolnik budzi czterdziestu ludzi z Gwardii Katolickiej i tłumaczy, co mają robić. Nie dziwi go, kiedy mówią, że prawie nie mieli strat; Joao Mnich przewidział, że rzeźba terenu będzie tu dla jaguncos najlepszą osłoną. Kiedy wracają do Starej Fazendy, trafiają na kłótnię. Komendant Ulicy chce, żeby Macambirowie przebrali się w mundury żołnierzy, mówi, że w ten sposób łatwiej dotrą do armaty. Joaquim Macambira odmawia, oburzony.

— Nie chcę smażyć się w piekle — burczy.

— Nie będziesz się smażył. Chodzi o to, żebyście wrócili żywi.

— Moje życie i życie moich synów to nasza sprawa! — grzmi stary.

— Jak chcesz — ustępuje Joao Mnich. — Bóg z wami.

— Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel — mówi stary na pożegnanie.

Kiedy wkraczają na ziemię niczyją, wschodzi księżyc. Joao Wielki klnie przez zęby. Słyszy szemranie w szeregach swoich ludzi. Księżyc — żółty, okrągły, ogromny — rozprasza ciemności nikłą poświatą, w której ukazuje się pas bezdrzewnej ziemi, roztapiający się w mrocznym cieniu Faveli. Pajeu odprowadza ich do stóp zbocza. Joao Wielki nie może uwolnić się od myśli, że mógł zasnąć, kiedy wszyscy czuwali. Przypatruje się twarzy Pajeu. Ile dni już nie spał? Trzy? Cztery? Szedł za heretykami od Monte Santo, walczył z nimi w Angico i Umburanas, wrócił do Canudos, przez cały czas nie zmrużył oka, a teraz, przytomny, spokojny, nieprzenikniony, znów idzie na czele, razem z dwójką dzieciaków, które potem poprowadzą ich na górę. „On by nie zasnął”, myśli Joao Wielki. Myśli: „To Diabeł mnie uśpił”. Wzdryga się; pomimo lat, które upłynęły, i ukojenia, jakie przyniosły mu nauki Nauczyciela, od czasu do czasu dręczy go podejrzenie, że Zły, który wstąpił w niego tamtego odległego popołudnia, kiedy zabił Adelinię de Gumucio, czai się gdzieś w mrokach jego duszy, czekając sposobnej okazji, żeby zgubić go znowu.

Nagle zbocze przed nimi staje dęba, zwiesza się nad ich głowami niemal pionową stromizną. Joao zastanawia się, czy stary Macambira da radę tędy przejść. Pajeu pokazuje mu linię martwych strzelców, widocznych w świetle księżyca. Jest ich wielu: szli w przedniej straży i padli jednocześnie, skoszeni ogniem jaguncos. W ciemnościach Joao Wielki widzi lśniąca guziki przy rzemieniach, złote odznaki na czapkach. Pajeu żegna ich ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Dwaj chłopcy zaczynają wspinać się na czworakach po zboczu. Joao Wielki i Joaquim Macambira idą za nimi, też na czworakach, a nieco w tyle Gwardia Katolicka. Stąpają tak cicho, że nawet Joao ich nie słyszy. Wydaje się, że to wiatr strąca kamienie usuwające się im spod nóg. Za plecami, w dole, w Belo Monte, słychać nieustanny pomruk. Odmawiają różaniec na placu? Czy śpiewają kamyczki, którymi co noc Canudos żegna zmarłych za dnia? Już dostrzega przed sobą sylwetki, światła, słyszy głosy.

Robi się czujny, spięty na samą myśl o tym, co się może zdarzyć.

Dzieciaki zatrzymują pochód. Są blisko stanowiska strażników: widzą czterech stojących żołnierzy, a za nimi wiele postaci oświetlonych blaskiem ogniska. Stary Macambira czołga się do niego, Joao Wielki słyszy, jak sapie z wysiłkiem: „Kiedy usłyszysz świstawkę, palnij do nich”. Kiwa głową. „Niech Dobry Jezus wam pomaga, ojcie Joaquinie”. Widzi, jak ciemności wchłaniają zgiętych pod ciężarem młotków, drągów i toporów dwunastu Macambirów i chłopca, który ich prowadzi. Drugi z dzieciaków zostaje przy nim.

Stojąc wśród swoich ludzi, czeka w napięciu na głos świstawki, oznajmiający, że Macambirowie dotarli do Matadeiry. Czas się wlecze, byłemu niewolnikowi wydaje się, że nigdy nie usłyszy sygnału. Kiedy świst — długi, zawodzący, nagły — zaciera wszelkie inne dźwięki, wypalają do strażników ze wszystkich karabinów naraz. Wszędzie dokoła rozlega się huk wystrzałów. Wybucho straszliwe zamieszanie, żołnierze gaszą ognisko, strzelają z góry na oślep: nie dostrzegli ich, strzały idą w innym kierunku.

Joao Wielki rzuca się naprzód ze swoimi ludźmi i już po chwili zasypują kulami i petardami ciemne obozowisko, skąd dobiegają krzyki, tupot, sprzeczne rozkazy. Opróżniwszy magazynek karabinu, Joao kuli się i nasłuchuje. Wysoko, w okolicy Monte Mario, też chyba strzelają. Czyżby Macambirowie bili się z artylerią? W każdym razie nie ma tam po co iść; naboje się skończyły. Świstawką daje sygnał do odwrotu.

W połowie zbocza dopędza ich drobna figurka. Joao Wielki kładzie ręce na potarganej główce.

— Zaprowadziłeś ich do Matadeiry? — pyta.

— Zaprowadziłem — odpowiada chłopiec.

Za ich plecami wybucho hałaśliwa strzelanina, jakby cała Fave-la ruszyła do bitwy. Chłopiec nie odzywa się więcej, a Joao Wielki znowu myśli o dziwnym sposobie bycia mieszkańców sertonu, gdzie ludzie wolą milczeć niż mówić.

— A co z Macambirami? — pyta wreszcie.

— Zabili ich.

— Wszystkich?

— Chyba wszystkich.

Już są na ziemi niczyjej, w połowie drogi do transzei.

Karzełek odnalazł okularnika — zapłakanego, skulonego w jakimś dołku na zboczu Cocorobó — kiedy ludzie Pedrao wycofywali się do Canudos. Wziął go za rękę i poprowadził wśród jaguncos, którzy wracali pospiesznie do Belo Monte, pewni, że żołnierze drugiej kolumny, przedarłszy się przez barierę Trabubu, napadną na miasto. Gdy nazajutrz o świcie przekraczali transzeję przy kozich zagrodach, wpadli w tłumie na Juremę: szła razem z Sardeliniami, poganiając obładowanego kozami osła. Wszyscy troje uściskali się wzruszeni, a Karzełek poczuł na policzku wargi Juremy. Tej nocy, kiedy leżąc na podłodze w sklepie, za stertami beczek i skrzyń, słuchali strzelaniny, która bez chwili przerwy niosła się nad Canudos, Karzełek powiedział im, że nie pamięta, aby przedtem ktokolwiek go pocałował.

Ile dni trwał grzmot armat, stukot karabinów, huk granatów, od których powietrze robiło się czarne i pękały wieże Świątyni? Trzy, cztery, pięć? Snuli się z kąta w kąt po sklepowej izbie, patrzyli na ludzi wchodzących i wychodzących we dnie i w nocy, słyszeli ich sprzeczki i rozkazy i nic z tego nie rozumieli. Pewnego popołudnia Karzełek napelniał łyżką woreczki i rogi na proch do strzelb i skałków. Usłyszał wtedy, jak jeden z jaguncos mówi,

pokazując na materiały wybuchowe: „Oby te ściany wytrzymały, Antonio Vilanova. Wystarczy jedna kula i wszystko pójdzie z dymem”. Nie powtórzył tego przyjaciółom. Po co straszyć okularnika? To, co tu wspólnie przeżyli, sprawiło, że przywiązał się do nich bardziej nawet niż do cyrkowców, wśród których zawsze czuł się najlepiej.

W czasie bombardowań wychodził dwukrotnie w poszukiwaniu jedzenia. Przemykając wraz z innymi pod ścianami domów, żebrał, oślepiiony kurzem, ogłuszony strzelaniną. Na ulicy Matki Kościoła widział śmierć dziecka. Malec gonił za kurą, która podfruwiała, trzepocząc skrzydłami; po kilku krokach wytrzeszczył oczy i podskoczył jak rażony gromem. Kula trafiła go w brzuch i zabiła na miejscu. Zaciągnął trupa do domu, z którego chłopiec wybiegł; w środku nie było nikogo, więc zostawił go w hamaku. Kury nie udało mu się złapać. Nastrój całej trójki, mimo niepewności i szalejącej wokół śmierci, poprawił się, kiedy wreszcie mogli najeść się do syta, dzięki bydłu przyprowadzonemu przez Joao Mnicha.

Była noc, nastąpiła przerwa w strzelaniu, ucichł szmer modłów na placu. Nie spali. Rozmawiali, leżąc na sklepowej podłodze. Nagle w drzwiach stanęła bezszelestna postać z glinianym kagankiem w dłoni. Karzełek rozpoznał bliźnię i przenikliwe spojrzenie małych oczu Pajeu. Na ramieniu miał strzelbę, za pasem maczetę i nóż, ładownice skrzyżowane na piersi osłoniętej wyszywaną koszulą.

— Z całym szacunkiem — wymamrotał. — Chcę, żeby pani została moją żoną.

Karzełek usłyszał jęk okularnika. Wydało mu się niezwykle, że ów człowiek, taki skryty, taki ponury, taki chłodny, powiedział coś podobnego. W twarzy ściągniętej blizną odgadł jakiś wielki niepokój. Nie było słyhać strzałów, ujadania psów ani słów litanii; tylko jakiś chrząszcz tłukł się o ściany. Serce Karzełka waliło mocno; to nie był strach, ale jakaś rzewna litość, współczucie dla tej oszpeconej twarzy, która zastygła w niemym oczekiwaniu, wpatrując się uporczywie w Juremę przy świetle kaganka. Słyszał bojaźliwy oddech okularnika, Jurema milczała. Pajeu przemówił znowu, wyraźnie wymawiając każde słowo. Nie był przedtem żonaty, nie tak, jak nakazuje Kościół, Ojciec, Nauczyciel. Nie spuszczał oczu z Juremy, nawet nie mrugnął, a Karzełek pomyślał, że to głupota żałować kogoś, kogo wszyscy się boją. Ale w tej chwili Pajeu wydawał się straszliwie bezradny. Miewał przelotne miłości, co to mijają bez śladu, ale nigdy nie miał rodziny, dzieci. Życie mu nie pozwalało. Wiecznie w drodze, wiecznie w ucieczce, wiecznie w walce. Dlatego tak dobrze zrozumiał, co miał na myśli Nauczyciel, kiedy tłumaczył, że ziemia, zmęczona, wyczerpana, wciąż zmuszana do tej samej pracy, pewnego dnia zażąda odpoczynku. Tym właśnie jest dla niego Belo Monte, jak odpoczynek dla ziemi. W jego życiu nie było miejsca na miłość. Ale teraz... Karzełek spostrzegł, że przetyka ślinę, i przyszło mu do głowy, że Sardelinie obudziły się i słuchają Pajeu w ciemnościach. Zadręczał się tym, rozmyślał po nocach: czy jego serce stało się oschłe z braku miłości? Zająknął się, a Karzełek pomyślał: „Nie istniejemy dla niego. Ani ja, ani ślepy”. A jednak nie: zobaczył w catindze Juremę i już wiedział. Coś dziwnego działo się z bliźnią: to migotliwy płomyk kaganka jeszcze bardziej zniekształcał jego twarz. „Ręka mu drży”, zdumiał się Karzełek. Tamtego dnia przemówiło jego serce, jego uczucia, jego dusza. Dzięki Juremie odkrył, że jego serce nie jest oschłe. Wciąż widział jej twarz, jej ciało, słyszał jej głos — tutaj i tutaj: nagłym gestem dotknął głowy i piersi; płomyk wzniósł się i opadł. Zamilkł znowu w oczekiwaniu i znowu dało się słyszeć buczenie chrząszcza tłukącego się o ścianę. Jurema wciąż milczała. Karzełek zerknął na nią z ukosa: skulona w obronnej postawie, z kamienną twarzą znosiła spojrzenie caboclo.

— Nie możemy pobrać się teraz, teraz mam co innego na głowie — dodał Pajeu, jakby się usprawiedliwiał. — Kiedy heretycy odejdą.

Karzełek usłyszał jęk okularnika. I tym razem oczy caboclo nie oderwały się od

Juremy, żeby spojrzeć na skuloną obok postać. Ale jest coś... coś, o czym wiele myślał w tych dniach, kiedy tropił ateistów, kiedy do nich strzelał. Coś, co radowało mu serce. Zamilkł, skrępowany, zmagał się ze sobą, żeby to powiedzieć: czy Jurema będzie mu przynosiła jedzenie i wodę do Starej Fazendy? Zawsze tego innym zazdrościł, zawsze chciał, żeby tak było. Zrobi to?

— Tak, tak, zrobi, co zechcesz — usłyszał zaskoczony Karzełek głos okularnika. — Zrobi to, zrobi.

Ale nawet tym razem oczy caboclo nie spojrzały w bok.

— Kim on jest dla pani? — zapytał. Teraz jego głos był tnący jak nóż. — Mężem?

— Nie — powiedziała Jurema miękko. — To jest... jakby mój syn.

Noc wypełniła się strzałami. Najpierw jedna salwa, potem druga, ostra, gwałtowna. Rozległy się krzyki, tupot, jakiś wybuch.

— Cieszę się, że tu przyszedłem, że rozmówiłem się z panią — powiedział caboclo. — Muszę już iść. Niech będzie pochwalony Dobry Jezus.

W chwilę potem ciemność znowu zalała sklep. Nie słyszeli już chrząszcza, tylko huk karabinów, nieprzerwany, to daleki, to bliski. Bracia Vilanova byli w okopach. Przychodzili tylko po to, żeby spotkać się z Joao Mnichem; Sardelinie szły na cały dzień do Domów Zdrowia albo nosiły jedzenie walczącym. Karzełek, Jurema i okularnik zostali w sklepie sami. Skład znów zappełnił się bronią i dynamitem z konwoju, który przyprowadził Joao Mnich. Dostępu do drzwi bronił wał z piachu i kamieni.

— Dlaczego mu nie odpowiadałaś? — miotał się ślepy. — Był straszliwie napięty, zmagał się ze sobą, żeby ci to wszystko powiedzieć. Dlaczego nic nie mówiłaś? Nie pomyślałaś, że w takim stanie łatwo mógł przejść od miłości do nienawiści, mógł się rzucić na ciebie, mógł cię zabić, a z tobą i nas?

Zamilkł, żeby kichnąć raz, dwa, dziesięć razy. Kiedy skończył, strzelanina ucichła także. Nad ich głowami krążył nocny chrząszcz.

— Nie chcę być żoną Pajeu — powiedziała Jurema, jakby nie do nich. -Jeżeli mnie zmusi, to się zabiję. Tak jak zabiła się jedna dziewczyna w Calumbi, kolcem xique-xique. Nigdy nie będę jego żoną.

Okularnik dostał nowego napadu kichnięć, a Karzełek przestraszył się nagle: jeśli Jurema umrze, co się z nim stanie?

— Powinniśmy byli uciec, kiedy jeszcze było można — usłyszał jęk ślepego. — Już nigdy się stąd nie wydostaniemy. Umrzemy straszną śmiercią.

— Pajeu powiedział, że żołnierze sobie pójdą — szepnął Karzełek. — Mówił z taką pewnością! On wie, on walczy, on zna się na wojnie.

Dawniej ślepy spierał się z nim: oszalał chyba, dał się omamić ich rojeniom, wyobraża sobie, że mogą wygrać z regularną armią? Może sądzi, jak tamci, że pojawi się król Sebastian, żeby walczyć u ich boku? Ale tym razem milczał. Karzełek nie był tak pewien jak on, że żołnierze są niezwyciężeni. Przecież nie weszli do Canudos, a Joao Mnich odebrał im bydło i broń. Ludzie mówią, że tam, na Faveli, mrą jak muchy, trzymani pod ogniem ze wszystkich stron, bez jedzenia, ostrzeliwując się resztkami amunicji.

Ale Karzełka, który przywykł do wędrownego życia i nie mógł usiedzieć w zamknięciu, coś ciągnęło na ulicę, chociaż bał się kul, i z każdym dniem widział wyraźniej, że Canudos nie wygląda jak zwyczajne miasto. Często natykał się na zabitych lub rannych

leżących na noszach; jeśli strzelanina była ostra, mijały całe godziny, zanim zabrano ich do Domów Zdrowia, które teraz przeniesiono na ulicę Świętej Inez, w pobliżu Mocambo. Karzełek omijał tę dzielnicę, chyba że musiał pomagać pielęgniarzom w noszeniu ciał. Bo przy Świętej Inez we dnie piętrzyły się stosy trupów, które grzebano tylko nocą — cmentarz był na linii ognia — i smród był nie do wytrzymania, nie mówiąc już o skargach i jękach dochodzących z Domów Zdrowia; smutkiem napawał go widok leciwych starców — kalekich, bezużytecznych w walce — którym kazano odganiać wygłodniałe sępy i psy rzucające się na oblepione muchami trupy. Pogrzeby odbywały się po naukach i różańcu, odprawianym co dzień o zmierzchu przy wtórze wieczornych dzwonów Świątyni Dobrego Jezusa. Ale teraz modlili się w ciemnościach, których nie rozjaśniały płomyki świec, jak przed wojną. Na nauki chodzili wszyscy troje, ale w przeciwieństwie do Karzełka, który potem szedł na cmentarz z orszakami żałobników, Jurema i okularnik wracali do sklepu zaraz po kazaniu Nauczyciela. Karzełka fascynowały pogrzeby, ten dziwny upór krewnych, żeby przypadkiem nie pochować swoich zmarłych bez najmniejszego choćby kawałka drewna. Ponieważ nikt już nie robił trumien, bo wszyscy zajęli się wojaczką, nieboszczyków owijano hamakami, czasami po dwóch lub trzech naraz. Rodzina wkładała tam deseczkę, patyk, jakikolwiek kawałek drewna, żeby pokazać Ojcu, że jej wolą jest godnie pogrzebać zmarłego w trumnie, chociaż udaremniają to przeciwności losu.

Po powrocie z jednej ze swoich wypraw Karzełek zobaczył w sklepie Juremę i ślepego, siedzących w towarzystwie ojca Joaquim. Uplłynęło wiele miesięcy, odkąd się tu znaleźli, i przez ten czas nigdy nie byli z nim sam na sam. Widywali go często, gdy stał po prawicy Nauczyciela na wieży Świątyni Dobrego Jezusa, gdy odprawiał mszę, gdy wspólnie z tłumami zgromadzonymi na placu odmawiał różaniec; widywali go na procesjach, za zwartym kordonem Gwardii Katolickiej, i na pogrzebach, śpiewającego po łacinie modlitwy za zmarłych. Bywało, że znikał z miasta: podobno wyprawiał się do odległych zakątków sertonu, żeby robić zamówienia dla jaguncos. Odkąd wznowiono wojnę, często pojawiał się na ulicach, zwłaszcza przy Świętej Inez, gdzie chodził spowiadać i udzielać ostatniego namaszczenia konającym z Domów Zdrowia. Chociaż mijali się wiele razy, nigdy nie odezwał się do niego, ale kiedy Karzełek wszedł do sklepu, księżulo wyciągnął rękę i powiedział kilka uprzejmych słów. Siedział na stołku do dojenia krów; Jurema i okularnik przykucnęli na podłodze.

— Nic nie jest proste, jak się okazuje. Nawet rzecz pozornie najprostsza na świecie — mówił ojciec Joaquim do Juremy, zniechęcony, cmokając splekanymi wargami. — Myślałem, że będziesz uszczęśliwiona. Że tym razem przyjmiecie mnie jak zwiastuna radosnej nowiny. — Przerwał i zwilżył usta językiem. — Chodzę po domach tylko ze świętymi olejami, zamykać oczy zmarłym, patrzeć na ludzkie cierpienie.

Karzełek pomyślał, że w ciągu tych kilku miesięcy zrobił się z niego staruszek. Wyłysiał niemal doszczętnie, przez kępki białego puchu nad uszami prześwitywała opalona, popstrzona piegami czaszka. Był straszliwie chudy: spod rozpiętej wyszarzałej sutanny sterczały kości obojczyków; na obwisłej, żółtawej twarzy białały kosmyki mlecznego zarostu. W jego wyglądzie, oprócz starości i głodu, uderzało ogromne zmęczenie.

— Nie wyjdę za niego, ojcie — powiedziała Jurema. — Jeśli będzie chciał mnie zmusić, zabiję się.

Mówiła spokojnie, z chłodną determinacją, tą samą co tamtej nocy, a Karzełek zrozumiał, że ksiądz z Cumbe musiał to już od niej słyszeć, bo wcale się nie zdziwił.

— Nie ma zamiaru cię zmuszać — mruknął. — Nawet nie przyszło mu do głowy, że go odrzucisz. Myśli, jak wszyscy tutaj, że każda kobieta w Canudos czułaby się szczęśliwa, będąc wybranką Pajeu. Wiesz przecież, córko, kto to jest. Na pewno słyszałaś, co o nim



mówią.

Popatrzył na klepisko, przybity. Mała stonoga wypełzła mu spod sandałów, z których wyłaziły chude, żółtawe palce o długich, czarnych paznokciach. Nie rozdeptał jej, pozwolił jej odejść, zniknąć za szeregiem karabinów ustawionych w kozły.

— To wszystko prawda, a nawet więcej niż prawda — dodał z tą samą rezygnacją. — Gwałty, zabójstwa, kradzieże, rozboje, pogromy, obcinanie uszu i nosów dla samej przyjemności zadawania bólu. Całe to rozpasane życie z piekła rodem. A jednak i on jest tutaj, tak jak Joao Mnich, jak Karabela, jak Pedrao i inni... Nauczyciel uczynił cud, wyrwał owieczkę wilkowi, zawrócił ją do owczarni. I za to, że wrywają owieczki z paszczy wilka, za to, że ludziom, którzy dotąd znali tylko strach i nienawiść, głód, zbrodnię i rozbój, dali szansę odmiany życia, za to, że uduchowali tę krainę przemocy, chcą ich zgładzić, wysyłają na nich armię za armią. Jakież zamęt zapanował na świecie, co się stało z Brazylią, że dzieją się tu rzeczy tak nikczemne? Okazuje się, że znów trzeba przyznać rację Nauczycielowi. Prawdą jest, że Szatan zawładnął Brazylią, a republika jest Antychrystem.

Powiedział to, nie podnosząc głosu, bez pośpiechu, bez gniewu, bez smutku. Był zdruzgotany.

— To nie upór ani nienawiść — usłyszał Karzełek głos Juremy, równie stanowczy jak przedtem. — Gdyby to nie był Pajeu, też bym go nie przyjęła. Nie chcę już wychodzić za mąż, ojczu.

— Dobrze, dobrze, rozumiem — westchnął ksiądz z Cumbe. — Załatwimy to. Jeśli nie chcesz, nie wyjdiesz za niego. Nie musisz się zabijać. W Belo Monte ja daję śluby, tu nie ma ślubów cywilnych. — Uśmiechnął się półgębkiem, a w jego źrenicach pojawił się hultajski błysk. — Ale nie możemy mu tego powiedzieć od razu. Nie trzeba go ranić. Ludzie pokroju Pajeu są chorobliwie drażliwi. Swoją drogą, nigdy nie mogłem się nadziwić ich przewrażliwieniu na punkcie honoru. Są jak żywa rana. Nie mają nic, za to honoru mają w nadmiarze. To ich majątek. Dobra, na początek powiemy mu, że twoje wdowieństwo jest zbyt świeże, abyś mogła teraz wiązać się na nowo. Niech poczeka. Ale jest jedna rzecz. To dla niego bardzo ważne. Zanoś mu jedzenie do Starej Fazendy. Mówił mi o tym. Niech czuje, że troszczy się o niego kobieta. Potrzebuje tego. To niewiele, a sprawisz mu przyjemność. Co do reszty, będziemy go po trochu zniechęcać.

Ranek był spokojny, ale teraz rozległy się strzały, pojedyncze i bardzo dalekie.

— Wzbudziłaś namiętność — dodał ojciec Joaquim. — Wielką namiętność. Wczoraj przyszedł do Sanktuarium prosić Nauczyciela, żeby pozwolił mu się z tobą ożenić. Powiedział, że przyjmie także tych dwóch, skoro to twoja rodzina, że weźmie ich do siebie.

Wstał gwałtownie. Okularnikiem wstrząsało kichanie, a Karzełek wybuchnął śmiechem, uradowany na myśl, że byłby adoptowanym synem Pajeu: nie zabrakłoby mu wtedy jedzenia.

— Za nic nie będę jego żoną — powtórzyła Jurema, niewzruszona. Po czym dodała, spuszczając oczy: — Ale będę mu nosić jedzenie, skoro ojciec sądzi, że powinnam.

Ojciec Joaquim skinął głową i odwrócił się do wyjścia. Wtem okularnik jednym skokiem zerwał się z miejsca i chwycił go za ramię. Widząc jego niepokój, Karzełek odgadł, co powie.

— Niechże mi ksiądz pomoże — wyszeptał, rozglądając się na boki. — Zaklinam ojca na wszystko, co święte. Nie mam nic wspólnego z tym, co tu się dzieje. Jestem w Canudos przypadkiem, ksiądz wie, że nie jestem żołnierzem ani szpiegiem, że jestem nikim. Błagam,

proszę mi pomóc.

Ksiądz z Cumbe popatrzył na niego z politowaniem.

— Wydostać się stąd...? — mruknął.

— Tak, tak — jękał okularnik, kiwając głową. — Zabronili mi odejść. To niesprawiedliwe...

— Powinien pan być uciec — wyszeptał ojciec Joaquim — kiedy było można. Teraz wszędzie roi się od żołnierzy.

— Czy ksiądz nie widzi, w jakim ja jestem stanie? — zaskomlał okularnik, pokazując na swoje oczy, zaczerwienione, wytrzeszczone, zmętniałe, rozbiegane. — Nie widzi ksiądz, że bez okularów jestem ślepy? Gdzie bym doszedł sam? Potykałbym się o każdy kamień w sertonie. — Głos mu się załamał, przeszedł w skowyt. — Nie chcę tu zdechnąć jak szczur.

Ksiądz z Cumbe zamrugał kilka razy, a Karzełek poczuł chłód na grzbiecie, jak zawsze, kiedy okularnik przepowiadał im nieuchronną śmierć.

— Ja też nie chcę zdechnąć jak szczur — wycodził księżulo, wykrzywiając twarz w grymasie. — Ja też nie mam nic wspólnego z tą wojną. A jednak... — Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić jakąś natrętną wizję. — Nawet gdybym zechciał panu pomóc, nie mógłbym. Z Canudos wychodzą tylko uzbrojone oddziały. Idą walczyć. Z nimi pan przecież nie pójdzie. — Machnął ręką z goryczą. — Jeśli wierzy pan w Boga, niech pan się poleci Jego opiece. On jeden może nas teraz ocalić. A jeśli pan nie wierzy, to obawiam się, że nie ma nikogo, kto by panu pomógł, przyjacielu.

Odszedł, powłócząc nogami, przygarbiony i smutny. Nie mieli czasu na roztrząsanie tych odwiedzin, bo w tej samej chwili do składu weszli bracia Vilanova, a za nimi gromada ludzi. Karzełek zrozumiał, że jaguncos kopią nową transzeję, na zachód od Starej Fazendy, wzdłuż zakola Vassa Barris, naprzeciw Tabolerinho, bo część oddziałów wydostała się z Faveli; nadchodzą, okrążając Cambaio, i prawdopodobnie staną w tamtym sektorze. Kiedy bracia Vilanova odeszli, zabrawszy ze sobą broń, Karzełek i Jurema zaczęli pocieszać okularnika, który był tak przygnębiony rozmową z ojcem Joaquimem, że rozplakał się żałośnie: broda mu drżała, po policzkach ciekły łzy.

Tego samego wieczoru Karzełek poszedł z Juremą do Starej Fazendy zanieść jedzenie dla Pajeu. Chciała, żeby okularnik też poszedł z nimi, ale tak się bał caboclo i niebezpiecznej drogi przez całe Canudos, że odmówił. Jedzenie dla jaguncos przygotowywano w zaułku Świętego Cypriana, gdzie szlachtowano bydło pozostałe z wyprawy Joao Mnicha. Stali w długiej kolejce, zanim dotarli do Catariny, chuderlawej żony Joao Mnicha; wraz z innymi kobietami rozdzielała mięso, tapiokę i buklaki, które dzieciaki napełniały w źródłach Świętego Piotra. Dała im koszyk z prowiantem i włączyli się w długi szereg ludzi zdążających do transzei. Trzeba było przebiec zaułek Świętego Kryspina, a potem prze-kraść się na czworakach przez urwiste jary Vassa Barris, której kręty bieg zapewniał osłonę od kul. Minawszy rzekę, kobiety nie mogły już podążać zwartą grupą; przemykały się pojedynczo, biegnąc zygzakiem, a rozsądniejsze się czołgały. Transzeje dzieliło od jarów jakieś trzysta metrów. Karzełek pędził co tchu, przyklejony do Juremy. Po prawej stronie widział wieże Świątyni Dobrego Jezusa napchane strzelcami, a po lewej grzbiety Faveli, z których, był tego pewien, mierzyły w nich tysiące karabinów. Spocony, dotarł do krawędzi transzei. Czyjeś ramiona postawiły go na dnie wykopu. Zobaczył okaleczoną twarz Pajeu.

Nie wyglądał na zdziwionego, widząc ich tutaj. Pomógł zejść Juremie, unosząc ją w górę jak piórko, i przywitał ją skinieniem głowy, bez uśmiechu, tak naturalnie, jakby przychodziła codziennie. Wziął koszyk i pokazał, żeby odsunęli się na bok, bo tamują

przejście innym. Karzełek wmieszał się w gromadę jaguncos, którzy siedząc w kucki, jedli i rozmawiali z kobietami albo wyglądali przez wykusze parapetów i wywiercone w pniach otwory, dzięki którym mogli strzelać, nie będąc widziani. Dalej rów rozszerzał się półkolistą. Ludzie byli tu mniej stłoczeni i Pajeu znalazł trochę wolnego miejsca. Kiwnął na Juremę, żeby usiadła przy nim. Karzełkowi, który nie wiedział, czy też ma podejść, pokazał koszyk. Wówczas usadowił się obok, dzieląc z Juremą i Majeni ich skromny posiłek.

Przez dłuższą chwilę caboclo nie odzywał się. Jadł i pił, nie patrząc na nich. Jurema też na niego nie patrzyła, a Karzełek mówił sobie, że jest głupia, odrzucając mężczyznę, który mógłby zaradzić wszystkim jej kłopotom. Czy to takie ważne, że jest brzydki? Od czasu do czasu zerkał na Majeni. Trudno było uwierzyć, że ten zacięty człowiek o zimnej, obojętnej twarzy — karabin oparł o ścianę wykopu, ale nóż, maczetę i ładownice trzymał przy sobie — jest tym samym, który niedawno stał przed Juremą, drżący i bezradny, wyznając jej swoją miłość. Strzelaniny nie było, przelatywały tylko pojedyncze kule, z których gwizdem uszy Karzełka zdążyły się już oswoić. Nadal jednak nie przyzwyczał się do armatnich strzałów, niosących ze sobą straszliwy huk, tumany kurzu, łoskot walących się ścian, głębokie leje, przerażony płacz dzieci i strzępy rozerwanych ciał. Kiedy rozlegał się grzmot, Karzełek pierwszy przypadał do ziemi i leżał tak z zamkniętymi oczami, zlany zimnym potem, uczepony Juremy i okularnika, jeżeli byli w pobliżu, i próbował się modlić.

Żeby przerwać milczenie, zapytał nieśmiało, czy to prawda, że Joaquim Macambira i jego synowie, zanim zostali zabici, wysadzili Matadeirę. Pajeu powiedział, że nie. Matadeira wybuchła sama w kilka dni potem i podobno zginęło trzech czy czterech masonów, którzy z niej strzelali. Może Ojciec tak uczynił, żeby ich nagrodzić za męczeństwo. Caboclo starał się nie patrzeć na Juremę, a ona zdawała się go nie słuchać. Zwracając się wciąż do Karzełka, Majeni dodał, że ateści na Faveli mają się coraz gorzej, mrą z głodu i chorób, doprowadzeni do rozpacz stratami, jakie zadają im katolicy. Nocami aż tutaj słychać, jak płaczą i narzekają. Czy to znaczy, że wkrótce sobie pójdą?

Pajeu skrzywił się z powątpiewaniem.

— Martwi mnie to, co jest za nimi — mruknął, wskazując podbródkiem na południe. — W Queimadas i w Monte Santo. Wiozą tu więcej masonów, więcej karabinów, więcej armat, więcej stad, więcej ziarna. Idzie nowy konwój z ludźmi i jedzeniem. A nam wszystko się kończy. — Na jego bladej, żółtawej twarzy lekko drgnęła blizna. — Teraz ja pójdę ich zatrzymać — powiedział, odwracając się do Juremy. Karzełek poczuł się nagle odsunięty o kilka mil od tych dwojga. — Szkoda, że muszę ruszyć akurat teraz.

Jurema, z łagodnym i nieobecny wyrazem twarzy, wytrzymała spojrzenie byłego cangaceiro i nie odezwała się ani słowem.

— Nie wiem, jak długo to potrwa. Spadniemy na nich przez Juete. Trzy, cztery dni najmniej.

Jurema rozchyliła wargi, ale nic nie powiedziała. Nie mówiła nic, odkąd tu przyszli.

Wtem w transzei wybuchło jakieś poruszenie. Karzełek zobaczył, że wali ku nim kłębowisko ludzi, poprzedzane rosnącą wrzawą. Pajeu wstał i chwycił za karabin. W nieładzie, potrącając siedzących w kucki mężczyzn i kobiety, dotarła do nich gromada jaguncos. Otoczyli Pajeu, patrzyli na niego, ale nikt się nie odezwał. Wreszcie jakiś starszy człowiek z włochatym znamieniem na karku powiedział:

— Zabili Taramelę. Kula trafiła go w ucho, kiedy jadł. — Splunął i mruknął, patrząc w ziemię: — Odeszło twoje szczęście, Pajeu.

„Gniją za życia”, mówi głośno młody Teotonio Leal Cavalcanti, pewien, że myśli, a

nie mówi. Ale nie ma obawy, że ranni go usłyszą. Chociaż szpital polowy pierwszej kolumny jest dobrze osłonięty przed ogniem w rozpadlinie między szczytami Faveli i Monte Mario, grzmot wystrzałów, zwłaszcza artylerii, dochodzi aż na samo dno, spotęgowany echem odbitym od sklepienia gór, i jest to jeszcze jedna tortura dla rannych, którzy muszą krzyczeć, jeśli chcą, żeby ich usłyszano. Nie, nikt go nie słyszał.

Myśl o rozkładających się ciałach prześladowuje Teotonia Leala Cavalcanti. Kiedy jako student ostatniego roku medycyny w Sao Paulo, wiedziony żarliwym umiłowaniem republikańskich ideałów, zaciągnął się na ochotnika, żeby bronić Ojczyzny w Canudos, widok rannych, konających i trupów nie był dla niego nowością. Ale jak można porównywać wykłady anatomii, sekcje w uniwersyteckiej auli i pacjentów ze szpitali, gdzie odbywał praktykę chirurgiczną, z tym piekłem, jakim jest pułapka Faveli? Zdumiewa go szybkość, z jaką gangrena atakuje rany, w których już po kilku godzinach daje się zauważyć niespokojne wrzenie robactwa i cuchnącą ropę.

„Przyda ci się w dalszej karierze — powiedział mu ojciec, kiedy zegnali się na dworcu w Sao Paulo. — Odbędziesz intensywną praktykę pierwszej pomocy”. Była to raczej praktyka rzeźnicka. Czegoś się jednak nauczył przez te trzy tygodnie: ranni umierają nie tyle z powodu ran, ile z powodu gangreny, a najwięcej szans na przeżycie mają ci, którzy dostali kulę albo cięcie w ręce i nogi, członki łatwo usuwalne, jeśli tylko amputować je i skauteryzować na czas. Chloroformu starczyło tylko na pierwsze trzy dni; Teotonio rozbijał ampułki, nasączał odurzającym płynem tampony z waty i przytrzymywał je pod nosem rannego, a kapitan-chirurg, doktor Alfredo Gama, piłował, sapiąc z wysiłku. Kiedy skończył się chloroform, środkiem uśmierzającym była wódka, ale i ona już się skończyła, więc operacje przeprowadza się bez narkozy, licząc na to, że ofiara szybko zemdleje i chirurg będzie mógł operować nierozpraspany wrzaskami bólu. A teraz Teotonio Leal Cavalcanti sam piłuje i ucina zgangrenowane stopy, nogi, ramiona i dłonie, podczas gdy dwaj sanitariusze przytrzymują ofiarę do chwili, gdy straci przytomność. Po amputacji sam kauteryzuje kikuty, spalając na nich szczyptę prochu albo polewając je wrzącym łojem, jak nauczył go kapitan Alfredo Gama przed tamtym głupim wypadkiem.

Właśnie, głupim. Bo kapitan Gama wiedział, że artylerzystów jest za dużo, a lekarzy brakuje. Zwłaszcza takich lekarzy jak on, biegłych w udzielaniu natychmiastowej pomocy, czego nauczył się podczas wojny paragwajskiej, na którą zgłosił się na ochotnika, jak młody Teotonio do Canudos. To tam, w dżunglach Paragwaju, doktor Alfredo Gama, na własną zgubę, „zachorował na artylerię”, jak sam przyznawał. Choroba ta zabiła go siedem dni temu, składając na barki jego młodego adiutanta przytłaczający ciężar odpowiedzialności za dwustu rannych, chorych i konających — półnagich, cuchnących, zżeranych przez *robactwo*, leżących pokotem na gołej skale, bo zaledwie kilku ma koc lub matę. Korpus sanitarny pierwszej kolumny został podzielony na pięć drużyn. Kapitan Alfredo Gama i Teotonio stanowili jedną z nich; przydzielono im część północną szpitala.

„Artyleryjska choroba” nie pozwalała doktorowi Alfredowi Gamie skupić się wyłącznie na rannych. Bywało, że przerywał w połowie jakiś zabieg i jak w gorączce wspinał się na Alto do Mario, dokąd przeciągnięto wszystkie działa pierwszej kolumny. Artylerzyści pozwalali mu strzelać z kruppów, a nawet z Matadeiry. Teotonio pamięta, że przepowiadał: „Wieże Canudos obali chirurg!”. Kapitan wracał do rozpadliny pełen świeżych sił. Był mężczyzną pokaźnej tuszy, sangwicznym, uczynnym i jowialnym. Teotonia Leala Cavalcanti polubił od dnia, w którym młody człowiek przekroczył bramę koszar. Jego wylewna natura, wesołość, awanturnicze życie i barwne anegdoty tak zbałamuciły studenta, że w drodze do Canudos poważnie myślał o tym, żeby zaraz po dyplomie zostać w wojsku na stałe, jak jego idol. Na krótkim postoju pułku w Salwadorze doktor Gama zabrał Teotonia,

żeby pokazać mu Wydział Medycyny przy placu Bazyliki Katedralnej. Naprzeciwko żółtej fasady o wielkich, błękitnych owalnych oknach, w cieniu flamboyanów, palm kokosowych i krotonów, lekarz i student, otoczeni tłumem kucharek i sprzedawców tandety, popijali słodkawą wódkę, siedząc wśród straganów rozstawionych na płytach z białego i czarnego kamienia. Pili do zmroku, który zaskoczył ich w jakimś burdelu z Mulatkami, pijanych ze szczęścia. Kiedy wsiedli do pociągu jadącego do Queimadas, doktor Gama kazał swojemu uczniowi zażyć jakąś miksturę. „Żebyś nie złapał afrykańskiego syfilisu”, wyjaśnił.

Teotonio ociera pot, podając jednocześnie do picia chininę z wodą choremu na ospę, który bredzi w gorączce. Z jednej strony leży żołnierz z łokciem otwartym aż do kości, a z drugiej — człowiek z postrzałem w brzuch, z którego wypływają cuchnące odchody. Smród ekskrementów miesza się ze swądem palonych w oddali trupów. Chinina i kwas karbolowy to jedyne, co zostało w apteczce szpitala polowego. Jodoform skończył się jednocześnie z chloroformem; z braku środków odkażających lekarze używali podazotanu bizmutu i kalomelu. Teraz skończyło się i jedno, i drugie. Teotonio Leal Cavalcanti przemywa rany rozcieńczonym kwasem karbolowym. Przykucnąwszy na ziemi, czerpie roztwór gołymi dłońmi wprost z miednicy. Innym daje do picia trochę chininy i pół kubka wody. Przywieźli ze sobą sporo chininy w przewidywaniu malarii. „Syndrom wojny paragwajskiej”, mawiał doktor Gama. Tam dziesiątkowała armię. Ale na tej wyschniętej ziemi, gdzie jedynie wokół nielicznych źródeł wody pitnej krążą roje moskitów, malaria nie istnieje. Teotonio wie, że chinina nic im nie pomoże, ale przynajmniej daje złudzenie, że są leczeni. To właśnie w dniu wypadku kapitana Gamy, z braku innych środków, zaczął podawać chininę.

Myśli o tym, jak to się stało, jak mogło się stać. Nie był przy tym; opowiadali mu tylko i odtąd, obok gnijących za życia ciał, jest to jeden z tych koszmarów, które dręczą go we śnie, jeśli uda mu się zasnąć na parę godzin: sen o jowialnym, pełnym animuszu kapitanie-chirurgu odpalającym działo model Krupp 34, którego zamka w pośpiechu nie domknął. W chwilę po zapłonie eksplozja rozszerzyła się z niezaryglowanej komory na stojącą obok baryłkę prochu. Słyszał relacje artylerzystów, którzy widzieli, jak doktor Alfredo Gama wyleciał w powietrze na kilka metrów i spadł o dwadzieścia kroków dalej jako bezkształtna bryła mięsa. Razem z nim zginęli porucznik Odilón Coriolano de Azevedo, podporucznik Jose A. do Amaral i trzech żołnierzy, a pięciu innych uległo poparzeniom. Kiedy Teotonio dotarł na Alto do Mario, właśnie palono zwłoki, zgodnie z poleceniem wydanym przez służbę sanitarną w obliczu trudności z grzebaniem zmarłych: kopanie grobów w litej skale jest wielkim marnotrawstwem sił, bo motyki i kilofy wyginają się na kamieniu, nie czyniąc wyłomu. Rozkaz palenia trupów spowodował burzliwą dyskusję między generałem Oscarem i kapelanem pierwszej kolumny, kapucynem Lizzardo, który kremację nazwał „masońską perwersją”.

Młody Teotonio przechowuje pamiątkę po doktorze Alfredzie Gamie: cudowną przepaskę Jezusa, Pana Dobrej Śmierci, którą tamtego wieczoru w Bahii kupili od linokoczków na placu Bazyliki Katedralnej. Zawiezie ją wdowie po swoim szefie, jeżeli wróci do Sao Paulo. Ale Teotonio wątpi, czy jeszcze zobaczy to miasto, gdzie się urodził, studiował i zaciągnął do wojska dla szczytnych ideałów służenia Ojczyźnie i Cywilizacji.

W ciągu tych miesięcy pewne przekonania, które dotąd wydawały mu się niepodważalne, zostały mocno zachwiane. Na przykład jego poglądy na patriotyzm: sądził przedtem, że uczucie to tętni we krwi wszystkich tych ludzi, przybyłych z całej Brazylii, aby bronić republiki przed ciemnotą, zdradzieckim spiskiem i zalewem barbarzyństwa. Pierwszego rozczarowania doznał w Queimadas, podczas długich miesięcy oczekiwania w straszliwym bałaganie, jaki zapanował w tej sertońskiej osadzie, gdy zamieniono ją w kwaterę główną pierwszej kolumny. W oddziałach służby sanitarnej, gdzie pracował razem z

kapitanem Alfredem Gamą i innymi lekarzami, odkrył, że wielu próbowało wymigać się od wojny pod pretekstem złego stanu zdrowia. Spostrzegł, że rekruci wynajdują choroby, uczą się objawów na pamięć i recytują je jak doskonali aktorzy, żeby tylko zdobyć zaświadczenie o niezdolności do służby. Lekarz-artylezysta nauczył go wykrywać niedorzeczne sposoby, jakimi posługiwali się, żeby wywołać u siebie gorączkę, wymioty, biegunkę. To, że wśród nich byli nie tylko prości żołnierze, ale także oficerowie, stało się dla Teotonia nie lada wstrząsem.

Patriotyzm nie był tak powszechny, jak mu się zdawało. Spostrzeżenie to potwierdziło się w ciągu trzech tygodni, które spędził w tej pułapce. Nie, żeby ludzie się nie bili; bili się, biją się nadal.

Widział, z jaką brawurą odpierali, poczynawszy od Angico, ataki tego wroga — podstępnego, tchórzliwego, który nie zna reguł wojennej gry, który czai się w ukryciu, atakuje zniecka i niknie natychmiast, kiedy patrioci wychodzą mu naprzeciw. Od trzech tygodni, mimo że czwarta część sił ekspedycyjnych poległa lub odniosła rany, ludzie wciąż walczą, chociaż brakuje jedzenia, chociaż wszyscy zaczynają tracić nadzieję, że przybędą posiłki.

Ale jak pogodzić patriotyzm ze spekulacją? Co to za miłość ojczyzny, która przyzwala na ten brudny handel ludziom, którzy bronią najszlachetniejszej ze spraw, sprawy Brazylii i Cywilizacji? Inny jeszcze fakt gorszy Teotonia Leala Cavalcanti: sposób, w jaki się handluje i spekuluje w sytuacji, gdy brak jest wszystkiego. Z początku jedynie tytoń sprzedawało się i odsprzedawało co godzina drożej. Jeszcze dziś rano widział, jak płacono dwanaście tysięcy reali za garść jakiegoś rotmistrzowi kawalerii... Dwanaście tysięcy! Dziesięć razy więcej niż skrzynka wyborowego tytoniu w mieście. Później wszystko podrożało zawrotnie, wszystko stało się przedmiotem targu. Ponieważ racje żywności są znikome — oficerowie dostają po kilka kolb zielonej kukurydzy bez soli, a żołnierze końską paszę — za jedzenie płaci się fantastyczne ceny: ćwierć kozła — trzydzieści, czterdzieści tysięcy reali; kolba kukurydzy — pięć tysięcy; rapadura — dwadzieścia tysięcy; miska tapioki — pięć tysięcy; tysiąc do dwóch za korzeń imbuzeiro albo kaktusa o jadalnym miąższu, zwanego „głową mnicha”. Cygara „dubeltowe” sprzedaje się po tysiąc reali, filiżankę kawy za pięć tysięcy. A najgorsze jest to, że on też dał się wciągnąć w ten handel. On także, powodowany głodem i nałogiem palenia, gotów jest wydać wszystko, co ma, i gotów jest zapłacić pięć tysięcy reali za łyżkę soli, której niezbędność odkrył dopiero teraz. Ale najbardziej przeraża go świadomość, że spora część towaru pochodzi z nielegalnego źródła, że jest kradziona z zapasów kolumny, kradziona z kradzonego...

Czy to nie zadziwiające, że w sytuacji, kiedy co chwila toczy się gra o życie, w tej godzinie prawdy, która powinna ich oczyścić i uwznioślić, w żołnierzach budzi się zachłanna chęć zysku? „To nie szlachetność, nie wzniosłość, ale brud, nikczemność i chciwość biorą górę w obliczu śmierci”, myśli Teotonio. Pojęcie, jakie wyrobił sobie o człowieku, zostało brutalnie zbrukane w ciągu tych tygodni.

Od tych myśli odrywa go płacz, dochodzący gdzieś spod jego stóp. W przeciwieństwie do innych, którzy szlochają w głos, ten człowiek łka po cichu, jakby zawstydzony. Klęka przy nim. To jakiś stary żołnierz, który nie może już wytrzymać śwędzenia.

— Podrapałem się, panie doktorze — mamrocze. — Wszystko mi jedno, czy dostanę zakażenia, czy nie.

Jest jedną z ofiar diabolicznej armii kanibali, pustoszącej naskórek patriotów — mrówek cacarema. Z początku wydawało się fenomenem natury, jakimś niewytłumaczalnym fatum, że te krwiożercze stworzenia, które nakłuwają skórę, wywołując wysypkę i okropne

pieczenie, wyłażą ze swoich kryjówek wraz z wieczornym chłodem, żeby pastwić się nad uśpionymi. Wkrótce jednak odkryto, że mrowiska — wielkie, gliniane banie — przynosili do obozu jaguncos: rozbijali je, uwalniając żarłoczne roje, które szerzyły spustoszenie wśród zmorzonych snem żołnierzy... I to są kilkuletnie dzieci, którym tamci kanibale każą czołgać się po ciemku i podrzucać mrowiska! Jednego nawet schwytano; młodemu Teotonio opowiadali, że „jaguncinho” szarpał się w rękach swych prześladowców jak dzika bestia, obrzucając ich ordynarnymi wyzwiskami, nie gorzej od najbardziej wyszczerzanego sutenera...

Podniósłszy koszulę starego żołnierza, żeby obejrzeć jego klatkę piersiową, Teotonio widzi, że wczorajsze sinawe placki rozlały się w wielką, czerwoną plamę usianą zaognionymi krostami, w których wre jakiś nieustanny ruch. Tak, już tam są, rozmnażają się, już zżerają wnętrzności tego nieszczęśnika. Teotonio nauczył się udawać, kłamać, uśmiechać. Z ukąszeniami już lepiej, mówi, niech spróbuje wytrzymać bez drapania. Daje mu do wypicia pół kubka wody z chininą, zapewniając, że po tym swędzenie się zmniejszy.

W trakcie obchodu myśli o dzieciach, które tamci degeneraci wysyłają nocami z baniami mrowisk. Barbarzyńcy, prostacy, dzicz — tylko ludzie pozbawieni serca mogą deprawować w ten sposób niewinne istoty. Ale i na Canudos zmienił poglądy młody Teotonio. Czy to istotnie monarchiści? Czy naprawdę mają powiązania z dynastią Braganców i zwolennikami niewolnictwa? Czy rzeczywiście te dzikusy są tylko narzędziem perfidnego Albionu? Chociaż słyszy, jak krzyczą „Śmierć republice!”, Teotonio Leal Cavalcanti nie jest już tego taki pewien. Wszystko tak się zagmatwało. Oczekiwał, że zastanie tu angielskich oficerów, doradców wojskowych jaguncos, uczących ich, jak się obchodzić z najnowszą bronią przemysłową z bahijskich wybrzeży, co niedawno zostało ujawnione. Ale przecież wśród rannych, których udaje, że leczy, są ofiary mrówek cacarema, oszczepów, zatrutych strzał i łupanych kamieni ciskanych z prymitywnych proc. Troglodyci! Opowieści o oddziałach monarchistów i angielskich oficerach wydają mu się teraz wyssane z palca. „Mamy przeciw sobie zwykłych kanibali — myśli. — A jednak przegrywamy tę wojnę, odkąd zwabili nas na te wzgórza. I przegramy ją, jeśli druga kolumna nie przyjdzie nam z pomocą”. Jak tu zrozumieć podobny paradoks?

— Teotonio? — zatrzymuje go jakiś głos.

Na bluzie, całej w strzępach, można odczytać jeszcze stopień i przydział: porucznik 9. Batalionu Piechoty z Salwadoru. Jest w szpitalu polowym od dnia, kiedy pierwsza kolumna dotarła na Favelę; szedł w awangardzie 1. Brygady, którą pułkownik Joaquim Manuel de Medeiros nierozważnie poprowadził do ataku, schodząc z boczem Faveli ku Canudos. Jaguncos sprawili im ze swoich niewidzialnych tranzei krwawą jatkę: dotąd jeszcze widać pierwszy szereg żołnierzy zastygłych w połowie wzgórza, gdzie powaliły ich kule wroga. Porucznik Pires Ferreira dostał postrzał w twarz; oślepiło go i wyrwało mu obie dłonie. Ponieważ był to dopiero pierwszy dzień, doktor Alfredo Gama mógł znieczulić go morfiną, kiedy zakładał szwy na kikuty i dezynfekował okaleczoną twarz. Porucznik Pires Ferreira ma szczęście, że jego rany osłonięte są bandażami przed insektami i kurzem. Jest wzorowym rannym: Teotonio nigdy nie słyszał, żeby płakał czy narzekał. Codziennie na pytanie, jak się czuje, pada odpowiedź: „dobrze”, i „nic”, kiedy pyta, czy mu czegoś potrzeba. Nocami często z nim rozmawia, leżąc obok na piargu i patrząc na gwiazdy, jak zawsze niezliczone na niebie Canudos. I tak dowiedział się, że porucznik Pires Ferreira jest weteranem tej wojny, jednym z nielicznych, którzy brali udział we wszystkich czterech ekspedycjach wysłanych przez republikę do walki z jaguncos; dowiedział się, że dla tego pechowego oficera dzisiejsza tragedia jest ukoronowaniem upokorzeń i klęsk. Zrozumiał wówczas przyczynę jego goryczy, rozumiał, dlaczego po stoicku znosi te same trudy, które niszczyły morale i godność innych. To nie cielesne rany doskwierają mu najbardziej.

— Teotonio? — powtarza Pires Ferreira. Bandaże zakrywają mu pół twarzy, widać tylko usta i podbródek.

— Tak — mówi student, siadając obok. Pokazuje dwóm sanitariuszom z apteczką i buklakami, żeby odpoczęli; odchodzą kilka kroków

i opadają ciężko na kamienie. — Posiedzę przy tobie chwilę, Manuel da Silva. Potrzebujesz czegoś?

— Słyszają nas? — szepcze obandażowany. — To sekret.

Wtem odzywają się dzwony po drugiej stronie wzgórz. Młody Leal Cavalcanti spogląda w niebo: tak, ściemnia się, nadeszła pora dzwonów i różańca w Canudos. Dzwonią codziennie, z magiczną punktualnością, a zaraz potem, jeśli nie ma strzelaniny ani kanonady, do obozowisk na Faveli i Monte Mario docierają niezawodnie zdrowaśki fanatyków. Pełen szacunku bezruch rozgaszcza się w szpitalu polowym; ranni i chorzy żegnają się na dźwięk dzwonów i poruszają wargami, złączeni z wrogiem we wspólnej modlitwie. Nawet Teotonio, mimo że nie jest gorliwym katolikiem, nie może pozbyć się uczucia, jakie ogarnia go każdego wieczoru wraz z tą modlitwą i dzwonami, uczucia dziwnego, nieokreślonego, które jeśli nie jest wiarą, to musi być tęsknotą za wiarą.

— A więc dzwonnik wciąż żyje — szepcze do siebie, nie odpowiadając porucznikowi Piresowi Ferreirze. — Jeszcze go nie stracili.

Kapitan Alfredo Gama często mówił o dzwonniku. Widział go parę razy, jak wdrapywał się do dzwonu na wieży Świątyni; kiedy indziej znów udało mu się go dostrzec w dzwonnicy kościółka Świętego Antoniego. Mówił, że to jakiś niepozorny staruszek, który kołysze sercem dzwonu, niewzruszony, obojętny na przelatujące kule. Doktor Gama powiedział mu kiedyś, że zwalenie tych wyzywających dzwonnicy i uciszenie irytującego staruszka jest obsesyjną ambicją ar-tylerzystów z Alto do Mario i że wszyscy sposobią karabiny, żeby go trafić, gdy nadchodzi pora na Anioł Pański. Nie zabili go jeszcze? A może to już nowy dzwonnik?

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Tylko, proszę, nie pomyśl, że to rozpacz — mówi porucznik Pires Ferreira. — Jeszcze nie dostałem pomieszania zmysłów.

Głos ma spokojny i stanowczy. Leży nieruchomo na kocu, który osłania go od ostrych kamieni, z głową opartą na wypchanej słomą poduszce; obandażowane kikuty spoczywają na brzuchu.

— Nie masz powodu do rozpaczki — mówi Teotonio. — Będziesz jednym z pierwszych ewakuowanych. Jak tylko nadejdą posiłki i wróci konwój, wóz sanitarny zabierze cię do Monte Santo, do Queimadas, do domu. Generał Oscar obiecał to, kiedy wizytował szpital. Nie rozpaczaj, Manuel da Silva.

— Zrób to, błagam na wszystko, co ci najdroższe na świecie — mówią spokojnie i stanowczo usta Piresa Ferreiry. — Na Boga, na twego ojca, na twoje powołanie. Na tę narzeczoną, do której piszesz wiersze, Teotonio.

— Czego chcesz, Manuel da Silva? — szepcze młody paulistańczyk, z niepokojem odwracając oczy od rannego, absolutnie pewien, co za chwilę usłyszy.

— Jeden strzał w skroń — mówi głos, cichy, stanowczy. — Błagam cię z całej duszy.

Nie jest pierwszym, który go o to prosi, i Teotonio wie, że nie będzie ostatnim. Ale jest pierwszym, który prosi tak spokojnie, tak beznamiętnie.

— Nie mogę tego zrobić sam, nie mam rąk — tłumaczy zabandażowany człowiek. —



Zrób to za mnie.

— Trochę odwagi, Manuel da Silva — odpowiada Teotonio, spostrzegając, że to raczej jego głos jest zmieniony ze wzruszenia. — Nie prosź mnie o coś, co jest sprzeczne z moimi zasadami, z moim zawodem.

— No, to któryś z twoich pomocników — nie ustępuje porucznik Pires Ferreira. — Zaproponuj mu mój portfel. Powinno tam być coś koło pięćdziesięciu tysięcy. I moje oficerki; nie są dziurawe.

— Śmierć może być gorsza od tego, co ci się przytrafiło — mówi Teotonio. — Będziesz ewakuowany. Wyzdrowiejesz, odzyskasz chęć do życia.

— Bez oczu i bez rąk? — pyta spokojnie Pires Ferreira. Teotonio czuje się zawstydzony. Usta porucznika otwierają się znowu:

— To jeszcze nie jest najgorsze, Teotonio. Najgorsze są muchy. Zawsze ich nienawidziłem, zawsze czułem do nich wstręt. Teraz jestem na ich łasce. Łażą po mojej twarzy, wchodzą mi do ust, wślizgują się pod bandażami do ran.

Milknie. Teotonio widzi, że przesuwa językiem po wargach. Czuje się tak poruszony tym, co słyzy z ust tego wzorowego pacjenta, że nawet nie przyjdzie mu do głowy poprosić pielęgniarzy o buklak z wodą, żeby uśmierzyć pragnienie chorego.

— To osobista sprawa między bandytami i mną, Teotonio — mówi Pires Ferreira. — Nie chcę, żeby dopięli swego. Nie dam zrobić z siebie kaleki. Nie będę bezużytecznym monstrem. Już w Uaua wiedziałem, że jakaś tragedia czyha na mojej drodze. Przekleństwo, czary.

— Chcesz wody? — szepcze Teotonio.

— Niełatwo się zabić, nie mając oczu ani rąk — ciągnie Pires Ferreira. — Próbowałem tłuc głową o skałę. To na nic. Lizanie ziemi też, bo te kamienie są za duże, nie dam rady ich połknąć...

— Uspokój się, Manuel da Silva — mówi Teotonio, kładąc mu dłoń na ramieniu. Ale jest jakiś fałsz w tym uspokajaniu kogoś, kto wydaje się najspokojniejszym człowiekiem na ziemi, kto nie podnosi głosu i nie jąka się w pośpiechu, kto mówi o sobie jak o kimś obcym.

— Pomożesz mi? Proszę cię w imię naszej przyjaźni. Przyjaźń zrodzona tutaj jest święta. Pomożesz mi?

— Tak — szepcze Teotonio Leal Cavalcanti. — Pomogę ci, Manuel da Silva.

#### **Rozdział IV**

— Jego głowa? — powtórzył baron de Cañabrava. Stał w oknie wychodzącym na ogród; powiedział, że chce przewietrzyć gabinet z powodu rosnącej duchoty, ale w rzeczywistości chciał zobaczyć, gdzie ukrył się kameleon, którego nieobecność wprawiała go w niepokój. Szukając go, przebiegał oczami ogród we wszystkich kierunkach. Znowu stał się niewidoczny, jakby się z nim bawił. — Wiadomość, że obcięto mu głowę, ukazała się w londyńskim „Timesie”. Czytałem o tym.

— Obcięto głowę jego trupowi — sprostował dziennikarz okularnik.

Baron wrócił na fotel. Był zmartwiony, a przecież znowu zaczynały go interesować sprawy, o których mówił jego gość. Czyżby był masochistą? Każde słowo budziło wspomnienia, rozdrapywało ranę. Ale chciał tego służyć.

— Widział go pan kiedyś na osobności? — zapytał, szukając wzrokiem oczu dziennikarza. — Wyrobił pan sobie jakąś opinię? Co to był za człowiek?

Znaleźli grób zaledwie w dwa dni po upadku ostatniej reduty. Zmusili Aniołka, żeby pokazał im, gdzie go pogrzebali. Torturami, ma się rozumieć. I to nie były jakimi torturami. Aniołek był urodzonym męczennikiem i zwykle znęcanie się, jak kopniaki, przypiekanie, kastrowanie, wrywanie języka czy wylupywanie oczu, nie skłoniłoby go do mówienia. Czasami żołnierze zwracali im jakiegoś jeńca bez oczu, bez języka, bez jąder, sądząc, że podobny widok nadszarpane morale tych, którzy jeszcze trwają w oporze. Osiągali coś wręcz przeciwnego, to jasne. Dla Aniołka wynaleźli jedyną torturę, jakiej nie mógł znieść: psy.

— Myślałem, że znam wszystkich prowodyrów buntu — powiedział baron. — Pajeu, Joao Mnich, Joao Wielki, Taramela, Pedrao, Macambira. Ale Aniołek?

Psy to osobna historia. Przez długie miesiące oblężenia tak zasmakowały w ludzkim mięsie i trupich ucztach, że stały się drapieżne niczym wilki i hieny. Całe gromady krwiożerczych psów grasowały po Canudos i po obozowisku oblegających miasto żołnierzy w poszukiwaniu człowieczego żeru.

— A może te gromady były spełnieniem proroctwa, piekielnymi istotami z Apokalipsy? — mruknął dziennikarz okularnik, chwytając się za brzuch. — Ktoś musiał im powiedzieć, że Aniołek panicznie boi się psów, będących dla jaguncos potomstwem Bestii, wcieleniem Zła. Zapewne postawili go naprzeciw rozwścieczonej sfory, a on wobec groźby, że szatański pomiot zawlecze go w kawałkach na dno piekieł, zaprowadził ich tam, gdzie go pogrzebali.

Baron zapomniał o kameleonie, o Esteli. W jego głowie wyjące gromady oszalałych psów rozgrzebywały stosy trupów, zanurzały pyski w zrobaczywiałych wnętrznościach, szarpały zębami sflaczałe łydki, z ujadaniem wrywały sobie piszczele, ścięгна, czaszki. Zasmakowawszy w patroszeniu brzuchów, zdziczałe hordy napadały na niczego nieświadome wioski, rzucały się na pastuchów, poganiaczy, praczki w poszukiwaniu świeżego mięsa i kości.

Mogli byli domyślić się, że został pochowany w Sanktuarium. Gdzie, jeśli nie tam, mogli go pogrzebać? Kopali w miejscu, które wskazał im Aniołek, i na głębokości trzech metrów — aż tak głęboko — znaleźli go: miał na sobie niebieską szatę i sandały z niewyprawionej skóry, owinięty był w zwykłą matę; włosy długie, kędzierzawe — zapisano w notarialnym akcie ekshumacji. Byli przy tym wszyscy dowódcy, począwszy od generała Artura Oscara, który polecił artyście fotografowi z pierwszej kolumny, panu Flawiowi de Barros, sfotografować ciało. Operacja ta zajęła pół godziny. Przez ten czas nikt nie ruszył się z miejsca, mimo okropnego fetoru.

— Może pan sobie wyobrazić, co czuli ci wszyscy generałowie i pułkownicy, kiedy patrzyli wreszcie na trupa tego wroga republiki, pogromcę trzech wojskowych ekspedycji, wichrzyciela, sojusznika Anglików i dynastii Braganców?

— Znałem go — mruknął baron, a jego rozmówca zamilkł, patrząc nań pytająco wodnistymi oczami. — Ale gdy idzie o jego osobę, dzieje się ze mną to samo, co działo się z panem w Canudos z powodu okularów. Nie widzę go, rozmazuje mi się. To było piętnaście, może dwadzieścia lat temu. Zjawił się w Calumbi ze swoją małą świtą. Chyba daliśmy im jeść i trochę starych ubrań za to, że uprzątnęli groby i kaplicę. Pamiętam raczej jakąś kolekcję łachmanów niż gromadę ludzi. Zbyt wielu proroków przechodziło przez Calumbi. Skąd mogłem wiedzieć, że akurat ten jeden jest ważny, że przyćmi całą resztę, że pójdą za nim tysiące mieszkańców sertonu?

— W biblijnych krainach także roiło się od objawicieli i odszczepieńców — powiedział dziennikarz okularnik. — Dlatego tylu ludzi myliło się co do Chrystusa. Nie zrozumieli go, nie dostrzegli...

— Mówi pan serio? — Baron podniósł głowę. — Sądzi pan, że Nauczyciel naprawdę został zesłany przez Boga?

Ale dziennikarz okularnik ciągnął dalej rozwlekłym głosem swoją opowieść.

Akt notarialny spisali, stojąc nad trupem będącym w stanie takiego rozkładu, że zatykali nosy rękami i chustkami, bo zbierało się im na mdłości. Zmierzyło go czterech lekarzy: stwierdzili, że ma sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, stracił wszystkie zęby i nie zginął od kuli; jedyną raną na jego wychudłym ciele był siniak na lewej nodze, skutek uderzenia odłamkiem lub kamieniem. Po krótkiej naradzie postanowiono obciąć mu głowę, żeby nauka wypowiedziała się na temat jego czaszki. Zdecydowali, że przekążą ją do badania doktorowi Nina Rodriguezowi z Wydziału Medycyny w Bahii. Ale zanim przystąpili do piłowania ciała Nauczyciela, poderżnęli gardło Aniołkowi. Zrobili to na miejscu, w Sanktuarium, kiedy artysta fotograf Flavio de Barros robił zdjęcie; zwłoki wrzucili do dołu razem z bezgłowym trupem Nauczyciela. Aniołek, można powiedzieć, miał szczęście. Spoczął w jednym grobie z tym, którego tak czcił i któremu służył. A jednak w ostatniej chwili zapewne ogarnęła go rozpacz na myśl, że zostanie pochowany jak zwierzę, bez ceremonii, bez modlitwy, bez kawałka drewna. Takie tam mieli zmartwienia.

Przerwał mu nowy atak kichnięć. Kiedy przyszedł do siebie, mówił dalej z rosnącym podnieceniem: rzucał zza okularów niespokojne spojrzenia, język mu się płatał.

Zaistniała pewna różnica zdań co do tego, który z lekarzy ma to zrobić. Wreszcie major Miranda Curio, dowódca służby sanitarnej w tej kampanii, chwycił za piłę, a inni przytrzymali ciało. Zamierzali umieścić głowę w słoju ze spirytusem, ale ponieważ resztki uwłosienia i skóry zaczynały się już rozpadać, wrzucili ją do worka z wapnem. Tak została przewieziona do Salwadoru. Tę delikatną misję powierzono porucznikowi Pinto Souzie, bohaterowi 3. Batalionu Piechoty, jednemu z nielicznych ocalałych oficerów tej jednostki, zdziesiątkowanej przez Pajeu w pierwszym starciu. Porucznik Pinto Souza przekazał głowę Wydziałowi Medycyny. Komisji, która dokonała oględzin, zmierzyła ją i zważyła, przewodniczył doktor Nina Rodriguez. Nie było wiarygodnych informacji o tym, co powiedziano podczas badania w uniwersyteckiej auli. Oficjalny komunikat odznaczał się irytującą zwięzłością, za co odpowiedzialność ponosił, jak się wydaje, sam doktor Nina Rodriguez. To on zredagował te zwięzłe zdania, które rozczarowały opinię publiczną. Oznajmiał sucho, że w czaszce Antonia Nauczyciela nauka nie stwierdziła żadnej wrodzonej anomalii.

— To mi przypomina Galileo Galla — powiedział baron, rzucając pełne nadziei spojrzenie na ogród. — On też święcie wierzył, że czaszka ludzka jest zwierciadłem charakteru.

Ale błędu doktora Niny Rodrigueza nie powtórzył żaden z jego salwadorskich kolegów. I tak doktor Honorato Nepomuceno de Albuquerque dokonał analizy rozbieżnej z raportem Wysokiej Komisji. Utrzymywał on, iż czaszka ta jest typowym przykładem krótkogłowia, według klasyfikacji szwedzkiego badacza Retziusa, z tendencją do ciasnoty i linearności umysłowej, na przykład do fanatyzmu. Dodał też, że krzywizna kości odpowiada ściśle krzywiznie wskazanej przez uczonego Benedikta, charakterystycznej dla epileptyków, którzy, jak napisał profesor Samt, mają mszał w ręku, imię Boga na ustach i piętno zbrodni na sercu.

— Widzi pan teraz — powiedział dziennikarz okularnik, odetchnąwszy, jakby

dokonał ogromnego wysiłku. — Canudos to nie jest jedna historia, to jest całe drzewo historii.

— Zle się pan czuje? — zapytał baron bez serdeczności. — Widzę, że panu również nie służy ta rozmowa. Odwiedził pan tych wszystkich lekarzy?

Dziennikarz okularnik zwinął się jak gąsienica, skulony, jakby umierał z zimna. Po zakończeniu badań lekarskich zaistniał pewien problem. Co zrobić z czaszkiem? Ktoś zaproponował, żeby przekazać czaszkę do Muzeum Narodowego jako ciekawostkę historyczną. Wywołało to zawzięty sprzeciw. Czyj? Oczywiście masonów. Już sam kościół Dobrej Śmierci, mówili, wystarczy jako miejsce fanatycznych pielgrzymek. Ta czaszka, wystawiona w gablocie, przestoczylaaby Muzeum Narodowe w drugi kościół Dobrej Śmierci, sanktuarium odszczepieńców. Co do tego wojsko było zgodne: nie można dopuścić, żeby ta czaszka stała się relikwią, zarzewiem nowych buntów. Trzeba ją usunąć. Ale jak? Jak?

— Zakopać jej nie mogli — mruknął baron.

Oczywiście, że nie. Rozfanatyzowany lud prędzej czy później odkryłby miejsce. A gdzie jest bezpieczniej i dalej niż na dnie morza?

Czaszkę wrzucono do worka wypchanego kamieniami, zaszyto i nocą wywieziono w szalupie pod opieką pewnego oficera na morze, po czym, w jednakowej odległości od fortu Sao Marcelo i wyspy Itaparica, ciśnięto w muliste dno, żeby służyła za siedlisko koralowcom. Oficerem, któremu powierzono tę tajną operację, był tenże sam porucznik Pinto Souza. Koniec opowieści.

Spociał się i pobladł tak bardzo, że baron pomyślał: „Zemdleje”. Co ta kukła czuje do Nauczyciela? Podziw? Chorobliwą fascynację? Zwykłą ciekawość pismaka? Czy naprawdę uwierzył w jego boskie posłannictwo? Dlaczego cierpi, czemu zdręcza się Canudos? Dlaczego nie robi jak wszyscy, nie spróbuje zapomnieć?

— Powiedział pan: Galileo Gall? — usłyszał jego słowa.

— Tak — przytaknął baron; ujrzał oszalałe oczy, ogoloną głowę, w uszach zabrzmiały mu apokaliptyczne tyrady. — Gall umiałby docenić tę historię. Sądził, że tajemnica człowieka kryje się w budowie czaszki. Dotarł w końcu do Canudos? Jeśli tak, musiał poczuć się fatalnie, kiedy się przekonał, że to nie była ta jego wymarzona rewolucja.

— I tak, i nie — powiedział dziennikarz okularnik. — To było królestwo ciemnoty, a zarazem świat braterstwa i swoistej wolności. Być może nie czułby się tak bardzo zawiedziony.

— Wie pan, co się z nim stało?

— Umarł gdzieś niedaleko od Canudos — powiedział dziennikarz. — Widywałem go często, jeszcze zanim zaczęło się to wszystko. W „Forcie”, takiej knajpce w dolnym mieście. Był gadatliwy, malowniczy, narwany. Obmacywał głowy, przepowiadał rozruchy. Sądziłem, że to jakiś oszust. Kto by przypuszczał, że stanie się postacią tragiczną?

— Mam jego papiery — powiedział baron. — Coś w rodzaju memuaru albo testamentu, który spisał u mnie, w Calumbi. Powinienem to oddać jego współwyznawcom. Ale nie mogłem. Nie ze złej woli zresztą, bo pojechałem aż do Lyonu, żeby wypełnić to zobowiązanie.

Po co wybrał się w tę podróż z Londynu do Lyonu, żeby osobiście wręczyć zapiski Galla redaktorom „L'Étincelle de la révolte”? Z pewnością nie przez sympatię dla frenologa; budził w nim raczej ciekawość, naukowe zainteresowanie tak osobliwą odmianą gatunku ludzkiego. Zadał sobie trud tej wyprawy, żeby zobaczyć twarze i usłyszeć słowa towarzyszy rudowłosego rewolucjonisty, sprawdzić, czy są do niego podobni, czy wierzą w to samo co

on, czy to samo mówią. Ale była to podróż daremna. Wszystko, czego zdołał się dowiedzieć, to że „LETincelle de la revolte”, nieregularna broszurka, przestała wychodzić już dawno i że wydawała ją mała oficyna, której właściciel został uwięziony pod zarzutem druku fałszywych banknotów już trzy czy cztery lata temu. Doskonale pasowało to do losów Galla: wysłać artykuły do widmowej gazety i zginąć taką śmiercią, że nikt, kto go znał w Europie, nie dowie się, gdzie, jak i dlaczego umarł.

— Dom wariatów — wycodził przez zęby. — Nauczyciel, Moreira Cesar, Gall. Canudos doprowadziło do oblężenia pół świata. Pana także, drogi panie.

Lecz pewna myśl zamknęła mu usta: „Nie, tamci byli oblężeni od dawna. Tylko Estela straciła rozum przez Canudos”. Siłą musiał powstrzymać łzy. Nie pamiętał, żeby kiedyś płakał w dzieciństwie, w młodości. Ale od czasu choroby baronowej zdarzało mu się to coraz częściej, w bezsenne noce, w zaciszu gabinetu.

— To bardziej historia omyłek niż oblężenia — sprostował znowu dziennikarz okularnik. — Chciałbym się czegoś od pana dowiedzieć, baronie. Błagam, niech mi pan powie prawdę.

— Odkąd usunąłem się z polityki, prawie zawsze mówię prawdę — mruknął baron. — Co pan chce wiedzieć?

— Czy były jakieś kontakty między Nauczycielem i monarchistami — odparł, śledząc jego reakcję, dziennikarz okularnik. — Nie mówię o grupce ludzi tęskniących za cesarstwem, którzy byli na tyle naiwni, że się z tym obnosili jak Gentil de Castro. Chodzi mi o ludzi takich jak pan, jak autonomiści, którzy w sercu będąc monarchistami, głęboko to ukrywali. Czy kontaktowali się z Nauczycielem? Podzegli go do buntu?

Baron, który słuchał go z drwiącą miną, wybuchnął śmiechem.

— Nie przekonał się pan o tym w Canudos? Widział pan tam polityków z Bahii, z Sao Paulo albo Rio de Janeiro?

— Mówiłem już panu, że niewiele widziałem — odparł antypatyczny głosik. — Ale wiem, że pan przysyłał im z Calumbi kukurydzę, cukier, stada.

— A więc zapewne wie pan także, że nie robiłem tego z własnej woli, lecz pod przymusem — powiedział baron. — Wszyscy okoliczni fazenderzy musieli to robić, w przeciwnym razie spaliliby nasze fazendy. Tak się właśnie postępuje z bandytami w sertonie: jeśli nie można ich zabić, to się ich kupuje. Gdybym miał na nich choćby najmniejszy wpływ, nie zniszczyliby Calumbi, a moja żona byłaby teraz zdrowa. Ci fanatycy nie byli monarchistami, nie wiedzieli nawet, co to takiego cesarstwo. To fantastyczne, że pan tego nie zrozumiał, mimo że...

Dziennikarz okularnik i tym razem nie dał mu skończyć:

— Nie wiedzieli, zgoda, ale byli monarchistami, chociaż w sposób, jakiego nie rozumiałby żaden monarchista — powiedział pospiesznie i dodał, mrugając: — Wiedzieli, że monarchia zniosła niewolnictwo. Nauczyciel wychwalał księżniczkę Izabelę za to, że dała wolność niewolnikom. Wydawał się przekonany, że monarchia upadła z powodu abolicji. Wszyscy w Canudos wierzyli, że republika popiera niewolnictwo, że chce je przywrócić.

— A pan myśli, że to sprawa moja i moich przyjaciół — uśmiechnął się znowu baron. — Gdyby ktoś nam zaproponował coś takiego, uznalibyśmy go za idiotę.

— A jednak to wiele tłumaczy — podniósł głos dziennikarz. — Na przykład lęk przed spisem ludności. Łamałem sobie głowę, żeby to zrozumieć, a tu mam gotowe wyjaśnienie. Rasa, kolor, wyznanie. Na co była potrzebna republice ich rasa i kolor skóry, jeśli nie po to, żeby z czarnych znowu zrobić niewolników? A na co wyznanie, jeśli nie po to, żeby dokonać

pogromu wiernych?

— I to ma być ta „omyłka”, która tłumaczy sprawę Canudos? — powiedział baron.

— Jedna z wielu — wysapał dziennikarz okularnik. — Wiem, że jaguncos nie zostali otumanieni przez żadnego politykiera. Ale chciałem to usłyszeć od pana.

— No i usłyszał pan — odparł baron. Co by powiedzieli jego przyjaciele, gdyby mogli przewidzieć, że wydarzy się podobny cud? Nędzarze z sertonu podnoszą zbrojną rebelię, żeby zaatakować republikę z imieniem infantki Izabeli na ustach! Nie, to zbyt fantastyczne, czegoś takiego nie wymyśliłby żaden brazylijski monarchista. Nawet we śnie.

Posłaniec od Joao Mnicha dogania Antonia Vilanovę w okolicy Juete, gdzie były kupiec zaczął się z czternastką jaguncos na konwój bydła. Wiadomość jest tak ważna, że Antonio postanawia niezwłocznie wracać do Canudos. Jest to jego trzecia wyprawa od chwili przybycia żołnierzy i wszystkie trzy zostały uwiecznione powodzeniem: dwadzieścia pięć sztuk bydła i kilka tuzinów kóz za pierwszym razem, osiem sztuk bydła za drugim, a za trzecim — tuzin krów i wóz tapioki, kawy, cukru i soli na dodatek. Nalegał, że sam poprowadzi te wyprawy w poszukiwaniu żywności dla jaguncos, argumentując, że Joao Mnich, Pajeu, Pedrao i Joao Wielki są potrzebni na miejscu, w Belo Monte. Od trzech tygodni napada na konwoje, które wyruszają z Queimadas i Monte Santo drogą przez Rosario, z prowiantem dla Faveli.

Jest to zadanie względnie łatwe, którego wykonanie były kupiec z właściwą sobie metodycznością, skrupulatnością i talentem organizacyjnym podniósł niemal do rangi dyscypliny naukowej. Sukces zawdzięcza przede wszystkim dokładnym raportom i współpracy wojskowych tragarzy i tropicieli: są to w większości jaguncos, którzy dali się zwerbować w różnych miejscowościach, od Tucano do Itapicurii. Informują go na bieżąco o ruchach konwojów i pomagają wybrać teren przepędu, będącego głównym punktem całej operacji. W umówionym miejscu — zwykle na dnie wąwozu albo w leśnej gęstwinie, zawsze nocą — Antonio i jego ludzie wpadają nagle w sam środek stada, grzmiąc z garłaczy, ciskając petardy i dmuchając w świstawki, żeby wywołać popłoch wśród bydła. Podczas gdy Antonio ze swoim oddziałem ściąga na siebie uwagę żołnierzy pozorowaną strzelaniną, tropiciele i tragarze zaganiają tyle sztuk, ile się da, i pędzą je sobie tylko wiadomymi skrótami — drogą, która wiedzie z Calumbi, najprostsza i najpewniejsza, pozostaje żołnierzom nieznaną — do Canudos. Antonio z resztą ludzi dogania ich później.

Tak właśnie byłoby i tym razem, gdyby nie nadeszła wiadomość, że heretycy lada chwila uderzą na Canudos. Z zaciśniętymi zębami, ze zmarszczonym czołem, Antonio i jego czternastu towarzyszy przyspieszają kroku, bez reszty owładnięci jedną myślą, która kłuje ich niby ostroga: być w Belo Monte razem z innymi, osłaniać Nauczyciela, kiedy ateści spadną na miasto. Jak Komendant Ulicy dowiedział się o zamiarze szturm? Posłaniec, idący tuż obok niego, mówi, że wiadomość przynieśli dwaj jaguncos, którzy w żołnierskich uniformach krążyli wokół obozowisk na Faveli. Mówi to tak naturalnie, jakby nie było nic dziwnego w tym, że synowie Dobrego Jezusa chodzą między diabłami przebrani za diabły.

„Już przywykli, już nie zwracają na to uwagi”, myśli Antonio Vilanova. Ale za pierwszym razem, kiedy Joao Mnich próbował namówić jaguncos, żeby założyli na siebie mundury, omal nie doszło do buntu. Nawet Antonio poczuł w ustach gorycz popiołu, gdy to usłyszał. Włożyć na siebie coś, co symbolizuje całą przewrotność, butę i wrogość tego świata? Podobna myśl budziła w nim fizyczny wstręt i dobrze rozumiał, dlaczego mężczyźni z Canudos nie chcą umierać wystrojeni w diabelskie szaty. „A jednak nie mieliśmy racji — myśli. — Jak zawsze, rację miał Joao Mnich”. Bo informacje przynieszone przez dzieci, które przekradały się do obozowiska, żeby zatruwać wodę i wypuszczać węże, mrówki i skorpiony,

nigdy nie były tak dokładne jak te, które zdobywali dorośli mężczyźni, biorąc na spytki dezertersów i jadących na urlop żołnierzy. Sprawę rozstrzygnął Pajeu. Po jakiejś sprzeczce pojawił się w transejach Rancho do Vigario przebrany za kaprała i oznajmił, że prześlizgnie się za linie wroga. Wszyscy wiedzieli, że kto jak kto, ale on nie przejdzie niezauważony. Joao Mnich zapytał jaguncos, czy uważają za słusne poświęcić Pajeu tylko po to, żeby wreszcie przestali się bać zwykłej szmaty z guzikami. Sporo ludzi z dawnej bandy caboclo zgodziło się przebrać. Od tamtego dnia jaguncos bez przeszkód wchodzili do obozowiska.

Zatrzymują się, żeby coś zjeść i odpocząć, dopiero po wielu godzinach marszu. Zaczyna się ściemniać: pod ołowianym niebem rysuje się masyw Cambaio i, w wielkim skrócie, góry Cañabrava. Siedząc kołem, ze skrzyżowanymi nogami, jaguncos otwierają plecione ze sznurka sakwy, wyciągają suchary i suszone mięso. Jedzą w milczeniu. Antonio Vilanova czuje bolesne skurcze w zmęczonych, spuchniętych nogach. Starzeje się? Uczucie to nie opuszcza go od kilku miesięcy. A może to po prostu napięcie, gorączkowa wojenna aktywność? Tak spadł na wadze, że trzeba było zrobić nowe dziurki w pasku, a Antonia Sardelinha musiała dopasować mu ubranie, które fruwało jak nocna koszula. Ale przecież tak samo jest ze wszystkimi w Belo Monte. Schudli nawet tacy olbrzymi jak Joao Wielki i Pedrao. Honorio przygarbił się i posiwił. A Joao Mnich i Pajeu? Też wyglądają starzej.

Słyszy ryk armaty, gdzieś na północy. Krótka przerwa, a potem liczne wystrzały, jeden po drugim. Antonio i jaguncos zrywają się i długim krokiem ruszają w dalszą drogę. O świcie, po pięciu godzinach marszu, w którym towarzyszył im nieustanny grzmot dział, zbliżają się do miasta przez Tabolerinho. Przy wodopojach, tam, gdzie zaczynają się zabudowania, czeka posłaniec, żeby zaprowadzić ich do Joao Mnicha. Spotykają się w transejach Starej Fazendy, wzmocnionych teraz podwójną załogą: wszyscy z palcami na kurkach karabinów, wpatrzeni w mrokach świtu w stoki Faveli, skąd lada chwila wypłynie rzeka mundurów. „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”, mówi Antonio. Joao Mnich nie odpowiada; pyta, czy widział po drodze żołnierzy. Nie, nikogo.

— Nie wiemy, którądy zaatakują — mówi Joao Mnich i były kupiec spostrzega, że jest bardzo zmartwiony. — Wiemy wszystko, oprócz najważniejszego.

Liczy, że zaatakują tędy, najkrótszą drogą, i dlatego przyszedł z trzystoma jaguncos wzmocnić transeję Pajeu, która jakies' ćwierć mili dalej zakręca od podnóża Monte Mario ku Tabolerinho.

Joao Mnich wyjaśnia mu, że Pedrao osłania Belo Monte od wschodu — teren zagród i pól — oraz wzgórze, gdzie prowadzą szlaki do Trabubu, Macambiry, Cocorobó i Geremoabo. W mieście, obsadzonym przez gwardzistów Joao Wielkiego, wzniesiono na ulicach i skrzyżowaniach nowe barykady z kamieni i piachu, wzmocniono też czworobok między kościołami i Sanktuarium, główny cel szturm i bombardowań.

Chociaż pytania same cisną mu się na usta, Vilanova wie, że nie ma czasu na zbędną gadaninę. Co ma robić? Joao Mnich mówi, że jemu i Honoriovi podlega obszar wzdłuż wąwozów Vassa Barris, na wschód od Alto do Mario, i wylot drogi do Geremoabo. Bez dalszych wyjaśnień mówi, żeby dał znać, gdy tylko zobaczy żołnierzy, bo najważniejsze to odkryć w porę, którądy będą próbowali się przedostać. Vilanova i jego czternastu ludzi ruszają biegiem.

Zmęczenie ulotniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. To chyba kolejny znak obecności Bożej, kolejny przejaw wpływu sił nadprzyrodzonych na jego osobę. Bo jak to wyjaśnić, jeśli nie działaniem Ojca, Ducha albo Dobrego Jezusa? Odkąd dowiedział się o szturmie, nic, tylko idzie i biegnie. Przed chwilą, gdy mijał staw Cipo, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a serce biło tak gwałtownie, że bał się, iż straci przytomność. A teraz biegnie

po tym kamienistym terenie, w górę i w dół, u schyłku nocy, w ogłuszającym huku i błysku armatnich kul. Czuje się wypoczęty, pełen energii, zdolny do największego wysiłku i wie, że tak samo czuje się czternastu mężczyzn, którzy biegną obok niego. Któż, jeśli nie Ojciec, sprawić mógł podobną odmianę, odmłodzić ich, gdy wymagają tego okoliczności? Nie po raz pierwszy tak się dzieje. Wielekroć w ciągu tych tygodni, kiedy sądził, że zaraz zemdleje, czuł nagle, jak wstępują weń nowe siły, odmładzają go, wlewają życie w jego osłabłe ciało.

Do transzei Vassa Barris docierają w pół godziny. Przez cały czas — biegnąc, idąc, biegnąc — Antonio Vilanova widzi nad Canudos łuny płomieni. Nie myśli o tym, czy pożar trawi właśnie jego dom, ale czy zadziała system, jaki wynalazł, żeby zapobiec szerzeniu się ognia. Na rogach i wzdłuż ulic kazał ustawić setki beczek i skrzyń z piaskiem. Ci, którzy zostali w mieście, wiedzą, że gdy tylko nastąpi wybuch, mają zdusić płomienie łopatami ziemi. Antonio osobiście zorganizował oddziały kobiet, starców i dzieci i powierzył im to zadanie.

W transzejach spotyka swojego brata, Honoria, a także swoją żonę i szwagierkę. Sardelinie zainstalowały się razem z innymi kobietami w schronie, między zapasami żywności, wody, lekarstw i bandaży. „Witaj, kumie”, ściska go Honorio. Antonio rozmawia z nim chwilę, zajadając ze smakiem posiłek podany przez Sardelinie. Skończywszy, wyznacza swoim ludziom stanowiska, radzi im się trochę przespać i rusza z Honorio na obchód terenu.

Dlaczego im właśnie, najmniej obytym z wojną, powierzył Joao Mnich ten przyczółek? Na pewno dlatego, że jest najbardziej oddalony od Faveli: tędy nie przyjdą. Do Starej Fazendy mają trzy lub nawet cztery razy bliżej, a tutaj dostępu do rzeki broni strome, cierniste urwisko, gdzie bataliony musiałyby rozdzielić się i złamać szeregi. Ateiści walczą inaczej. Idą zwartym szykiem, w czworobokach będących świetnym celem dla okopanych w transzejach jaguncos.

— Pamiętasz, kumie, jak kopaliliśmy te transzeje? — mówi Honorio.

— Jasne, że pamiętam. Jeszcze nie mieliśmy okazji ich wypróbować. Tak, to oni kierowali drużynami, które zryły tę falistą okolicę między rzeką i cmentarzem niewielkimi wykopami, mogącymi pomieścić dwóch, trzech strzelców. Pierwsze schrony wykopali przed rokiem, po bitwie pod Uaua. Po każdej ekspedycji drążyli nowe jamy, a ostatnio — wąskie rowy łączące ze sobą wykopy, co pozwala ludziom niepostrzeżenie krążyć od transzei do transzei. Faktycznie, nie mieli okazji ich wypróbować: w tym sektorze nie walczone ani razu.

Od horyzontu nadciąga niebieskawa poświata z żółtymi odcieniami na brzegach. Słychać pianie kogutów. „Przestali strzelać z armat”, mówi Honorio, odgadując jego myśli. Antonio kończy zdanie: „...to znaczy, że już są w drodze, kumie”. Okopy rozsiane są co piętnaście, dwadzieścia kroków; wysuwają się na odległość pół kilometra i sięgają około stu metrów w głąb. Jaguncos, stłoczeni w zakrywkach po dwóch i trzech, są tak mało widoczni, że bracia Vilanova dostrzegają ich tylko wówczas, kiedy pochylają się, żeby zamienić z nimi parę słów. Wielu ma żelazne rurki, grube trzciny lub wydrążone gałęzie, dzięki którym mogą śledzić, co dzieje się na zewnątrz, nie wychylając się poza krawędź wykopu. W większości śpią lub drzemają skuleni, mannlichery, mauzery, dwururki, woreczki z nabojami i rogi z prochem trzymają w zasięgu ręki. Honorio rozstawił strażę wzdłuż Vassa Barris; wielu zeszło w głąb jarów, na dno rzeczego łożyska — tutaj zupełnie suchego — i przeszło na drugi brzeg, nie napotkawszy patroli.

Wracając do zakrywki, rozmawiają. Dziwna wydaje się ta cisza, to pianie kogutów, po tylu godzinach bombardowań. Antonio mówi, że szturm na Canudos wydawał mu się nieunikniony, odkąd kolumna posiłków — na oko ponad pięciuset żołnierzy — dotarła na



Favelę nietkniętą, mimo rozpaczliwych wysiłków Pajeu, który nękał ich od Caldeirao, a zdołał tylko odebrać im kilka sztuk bydła. Honorio pyta, czy to prawda, że wojsko zostawiło załogi w Juete i Rosario. Tak, prawda.

Antonio popuszcza trochę pasek, zakrywa twarz kapeluszem i posłużycywszy się ramieniem zamiast poduszki, kuli się na dnie tranzei, którą dzieli z bratem. Jego ciało odpręża się, wdzięczne za bezruch, ale uszy pozostają czujne, próbują wyłowić w rozpoczynającym się dniu sygnał obecności żołnierzy. Po krótkiej chwili zapomina o tym i daje się unieść niewyraźnym obrazom, a potem nagle skupia się na człowieku, który leży tak blisko, że dotyka go swoim ciałem. Dwa lata odeń młodszy, jasnowłosy, kędzierzawy, spokojny, rozsądny Honorio jest dla niego więcej niż bratem i szwagrem — jest towarzyszem, kumem, powiernikiem, najlepszym przyjacielem. Nie rozstawali się nigdy, nigdy nie było między nimi poważnej sprzeczki. Dlaczego Honorio został w Belo Monte? Czy tak jak on przystał do Nauczyciela, uwierzył w religię, prawdę, zbawienie duszy i sprawiedliwość? Czy po prostu wierny jest swojemu bratu? Przez lata, jakie spędzili w Canudos, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Kiedy poczuł dotknięcie anioła i porzucił własne interesy, żeby zająć się interesami Canudos, wydawało mu się naturalne, że żona, brat i szwagierka z zapałem przyjęły tę zmianę życia, jak zawsze, kiedy niepowodzenia rzucały ich na nowe szlaki. Honorio i Asunción ugięli się przed jego wolą bez najmniejszej skargi. Ale kiedy Moreira Cesar szturmował Canudos, tamtego dnia, który zdawał się nie mieć końca, w ogniu ulicznej walki po raz pierwszy zaczęło trawić go podejrzenie, że być może Honorio umrze tutaj nie za to, w co wierzy, ale przez szacunek dla starszego brata. Kiedy próbował z nim o tym rozmawiać, Honorio żartował: „Myślisz, że nadstawiałbym karku tylko po to, żeby być razem z tobą? Zrobiłeś się zarozumiały, kumie”. Ale te żarty, zamiast usmierzyć jego wątpliwości, wzmogły je. Powiedział to Nauczycielowi: „Przez własny egoizm rozporządziłem życiem Honoria i jego rodziny, nie pytając ich o zgodę, jakby byli martwymi rzeczami albo stadem kóz”. Nauczyciel znalazł balsam i na tę ranę: „Nawet gdyby tak było, to pomogłeś im zasłużyć na niebo”.

Czuje, że ktoś nim potrząsa, ale nie chce mu się otwierać oczu. Słońce świeci wysoko, a Honorio ucisza go, z palcem na ustach:

— Są tu, kumie — szepcze ściszym głosem. — Nam wypadło ich przyjąć.

— Co za zaszczyt, kumie — odpowiada Antonio miękko. Przykłęka w tranzei. Z jarów na drugim brzegu Vassa Barris wypływa ku nim w blasku poranka morze mundurów niebieskich, szarych, czerwonych, rozmigotane lśnieniem guzików, szabel i bagnatów. Już od dłuższej chwili słychać łoskot bębnow, jazgot trąbek. „Zupełnie, jakby szli prościutko na nas”, myśli. Powietrze jest przejrzyste, mimo znacznej odległości widzi wyraźnie oddziały maszerujące w trzech kolumnach, z których jedna, środkowa, wydaje się sunąć wprost na ich tranzeje. Coś dławi go za gardło, słowa grzęzną w lepkiej mazi. Honorio mówi, że wysłał już dwóch dzieciaków do Starej Fazendy i na drogę do Trabubu z wiadomością dla Joao Mnicha i Pedrao, że nadchodzą z tej strony.

— Musimy ich zatrzymać — słyszy swój własny głos. — Zatrzymać za wszelką cenę, dopóki Joao Mnich i Pedrao nie wycofają się do Belo Monte.

— O ile nie atakują jednocześnie przez Favelę — mówi Honorio.

Antonio sądzi, że to mało prawdopodobne. Przed nimi z urwistych brzegów wyschniętej rzeki schodzą tysiące żołnierzy, na pewno ponad trzy tysiące, może nawet cztery, wygląda na to, że wszyscy, którzy są zdolni do walki. Od dzieciaków i szpiegów jaguncos wiedzą, że w rozpadlinie między Favelą i Alto do Mario jest około tysiąca rannych i chorych. Część wojska musiała tam zostać, żeby osłaniać szpital, artylerię i tabory. Nie może być

inaczej: to, co widzą przed sobą, to wszystkie siły szturmowe, mówi do Honoria, nie patrząc na niego, ze wzrokiem wbitym w urwiska, i jednocześnie sprawdza palcami, czy w magazynku rewolweru są naboje. Ma wprawdzie mannlicera, ale woli własny rewolwer, którym walczy, odkąd jest w Canudos. Honorio, z okiem przy celowniku i palcem na spuście, oparł karabin na krawędzi wykopu. Inni jaguncos też pewnie czekają ze strzelbami w pogotowiu, pomni na instrukcje: nie strzelać, aż wróg podejdzie bardzo blisko; trzeba oszczędzać amunicję i wykorzystać moment zaskoczenia. To ich jedyna przewaga, jedyne, co może zmniejszyć dysproporcję liczby i uzbrojenia.

Ktoś czołga się i wskakuje do okopu — to chłopak, który przynosi im bukłak z gorącą kawą i kukurydziane placki. Antonio poznaje jego żywe, roześmiane oczy i przygarbioną sylwetkę. Nazywa się Sebastian. Jest weteranem tych walk, służył za posłańca Pajeu i Joao Wielkiemu. Pijąc kawę, która przywraca siły jego ciała, Antonio widzi, jak chłopiec niknie, pełnąc z bukłakami i sakwami, bezszelestny i szybki niczym jaszczurka.

„Żeby tak podeszli wszyscy naraz, zwartą masą”, myśli. Jak łatwo byłoby wtedy powalić ich gradem kul, prosto w pierś, na tym pozbawionym drzew, krzewów i skał terenie. Nie osłonią ich nierówności gruntu, bo transeje jaguncos znajdują się na wzniesieniach. Ale nie idą razem. Środkowa kolumna wysunęła się naprzód niby dziób okrętu; pierwsza przekracza łożysko rzeki i pierwsza wspina się na urwisty brzeg. Grupka niebieskawych figurek — z okopu widać czerwone lampasy na spodniach i połyskujące punkciki guzików — wychyla się o niecałe dwieście kroków od Antonia. To zwiad, setka piechurów, którzy rozdzielają się na dwa oddziały, po trzech w szeregu. Prą przed siebie bez najmniejszej ostrożności. Widzi, jak wyciągają szyje, wpatrują się w wieże Belo Monte, zupełnie nieświadomi, że z ziemi mierzą w nich karabiny niewidzialnych strzelców.

— Na co czekasz, kumie? — mówi Honorio. — Chcesz, żeby nas zobaczyli?

Antonio strzela i zaraz, zwielokrotnionym echem, wybucha wokół grzmot, zagłuszający bębny i trąbki. Dym, kurz, zamęt opanowują szeregi zwiadowców. Antonio powoli, nabój za nabojem, opróżnia magazynek rewolweru; zmrużywszy jedno oko, bierze na cel żołnierzy, którzy zrobili w tył zwrot i uciekają. Zdołał jeszcze dostrzec, że następne oddziały pokonały już urwisko i nadchodzą z trzech, czterech stron naraz. Strzelanina ustaje.

— Nie widzieli nas — mówi jego brat.

— Idą pod słońce — odpowiada. — Za godzinę będą ślepi. Obydwoj podnoszą broń. Słychać pojedyncze strzały. To jaguncos dobijają rannych. Antonio widzi, jak heretycy czołgają się po piargu, usiłując przedostać się na drugą stronę jaru, nad którym ukazują się głowy, ramiona, sylwetki żołnierzy. Szyki łamią się, rwą, wyginają, w miarę jak posuwają się naprzód po kruchym, roztańczonym terenie. Żołnierze dali ognia, ale Antonio ma wrażenie, że nadal nie widzą transeji, bo strzelają ponad głowami jaguncos, w stronę Canudos, przekonani, że karabinowy ogień, który skosił ich szpicę, pochodzi ze Świątyni Dobrego Jezusa. Kurzawa gęstnieje od strzałów, szarawe wiry spowijają ateistów, chwilami zasłaniają ich zupełnie. Zwartą masą, z podniesionymi karabinami, nastawiwszy bagnety, prą przed siebie w rytm dźwięków trąbki, bębna i okrzyków: „Piechota! Naprzód!”.

Były kupiec dwukrotnie opróżnia magazynek. Broń przegrzewa się, parzy w palce. Odkłada rewolwer do kabury i chwytając za mannlicera. Mierzy i strzela, za każdym razem wypatrując wśród wrogich szeregów tych żołnierzy, których z tłumu wyróżniają galony, szabla lub zachowanie. I nagle, na widok tych heretyków i faryzeuszów o twarzach wykrzywionych przerażeniem, którzy padają — po jednym, po dwóch, po dziesięciu — od kul wylatujących nie wiadomo skąd, czuje litość. Jak to możliwe, żeby obudzili w nim miłosierdzie ci, którzy chcą zniszczyć Belo Monte? Tak, w tej chwili, kiedy widzi, jak

osuwają się bezwładnie, kiedy słyszy, jak jęczą, kiedy mierzy w nich i zabija, nie ma w nim nienawiści: wyczuwa ich duchowe ubóstwo, ich grzeszne człowieczeństwo, wie, że są ofiarami, ślepyimi, bezmyślnymi narzędziami schwytanymi w diabelskie sidła. Każdemu mogło się to przytrafić. Przecież on sam ocalał tylko dzięki przypadkowemu spotkaniu z Nauczycielem.

— Na lewo, kumie — trąca go łokciem Honorio.

Patrzy i widzi lansjerów. Jest ich dwustu, może więcej. Przekroczyli Vassa Barris o pół kilometra na prawo i ustawiają się w plutony, żeby zaatakować z flanki. Wybucho wściekły jazgot trąbek. Stoją poza linią tranzei. Już widzi, co stanie się za chwilę. Lansjerzy przetną na przelaj pasmo kudłatych wzgórz ciągnące się w stronę cmentarza, a ponieważ w tym miejscu żadna tranzeja nie zagrozi im drogi, w kilka minut znajdą się w Belo Monte. Widząc przed sobą wolne przejście, podąży za nimi piechota. Ani Pedrao, ani Joao Wielki, ani Pajeu nie zdążyli wycofać się do miasta, żeby wzmocnić jaguncos zabarykadowanych na dachach i wieżach kościołów i w Sanktuarium. Wówczas, nie wiedząc jeszcze, *co* robi, wiedziony chwilowym szaleństwem, chwyta torbę z amunicją i wyskakuje z okopu, krzycząc do Honorio: „Trzeba ich zatrzymać, biorę ich na siebie!“. Pochylony, mannlicher w prawej, rewolwer w lewej ręce, torba na ramieniu, rzuca się biegiem w jakimś letargicznym transie. W jednej chwili strach przed śmiercią — który czasem zrywa go ze snu, oblewa zimnym potem, ścina lodem krew w trakcie najzwyczajszej rozmowy — znika, a jego miejsce zajmuje wyniosła pogarda dla myśli, że mogą go zranić albo zabić. Kiedy tak biegnie prosto na jeźdźców, którzy ustawieni w plutonach kłusują zygzakiem i podnosząc tumany kurzu, to ukazują się jego oczom, to kryją w fałdach terenu, w jego głowie, niby w ogromnej kuźni, tryskają snopami iskier myśli, wspomnienia, obrazy. Poznaje lansjerów z Południa, gauczów, których widywał na tyłach Faveli, jak krążyli w poszukiwaniu zabląkanego bydła. Myśli, że żaden z tych jeźdźców nie będzie tratował Canudos, bo gwardziści Joao Wielkiego, Murzyni z Mocambo albo łucznicy Kariri zabiją ich wierzchowce, będące tak łatwym celem. Myśli o żonie i szwagierce, i o tym, czy razem z innymi kobietami zdążyły wrócić do Belo Monte. Z tych twarzy, nadziei, mająków wyłania się Assare, gdzieś na kresach Ceara, strony, które opuścił, uciekając przed zarazą, i których już nigdy nie ujrzy. Rodzinna wioska zawsze staje mu przed oczami w chwilach takich jak ta, kiedy czuje, że dotyka jakiejś granicy, że stawia stopę na krawędzi, za którą czeka już tylko cud albo śmierć.

Wreszcie nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Osuwa się bezwładnie na ziemię, nie troszcząc się, czy go widzą, czy nie, składa się z karabinu i zaczyna strzelać. Nie zdąży ponownie załadować broni, mierzy więc starannie za każdym razem. Pokonał połowę odległości, dzielącej go od jeźdźców. Jadą przed nim w kurzawie, a on zastanawia się, jak to się stało, że go nie zobaczyli, chociaż biegł na przelaj, chociaż do nich strzela. Żaden z lansjerów nie patrzy w tę stronę. Ale coś chyba obudziło ich czujność, bo pluton jadący na czele skręca nagle w lewo. Widzi, że jeden z jeźdźców robi kolisty ruch szablą, jakby go przyzywał, jakby go witał, i tuzin lansjerów rusza galopem ku niemu. W karabinie zabrakło kul. Chwyta rewolwer obiema rękami i czeka, oparłszy łokcie na ziemi, zdecydowany zachować te naboje, aż ujrzy nad sobą końskie brzuchy. Widzi twarze diabłów wykrzywione wściekłością, widzi dziką furię, z jaką tłuką piętami końskie żebra, widzi drżące szpicruty, bryczesy, które wydyma wiatr. Strzela do tego z szablą, raz, drugi, trzeci, nie trafia i myśli, że nie ma dla niego ratunku, przebiją go te lance, zmiażdżą go te kopyta tłukące o żwir. Ale nagle dzieje się coś dziwnego i znowu czuje obecność nadprzyrodzonej mocy. Zza jego pleców wyskakują liczne postaci, które strzelają, wywijają maczetami, nożami, młotami, toporami, rzucają się na zwierzęta i jeźdźców, rażą ich kulami, dziobią nożami, tną na oślep w jakimś zawrotnym wirze. Widzi jaguncos czepiających się lanc i nóg, przycinających wodze; widzi przewracające się konie, słyszy wrzaski, rżenie, przekleństwa, strzały. Co najmniej

dwóch lansjerów przebiegło nad nim, nie dotknawszy go stopą, zanim zdołał się podnieść i stanąć do walki. Oddaje dwa ostatnie strzały z rewolweru i ściskając w garści mannlichera jak pałkę, pędzi ku skłębionym na ziemi postaciom. Wali kolbą żołnierza zmagającego się z jakimś jagunco i tłucze go, aż tamten traci przytomność. Pomaga jagunco wstać i obaj biegną na pomoc Honorowi, którego ściga jeździec z nastawioną lancą. Spostrzegłszy, że idą na niego, gauczo pogania konia i znika im z oczu, pędząc galopem ku Belo Monte. Przez dłuższą chwilę Antonio biegnie w kłębach kurzu, to tu, to tam, podnosi leżących, ładuje i opróżnia rewolwer. Wielu jest ciężko rannych, wielu zabitych, przeszytych lancami na wylot. Ktoś krwawi obficie, rozplarany szablą. Niby we śnie widzi samego siebie, jak dobija ciosami kolby wysadzonych z siodła gauczów. Kiedy wszystko się uspokaja, jaguncos zbierają się razem. Antonio mówi, żeby wrócili do tranzei, ale w połowie zdania spostrzega wśród chmur czerwonego pyłu, że tam, gdzie dotąd były ich kryjówki, przechodzą teraz, jak sięgnąć okiem, oddziały masonów.

Wokół siebie nie widzi więcej niż pięćdziesięciu ludzi. A co z resztą? Ci, którzy mogli iść o własnych siłach, wrócili do Belo Monte. „Ale nie było ich wielu”, chrząka jakiś bezzębny jagunco. To blacharz Zósimo. Antonio dziwi się, widząc go wśród walczących. Jest stary, mógł zostać w Canudos, gasić pożary i nosić rannych do Domów Zdrowia. Nie ma sensu tu sterczeć; jeszcze jedna taka szarża i nie będzie nawet co zbierać.

— Chodźmy pomóc Joao Wielkiemu — mówi.

Rozdzielają się na grupki, po trzech, po czterech: podtrzymując kulawych, kryjąc się w fałdach terenu, rozpoczynają odwrót. Antonio marudzi w tyle razem z Honoriem i Zósimem. Być może tumany pyłu albo oślepiający blask słońca, albo to, że pilno im uderzyć na Canudos, sprawiają, że ani oddziały posuwające się po lewej, ani lansjerzy widoczni z prawej, nie zbaczą, żeby ich dobić. Bo widzą ich, niemożliwe, żeby ich nie widzieli, skoro oni ich widzą. Pyta Ho-noria o Sardelinie. Odpowiada, że zanim opuścili tranzeje, odesłał wszystkie kobiety. Od pierwszych zabudowań dzieli ich jeszcze tysiąc kroków. W tym tempie trudno będzie dotrzeć tam bezpiecznie. Ale drżenie w kolanach i zamęt we krwi mówią mu, że ani on, ani żaden z pozostałych przy życiu jaguncos nie jest w stanie iść szybciej. Stary Zósimo zatacza się, kręci mu się w głowie. Antonio poklepuje go, dodaje otuchy, pomaga iść. Czy to prawda, że zanim dotknął go anioł, staruszek pewnego razu o mało co nie spalił żywcem Lwa z Natuby?

— Spójrz na dom Antonia Pirotechnika, kumie.

Ostra, hałaśliwa strzelanina dochodzi ze skupiska domostw stojących przy starym cmentarzu wzdłuż zawitych jak hieroglify uliczek, które jako jedyne w Canudos nie noszą imion świętych; patronują im postaci z opowieści truverów: Królowna Magalona, Robert Diabeł, Sylwana, Karol Wielki, Fierabras, Parowie Francji. Osiedlili się tam nowi pielgrzymi. To oni tak strzelają do ateistów? Dachy, drzwi, wyloty ulic zioną ogniem na żołnierzy. Nagle wśród leżących, stojących lub przykucniętych jaguncos dostrzega charakterystyczną sylwetkę Pedrao. Olbrzym miota się we wszystkie strony ze swoim muszkietem i Antonio pewien jest, że odróżnia w ogłuszającej wrzawie huk jego broni. Pedrao nigdy nie chciał zamienić tej starej strzelby z lat, kiedy był bandytą, na powtarzalnego mannlichera lub mauze-ra, chociaż z tamtych można oddać po pięć strzałów i szybko znów załadować, a muszkiet trzeba za każdym razem wyczyścić, nabić prochem i przybić stemplem, zanim wystrzeli swoje niedorzeczne pociski: kawałki żelaza, limonitu, szkła, ołowiu, wosku, a nawet kamienie. Ale Pedrao jest zadziwiająco zręczny i wykonuje tę operację z szybkością, która podobnie jak jego nadzwyczajna celność wygląda na sprawkę czarów.

Cieszy się, że widzi go tutaj. Skoro Pedrao i jego ludzie wrócili na czas, Joao Mnich i Pajeu też musieli zdążyć, a to znaczy, że Belo Monte ma dobrą obronę. Zostało im jeszcze

niecałe dwieście kroków do pierwszej linii okopów; idący na przedzie jaguncos wymachują rękami i krzyczą, żeby obrońcy do nich nie strzelali. Niektórzy biegną; Antonio i Honorio idą w ich ślady, ale zatrzymują się, bo stary Zósimo nie może nadążyć. Biorą go pod ramiona i ciągną za sobą, pochyleni, potykając się pod gradem wybuchów. Antoniowi wydaje się, że strzelają tylko do nich. Docierają wreszcie do wylotu ulicy. Nad barykadą z kamieni, blachy, piachu, desek, cegieł i wszelkiego rodzaju przedmiotów dostrzega zwarty szereg strzelców. Wyciąga się ku nim skwapliwie las pomocnych rąk. Antonio czuje, że unoszą go w powietrze jak piórko i stawiają po drugiej stronie tranzei. Siada, żeby odpocząć. Ktoś podaje mu bukłak pełen wody; pije haustami, z zamkniętymi oczami, czując szczęście i ból, kiedy płyn zwilża mu język, podniebienie, gardło, które wydają się zrobione ze ściernego papieru. Szumi mu w uszach; odykają się od czasu do czasu, a wówczas słyszy strzały, wrzaski „Śmierć republice, śmierć ateistom!”, „Niech żyje Nauczyciel!”, „Niech żyje Dobry Jezus!”. W jednej z takich chwil — zmęczenie ustępuje, wkrótce będzie mógł wstać — dociera do niego, że jaguncos nie mogą krzyczeć: „Niech żyje republika!”, „Niech żyje marszałek Floriano!”, „Śmierć zdrajcom!”, „Śmierć Anglikom!”. Czy to możliwe, żeby byli tak blisko, że słyszy ich głosy? W uszach wibrują mu dźwięki trąbki. Na siedząco umieszcza pięć kul w bębnie rewolweru. Ładując mannlichera, spostrzega, że opróżnia właśnie ostatnią torbę z nabojami. Obolały, wstaje z wysiłkiem; pomagając sobie łokciami i kolanami, wdrapuje się na szczyt barykady. Robią mu miejsce. Nie więcej niż o dwadzieścia metrów idzie na nich zwarty las mundurów. Nie mierząc, nie wypatrując oficerów, pakuje w tę niewyraźną masę wszystkie kule z rewolweru i mannlichera, czując za każdym szarpnięciem kolby bolesne szturchnięcie w ramię. W pośpiechu ładuje rewolwer i rozgląda się wokół. Masoni atakują ze wszystkich stron, w sektorze Pedrao są jeszcze bliżej niż tutaj; bagnety dotykają niemal krawędzi barykady. Jaguncos rzucają się bez namysłu, waląc na oślep kijami i stemplami do piętnowania bydła. Nie widzi Pedrao. Na prawo, w nieopisanej kurzawie, fale mundurów płyną ku uliczkom Ducha Świętego, Świętej Anny, Świętego Józefa, Świętego Tomasza, Świętej Ryty, Świętego Joachima. Każdą z nich dotrą w kilka chwil na Campo Grande i ulicę Świętego Piotra, do serca Belo Monte, po czym przypuszczą szturm na kościoły i Sanktuarium. Czuje, że ktoś szarpie go za nogę. Jakiś chłopak krzyczy, że na Świętego Piotra czeka na niego Komendant Ulicy. Chłopak zajmuje jego miejsce na barykadzie.

Biegnąc w górę Świętego Kryspina, widzi po obu stronach ulicy kobiety napełniające piachem wiadra i skrzynie, które przenoszą na własnych plecach. Wokół niego tylko kurz, zamęt, bieżanina wśród domów o strzaskanych dachach, przestrzelonych, poczerniałych od dymu fasadach, wyrwanych lub zwałonych ścianach. Przyczynę tego gorączkowego poruszenia odkrywa, dotarłszy do ulicy Świętego Piotra, równoległej do Campo Grande, która przecina Belo Monte od Vassa Barris do cmentarza. Komendant Ulicy stoi wsparty o dwa skrzyżowane karabiny przed barykadą broniącą dróg prowadzących do rzeki. Podaje mu rękę. Bez wstępów — ale, myśli Antonio, i bez paniki — spokojnie, żeby były kupiec zrozumiał go dokładnie, każe mu zająć się zamknięciem ulic poprzecznych do Świętego Piotra. Może wziąć tylu ludzi, ilu zechce.

— Nie lepiej byłoby wzmocnić tę transeję na dole? — mówi Antonio Vilanova, pokazując tam, skąd przyszedł przed chwilą.

— Nie utrzymamy jej długo, to otwarty teren — mówi Komendant Ulicy. — A tutaj pogubią się w płataninie uliczek i domów. To musi być prawdziwy mur, szeroki, wysoki.

— Nie martw się, Joao Mnichu. Idź, zajmę się tym. — Ale kiedy tamten się odwraca, dodaje: — Co z Pajeu?

— Żyje — mówi, nie odwracając się, Joao Mnich. — Jest w Starej Fazendzie.

„Broni źródła”, myśli Vilanova. Jeśli ich stamtąd wyprą, jaguncos zostaną bez kropli

wody. Po kościołach i Sanktuarium najważniejsze są źródła, bez nich nie utrzymają się przy życiu. Były cangaceiro zniknął w kurzawie na zboczu schodzącym ku rzece. Antonio odwraca się ku wieżom Świątyni Dobrego Jezusa. Opanowany przesądnym strachem, że nie ujrzy ich na dawnym miejscu, nie patrzył na nie, odkąd wrócił do Belo Monte. Oto są, poszczerbione, ale całe, odpierają swym zwartym, kamiennym kośćcem kule, pociski, granaty heretyków. Z dzwonnicy, z dachów, z rusztowań, z kościoła Świętego Antoniego idzie nieprzerwany ogień. Wśród strzelców z Gwardii Katolickiej walczących na barykadach wokół Sanktuarium dostrzega Joao Wielkiego. To wszystko napawa go wiarą. Ulatnia się gdzieś panika, która obezwładniła mu nogi, kiedy usłyszał od Joao Mnicha, że transzeje na dole trzeba poddać, że nie ma nadziei, żeby mogły zatrzymać żołnierzy. Nie tracąc więcej czasu, popędza krzykiem gromady dzieci, kobiet i starców, żeby zabrali się do burzenia narożnych domów przy Świętego Kryspina, Świętego Joachima, Świętej Ryty, Świętego Tomasza, Ducha Świętego, Świętej Anny, Świętego Józefa, by zmienić tę część Belo Monte w nieprzenikniętą dżunglę. Pierwszy daje przykład, rozwalając ściany kolbą karabinu. Kopanie transzei, wznoszenie parapetów to budowanie, organizowanie, a do tego Antonio Vilanova nadaje się lepiej niż do wojaczki.

Kiedy zabrali wszystkie karabiny, skrzynki z amunicją i materiały wybuchowe, w sklepie zrobiło się trzy razy więcej miejsca. Ta ogromna pustka powiększyła jeszcze opuszczenie dziennikarza okularnika. Kanonada unicestwiła czas. Jak długo siedzi tu, zamknięty z Matką Ludzi i Lwem z Natuby? Ze szczękaniem zębów, które dotąd mu nie przeszło, wysłuchwał szturmowych rozkazów odczytanych przez to cudaczne stworzenie. Od tamtej chwili minęła już zapewne cała noc, nadszedł świt. Niemożliwe, żeby to potrwało jeszcze mniej niż osiem, dziesięć godzin. Ale strach wydłużał sekundy, unieruchamiał minuty. Być może nie minęła godzina, odkąd Joao Mnich, Pedrao, Pajeu, Honorio Vilanova i Joao Wielki wybiegli pędem na odgłos pierwszych wystrzałów, nazwanych w raporcie „obezwładniającym ogniem”. Przypomniał sobie ich nagłe odejście i sprzeczkę z tą kobietą: chciała wracać do Sanktuarium, ale przekonali ją, żeby została.

To było, mimo wszystko, krzepiące. Zostawili w sklepie tych dwoje przybocznych Nauczyciela, tu byli bezpieczniejsi niż gdzie indziej. Śmieszne, że w takiej chwili myśli o bezpieczeństwie. „Obezwładniający ogień” nie polegał na ostrzeliwaniu konkretnych celów: była to ślepa kanonada, która miała wzniecić pożary, zniszczyć domy, zaścielić ulice trupami i gruzem, zdemoralizować ludzi, odebrać im wolę walki, kiedy żołnierze runą na Canudos.

„Filozofia pułkownika Moreiry Cesara”, pomyślał. Co za głupcy, co za głupcy, co za głupcy! Nic nie rozumieją z tego, co tu się dzieje, nie podejrzewają, co to za ludzie. Nieustanny ostrzał pogrążonego w ciemnościach miasta osłabiał tylko jego. Pomyślał: „Już chyba pół Canudos zniknęło z powierzchni ziemi”. Ale jak dotąd żaden pocisk nie uderzył w sklep. Dziesiątki razy, zamykając oczy, zaciskając zęby, myślał: „Teraz, teraz”. Podskakiwał za każdym wstrząsem dachówek, belek, desek, podnoszącym ów pył, w którym wszystko zdawało się łamać, rozdzierać, rozpadać nad nim, pod nim, na nim, wokół niego. Ale sklep, smagany wybuchami, wciąż stał na swoim miejscu.

Kobieta i Lew z Natuby rozmawiali. Docierał do niego tylko szmer głosów, nie rozróżniał słów. Nastawił ucha. Siedzieli w milczeniu od początku bombardowania i w pewnej chwili wyobraził sobie, że dosięgły ich kule, a on czuwa nad ich zwłokami. Kanonada ogłuszyła go; słyszał jakieś brzęczące trzaski, małe wewnętrzne eksplozje. A Jurema? A Karzelek? Niepotrzebnie poszli do Starej Fazendy z jedzeniem dla Pajeu. Minęli się z nim, kiedy szedł na spotkanie do sklepu. Żyją? Jakiś prąd — rwący, namiętny, bolesny — przepłynął przez niego, gdy wyobraził ich sobie w transzei Pajeu, skulonych pod ostrzałem, na pewno stęsknionych za nim tak samo, jak on za nimi. Byli jego częścią, on był częścią ich.

Jak to możliwe, żeby ci ludzie, z którymi nic go nie łączyło, za to dzieliło wszystko: pochodzenie, wykształcenie, wrażliwość, doświadczenia, kultura, wzbudzili w nim przywiązanie tak wielkie, miłość tak bezgraniczną? To wspólnie przeżyte miesiące stworzyły między nimi tę więź, to fakt, iż spotkali się, nie pragnąc tego, nie chcąc, nie wiadomo jak i skąd, zetknięci przez dziwne, fantastyczne sploty przyczyn i skutków, przypadków, wypadków i zbiegów okoliczności, które tworzą historię, rzućni razem w te nadzwyczajne wydarzenia, w to życie na skraju śmierci. To właśnie związało ich ze sobą. „Już nigdy się z nimi nie rozstanę, pomyślał. Będę z nimi nosił jedzenie dla Pajeu, pójdę z nimi do...”.

Ale nagle poczuł się śmieszny. Czyżby sądził, że po tej nocy wszystko zostanie jak przedtem? Jeśli wyjdą cało z bombardowania, czy przeżyją drugą część planu odczytanego przez Lwa z Natuby?

Przeczuł zwarte, zbite szeregi tysięcy żołnierzy schodzące ze wzgórz z nastawionymi bagnietami, płynące ulicami Canudos i poczuł zimne dotknięcie żelaza na swoim chudym grzbiecie. Będzie krzyczał, kim jest, i nie usłyszą go, będzie krzyczał: jestem jednym z was, człowiekiem cywilizowanym, intelektualistą, dziennikarzem, i nie uwierzą mu ani nie zrozumieją, będzie krzyczał: nie mam nic wspólnego z tymi szaleńcami, z tymi barbarzyńcami, ale na próżno. Nie dadzą mu czasu na otwarcie ust. Zginąć jako jagunco, w bezimiennej masie jaguncos — oto szczyt absurdu, niezbity dowód wrodzonej głupoty świata. Całym sercem zatęsknił za Juremą i Karzełkiem, poczuł, że musi ich natychmiast zobaczyć, usłyszeć, przemówić do nich. Nagle odetkały mu się uszy i usłyszał bardzo wyraźnie Matkę Ludzi: są grzechy, za które nie ma pokuty, winy, których nie można odkupić. W jej twardym, udręczonym głosie brzmiało przekonanie, rezygnacja i cierpienie, które zdawało się dochodzić z otchłani lat.

— Przygotowali już dla mnie miejsce w ogniu, czeka na mnie — usłyszał znowu. — Nie mogę się łudzić, synku.

— Nie ma takiej zbrodni, której Ojciec nie mógłby wybaczyć — odpowiedział żywo Lew z Natuby. — Matka Boska wstawi się za tobą i Ojciec ci wybaczy. Nie dręcz się, matko.

Był to głos dźwięczny, silny, płynny, obdarzony wewnętrzną melodią. Dziennikarz pomyślał, że ten głos mógłby należeć do człowieka zdrowego, normalnego, prostego jak świeca, nigdy jednak do kogoś takiego jak ten, który teraz przemawia.

— Był taki maleńki, bezbronny, delikatny, dopiero co się urodził, jagniątko śliczne — recytowała śpiewnie kobieta. — Jego matka miała piersi wyschnięte i była podła, zaprzędana Diabłu. Pod pozorem, że nie chce patrzeć na jego cierpienie, wepchnęła mu w buźkę kłębek wełny. To nie jest grzech taki jak inne, synku. To grzech, dla którego nie ma przebaczenia. Będziesz patrzył, jak płonę po wieki wieków.

— Nie wierzysz w Nauczyciela? — pocieszał ją skryba z Canudos. — On rozmawia z Ojcem. Przecież powiedział, że...?

Jego słowa utonęły w huk. Dziennikarz okularnik zeszywniał na całym ciele i zamknął oczy; zadrzał przy wstrząsie, ale wciąż słuchał tej kobiety, skojarzył to, co mówiła, z odległym wspomnieniem. Przywołane zakłębieniem jej słów wynurzało się na powierzchnię jego świadomości z otchłani, gdzie leżało pogrzebane. To ona? Znowu słyszy ten głos, który słyszał w sądzie dwadzieścia lat temu, łagodny, smutny, beznamiętny, bezosobowy.

— Pani jest dzieciobójczynią z Salwadoru — powiedział.

Nie zdążył przestraszyć się własnych słów, bo nastąpiły, jedna po drugiej, dwie eksplozje i sklep zatrzeszczał dziko, jakby miał się zawalić. Wionęło nań kurzem, który zdawał się skupiać w jego nozdrzach. Zaczął kichać, skręcał się na ziemi w narastających,

potężnych, przyspieszonych, rozpaczliwych atakach duszności. Brak powietrza rozsadzał mu piersi; walił w nie obiema rękami, kichał i jednocześnie, patrząc na błękitniejące szpary, myślał, że wstaje świt. Ból rozsadzał mu skronie. Pomyślał, że tym razem to już koniec, udusi się, zginie zasmarkany, głupio, ale lepiej tak niż na bagnietach żołnierzy. Ciągłe kichając, osunął się na plecy. W chwilę potem jego głowa spoczywała na ciepłym, kobiecym łonie, kojącym, opiekuńczym. Kobieta ułożyła go sobie na kolanach, otarła mu czoło, utuliła go jak matka dziecko do snu. Oszołomiony, wdzięczny, wyszeptał: „Matka Ludzi”.

Kichanie, złe samopoczucie, duszności, słabość miały tę zaletę, że uwolniły go od strachu. Kanonada docierała doń jako coś odległego, obcego, czuł jakąś niezwykłą obojętność na myśl o śmierci. Ręce, szept, oddech kobiety, jej palce głaszczące jego głowę, czoło, oczy napelniały go spokojem, cofały do jakiegoś mglistego dzieciństwa. Przestał kichać, ale laskotanie w nozdrzach, dwóch rozjątrzonych ranach, mówiło mu, że atak może powtórzyć się w każdej chwili. W tym niejasnym odurzeniu rozpamiętywał inne ataki, kiedy także myślał, że to już koniec, te noce bahijskiej cyganerii, przerywane brutalnie brzmiącym jak surowy głos sumienia kichaniem, co wywoływało żywiołową wesołość jego przyjaciół, tych poetów, muzyków, malarzy, dziennikarzy, włóczęgów, aktorów i nocnych ptaków Salwadoru, wśród których trwoniał swoje życie. Wspominał, jak zaczął wachać eter, bo eter przynosił mu ukojenie w atakach, po których bywał wyczerpany, upokorzony, rozbity, i jak potem, już później, opium wybawiało go od kichania, zsyłając nań śmierć przelotną i przytomną. Pieszczota, kołysanie, pociecha, zapach tej kobiety, która zabiła własne dziecko, kiedy on, dorastający chłopak, zaczynał dopiero pracę w gazecie, a która teraz jest kapłanką w Canudos, przypominały opium i eter, pogrążały w miękkim letargu, w jakiejś przyjemnej nieobecności; zastanawiał się, czy kiedyś, w dzieciństwie, matka, której nie znał, pieściła go tak samo, sprawiając, że czuł się odporny i obojętny na wszystkie niebezpieczeństwa świata. Przed jego oczami przemaszerały aule i dziedzińce kolegium ojców salezjanów, gdzie z powodu ciągłego kichania był, tak jak Karzełek i jak ten tu monstrualny skryba, pośmiewiskiem i ofiarą, obiektem kpin. Przez ten nieustanny katar i przez swój krótki wzrok został odsunięty od sportów, męskich gier, wycieczek, traktowali go jak kalekę. Przez to stał się nieśmiały, przez ten przekłety, niesforny nos musiał używać chustek wielkich jak prześcieradła. Przez te chustki i przez swoje wiecznie załzawione oczy nie miał dziewczyny, narzeczonej ani żony, musiał żyć z nieodstępnym uczuciem śmieszności i nigdy nie zdobył się na to, żeby wyznać miłość dziewczynom, które kochał, ani wysłać im wiersze, które dla nich pisał, a potem tchórzliwie darł. Przez ten przekłety nos i swoje okulary trzymał w ramionach tylko dziwki z Bahii, zaznał tylko sprzedanej miłości, pospiesznej, brudnej, co dwukrotnie kosztowało go ropne nacieki i cewnikowanie, przy którym wył z bólu. On też jest cudakiem, kaleką, odmieńcem. To nie przypadek, że znalazł się tam, gdzie zesłi się odmieńcy, kaleki, wszyscy pokrzywdzeni i cierpiący tego świata. To było nieuniknione, bo jest jednym z nich.

Zanosił się od płaczu, uczepony obiema rękami Matki Ludzi mamrotał skargi na swój przekłety los i swoje niedole, ślinił się i smarkał, wylewając bełkotliwie swoją gorycz i rozpacz, obecną i przeszłą, z lat minionej młodości, swoje życiowe i intelektualne niepowodzenia, otworzył się przed nią jak nigdy dotąd przed samym sobą, mówił jej, jak bardzo nieszczęśliwy i żalony czuje się przez to, że nie za-znał wielkiej, wzajemnej miłości, że nie został wziętym dramaturgiem, natchnionym poetą, o czym zawsze marzył, i przez to, że wie, że umrze jeszcze bardziej głupio, niż żył. Słyszał swój własny głos, wstrząsany łkaniem: „To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe”. Spostrzegł, że ona całuje go w czoło, w policzki, powieki, szepcząc zarazem słowa czułe, słodkie, bezładne, jakimi przemawia się do niemowląt, żeby sam dźwięk ukołysał je i uspokoił. Czuł się odprężony i cudownie wdzięczny za te magiczne wyrazy: „Synku, syneczku, dziecinko, gołąbeczku,



jagniątko ty moje...".

I nagle wrócił do rzeczywistości, brutalności, wojny. Grzmot wybuchu, który zerwał dach, zwałił na niego niebo, roziskrzone słońce, chmury, świetlisty poranek. Wokół fruwały drzazgi, cegły, strzaskane dachówki, poskręcane druty, na całym ciele, twarzy, rękach czuł uderzenia kamieni i grudek ziemi. Jednak ani on, ani kobieta, ani Lew z Natuby nie zostali zmieceni podmuchem, przygnieceni przez gruz. Stali przytuleni, objęci; dziennikarz okularnik mozolnie szukał w kieszeniach swojego monokla z okruchów szkła, przerażony, że rozbił się na kawałki, że odtąd nie będzie mógł liczyć nawet na taki ratunek; ale oto jest, nietknięty. Wciąż uczepiony kurczowo przelożonej Świętego Chóru i Lwa z Natuby, z wolna poznawał w zniekształconych obrazach zniszczenia poczynione wybuchem. Zawalił się strop, runęła frontowa ściana, ocalał tylko ką, który zajmowali; reszta była kupą gruzu. Przez zburzoną ścianę zobaczył znowu ruiny, dym, biegające postacie.

I nagle izba zappełniła się uzbrojonymi ludźmi z opaskami i niebieskimi chustami, wśród których odgadł masywną, półnągą sylwetkę Joao Wielkiego. Patrząc, jak ściskają Marię Quadrado i Lwa z Natuby, zadrzał, z okiem wciśniętym w monokl: zabiorą ich, zostawią go samego w tych ruinach. Wczepił się mocniej w kobietę i skrybę, i zbywszy wszelkiego wstydu, wszelkich skrupułów, zaczął skamleć, błagać, żeby nie zostawiali go samego; Matka Ludzi pociągnęła go za sobą, kiedy olbrzymi Murzyn kazał im wyjść.

Znalazł się w świecie wywróconym do góry nogami przez zamęt, dymy, hałas, zwały gruzu. Przestał płakać, wszystkie zmysły skupił na ryzykownej czynności wymijania przeszkód, żeby tylko się nie potknąć, nie przewrócić, nie upaść, nie puścić tej kobiety. Dziesiątki razy przechodził Campo Grande w kierunku kościelnego placu, a przecież nie poznawał niczego: wszędzie zburzone ściany, wyrwy, kamienie, porozrzucane sprzęty, ludzie, którzy chodzą tam i z powrotem, strzelają, uciekają, wrzeszczą. Zamiast armatnich salw słyszał karabinowe strzały i płacz dzieci. Nie wiedział nawet, kiedy puścił kobietę: nagle spostrzegł, że trzyma się już tylko cudacznego, pomykającego truchtem kształtu, którego trwożne dyszenie mieszało się z jego własnym oddechem. Obiema rękami wczepił się w gęste, obfite kudły. Nie nadażali, zostawali w tyle. Ścisnął mocniej w garści grzywę Lwa z Natuby; jeżeli ją wypuści, wszystko stracone. I kiedy tak biegł, przeskakiwał, kluczył, słyszał swój własny głos proszący skrybę, żeby nie rwał tak do przodu, żeby miał litość nad kimś, kto sam nie da sobie rady.

Wpadł pędem na coś, co wyglądało na ścianę, a było szeregiem ludzi. Poczul się odgradzony, odepchnięty, kiedy nagle usłyszał głos tej kobiety, mówiącej, żeby go wpuścili. Mur rozstał się, dostrzegł beczki, worki, mężczyzn, którzy strzelali i krzyczeli do siebie, i między Matką Ludzi i Lwem z Natuby wkroczył przez niskie drewniane drzwi do jakiegoś mrocznego pomieszczenia. Kobieta dotknęła jego twarzy i powiedziała: „Zostań tutaj. Nie bój się. Módl się”. Zdołał jeszcze dojrzeć, jak razem z Lwem z Natuby znika w jakichś innych drzwiach.

Osunął się na ziemię. Był wyczerpany, głodny, spragniony, senny, czuł, że za wszelką cenę musi zapomnieć o tym koszmarze. Pomyślał: „Jestem w Sanktuarium”. Pomyślał: „Obok jest Nauczyciel”. Był zdumiony, że dotarł aż tutaj, pomyślał, że to nie lada przywilej zobaczyć i usłyszeć z bliska samo jądro burzy, która rozpętała się nad Brazylią, ujrzeć człowieka najślawniejszego i najbardziej znieawidzonego w całym kraju. I co z tego? Czy będzie mógł to komuś opowiedzieć? Spróbował usłyszeć, co mówią w głębi Sanktuarium, ale zewnętrzny gwar zagłuszał słowa. Przez szpary sączyło się białe, ostre światło i straszliwy upał. Żołnierze już tu muszą być, lada chwila na ulicach wybuchnie walka. A mimo to z półmroku tej samotnej reduty spływał na niego głęboki spokój.

Skrzypnęły drewniane drzwi i zamajaczył w nich cień kobiety w chustce na głowie.

Włożyła mu w ręce miskę z jedzeniem i bla-szanke z jakimś płynem, który przy picciu okazał się mlekiem.

— Matka Maria Quadrado modli się za pana — usłyszał. — Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel.

— Na wieki wieków — powiedział, nie przestając żuć, przełykać. Zawsze, kiedy jadł w Canudos, bolały go szczęki, jakby zeszywniały z braku praktyki: był to ból przyjemny, święto dla ciała. Ledwie skończył, ułożył się na ziemi, oparł głowę na kamieniu i zasnął. Jeść, spać, to było teraz jedyne osiągalne szczęście. Karabinowe salwy przybliżały się, oddalały, zdawały się wirować wokół niego, z zewnątrz dochodziły odgłosy bezładnej biegania. Oto ascetyczna, drobna, nerwowa twarz pułkownika Moreiry Cesara, taka, jaką widział tyle razy, kiedy galopował obok niego albo przysłuchiwał się gawędom w obozowe noce po capstrzyku. Poznawał ten głos, w którym nie było śladu wahania, ten kategoriyczny, ostry ton: trzeba obezwładnić przeciwnika przed ostatecznym szturmem, żeby oszczędzić ludzkie życie dla republiki, wrzód powinien być przecięty natychmiast i bez sentymentów, zanim infekcja przeżre cały organizm. Jednocześnie docierało do niego, że strzelanina wzmaga się, że wokół szaleje zniszczenie i śmierć, i miał niejasne uczucie, że jacyś uzbrojeni ludzie przechodzą po nim, starając się go nie nadepnąć, z wieściami z placu boju, których wołał nie rozumieć, bo były złe.

Pewien, że już nie śni, nastawił uszu. To ten biały baranek tak beczy, liże go po ręce. Poglaskał wełnisty łebek; zwierzątko nie spłoszyło się, pozwoliło się dotknąć. A ten szmer to rozmowa dwóch osób, tuż obok. Podniósł do twarzy monokl, który we śnie ścisnął w garści. W niewyraźnym świetle rozpoznał postać ojca Joaquina obok jakiejś bosej kobiety w białej sukni i niebieskiej chustce na głowie. Ksiądz z Cumbe trzymał karabin między nogami, na szyi zawiesił pas z nabojami. Z tego, co udało mu się dostrzec, wyglądał jak człowiek, który wyszedł z ognia walki: rzadkie kosmyki potargane i zlepione ziemią, sutanna w strzępach, jeden sandał związany sznurkiem zamiast sznurowadła. Widać było po nim ogromne zmęczenie. Mówił o kimś, kogo nazywał Joaquinco.

— Wyruszył z Antoniem Vilanovą po żywność — usłyszał jego przygnębiony głos. — Wiem od Joao Mnicha, że cały oddział wrócił bezpiecznie i że poszli do tranzei nad Vassa Barris. — Zadławił się i zachrypiął: — Do tych, które powstrzymały szturm.

— A Joaquinco? — powtórzyła kobieta.

To była Alejandrinha Correa, o której krążyły opowieści, że wykrywa podziemne źródła i że była kochanką księdza. Nie zdołał dostrzec jej twarzy. Siedziała na ziemi obok ojca Joaquina. Drzwi do wnętrza Sanktuarium były otwarte, wydawało się, że w środku nie ma nikogo.

— Nie wrócił — mruknął ksiądz. — Wrócił Antonio, wrócił Honorio, wróciło wielu innych, którzy byli nad Vassa Barris. Ale Joaquinco nie wrócił. Nikt nie umiał mi nic powiedzieć, nikt go nie widział.

— Chciałabym przynajmniej urządzić mu pogrzeb — powiedziała kobieta. — Żeby nie leżał porzucony na polu jak bezańskie zwierzę.

— Może jednak nie umarł — mruknął ksiądz z Cumbe. — Jeżeli inni wrócili, dlaczego Joaquinco miałby nie wrócić. Pewnie jest teraz na wieży albo na barykadzie Świętego Piotra, albo ze swoim bratem w Starej Fazendzie. Te tranzeje też nie zostały zdobyte.

Dziennikarza okularnika ogarnęła radość, zapragnął zapytać go o Juremę i Karzełka, ale powstrzymał się; czuł, że nie powinien burzyć intymności tych dwojga. W głosach księdza

i służebniczki był spokojny fatalizm, żadnego dramatyzmu. Baranek skubnął go w rękę. Wstał i usiadł, ale ani ojciec Joaquim, ani kobieta nie zwrócili uwagi na to, że nie śpi, że słucha, co mówią.

— Jeżeli Joaquincito umarł, lepiej, żeby Atanasio umarł także — powiedziała kobieta. — Niech po śmierci też będą razem.

Po szyi przebiegł mu dreszcz, z tyłu, na karku. Czy to słowa kobiety, czy dźwięk dzwonów? Słyszał, jak biją, bliźniutko, słyszał zdrowaśki odmawiane chórem przez niezliczone gardła. To znaczy, że jest wieczór. Bitwa trwa już prawie cały dzień. Nasłuchiwał. Z dzwonami i modlitwą mieszały się karabinowe salwy. Niektóre wybuchały tuż nad ich głowami. Większą wagę przywiązują do śmierci niż do życia. Żyją w skrajnym opuszczeniu, a ich jedyną ambicją jest godny pogrzeb. Jak ich zrozumieć? Chociaż, być może, jeśli ktoś żyje tak jak on w tej chwili, śmierć jest jedyną nadzieją na zadośćuczynienie, „świętem”, jak mówi Nauczyciel. Ksiądz z Cumbe popatrzył na niego.

— To smutne, że dzieci muszą zabijać i ginąć w walce — usłyszał jego szept. — Atanasio ma czternaście lat, Joaquincito nie skończył trzynastu. Już od roku zabijają i pozwalają się zabijać. Czy to nie smutne?

— Tak — wyjąkał dziennikarz okularnik. — Oczywiście, oczywiście. Zasnąłem. Co z wojną, ojczu?

— Utknęli na Świętego Piotra — powiedział ksiądz z Cumbe. — Na barykadzie, którą dzisiaj rano zbudował Antonio Vilanova.

— Chce pan powiedzieć, że są tutaj, w mieście? — zapytał okularnik.

— O trzydzieści kroków stąd.

Na Świętego Piotra. Ulica, która przecinała Canudos od rzeki do cmentarza, równoległa do Campo Grande, była jedną z nielicznych zasługujących na to miano. Teraz zmieniła się w barykadę i tam są żołnierze. O trzydzieści kroków. Poczul chłód. Szmer modlitwy wznosił się, opadał, zanikał, powracał. Dziennikarz okularnik rozpoznawał ochryple głos Nauczyciela i fletowy tenorek Aniołka; pomyślał, że chórem recytują zdrowaśki kobiety, ranni, starcy, konający i jaguncos, którzy właśnie strzelają. Co też żołnierze myślą o tych modlitwach?

— I smutne, że sługa Boży musiał chwycić za karabin — powiedział ojciec Joaquim, dotykając broni, którą sposobem jaguncos oparł na kolanach. — Nie umiałem strzelać. Ojciec Martinez też, nie zastrzeliłby nawet jelonka.

Czy to ten sam staruszek, który ledwie żywy z przerażenia pochlipywał, stojąc przed pułkownikiem Moreirą Cesarem?

— Ojciec Martinez? — zapytał.

Odgadł nieufność ojca Joaquima. A więc w Canudos jest więcej księży. Wyobraził sobie, jak podsypują prochu, celują, strzelają. Przecież Kościół jest za republiką. Przecież Nauczyciela ekskomunikował arcybiskup. Przecież we wszystkich parafiach zostały odczytane listy potępiające fanatycznego heretyka i szaleńca z Canudos. Jak to jest, że księża zabijają dla Nauczyciela?

— Słyszysz ich pan? Niech pan słucha: Fanatycy! Sebastianiści! Kanibale! Anglicy! Mordercy! A kto tu przyszedł zabijać kobiety i dzieci, zarzynać ludzi? Kto zmusił do wojny trzynastoletnich i czternastoletnich chłopców? Pan tu jest, żyje pan, prawda?

Przerażenie zalało go od stóp do głów. Ojciec Joaquim wyda go na pastwę nienawiści

jaguncos.

— Pan przyszedł tu razem z Rzeźnikiem, tak czy nie? — dodał ksiądz. — A jednak dali panu dach nad głową, jedzenie, gościnę. Czy żołnierze postąpiliby tak samo z ludźmi Pedrao, Pajeu, Joao Mnicha?

Zdławionym głosem wyjąkał:

— Tak, tak, ma ksiądz słusność. Jestem księdzu bardzo wdzięczny za pomoc, ojciec Joaquimie. Przysięgam, przysięgam.

— Giną ich dziesiątki, setki — pokazał na ulicę proboszcz z Cum-be. — I za co? Za to, że wierzą w Boga, za to, że żyją według Bożego prawa. To druga rzeź niewiniątek.

Zacnie płakać, tupać nogami, tarzać się w rozpacz? Ale dziennikarz okularnik zobaczył, że ksiądz uspokaja się z wysiłkiem i siada ze spuszczoną głową, wsłuchany w strzały, modlitwy, dzwony. Nagle wydało mu się, że słyszy głos trąbki. Nieśmiało, jeszcze nie doszedłszy do siebie ze strachu, zapytał proboszcza, czy widział Juremę i Karzełka. Ksiądz przecząco potrząsnął głową. Wtem usłyszał nad sobą dźwięczny baryton:

— Byli na Świętego Piotra, pomagali stawiać barykadę.

W strzaskanym monoklu zarysowała się niewyraźnie, w otwartych drzwiach Sanktuarium, sylwetka Lwa z Natuby, który siedział lub klęczał skulony, w uwalanej ziemią koszuli, i patrzył nań swoimi wielkimi, błyszczącymi oczami. Jest tu od jakiegoś czasu, czy wszedł przed chwilą? Ten dziwny stwór, pół człowiek, pół zwierzę, peszył go do tego stopnia, że nie mógł się zdobyć na podziękowanie, wydobyć z siebie słowa. Ledwo go widział, bo ściemniło się, chociaż przez szpary w deskach przeciskał się promień rzednącego światła, które dogasało w gęstej grzywie potarganych kudłów skryby z Canudos.

— Spisywałem wszystkie słowa Nauczyciela — usłyszał jego głos, piękny i melodyjny. Zwracał się do niego, siłąc się na uprzejmość. — Jego myśli, nauki, modlitwy, prorocstwa, sny. Dla potomności. Żeby dodać nową ewangelię do Biblii.

— Tak — mruknął zmieszany dziennikarz okularnik.

— Ale nie ma już papieru ani atramentu w Belo Monte, a ostatnie pióro właśnie się złamało. Nie będę mógł uwiecznić tego, co mówi — ciągnął Lew z Natuby bez goryczy, z tą spokojną rezygnacją, jaką dziennikarz okularnik widywał u tutejszych ludzi, przyjmujących pokornie doczesne krzywdy, jakby nieszczęścia — podobnie jak deszcze, zmierzchy, przyływy i odpływy wód — były zjawiskami przyrodniczymi, przeciw którym głupota byłoby się buntować.

— Lew z Natuby jest bardzo inteligentny — mruknął ksiądz z Cum-be. — Bóg nie dał mu urody, ale obdarzył rozumem. Prawda, Lwie?

— Tak — kiwnął głową skryba z Canudos i dziennikarz okularnik, pod baczny spojrzeniem wielkich oczu, nabrał pewności, że tak jest istotnie. — Wiele razy przeczytałem brewiarz i godzinki. Naprawdę. I wszystkie czasopisma, i gazety, jakie ludzie przynosili mi dawniej w podarunku. Naprawdę. Pan też dużo czytał?

Dziennikarz okularnik czuł się tak nieswojo, że miał ochotę wybiec stamtąd, nawet w sam środek wojny.

— Przeczytałem kilka książek — odparł zażenowany. I pomyślał: „Na nic mi się to zdało”. Oto było coś, co odkrył w ostatnich miesiącach: kultura, wiedza to kłamstwo, piasek w oczy, zaćmienie umysłu. Tyle się w życiu naczytał, a nie potrafi uciec, wyzwolić się z tej pułapki.

— Wiem, co to elektryczność — powiedział Lew z Natuby z dumą. — Jeśli pan zechce, mogę pana nauczyć. A pan za to może nauczyć mnie tego, czego ja nie wiem. Znam prawo Archimedesesa i odległości między gwiazdami. Wiem, jak się mumifikuje ciała.

Nastąpiła gwałtowna seria wystrzałów z kilku stron naraz i dziennikarz okularnik spostrzegł, że wdzięczny jest wojnie za uciszenie tego stworzenia, którego głos, bliskość, istnienie wywoływały w nim głęboki niesmak. Dlaczego tak bardzo irytuje go ktoś, kto chce tylko porozmawiać, kto roztacza przed nim swoje zalety, swoje cnoty, żeby zdobyć jego sympatię? „Bo jestem do niego podobny — pomyślał — bo jesteśmy ogniwami tego samego łańcucha upokorzeń”.

Ksiądz z Cumbe podbiegł do drzwi, otworzył je i do izby wpadł kłęb wieczornego światła, które odsłoniło inne cechy Lwa z Natuby: jego ciemną skórę, wyostrzone rysy twarzy, kosmyk puszek na podbródku, stalową barwę oczu. Ale najbardziej przygnębiająca wydała mu się jego poza: twarz wciśnięta między dwa kościste kolana, garb wystający nad głową niby zarzucony na plecy tobołek, oplecione wokół nóg ręce, długie i cienkie jak odnóża pająka. Jak to możliwe, żeby ludzki kościec rozczłonkował się i powyginał w taki sposób? Ten niedorzecznie skręcony kręgosłup, te żebra, te kości... Ojciec Joaquim przekrzykiwał się z kimś na zewnątrz: było natarcie, potrzebują ludzi. Wrócił do izby i dziennikarz okularnik domyślił się, że ksiądz z Cumbe podnosi karabin.

— Szturmują barykadę przez Świętego Cypriana i Świętego Kryspina — usłyszał jego sapanie. — Idź do Świątyni Dobrego Jezusa, tam jest bezpieczniej. Zegnaj, zegnaj. Niech Matka Boska ma nas w swej opiece.

Wybiegł. Dziennikarz okularnik zobaczył, że służebniczka łapie baranka, który zaczął beczeć ze strachu. Alejandrinha Correa zapytała Lwa z Natuby, czy pójdzie razem z nią. Harmonijny głos odrzekł, że zostanie tu, w Sanktuarium. A on? A on? Zostanie z tym potworkiem? Pobiegnie za tą kobietą? Ale ona już poszła i znów zapanował półmrok w drewnianej izdebce. Skwar był straszny. Strzelanina przybierała na sile. Wyobrazził sobie, jak żołnierze przedzierają się przez szaniec z kamieni i piachu, depczą po trupach, nadchodzą ku niemu niby nurt wezbranej rzeki.

— Nie chcę umierać — burknął, czując, że nawet nie jest w stanie płakać.

— Jeśli pan chce, zawrzemy pakt — powiedział Lew z Natuby bez gniewu. — Tak jak zrobiliśmy z matką Marią Quadrado. Ale ona nie zdąży wrócić. Chce pan zawrzeć ze mną pakt?

Dziennikarz okularnik tak się trząsł, że nie mógł otworzyć ust. Przez huk wystrzałów słyszał przytłumioną, umykającą muzykę dzwonów i symetryczny chór zdrowasiek.

— Żeby nie zginąć od noża — tłumaczył Lew z Natuby. — Żeby nie poderżnęli nam gardła jak zwierzętom przy spuszczeniu krwi. Nóż ubliża godności. Rani duszę. Chce pan zawrzeć ze mną pakt? — Odczekał chwilę, a ponieważ odpowiedzi nie było, uściślił: — Kiedy usłyszymy ich pod drzwiami, kiedy będziemy pewni, że tu wejdą, pozabijamy się nawzajem. Jeden zatka drugiemu usta i nos, dopóki nie pękna nam płuca. Możemy też podusić się rękami albo rzemykami od sandałów. Zawrzemy pakt?

Strzelanina zagłuszyła głos Lwa z Natuby. W głowie dziennikarza okularnika, niby w oku cyklonu, wirowały myśli sprzeczne, przerażające, ponure, wzmagając jego trwogę. Siedzieli w milczeniu, słuchając strzałów, tupotu nóg, odgłosów zamętu. Światła ubywało szybko. Nie widział już rysów skryby, dostrzegał zaledwie jakiś skulony kształt. Nie zawrze takiego paktu, nigdy by go nie dotrzymał; usłyszawszy żołnierzy, zaczęłyby krzyczeć: jestem więźniem jaguncos, pomocy, ratunku, wiwatowałyby na cześć republiki, marszałka Floriano,

rzuciłby się na tego człekokształtnego czworonoga, skrępowałby go i wydał żołnierzom na dowód, że sam nie jest jagunco.

— Nie rozumiem, nie rozumiem, co z was za ludzie — usłyszał własny głos i złapał się za głowę. — Co tu robicie, dlaczego nie uciekliście, zanim was okrążyli, to szaleństwo czekać w pułapce na śmierć.

— Nie mamy dokąd uciekać — powiedział Lew z Natuby. — Uciekliśmy aż tutaj, tu jest nasze miejsce. Nie ma już dokąd uciekać, w Belo Monte też nas znaleźli.

Strzelanina pochłonęła jego głos. Było prawie ciemno; dziennikarz okularnik pomyślał, że dla niego zmrok zapadnie szybciej niż dla innych. Lepiej umrzeć niż spędzić jeszcze jedną taką noc jak poprzednia. Poczul nagłą potrzebę, ogromną, bolesną, biologiczną, żeby znaleźć się teraz blisko swoich towarzyszy niedoli. Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowił ich odszukać. Gramoląc się do wyjścia, krzyknął:

— Idę szukać moich przyjaciół, chcę umrzeć z moimi przyjaciółmi! — Pchnął drzwi. W twarz uderzył go chłodny podmuch; wyczuł raczej niż dojrzał w kurzawie postaci rozplaszczonych na parapecie obrońców Sanktuarium. — Przepuście mnie, przepuście mnie — błagał. — Muszę znaleźć moich przyjaciół.

— Idź — powiedział ktoś. — Teraz nie strzelają.

Zrobił kilka kroków, opierając się o barykadę i prawie natychmiast potknął się o coś miękkiego. Kiedy wstał, spostrzegł, że obejmuje jakiś szczupły kobiecy kształt, tulący się do jego ciała. Po zapachu, po szczęściu, jakie go ogarnęło, poznał, że to ona, zanim jeszcze ją usłyszał. Trwoga zamieniła się w radość, gdy obejmował tę kobietę, która oddawała mu uścisk z taką samą zachłanną rozpaczą. Czyjeś wargi przyłgnęły do jego warg, nie umknęły, odpowiedziały na jego pocałunki. „Kocham cię — bełkotał — kocham cię, kocham. Już nie boję się śmierci”. I zapytał o Karzełka, wciąż powtarzając, że ją kocha.

— Szukaliśmy cię przez cały dzień — powiedział Karzełek, przycupnięty u ich stóp. — Przez cały dzień. Jakie to szczęście, że żyjesz.

— Ja też nie boję się śmierci — szepnęły pod jego wargami wargi Juremy.

— To dom Pirotechnika! — wykrzykuje nagle generał Artur Oscar. Oficerowie, którzy składają mu raport o poległych i rannych w szturmie przerwany na jego rozkaz, spoglądają nań zbici z tropu. Generał pokazuje im kilka niedokończonych rac, zrobionych z trzciny i korków połączonych włóknem agawy, walających się na podłodze: — Robił dla nich fajerwerki.

Z ośmiu kwartałów — o ile można nazwać kwartałami tę gmatwaninę gruzu — zdobytych przez wojsko w blisko dwunastogodzinnej walce tylko ta lepianka o jednej jedynej izbie przedzielonej przepierzeniem z desek trzyma się jeszcze jakoś fundamentów. Dlatego też została wybrana na kwaterę główną. Stojący wokół ordynansi i oficerowie nie pojmują, jak dowódca sił ekspedycyjnych może mówić o fajerwerkach, kiedy dokonuje się bilansu całego dnia morderczej walki. Nie wiedzą, że sztuczne ognie są ukrytą słabostką generała Oscara, wielkim nałogiem z czasów dzieciństwa, i że w Piauf korzystał z każdej patriotycznej uroczystości, żeby zarządzić pokazy fajerwerków na koszarowym dziedzińcu. Jest tu już od półtora miesiąca i przez cały ten czas z zazdrością przypatrywał się ze szczytu Faveli kaskadom świateł nad Canudos w noc procesji. Ktoś, kto umie robić takie fajerwerki, jest mistrzem w swoim fachu i z łatwością zarobiłby na życie w każdym mieście Brazylii. Czy Pirotechnik zginął w dzisiejszej bitwie? Zastanawia się nad tym i jednocześnie słucha z uwagą liczb wymienianych przez pułkowników, majorów, kapitanów, którzy wchodzą, wychodzą, zostają w małej izdebce, pogrążonej już w mroku. Zapalają naftową lampę.

Kilku żołnierzy układa worki z piaskiem pod ścianą wychodzącą na pozycje wroga. Generał kończy obrachunek.

— Jest gorzej, niż przypuszczałem, panowie — zwraca się do wachlarza postaci. Coś ściska go w piersiach, czuje na sobie wyczekujące spojrzenia oficerów. — Tysiąc dwudziestu siedmiu poległych! Trzecia część naszych sił! Dwudziestu trzech oficerów zabitych, wśród nich pułkownicy Carlos Telles i Serra Martins. Czy panowie wiedzą, co to znaczy?

Nikt nie odpowiada, ale generał wie, że wszyscy doskonale wiedzą, że taka liczba poległych oznacza klęskę. Widzi rozczarowanie, wściekłość, zdumienie swoich podwładnych; oczy niektórych płoną.

— Jeszcze jeden szturm i koniec z nami. Czy teraz panowie rozumieją?

Bo kiedy — zaniepokojony oporem jaguncos, przeczuciem, że patrioci ponoszą zbyt wiele strat, a także ciosem, jakim była dla niego śmierć Tellesa i Serry Martinsa — generał Oscar rozkazał, żeby oddziały ograniczyły się do obrony zdobytych już pozycji, wielu z obecnych tu oficerów oburzyło się, obawiał się nawet, że niektórzy odmówią wykonania rozkazu. Jego własny adiutant, porucznik Pinto Souza z Trzeciego Batalionu Piechoty, zaprotestował: „Ależ zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki, ekscelencjo!”. Nie było. Jedna trzecia niezdolna do walki — to ogromny procent, wręcz katastrofalny, mimo zdobycia ośmiu kwartałów i mimo strat zadanych fanatykom.

Zapomina o Pirotechniku i zaczyna naradę ze sztabem. Odsyła dowódców, adiutantów i oficerów, odkomenderowanych z oddziałów szturmowych, z rozkazem utrzymania zdobytych pozycji i naprawienia barykady przeciwległej do umocnień, o które załamał się szturm. Zaczęto ją wznosić zaledwie kilka godzin temu, kiedy okazało się, że miasto się nie podda. Postanawia, że 7. Brygada, która została, żeby osłaniać rannych na Faveli, przejdzie wzmocnić „czarną linię”, nowy front działań, wbijający się klinem w samo serce gniazda samozwańców. W stożku światła naftowej lampy pochyla się nad mapą wykreśloną przez kapitana Teotonia Coriolano, sztabowego kartografa, na podstawie raportu i własnych obserwacji. Zdobyto już piątą część Canudos — trójkąt, którego boki ciągną się od tranzei Starej Fazendy, pozostającej nadal w rękach jaguncos, do cmentarza, opanowanego przez siły patriotów, które stoją tam niecałe osiemdziesiąt kroków od kościoła Świętego Antoniego.

— Front ma nie więcej niż tysiąc pięćset metrów — mówi kapitan Guimaraes, nie kryjąc rozczarowania. — Daleko nam do pełnego okrążenia. Nie zajęliśmy nawet czwartej części obwodu. Mogą wychodzić, wchodzić, odbierać zaopatrzenie.

— Nie możemy rozciągnąć frontu bez posiłków — narzeka major Carreño. — Dlaczego nas tak zostawili, ekscelencjo?

Generał Oscar wzrusza ramionami. Od dnia zasadzki, gdy dotarł do Canudos, gdy zobaczył, jak giną jego ludzie, wysyła pilne raporty z prośbami o wsparcie, szczególnie udokumentowane, przedstawiając nawet przesadnie powagę sytuacji. Dlaczego zwierzchnictwo nie przysyła posiłków?

— Gdyby zamiast trzech tysięcy było nas pięć tysięcy, Canudos dawno znalazłoby się w naszych rękach — myśli głośno jakiś oficer.

Generał zmienia temat, powiadamiając, że ma zamiar zlustrować front i nowy szpital polowy, ustawiony tego ranka w pobliżu jarów Vassa Barris, gdy tylko wyparto stamtąd jaguncos. Przed wyjściem z domu Pirotechnika wypija filiżankę kawy, tak blisko słysząc dzwony i zdrowaśki fanatyków, że wydaje się to niewiarygodne.

Mając skończone pięćdziesiąt trzy lata, jest człowiekiem wielkiej energii, męczy się

rzadko. Śledził przebieg szturmów przez lornetkę od piątej rano, kiedy oddziały zaczęły opuszczać Favelę; szedł wraz z nimi, tuż za batalionami przedniej straży, nie odpoczywając i nie biorąc do ust ani kęsa — zadowolony się kilkoma łykami ze swojej manierki. Wczesnym popołudniem zabłąkana kula zraniła żołnierza, który stał obok niego. Wychodzi z lepianki. Jest noc, niebo bez jednej gwiazdy. Szmer modlitwy ogarnia wszystko niby słowa czarów szeptane w ciemnościach, zagłusza ostatnie strzały. Generał Oscar wydaje zakaz palenia ognisk w transzei; mimo to w niespiesznym, krętym obchodzie, jakiego dokonuje w asyście czterech oficerów, krążąc po stromej, hieroglificznej barykadzie wzniesionej z gruzu, ziemi, kamieni, blachy i wszystkiego, co wpadło im w ręce, pod osłoną której rozłożyli się szeregiem żołnierze — siedzą oparci plecami o cegły, śpią pokotem, ten i ów ma jeszcze dość animuszu, żeby śpiewać albo wychyliwszy głowę zza wału, wymyślać bandytom, którzy zapewne słuchają, skuleni za swoją barykadą, w jednym sektorze oddaleni o pięć metrów, w innym o dziesięć, w innym niemal na wyciągnięcie ręki — generał natyka się na żarowniki, przy których grupki żołnierzy gotują zupę z resztek prowiantu, pieką kawałki solonego mięsa albo ogrzewają wstrząsanych dreszczami rannych, których nie można było odesłać do szpitala polowego z uwagi na ich katastrofalny stan.

Zamienia kilka słów z dowódcami kompanii, batalionów. Są wyczerpani, u wszystkich dostrzega tę samą mieszaninę zniechęcenia i pełnego zgrozy zdumienia, jakie on także odczuwa w obliczu niezrozumiałych kolei tej przeklętej wojny. Gratulując młodemu chorążemu bohaterskiej postawy w szturmie, powtarza sobie to, co mówił już tyle razy: „Przeklinam chwilę, w której przyjąłem to dowództwo”.

Kiedy siedział w Queimadas, tocząc boje z piekielnym brakiem transportu, zwierząt pociagowych i furgonów na prowiant, wskutek czego ugrzązł tam na trzy miesiące śmiertelnej nudy, generał Oscar dowiedział się, że zanim sztab wspólnie z prezydentem republiki zaproponowali mu dowództwo ekspedycji, trzech generałów w stanie czynnym odmówiło przyjęcia tej funkcji. Teraz wie, dlaczego to zrobili. W swej naiwności uznał to za wyróżnienie, podarunek losu, który złotą klamrą zepnie jego karierę. Podczas gdy ścisła dłoń i wymienia uwagi z oficerami i żołnierzami, których twarze ukrywa przed nim noc, myśli, jakim był idiotą, wierząc, że zwierzchnicy chcą go wyróżnić; wyciągnęli go z garnizonu w Piaui, gdzie tak spokojnie upływała mu blisko dwudziestoletnia służba, żeby przed emeryturą pokierował chwalebny czynem zbrojnym: zdusił monarchistyczną rebelię w bahijskim interiorze. Nie po to jednak, żeby wynagrodzić mu uporczywe pomijanie przy awansie i uznać wreszcie jego zasługi, jak powiedział swojej żonie, oznajmiając jej tę nowinę. Powierzono mu tę funkcję, bo nikt inny nie chciał pakować się w to bagno. Ta nominacja to prawdziwy koń trojański. Jasne, że tamci trzej generałowie mieli rację! Żaden zawodowy żołnierz nie był przygotowany do tej groteskowej, absurdalnej wojny, prowadzonej wbrew wszelkim regułom sztuki wojennej.

Na skraju barykady żołnierze szlachtują krowę. Generał Oscar siada w kręgu oficerów, żeby zjeść parę kęsów pieczonego mięsa. Rozmawiają o dzwonach Canudos i pacierzach, które właśnie się skończyły. Jeszcze jedno dziwactwo tej wojny: te modły, te procesje, te dzwony, te kościoły, których bandyci bronią tak zazarcie. Znowu czuje się nieswojo na myśl, że ci zwyrodniali kanibale wywodzą się z tego samego narodu co on, że są, mimo wszystko, Brazylijczykami. Ale najbardziej go drażni — jego, pobożnego katolika, który ściśle wypełnia przykazania Kościoła i ma podstawy sądzić, że odmawiano mu awansu za upór, z jakim wzbierał się przed wstąpieniem do loży masonskiej — fałszywy katolicyzm bandytów. Ta religijna ostentacja — różańce, procesje, okrzyki na cześć Dobrego Jezusa — peszy go i zasmuca, chociaż ojciec Lizzardo na wszystkich polowych mszach grzmi na bezbożników, oskarżając ich o zabobony, herezję i profanację wiary. A gdyby nawet tak było, generał Oscar nie może wyzwolić się od niepokoju w obliczu nieprzyjaciela, który zmienił tę



wojnę w coś w rodzaju religijnego sporu. Czegoś takiego się nie spodziewał. Wewnętrzne rozterki nie umniejszają jego nienawiści do tego przeciwnika, tak niezwykłego, tak nieobliczalnego, który w dodatku upokorzył go, nie załamawszy się w pierwszym starciu, jak oczekiwał, przyjmując tę misję.

Nienawiść rośnie wraz z upływem nocy, kiedy generał po obchodzie barykady idzie na przelaj w stronę szpitala polowego nad Vassa Barris. W połowie drogi stoją działa Kruppa, kaliber 7,5, które akompaniowały szturmowi niezmordowanym bombardowaniem wież siejących spustoszenie wśród żołnierzy. Generał Oscar rozmawia przez chwilę z artylerzystami, którzy mimo późnej pory sypią szańce, żeby wzmocnić pozycje.

Wizyta w szpitalu polowym na brzegu wyschniętego łożyska przynębia go; musi walczyć ze sobą, żeby nie spostrzegli tego lekarze, pielęgniarze i konający żołnierze. Wdzięczny jest, że obchód odbywa się w półmroku, bo latarnie i ogniska odsłaniają zaledwie nieznaczną część widowiska rozgrywającego się u jego stóp. Ranni leżą tu w jeszcze gorszych warunkach niż na Faveli, na glinie i żwirze, rzućni jak popadło, a od lekarzy dowiaduje się, że na domiar złego przez cały wieczór i sporą część nocy silny wiatr nawiewał chmury rdzawego pyłu w otwarte rany, których nie ma czym opatrzyć, odkazić ani zaszyć. Ze wszystkich stron dobiegają go wrzaski, jęki, płacze, bredzenie w gorączce. Wokół unosi się duszny smród. Kapitan Coriolano, idący obok niego, dostaje napadu torsji. Słyszy, jak rozplywa się w przeprosinach. Przystaje co chwila, żeby powiedzieć słowo pociechy, poklepać, uściśnąć dłoń któremuś z rannych. Gratuluje im męstwa, dziękuje w imieniu republiki za poświęcenie. Ale nagle odbiera mu mowę, bo staje nad zwłokami Carlosa Tellesa i Serry Martinsa. Pogrzebią ich, jak się rozwidni. Pierwszy zginął od postrzału w pierś, na samym początku bitwy, w trakcie przeprawy przez rzekę. Drugi poległ o zmierzchu w walce wręcz, gdy na czele swoich ludzi szturmował barykadę. Dowiaduje się, że ciało, przeszyte na wyłot ranami od sztyletu, lancy i maczety, jest wykastrowane, pozbawione uszu i nosa. W chwilach takich jak ta, kiedy słyszy, że zdolny i dzielny żołnierz sponiewierany został w podobny sposób, generał Oscar powtarza sobie, że rację mają ci, którzy każą ścinać wszystkich wziętych do niewoli sebastianistów. Usprawiedliwienie tej polityki jest w jego sumieniu dwójakiej natury: po pierwsze, chodzi o bandytów, a nie o żołnierzy, których honor nakazywałby oszczędzić; po drugie — brak prowiantu nie pozostawia wyboru: większym okrucieństwem byłoby zagłodzić ich na śmierć, a odbieranie żywności patriotom, żeby karmić zwyrodniałców zdolnych czynić to, *co* uczynili z tym oficerem, byłoby absurdem.

Kończąc obchód, przystaje nad jakimś nieszczęsnym żołnierzem, przytrzymywanym przez dwóch pielęgniarzy, którzy amputują mu nogę. Chirurg, przykucnąwszy, piłuje kość; generał słyszy, jak prosi, żeby otarli mu pot z oczu. Ale tak czy inaczej niewiele może zobaczyć w blasku roztańczonego wiatrem ogniska. Wreszcie chirurg wstaje, a generał poznaje w nim młodego paulistańczyka, Teotonia Leala Cavalcanti. Wymieniają saluty. W drodze powrotnej prześladowa go wychudzona, udręczona twarz studenta, którego poświęcenie wychwalają jego koledzy i pacjenci. Kilka dni temu w namiocie dowództwa stawił się młody, nieznajomy chłopak i oświadczył: „Zabiłem swojego najlepszego przyjaciela. Proszę o stosowną karę”. Przy rozmowie obecny był adiutant generała, porucznik Pinto Souza. Zsiniał na twarzy, dowiedziawszy się, kim był oficer, któremu Teotonio z litości strzelił w skroń. Generał zadrzał na wspomnienie tej sceny. Teotonio Leal Cavalcanti łamiącym się głosem opowiedział, w jakim stanie znajdował się porucznik Pires Ferreira — ślepy, bez rąk, okaleczony na ciele i duszy — i jak błagał go, żeby położył kres jego męczarniom. Zwierzył się też z dręczących go wyrzutów sumienia. Generał Oscar kazał mu zachować całkowite milczenie i kontynuować czynności, jakby nic nie zaszło. Po zakończeniu działań podejmie decyzję w jego sprawie.

W domu Pirotechnika, już w hamaku, otrzymuje raport porucznika Pinto Souzy, który właśnie powrócił z Faveli. 7. Brygada będzie tu o pierwszej, żeby wzmocnić „czarną linię”.

Przespawszy pięć godzin, rankiem czuje się wypoczęty, pełen animuszu; popija kawę, przegryzając sucharami z kukurydzianej mąki, które są największym skarbem jego spiżarni. Na całej linii frontu panuje niezwykła cisza. Lada chwila pojawią się bataliony 7. Brygady. Generał wydaje bateriom kruppów rozkaz ostrzeliwania wież, żeby osłonić oddziały przecinające otwarte pole. Od pierwszych dni oblężenia molestuje zwierzchników, żeby razem z posiłkami przysłali mu pociski, siedemdziesiątki ze stalową główką, które wyprodukowano w Casa de la Moneda w Rio do walki z okrętami zbuntowanymi 6 sierpnia. Dlaczego nie odpowiadają? Wyjaśnił przecież, że szrapnele i pociski wypełnione benzyną nie wystarczą, żeby zburzyć te przeklęte wieże z litej skały. Dlaczego udają głuchych?

Dzień upływa w spokoju, przerywanym sporadyczną strzelaniną. Generał Oscar od rana rozdziela świeżych ludzi z 7. Brygady wzdłuż „czarnej linii”. Na naradzie w sztabie ostatecznie zapada decyzja odłożenia następnego szturmu do czasu nadejścia posiłków. Będą prowadzić wojnę pozycyjną, próbując posuwać się stopniowo naprzód prawą flanką — na pierwszy rzut oka najsłabszym punktem Canu-dos — atakując częścią sił, żeby oszczędzić żołnierzy. Postanawiają też, że do Monte Santo wyruszy konwój i zabierze tych rannych, którzy będą w stanie przetrzymać podróż.

W południe, kiedy grzebią pułkowników Carlosa Tellesa i Serrę Martinsa, w pobliżu rzeki, w jednej mogile o dwóch krzyżach, generał dostaje niepomysłną wiadomość: przed chwilą zabłąkana kula raniła w biodro pułkownika Neri, gdy udał się za potrzebą w jedno z rozwidleń „czarnej linii”.

Tej nocy budzi go silny ogień. Jaguncos zaatakowali dwa stojące na otwartym terenie działa Kruppa 7,5. Trzydziesty Drugi Batalion Piechoty przechodzi wesprzeć artylerzystów. Jaguncos przekroczyli „czarną linię” w ciemności, pod nosem wartowników. Zacięta walka trwa dwie godziny. Śmiertelność jest znaczna: ginie siedmiu żołnierzy, pięciu odnosi rany, wśród nich jeden chorąży. Ale jaguncos mają pięćdziesięciu zabitych, a siedemnastu wzięto do niewoli. Generał idzie ich zobaczyć.

Nadchodzi świt, kontury wzgórz powleka błękitna poświata. Wiatr jest tak zimny, że generał Oscar nakrywa się pledem, szybkim krokiem przecinając otwartą przestrzeń. Kruppy są, na szczęście, całe. Ale zjadłość jaguncos i śmierć towarzyszy tak rozwścieczyły artylerzystów i piechurów, że generał Oscar zastaje więźniów ledwie żywych od ciosów. Są bardzo młodzi, niektórzy to jeszcze dzieci, dostrzega wśród nich dwie kobiety; wszyscy wychudzeni jak szkielety. Generał Oscar może naocznie przekonać się o tym, co zgodnie zeznają wszyscy jeńcy: w obozie bandytów panuje straszliwy głód. Mówią mu, że strzelały kobiety i dzieci; mężczyźni usiłovali zniszczyć działa dzidami, maczugami, kijami, młotami albo zapchać je piachem. Pomyślny objaw: już drugi raz tego próbują, kruppy wyrządzają im szkody. Kobiety i dzieci noszą niebieskie chusty. Oficerowie nie posiadają się z oburzenia w obliczu podobnego barbarzyństwa: wysyłanie do walki dzieci i kobiet wydaje im się szczytem ludzkiej podłości, urąga sztuce i etyce wojny. Na odchodnym generał Oscar słyszy, jak jeńcy, zrozumiałwszy, że zostaną straceni, wiwatują na cześć Dobrego Jezusa. Tak, trzej generałowie, którzy odmówili udziału w ekspedycji, wiedzieli, co robią; przewidywali, że wojowanie z kobietami i dziećmi, które umierają z imieniem Jezusa na ustach, nie może radować żołnierzy. Na języku czuje gorzyc, jakby żuł tytoń.

Na „czarnej linii” dzień upływa monotonnie, będąc zapowiedzią tego, co — myśli generał Oscar — do chwili nadejścia posiłków stanie się codzienną rutyną: sporadyczna wymiana strzałów między barykadami, które stoją naprzeciw siebie, zawile i groźne; wzajemne obelgi miotane przez ludzi bez twarzy; artyleryjski ostrzał kościołów i

Sanktuarium, krótkotrwały z powodu braku amunicji. Nie mają praktycznie nic do jedzenia. Zostało zaledwie dziesięć sztuk bydła w zagrodzie zabezpieczonej na tyłach Faveli oraz kilka worków kawy i zboża. Racje żywności, i tak znikome, zmniejsza do połowy.

Ale jeszcze tego samego popołudnia generał Oscar otrzymuje zdumiewającą wiadomość: jakaś rodzina jaguncos przedostała się do obozowiska na Faveli i dobrowolnie oddała w ręce żołnierzy. Coś takiego zdarza się po raz pierwszy od początku kampanii. Czuje się pokrzepiony na duchu. Demoralizacja i głód muszą już podkopywać morale bandytów. Na Faveli osobiście przesłuchuje jeńców: trzech rozsypujących się staruszków, jedno małżeństwo i kilkoro rachitycznych dzieci o wzdętych brzuskach. Są z Ipueiras; szcękając zębami z przerażenia, zaklinają się, że znaleźli się w Canudos dopiero półtora miesiąca temu. Schronili się tam nie jako wyznawcy Nauczyciela, ale ze strachu, kiedy dowiedzieli się, że nadchodzi wielkie wojsko. Skłamali, że idą kopać transzeje u wylotu drogi do Cocorobó, co faktycznie robili aż do wczoraj, kiedy to korzystając z nieuwagi Pedrao, uciekli. Cały dzień zajęła im okrzęzna droga na Favelę. Odpowiadają generałowi Oscarowi na wszelkie pytania dotyczące sytuacji w bandyckim gnieździe, malują posępny obraz oblężonego miasta, gorszy jeszcze od tego, co przypuszczał — głód, ranni i zabici leżący na ulicach, powszechna panika — i zapewniają, że ludzie by się poddali, gdyby nie cangaceiros Joao Wielki, Joao Mnich, Pajeti i Pedrao, którzy zagrozili, że zabiją całą rodzinę każdego, kto będzie próbował dezercji. Ale generał nie bierze dosłownie tego, co mówią: są tak przerażeni, że zeznaliby każdą bzdurę, żeby wzbudzić jego współczucie. Każe zamknąć ich w zagrodzie z bydłem. Życie wszystkich, którzy idąc za ich przykładem, poddadzą się, zostanie oszczędzone. Wśród oficerów również panuje optymizm; niektórzy przepowiadają, że gniazdo rebelii upadnie z powodu wewnętrznego rozkładu, zanim przybędą posiłki.

Lecz nazajutrz wojsko ponosi dotkliwą stratę. Półtorej setki sztuk bydła, pędzonego z Monte Santo, wpada w ręce jaguncos w najgłupszy sposób. Z nadmiaru ostrożności, żeby nie paść ofiarą zwerbowanych w sertonie tropicieli, którzy w razie zasadzki prawie zawsze okazywali się współnikami wroga, oddział lansjerów prowadzący konwój kierował się wyłącznie mapami sporządzonymi przez wojskowych inżynierów. Szczęście im nie sprzyjało. Zamiast pójść na Rosario i Umburanas drogą, która wychodzi na Favelę, zbaczają ku Cambaio i Tabolerinho, wprost na transzeje jaguncos. Walczą mężnie, unikają wycięcia w pień, ale tracą wszystkie krowy, które fanatycy z pośpiechem zaganiają biczami do Canudos. Z Faveli generał Oscar ogląda przez lornetkę niezwykle widowisko: tuman kurzu i zgiełk, jaki podnosi grupka jeźdźców, wpadając pędem do Canudos wśród gromkich okrzyków radości. W napadzie furii, jakiej nie zwykł ulegać, publicznie oskarża oficerów z oddziału, który pozwolił odebrać sobie stado. Ta klęska będzie plamą na jego karierze! Żeby ukarać jaguncos za szczęśliwy traf, jaki oddał w ich ręce sto pięćdziesiąt sztuk bydła, nakazał zdwoić ogień.

Ponieważ problem wyżywienia przybiera rozmiary krytyczne, generał Oscar, naradziwszy się ze sztabem, wysłał 27. Batalion Piechoty i oddział lansjerów — złożony z gauców, którzy nigdy nie utracili sławy wielkich poganiaczy bydła — w celu zdobycia żywności „obojętnie skąd i jakim sposobem”, głód bowiem zaczyna podkopywać siły i morale w szeregach. Lansjerzy wracają o zmroku z dwudziestoma sztukami bydła, a generał nie pyta, jak i gdzie je zdobyli; zwierzęta natychmiast idą pod nóż, mięso zostaje rozdzielone między Farcie i „czarną linię”. Generał i jego adiutanci wydają dyspozycje, żeby polepszyć łączność między obozami i frontem. Żołnierze wytyczają bezpieczne przejścia obsadzone stanowiskami obserwacyjnymi, wzmacniają barykadę. Ze swą zwykłą energią generał przygotowuje odjazd rannych. Każe sporządzić nosze i kule, naprawić wozy sanitarne i spisać listę tych, którzy pojedą.

Śpi tej nocy w swoim namiocie na Faveli. Następnego ranka, jedząc śniadanie złożone

z kawy i kukurydzianych sucharów, spostrzega, że pada deszcz. Z otwartymi ustami spogląda na cud. Z nieba leje się prawdziwy potop, świszczący wiatr nawiewa i rozwiewa trąby mętnej wody. Kiedy wychodzi, żeby skapać się w strugach ulewy, widzi rozradowany, że całe obozowisko w uniesieniu tapla się w błocie. To pierwszy deszcz od wielu miesięcy, prawdziwe błogosławieństwo po tygodniach piekielnego upału i suszy. Wszyscy zbierają drogocenny płyn w co tylko mają pod ręką. Przez lornetkę usiłuje dojrzeć, co dzieje się w Canudos, ale gęsty opar przesłania nawet wieże. Deszcz nie trwa długo, po kilku minutach znów pojawia się podnoszący kłęby kurzu wiatr. Myślał często, że kiedy wojna się skończy, jego pamięć zachowa niezatarte wspomnienie tych podmuchów, przygniatających, nieustannych, od których ścisła w skroniach. Ściągając buty, żeby ordynans oczyścił je z błota, porównuje smutek tego krajobrazu bez zieleni, bez jednego choćby ukwieconego krzaka, z roślinną obfitością Piaui.

— Któż by przypuszczał, że zatęsknię za moim ogrodem — wyznaje porucznikowi Pinto Souzie, który przygotowuje rozkaz dzienny. — Nigdy nie rozumiałem namiętności mojej żony do kwiatów. Pielęła i podlewała je przez cały dzień. Tak pieściła się z tym ogródkiem, że aż mi się to wydawało chorobliwe. Teraz, kiedy patrzę na to pustkowie, rozumiem ją.

Przez resztę poranka, podczas odprawy podwładnych, powraca myślami do kurzawy, która osłepia i dławi. Nawet wewnątrz namiotu nie sposób uwolnić się od tej męki. „Albo jemy kurz z pieczenia, albo pieczeń z kurzem. I zawsze przyprawioną muchami”, myśli.

O zmroku strzelanina przerywa te rozważania. Oddział jaguncos wyskakuje jak spod ziemi — jakby wykopali tunel pod „czarną linią” — wprost na barykadę. Nagły atak zaskakuje żołnierzy, którzy uciekają w popłochu, ale w godzinę później jaguncos zostają odparci z wielkimi stratami. Generał Oscar i oficerowie dochodzą do wniosku, że akcja miała na celu osłonięcie tranzei Starej Fazendy. Wszyscy są zgodni, że należy zająć je czym prędzej, aby zmusić bandyckie gniazdo do rychłej kapitulacji. Generał Oscar przenosi na „czarną linię” trzy szybkostrzelne działa z Faveli.

Tego dnia gauczowie wracają do obozu z trzydziestoma sztukami bydła. Wojsko urządza sobie ucztę, która wszystkim poprawia humor. Generał Oscar przeprowadza inspekcję obydwóch szpitali polowych, gdzie kończą się przygotowania do transportu chorych i rannych. Żeby uniknąć rozdzierających scen podczas odjazdu, postanawia, że dopiero w ostatniej chwili zostaną podane nazwiska tych, którzy pojedą.

Po południu wzburzeni artylerzyści pokazują mu cztery skrzynie z pociskami do kruppów, znalezione przez jeden z patroli na trakcie Umburanas. Są w doskonałym stanie i generał Oscar zezwala na akcję, którą porucznik Macedo Soares, odpowiedzialny za działa na Faveli, nazywa „fajerwerkiem”. Siedząc obok żołnierzy obsługujących działa, jak oni zatkawszy sobie uszy watą, generał obecny jest przy wystrzeliwaniu sześćdziesięciu pocisków, wymierzonych w serce oporu zdrajców. Przez tuman kurzu wzniecony wybuchami chciwie wpatruje się w wyniosłe bryły szczelnie nabitych fanatykami wież. Mimo że wyszczerbione i podziurawione, wytrzymują atak. Jakim cudem stoi jeszcze dzwonnica kościoła Świętego Antoniego, dziurawa jak sito i bardziej krzywa niż słynna wieża w Pizie? Przez cały czas czeka niecierpliwie chwili, kiedy zobaczy, jak ta wieżyczka rozpada się w gruzy. Bóg powinien udzielić mu tej łaski i zaszczepić w jego duszy choć odrobinę zapału. Ale wieża nie chce runąć.

Następnego ranka od świtu jest na nogach, żeby pożegnać rannych. W konwoju pojedzie sześćdziesięciu oficerów i czterystu osiemdziesięciu żołnierzy, wszyscy, którzy zdaniem lekarzy są w stanie dotrzeć do Monte Santo. Znajduje się wśród nich dowódca drugiej kolumny, generał Savaget. Postrzał w brzuch utrzymuje go w przymusowej

bezczyrności od dnia, w którym dotarł na Favelę. Generał Oscar cieszy się z jego odjazdu, bo chociaż łączą ich serdeczne stosunki, czuje się nieswojo w obecności człowieka, bez którego pomocy, tego jest pewien, pierwsza kolumna zostałaby wycięta w pień. Zręczność taktyczna, z jaką udało się bandytom zaprowadzić go prosto na rzeź, skłania generała Oscara, mimo braku innych dowodów, do myśli, że jaguncos istotnie mogą korzystać z rad oficerów-monarchistów, a może i Anglików, chociaż na sztabowych naradach dawno już nie mówiono o podobnej możliwości.

Pożegnanie odjeżdżających z tymi, którzy zostają, przebiega spokojnie, bez rozdzierających szlochów i protestów, czego tak się obawiał. Wszystko odbywa się w atmosferze uroczystej powagi. Jedni i drudzy obejmują się w milczeniu, przekazują wiadomości dla swoich bliskich, starają się ukryć łzy, nawet jeśli płaczą. Polecił wydać wszystkim wyjeżdżającym czterodniowe racje żywności, ale pustki w magazynach zmuszają go do zaopatrzenia ich w prowiant, który wystarczy zaledwie na jeden dzień. Razem z rannymi wyrusza oddział gauczów lansjerów, żeby zapewnić żywność dla konwoju. W eskorcie pójdzie też 33. Batalion Piechoty. Kiedy widzi, jak oddalają się w świetle wstającego dnia, powolni, wynędzniali, wygłodniali, w zniszczonych mundurach, wielu boso, mówi sobie, że ci, którzy nie padną w drodze, dotrą do Monte Santo w znacznie gorszym stanie; być może wówczas generalicja zrozumie, jak krytyczna jest sytuacja, i przyśle posiłki.

Odjazd konwoju pozostawia klimat melancholii i smutku w obozowiskach na Faveli i na „czarnej linii”. Morale wojska spadło z braku żywności. Ludzie urządzają polowania na grzechotniki i psy, a nawe! pieką mrówki, żeby oszukać głód.

Wojna ogranicza się do wymiany pojedynczych strzałów między wrogimi barykadami. Walczące strony śledzą spoza wałów ruchy przeciwnika. Gdy tylko dostrzegą zarys sylwetki, głowę, ramię, otwierają ogień. Trwa to zaledwie kilka sekund, po czym znów zapada cisza, będąca odbiciem oglupiającego, hipnotycznego marazmu, a zakłócana jedynie przez zbłąkane kule, które sypią się z wież i Sanktuarium na zrujnowane domy zajęte przez żołnierzy; przebijają liche ściany z palików i błota, często raniąc lub zabijając uspiomych.

Tego wieczoru, w domu Pirotechnika, generał Oscar gra w karty z porucznikiem Pinto Souza, pułkownikiem Neri, który kuruje się ze swojej rany, i dwoma kapitanami ze sztabu. Siedzą na skrzyżowaniach w świetle naftowej lampy. W pewnej chwili wybucha dyskusja na temat Antonia Nauczyciela i bandytów. Jeden z kapitanów, pochodzący z Rio, mówi, że fenomen Canudos wyjaśnić można krzyżowaniem się ras, tą mieszaniną czarnych, Indian i Portugalczyków, która zaowocowała powolną degeneracją istoty ludzkiej, co doprowadziło do powstania mentalności niższej, podatnej na zabobon i fanatyzm. Pułkownik Neri zaciekle zwalcza ten pogląd. Przecież w innych stronach Brazylii także dochodziło do krzyżowania się ras, a podobne zjawiska nie występowały. On uważa, tak jak pułkownik Moreira Cesar, którego podziwia i czci, że Canudos jest dziełem wrogów republiki, monarchistów, byłych właścicieli niewolników, całej tej uprzywilejowanej kasty; to oni podburzyli i otumanili tych biednych, ciemnych ludzi, wpoili im nienawiść do postępu. „Nie rasa, lecz ignorancja jest wyjaśnieniem Canudos”, stwierdza.

Generał Oscar, który z zainteresowaniem śledzi rozmowę, czuje się zakłopotany, kiedy pytają go o zdanie. Waha się. Tak, mówi wreszcie, ignorancja pozwoliła arystokratom sfanatyzować tych nędzarzy i rzucić ich do walki z tym, co zagrażało jej własnym interesom, bo republika gwarantuje równość ludzi, co stoi w sprzeczności z przywilejami wrodzonymi ustrojowi arystokratycznemu. Ale czuje wewnętrzny opór wobec własnych słów. Kiedy inni wychodzą, zostaje sam, rozmyślając w hamaku. Jak wyjaśnić Canudos? Krwawe piętno caboclos? Zdziczenie nieokrzeseanego ludu? Skłonność do barbarzyństwa, właściwa ludziom nawykłym do przemocy, którzy atawistycznie opierają się cywilizacji? Czy to ma coś

wspólnego z religią, z Bogiem? Nie zadowalała go żadne rozwiązanie.

Nazajutrz, kiedy goli się, bez lusterka i mydła, fryzjerską brzytwą, którą sam ostrzy na kamieniu, słyszy galop. Wydał rozkaz, żeby z Faveli na „czarną linię” przemieszczano się pieszo, bo jeźdźcy są zbyt łatwym celem dla strzelców z wież; wychodzi, żeby skarcić lekkomyślnych podwładnych. Słyszy wiwaty i okrzyki „hurra!”. Trzej jeźdźcy bez szwanku przemierzają otwarte pole. Oficer w stopniu porucznika zsiada z konia i stuka obcasami; przedstawia się jako dowódca plutonu zwiadowców posiłkowej Brygady Girarda, której przednia straż nadejdzie za parę godzin. Dodaje, że cztery tysiące pięciuset żołnierzy z dwunastu batalionów generała Girarda z niecierpliwością oczekuje chwili, kiedy generał Oscar weźmie ich pod swoje rozkazy, żeby rozgromić wrogów republiki. Nareszcie. Nareszcie, dla niego i dla Brazylii, skończy się koszmar Canudos.

## **Rozdział V**

— Jurema? — powiedział baron ze zdziwieniem. — Jurema z Calumbi?

— Działo się to owego straszliwego sierpnia — zmienił temat dziennikarz okularnik. — W lipcu jaguncos bronili się jeszcze wewnątrz miasta. Ale w sierpniu przybyła Brygada Girarda. Pięć tysięcy ludzi więcej, dwanaście batalionów więcej, tysiące karabinów więcej, dziesiątki armat więcej. I obfitość jedzenia. Czy mogli mieć jakąś nadzieję?

Ale baron go nie słuchał.

— Jurema? — powtórzył. Spostrzegł radość na twarzy gościa, który wymigiwał się, uszczęśliwiony, od odpowiedzi. Spostrzegł też, że ta radość i szczęście spowodowane były tym, że on wymawia jej imię, że zdołał go zaciekawić i że teraz baron sam będzie starał się skłonić go do rozmowy o tej kobiecie. — Żona Rufina, tego tropiciela z Queimadas?

I tym razem dziennikarz okularnik nie odpowiedział na jego pytanie.

— Poza tym, w sierpniu minister wojny, marszałek Carlos Machado Bittencourt, przybył osobiście z Rio, żeby ostatecznie zakończyć tę kampanię — ciągnął, rozbawiony jego niecierpliwością. — Tego tam nie wiedzieliśmy. Że marszałek Bittencourt zatrzymał się w Monte Santo, zorganizował transport, zaopatrzenie, szpitale. Nie wiedzieliśmy, że na Queimadas i Monte Santo spadł deszcz żołnierzy ochotników, lekarzy ochotników, pielęgniarek ochotniczek. Ze sam marszałek wysłał Brygadę Girarda. To wszystko działo się w sierpniu. Było tak, jakby niebiosa otworzyły się, żeby spuścić kataklizm na Canudos.

— A pan, w oku cyklonu, był szczęśliwy — mruknął baron. Tak właśnie wyraził się okularnik. — To ta sama?

— Tak. — Baron zauważył, że nie skrywa już tego szczęścia, które zapierało mu dech, tamowało głos. — Dobrze, że pan ją wspomina. Bo ona często wspomina pana i pańską małżonkę. Serdecznie, z uwielbieniem.

A więc to jednak ta sama: wysmukła, śniada dziewczuszka, która dorastała w Calumbi, usługując Esteli, a którą potem oboje wydali za przyzwoitego i pracowitego człowieka, jakim, był wówczas Rufino. Nie mieściło mu się w głowie. To polne zwierzątko, ta wsiowa tru-sia, która mogła zmienić się tylko na gorsze, odkąd opuściła salony Esteli, także została wplątana w losy człowieka, którego miał przed sobą. Bo dziennikarz wypowiedział, ni mniej, ni więcej, tylko te niepojęte słowa: „Ale akurat wtedy, kiedy zaczął się walić świat i nastąpiło apogeum grozy, ja, chociaż wyda się to panu niewiarygodne, zacząłem być szczęśliwy”. Znowu zawładnęło baronem uczucie nierealności, snu, fikcji, w jakim zwykło pogrążyć go Canudos. Te zbiegi okoliczności, przypadki i związki sprawiały, że siedział teraz jak na rozżarzonych węglach. Czy dziennikarz wie, że Galileo Gall zgwałcił Juremę? Nie pytał go o to, czuł jakiś

niepokój na myśl o dziwnej geografii przypadku, o tym tajemnym ładzie, o tym nieprzeniknionym prawie historii, ludów i jednostek, które zbliżało, oddalało, skłócało i sprzymierzało kapryśnie jednych z drugimi. I rzekł sobie, że to niemożliwe, aby to ubogie dziecko sertonu mogło w ogóle przypuścić, że wywróci do góry nogami życie ludzi tak różnych jak Rufino, Galileo Gall i ten strach na wróble, który teraz uśmiecha się, pochłonięty bez reszty jej wspomnieniem. Poczuł, że chciałby ją znowu zobaczyć; być może baronowej dobrze by zrobił widok tej dziewczyny, którą niegdyś tak lubił. Przypomniał sobie, że z tego samego powodu Sebastiana darzyła ją tłumioną niechęcią i z ulgą patrzyła, jak Jurema odchodzi z Queimadas u boku tropiciela.

— Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się w tej chwili usłyszeć słów o miłości, o szczęściu — mruknął, wierząc się w fotelu. — A tym bardziej w związku z Juremą.

Dziennikarz znowu zaczął mówić o wojnie.

— Ciekawe, dlaczego nazwali się Brygadą Girarda? Z tego, co mi teraz wiadomo, noga generała Girarda nigdy nie postąpiła w Canudos. Jeszcze jedna osobliwość tej najdziwniejszej z wojen. Sierpień zaczął się od przybycia dwunastu świeżych batalionów. Do Canudos wciąż napływali nowi ludzie: spieszyli się, bo wiedzieli, że teraz, kiedy przyszło więcej wojska, okrążenie zostanie ostatecznie zamknięte. I że potem już nie będzie można wejść! — Baron usłyszał jeden z jego niedorzecznych chichotów, egzotycznych, wymuszonych; usłyszał, jak powtarza: — Nie, że nie będzie można wyjść, proszę mnie dobrze zrozumieć. Oni się obawiali, że nie będzie można wejść. To był dla nich wielki problem. Nie obchodziło ich, że umrą, ale chcieli umrzeć tam, w Belo Monte.

— A pan był szczęśliwy... — powiedział baron. Czy przypadkiem nie jest jeszcze bardziej zbzikowany niż zwykle? Czy to wszystko nie jest jedną wielką bujdą?

— Widzieli, jak nadchodzą, rozpościerają się na wzgórzach, zajmują, jedną po drugiej, drogi łączące Canudos ze światem. Armaty grzmiały dwadzieścia cztery godziny na dobę, z północy, z południa, ze wschodu, z zachodu. Ale ponieważ byli za blisko i mogli pozabijać się nawzajem, ograniczali się do ostrzału wież. Bo wieże jeszcze stały.

— Jurema?! Jurema?! — wykrzyknął baron. — Ta dziewczyszyna dała panu szczęście, odmieniła pańską duszę, zrobiła z pana jagunco?

Za grubymi szklami, jak ryby w akwarium, krótkowzroczne oczy poruszyły się, zamrugały. Jest późno, siedzi tu już tyle godzin, powinien wstać, zapytać o Estelę; odkąd wydarzyła się ta tragedia, nie rozstawał się z nią na tak długo. A jednak wciąż czekał z dreszczykiem niecierpliwości.

— Chodzi o to, że ja już się z tym pogodziłem — usłyszał ledwie słyszalny szept.

— Ze śmiercią? — powiedział baron, wiedząc, że nie śmierć ma na myśli jego gość.

— Z tym, że nie będę kochał, że nie będę kochany przez żadną kobietę — domyślał się jego słów, jeszcze cichszych niż poprzednio. — Że jestem brzydki, że jestem nieśmiały, że nigdy nie będę trzymał w ramionach kobiety, która nie zażąda za to zapłaty.

Baron ze zdumienia omal nie zerwał się z fotela. Niby błyskawica przebiegła mu przez głowę myśl, że w tym gabinecie, w którym odsłonięto tyle tajemnic, uknuto tyle spisków, nikt nigdy nie uczynił tak nieoczekiwanego i zaskakującego wyznania.

— Pan tego nie zrozumie — powiedział dziennikarz okularnik, jak by go oskarżał. — Pan na pewno zaznał miłości do syta. Musiało pana kochać wiele kobiet, podziwiałały pana, oddawały się panu. Pan na pewno mógł wybrać swoją piękną małżonkę spośród innych pięknych kobiet, które tylko czekały pana zgody, żeby rzucić się w pańskie ramiona. Pan nie

może zrozumieć, co dzieje się w sercu kogoś, kto nie jest pociągający, wytworny, uwielbiany, bogaty jak pan. Pan nie może zrozumieć, co to znaczy wiedzieć, że jest się odpychającym i śmiesznym w oczach kobiet, odrzuconym, pozbawionym miłości i rozkoszy. Skazanym na dziwki.

„Miłość, rozkosz”, pomyślał baron, zakłopotany: dwa niepokojące słowa, dwa meteory w nocy jego życia. Wydało mu się świętokradztwem, że te piękne, zapomniane wyrazy pojawiły się na ustach tego śmiesznego osobnika, skulonego w fotelu jak czapla, z jedną nogą zaplecioną wokół drugiej. Czy to nie komiczne, groteskowe, że ta cwana sikorka z sertonu rozkochała w sobie człowieka, było nie było, cywilizowanego, sprawiła, że rozprawia tu teraz o miłości i rozkoszy? A przecież te dwa słowa przywodzą na myśl zbytek, wyrafinowanie, wrażliwość, elegancję, rytuały i giętkość wyobraźni wyćwiczonej przez lektury, podróże, wykształcenie. Jak to pogodzić z Juremą z Calumbi? Pomyślał o baronowej i rana w piersi rozjątrzyła się na nowo. Z wysiłkiem powrócił do rozmowy z dziennikarzem; w kolejnym nagłym zwrocie mówił znowu o wojnie:

— Skończyła się woda — ciągnął zadziornym tonem. — Cała woda dla Canudos pochodziła ze źródeł Starej Fazendy, kilku studni nad Vassa Barris. Zrobili tam transzeje i bronili ich zębami i pazurami. Ale nawet Pajeu nie mógł powstrzymać pięciu tysięcy świeżego żołnierza. I wtedy skończyła się woda.

Pajeu? Baron drgnął. Oto indiańska, żółtawoblada twarz, blizna zamiast nosa, oto głos oznajmiający ze spokojem, że w imieniu Ojca spali Calumbi. Pajeu, wcielenie zła i głupoty, których ofiarą padła Estela.

— Tak, Pajeu — powiedział okularnik. — Nienawidziłem go. I bałem się go bardziej niż kul żołnierzy. Kochał się w Juremie. Wystarczyło, żeby ruszył palcem, i odebrałby mi ją, a mnie samego zgładził.

Wybuchnął znowu krótkim, piskliwym, nerwowym śmiechem, zakończonym kilkoma świszczącymi kichnięciami. Baron, nie zwracając nań uwagi, również oddawał się uczuciu nienawiści do tego fanatyka, tego bandyty. Co się stało ze sprawcą tej niewybaczalnej zbrodni? Bał się pytać, bał się usłyszeć, że ocalał. Dziennikarz powtarzał słowo „woda”. Z trudem odrywał się od swoich myśli, ledwie docierało do niego, co tamten mówi. Ach, tak, źródła nad Vassa Barris. Świetnie znał te studnie, rozrzucone wzdłuż koryta rzeki, do których spływała woda wylewów i które były poiskiem ludzi, ptaków, kóz i krów przez długie miesiące, a nieraz i lata, kiedy wysychała Vassa Barris. A Pajeu? A Pajeu? Zginął w walce? Schwytali go? Miał to pytanie na końcu języka i go nie zadał.

— Te sprawy trzeba zrozumieć — dziennikarz okularnik mówił teraz z przekonaniem, z energią, z gniewem. — Ja oczywiście niewiele widziałem. I też nie mogłem tego zrozumieć.

— O czym pan mówi? — powiedział baron. — Zamyśliłem się, straciłem wątek.

— O kobietach. I o dzieciach — odburknął. — Tak je nazywali. Dzieciaki. Kiedy żołnierze zajęli źródła, chodziły razem z kobietami, nocą, próbowały wykraść parę blaszanek wody, żeby jaguncos mogli dalej walczyć. One, tylko one. To samo z tymi obrzydliwymi odpadkami, które nazywali jedzeniem. Słyszysz mnie pan?

— Mam się dziwić? — powiedział baron. — Zdumiewać?

— Ma pan próbować zrozumieć — mruknął dziennikarz okularnik. — Kto wydawał te polecenia? Nauczyciel? Joao Mnich? Antonio Vilanova? Kto zadecydował, że tylko kobiety i dzieci mają się czołgać do Starej Fazendy, żeby wykraść wodę? Wiedzieli, że przy źródłach czekają żołnierze, że będą strzelać do nich bez przeszkód, wiedzieli, że na dziesięcioro wracało dwoje lub jedno. Kto zadecydował, że mężczyźni nie powinni próbować tej niższej



formy samobójstwa, im bowiem przysługiwała forma wyższa, przywilej śmierci w walce? — Baron spostrzegł, że znowu szuka jego wzroku, spłoszony, niespokojny. — Przypuszczam, że ani Nauczyciel, ani żaden z przywódców. To były decyzje spontaniczne, jednomyślne, anonimowe. Gdyby było inaczej, nie przestrzegaliby ich, nie szliby na rzeź z takim przekonaniem.

— To fanatycy — rzekł baron, świadom pogardy brzmiącej w jego głosie. — Fanatyzm często popycha ludzi do takich postępów. Bohaterstwo nie zawsze jest owocem wielkich, wzniosłych idei. Czasami motorem bywa zabobon, ciasnota umysłowa, zwykła głupota.

Dziennikarz okularnik spojrział na niego; czoło miał mokre od potu, wydawało się, że szuka ostrej repliki. Baron pomyślał, że zaraz usłyszy jakąś impertynencję, ale tamten tylko potrząsał głową, jakby chciał coś z siebie zrzucić.

— To był oczywiście doskonały sport dla żołnierzy, urozmaicenie nudy obozowego życia — powiedział. — Zaczaić się na Starej Fazendzie i czekać, aż światło księżyca ukaże im cienie, które pelzły, żeby nabrać trochę wody. Słyszeliśmy strzały, brzęk dziurawionych blaszanek, garnków, kubków. Przy źródłach dzień wstawał pełen trupów i ciężko rannych. Ale, ale...

— Ale pan nic z tego nie widział — uciął baron. Podniecenie rozmówcy irytowało go do głębi.

— Jurema i Karzelek widzieli — ciągnął dziennikarz okularnik. -Ja słyszałem. Słyszałem kobiety i dzieci wyruszające na Starą Fazendę z blaszankami, puszkami, dzbankami, butelkami, żegnające się z mężami i ojcami, słyszałem, jak błogosławią się na drogę, umawiają na spotkanie w niebie. I słyszałem, co się działo, kiedy udało im się wrócić. Puszka, wiadro, dzban były nie po to, żeby napoić konających starców i oszalałe z pragnienia dzieci. Nie. Cała woda szła do okopów, żeby ci, którzy mogli utrzymać w rękę karabin, utrzymali go jeszcze o kilka godzin lub minut dłużej.

— A pan? — powiedział baron. Niesmak, jaki budziła w nim ta mieszanina czci i zgrozy, z którą dziennikarz okularnik mówił o jaguncos, rósł z każdą chwilą. — Dlaczego pan nie umarł z pragnienia? Pan przecież nie walczył?

— Sam chciałbym wiedzieć — powiedział dziennikarz.— Gdyby w tej historii była jakaś logika, powinienem był umrzeć wiele razy.

— Miłość nie zastąpi wody — spróbował zranić go baron.

— Nie zastąpi — przyznał tamten. — Ale daje siłę, żeby znieść jej brak. A poza tym coś niecoś piliśmy. Wszystko, co można było wyssać, wychłęptać. Krew ptaków, nawet sępów. Żuliśmy liście, pędy, korzonki, wszystko, co miało odrobinę soku. I mocz, oczywiście. — Poszukał wzroku barona, a ów pomyślał znowu: „Oskarża mnie”. — Pan o tym nie wiedział? Nawet nie pijąc, oddaje się mocz. Tam było to bardzo ważne odkrycie.

— Niech mi pan opowie o Pajeu, z łaski swojej — powiedział baron. — Co się z nim stało?

Nagle dziennikarz okularnik zsunął się na podłogę. Robił to kilkakrotnie w trakcie rozmowy i baron zastanawiał się, czy te zmiany pozycji spowodowane są jego wewnętrzną rozterką, czy po prostu cierpną mu nogi.

— Mówi pan, że zakochał się w Juremie? — nalegał. Nagle ogarnęło go niedorzeczne uczucie, że jego dawna służąca z Calumbi jest jedyną kobietą w sertonie, kobietą fatalną, pod której nieświadomą władzę dostali się kolejno wszyscy mężczyźni powiązani w jakiś sposób

z Canudos. — Dlaczego jej ze sobą nie zabrał?

— Może z powodu wojny — powiedział dziennikarz okularnik. — Był jednym z przywódców. W miarę jak okrażenie się zamykało, miał coraz mniej czasu. I mniej ochoty, zapewne.

Roześmiał się tak rozzwierając, że baron doszedł do wniosku, iż tym razem jego śmiech zwyrodnienie nie w kichnięciu, ale w szloch. Nie stało się ani jedno, ani drugie.

— Spostrzegłem, że pragnę chwilami, aby wojna trwała, a nawet się wzmogła. Żeby Pajeu miał zajęcie. — Odetchnął głęboko. — Pragnąłem, żeby zginął.

— Co się z nim stało? — nalegał baron.

Tamten nie zwracał na niego uwagi.

— Ale i mimo wojny mógł ją zabrać, zrobić z niej swoją żonę — zastanowił się, puścił wodze fantazji, ze wzrokiem wbitym w podłogę. — Tak przecież robili inni jaguncos. Przecież słyszałem, jak w samym środku strzelaniny, nocami czy we dnie, obłapiali swoje żony w hamakach, na pryczach, na klepisku.

Baron poczuł, że się rumieni. Nigdy, nawet w gronie najbliższych przyjaciół, nie tolerował pewnych tematów, tak częstych w męskim gronie. Jeśli dalej będzie brnął w te sprawy, każe mu zamilknąć.

— A więc to nie o wojnę chodziło — znowu spojrzął nań, jakby przypominając sobie o jego obecności. — Został świętym, wie pan? Tak tam mówili: został świętym, pocałował go anioł, dotknął go anioł. — Pokiwał głową. — Może. Nie chciał brać jej siłą. To inne wyjaśnienie, bardziej fantastyczne, na pewno, ale może... Żeby wszystko było, jak Pan Bóg przykazał. Zgodnie z religią. Chciał się żenić. Słyszałem, jak się oświadczał. Może.

— Co się z nim stało? — powtórzył baron, wyraźnie, podkreślając każde słowo.

Dziennikarz okularnik patrzył na niego uważnie. Baron spostrzegł jego zdziwienie.

— Spalił Calumbi — wyjaśnił powoli. — To on... Zginął? Jak umarł?

— Przypuszczam, że zginął — powiedział dziennikarz okularnik. — Jak mógł nie zginąć? Jak mogli nie zginąć Joao Mnich, Joao Wielki, oni *wszyscy!*

— Pan nie zginął i, jak sam pan powiedział, Vilanova też nie. Może uciekł.

— Nie chcieli uciekać — powiedział dziennikarz okularnik z udręką. — Chcieli zostać, chcieli tam umrzeć. Vilanova to co innego. On też nie chciał odejść. Kazali mu.

A więc nie ma pewności, że Pajeu nie żyje. Baron wyobraził sobie, jak wraca do swego dawnego życia, znów na wolności, na czele bandy złoczyńców i przybłędów, dodając do swego życiorysu wciąż nowe zbrodnie, w Ceara, w Pernambuco, gdzieś w dalekich stronach. Poczul zawrót głowy.

„Antonio Vilanova”, szepcze Nauczyciel i coś jakby wyładowanie elektryczne przechodzi przez Sanktuarium. „Przemówił, przemówił — myśli Aniołek, który z wrażenia dostał gęsiej skórki. — Chwała niech będzie Ojcu, chwała Dobremu Jezusowi”. Podchodzi do zbitej z kołków pryczy jednocześnie z Marią Quadrado, Lwem z Natuby, ojcem Joaquimem i służebniczkami ze Świętego Chóru; w melancholijnym świetle zmierzchu wszystkie oczy wpijają się w mroczną, podłużną, nieruchomą twarz o zaciśniętych powiekach. To nie przywidzenie: przemówił.

Aniołek widzi, jak te umiłowane usta, które chudość pozbawiła warg, otwierają się, żeby powtórzyć: „Antonio Vilanova”. Wszyscy ożywiają się, mówią: tak, tak, ojcze,

przepychają się do drzwi Sanktuarium, proszą gwardzistów, żeby zawołali Antonia Vilanovę. Kilku mężczyzn rzuca się biegiem, klucząc między workami i kamieniami szańca. W tej chwili nie słychać strzałów. Aniołek wraca do wezłowania Nauczyciela: znów leży na wznak, milczący, nieruchomy, oczy ma zamknięte, ręce i nogi odkryte, spod fioletowej szaty, której fałdy zdradzają jego zastraszającą chudość, sterczą kości. „Jest już bardziej duchem niż ciałem”, myśli Aniołek. Przełożona Świętego Chóru, nabrawszy otuchy na dźwięk jego głosu, podsuwa mu kubek z odrobiną mleka. Aniołek słyszy jej szept, pełen skupienia i nadziei: „Zjesz coś, ojczy?” W tych dniach często słyszał to pytanie. Ale tym razem, inaczej niż przedtem, kiedy Nauczyciel leżał w milczeniu, koścista głowa, zakryta szarymi, długimi, potarganymi włosami, porusza się w niemym przeczeniu. Fala szczęścia spływa na Aniołka. Żyje, będzie żył. Bo w ostatnich dniach, chociaż ojciec Joaquim co jakiś czas podchodził zbadać mu puls i posłuchać serca i mówił im, że oddycha, i chociaż wypływała z niego ta wodnista ciecz, Aniołek, widząc jego bezruch i jego milczenie, nie mógł się pozbyć myśli, że dusza Nauczyciela uleciała do nieba.

Czyjaś ręka szarpie go tuż nad podłogą. Napotyka wielkie, pytające, błyszczące oczy Lwa z Natuby, wlepione weń przez gęstwinę kudłów. „Będzie żył, Aniołku?”. W głosie skryby z Belo Monte jest tyle trwogi, że Aniołek czuje, że się rozplacze.

— Tak, tak, Lwie, będzie żył dla nas, będzie żył jeszcze długo.

Ale wie, że tak nie jest: coś w środku mówi mu, że są to ostatnie dni, a może godziny człowieka, który zmienił jego życie i życie wszystkich, którzy są w Sanktuarium, wszystkich tych, którzy tam, na zewnątrz, giną, konają i walczą w jamach i transzejach, w jakie przeobraziło się Belo Monte. Wie, że to koniec. Czuł to, odkąd dowiedział się, że padła Stara Fazenda i że w Sanktuarium Nauczyciel stracił przytomność. Aniołek umie odczytywać symbole, interpretować przesłanie ukryte w tych zbiegach okoliczności, przypadkach, oczywistych zdarzeniach, które przechodzą niezauważone przez innych; obdarzony jest intuicją, która od razu pozwala mu odnaleźć w rzeczach pozornie zwyczajnych i niewinnych głęboką obecność zaświatów. Tamtego dnia był w kościele Świętego Antoniego. Odmawiał różaniec z chorymi, rannymi, położnicami i sierotami w świątyni, zamienionej w Dom Zdrowia już na początku wojny; wysiłał głos, żeby cierpiący, krwawiący, ropiejący, na wpeł żywi ludzie dosłyszeli jego zdrowaśki i ojczynasze w jazgocie strzelaniny i wybuchów. I nagle zobaczył, że do wnętrza, przeskakując przez stosy bezwładnych ciał, wpada biegiem Alejandrina Correa i jeden z dzieciaków. Chłopiec przemówił pierwszy:

— Heretycy zajęli Starą Fazendę, Aniołku. Joao Mnich mówi, że trzeba postawić mur na rogu Męczenników, bo ateści mają otwartą drogę.

Zaledwie dzieciak odwrócił się w tył, kiedy dawna różdkarka, głosem bardziej zmienionym niż jej twarz, szepnęła mu do ucha wiadomość, która, czuł to, była o wiele ważniejsza: „Nauczyciel zachorował”.

Drżą mu kolana, w ustach ma sucho, w piersi ucisk, jak tamtego ranka, ile to już — sześć? siedem? dziesięć dni temu? Ledwie zdołał się opanować i zmusić nogi do posłuszeństwa, żeby pobiec za Alejandri-nią Correeą. Kiedy dotarł do Sanktuarium, Nauczyciel leżał na pryczy z otwartymi oczami i uspokajał wzrokiem przerażone służebniczki i Lwa z Natuby. Stało się to, gdy wstawał z ziemi po wielogodzinnej modlitwie, którą zwykle odmawiał, leżąc krzyżem. Służebniczki, Lew z Natuby, matka Maria Quadrado zauważyli, że klęka z trudem, pomagając sobie jedną ręką, potem drugą, i blednie z wysiłku albo bólu. Powstawszy, runął nagle z powrotem na ziemię jak worek kości. W tamtej chwili — sześć? siedem? dziesięć dni temu? — Aniołek doznał objawienia: godzina wybiła!

Jak może być takim egoistą? Dlaczego nie cieszy się, że Nauczyciel odpocznie, wstąpi

do nieba, by otrzymać nagrodę za to, co uczynił na tym świecie? Czy nie powinien raczej śpiewać hosanna? Powinien. Ale nie może, duszę przeszywa mu ból. „Zostaniemy sierotami”, myśli znowu. Z zadumy wyrwywa go odgłos, który dochodzi z pryczy, wymyka się spod Nauczyciela. Ciało świętego nawet nie drgnęło, ale oto już matka Maria Quadrado i służebniczki biegną ku niemu, żeby unieść mu habit, wymyć go, zebrać pokornie to, co — myśli Aniołek — nie jest odchodami, bo odchody są brudne i nieczyste, a nic, co z niego jest, nie może być takie. Jakże mogłaby być brudna, nieczysta ta ciecz, która tryska bez przerwy, od iluż to — sześciu, siedmiu, dziesięciu? — dni z tego umęczonego ciała? Przecież Nauczyciel nic nie jadł ostatnio, jakże więc miałby w sobie jakieś nieczystości do usunięcia? „To wypływa zeń jego istota, część jego duszy, coś, co nam po sobie zostawia”. Wyczuł to natychmiast, od pierwszej chwili. Było coś tajemniczego i świętego w tych pierdnięciach, nagłych, jakby przesianych przez sito, długotrwałych, w tych paroksyzmach, które zdawały się nie mieć końca, zawsze połączonych z wydalaniem wodnistej cieczy. Od razu się domyślił: „To obole, nie odchody”. Pojął z całą jasnością, że Ojciec albo Duch Święty, albo Dobry Jezus, albo Matka Boża, albo sam Nauczyciel chcieli poddać ich próbie. W szczęśliwym natchnieniu podszedł, wyciągnął rękę między służebniczkami, umaczał palce w wydzielinie i podniósł je do ust, śpiewając słowa psalmu: „Czy takiej komunii udzielasz Twemu słudze, Ojcze? Niech stanie się dla mnie niby rosa”. W ślad za nim przyjęły ją wszystkie służebniczki ze Świętego Chóru.

Czemu Ojciec zesłał nań taką agonię? Czemu zechciał, żeby swe ostatnie dni spędził defekując, defekując, nawet jeśli manną jest to, co sący się z jego ciała? Lew z Natuby, matka Maria Quadrado i służebniczki nie rozumieją go. Aniołek próbował im to wytłumaczyć i przygotować ich: „Ojciec nie chce, żeby wpadł w ręce psów. Jeżeli go zabiera, to po to, żeby go nie zbeczcili. Ale nie chce też, abyśmy myśleli, że wyzwala go od bólu, od pokuty. Dlatego każe mu cierpieć, zanim nagrodzi”. Ojciec Joaquim powiedział mu, iż dobrze zrobił, że ich przygotowuje; on też obawia się, że śmierć Nauczyciela odbierze im rozum, wyrwie z ich ust bezbożne przekleństwa, popchnie do czynów szkodliwych dla duszy. Bestia nie śpi i nie ominie okazji do zdobyczy.

Spostrzega, że strzelanina wybuchła znowu — silna, gęsta, kolista — kiedy otwierają się drzwi Sanktuarium. To Antonio Vilanova. Razem z nim przyszli Joao Mnich, Pajeu, Joao Wielki, wyczerpani, spoceni, cuchnący prochem, ale rozpromienieni: wiedzą, że przemówił, że żyje.

— To Antonio Vilanova, ojcze — mówi Lew z Natuby, wspinając się na tylnych łapach na pryczę.

Aniołek wstrzymuje oddech. Mężczyźni i kobiety, którzy tłoczą się w izbie — są tak ściśnięci, że nikt nie mógłby podnieść ręki, żeby nie potrącić sąsiada — śledzą w napięciu usta pozbawione zębów i warg, to oblicze przypominające pośmiertną maskę. Czy przemówi, czy przemówi? Mimo dochodzącej z zewnątrz jazgotliwej, zająkliwej strzelaniny, Aniołek znów słyszy ów nieomylny dźwięk. Ani Maria Quadrado, ani służebniczki nie podchodzą, żeby go umyć. Wszyscy stoją nieruchomo, pochyleni nad pryczą, czekają. Przełożona Świętego Chóru przytyka usta do ucha, pokrytego szarawymi żyłkami, i powtarza: „To Antonio Vilanova, ojcze”.

Dostrzega nieznaczne drżenie powiek i usta Nauczyciela rozchylają się. Wie, że usiłuje przemówić, wie, że osłabienie i cierpienie nie pozwalają mu wydobyć żadnego dźwięku, i błaga Ojca, żeby udzielił mu tej łaski, ofiarowując się, w zamian za to, przyjmując każdą mękę, kiedy nagle słyszy ten umiłowany głos, tak słaby, że wszyscy wyciągają głowy, aby coś usłyszeć:

— To ty, Antonio? Słyszysz mnie?

Były kupiec pada na kolana, chwyta dłoń Nauczyciela i całuje ją ze czcią. „Tak, ojcze, tak”. Poci się, zaczerwieniony, drżący, bez tchu.

Zazdrości przyjacielowi. Dlaczego właśnie jego zawołał? Właśnie jego, a nie Aniołka? Wyrzuca sobie tę myśl i lęka się, że Nauczyciel każe im wyjść, aby rozmówić się z nim na osobności.

— Idź w świat dawać świadectwo, Antonio, i nie wracaj. Ja tu zostaję pilnować owiec moich. Ty pójdziesz tam. Jesteś człowiekiem światowym, idź uczyć tych, którzy zapomnieli tej nauki. Niech Duch Święty cię prowadzi, a Ojciec ci błogosławi.

Były kupiec zaczyna pociągać nosem, wybucha płaczem. „To jego testament”, myśli Aniołek. Zdaje sobie sprawę z doniosłości tej uroczystej chwili. To, na co patrzy teraz, co teraz słyszy, wspomniane będzie przez lata i stulecia, przez tysiące i miliony ludzi wszystkich języków, ras i krain; wspomniane będzie przez niezmierzone rzesze ludzi jeszcze nienarodzonych. Vilanova łamiącym się głosem błaga Nauczyciela, żeby nie kazał mu odchodzić, całuje z rozpaczą kośćciwą, smagłą dłoń o długich paznokciach. Powinien wtrącić się, przypomnieć mu, że w takiej chwili nie może spierać się z wolą Nauczyciela. Podchodzi, kładzie rękę na ramieniu przyjaciela i ten serdeczny uścisk wystarcza, by go uspokoić. Vilanova patrzy nań oczami pełnymi łez, błagając pomocy, wyjaśnienia. Nauczyciel leży w milczeniu. Czy jeszcze usłyszy jego głos? Słyszy dwukrotnie, raz za razem, tamten dźwięk. Często zastanawiał się, czy Nauczyciel czuje wówczas skręt kiszek, klucie, szarpnięcia, skurcze, czy Bestia kąsa go w brzuch. Teraz wie, że tak jest. Dość mu spojrzeć na ten nieznaczący grymas na wymizerowanej twarzy, który zawsze towarzyszy pierdnięciom, i już wie, że wraz z nimi przychodzą palące sztylety męki.

— Zabierz ze sobą swoją rodzinę, żebyś nie był sam — szepcze Nauczyciel. — I zabierz tych obcych, przyjaciół ojca Joaquina. Niech każdy zbawia się na własną rękę. Ty też, synu.

Mimo hipnotycznej uwagi, z jaką śledzi słowa Nauczyciela, Aniołek dostzega kątem oka twarz Pajeu, ściągniętą grymasem: blizna zdaje się puchnąć, pękać, a usta otwierają się, by zapytać, a może zaprotestować. To dlatego, że chcą odesłać z Belo Monte tę kobietę, z którą miał się zenić. Aniołek, pełen podziwu, pojmuje, czemu Nauczyciel w tej ostatecznej chwili przypomniał sobie o cudzoziemcach, którzy są pod opieką ojca Joaquina. Chce ocalić apostoła! Chce ocalić duszę Pajeu od upadku, w jakim mogłaby ją pogrzyźć ta kobieta! A może po prostu chce wystawić caboclo na próbę? Albo zadaje mu cierpienie, żeby odpuszczono mu jego grzechy? Pajeu stoi — znów beznamiętny, oliwkowy, spokojny, cichy, pełen uszanowania — ze skórzanym kapeluszem w rękę, patrząc na pryczę.

Teraz Aniołek pewien jest, że te usta nie otworzą się już więcej. „Tylko jego drugie usta mówią”, myśli. Co chce im przekazać ten żołądek, który odwadnia się i odpowietrza, od iluż to — sześciu, siedmiu, dziesięciu dni? Trwoży się na myśl, że w tych pierdnięciach i w tej wydzielinie ukryte jest skierowane do niego przesłanie, które mógłby źle odczytać, nie dosłyszeć. On wie, że nic nie dzieje się przypadkiem, że przypadek nie istnieje, że wszystko ma głębszy sens, korzeń, którego odgałęzienia wiodą zawsze do Ojca, i że jeśli ktoś jest dostatecznie święty, może dostrzec ów porządek, cudowny i sekretny, jaki Bóg ustanowił na ziemi.

Nauczyciel znów jest niemy, jakby nigdy nie przemówił. Ojciec Joaquim, w rogu wezgłowia, porusza wargami, modląc się po cichu. Oczy wszystkich błyszczą. Nikt nie drgnął, chociaż wszyscy czują, że święty powiedział już, co miał do powiedzenia. Wybiła godzina. Aniołek przeczuwał, że nadchodzi, odkąd zabłąkana kula ugodziła białego baranka, który prowadzony na postronku przez Alejandrinię Correę towarzyszył Nauczycielowi w

drodze powrotnej ze Świątyni do Sanktuarium. Stało się to wtedy, kiedy Nauczyciel po raz ostatni opuścił swoją izbę. „Już nie było słyhać jego głosu, już był w ogrodzie oliwnym”. Czyniąc nadludzki wysiłek, wychodził jeszcze co wieczór, żeby wspiać się na rusztowania, modlić się i nauczać. Ale jego głos był szeptem, zaledwie zrozumiałym dla tych, co stali obok. Nawet Aniołek, za żywym murem Gwardii Katolickiej, słyszał tylko oderwane słowa. Kiedy Matka Maria Quadrado zapytała, czy chce, żeby pochowali w Sanktuarium to stworzenie uświęcone jego pieścizotami, Nauczyciel powiedział, że nie, i polecił, żeby oddać mięso gwardzistom.

Nagle prawa ręka Nauczyciela porusza się, szukając czegoś; jego guzowate palce podnoszą się, opadają na siennik, kurczą się i prostują. Czego szuka, czego chce? Aniołek w oczach Marii Quadrado, Joao Wielkiego, Pajeu, służebniczek widzi własny niepokój.

— Jesteś tu, Lwie?

Czuje sztylety w sercu. Oddałby wszystko, żeby Nauczyciel wymówił jego imię, żeby to jego szukała ta ręka. Lew z Natuby wspina się na palce i przysuwa swoją wielką, kudłatą głowę do tej dłoni, chce ją ucałować. Ale dłoń nie daje mu na to czasu, bo poczuwszy bliskość jego twarzy, bładzi po niej prędkimi ruchami, zanurza palce w gęste kudły. Mgła łez przesłania Aniołkowi wszystko, co się teraz dzieje. Ale musi to zobaczyć, wie, że Nauczyciel ostatkiem sił iska, głaszcze głowę Lwa z Natuby, tak jak to czynił przez długie lata.

Wścikły łoskot, jaki wstrząsa Sanktuarium, sprawia, że zamyka oczy, kuli się, osłania rękami przed tym, co zdaje mu się kamienną lawiną. Osłepiony, słyszy wrzawę, krzyki, tupot, zastanawia się, czy już umarł i czy to jego dusza tak drży. Wreszcie słyszy Joao Mnicha: „Runęła dzwonnica Świętego Antoniego”. Otwiera oczy. Sanktuarium nappełniło się kurzem, wszyscy zmienili miejsca. Przedziera się ku pryczy, wiedząc, co go tam czeka. Dostrzega w kurzawie nieruchomą dłoń na głowie Lwa z Natuby, wciąż klęczącego w tej samej pozie. I widzi ojca Joaquima, z uchem przyciśniętym do chudej piersi. Po chwili proboszcz prostuje się, poblady:

— Oddał ducha Bogu — bełkocze, a zdanie to jest dla obecnych bardziej grzmiące niż dobiegający z zewnątrz huk.

Nikt nie uderza w płacz, nikt nie pada na kolana. Stoją jak skamieniali. Unikają swoich spojrzeń, jakby ich oczy, spotkawszy się, miały odsłonić im wzajemne brudy, rozlać na nich w tej ostatecznej chwili tajone hańby. Sypie się kurz z sufitu, ze ścian, a uszy Aniołka, jakby cudze, wciąż słyszą — tam, na zewnątrz — bliskie i dalekie wrzaski, płacze, tupoty, piski, łoskot walących się murów i ryk triumfu, jakim żołnierze z transzei na nieistniejących już ulicach Świętego Piotra i Świętego Cypriana, i wokół starego cmentarza, świętują upadek kościelnej wieżyczki, którą bombardowali tak zaciekle. I umysł Aniołka, jakby cudzy, wyobraża sobie dziesiątki mężczyzn z Gwardii Katolickiej, którzy runęli razem z dzwonnica, i dziesiątki rannych, chorych, kalek, położnic, noworodków i leciwych starców, którzy w tej chwili są miażdżeni, przygniatani cegłami, kamieniami, belkami, umarli, już zbawieni, już ciała w chwale wstępujące po złotych schodach męczenników przed tron Ojca albo konające w straszliwych boleściach wśród dymiących gruzów. Ale w rzeczywistości Aniołek nie słyszy ani nie widzi, ani nie myśli: świat opustoszał, a on został bez ciała, bez kości, jest bezradnym piórkiem unoszonym przez otchłanne wiry. Widzi, jakby to cudze oczy widziały, że ojciec Joaquim zdejmuje dłoń Nauczyciela z włosów Lwa z Natuby i układają obok drugiej, na ciele. Wówczas Aniołek zaczyna mówić głosem surowym, głębokim, jakim intonował psalmy w kościele i na procesjach:

— Zabierzemy go do Świątyni, którą kazał zbudować, i będziemy czuwać nad nim przez trzy dni i trzy noce, żeby wszyscy mężczyźni i kobiety z Canudos mogli oddać mu

pokłon. I poniesiemy go w procesji przez wszystkie ulice i do wszystkich domów w Belo Monte, żeby po raz ostatni ciało jego oczyściło miasto z hańbiącego piętna Bestii. I pochowamy go pod głównym ołtarzem Świątyni Dobrego Jezusa, i postawimy na jego grobie drewniany krzyż, który własnymi rękami zbił na pustyni.

Żegna się pobożnie i wszyscy się żegnają, nie odrywając oczu od pryzy. Pierwsze łkania, które słyszy Aniołek, wyrwały się z piersi Lwa z Natuby; asymetryczne ciało skręca się z płaczu niby garbata ośmiornica. Aniołek klęka i wszyscy idą w jego ślady; słyszy, że inni płaczą także. Ale głos ojca Joaquina modlącego się po łacinie bierze w posiadanie Sanktuarium i przez długą chwilę zagłusza dochodzący z zewnątrz zgłęk. Kiedy tak modli się, ze złożonymi rękami, wracając powoli do siebie, odzyskując swoje uszy, swoje oczy, swoje ciało, to ziemskie życie, które — zdawało się — już utracił, ogarnia Aniołka ta sama nieskończona rozpacz, jaką czuł w dzieciństwie, kiedy ojciec Moraes mówił, że nie może być księdzem, bo jest bękartem. „Czemu opuszczasz nas w tych chwilach, ojcze?“, „Cóż pocniemy bez ciebie, ojcze?“. Wspomina drut, którym Nauczyciel przepasał go w Pombal i który dotąd nosi, zardzewiały i skręcony, już ciało z jego ciała, i mówi sobie, że teraz jest to drogocenna relikwia, jak wszystko, czego święty dotykał, w co się odziewał lub co powiedział, będąc gościem na tej ziemi.

— Nie możemy tego zrobić, Aniołku — oświadcza Joao Mnich. Komendant Ulicy klęczy obok niego, oczy ma zaczerwienione i zmieniony głos. Ale w jego słowach brzmi jakaś niezachwiana pewność, kiedy mówi: — Nie możemy przenieść go do Świątyni Dobrego Jezusa ani pochować go, jak sobie życzysz. Nie możemy tego zrobić ludziom, Aniołku! Chcesz wbić im nóż w plecy? Powiesz im, że umarł ten, za którego biją się, chociaż nie ma już kul i jedzenia? Postąpisz tak okrutnie? Chcesz być gorszy od masonów?

— On ma rację, Aniołku — mówi Pajeu. — Nie możemy im powiedzieć, że umarł. Nie teraz, nie w tej chwili. To byłby koniec. Wpadną w popłoch, oszaleją z rozpacz. Trzeba to zataić, jeśli chcemy, żeby walczyli dalej.

— Nie tylko dlatego — mówi Joao Wielki, i to jest głos, który zdumiewa go najbardziej, no bo od kiedy to ma własne zdanie ten nieśmiały olbrzym, z którego trzeba było siłą wyciągać każde słowo? — Te heretyckie psy będą tropić jego zwłoki z całą nienawiścią świata, żeby je zbezczęścić. Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie jest pochowany. Chcesz, żeby heretycy znaleźli jego ciało, Aniołku?

Aniołek czuje, że szczękają mu zęby, jakby miał dreszcze. Ależ tak, ależ tak, w swoim zapale chciał złożyć hołd ukochanemu mistrzowi, zapewnić mu velorio i pogrzeb na miarę jego majestatu, ale zapomniał, że psy są tuż i że rzucą się jak krwiożercze wilki na jego śmiertelne szczątki. Już wie, już rozumie, jest tak, jakby otworzył się strop nad jego głową i sam Duch Święty zstąpił w oślepiającej jasności, by objawić mu, dlaczego Ojciec zabrał go właśnie teraz i jaki jest obowiązek apostołów: mają strzec jego zwłok, nie pozwolić, żeby skalał je Szatan.

— Ależ tak, ależ tak! — wykrzykuje porywczo, skruszony. — Wybaczcie mi, ból zmaćcił mi rozum, chyba diabeł mnie podkusił. Teraz pojmuję, teraz wiem. Nie powiemy, że umarł. Będziemy nad nim czuwać tutaj, tu go pochowamy. Wykopiemy grób i nikt poza nami nie dowie się gdzie. Taka jest wola Ojca.

Przed chwilą zły był na Joao Mnicha, na Pajeu, na Joao Wielkiego, że sprzeciwiają się pogrzebowej ceremonii, a teraz wdzięczny im jest za to, że pomogli mu odczytać przesłanie. Drobny, kruchy, wątły, pełen energii, niecierpliwy, krąży między służebniczkami i apostołami, popychając ich, ponagłając, żeby przestali płakać, żeby przełamali ten paraliż, który jest dziełem Szatana, błaga, żeby wstali, ruszyli się, przynieśli kilofy i motyki do

kopania. „Nie ma czasu, nie ma czasu”, straszy.

I udaje mu się zarazić ich swoim zapalem: wstają, ocierają oczy, ożywiają się, patrzą na siebie, kiwiają głowami, trącają się łokciami. Joao Mnich, praktyczny jak zawsze, obmyśla pobożne kłamstwa przeznaczone dla mężczyzn z szańców, którzy strzegli Nauczyciela: powiedzą im, że robią podkop w Sanktuarium, żeby otworzyć przejście do tuneli łączących ze sobą transeje i chaty w Belo Monte, na wypadek, gdyby heretycy odcięli odwrót. Joao Wielki wychodzi i wraca, niosąc kilka łopat. Natychmiast zaczynają kopać, obok pryczy. I pracują tak po czterech, zmieniając się raz po raz, a kiedy rzucają łopaty, klękają i wracają do modlitwy. I będą tak pracować wiele godzin, nie zauważywszy, że już się ściemniło, że Matka Ludzi zapala oliwną lampkę i że dochodzące z zewnątrz strzały i okrzyki nienawiści lub zwycięstwa wybuchły z nową siłą, ucichły i znów wybuchły. Ilekroć ktoś ze stojących nad kopcem ziemi, który rośnie w miarę, jak dół się pogłębia, pyta, czy już, Aniołek odpowiada: „Głębiej, głębiej”.

Kiedy natchnienie mówi mu, że już wystarczy, wszyscy, począwszy od niego, są skonani, uwalani ziemią od stóp do głów. W chwilach, które teraz nadchodzą, Aniołek ma uczucie, że śni: chwytają ciało Nauczyciela — on za głowę, matka Maria Quadrado za jedną nogę, Pajeu za drugą, Joao Wielki za jedną rękę, ojciec Joaquim za drugą — i podnoszą je, żeby służebniczki mogły podłożyć pod nie słomianą matę, która zastąpi mu całun. Kiedy zwłoki Nauczyciela spoczęły już na pryczy, Maria Quadrado kładzie mu na piersi żelazny krucyfiks, jedyny przedmiot, jaki zdobił ściany Sanktuarium, i różaniec o ciemnych paciorkach, który towarzyszy mu, odkąd sięgają pamięcią. Znowu dźwigają owinięte matą zwłoki, a Joao Mnich i Pajeu odbierają je na dzień dołu. Podczas gdy ojciec Joaquim modli się po łacinie, pracują na zmianę, sypiąc łopaty ziemi w rytm odmawianych pacierzy. W tym dziwnym uczuciu snu, do którego przyczynia się stęchłe światło, Aniołek widzi, że nawet Lew z Natuby, płacząc się innym pod nogami, pomaga zasypywać grób. Praca pozwala mu pogodzić się ze smutkiem. Mówi sobie, że *to* skromne czuwanie i ta uboga mogiła, na której nie umieszczą napisu ani krzyża, jest tym, o co prosiłby pewno dla siebie człowiek ubogi i pokorny, jakim Nauczyciel był za życia. Ale kiedy wszystko się kończy i Sanktuarium wygląda jak przedtem, Aniołek wybuchą płaczem, patrząc na pustą pryczę. Słyszy, że inni płaczą także. Po chwili bierze się w garść. Półgłosem każe im przysiąc na zbawienie duszy, że nigdy, nawet na mękach, nie wyjawią miejsca, gdzie spoczywa Nauczyciel. Odbiera przysięgę od każdego z osobna.

Otworzyła oczy i nadal czuła się szczęśliwa, jak ubiegłej nocy i poprzedniej, i jeszcze poprzedniej, przez te wszystkie dni, dawniej tak do siebie podobne aż do tamtego wieczoru, kiedy już uwierzyła, że leży pogrzebany pod gruzami sklepu, i nagle odnalazła go przed drzwiami Sanktuarium, padła mu w ramiona i usłyszała, jak mówi, że ją kocha, i powiedziała, że ona kocha go także. Było to prawdą, a w każdym razie stało się prawdą, odkąd wypowiedziała te słowa. I począwszy od tamtej chwili, mimo wojny, która zewsząd ją osaczała, mimo pragnienia i głodu, które zabijały więcej ludzi niż kule, Jurema była szczęśliwa. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż w małżeństwie z Rufinem, bardziej niż w dzieciństwie płynącym tak spokojnie w Calumbi, pod skrzydłami baronowej Esteli. Miała ochotę rzucić się do stóp świętego i dziękować mu za to, co uczynił z jej życiem.

Gdzieś blisko świstały kule — całą noc słyszała przez sen huk wystrzałów — ale nie słyszała krzyku, nie widziała ludzi biegnących uliczką Dzieciątka Jezus ani gorączkowej krzątania przy usuwaniu kamieni i worków z piaskiem, zwalaniu dachów i ścian i kopaniu rowów pod umocnienia, które rozrastały się w ostatnich tygodniach, w miarę jak Canudos kurczyło się i cofało ze wszystkich stron za koncentryczne kręgi barykad i transei, gdy tymczasem żołnierze zajmowali stopniowo domy, ulice, place, a oblężenie zbliżało się do



kościółów i Sanktuarium. Ale to jej nie obchodziło: była szczęśliwa.

To Karzełek odkrył ten bezpański dom sklecony z pali, wciśnięty między inne, obszerniejsze, przy uliczce Dzieciątka Jezus łączącej Campo Grande, gdzie niedawno stanęła potrójna barykada obsadzona przez jaguncos, którymi dowodził sam Joao Mnich, z krętą ulicą Matki Kościoła, zmienioną teraz w północną granicę owego wciąż malejącego skrawka ziemi, jakim było wówczas Canudos. Wycofali się tu też Murzyni z Mocambo, już zajętego przez wojsko, i niewielka grupka ocalałych Indian Kariri z Mirandeli i Rodelas. Indianie i Murzyni gnieździli się teraz w rowach i barykadach dawnej ulicy Matki Kościoła, pospołu z jaguncos Pedrao, zepchniętymi aż tutaj przez żołnierzy, których wpierw powstrzymali w Cocorobó, Trabubu i w zagrodach na obrzeżach miasta. Kiedy Jurema, Karzełek i dziennikarz okularnik przyszli osiedlić się w opuszczonym domostwie, znaleźli tam martwego staruszka, rozkraczonego nad karabinem w jamie wykopanej pośrodku izby. Ale odkryli także worek tapioki i garnek miodu, którymi raczyli się skąpo, żeby zostało na dłużej. Wychodzili po to tylko, żeby odciągać trupy do dołów zamienionych w kostnice przez Antonia Vilanovę i pomagać przy budowie barykad i kopaniu rowów, co zajmowało ludziom więcej czasu niż sama wojna. Przekopali wzdłuż i wszerz całe Belo Monte, tak że mogli krążyć po tym, co zostało z osady — od domu do domu, od ulicy do ulicy — nie wychodząc na powierzchnię, jak jaszczurki i krety.

Karzełek poruszył się za jej plecami. Zapytała, czy śpi. Nie odpowiedział, a po chwili usłyszała, że chrapie. Spali wszyscy troje, jedno przy drugim, w wąskim rowie, w którym ledwo się mieścili. Gniatli się tak nie tylko ze strachu przed kulami, które z łatwością przebijały ściany z pali uszczelnionych gliną, ale również dlatego, że kiedy nocami spadała temperatura, trzęśli się z zimna, osłabieni przymusowym postem. Jurema przyglądała się twarzy dziennikarza okularnika, który spał oparty na jej piersi. Miał rozchylone usta, z wargi zwisała mu niteczka śliny, przezroczysta i cienka jak pajęczyna. Przynęła usta i zlizwała ją delikatnie, żeby go nie zbudzić. Twarz dziennikarza okularnika była tak spokojna, jak nigdy na jawie. Pomyślała: „Teraz się nie boi”. Pomyślała: „Biedaczek, biedaczek, gdybym mogła zdjąć z niego ten strach, zrobić coś, żeby przestał się bać”. Bo zwierzył się jej, że nawet wtedy, kiedy jest z nią szczęśliwy, strach zawsze jest przy nim, jak błoto na dnie serca, dręczy go. Chociaż teraz kochała go, jak kobieta kocha mężczyznę, chociaż należała do niego jak kobieta do męża albo kochanka, wciąż dbała o niego, obsypywała pieśzcotami, bawiła się z nim w myślach jak matka ze swoim synkiem.

Noga okularnika zgięła się w kolanie, nacisnęła lekko i wślizgnęła się między jej uda. Bez ruchu, czując na twarzy smagnięcie ciepła, Jurema wyobraziła sobie, że w tej chwili on zapragnie jej i w pełnym świetle, tak jak to robił po ciemku, zadrze jej spódnice, rozepnie spodnie i wejdzie w nią, żeby sprawić jej rozkosz i samemu zaznać rozkoszy. Dreszcz przebiegł ją od stóp do głów. Przymknęła oczy i leżała spokojnie, łowiąc uchem wystrzały, próbując przypomnieć sobie o wojnie tak bliskiej, myśląc o Sardelinii i Catarinie, i innych kobietach, które dobywały resztek sił, żeby opiekować się chorymi, rannymi i noworodkami w dwóch ostatnich Domach Zdrowia, i o staruszkach, którzy całymi dniami nosili zmarłych do kostnicy. Aż zdołała wreszcie stłumić to uczucie, tak nowe w jej życiu. Chyba nie ma wstydu. Nie tylko robi rzeczy, które są grzechem: myśli o tym, chce tego. „Jestem szalona? — pomyślała. — Opętana?”. Teraz, kiedy śmierć jest tuż, popełnia czynem i myślą grzechy, jakich nie popełniała nigdy dotąd. Bo chociaż przedtem należała do dwóch mężczyzn, dopiero teraz, w ramionach tego człowieka, którego przypadek i wojna, a może sama Bestia, postawiły na jej drodze, odkryła, że również ciało może zaznać szczęścia. Teraz wie, że miłość jest także podnieceniem skóry, zaślepieniem zmysłów, zawrotem głowy, bez którego nie byłaby pełna. Przytuliła się do śpiącego obok mężczyzny, przywarła ciałem do jego ciała tak ściśle, jak tylko mogła. Za jej plecami Karzełek znowu się poruszył. Czuła, jak drobny,

skulony, szuka jej ciepła.

Tak, nie ma wstydu. Gdyby ktoś powiedział jej kiedyś, że pewnego dnia będzie spała wciśnięta między dwóch mężczyzn, nawet jeśli jeden z nich jest karzełkiem, przeleżałyby się okropnie. Gdyby ktoś powiedział jej, że mężczyzna, z którym nie ma ślubu, zdradzi jej spódnice i weźmie ją na oczach innego, który leży tu obok niej, śpiąc lub udając śpiącego, podczas gdy oni dwoje ściskają się i mówią sobie, usta przy ustach, że się kochają, Jurema wpadłaby w przerażenie, zatkałaby uszy. A jednak działo się tak co noc, od tamtego wieczoru, i zamiast napawać ją wstydem lub lękiem, wydawało jej się naturalne i sprawiało, że czuła się szczęśliwa. Pierwszej nocy, widząc, że obejmują się i całują, jakby byli sami na świecie, Karzełek zapytał, czy chcą, żeby sobie poszedł. Nie, nie, skądże, kochają go tak samo jak dawniej. I było tak naprawdę.

Strzelanina nasiliła się nagle i przez kilka sekund zdawało się, że toczy się wewnątrz domu, wprost nad ich głowami. Rów wypełnił się ziemią i prochem. Skulona, z zamkniętymi oczami, Jurema czekała, czekała wystrzału, wybuchu, ciosu, zmiżdżenia. Ale po chwili strzały oddaliły się. Otworzywszy powieki, napotkała spojrzenie zalęknione i wodniste, które zdawało się ślizgać po jej postaci. Biedaczek, obudził się i znowu umiera ze strachu.

„Myślałem, że to zły sen”, powiedział za jej plecami Karzełek. Wyprostowany, wystawiał głowę nad krawędź wykopu. Jurema wyjrzała także, na klęczkach; dziennikarz okularnik wciąż leżał na ziemi. Jacyś ludzie biegli ulicą Dzieciątka Jezus ku Campo Grande.

— Co się dzieje, co się dzieje? — usłyszała pod nogami. — Co tam widzisz?

— Jaguncos — ubiegł ją Karzełek. — Idą od Pedroa.

I wówczas drzwi otworzyły się i Jurema zobaczyła na progu gromadę mężczyzn. Był wśród nich ten młodziutki jagunco, którego spotkała na stokach Cocorobó, wtedy, gdy przyszli żołnierze.

— Chodźcie, chodźcie! — krzyknął do nich głosem, który wzbijał się ponad strzelaninę. — Chodźcie, pomóżcie!

Jurema i Karzełek pomogli dziennikarzowi okularnikowi wydostać się z rowu i wyprowadzili go na ulicę. Przywykła robić zawsze, co jej kazano. Biernie poddawała się cudzej woli i, jeśli było trzeba, pracowała ramię w ramię z innymi, nie pytając, co robią i dlaczego. Ale teraz to się zmieniło. Przy tym mężczyźnie, który biegnie tuż obok niej uliczką Dzieciątka Jezus i chce wiedzieć, co się dzieje po prawej i po lewej, z przodu i z tyłu, dlaczego sprawy toczą się tak, a nie inaczej, Jurema musi pilnie uważać na wszystko, żeby zaspokoić jego ciekawość, równie zachłanną jak strach. Młodziutki jagunco z Cocorobó wyjaśnił, że już od świtu heretycy atakują transeje na cmentarzu. Dwa razy ruszali do szturm i chociaż transei nie udało im się zająć, doszli aż do wylotu Chrzyciela i niebezpiecznie zbliżyli się do tyłów Świątyni Dobrego Jezusa. Joao Mnich postanowił wzniesić nową barykadę między cmentarzem i kościołami na wypadek, gdyby Pajeu musiał wycofać się ponownie. Dlatego zbierają ludzi, dlatego ściągnęli tu tych, którzy byli z Pedroa w transejach Matki Kościoła. Młodziutki jagunco wysunął się naprzód, przyspieszył kroku. Jurema słyszała zdyszany oddech okularnika, widziała, jak potyka się o kamienie i dziury na Campo Grande, i była pewna, że — tak samo jak ona — myśli w tej chwili o Pajeu. Teraz to już na pewno się z nim spotkają. Poczwała, że ściska jej rękę, i oddała mu uścisk.

Nie widziała Pajeu od tamtego wieczoru, kiedy odkryła szczęście. Ale i ona, i dziennikarz okularnik często rozmawiali o caboclo z przeciętą twarzą, w którym oboje widzieli zagrożenie dla swojej miłości, większe jeszcze niż wojna. Od owego wieczoru ukrywali się w schronach na północy Canudos, byle dalej od Starej Fazendy; stamtąd

Karzelek wyprawiał się czasem, żeby dowiedzieć się czegoś o Pajeu. Tego ranka, kiedy wrócił z nowiną, że wojsko szturmuje Starą Fazendę, siedzieli skuleni pod kawałkiem blachy w zaułku Świętego Eliasza na tyłach Mocam-bo. Jurema powiedziała do okularnika, że caboclo będzie bronił swoich transzei, dopóki sam nie zginie. Ale jeszcze tej samej nocy dowiedzieli się, że Pajeu i ci, którzy wyszli cało z bitwy o Starą Fazendę, znajdują się w transzejach na cmentarzu, które także padną lada chwila. Nadszedł więc czas, by stawić czoło Pajeu. Ale nawet ta myśl nie mogła odebrać jej szczęścia, które zrosło się już z jej ciałem jak skóra i kości.

Szczęście było dla niej wybawieniem, jak krótki wzrok i strach dla tego, którego prowadziła za rękę, i jak wiara, fatalizm lub przyzwyczajenie dla tych, którzy mieli jeszcze siłę i schodzili teraz wraz z nimi, biegnąc, utykając, idąc, żeby wznieść jeszcze jedną barykadę: wybawieniem od tego, co działo się dokoła nich, od zastanawiania się i wyciągania wniosków, jakie podsuwał im zdrowy rozsądek, rozum albo zwykły instynkt, kiedy patrzyli na uliczki, niegdyś ubite i wysypane żwirem, a teraz przemienione w wyboiste wądoły zryte pociskami, usiane odłamkami przedmiotów roztrzaskanych przez kule albo rozrzuconych przez jaguncos przy budowie parapetów, i na leżących bezwładnie ludzi, w których z trudem można było rozpoznać kobiety lub mężczyzn, bo w ich twarzach zatarły się wszelkie rysy i nie było już światła w ich oczach ani, siły w mięśniach, chociaż przez jakąś' niedorzeczną perwersję natury trzymali się jeszcze przy życiu. Jurema widziała ich, a zarazem nie zdawała sobie sprawy, że tam są, podobni trupom, których starcy nie zdążyli uprzątnąć: odróżniały się od nich tylko liczbą pokrywających je much i intensywnością wydzielanego smrodu. Patrzyła i nie widziała krążących nad nimi sępów, strąconych czasem zabłąkaną kulą, ani dzieci o lunatycznym wyglądem, grzebiących w gruzach albo przeżuwiających ziemię. To był długi bieg; kiedy wreszcie stanęli, musiała zamknąć oczy i przytrzymać się okularnika, dopóki świat nie przestał wirować.

Zapytał, gdzie są. Jurema nie bez trudu rozpoznała zaułek Świętego Jana, niewielkie przejście między domkami stłoczonymi wokół cmentarza i na tyłach nieukończonyj Świątyni. Wszędzie był tylko gruz, rowy i tłum, który poruszał się, schylony nad łopatami, kopiąc, napełniając ziemią i piachem worki, puszki, skrzynie, beczki i baryłki, wlokąc deski, dachówki, cegły, kamienie, a nawet szkielety zwierząt na barykadę, wznoszoną w miejscu, gdzie przedtem drewniany płot opasywał cmentarz. Strzały umilkły, a może tylko uszy Juremy, ogłuszone, nie odróżniały już ich od innych dźwięków. Dziennikarz okularnik mówił jej właśnie, że Pajeti tu nie ma, są za to Antonio i Honorio Vilanova, kiedy jakiś jednooki wrzasnął do nich, na co jeszcze czekają. Dziennikarz okularnik osunął się na ziemię i zaczął grzebać. Jurema wyszukała dla niego jakiś żelazny pręt, żeby praca szła mu trochę lepiej. Sama zaś pograżała się ponownie w rutynie napełniania worków, noszenia ich, gdzie jej kazano, i rąbania ścian, żeby zgromadzić cegły, dachówki i deski, które miały wzmocnić wał, szeroki już i wysoki na kilka metrów. Od czasu do czasu podchodziła do dziennikarza okularnika, obok którego wyrosła spora kupka piasku i żwiru, żeby wiedział, że jest blisko niego. Nie docierało do niej, że po drugiej stronie barykady strzelanina odradzała się, słabła, ustawała i wskrzeszała, i że coraz to nowe przygarbione postaci przebiegały z rannymi w stronę kościołów.

W pewnej chwili kilka kobiet, wśród których rozpoznała Catarina, żonę Joao Mnicha, wcisnęło jej w rękę garść kurzych kości z odrobiną skóry do ogryzienia i kubek wody. Poszła podzielić się tym darem z dziennikarzem i Karzełkiem, ale im też przydzielono podobne porcje. Jedli i pili razem, szczęśliwi, zdumieni niespodziewaną ucztą. Bo wiele już dni minęło, odkąd skończyły się zapasy, a wiadomo było, że wszystkie resztki oszczędzano dla mężczyzn, którzy dniem i nocą tkwili w transzejach i na wieżach, z rękami spalonymi prochem i palcami rozgrzanymi od nieustannego strzelania.

Kiedy zabrała się z powrotem do pracy, spojrzała na wieżę Świątyni Dobrego Jezusa i coś zmusiło ją, żeby patrzyła dalej... Pod głowami jaguncos i lufami karabinów, które wystawały znad parapetów na dachu i rusztowaniach, jakaś skarłała figurka, ni to dziecko, ni to dorosły, zawisała w niedorzecznej pozie na drabinie wiodącej na szczyt dzwonnicy. Poznała go: to dzwonnik, staruszek, który sprawował pieczę nad kościołami, klucznik i strażnik kultu — ten sam, który, mówiono, biczuje Aniołka. Co wieczór, punktualnie, wdrapywał się na wieżę, żeby uderzyć w dzwony na Zdrowaś Maryjo, po których, wojna czy nie wojna, całe Belo Monte odmawiało różaniec. Musieli zabić go wczoraj, już po biciu dzwonów, bo Jurema była pewna, że je słyszała. Prawdopodobnie trafiła go kula i zaplątał się w szczelbę drabiny, a nikt nie miał czasu, żeby go odczepić.

— Był z mojej wioski — powiedziała, pokazując na wieżę, kobieta, która pracowała obok niej. — Z Chorrochó. Był u nas cieślą, kiedy dotknął go anioł.

Wróciła do kopania, zapomniawszy o dzwonniku i o sobie, i pracowała tak przez cały wieczór, podchodząc raz po raz do dziennikarza okularnika. Gdy słońce zaszło, zobaczyła, że bracia Vilanova biegną w stronę Sanktuarium, i usłyszała, że są tam już Pajeu, Joao Wielki i Joao Mnich. Coś musiało się stać.

Wkrótce potem, kiedy stała pochylona, rozmawiając z okularnikiem, jakaś niewidzialna siła zmusiła ją, żeby uklękła, zamilkła, oparła się o niego. „Co się stało? Co się stało?“, zawołał, chwytając ją za ramię. Dotykał jej po omacku i usłyszała, że krzyczy do niej: „Trafil cię?! Jesteś ranna?!“. Nie dosięgła jej żadna kula. Po prostu nagle opuściły ją wszystkie siły. Czuła się pusta, niezdolna do otwarcia ust, do poruszenia palcem i chociaż widziała nad swoją twarzą twarz mężczyzny, który nauczył ją szczęścia, jego wilgotne oczy otwierające się szeroko, mrugające, żeby ją zobaczyć, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest przestraszony, i czuła, że powinna go uspokoić, nie mogła. Wszystko było dalekie, obce, nierzeczywiste: Karzełek także był przy niej, dotykał jej, głaskał, rozcierał ręce, czoło, gładził włosy, a nawet wydało się jej, że on też, jak dziennikarz okularnik, całuje ją po rękach, po policzkach. Nie, nie zamknie oczu, jeżeli to zrobi, umrze; ale przyszła chwila, kiedy nie mogła już udźwignąć powiek.

Kiedy je otworzyła, minęło uczucie chłodu. Była noc. Zobaczyła rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni. Siedziała oparta o dziennikarza okularnika, którego zapach, chudość, oddech poznała natychmiast. Karzełek wciąż rozcierał jej dłonie. Oszołomiona, spostrzegła radość obydwóch mężczyzn na widok jej przebudzenia i poczuła, że obejmują ją i całują; oczy jej zwilgotniały. Jest ranna, chora? Nie, to zmęczenie. Pracowała tak długo. Byli już w innym miejscu. Kiedy straciła przytomność, strzelanina nasiliła się, przybiegli jaguncos z tranzei cmentarza. Karzełek i okularnik musieli przenieść ją na róg ulicy, żeby jej nie zadeptali. Ale żołnierze nie mogli sforsować barykady na Świętego Jana, zatrzymani przez uciekinierów z cmentarza i jaguncos, którzy przeszli tu z obu kościołów. Usłyszała, że dziennikarz mówi, że ją kocha, i nagle ziemia rozprysnęła się na kawałki. W nosie i pod powiekami miała pełno kurzu, poczuła, że coś wali się na nią, że przygniata ją jakiś ciężar: podmuch cisnął na nią Karzełka i okularnika. Ale nie bała się; skulona pod ich ciałami, usiłowała wydać z siebie głos, żeby dowiedzieć się, czy nic im się nie stało. Nic, nic, są tylko posiniaczeni od kamyków, odłamków i drzazg rozsianych przez wybuch. Jakiś zgiełk, niewyraźny, opętańczy, wieloraki, zgrzytliwy, niezrozumiały, zmaćcił ciemności. Okularnik i Karzełek podnieśli się, pomogli jej usiąść i wszyscy troje przyłgnęli do jedynej ściany, jaka jeszcze tam stała. Co to było? Co się dzieje?

Jakieś cienie biegały we wszystkich kierunkach, przeraźliwe wycie rozdzierało powietrze, ale dla Juremy, która skulona, z podkurczonymi nogami, opierała głowę na ramieniu dziennikarza okularnika, najdziwniejsze było to, że obok płaczu, wrzasków, jęków,

lamentów słyszała śmiechy, chichoty, wiwaty, śpiewy, a potem jedna, donośna, grzmiąca, potężna pieśń buchnęła z setek gardeł.

— Kościół Świętego Antoniego — powiedział Karzełek. — Trafili go, zwalili.

Spojrzała: w słabej księżycowej poświacie, tam, wysoko, gdzie wiatr od rzeki rozwiewał chmurę dymu, odsłoniła się masywna, majestatyczna bryła Świątyni Dobrego Jezusa, ale obok nie było dzwonnicy i dachów Świętego Antoniego. To ten grzmot. Wrzaski i płacze dochodziły od strony kościoła: to ci, którzy runęli wraz z nim, lecz żyją jeszcze, przygnieci ciężarem gruzów. Dziennikarz okularnik, wciąż trzymając ją w objęciach, pytał głośno, co się dzieje, co to za śmiechy, co to za śpiewy, a Karzełek powiedział, że to żołnierze, szaleją z radości. Żołnierze! Głosy, śpiewy żołnierzy! To niemożliwe, żeby byli aż tak blisko! Okrzyki triumfu mieszały się w jej uszach z okrzykami rozpaczki i wydawały się jeszcze bliższe. Po drugiej stronie barykady, którą pomagała budować, kłębił się tłum żołnierzy, rozśpiewany, gotów przebyć te kilka kroków, jakie dzieliły go od nich trojga. „Ojciec — westchnęła — spraw, żebyśmy zginęli wszyscy razem”.

Ale, co najdziwniejsze, po upadku kościoła Świętego Antoniego wojna, zamiast rozgorzeć, przygasła. Nie ruszając się ze swego kąta, słyszeli, że okrzyki triumfu i bólu słabną stopniowo, a potem zapadła cisza, jaka od dawna nie gościła w Canudos. Nie słychać było armatnich wybuchów ani strzałów, tylko odosobnione płacze i jęki, jakby walczące strony zawarły rozejm. Chwilami wydawało jej się, że zasypia, a kiedy się budziła, zawsze w *tym* samym miejscu, wtulona między Karzełka i okularnika, nie wiedziała, czy upłynęły sekundy, czy godziny.

Po jednym z takich ocknień zobaczyła jagunco z Gwardii Katolickiej, który właśnie się z nimi zegnał. Czego chce? Ojciec Joaquim wzywa ich do siebie. „Powiedziałem mu, że nie możesz się ruszyć”, szepnął okularnik. W chwilę potem z ciemności wyłonił się zadyszany ksiądz z Cumbe. „Dlaczego nie przyszliście?”, usłyszała, jak mówi jakimś dziwnym głosem, i pomyślała: „Pajeu?”.

— Jurema jest zupełnie wyczerpana — usłyszała odpowiedź dziennikarza okularnika. — Kilka razy zemdląca.

— No to będzie musiała zostać — odparł ojciec Joaquim tym samym obcym głosem: nie był rozgniewany, raczej zgryźliwy, zniechęcony, smutny. — Wy dwaj chodźcie ze mną.

— Mam zostać? — usłyszała szept okularnika, czując, że sztywnieje w napięciu.

— Cicho — rozkazał ksiądz. I wychrypiał: — Przecież chciał pan stąd odejść? Teraz jest okazja. Ale ani słowa. Chodźcie.

Ojciec Joaquim zaczął się oddalać. Jurema zerwała się na równe nogi, opanowała drżenie kolan, ucinając w ten sposób jakaninę dziennikarza — „Ona nie może, ja, ja...” — i pokazała mu, że owszem, może, oto stoi, idzie za cieniem księdza. Po paru sekundach, nie dowierzając jeszcze własnym uszom, biegła już, trzymana za ręce przez okularnika i Karzełka, wśród ruin, trupów i dogorywających rannych z kościoła Świętego Antoniego.

Zorientowała się, że idą do Sanktuarium przez labirynt podziemnych korytarzy i umocnień, strzeżonych przez zbrojnych ludzi. Drzwi otworzyły się i w świetle kaganka ujrziała Pajeu. Wymówiła chyba jego imię, bo dziennikarz okularnik, przerażony, zgiął się nagle wół, w ataku kichnięć. Ale nie dla caboclo przyprowadził ich tu ojciec Joaquim. Pajeu nie zwracał na nich uwagi. Nawet nie spojrzał. Byli w izdebce służebniczek, przedsiönku Sanktuarium; przez szpary Jurema widziała klęczący Święty Chór, matkę Marię Quadrado, chudą postać Aniołka i skulonego Lwa z Natuby. W ciasnym pomieszczeniu, oprócz Pajeu, byli Antonio i Honorio Vilanova, i Sardelinie, a w ich twarzach, jak w głosie ojca Joaquina,

było coś osobliwego, nieodwracalnego, złowieszczonego, rozpaczliwego, dzikiego. Pajeu, jakby wcale tam nie weszli, jakby ich tam nie było, rozmawiał dalej z Antoniem Vilanovą: usłyszy strzały, popłoch, zamieszanie, ale wtedy nie wolno im się jeszcze ruszyć. Dopiero kiedy odezwą się świstawki. Wtedy mają rzucić się biegiem, co sił w nogach, kluczyć jak lisy. Caboclo przerwał. Antonio Vilanova skinął głową z grobową miną. Pajeu odezwał się znowu: „Nie zatrzymujcie się pod żadnym pozorem. Jeżeli ktoś upadnie, zostawcie. Nie oglądajcie się za siebie. Wszystko zależy od was i od Ojca. Jeśli dotrzecie do rzeki, zanim się zorientują, przejdziecie. A przynajmniej macie szansę”.

— Ale ty nie masz żadnej szansy, żeby stamtąd wrócić. Ani ty, ani nikt, kto razem z tobą wejdzie do obozu psów — jęknął Antonio Vilanova. Płakał. Chwycił caboclo za ramiona i błagał: — Nie chcę odchodzić z Belo Monte, a tym bardziej za cenę twego życia. Ty jesteś bardziej potrzebny niż ja. Pajeu! Pajeu!

Caboclo odsunął go z niesmakiem.

— Musimy to zrobić, zanim się rozwidni — stwierdził sucho. — Potem się nie da. — Odwrócił się do Juremy, okularnika i Karzełka, którzy stali jak skamieniały. — Wy też pójdziecie. Tak chce Nauczyciel — powiedział, jakby mówił ponad głowami ich trojga do kogoś, kogo nie mogli zobaczyć. — Najpierw do Starej Fazendy, pochyleni, gęsiego. Staniecie tam, gdzie powiedzą wam dzieciaki, i zaczekacie na świstawki. Przetniecie obozowisko, pobiegniecie nad rzekę. Przejdziecie, jeśli taka jest wola Ojca. — Zamilkł i spojrzał na okularnika, który, dygocząc jak liść, obejmował Juremę. — Wysmarkaj się na zapas — przykazał mu, nie zmieniając tonu. — Byle nie potem. Nie wtedy, kiedy będziecie czekać na świstawki. Jeżeli tam kichniesz, dostaniesz nożem w serce. Nie pozwolę, żeby przez twoje smarki złapali wszystkich. Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel.

Ich głosy wrywają żołnierza Queluzę ze snu o ordynansie kapitana Oliveiry — bladym, młodzieńskim chłopcu, koło którego kręci się od dłuższego czasu; widział go dziś rano: srał, przykucnąwszy za kupką kamieni, przy poidłach nad Vassa Barris. Zachowuje nietknięty wizerunek jego gładkich, nieowłosionych nóg i białych pośladków, które zamajaczyły w porannej mgle jak zaproszenie. Obraz jest tak wyraźny, namacalny, żywy, że członek żołnierza Queluzę pręży się, wypychając spodnie, budzi go. Żądza jest tak nagła, że chociaż słyszy ich znowu, chociaż zdaje sobie sprawę, że to głosy zdrajców, nie chwyta za karabin, ale sięga do rozporoka, żeby popieścić członek, rozpalony wspomnieniem krągłych pośladków ordynansa kapitana Oliveiry. I nagle pojmuję, że jest sam pośrodku otwartego pola, że wróg jest tuż, i już całkowicie rozbudzony sztywnieje na całym ciele. Krew ścina mu się w żyłach. A Leopoldinho? Zabili Leopoldinha? Zabili go, słyszał wszystko: nawet nie pisał, nawet nie wiedział, że umiera. Leopoldinho to żołnierz, z którym wspólnie pełni wartę na polu dzielącym Favelę od Vassa Barris, gdzie znajduje się 5. Pułk Piechoty. Dobry towarzysz, strażują na zmianę, żeby choć trochę się przespać.

— Róbcie dużo hałasu, żeby myśleli, że jest nas więcej — mówi ten, który nimi dowodzi. — A przede wszystkim kołujcie ich, żeby nie mieli czasu ani ochoty patrzeć na rzekę.

— W porządku, Pajeu. Urządzimy im taki jarmark, że się nie pozbierają — mówi inny.

Queluz myśli: „Pajeu”. To Pajeu. Leży na pustym polu, otoczony przez jaguncos, którzy skończą z nim, zanim policzy do trzech, jeśli go odkryją, a mimo to, usłyszawszy, że gdzieś w tych ciemnościach, niemal na wyciągnięcie ręki, czai się największy rzeźnik Canudos, Que-luz o mało co nie zrywa się na równe nogi, żeby chwycić za karabin i wypalić w samą pierś potwora. To by dopiero było, gdyby udało mu się upolować tak grubego

zwierza. Całe wojsko by go podziwiała, pułkownik Medeiros, generał Oscar. Dostałby naszywki kaprala, które od dawna mu się należą za wysługę lat i bojową postawę. Ale zawsze pomijają go przy awansie pod głupim pretekstem, że za często odbiera cięgi za nakłanianie rekrutów do popełniania z nim tego, co ojciec Lizzardo nazywa „sromotnym grzechem”. Odwraca głowę i w jasnej, nocnej poświacie widzi sylwetki: dwadzieścia, trzydzieści. Dziwne, że go jeszcze nie rozdeptali. Jakim cudem go nie zauważyli? Łypie oczami, usiłując rozpoznać wśród zamazanych twarzy słynną bliznę. To musi być ten, który przemawia, ten, który przypomina innym, żeby zamiast strzelb użyli granatów, bo dynamit robi więcej huk, i żeby nie dmuchali w świstawki, zanim da znak. Słyszy, jak żegna się z nimi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”. Dobrze sobie, można pęknąć ze śmiechu. Oddział rozsypuje się na pojedyncze cienie, które nikną, oddalając się w stronę pułku.

Nie waha się już. Wstaje, chwyta karabin, ładuje, mierzy w kierunku odchodzących jaguncos i strzela. Ale chociaż naciska z całej siły, kurek ani drgnie. Przeklina, spluwa, trzęsie się z wściekłości za śmierć towarzysza i szepcząc: „Leopoldinho, jesteś tu?”, ponownie ładuje broń i jeszcze raz próbuje wystrzelić na alarm. Potrząsa karabinem, już on mu przemówi do rozumu, musi zrozumieć, że nie może się zacinać teraz, kiedy wokół słychać wybuchy. Już po wszystkim, już wpadli do obozowiska. To jego wina. Granaty rozrywają uśpionych żołnierzy. Już po wszystkim, cholerne sukinsyny, wyrzynają jego towarzyszy. I to jego wina.

Ogłupiały z gniewu, nie wie, co robić. Jak mogli podejść go niepostrzeżenie? Musieli przecież, razem z Pajeu, wyjść z Canudos i przejść okopy patriotów, dojść aż tutaj, żeby zaatakować obozowisko od tyłu. Po co Pajeu pakuje się z garstką ludzi do namiotów pięciuset? W całym sektorze zajęтым przez 5. Pułk Piechoty słychać wrzawę, ruch, wystrzały. Jest zrozpaczony. Co z nim będzie? Jak się wytłumaczy, kiedy zapytają go, dlaczego nie uderzył na alarm, dlaczego nie strzelił, nie krzyknął, nie zrobił czegoś, kiedy zabili Leopoldinia? Kto go ocali od nowej porcji kijów?

Zaślepiiony gniewem, potrząsa karabinem i wyrzywa z niego strzał. W nozdrzach czuje gorący chłód prochu. Widząc, że broń jednak działa, odzyskuje animusz i optymizm, którego w odróżnieniu od innych nie stracił przez te wszystkie miesiące, nawet w obliczu śmierci i głodu. Nie wiedząc jeszcze, co robi, biegnie na przelaj w stronę krwawego jarmarku, jaki jaguncos urządzili żołnierzom, i strzela w powietrze cztery razy, mówiąc sobie, że dymiąca lufa karabinu będzie dowodem, że nie spał, że walczył. Potyka się, pada na twarz. „Leopoldinho? — mówi — Leopoldinho?”. Maca ziemię przed sobą, za sobą, po bokach.

Tak, to on. Dotyka go, trąca. Przekłęci. Spluwa z obrzydzeniem, wstrzymuje torsje. Rozplątali mu szyję, zarznęli go jak barana, głowa zwisa jak u pajaca, kiedy chwyta go pod pachy i podnosi. „Przekłęci, przekłęci”, mówi, a chociaż czuje gniew i ból po stracie towarzysza, przychodzi mu do głowy, że jeżeli wejdzie do obozowiska z tym trupem, to przekona kapitana Oliveirę, że nie spał, kiedy przyszli bandyci, że stawił im czoło. Idzie naprzód, powoli, zataczając się, z Leopoldiniem na plecach, i słyszy, wśród wystrzałów i obozowej wrzawy, ostre, przenikliwe pohukiwanie jakiegoś nieznanego ptaka. Zewsząd odpowiadają mu podobne głosy. Świstawki. Czego tu chcą ci fanatycy, ci zdrajcy? Po co tu przyszli, po co robią tyle huk, jazgoczą tymi świstawkami? Chwieje się pod ciężarem i zastanawia się, czy nie lepiej przystanąć, odpocząć chwilę.

W miarę jak zbliża się do namiotów, spostrzega panujący w obozie chaos: żołnierze, wyrwani ze snu przez wybuchy, strzelają bez ładu i składu, oficerowie wrzeszczą, daremnie próbując przywrócić porządek. Nagle Leopoldinho drgnął. Zdumienie Queluza jest tak wielkie, że rzuca trupa na ziemię. Sam pada obok. Nie, jest zupełnie martwy. Głupiec z niego! To podmuch pocisku podrzucił ciało. Już drugi raz tej nocy ratujesz mi życie, Leopoldinho”, myśli. Ten nóż mógł dosięgnąć jego, dla niego mogła być ta kula. Myśli: „Dzięki,

Leopoldinho". Szczyt wszystkiego, gdyby postrzelili go żołnierze z jego własnego pułku. Przywarł do ziemi, znów pełen obrzydzenia, znów dezorientowany, nie wiedząc, czy leżeć tam, dopóki nie ustanie strzelanina, czy próbować jakoś dotrzeć do namiotów.

Miota się w rozterce, kiedy w ciemnościach, które od strony wzgórz zaczyna rozpraszać błękitnawa poświata, dostrzega dwie biegnące ku niemu sylwetki. Już ma krzyknąć: „Ratunku, na pomoc!”, kiedy jakieś przecucie włącza mu okrzyk z powrotem do gardła. Oczy pieką go z wysiłku, wyteża wzrok, żeby dojrzeć, czy mają mundury, ale w nikłym świetle trudno coś wypatrzeć. Zdejmuje karabin, który miał przewieszony przez ramię, wyjmuje z woreczka naboje, ładuje i mierzy, gdy tylko podchodzą bliżej: to nie żołnierze. Strzela w pierś temu, który stanowi lepszy cel; wraz ze strzałem słyszy zwierzęcy kwik i uderzenie ciała o ziemię. Karabin zacina się znowu. Kurek nie drgnie nawet o włos, chociaż naciska z całej siły.

Klnie i przewraca się na bok; jednocześnie podnosi obiema rękami karabin i uderza drugiego jagunco, który po chwili oszołomienia rzuca się na niego. Queluz umie walczyć, zawsze był najlepszy w zapasach organizowanych przez kapitana Oliveirę. Niespokojny oddech napastnika pali mu twarz. Czuje, że tamten wali w niego bykiem, ale on śledzi to, co najważniejsze: szuka jego ramion, jego rąk, wiedząc, że uderzenia głową, nawet twardą jak kamień, są nieszkodliwe; naprawdę niebezpieczny jest nóż ukryty w dłoni wroga. I rzeczywiście, kiedy z żelazną siłą zaciska mu palce na nadgarstkach, czuje rozdarcie spodni i muśnięcie ostrza na udzie. Wali głową, gryzie, klnie, walczy ze wszystkich sił, żeby utrzymać, odsunąć, wykręcić rękę, w której czyha śmierć. Nie wie, ile sekund, minut, godzin to trwa, ale nagle zdaje sobie sprawę, że opór słabnie, a stalowe ramię wiotczeje w jego uścisku. „Już po tobie, zdrajco — spluwa Queluz — jesteś skończony”. Jeszcze kąsa, jeszcze kopie, jeszcze wali głową, ale już opada z sił, już się poddaje. Wreszcie Queluz czuje, że ręce ma wolne. Podrywa się jednym skokiem, chwytając karabin, podnosi go i już ma zatopić bagnet w brzuchu jagunco, kiedy — noc dawno minęła, nastał świt — widzi przed sobą obrzękłą twarz przeciętą straszliwą blizną. Karabin zawisł w powietrzu. Queluz myśli: „Pajeu”. Mruga, dyszy, rozpiera go podniecenie. Krzyczy: „Pajeu?! Ty jesteś Pajeu?!”. Żyje, oczy ma otwarte, patrzy. „Pajeu?! — krzyczy, oszalały z radości. — I to ja, ja ciebie złapałem”. Jagunco patrzy nań, jakby go nie widział. Próbuje podnieść nóż. „Jeszcze ci mało?”, rechocze Queluz, nadeptując mu pierś. Ach, to nie oto chodzi, on chce... „Chcesz się zabić, Pajeu? — śmieje się Queluz i kopniakiem wytrąca nóż z bezwładnej ręki. — To nie twoja rzecz, zdrajco, zostaw to nam”.

Schwycić Pajeu żywcem to wyczyn jeszcze większy niż go zabić. Queluz wpatruje się w twarz caboclo: spuchniętą, podrapaną, pokąsaną... dostał chyba postrzał w nogę, bo całe spodnie przesiąknięte są krwią. Trudno uwierzyć, że leży u jego stóp. Szuka drugiego jagunco. Widzi go: trzyma się za brzuch, może jeszcze żyje. I nagle spostrzega nadchodzących żołnierzy. Macha do nich w uniesieniu. To Pajeu! — woła — Pajeu! Mam Pajeu!”.

Kiedy już naprzypatrywali mu się, naobmacywali, naobwąchiwali do woli, dają mu kilka kopniaków, ale nie za wiele, bo wszyscy są zgodni, że najlepiej zabrać go żywcem do pułkownika Medeirosa, wloką do obozowiska. Po drodze Queluz odbiera hołdy. Rozchodzi się pogłoska, że zabił jednego z bandytów, którzy napadli na obóz, i że schwycił Pajeu. Wszyscy chcą na niego popatrzeć, pogratulować mu, poklepać po plecach, uściskać. Sypią się przyjacielskie kuksańce, wyciągają się manierki, jakiś porucznik częstuje go papierosem. Queluz nie może powstrzymać się od płaczu. Mamrocze, że żal mu Leopoldinia, ale nie śmierć towarzysza, lecz chwile chwały wyciskają mu z oczu te łzy.

Wzywa go pułkownik Medeiros. Idąc na punkt dowodzenia, jak w transie, Queluz nie



pamięta, że wczoraj pułkownik wpadł w furję, którą wyładował w karach, upomnieniach i naganach, nie oszczędzając nawet majorów i kapitanów. A wszystko przez to, że 1. Brygada nie uczestniczyła w porannym szturmie, który, wedle powszechnej opinii, miał oddać w ręce patriotów ostatnie pozycje zdrajców. Mówiono nawet, że pułkownik Medeiros miał zajście z generałem Oscarem o to, że ten nie zgodził się, aby 1. Brygada ruszyła do szturm, i że dowiedziawszy się, że 2. Brygada pułkownika Gouvei zajęła transzeje fanatyków na cmentarzu, pułkownik Medeiros rozbił o ziemię filiżankę z kawą. Mówiono też, że o zmroku, kiedy sztab nakazał odwrót z powodu wysokich strat i zaciętego oporu, pułkownik Medeiros wychylił szklanę wódki, jakby coś świętował, jakby było co świętować.

Ale wszedłszy do namiotu pułkownika Medeirosa, Queluz nagle wszystko sobie przypomina. Twarz dowódcy 1. Brygady wykrzywia wściekłość. Spodziewał się, że wyjdzie, żeby mu pogratulować. Tymczasem pułkownik siedzi na składanym krześle i klnie, na czym świat stoi. Na kogo tak wrzeszczy? Na Pajeu. Pomiędzy plecami i głowami stłoczonych w namiocie oficerów Queluz dostrzega na podłodze, u stóp pułkownika, żółtawą twarz przeciętą szkarłatną blizną. Żyje, oczy ma na wpół otwarte. Queluz, na którego nikt nie zwraca uwagi, który już nie wie, po co go tu wezwali i ma ochotę wyjść, mówi sobie, że wybuch gniewu pułkownika wywołany jest na pewno nieobecny, pogardliwym spojrzeniem Pajeu. Ale okazuje się, że chodzi o napad na obozowisko; zginęło osiemnastu ludzi.

— Osiemnastu! Osiemnastu! — obraca w ustach słowa, jakby żuł wędzidło, pułkownik Medeiros. — Trzydziestu kilku rannych! Siedzimy tu przez cały dzień i drapiemy się po jajach, kiedy 2. Brygada walczy, a ty przychodzisz z bandą zwyrodnialców i zadajesz nam więcej strat niż tamtym.

„Zaraz się rozplacze”, myśli Queluz. Wystraszony, wyobraża sobie, że pułkownik dowie się jakimś sposobem, że zasnął na warcie i wpuścił bandytów do obozu. Dowódca 1. Brygady zrywa się z krzesła

i zaczyna kopać, tupać, deptać. Plecy i głowy zasłaniają mu to, co dzieje się na podłodze. Lecz po chwili widzi go znowu: purpurowa blizna rozrosła się, pokrywa całą twarz bandyty — miążgę z błota i krwi bez rysów i kształtu. Ale oczy ma wciąż otwarte i wciąż wyziera z nich ta sama obojętność, tak obelżywa i tak niezrozumiała. Krwawa ślina wypływa mu z ust.

Queluz dostrzega szablę w rękach pułkownika Medeirosa i pewien jest, że ma zamiar dobić Pajeu. Ale opiera ją tylko sztychem o jego szyję. W namiocie panuje zupełna cisza. Queluzowi udziela się hieratyczna powaga oficerów. Wreszcie pułkownik Medeiros się uspokaja. Siada z powrotem na krzeselku i rzuca szablę na pryczę.

— Zabić cię to wyświadczyć ci przysługę — mamrocze z goryczą i gniewem. — Zdradziłeś ojczyznę, mordowałeś własnych rodaków, kradłeś, łupiłeś, popełniłeś wszelkie możliwe zbrodnie. Nie ma na ciebie kary.

„Śmieje się”, dziwi się Queluz. Tak, caboclo się śmieje. Marszczy czoło i niewielki garb będący resztką nosa, rozchyła wargi, w małych, ciemnych oczkach pojawia się błysk i nagle z jego gardła wydobywa się krótkie parsknięcie. Śmieje się.

— Bawi cię to — cedzi przez zęby pułkownik Medeiros. Ale zaraz zmienia ton, bo twarz Pajeu tężeje. — Niech pan go zbada, doktorze...

Kapitan Bernardo da Ponte Sanhuesa przykłęka, przykładą ucho do piersi bandyty, zagląda pod powieki, bada puls.

— Nie żyje, ekscelencjo — słyszy Queluz. Pułkownik Medeiros zmienia się na twarzy.

— Podziurawiony jak sito — dodaje lekarz. — Tak naszpikowany ołowiem, że chyba cudem trzymał się przy życiu.

„Teraz — myśli Queluz — moja kolej”. Małeńkie, zielononiebieskie, przenikliwe oczka pułkownika Medeirosa poszukają go wśród oficerów, odnajdą i usłyszy nieuniknione pytanie: „Dlaczego nie wszcząłeś alarmu?”. To nieprawda, przysięgnie na Boga i własną matkę, że strzelał i krzyczał. Ale mijają sekundy, a pułkownik Medeiros wciąż

siedzi na krześle, wpatrzony w trupa bandyty, który umarł, śmiejąc się z niego.

— To jest Queluz, ekscelencjo — słyszy słowa kapitana Oliveiry.

Teraz, teraz. Oficerowie rozstępują się, robią mu przejście. Dowódca 1. Brygady patrzy na niego, wstaje. Widzi — serce skacze mu w piersi — że twarz pułkownika Medeirosa łagodnieje, sili się na uśmiech. On też uśmiecha się do niego z ulgą.

— A więc to ty go upolowałeś? — mówi pułkownik.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiada Queluz, stojąc na baczność.

— No, dokończ, coś zaczął — mówi Medeiros, energicznym ruchem podając mu własną szablę. — Wydlub mu oczy i wyrwij język. Potem obetniesz mu głowę i przerzucisz na drugą stronę barykady. Niech bandyci dowiedzą się, co ich czeka.

## **Rozdział VI**

Kiedy dziennikarz okularnik poszedł wreszcie, baron de Cañabrava, który odprowadził go aż na ulicę, spostrzegł, że jest już późna noc. Zatrzasnął ciężką bramę, oparł się o nią plecami, z zamkniętymi oczami, próbując odpędzić kłębowisko niewyraźnych, gwałtownych obrazów. Służący skwapliwie pospieszył z latarnią: czy życzy sobie, żeby podgrzano kolację? Powiedział, że nie, i zanim odesłał go do łóżka, zapytał, czy Estela już jadła. Tak, skończyła przed chwilą i poszła odpocząć.

Zamiast pójść na górę do sypialni, baron wrócił do gabinetu. Szedł jak lunatyk, wsłuchany w echo własnych kroków. W ciężkim zaduchu panującym w pokoju poczuł, zobaczył unoszące się niby strzępki puchu słowa tej długiej rozmowy, która, zdawało mu się teraz, była nie tyle dialogiem, co dwoma monologami, biegnącymi własnym torem. Nie zobaczy już więcej dziennikarza okularnika, nie będzie z nim rozmawiał. Nie dopuści, żeby wskrzeszono tę potworną historię, w której bezpowrotnie przepadły jego dobra, jego polityczna potęga, jego żona. „Tylko ona się liczy”, szepnął. Tak, z innymi stratami mógł się pogodzić. Na te lata, które zostały mu jeszcze do przeżycia — ile ich będzie? dziesięć, piętnaście? — starczy mu na utrzymanie się na poziomie, do jakiego przywykł. Nie obchodziło go, co będzie potem. Nie ma spadkobierców, nie musi się troszczyć o ich los. A co do polityki, w głębi ducha cieszyło go, że pozbył się jej ciężaru. Polityka była obowiązkiem, jaki narzucił sobie, widząc nieudolność, głupotę, opieszałość i sprzedajność innych. Nie była jego powołaniem: zawsze irytowała go, nudziła, traktował ją jak niesmaczną, deprymującą powinność, odsłaniała bowiem lepiej niż jakiegokolwiek inne zajęcie ludzką marność. Żywił poza tym ukrytą pretensję do tego absorbującego obowiązku, dla którego poświęcił naukowe zamiłowania młodości, kiedy to kolekcjonował motyle i zbierał zioła do zielników. Nigdy natomiast nie pogodził się z tragedią Esteli. To właśnie Canudos, cała ta głupia, niezrozumiała historia ludzi zapiekłych w swoim uporze, starcie ślepych fanatyzmów, winne jest temu, co się stało. Zerwał ze światem i nie powróci do dawnych stosunków. Nikt i nic nie będzie mu przypominać tego epizodu. „Załatwię mu pracę w gazecie — pomyślał. — Korekta, kronika sądowa, coś przeciętnego, w sam raz dla kogoś takiego jak on. Ale nie będę go więcej przyjmował ani słuchał. A jeśli napisze tę książkę o

Canudos, której przypuszczalnie nie napisze, nie będę jej czytał".

Podszedł do barku i nalał sobie kieliszek koniaku. Grzejąc napitek w dłoni, zagłębiony w skórzanym fotelu, skąd przez ćwierć wieku kierował życiem politycznym Bahii, baron de Cañabrava słuchał harmonijnej symfonii świerszczy w ogrodzie, której odpowiadał chwilami fałszywy chór kilku żab. Co go tak niepokoi? Co wywołuje w nim tę niecierpliwość, to mrowienie w całym ciele, jakby właśnie zapominał o czymś niezwykle pilnym, jakby w tych sekundach miało wydarzyć się coś nieodwołalnego, coś, co zadecyduje o jego życiu? Wciąż to Canudos?

Nie może się z tego otrząsnąć, znów o tym myśli. Ale obraz, który w brutalnym błysku ukazał się jego oczom, nie miał związku z tym, co usłyszał od dziennikarza okularnika. Wydarzyło się to, kiedy ani jego, ani tej małej służącej z Calumbi, która teraz jest jego żoną, ani Karzełka, ani nikogo z tych, co przeżyli Canudos, już tam nie było.

Opowiadał mu o tym, przy kieliszku porto, stary pułkownik Murau, kiedy ostatni raz widzieli się tu, w Salwadorze, a jemu z kolei opowiedział to właściciel fazendy Formoza, jednej z wielu zrównanych z ziemią przez jaguncos. Człowiek ów pozostał na miejscu mimo wszystko, czy to z przywiązania do swojej ziemi, czy też dlatego, że nie wiedział, dokąd pójść. Przetrwał tam całą wojnę, utrzymując się z handlu z żołnierzami. Kiedy dowiedział się, że jest po wszystkim, że Canudos upadło, zebrał swoich parobków i wyruszył natychmiast, żeby udzielić pomocy tym, którzy mogli jej potrzebować. Kiedy ujrzeli w oddali szczyty dawnej twierdzy jaguncos, wojska już tam nie było. Zdumiał ich — opowiadał pułkownik Murau i oto baron znów słyszy jego słowa — dochodzący z daleka dziwny, nieokreślony, nieuchwytny dźwięk, tak głośny, że drgało powietrze. Czuli też potężny smród, od którego wywracał się żołądek. Ale dopiero przekroczywszy brunatny grzbiet Poco Trabubu i stanąwszy u jego podnóży, naprzeciw tego, co przestało już być osadą Canudos, a było tym, na co patrzyli, pojęli, że ów dźwięk jest odgłosem uderzeń dziobów i skrzydeł tysięcy sępów, niby poszum bezkresnego morza toczącego szare, czarniawe, żarłoczne fale. Nienasycone, ciężkie od obżarstwa, pokrywały wszystko wokół, ukazując ich oczom to, czego nie zdołał zniszczyć proch, kule i pożar: członki, kończyny, głowy, grzbiety, trzewia, strzępy skóry na wpół zwęglone lub oszczędzone przez ogień, które te łapczywe stworzenia szarpały teraz, rozrywały, połykały zachłannie. „Tysiące, tysiące sępów”, mówił pułkownik Murau. Mówił też, że przerażeni tym, co wydało im się wcieleniem koszmaru, fazender z Formozy i jego parobcy, widząc, że nie ma już kogo grzebać, bo pogrzebem zajęły się te odrażające ptaszyska, odeszli stamtąd w pośpiechu, zatykając usta i nosy. Ów obraz natrętny, napastliwy, wyrwał się w jego umyśle i nic nie zdołało go zatrzeć. „Zasłużyli sobie na taki koniec”, odpowiedział staremu Murau, zanim zmusił go do zmiany tematu.

Czy to go tak niepokoi, dręczy, sprawia, że czuje się, jakby siedział na rozżarzonych węglach? Te chmary krwiożerczych ptaków pożerających ludzką padlinę, która była wszystkim, co zostało z Canudos? „Dwadzieścia pięć lat babrania się w brudach plugawej polityki, żeby ocalić Bahię od głupców i tępaków, na których spadła odpowiedzialność, jakiej nie byli w stanie podolać; i to tylko po to, żeby wyprawić ucztę sępom”, pomyślał. I wówczas obraz hekatomby przesłoniła tragicomiczna twarz, pośmiewisko o zezowatych, wodnistych oczach skrytych za naroślami binokli, o wystającym podbródku i absurdalnie obwisłych uszach, mówiąca z podnieceniem o miłości i rozkoszy: „najwspanialsza rzecz na świecie, baronie, jedyne, w czym człowiek może znaleźć jakieś szczęście, poznać, czym jest to, co nazywają szczęściem”. A więc oto chodzi. To go tak niepokoi, dręczy, jątrzy. Wypił łyk koniaku, potrzymał przez chwilę w ustach pałący trunek, przełknął i poczuł, jak spływa mu w gardło, rozgrzewa wnętrności.

Wstał: nie wiedział jeszcze, co zrobi, co pragnie zrobić, ale czuł jakieś niespokojne

pulsowanie ciała i wydawało mu się, że nadeszła chwila, by podjąć decyzję o nieobliczalnych skutkach. Co ma zrobić, co chce zrobić? Odstawił do barku kieliszek z koniakiem. Czuł przyspieszone bicie serca, w skroniach łomotała mu krew, krążąca żywiej po skomplikowanej geografii jego ciała. Wyszedł z gabinetu, minął wielki salon i obszerny podest — wnętrza, rozjaśnione tylko blaskiem ulicznej latarni, były puste i mroczne — po czym ruszył w stronę schodów. Mała lampka oświetlała stopnie. Wchodził szybko, stąpając na palcach, tak że nawet on sam nie słyszał swoich kroków. Na górze, bez wahania, zamiast skierować się do swojej sypialni, poszedł w stronę pokoju, w którym spała baronowa, oddzielonego parawanem od gotowalni, gdzie urządziła się Sebastiana, żeby być w pobliżu, gdyby Estela potrzebowała jej w nocy.

Kiedy sięgał ręką do klamki, przyszło mu na myśl, że drzwi mogą być zaryglowane. Nigdy nie wchodził tu bez pukania. Były otwarte. Zamknął je za sobą, odszukał zatrzaszk i zasunął go. Od progu dostrzegł żółte światło nocnej lampki — knot pływający w naczyniu z oliwą — które padało na część łóżka baronowej, wydobywając z mroku błękitną kołdrę, baldachim i tiulowe firanki. Stojąc w miejscu, bez najlżejszego hałasu, bez drżenia rąk, baron zdejmował z siebie ubranie. Kiedy był już nagi, przeszedł na palcach przez pokój do gotowalni Sebastiany.

Dotarł do brzegu łóżka, nie zbudziwszy pokojówki. W niepewnym blasku gazowej ulicznej latarni, który niebiesciał, przechodząc przez firanki, baron mógł dojrzeć kształty śpiącej kobiety okrytej prześcieradłem, które unosiło się i opadało wraz z jej oddechem i załamywało się, ukazując zarysy jej ciała. Leżała na boku, z głową opartą na okrągłej poduszeczce. Włosy, rozpuszczone, długie, czarne, rozsypane, opadały na łóżko, przelewały się przez krawędź i zwieszały aż na podłogę. Pomyślał, że nigdy nie widział Sebastiany stojącej z rozpuszczonymi włosami; sięgają jej chyba do samych stóp i na pewno kiedyś, przed lustrem albo w obecności Esteli, owinęła się w nie dla zabawy jak w jedwabisty koc. Obraz ten począł budzić w nim uśpiony instynkt. Podniósł rękę do brzucha i dotknął swego seksu: był zwiotczały, ale w tej gnuśności, miękkości, zwinności i jakby radości, z jaką żołądź pozwoliła wyłuskać się z napletka, poczuł, że buzuje w nim ukryte życie, które czeka tylko wezwania, by ocknąć się i wytrysnąć. Wszystko, czego się obawiał, idąc tutaj — Jak zareaguje pokojówka? Co zrobi Estela, jeśli Sebastiana obudzi się z krzykiem? — znikło momentalnie i naraz nieoczekiwana, niewyraźna twarz Galileo Galla stawiała się jak na wezwanie w jego myślach, przypominając o ślubie czystości, który złożył rewolucjonista, by oddać się bez reszty nauce i działaniu, będącymi dlań nakazami wyższego rzędu. „Byłem tak samo głupi jak on”, pomyślał. Nie złożywszy ślubów, wypełniał je przez długie lata, wyrzekając się rozkoszy i szczęścia dla tego nikczemnego obowiązku, jaki sprowadził nieszczęście na istotę, którą kochał najbardziej na świecie.

Bezwiednie, automatycznie, pochylał się, aż poczuł pod sobą krawędź łóżka; wówczas sięgnął przed siebie obiema rękami naraz — jedną, żeby odsunąć okrywające Sebastiane prześcieradła, a drugą w stronę jej ust, żeby stłumić spodziewany okrzyk. Kobieta skuliła się i zeszywniała; otworzyła oczy. W nozdrza uderzył go podmuch ciepła, intymność ciała Sebastiany, której nigdy nie miał tak blisko; poczuł, że jego seks ożywia się nagle, poczuł napięcie jąder odradzających się między udami. Sebastiana nie krzyknęła, nie zerwała się z łóżka; wydała tylko zduszony jęk, a jej gorący oddech owionął dłoń, którą baron zatrzymał o milimetr od jej ust.

— Nie krzycz. Radzę ci, nie krzycz — wyszeptał, czując, że nie brzmi to stanowczo, ale to nie brak pewności siebie sprawił, że zadrzał mu głos, lecz żądza. — Proszę cię, nie krzycz.

Ręką, którą odsunął prześcieradła, pieścił teraz przez koszulę, zapiętą po samą szyję,

piersi Sebastiany: były wielkie, kształtne, niezwykle jędrne jak na kobietę dobiegającą czterdziestki; czuł, jak twardnieją pod opuszkami jego palców, napastowane przez zimno. Przesunął palcami po grzbiecie jej nosa, po ustach, po brwiach, najdelikatniej jak umiał, po czym zanurzył je w pukiel włosów, oplatał jej lokami. Jednocześnie zaś usiłował przepędzić uśmiechem zwierzęcy strach, jaki widział w osłupiałym, pełnym niedowierzania spojrzeniu kobiety.

— Już dawno powinienem to zrobić, Sebastiano — powiedział, muskając wargami jej policzki. — Powinienem to zrobić pierwszego dnia, w którym cię zapragnąłem. Byłbym szczęśliwszy, Estela byłaby szczęśliwsza i ty może także.

Pochylił twarz, szukając wargami jej warg, ale ona, z trudem przełamując drętwość, w jakiej pograżyły ją strach i zdumienie, odsunęła się, a baron, czytając błaganie z jej oczu, usłyszał, jak bełkocze:

— Proszę, na wszystko, co panu najdroższe, błagam... Pani, pani...

— Pani leży tu obok, a ja kocham ją bardziej niż ty — usłyszał własne słowa, ale miał uczucie, że to mówi ktoś obcy, ktoś, kto jeszcze próbuje myśleć; on sam był tylko rozpalonym ciałem, rozbudzonym już teraz zupełnie seksem, który — podniesiony, twardy, wilgotny — uderzał o jego brzuch. — Robię to także dla niej, chociaż ty tego nie możesz zrozumieć.

Pieszcząc jej piersi, natrafił na guziki koszuli: pod jego palcami wyskakiwały z dziurek, jeden po drugim; jednocześnie wolną ręką ujął Sebastianę z tyłu za kark, zmuszając, by przechyliła głowę i podała mu usta. Poczuł, że są zimne, mocno zaciśnięte, i spostrzegł, że zęby pokojówki szczękają, że dygocze cała i oblewa się potem.

— Otwórz usta — rozkazał tonem, którego rzadko używał wobec służby i niewolników, kiedy jeszcze ich miał. — Jeśli będę musiał zmusić cię do uległości, zrobię to.

Poczuł, że wiedziona prawdopodobnie nawykiem, obawą lub instynktem, biorącym początek z wiekowej tradycji, o czym jego ton umiał jej przypomnieć, pokojówka usłuchała go, lecz jej twarz, w błękitnym półmroku gotowalni, wykrzywiła się w grymasie, w którym do strachu dołączył teraz nieskończony wstręt. Ale to nie miało dla niego znaczenia, bo jego język wsuwał się właśnie w jej usta, zderzał się z jej językiem, popychał go to w tę, to w tamtą stronę, ślizgał się po jej dziąsłach i podniebieniu, usiłując podać jej trochę swojej śliny, a potem zebrać ją i połknąć. Nie przestawał przy tym rozpinąć, wrywać guzików jej koszuli, którą próbował z niej zedrzeć. Ale chociaż duch i usta Sebastiany uległy, jej ciało wciąż stawiało opór, mimo strachu, a może dlatego, że jakiś strach, jeszcze większy niż ten, co kazał jej poddać się woli mężczyzny, który miał nad nią władzę, sprawił, że bronila się zażarcie. Leżała skulona, zeszywniała; baron rzucił się na łóżko i próbował ją objąć, czuł jednak, że powstrzymują go ramiona, którymi zasłoniła się przed nim jak tarczą. Słyszał, jak błaga o coś stłumionym szeptem, i pewien był, że zaczęła płakać. Nie zważał na to, zajęty ściąganiem koszuli, która wciąż czepiała się jej ciała. Zdołał otoczyć ją ramieniem i przyciągnąć do siebie, zmusić, żeby przyłgnęła do niego, podczas gdy drugą ręką zadzierał jej koszulę. Po krótkiej szarpaninie, gdy wciąż napierał i naciskał, a jego siła i pożądanie narastały bez końca, zdołał wreszcie wspiąć się na Sebastianę. Rozsuwając kolanem zaciśnięte uda, całował zachłannie jej szyję, ramiona i, długo, piersi. Poczuł, że zaraz wytryśnie na jej brzuch — szeroki, gorący, miękki — o który ocierał się jego członek: przymknął oczy i powstrzymał się z ogromnym wysiłkiem. Udało mu się i wówczas ześlizgnął się po jej ciele, pieszcząc, wachając, całując jej biodra, pachwiny, brzuch, włoski porastające wypukły wzgórek, które odnajdywał we własnych ustach, sztywne i skrzycone. Rękami, podbródkiem napierał z całych sił, słysząc jej szloch, aż wreszcie zmusił ją, by rozsunęła uda, i sięgnął ustami do jej seksu.

Kiedy całował go, wysysał, zagłębiał weń język i spijał jej soki, pogrążony w upojeniu, które uwalniało go od wszystkich smutków i goryczy, od tamych obrazów, które drażyły jego życie, poczuł na plecach czyjeś delikatne palce. Podniósł głowę i odwrócił się, wiedząc, kogo zobaczy: za nim stała Estela, patrzyła na niego.

— Estelo, kochanie, kochanie moje — powiedział z czułością, czując, jak ślina i soki Sebastiany ściekają mu z warg; ale nie podniósł się z klęczek i wciąż rozpychał łokciami nogi pokojówki. — Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie. Robię to, bo pragnę tego od dawna, robię to z miłości do ciebie. Żeby być bliżej ciebie, kochanie moje.

Czuł konwulsje wstrząsające ciałem Sebastiany, słyszał, jak łka z rozpaczą, zakrywszy rękami usta i oczy, i widział nad sobą nieruchomą postać baronowej, przypatrującej mu się szeroko rozwartymi oczami. Nie wyglądała na wystraszoną, rozgniewaną, przerażoną; raczej była lekko zaintrygowana. Miała na sobie tylko cienką koszulę: odgadywał w półmroku zamglone kontury jej ciała, którego czas nie zdołał zniekształcić, tę postać wciąż jeszcze harmonijną, wycyzelowaną, jej jasne włosy. Ciemność zatarła na nich pasemka siwizny, a spod siatki wymykało się kilka kosmyków. Wpatrywał się w jej twarz, by dojrzeć, czy na jej czole nie pojawiła się ta głęboka, samotna fałda, nieomylny znak sprzeciwu, jedyny przejaw uczuć, którego Estela nigdy nie zdołała opanować. Ale nie zmarszczyła brwi; tylko lekko rozchylone usta podkreślały zaintrygowanie, ciekawość, nieznaczne zdziwienie w jej oczach. To zdarzyło się jej po raz pierwszy, to zwrócenie się na zewnątrz, to zainteresowanie czymkolwiek poza nią samą, bo od tamtej nocy w Calumbi baron nie widział w oczach baronowej innego wyrazu niż obojętność, chłód, duchowe oddalenie. Jej bladeść wydawała się teraz bardziej widoczna, być może z powodu błękitnego półmroku, być może z powodu tego, co przeżywała. Baron poczuł, że dławi go wzruszenie, i z trudem powstrzymywał się od płaczu. Odgadł raczej niż zobaczył sine, gołe nogi Esteli na lśniącym parkiecie i, posłuszny impulsowi, schylił się, żeby je ucałować. Baronowa stała nieruchomo, gdy on na klęczkach, z nieskończoną miłością i czcią, okrywał pocałunkami jej stopy, palce, paznokcie, pięty i namiętnie bełkotał, że je kocha, że zawsze były dla niego piękne, godne najwyższego uwielbienia, bo przez całe życie dawały mu rozkosz, której nigdy nie zdoła odplacić. Przesunął wargi do kruchych kostek i poczuł, że jego żona drgnęła; szybko uniósł głowę: spostrzegł, że ręka, która przedtem dotykała jego pleców, znowu zbliża się, powoli, łagodnie, z tą samą naturalnością, dystynkcją, mądrością, z jaką Estela zawsze poruszała się, mówiła, postępowała, i poczuł jej dłoń na swoich włosach, pojednawczą, miękką, a w tym geście, za który był jej nieskończenie wdzięczny, nie było nagany i wrogości, ale jakaś łaskawość, czułość, przyzwolenie. Pożądanie, które opadło zupełnie, powróciło nagle i baron spostrzegł, że jego członek znów twardnieje. Chwycił rękę Esteli, podniósł ją do ust, ucałował i nie puszczając jej, odwrócił się w stronę łóżka, gdzie Sebastianę, zasłoniwszy twarzą ramieniem, leżała jakby nieobecna, pogrążona w sobie; wyciągnął rękę i położył ją na wypukłym łonie pokojówki, którego czerń kontrastowała z herbacianym kolorem jej ciała.

— Zawsze chciałem dzielić ją z tobą, kochanie moje — wybełkotał głosem zdławionym przez sprzeczne uczucia onieśmienia, wstydu, wzruszenia i narastającego pożądania. — Ale nigdy nie śmiałem, bałem się, że cię obrażę, skrzywdzę. Myliłem się, prawda? Prawda, że bym cię nie obraził, nie zranił? Że przyjąłabyś to z radością? Ze raz jeszcze okazałbym ci, jak bardzo cię kocham, Estelo?

Żona wciąż patrzyła na niego bez gniewu, już bez zaskoczenia, i miała to samo łagodne spojrzenie *co* dawniej. Zobaczył, że po chwili odwróciła się i spojrzała na Sebastianę, która ciągle szlochala, skulona na łóżku; dostrzegł, że jej obojętne dotąd spojrzenie nabrało wyrazu słodczy. Zrozumiał i puścił rękę baronowej. Estela podeszła do wezgłowia, usiadła na brzeжку, wyciągnęła ramiona z tym niepowtarzalnym wdziękiem, jaki zawsze podziwiał

we wszystkich jej ruchach, ujęła w dłonie twarz Sebastiany, ostrożnie, delikatnie, jak naczynie z kruchej porcelany. Nie chciał dalej patrzeć. Pożądanie powróciło z furją i baron znowu pochylił się, rozsuwając nogi pokojówki, zmuszając, by otworzyła się przed nim, żeby mógł całować ją, wdychać, spijać. Tkwił tak długą chwilę, upojony, wciąż nienasycony, z przymkniętymi oczami, a kiedy poczuł, że już nie może się powstrzymać, wyprostował się i na klęczkach wspiął na Sebastianę. Rozsunął jej nogi, pomagając sobie odrętwiałą ręką, poszukał jej seksu i wszedł w nią jednym ruchem, w nagłym bólu i rozdarciu, które potęgowało jego rozkosz. Usłyszał jej jęk i zdołał jeszcze dojrzeć w tej oszalałej chwili, gdy życie zdawało się wybuchać między jego udami, że baronowa wciąż trzyma obie ręce na twarzy Sebastiany, patrzy na nią z czułością i litością, zdmuchując leciutko kosmyki włosów z jej czoła.

Wiele godzin później, kiedy wszystko minęło, baron otworzył oczy, jakby coś zbudziło go nagle. Do sypialni wpadało światło poranka, słychać było ptasi świergot i daleki pomruk morza. Podniósł się z łóżka Sebastiany, gdzie leżał samotnie; stanął, okrył się prześcieradłem, które podniósł z podłogi, i przeszedł kilka kroków dzielących go od pokoju baronowej. Estela i Sebastiana spały, jakby zagubione w obszernym łożu; baron przez chwilę przypatrywał się im przez tiul moskitiery, z nieokreślonym uczuciem tkliwości, melancholii, wdzięczności i niejasnego niepokoju. Ruszył do drzwi prowadzących do korytarza, w którym wczoraj zrzucił ubranie; kiedy przechodził obok balkonu, zatrzymał go widok zatoki, rozświetlonej wschodzącym słońcem. Obraz Salvadora w blasku wstającego lub ginącego dnia, oglądany już przezeń niezliczone razy, nie nużył go nigdy. Wychylił się przez balustradę i napawał oczy zachłanną zielenią wyspy Itaparica, bielą i wdziękiem wypływających w morze żaglówek, jasnym błękitem nieba, seledynową szarością wody i rysującą się u jego stóp łamaną, jasnoczerwoną linią widnokręgu, kreśloną przez dachy domów, w których wyczuwał poranny ruch, początek codzienności. Zalała go cierpka słodycz nostalgii, kiedy pod dachami dzielnic Destierro i Nazareth próbował dla zabawy odnaleźć siedziby swych dawno nie widzianych przyjaciół, towarzyszy politycznych zmagających: barona de Cotagipe, barona de Macaubar, wicehrabiego de Sao Lorencu, barona de Sao Francisco, markiza de Barbacena, barona de Maragogipe, hrabiego de Sergimiruin, wicehrabiego de Oliveira. Jego spojrzenie ślizgało się po różnych punktach miasta, po dachach Seminarium i zieleni Ladeiras, po dawnym Kolegium Jezuitów, po sylwetce Windy Hydraulicznej, po gmachu Urzędu Celnego; przez chwilę przyglądał się migotaniu słońca na złotych kamieniach kościoła Matki Bożej Niepokalanej, które przywieźli aż z Portugalii, ociosane już i obrobione, dwaj rozbitekowie w podzięce dla Najświętszej Pani, a dalej, chociaż tego nie mógł dojrzeć, odgadywał różnobarwną, mrówczą krzątaninę Targu Rybnego na plaży. Wtem coś przykuło jego uwagę. Spowaźniał. Przechylony nad balustradę patrzył, wytężywszy wzrok, po czym szybko podszedł do komody, gdzie Estela trzymała szylkretową lornetkę, której używała w teatrze.

Wrócił na balkon i spojrzał raz jeszcze. Poczuł się nieswojo, narastał w nim jakiś nieprzyjemny niepokój. Tak, nie przywidziało mu się: gdzieś pośrodku między wyspą Itaparica i okrągłą bryłą fortu Sao Marcelo zobaczył łodzie; ale ludzie na łodziach nie łowili ryb. Rzucali kwiaty w morze, rozsypując na falach płatki, korony, łądygi, żegnali się znakiem krzyża i chociaż nie mógł tego słyszeć, bo tak głośno łomotało mu serce, pewien był, że modlą się, a może i śpiewają.

Lew z Natuby słyszy, jak mówią, że dziś jest pierwszy października, urodziny Aniołka, i że żołnierze szturmują Canudos z trzech stron, usiłując przedrzeć się przez barykady Matki Kościoła, Świętego Piotra i Świątyni Dobrego Jezusa, ale tylko jedna jedyna wiadomość kołacze się w jego rozczochranej głowie: głowa Pajeu, bez oczu, bez języka i bez uszu, tkwi od kilku godzin na kiju wbitym na wałach heretyckich transzei, gdzieś w pobliżu

Starej Fazendy. Zabili Pajeu. Tak samo pewnie zginęli wszyscy, którzy razem z nim wpadli do obozowiska ateistów, żeby pomóc braciom Vilanova i tamtym cudzoziemcom wydostać się z Canudos, i pewnie tak samo ich torturowali i pucinali im głowy. Czy tak wiele brakuje, żeby to samo przytrafiło się jemu, Matce Ludzi i służebniczkom, które ukłękły, by pomodlić się za męczeństwo Pajeu?

Kiedy otwierają się drzwi Sanktuarium, pchnięte przez Joao Mnicha, Lwa z Natuby ogłusza wrzawa i strzały.

— Wychodźcie! Wychodźcie! Idźcie stąd! — ryczy Komendant Ulicy, poganiając ich obiema rękami, żeby się pospieszyli. — Do Świątyni Dobrego Jezusa! Biegiem!

Odwraca się i niknie w kurzawie, która razem z nim wpadła do Sanktuarium. Lew z Natuby nie ma czasu się przestraszyć, pomyśleć, wyobrazić sobie, co się dzieje. Słowa Joao Mnicha podrywają na równe nogi służebniczki; jedne krzycząc, inne żegnając się znakiem krzyża, rzucają się do wyjścia, popychają go, tratują, wgniatają w ścianę. Gdzie się podziały jego sandały-rękawice, te podeszwy z surowej skóry, bez których nie może chodzić, bo ściera sobie dłonie do krwi? Maca rękami to tu, to tam w szerniałym powietrzu izby, nie znajduje ich i widząc, że wszyscy odeszli, że odeszła nawet matka Maria Qua-drado, pędzi co tchu do drzwi. Całą swoją energię, całą błyskotliwą inteligencję skupił na tym, żeby dotrzeć do świątyni Dobrego Jezusa, jak kazał Joao Mnich; kiedy tak gna naprzód, siniacząc się i raniąc, po wertepach okopów otaczających Sanktuarium, spostrzega, że nie ma tam już gwardzistów, przynajmniej żywych, bo tu i ówdzie widzi leżące wśród worków i skrzyń z piachem ludzkie ciała, o których stopy, ramiona, głowy potykają się jego ręce i nogi. Wreszcie wydostaje się z gmatwaniny barykad na plac i już ma go przebiec, kiedy instynkt samozachowawczy, ów szósty zmysł, który od dziecka uczył go wykrywać niebezpieczeństwo wcześniej niż inni, lepiej niż inni, i dzięki któremu umiał natychmiast wybrać najmniejsze zło, sprawia, że zatrzymuje się, kuli za stertą dziurawych baryłek, z których sypie się piach. Nigdy nie dotrze do nieukończonej Świątyni, zostanie powalony, stratowany, zmiżdżony przez rozpędzony, oszalały, wezbrany tłum, a nawet jeśli dojrzy do jej wrót, nigdy nie zdoła — wielkie, żywe, przenikliwe oczy skryby wiedzą to od pierwszego spojrzenia — przedrzeć się przez kłębowisko ciał, które rozplaszczają się, ześlizgują i odskakują od wejścia do ostatniego kamiennego schronu w Belo Monte niby od szyjki jakiejś ogromnej butelki. Lepiej już zostać tutaj i czekać na śmierć, zamiast szukać jej w tym ścisku, którego nie przetrzyma jego kruchy szkielet i przed którym czuje nieprzewyciężony lęk, odkąd włączył się w gromadne, kolektywne, procesyjne, ceremonialne życie Canudos. Myśli: „Nie mam do ciebie żalu, że mnie opuściłaś, Matko Ludzi. Masz prawo walczyć o własne życie, próbować przetrwać jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę”. Ale w sercu czuje bolesną zadrę. Ta chwila nie byłaby tak ciężka i gorzka, gdyby Maria Quadrado albo któraś ze służebniczek była tu przy nim.

Skulony za beczkami i workami, wyglądając to w jedną, to w drugą stronę, stopniowo formuje sobie obraz tego, co dzieje się w czworoboku między kościołami i Sanktuarium. Barykada wzniesiona zaledwie dwa dni temu za cmentarzem, ta sama, która osłaniała kościółek Świętego Antoniego, ustąpiła pod naporem wroga i heretycy weszli, wchodzą do domów przy Świętej Inez sąsiadujących z kościołem. To ze Świętej Inez wali ten tłum, który usiłuje schronić się w Świątyni: starcy, staruszki, kobiety z niemowlętami w ramionach, na rękach, przy piersi. Ale w mieście jest jeszcze sporo ludzi, jeszcze stawiają opór. Naprzeciwko, z wież i rusztowań Świątyni Dobrego Jezusa idzie nieprzerwany ogień, udaje mu się nawet dojrzeć iskry zapalające proch karabinków i uderzenia kul, które rozłupują kamienie, dachówki, deski, wszystko, co go otacza. Joao Mnich przyszedł na pewno, żeby ich ostrzec i zabrać ze sobą gwardzistów z Sanktuarium; pewnie walczą teraz na Świętej Inez



albo budują nową barykadę, zacieśniając jeszcze ten krąg, o którym mówił — „i nie bez powodu” — Nauczyciel. Gdzie są żołnierze, gdzie zobaczy nadchodzących żołnierzy? Która to może być godzina? Kurz i dym, gęstniejący z każdą chwilą, drażnią mu gardło i oczy; oddycha z trudem, kaszle.

— A Nauczyciel? A Nauczyciel? — słyszy czyjś głos, tuż nad uchem. — Czy to prawda, że poszedł do nieba, że zabrali go aniołowie?

W pomarszczonej twarzy leżącej na ziemi staruszki widać tylko jeden ząb, powieki ma sklezione, zaropiałe. Nie wygląda na ranną, raczej na wycieńczoną.

— Poszedł, poszedł do nieba — potakuje Lew z Natuby w oczywistym przeświadczeniu, że jest to jedyne, co może dla niej zrobić w tej chwili. — Zabrali go aniołowie.

— Po moją duszę też przyjdą, Lwie? — szepcze staruszka.

Lew znów kiwa potakująco głową. Starowina uśmiecha się do niego, po czym nieruchomieje, cicha, z otwartymi ustami. Strzelanina i krzyki ze zburzonego kościoła Świętego Antoniego wzmagają się raptownie i Lew z Natuby ma uczucie, że roje kul przelatują mu tuż nad głową, a wiele z nich grzęźnie w workach i baryłkach, za którymi się ukrył. Leży rozplaszczony na ziemi, z zamkniętymi oczami, wyczekując.

Kiedy hałas słabnie, podnosi głowę i wpatruje się pilnie w stertę gruzu na miejscu zwalonej dwie noce temu dzwonnicy Świętego Antoniego. Są tam. Pali go w piersiach. Są tam, są tam, ruszają się między kamieniami, strzelają do Świątyni Dobrego Jezusa, do przepychającego się u wejścia tłumu, który, widząc, że nadchodzą, i czując uderzenia kul, wybiega im w popłochu naprzeciw, z rozczapierzonymi rękami, z twarzami nabiegłymi gniewem, oburzeniem, pragnieniem zemsty. W parę chwil plac zamienia się w pole bitwy: w kurzawie, która zaciera obraz, Lew z Natuby widzi walczących ludzi, skłębionych, tarzających się po ziemi, widzi szable, bagnety, noże, siekiery, słyszy wrzaski, obelgi, wiwaty na cześć republiki, okrzyki na śmierć republice, wiwaty na cześć Nauczyciela, Dobrego Jezusa i marszałka Floriano. W ciżbie starców i kobiet pojawiają się teraz jaguncos z Gwardii Katolickiej, przybywa ich, wciąż napływają nowi przez wolne przejście z boku placu. Wydaje mu się, że poznaje Joao Mnicha, a tam dalej, ta ciemna postać, która prze naprzód z wielkim rewolwerem w jednej ręce i maczetą w drugiej, to chyba Joao Wielki albo Pedrao. Żołnierze są też na zwalonym dachu kościoła Świętego Antoniego, tam gdzie jeszcze przed chwilą byli jaguncos, ostrzeliwiają plac zza ściętych wybuchem ścian, widzi czapki, mundury, lederwerki. I pojmuje wreszcie, co robi jeden z nich, niemal zawieszony w próżni ponad okaleczonym dachem fasady. Zatyka chorągiew. Nad Belo Monte powiewa chorągiew republiki.

Wyobraża sobie, co by czuł, co by powiedział Nauczyciel, gdyby zobaczył, jak łopocze ta chorągiew, podziurawiona kulami, które sypią się na nią z dachów, wież i rusztowań Świątyni Dobrego Jezusa, kiedy nagle widzi żołnierza, który mierzy weń i strzela.

Nie kuli się, nie ucieka, nie rusza się z miejsca, przychodzi mu na myśl, że jest jak jeden z tych ptaków, które kobra hipnotyzuje na drzewie, zanim rzuci się na nie i pożre. Żołnierz celuje w niego, a po ruchu ramienia uderzonego odskakującą kolbą Lew z Natuby poznaje, że wystrzelił. Mimo kurzawy, dymu, widzi oczy mężczyzny, który ponownie podnosi karabin do twarzy, dostrzega błysk źrenic, świadomych, że mają go na swej łasce, dziką radość pewności, że tym razem musi trafić. Ale ktoś jednym szarpnięciem wyrывa go z miejsca i zmusza do skoku, biegu, a ściśnięte czyjaś żelazną ręką ramię omal nie wyskakuje mu ze stawów. To Joao Wielki, półnagi, który krzyczy, pokazując na Campo Grande:

— Tam, tam, do Dzieciątka Jezus, do Świętego Eliasza, do Świętego Piotra! Tam się

jeszcze trzymamy! Uciekaj, biegnij!

Puszcza go i znika w chaosie kościołów i Sanktuarium. Lew z Natuby, pozbawiony oparcia w dłoni, która trzymała go w powietrzu, przewraca się na ziemię. Przez chwilę odpoczywa, żeby dojść do siebie po szaleńczej gonitwie. Czuje się, jakby miał poprzestawiane wszystkie kości. Ale brutalne pchnięcie dowódcy Gwardii Katolickiej poruszyło w nim widać jakiś ukryty motor, bo znów rzuca się do truchtu między gruzy i śmiecie zaścielające Campo Grande, jedyną ulicę w Canudos, która dla swej szerokości i gładkiej nawierzchni zasługiwała na swe miano, chociaż teraz jest już tylko pustkowiem pokrytym wysypką dziur, zawalisk i trupów. Nic nie widzi, nie wie, co zostawia za sobą, co wymija, przyklejony do ziemi, nie czuje zadrapań, uderzeń, ostrych ukłuć kamieni i szkła, bez reszty pochłonięty wysiłkiem dotarcia tam, gdzie mu kazano, na uliczkę Dzieciątka Jezus, na Świętego Eliasza i Świętego Piotra Męczennika, która niby zygzakowata zmiyka wije się przez miasto aż do ulicy Matki Kościoła. Tam będzie bezpieczny, tam przeżyje, przeżyje. Za trzecim rogiem Campo Grande skręca w zatłoczony wąwóz dawnej ulicy Dzieciątka Jezus, słyszy terkot karabinów, widzi wznoszące się ku niebu czerwone, żółte, szare spirale płomieni i dymu. Przykuca za jakąś wywróconą taczka, obok resztek drewnianego płotu, jedynej pozostałości po stojącej tu chacie. Nie wie, co robić. Czy jest sens iść na spotkanie tych płomieni, tych kul? Czy nie lepiej zawrócić? W górze ulicy, na skrzyżowaniu Dzieciątka Jezus i Matki Kościoła, dostrzega pojedyncze postacie i grupki krążące bez pośpiechu, tam i z powrotem. To barykada, lepiej tam dotrzeć, lepiej umrzeć tam, gdzie są ludzie.

Ale nie jest tak osamotniony, jak sądzi, bo kiedy, podskakując, niezręcznie wspina się po pochyłości Dzieciątka Jezus, słyszy swoje imię, wykrzykiwane, skandowane, to z prawej, to z lewej, przez jakieś głosy wydobywające się spod ziemi: „Lwie! Lwie! Chodź tutaj! Kryj się, Lwie! Chowaj się, Lwie!”. Gdzie? Gdzie? Nie widać nikogo, gna więc przed siebie po zwałach ziemi, ruin, odpadków i trupów, mija ciała, wypatroszone, z wyprutymi wnętrznościami, okaleczone przez szrapnele i leżące tu już od dłuższego czasu, sądząc z unoszącego się nad nimi smrodu, który miesza się z sunącymi naprzeciw chmurami dymu i sprawia, że Lew dusi się, że łzawią mu oczy. I nagle widzi żołnierzy. Sześciu. Trzech ma pochodnie, które maczają w blaszance niesionej przez czwartego. W środku pewnie jest nafta, bo umoczywszy je, zapalają i ciskają na domy, podczas gdy inni strzelają, przystawiając lufy karabinów niemal do samych ścian. Stoi niespełna dziesięć kroków od nich, tam, gdzie znieruchomiał, sparaliżowany ich widokiem; patrzy na nich, ogłuszony, na wpół oślepiony i naraz, wszędzie wokół niego, wybucha strzelanina. Rozpłaszcza się na ziemi, ale nie zamyka oczu; patrzy, urzeczony. Widzi, jak idą w rozsypkę, skręcają się, krzyczą, rzucają broń żołnierze, których dosięgły kule. Skąd to? Skąd to? Jeden z heretyków, trzymając się za twarz, toczy się w jego stronę. Widzi, jak nieruchomieje, z językiem wywalonym z ust.

Skąd strzelali, gdzie są jaguncos? Jego czujne oczy bacznie śledzą leżące ciała, przeskakują z jednego na drugie, bojąc się, że któreś wstanie, podejdzie, żeby zadać mu śmiertelny cios.

Ale widzi tylko jakiś kształt przyklejony do ziemi, rozczapierzone dłonie wypelzające jak glisty z jednego z domów; ledwie zdążył pomyśleć: dzieciak?, a już jest ich trzech, czołgają się do trupów, szarpią je, obszukują. „Rozbierają ich”, myśli Lew z Natuby. Ale oni zabierają torby z nabojami i manierki. Jeden z dzieciaków zwleka chwilę, żeby najbliższemu z żołnierzy, który jemu wydał się martwy, a widocznie jest konający, wbić nóż wielki jak własne ramię, godzące z całą chłopięcą siłą w dogorywające ciało.

„Lwie, Lwie!”. To jakiś inny dzieciak daje mu znaki, żeby poszedł za nim. Lew z Natuby widzi, jak znika w uchylonych drzwiach, podczas gdy tamci, unosząc łup, rozbiegają się w różne strony; dopiero wówczas odzyskuje władzę nad swoim skamieniałym z

przeżarcia ciałem i może powlec się tam, gdzie czyjeś energiczne ręce chwytają go w progę. Czuje, że podnoszą go w górę, podają innym rękami, opuszczają na ziemię i słyszy kobiecy głos: „Dajcie mu pić”. Wkładają mu manierkę w krwawiące dłonie, podnosi ją do ust. Pociąga długi łyk, przymyka oczy, wzruszony, wdzięczny za cud, jakim jest dla niego ten płyn, który zwilża mu wnętrzności, palące niby rozżarzone węgle.

Kiedy odpowiada na pytania sześciu czy siedmiu uzbrojonych ludzi siedzących na dnie wykopanego w podłodze rowu, kiedy patrzy na ich twarze usmolone sadzą, spocone, zabandażowane, nierozpoznawalne i opowiada, zdyszany, co zobaczył po drodze, na placu między kościołami, spostrzega nagle, że rów przechodzi w podziemny korytarz. Spod nóg wyskakuje mu jakiś dzieciak i mówi: „Idą heretycy, Salustiano. Mają ogień”. Jaguncos, którzy słuchali dotąd uważnie, odsuwają go na bok i w tej samej chwili widzi, że dwoje z nich to kobiety: one też mają karabiny, one też, przymrużywszy oczy, czekają, mierzą w stronę ulicy. Przez szpary w ścianach Lew z Natuby widzi, niby powracający obraz, sylwetki żołnierzy z rozpalonymi pochodniami, którymi ciskają w okoliczne domy. „Ognia! Pal!”, krzyczy ktoś i izba wypełnia się dymem. Lew słyszy huk, potem kilka następnych. Kiedy dym rozprasza się nieco, z dołu wyskakuje dwóch dzieciaków: czołgają się na ulicę w poszukiwaniu amunicji i manierek.

— Pozwalamy im podejść i dopiero wtedy strzelamy, żeby nam nie uciekli — mówi jeden z jaguncos, czyszcząc karabin.

— Podpalili twój dom, Salustiano — mówi jakaś kobieta.

— Dom Joao Mnicha też — odpowiada Salustiano.

To te z przeciwka. Obydwa zajęły się od ognia: w trzasku płomieni dosłyszec można jakieś poruszenie, głosy, krzyki, docierające razem z mięsistymi kłęбами dymu, który tamuje oddech.

— Chcą nas upiec żywcem, Lwie — mówi spokojnie inny jagunco z głębi rowu. — Wszyscy masoni mają pochodnie.

Dym jest tak gęsty, że Lew z Natuby zaczyna się krztusić, a jednocześnie jego czynny, twórczy, sprawny umysł przypomina sobie, co Nauczyciel kiedyś powiedział, a on zapisał, i co prawdopodobnie płonie teraz wraz z zeszytami w Sanktuarium: „Będą cztery pożary. Po trzykroć sam je ugaszę, ale czwarty złożę w ręce Dobrego Jezusa”. Dławiąc się, mówi głośno: „Czy to już czwarty pożar, ten ostatni?”. Ktoś pyta nieśmiało: „A co z Nauczycielem, Lwie?”. Czeką na to, odkąd wszedł do tego domu, wiedział, że ktoś zbierze się na odwagę i zapyta. Widzi, poprzez języki dymu, siedem, osiem twarzy, poważnych i pełnych nadziei.

— Poszedł do nieba — kaszle Lew z Natuby. — Zabrali go aniołowie.

Następny napad kaszlu zaciska mu powieki i zgina go wpół. Rozpaczliwie brak mu powietrza, płuca rozdymają się, udręczone daremnym wysiłkiem; myśli, że teraz to już naprawdę koniec, że na pewno nie pójdzie do nieba, bo nawet w takiej chwili nie potrafi w nie uwierzyć, i słyszy jak we śnie, że jaguncos krztuszą się, sprzeczą i wreszcie postanawiają, że nie mogą tu zostać, bo ogień wkrótce przerzuci się i na ten dom. „Idziemy, Lwie — słyszy — schył się, Lwie”; nie może otworzyć oczu, wyciąga ręce, czuje, że chwytają go, ciągną i wloką gdzieś ze sobą. Jak długo przeciska się tak po omacku, na wpół uduszony, objijając się o ściany, kołki, ludzi, którzy zastępują mu drogę i szarpiają nim w jedną stronę, w drugą, wprzód, przez wąski, kręty, ziemny korytarz, skąd tylko od czasu do czasu pomagają mu się wydostać na powietrze, żeby potem znów pogrzebać go w ziemi i wlec nie wiadomo dokąd? Może minutę, może godzinę, ale przez całą drogę jego umysł nawet na sekundę nie przestaje zastanawiać się nad setkami spraw, wskrzeszać setek obrazów, skupiony na samym sobie,

nakazując ciało, żeby wytrzymało, żeby przetrwało przynajmniej do wyjścia z tunelu, i dziwiąc się, że jest mu posłuszne i nie rozpada się na kawałki, chociaż co chwila wydaje mu się, że tak właśnie się stanie.

Nagle ręka, która go prowadziła, rozluźnia uchwyt i Lew osuwa się bezwładnie. Głowa mu pęknie, serce mu pęknie, krew rozsadzi mu żyły i rozerwie jego drobne, zmaltretowane ciało, rozproszy je w przestworzach. Ale nic podobnego się nie dzieje. Lew z wolna uspokaja się, wycisza, czując, że trochę świeższe powietrze stopniowo przywraca mu życie. Słyszy głosy, wystrzały, ożywiony ruch. Przeciera oczy, strzepuje sadzę z powiek i spostrzega, że jest w jakiejś izbie, nie w rowie, ale na powierzchni, otoczony przez jaguncos i kobiety z dziećmi w podółkach, siedzące na podłodze; poznaje twarz Antonia Pirotechnika, tego, który robi fajerwerki i sztuczne ognie.

— Antonio, Antonio, co się dzieje w Canudos? — mówi Lew z Natuby. Ale żaden dźwięk nie wychodzi z jego ust. Płomienie tu nie sięgają, za to wszędzie unosi się kurz, w którym nie sposób cokolwiek odróżnić. Jaguncos w milczeniu ładują karabiny, nabijają strzelby, na zmianę wyglądają na zewnątrz. Dlaczego nie może mówić, dlaczego nie może wydobyć głosu? Na łokciach i kolanach podpełza do Pirotechnika i ciągnie go za nogi. Ten kuca obok, czyszcząc strzelbę.

— Zatrzymaliśmy ich tutaj — tłumaczy rozwlekłym głosem, który nie zmienił się ani trochę. — Ale przedostali się na Matki Kościoła, na cmentarz i na Świętej Inez. Są wszędzie. Joao Mnich chce postawić barykadę na Dzieciątka Jezus i drugą na Świętego Eliasza, żeby nie zaskoczyli nas od tyłu.

Lew z Natuby bez trudu może sobie wyobrazić ten ostatni krąg, w którym zamknęło się Belo Monte, pomiędzy wyboistymi uliczkami Świętego Piotra Męczennika, Świętego Eliasza i Dzieciątka Jezus; nie została nawet dziesiąta część tego, czym było kiedyś.

— To znaczy, że wzięli już Świątynię Dobrego Jezusa? — mówi i tym razem udaje mu się wydobyć głos.

— Zburzyli ją, kiedy spałeś — odpowiada Pirotechnik tak spokojnie, jakby mówił, która jest godzina. — Wieża runęła, zawalił się strop. Huk musieli słyszeć aż w Trabubii i w Bendengó. Ale ciebie nawet nie obudził.

— Czy to prawda, że Nauczyciel poszedł do nieba? — przerywa mu jakaś kobieta; mówi, nie poruszając ustami ani oczami.

Lew z Natuby nie odpowiada. Słyszy, widzi, jak góra kamieni i mężczyzn w niebieskich chustach osuwa się, spada niby zastygły deszcz na kłębowisko rannych, chorych, starców, położnic, noworodków, widzi zmiażdżone ciała służebniczek ze Świętego Chóru, widzi matkę Marię Quadrado zamienioną w stertę mięsa i strzaskanych kości.

— Matka Ludzi szuka cię wszędzie, Lwie — mówi ktoś, jakby odpowiadając na jego myśli.

To jakiś dzieciak, chudy jak szkielet, pęczek kości obciążonych skórą, ubrany w postrzępione spodnie; musiał wejść przed chwilą. Ja-guncos zdejmują mu z pleców manierki i ładownice z nabojami. Lew z Natuby szarpie go za rękę.

— Maria Quadrado? Widziałeś ją?

— Jest na Świętego Eliasza, na barykadzie — tłumaczy dzieciak. — Wszystkich o ciebie pyta.

— Zaprowadź mnie do niej — mówi Lew z Natuby, a w jego oczach widać trwogę i niemą prośbę.

— Aniołek poszedł do heretyków z chorągwią. — Dzieciak odwraca się do Pirotechnika, jakby coś sobie przypomniał.

— Zaprowadź mnie do Marii Quadrado, błagam — piszczy Lew z Natuby, podskakując, wieszając się na jego ramieniu.

Chłopak patrzy niepewnie na Pirotechnika.

— Zaprowadź go — mówi tamten. — Powiedz Joao Mnichowi, że mamy tu teraz spokój. I wracaj szybko, jesteś mi potrzebny. — Rozdziela manierki między ludzi i wyciąga do Lwa z Natuby tę, którą zatrzymał dla siebie. — Pociągnij łyk przed drogą.

Lew z Natuby pije i mruczy: „Niech będzie pochwalony Dobry Jezus Nauczyciel”. Wychodzi z chaty za chłopakiem. Na zewnątrz, wszędzie dokoła, widzi pożary i ludzi, którzy usiłują gasić je wiadrami ziemi. Na Świętego Piotra Męczennika jest mniej gruzów, w domach są tłumy ludzi. Niektórzy wołają go, machają do niego i co chwila pytają, czy widział anioły, czy był przy tym, jak Nauczyciel odchodził do nieba. Nie odpowiada, nie przystaje. Wiele wysiłku kosztuje go ten marsz, boli go całe ciało, z trudem opiera ręce o ziemię.

Krzyczy do dzieciaka, żeby szedł trochę wolniej, bo nie może nadążyć; za którymś razem chłopak bez jednego krzyku, bez jednego słowa — pada jak długi. Lew z Natuby podpełza do niego, ale nie dotyka, bo tam, gdzie były jego oczy, teraz jest krew, a pod nią widać coś białego, może to kość, może mózg. Nie sprawdza, skąd padł strzał; pędzi truchcikiem, czuje skrzydła u ramion, myśli: „Matko Mario Quadrado, chcę cię zobaczyć, chcę umrzeć razem z tobą”. W miarę jak posuwa się naprzód, coraz więcej dymu i płomieni wychodzi mu naprzeciw i już wie, że nie przejdzie: Świętego Piotra Męczennika przecina trzeszcząca ściana ognia, która zamyka ulicę. Zatrzymuje się, zadyszany, czuje ciepło pożaru na twarzy. „Lwie, Lwie!”

Ogląda się. Widzi cień kobiety, zjawę o sterczących kościach, pomarszczonej skórze i spojrzeniu tak smutnym jak jej głos. „Wrzuć go w ogień, Lwie — prosi. — Ja nie mogę. Ty możesz. Nie chcę, żeby go zjadły, tak jak mnie”. Lew z Natuby idzie za spojrzeniem konającej i tuż obok, na zaróżowionym od blasku trupie, widzi ucztę: gromada szczurów przechadza się po twarzy i brzuchu czegoś, o czym nie można już powiedzieć, czy było mężczyzną, czy kobietą, młodzieńcem czy starcem. „Zewsząd wyłażą. Może uciekają przed ogniem, a może to dlatego, że Diabeł już wygrał wojnę — mówi kobieta powoli, jakby liczyła każdą literę. — Nie chcę, żeby go zjadły, aniołek mój maleńki. Wrzuć go w ogień, Lewku, kochany, przez Dobrego Jezusa...”. Lew z Natuby przypatruje się uczcie: pożarły twarz, rzucają się na brzuch, na uda.

— Dobrze, matko — mówi, podchodząc na czworakach. Wspina się na tylne kończyny, bierze na ręce małe zawiniątko, które kobieta trzyma w spódnicy, i przyciska je do piersi. Staje na dwóch nogach, garbaty, strwożony, i dyszy: — Zabiorę go, będę przy nim. Ten ogień czeka na mnie od dwudziestu lat, matko.

Kobieta słyszy, jak wchodząc w płomienie, odmawia ostatkiem sił śpiewną modlitwę, której nigdy dotąd nie słyszała i w której powtarza się imię jakiejś nieznannej świętej: Almudia.

— Rozejm? — powiedział Antonio Vilanova.

— Biała płachta zatknięta na kiju może oznaczać tylko rozejm — odparł Pirotechnik. — Nie widziałem, jak odchodził, ale inni widzieli. Widziałem, jak wracał. Ciągłe niósł przed sobą tę białą płachtę.

— Ale dlaczego Aniołek to zrobił? — zapytał Honorio Vilanova.

— Użalił się nad niewinnymi. Nie mógł znieść, że giną w płomieniach — odpowiedział Pirotechnik. — Dzieci, starcy, ciężarne kobiety. Poszedł powiedzieć ateistom, żeby pozwolili im odejść z Belo Monte. Nie spytał o zdanie ani Joao Mnicha, ani Pedrao, ani Joao Wielkiego. Byli wtedy na Świętego Eliasza i na Świętego Piotra. Zrobił chorągiew i szedł z nią po ulicy Matki Kościoła. Ateiści pozwolili mu przejść. Myśleliśmy, że go zabiją i oddadzą jak Pajeu, bez oczu, języka i uszu. Ale wrócił z tą swoją białą płachtą. Już zamknęliśmy Świętego Eliasza i Dzieciątka Jezus, i Matki Kościoła. Ugasiliśmy pożary. Wrócił po dwóch czy trzech godzinach i przez ten czas ateiści nie atakowali. To jest rozejm. Ojciec Joaquim mi wytłumaczył.

Karzełek przytulił się do Jurerny. Trząsał się z zimna. Byli w jaskini, w której dawniej nocowali koziarze, niedaleko miejsca, gdzie przedtem, zanim spustoszył je ogień, stała mała zagroda Cacabu, na rozstaju dróg między Mirandelą i Quijingue. Siedzieli tam w ukryciu od ośmiu dni. Robili krótkie wyprawy po zioła, korzonki, cokolwiek do zucia i po wodę z pobliskiego źródła. Cała okolica zajęta była przez mniejsze lub większe oddziały wojska, które wycofywało się do Queimadas, postanowili więc jeszcze jakiś czas pozostać w ukryciu. Nocami temperatura spadała znacznie, a ponieważ bracia Vilanova nie pozwalali palić ogniska w obawie, że światło zwabi jakiś patrol, Karzełek umierał z zimna. Z całej trójki najgorzej znosił chłód, bo był najmniejszy i najbardziej wychudzony. Okularnik i Jurema brali go na noc między siebie, ogrzewali własnym ciałem, ale on i tak z lękiem wyglądał nadejścia zmroku, bo chociaż wtulał się, jak mógł, w ich ciepło, to szczekał zębami i czuł, jak lodowacieją mu kości. Siedział między nimi, słuchając opowieści Pirotechnika, a jego krótkie, krągłe ręce co chwila tarłymi Juremę i okularnika, żeby przysunęli się do niego jeszcze bliżej.

— Co się stało z ojcem Joaquimem? — usłyszał pytanie okularnika. — Jego też...?

— Nie spalili go i nie ścięli mu głowy — pospieszył ich uspokoić, uszczęśliwiony, że wreszcie ma jakieś pomyślne wieści, Antonio Pirotechnik. — Zginął od kuli, na barykadzie Świętego Eliasza. Stał blisko mnie. On też pomagał ich dobijać. Serafino, ten cieśla, powiedział, że Ojciec chyba nie spojrzy na tę śmierć łaskawym okiem. Nie był jagunco. Był księdzem, prawda? Nie wiadomo, czy Ojcu spodoba się, że człowiek duchowny zginął z karabinem w ręku.

— Nauczyciel mu wytłumaczy, dlaczego miał w ręku karabin — odezwała się któraś Sardelinia. — I Ojciec mu wybaczy.

— Tak, z pewnością — powiedział Antonio Pirotechnik. — On wie najlepiej.

Chociaż nie palili ognia, a otwór jaskini zamaskowali powyrywaniem w okolicy krzakami i kaktusami, do wnętrza sączyła się nocna poświata — Karzełek wyobrażał sobie żółty księżyc i miliony migotliwych gwiazd ze zdumieniem przypatrujących się sertonowi swymi niezliczonymi oczami — z której wyłaniał się profil Antonia Pirotechnika, jego spłaszczony nos, czoło i ścięty podbródek. Karzełek zapamiętał tego jagunca, bo w Canudos często przyglądał się, jak robił sztuczne ognie, które podczas nocnych procesji wybuchały na niebie w złocistych arabeskach. Pamiętał przypalone prochem ręce, blizny na jego ramionach i jak na początku wojny zabrał się do produkcji granatów, które jaguncos przerzucali przez barykady na żołnierzy. Karzełek pierwszy zobaczył, że ktoś zagląda do jaskini, i krzyknął, że to Pirotechnik, aby bracia Vilanova nie wypalili do niego z pistoletów.

— A po co Aniołek wrócił? — zapytał po chwili Antonio Vilanova. Właściwie tylko on się odzywał i tylko on wypytywał Antonia Pirotechnika przez cały wieczór i całą noc, kiedy już poznali go i uściskali. — Coś go opętało?

— Tak, z pewnością — powiedział Antonio Pirotechnik.

Karzełek spróbował wyobrazić sobie tę scenę: drobną, bladą figurkę, płonące oczy Aniołka powracającego do swej małej reduty z białą flagą, wśród trupów, gruzów, rannych, walczących, wśród spalonych domów i szczurów, które, jak mówił Pirotechnik, nagle pojawiły się wszędzie i żarłocznie rzucały się na zwłoki.

— Zgodzili się — powiedział Aniołek. — Możecie się poddać.

— Żebyśmy wyszli gęsiego, bez broni, z rękami na karku — tłumaczył Pirotechnik tonem, jakim zwykle opowiada się niestworzone historie i pijackie bujdy. — Że potraktują nas jak jeńców i że nas nie zabiją.

Karzełek usłyszał, jak wzdycha. Usłyszał też westchnienie jednego z braci Vilanova i płacz kobiety. Ciekawe, która to? Obie żony braci Vilanova myliły się Karzełkowi bez przerwy, ale wiedział, że nigdy nie płakały jednocześnie: jedna zaczynała, druga kończyła. Nie uroniły jednej łzy, kiedy uciekali z Belo Monte i potem, przez cały czas, jaki spędzili tu w ukryciu. Zapłakały dopiero teraz, słuchając opowieści Antonia Pirotechnika. Trząśł się tak mocno, że Jurema otoczyła ramieniem jego plecy i zaczęła rozcierać mu zziębnięte ciało. Może rozchorował się z głodu i chłodu, a może to słowa Pirotechnika sprawiały, że dygotał coraz bardziej?

— Aniołku, Aniołku, czy ty wiesz, co mówisz? — jęknął Joao Wielki. — Wiesz, czego od nas żądasz? Naprawdę chcesz, żebyśmy rzucili broń, żebyśmy poszli z rękami na karku poddać się masonom? Czy tego chcesz, Aniołku?

— Ty nie musisz — odezwał się głos, który zawsze brzmiał, jakby odmawiał pacierze. — Ale tu są niewinni. Dzieci, kobiety, które mają rodzić, niedołężni starcy. Niech ocala życie, nie wolno ci decydować za nich. Jeżeli im na to nie pozwolisz, to tak, jakbyś ich zabił. Przyjmiesz na siebie straszny grzech, Joao Wielki, krew niewinnych spadnie na twoją głowę. To zbrodnia przeciw niebu pozwolić, żeby niewinni ginęli. Oni nie potrafią się bronić, Joao Wielki.

— Powiedział, że przez jego usta przemawia Nauczyciel — dodał Antonio Pirotechnik. — Że go natchnął, że kazał mu ich ocalić.

— A Joao Mnich? — spytał Antonio Vilanova.

— Nie było go wtedy — odpowiedział Pirotechnik. — Aniołek wrócił do Belo Monte przez barykadę Matki Kościoła. A on był na Świętego Eliasza. Dali mu znać, ale nie zdążył przyjść. Naprawiał barykadę. Kiedy przyszedł, oni już szli za Aniołkiem. Kobiety, dzieci, chorzy; jak nie mogli iść, to się czołgali.

— I nikt ich nie powstrzymał? — spytał Antonio Vilanova.

— Nikt się nie odważył — powiedział Pirotechnik. To był Aniołek. Aniołek. Nie ktoś taki jak ty czy ja, tylko ktoś, kto był z Nauczycielem od samego początku. To był Aniołek. A ty powiedziałbyś mu, że go opętało, że nie wie, co robi? Joao Wielki się nie odważył, ani ja. Nikt.

— A Joao Mnich? — mruknął Antonio Vilanova.

— Tak — powiedział Antonio Pirotechnik. — Joao Mnich się odważył. Karzełek czuł, że kości mu lodowacują, za to czoło ma rozpalone.

Tę scenę odtworzył z łatwością: widzi wyniosłą, giętą, krzepką postać byłego cangaceiro — nóż i maczeta za pasem, karabin na ramieniu, ładownice skrzyżowane na piersi — bez śladu zmęczenia, jakby zmęczenie się go nie imać. Oto stoi, patrzy na niepojęty pochód ciężarnych kobiet, dzieci, starców, kalek, jakby wskrzeszonych z grobu, idących ku żołnierzom, z rękami na karku. To nie jego wyobraźnia stworzyła ten obraz: widział to tak

samo wyraźnie i barwnie jak przedstawienie w Cyrku Objazdowym Cygana, w dawnych, dobrych czasach rozkwitu i dostatku. Widział Joao Mnicha, jego osłupienie, jego zmieszanie, jego gniew.

— Stać! Stać! — krzyknął, wstrząśnięty. Rozglądał się to w prawo, to w lewo, wymachiwał rękami, próbował zastąpić im drogę. — Postradaliście zmysły?! Stać! Stać!

— Powiedzieliśmy mu, o co chodzi — mówił Pirotechnik. — Joao Wielki płakał, bo czuł, że to jego wina. Potem przyszedł Pedrao, ojciec Joaquim, cała reszta. Wystarczyły dwa słowa i zrozumiał wszystko.

— Nieważne, czy zginą, czy nie — powiedział Joao Mnich podniesionym głosem, ładując karabin, biorąc na cel tych, którzy już przeszli i oddalali się coraz bardziej. — Wszyscy zginiemy. Ale oni ich poniżą, upokorzą, jak Pajeu. Nie możemy na to pozwolić właśnie dlatego, że są niewinni. Nie pozwolę, żeby poderżnęli im gardła! Nie dopuszczę do takiej hańby!

— Już strzelał — powiedział Antonio Pirotechnik. — Już strzelaliśmy wszyscy: Pedrao, Joao Wielki, ojciec Joaquim, ja też. — Karzełek zauważył, że w jego głosie, dotychczas pewnym siebie, zabrzmiało wahanie. — Źle zrobiliśmy? Antonio Vilanova, powiedz mi, czy źle zrobiłem? Czy Joao Mnich źle zrobił, że kazał nam strzelać?

— Dobrze zrobił — odparł bez namysłu Antonio Vilanova. — Dobijaliście ich z litości. Przecież tam zarznąłoby ich nożami, zrobiliby z nimi to samo, co z Pajeu. Ja też bym strzelał.

— Nie wiem — powiedział Pirotechnik. — Wciąż mnie to dręczy. Myślisz, że Nauczyciel to pochwała? Póki będę żył, będę zadawał sobie to pytanie, chcę wiedzieć, czy po dziesięciu latach spędzonych u boku Nauczyciela zostanę potępiony, bo w ostatniej chwili popełniłem błąd? Czasami...

Zamilkł, a Karzełek spostrzegł, że tym razem obie Sardelinie płakały jednocześnie: jedna szlochała głośno i natarczywie, druga pochlipywała z cicha.

— Czasami...? — powiedział Antonio Vilanova.

— Czasami myślę, że Ojciec, Dobry Jezus albo Matka Boska cudem wyrwali mnie śmierci, żebym mógł odkupić te strzały — powiedział Antonio Pirotechnik. — Nie wiem. Znowu nic nie wiem. W Belo Monte wszystko było takie proste, dzień to dzień, noc to noc. Aż do tamtej chwili, gdy zaczęliśmy strzelać do niewinnych i do Aniołka. Nie wiem.

Westchnął i zamilkł, słuchając, podobnie jak Karzełek, lamentu Sardelinii oplakujących śmierć niewinnych, których jaguncos pozabijali z litości.

— Bo może Ojciec chciał, żeby przez męczeństwo weszli do rajy — dodał Pirotechnik.

„Pocę się”, pomyślał Karzełek. A może to krew? Pomyślał: „Umieram”. Grube krople spływały mu po czole, ściekały z brwi i rzęs, przesłaniały oczy. Ale mimo że się pocił, wciąż czuł w całym ciele ten lodowaty chłód. Jurema co chwila ocierała mu twarz.

— A co było potem? — usłyszał słowa dziennikarza okularnika. — Później, kiedy Joao Mnich, kiedy pan i tamci...

Zamilkł, a Sardelinie, które przerwały płacz, jakby wytrącone z transu tym nieoczekiwanym głosem, zaczęły znowu.

— Nie było żadnego potem — powiedział Antonio Pirotechnik. -Heretycy pomyśleli, że to do nich strzelamy. Wpadli we wściekłość, jak zobaczyli, że odbieramy im łup, który już



uważali za swój. — Zamilkł, głos mu zadrżał. — „Zdrada!”, krzyczeli. Że złamaliśmy rozejm, że zapłacimy im za to. Rzucili się ze wszystkich stron. Tysiące heretyków. Na szczęście dla nas.

— Szczęście? — zapytał Antonio Vilanova.

Karzełek zrozumiał. Szczęście, że znowu musieli strzelać do tej rzeki mundurów, która płynęła ku nim, niosąc karabiny i pochodnie, szczęście, że nie musieli już zabijać niewinnych, żeby ocalić ich od hańby. Rozumiał to i widział, rozpalony gorączką, wstrząsany dreszczami. Widział, jak wyczerpani jaguncos, ci sami, którzy jeszcze przed chwilą zabijali z litości, zacierali teraz pokryte pęcherzami, przypalone prochem ręce, szczęśliwi, że znów mają przed sobą wroga oczywistego, określonego, prostego, jednoznacznego. Widział niemal furję, z jaką nacierali, zabijając wszystko, co jeszcze nie zostało zabite, pałac wszystko, co zostało do spalenia.

— A ja jestem pewna, że on nawet w takiej chwili nie zapłakał — powiedziała któraś Sardelinha i Karzełek znowu nie wiedział, czyja to żona: Honoria czy Antonia. — Mogę sobie wyobrazić Joao Wielkiego i ojca Joaquim, jak płakali, że muszą zabijać niewinnych. Ale on? Czy on zapłakał?

— Tak, z pewnością — wyszeptał Antonio Pirotechnik. — Ale ja tego nie widziałem.

— Nikt nigdy nie widział, żeby Joao Mnich płakał — powiedziała ta sama Sardelinha.

— Nigdy go nie lubiłaś — mruknął z wyrzutem Antonio Vilanova i Karzełek już wiedział, że to Antonia.

— Nie lubiłam — przyznała, nie kryjąc niechęci. — A tym bardziej teraz. Teraz, kiedy wiem, że skończył nie jako Joao Mnich, ale jako Joao Szatan. Ten, który zabijał, żeby zabijać, kradł, żeby kraść, i znajdował przyjemność w zadawaniu cierpień.

Zapadła ciężka cisza; Karzełek poczuł, że okularnik znowu się boi. Czekał w napięciu.

— Nigdy więcej nie chcę tego słyszeć — mruknął Antonio Vilanova. — Jesteś moją żoną. Od lat, od zawsze. Zawsze byliśmy razem. Ale jeżeli jeszcze raz to usłyszę, koniec z nami.

Trzęsąc się, pocąc, licząc sekundy, Karzełek czekał.

— Przysięgam na Dobrego Jezusa, że nigdy więcej tego nie powtórzę — wykrztusiła wreszcie Antonia Sardelinha.

— Ja widziałem, jak Joao Mnich płakał — powiedział wówczas Karzełek. Zęby mu szczykały, spazmatycznie wyrzucał z siebie słowa, urywane, jakby przeżute. Mówił z twarzą wciśniętą w piersi Juremy. — Nie pamiętacie? Nie opowiadałem wam? Wtedy, kiedy usłyszał Straszliwą i Pouczającą Historię Roberta Diabła.

— Był synem króla. Jak się urodził, jego matka miała już siwe włosy — wspominał Joao Mnich. — Urodził się cudem, o ile Diabeł też może czynić cuda. Podpisała cyrograf, żeby Robert mógł się urodzić. Tak się zaczyna, prawda?

— Nie — powiedział Karzełek z niezachwianą pewnością kogoś, kto przez całe życie opowiadał tę historię i nawet nie pamięta już, jak i gdzie się jej nauczył, i trudno byłoby zliczyć te wszystkie miejsca, gdzie wygłaszał ją setki, tysiące razy, wydłużał, skracał, upiększał, zasmucał, rozweselał, dramatyzował, zgodnie ze stanem ducha zmiennego audytorium. Nawet sam Joao Mnich nie miał prawa go pouczać, jaki powinien być początek. — Jego matka była bezpłodna i stara, i musiała podpisać cyrograf, żeby Robert mógł przyjść na świat, zgoda. Ale nie był synem króla, tylko diuka.

— Diuka Normandii — przyznał Joao Mnich. — Zaczynij już wreszcie.

— Płakał? — usłyszał głos dochodzący jakby z innego świata, ten głos tak dobrze mu znany, zalękniony, a zarazem dociekliwy, plotkarski, wścibski. — Kiedy słuchał historii Roberta Diabła?

Tak, płakał. W pewnej chwili, może kiedy opisywał straszliwe zbrodnie i niegodziwości, gdy opętany, podjudzany, opanowany przez ducha zniszczenia, ową niewidzialną siłę, której nie mógł się oprzeć, Robert zatapiał nóż w brzuchach ciężarnych kobiet albo zarzynał niemowlęta — „po czym łatwo poznać, że nie pochodził z ser-tonu, lecz z Południa”, uściślał Karzelek — nabijał na pal wieśniaków i podkładał ogień pod chaty śpiących spokojnie gospodarzy, zauważył jakiś wilgotny błysk w oczach Komendanta Ulicy, lśniący ślad na policzkach, drżenie podbródka, falowanie potężnej piersi. Zbity z tropu, przerażony, Karzelek zamilkł — jaki błąd popełnił, o czym zapomniał? — i spojrzął w popłochu na Catarinę, której szczupłutka postać ginęła niemal na tle szanćców przecinających ulicę Dzieciątka Jezus, gdzie przyprowadził go Joao Mnich. Kiwnęła głową, żeby mówił dalej. Ale Joao Mnich przerwał mu:

— Czy to, co robił, to była jego wina? — powiedział, zmieniony. — Czy z własnej winy popełniał te okrucieństwa? Co innego mógł zrobić? Przecież spłacał dług swojej matki? Kogo powinien Ojciec rozliczyć z tych niegodziwości? Jego czy księżnę? — Wbił oczy w Karzelka ze straszliwą trwogą: — Mów, mów.

— Nie wiem, nie wiem — trząsał się Karzelek. — Tego nie ma w opowieści. To nie moja wina, nie rób mi krzywdy, ja tylko opowiadam.

— Nic ci nie zrobi — szepnęła kobieta, która wyglądała jak zjawa. — Opowiadaj dalej, opowiadaj.

Opowiadał dalej, widział, jak Catarina ocierała oczy Joao Mnicha rąbkiem własnej spódnicy, jak przykucała u jego stóp i obejmowała rękami jego nogi, i opierała mu głowę na kolanach, żeby czuł, że nie jest sam. Nie płakał już więcej, nie poruszył się, nie przerywał aż do końca, który czasem następował wraz ze śmiercią Roberta Świętego, pobożnego pustelnika, a czasem w chwili, gdy Robert nakłada koronę, której okazał się godny, gdy odkryto, że jest synem Ryszarda z Normandii, jednego z Dwunastu Parów Francji. Pamiętał, że tamtego wieczoru — a może to była noc? — Joao Mnich dziękował mu, kiedy skończył. Ale kiedy, w jakiej chwili to było? Zanim nadeszli żołnierze, kiedy jeszcze żyło się spokojnie, a Belo Monte wydawało się miejscem, gdzie będzie można spędzić resztę lat, czy wtedy, kiedy życie zastąpiła śmierć, głód, ruina, strach?

— Kiedy to było, Juremo? — dopytywał się niecierpliwie, nie wiedząc, dlaczego to takie ważne. — Okularniku? Okularniku, to było na początku czy na końcu przedstawienia?

— Co mu jest? — usłyszał głos Sardelinii.

— Gorączka — odpowiedziała Jurema i przytuliła go do siebie.

— Kiedy to było? — pytał Karzelek. — Kiedy to było?

— Bredzi — usłyszał słowa okularnika i poczuł, że dotyka jego czoła, głaszcze go po głowie, po plecach.

Usłyszał, że kicha, raz i drugi, jak zawsze, gdy coś go zaskakiwało, bawiło lub przerażało. Teraz może sobie kichać do woli. Ale tamtej nocy, kiedy uciekali, tamtej nocy, kiedy jedno kichnięcie kosztowałoby ich życie, nie kichnął ani razu. Wyobraził sobie, co by to było, gdyby na wioskowym przedstawieniu kichnął dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto razy z rzędu, jak Brodaczką, która popierdywała w numerze z pajacami, w rejestrach i tonach

wysokich, niskich, długich, krótkich, i miał ochotę roześmiać się razem z publicznością. Ale nie miał siły.

— Usnął — usłyszał słowa Juremy, układającej jego głowę na podolku. — Jutro będzie zdrów.

Nie spał. Gdzieś z głębi dwojakiej rzeczywistości ognia i lodu, w jakiej było zanurzone jego ciało, skulone w ciemności jaskini, ciągle słyszał głos Antonia Pirotechnika, odtwarzający, malujący im ów koniec świata, który on sam już dawno przewidział, przeczuł, przeżył i nie ma potrzeby, żeby ten człowiek, wskrzeszony spośród popiołów i trupów, opowiadał mu, jak to było. Ale chociaż czuł się tak źle, chociaż trzęsły nim dreszcze, chociaż miał wrażenie, że oddala się wciąż bardziej i bardziej od tych ludzi, rozmawiających tak blisko, w nocy bahijskiego sertonu, w tym świecie już bez Canudos i bez jaguncos, a wkrótce i bez żołnierzy, kiedy odejdą ci, którzy wypełnili swoją misję, a ta ziemia powróci w odwieczną samotność dumy i nędzy, Karzełka zaciekawiła, wzruszyła, zdumiała opowieść Antonia Pirotechnika.

— Można powiedzieć, że powstałeś z martwych — usłyszał Honoria, który odzywał się tak rzadko, że kiedy to robił, wydawało się, że mówi głosem swego brata.

— Można — odparł Pirotechnik. — Ale ja nie byłem martwy. Nie byłem nawet ranny. Nie wiem, tego też nie wiem. Nie krwawiłem. Może spadł mi na głowę kamień. Ale przecież nic mnie nie bolało.

— Zemdlełeś — powiedział Antonio Vilanova. — Ludzie często mdleli w Belo Monte. Myśleli, że nie żyjesz, i to cię uratowało.

— To mnie uratowało — powtórzył Pirotechnik. — Ale nie tylko to. Kiedy się ocknąłem, leżałem między trupami. Zaraz potem zobaczyłem heretyków. Dobijali każdego, kto się poruszył. Przeszli obok mnie. Tyłu ich przeszło i żaden się nie schylił, żeby sprawdzić, czy żyję.

— To znaczy, że przez cały dzień udawałeś umarłego — powiedział Antonio Vilanova.

— Słyszałem, jak przechodzą, dobijają żywych, zarzynają jeńców, wysadzają dynamitem ściany — opowiadał Pirotechnik. — Ale nie to było najgorsze. Najgorsze były psy, szczury, sępy. Zjadały ciała. Słyszałem, jak niuchają, gryzą, dziobią. Zwierzęcia nie oszukasz. Wie, kto jest martwy, a kto nie. Sępy i szczury nie ruszą żywego. Ale bałem się psów. To właśnie był cud: zostawiły mnie w spokoju.

— Miałeś szczęście — powiedział Antonio Vilanova. — A teraz co chcesz zrobić?

— Wrócę do Mirandeli — oświadczył Pirotechnik. — Tam się urodziłem, tam wyrosłem, tam nauczyłem się robić fajerwerki. Nie wiem, może. A wy?

— Odejdziemy daleko stąd — powiedział były kupiec. — Może do Assare. Stamtąd przyszliśmy, tam zaczęło się dla nas to życie. Uciekaliśmy, jak teraz, przed zarazą... Przed inną zarazą. Może wrócimy, żeby skończyć wszystko tam, gdzie się zaczęło. Ztesztą, co nam pozostało?

— Tak, z pewnością — rzekł Antonio Pirotechnik.

Nawet kiedy mówią mu, żeby się pospieszył i pobiegł na punkt dowodzenia generała Artura Oscara, jeżeli chce obejrzeć głowę Nauczyciela, zanim porucznik Pinto Souza zabierze ją do Bahii, pułkownik Geraldo Macedo, dowódca Ochotniczego Batalionu Bahijskiej Żandarmerii, nie przestaje myśleć o tym, co mu nie daje spokoju, odkąd skończyła się wojna: Kto go widział? Gdzie jest? Ale jak wszyscy dowódcy brygady, pułku lub batalionu —

oficerom niższych stopni nie udziela się tego przywileju — idzie przypatrzeć się temu, co zostało z człowieka, który zabił i wysłał na śmierć tylu ludzi, chociaż wszyscy świadkowie są zgodni, że nigdy nie widziano, by własnymi rękami chwycił za strzelbę lub nóż. Niewiele jednak może zobaczyć, bo głowę wrzucono do worka z wapnem, żeby nie zgniła: wystaje tylko kłak wyszarzałych włosów. Nie zostaje w namiocie razem z innymi oficerami, którzy gratulują sobie zakończenia wojny i snują plany na przyszłość, teraz, gdy wracają wreszcie do domów i bliskich. Pułkownik Macedo ledwie rzuca okiem na spłowiwały kołtun, po czym odchodzi bez słowa, by ponownie zagłębić się w dymiące zwąły gruzu i trupów.

Nie myśli już o Nauczycielu ani o rozradowanych towarzyszach broni, których zostawił w punkcie dowodzenia. Nigdy nie czuł się im równy, a odkąd przybył na wzgórze Canudos z Batalionem Bahijskiej Żandarmerii, odpłacał im z nawiązką pogardę, jaką mu okazywali. Wie, że za plecami przezywają go Łowcą Bandytów. Kicha na to. Dumny jest, że trzydzieści lat swego życia spędził na oczyszczaniu Bahii z oddziałów cangaceiros. Wie, że tylko sobie zawdzięcza awans i epolety pułkownika, on, prosty Metys urodzony w Mulungo do Morro, wiosce, której żaden z tych oficerów nie umiałby pokazać na mapie. Ryzykował własną skórę, zwalczając plagę tej ziemi.

Ale jego ludzie mają tego dość. Żandarmów z Bahii, którzy cztery miesiące temu zgodzili się przyjść tutaj i walczyć przeciw Nauczycielowi z przywiązania do swego pułkownika — powiedział im, że sam gubernator o to prosił, powiedział, że pójdzie do Canudos, żeby zdementować perfidne pogłoski, że w całym kraju oskarżają Bahijczyków o zniewieściałość, obojętność, a nawet sympatyzowanie i znowę z ja-guncos, że pokaże rządowi federalnemu i całej Brazylii, że Bahijczycy są nie mniej od innych gotowi polec w obronie republiki — obrażają i bolą impertynencje i zniewagi, jakie musieli znosić, odkąd dołączyli do oddziałów kolumny. Oni są mniej opanowani niż on: na obelgę odpowiadają obelgą, na przewisko przewiskiem; w ciągu tych czterech miesięcy stali się bohaterami niezliczonych bójek z żołnierzami innych pułków. A najbardziej ich drażni, że są dyskryminowani przez dowództwo. We wszystkich akcjach Ochotniczy Batalion Bahijskiej Żandarmerii trzymany był w odwodzie, usuwany na tyły, jakby sam sztab dawał wiarę pomówieniom, że Bahijczycy w głębi serca pozostali monarchistami i skrycie sprzyjają buntownikom.

Smród jest tak potężny, że musi zatkać nos chusteczką. Chociaż większość pożarów wygasła, w powietrzu pełno jest sadzy, iskier i popiołu; z oczami załzawionymi od gryzącego dymu pułkownik przeszukuje, węszy, przewraca kopniakiem ciała, żeby zobaczyć twarze poległych jaguncos. Zwłoki przeważnie są zwęglone albo tak nadpalone przez płomienie, że nawet gdyby znał jego twarz, nie mógłby jej rozpoznać. A zresztą, nawet gdyby trup pozostał nietknięty, jak go zidentyfikować? Przecież ani razu go nie widział. Zna go z opisów, ale to nie wystarczy. To bez sensu. Myśli: „bez sensu”. A jednak to silniejsze od rozsądku: ten mroczny instynkt, tak dawniej mu przydatny, te nagłe przeczucia, które sprawiały, że sam nie wiedząc czemu gnał ze swoim oddziałem przez dwa lub trzy dni bez przerwy, żeby spaść na jakąś wioskę, gdzie istotnie zaskakiwali bandytów, po całych tygodniach i miesiącach bezowocnych poszukiwań. Tak samo i teraz. Pułkownik Geraldo Macedo wciąż grzebie wśród cuchnących trupów; nos i usta zatkał chusteczką, wolną ręką odgania roje much, czasami kopniakiem strząsa z siebie szczury, które wspinają mu się po nogach; wbrew wszelkiej logice coś mówi mu, że kiedy trafi na twarz, ciało albo choćby kości Joao Mnicha, będzie wiedział, że to on.

— Ekscelencjo, ekscelencjo — to jego adiutant, porucznik Soares, który nadchodzi, z twarzą również zasłoniętą chustką.

— Macie go? — ożywia się pułkownik Macedo.

— Jeszcze nie, ekscelencjo. Generał Oscar mówi, żeby pan wracał, bo saperzy zaraz zaczną wyburzanie.

— Wyburzanie? — pułkownik Macedo rzuca wokół niechętnym spojrzeniem. — A jest tu co burzyć?

— Generał poprzysiął, że nie zostanie kamień na kamieniu — mówi porucznik Soares. — Wydał rozkaz, żeby wysadzono dynamitem wszystkie ściany, które jeszcze się nie zawaliły.

— Co za marnotrawstwo — mruczy pułkownik. Jego usta rozchylają się pod chusteczką i, jak zawsze w chwilach namysłu, zaczyna oblizywać swój złoty ząb. Patrzy ponuro na ciągnące się jak okiem sięgnąć gruzy, zgniliznę i padlinę. Wreszcie wzrusza ramionami. — Trudno, odejdziemy, nie wiedząc, czy zginął, czy uciekł.

Zatykając nosy, wracają do obozu. Wkrótce potem za ich plecami rozlegają się wybuchy.

— Czy mogę o coś zapytać, ekscelencjo? — mówi porucznik Soares, gęgając spod chustki.

Pułkownik Macedo kiwa głową.

— Dlaczego pan się tak zawziął na tego trupa?

— To stara historia — chrząka pułkownik przez zatkany nos. Jego małe, czarne oczy wypatrują na wszystkie strony. — Chyba ja to zacząłem. Tak przynajmniej mówią. Zabiłem ojca Joao Mnicha, jakieś trzydzieści lat temu. Był szpiegiem Antonia Silvina w Custodii. Mówią, że Joao Mnich został cangaceiro, żeby pomścić ojca. A potem, cóż... — Odwraca się, żeby popatrzeć na adiutanta, i nagle czuje się stary. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia dwa, ekscelencjo.

— Zatem nic dziwnego, że nie wiesz, kim był Joao Mnich — chrząka pułkownik Macedo.

— Dowodził bandytami w Canudos, był wielkim okrutnikiem — odpowiada porucznik Soares.

— Tak, wielkim okrutnikiem — zgadza się pułkownik Macedo. — W całej Bahii nie było gorszego. Zawsze mi się wymykał. Ścigałem go dziesięć lat. Wiele razy już miałem go w rękach. I zawsze mi się wyślizgnął. Mówili, że zawarł pakt z diabłem. W tamtych czasach nazywali go Szatanem.

— Teraz rozumiem, dlaczego pan chce go znaleźć — uśmiecha się porucznik Soares. — Żeby sprawdzić, czy i tym razem się panu wymknął.

— Tak naprawdę to nie wiem — mówi pułkownik Macedo, wzruszając ramionami. — Może dlatego, że przypomina mi młodość. Łowy na bandytów były lepsze niż ta nuda.

Następuje seria wybuchów i pułkownik Macedo może dojrzeć, że ze zboczy i szczytów okolicznych wzgórz tysiące oczu patrzy, jak wylatują w powietrze ostatnie ściany Canudos. Niezbyt interesuje go to widowisko, nie zaszczyca go nawet jednym spojrzeniem; idzie do kwater Ochotniczego Batalionu Bahijskiej Żandarmerii, u podnóża Faveli, zaraz za transejami Vassa Barris.

— Prawdę mówiąc, są rzeczy, które nie mieszczą się w głowie, nawet największej — mówi, wypluwając nieprzyjemny smak zawodu, jaki pozostawiły po sobie nieudane poszukiwania. — Najpierw każą liczyć domy, które nie są już domami, tylko kupą gruzy. A

teraz każą wysadzać w powietrze kamienie i cegły. Po co tu ściągnęli tę całą komisję pułkownika Dantasa Barreto? Rozumiesz coś z tego?

Cały poranek spędzili wśród dymiących zgliszcz i ustalili, że w Canudos było pięć tysięcy dwieście domów.

— Coś im się poplątało i rachunek się nie zgadza — żartuje porucznik Soares. — Liczyli po pięć osób na dom. Czyli jakieś trzydzieści tysięcy jaguncos. A komisja pułkownika Dantasa Barreto znalazła tylko sześćset czterdzieści siedem ciał.

— Bo liczyli tylko całe trupy — chrząka pułkownik Macedo. — Zapomnieli o tych, które rozerwało na kawałki, a takich było najwięcej. Każdy ma swojego zajoba.

W obozowisku pułkownika Geralda Macedo czeka dramat, jeszcze jeden z tych, które znaczyły udział bahijskich żandarmów w oblężeniu Canudos. Oficerowie usiłują uspokoić ludzi, każą im się rozejść i przestać mówić o tej sprawie. Wystawili strażę wokół obozowiska, w obawie, że żandarmi rzucą się hurmem, żeby dołożyć tym, którzy ich sprowokowali. Po gniewie przyczajonym w oczach i wykrzywionych grymasem twarzach jego ludzi pułkownik Macedo poznaje, że incydent nie był błahy. Ale zanim wysłuchał jakichkolwiek tłumaczeń, udziela nagany oficerom:

— Co to ma znaczyć! Dlaczego nie słucha się moich rozkazów?! Zamiast szukać tego bandyty, dopuszczacie, żeby ludzie brali się do bójki. Przecież mówiłem, żeby unikać zwady?

Ale rozkazy wypełniono co do joty. Żandarmi z Bahii przetrząsali Canudos do czasu, kiedy dowództwo wycofało ich, żeby dołączyli do akcji saperów. Ofiarą zajścia padł właśnie jeden z patroli szukających ciała Joao Mnicha: trzech Bahijczyków, którzy posuwając się wzdłuż barykady wokół cmentarza i kościołów, doszli do zagłębienia terenu — prawdopodobnie pozostałości strumienia albo rzecznej odnogi — gdzie teraz spędzono kilkuset jeńców, niemal wyłącznie kobiety i dzieci, bo wszyscy mężczyźni zostali już zarżnięci przez gauzów chorążego Maranhao, o którym mówią, że zgłosił się na ochotnika do tego zadania, bo kilka miesięcy temu jaguncos napadli z zasadzki na jego kompanię i z pięćdziesięciu ludzi zostało mu ośmiu zdolnych do walki. Żandarmi z Bahii podeszli zapytać jeńców, czy wiedzą coś o Joao Mnichu, i wówczas jeden z nich poznał w którejś z kobiet swoją krewną z Mirangaby. Widząc, że ściska i obejmuje więźniarkę, chorąży Maranhao zaczął wyzywać go od ostatnich i pokazywać innym jako najlepszy dowód na to, że żandarmi Łowcy Bandytów, chociaż noszą mundury republiki, w duchu pozostali zdrajcami. A kiedy żandarm próbował zaprotestować, chorąży w napadzie szału obalił go na ziemię jednym uderzeniem pięści. Wszystkich trzech przegonili stamtąd gauzowie, którzy wołali za nimi: „Jaguncos! jaguncos!”. Wrócili do obozu, trzęsąc się z gniewu, i podburzyli resztę swoich towarzyszy, którzy od godziny szemrzą i chcą iść, żeby wziąć rewanż za te obelgi. Tego właśnie obawiał się pułkownik Geraldo Macedo: incydent podobny do dwudziestu czy trzydziestu innych, ten sam powód, te same zaczepki.

Ale tym razem, inaczej niż poprzednio, kiedy uspokajał swoich ludzi, a co najwyżej składał skargę do generała Barbozy, dowódcy pierwszej kolumny, gdzie został odkomenderowany Ochotniczy Batalion Bahijskiej Żandarmerii, albo do samego dowódcy sił ekspedycyjnych, generała Artura Oscara, jeśli uznał sprawę za wyjątkowo poważną, Geraldo Macedo czuje dziwne mrowienie, znamienne objaw przeczuć, którym zawdzięcza życie i naszywki.

— Ten Maranhao to wredny typ — mówi, oblizując złoty ząb. — Spędzać nocę na podrzynaniu gardeł jeńcom to dobre dla rzeźnika, nie dla żołnierza. Jak wam się zdaje?

Oficerowie milkną, spoglądają po sobie, a podczas gdy mówi do nich, oblizując swój

złoty ząb, pułkownik Geraldo Macedo dostrzega zaskoczenie, zaciekawienie, satysfakcję na twarzach kapitana Souzy, kapitana Jerónimo, kapitana Tejady i porucznika Soaresa.

— A to znaczy, że nie sądzę, żeby byle rzeźnik, byle pastuch mógł sobie pozwolić na luksus poniewierania moimi ludźmi i przezywania ich zdrajcami republiki — dodaje. — Ma obowiązek darzyć nas szacunkiem. Dobrze mówię?

Oficerowie stoją bez ruchu. Wie, że miotają nimi sprzeczne uczucia obawy i radości na myśl o tym, czego jego słowa pozwalają się domyślać.

— Czekajcie tu na mnie. I żeby mi nikt nie ruszył się na krok z obozu — mówi na odchodnym. A ponieważ słyszy głosy protestu i widzi, że chcą iść razem z nim, ucina sucho: — To rozkaz. Sam to załatwię.

Nie wie jeszcze, co zrobi, kiedy wychodzi z obozu, ścigany wzrokiem, wspierany, podziwiany przez trzystu ludzi, których spojrzenia czuje na plecach niby gorący ucisk; ale coś zrobi na pewno, bo jest wściekły. Nie jest porywczy z natury, nawet w młodości — a młodość, wiadomo, musi się wyszumieć — cieszył się sławą człowieka, który rzadko daje się wyprowadzić z równowagi. Ta zimna krew wiele razy ocaliła mu życie. Ale teraz jest wściekły, w żołądku czuje łaskotanie, niby trzask zapalnika poprzedzający wybuch prochu. Jest wściekły, bo ten rzeźnik nazwał go Łowcą Bandytów, a ochotników z Bahii — zdrajcami republiki. Tym razem przebrał miarę. Ta kropla przepełniła kielich. Idzie powoli, patrząc na żwir pod nogami i spękaną ziemię, głuchy na eksplozje, które wyburzają Canudos, ślepy na cienie sępów, które zataczają kręgi nad jego głową, a ręce, jakimś niezależnym od jego woli ruchem prędkim i sprawnym, jak w dawnych, dobrych czasach — lata bowiem pomarszczyły jego twarz i przygarbiły mu nieco plecy, ale nie przytępiły refleksu i zręczności palców — wyciągają z kabury rewolwer, otwierają bębenek, sprawdzają, czy w sześciu otworach tkwi sześć kul, po czym wkładają broń z powrotem do futerału. Kropla, która przepełniła kielich. Bo to, co miało być szczytem jego życiowej kariery, ukoronowaniem ryzykanckiej pogoni za ludzkim szacunkiem, okazało się pasmem rozczarowań i przykrości. Zamiast zyskać uznanie i respekt należny dowódcy batalionu reprezentującego w tej wojnie całą Bahię, jest dyskryminowany, poniżany i obrażany w osobie swojej i osobach swoich podwładnych, i nie dano mu nawet szansy, żeby pokazał, ile jest wart. Do tej pory jego jedynym wyczynem było okazywanie cierpliwości. Ta kampania to klęska, przynajmniej dla niego. Nie zauważa nawet salutów mijanych po drodze żołnierzy.

Kiedy dochodzi do zagłębienia terenu, gdzie spędzono jeńców, dostrzega chorążego Maranhao, który pali, patrząc w jego stronę, otoczony grupką żołnierzy w bufiastych spodniach, jakie noszą pułki gauczów. Chorąży wygląda niezbyt imponująco, a jego twarz niczym nie zdradza drzemiących w nim rzeźnickich skłonności, którym daje ujście po nocach: jest drobny, szczupły, ma jasną skórę, jasne włosy, starannie przycięte wąsiki i błękitne, aniołkowate oczy. Kiedy idzie ku niemu, bez pośpiechu, żadnym skurczem czy zmarszczką twarzy o wydatnych, indiańskich rysach nie zdradzając swych zamiarów — sam zresztą nadal nie wie, co robi — pułkownik Geraldo Macedo stwierdza, że gauczów jest ośmiu, że żaden nie ma broni — karabiny, ułożone w dwa równe kozły, stoją obok namiotu — za to wszyscy mają noże zatknięte za pas, a Maranhao, jako jedyny, ładownicę i pistolet. Pułkownik przecina plac zatłoczony widmami kobiet. W kucki, na leżąco, na siedząco, wsparte o siebie jak karabiny żołnierzy, wydają się dotknięte zupełną drętwotą, jakby życie przytailo się tylko w ich oczach, które odprowadzają spojrzeniem jego postać. Widzi dzieci, wtulone w ramiona i spódnice, przywiązane chustami do pleców matek albo leżące obok na gołej ziemi. Kiedy jest już o parę metrów, Maranhao rzuca niedopałek i staje na baczność.

— Dwie sprawy — mówi pułkownik Macedo, stając tak blisko, że jego oddech owiewa twarz chorążego gorącym tchnieniem. — Po pierwsze, dowiedz się od więźniarek,

jak zginął Joao Mnich, a jeżeli nie zginął, to co się z nim stało.

— Już były przesłuchiwane, ekscelencjo — mówi chorąży Maranhao potulnie. — Przez porucznika z pańskiego batalionu. A potem przez trzech żandarmów, którym musiałem udzielić nagany za bezczelność. Przypuszczam, że doniesiono o tym panu. Żadna z nich nic nie wie o Joao Mnichu.

— Spróbujemy jeszcze raz i zobaczymy, czy będziemy mieć więcej szczęścia — mówi tym samym tonem Geraldo Macedo, stanowczy, bezosobowy, opanowany, bez cienia wrogości. — Chcę, żeby pan osobiście je przesłuchał.

Jego małe, ciemne oczy z kurzymi łapkami w kącikach nie odrywają się od jasnych, zdumionych, nieufnych oczu młodego oficera; spoglądają nań nieruchomo, bez jednego mrugnięcia. Pułkownik Macedo wie — być może coś usłyszał, być może przeczuł — że ośmiu żołnierzy po jego prawej ręce zeszywniało, a oczy wszystkich kobiet spoczęły ociążale na jego osobie.

— W takim razie je przesłucham — mówi po chwili wahania oficer. Kiedy chorąży, powoli, skonsternowany rozkazem, niepewny, czy pułkownik istotnie chce raz jeszcze spróbować się dowiedzieć, jaki los spotkał bandytę, czy też po prostu chce dać odczuć swoją władzę, przechodzi, rozpytując o Joao Mnicha, przez morze łachmanów, które rozstępuje się i zwiera wokół niego, Geraldo Macedo ani razu nie ogląda się, żeby spojrzeć na zbitych w gromadę gauczów. Ostentacyjnie odwraca się do nich plecami, założywszy ręce za pas, z czapką zsuniętą na tył głowy, w postawie typowej dla pastucha z sertonu, śledzi przejście chorążego przez obóz. Daleko, za wzgórzami, wciąż słychać wybuchy. Żaden głos nie odpowiada na pytania chorążego; kiedy zatrzymuje się przed którąś z więźniarek i patrząc jej prosto w oczy, zadaje pytania, odpowiedzią jest tylko przeczący ruch głową. Skupiony na tym, po co tu przyszedł, w napięciu łowiąc każdy szmer dochodzący stamtąd, gdzie stoi ośmiu żołnierzy, pułkownik Macedo ma dość czasu, by pomyśleć, że to dziwne, że w tłumie kobiet panuje podobna cisza, że to niezwykle, że te wszystkie dzieci nie płaczą z pragnienia, głodu lub strachu, i nagle przychodzi mu do głowy, że wiele z tych maleńkich szkieletów już dawno nie żyje.

— Widzi pan, pułkowniku, to na nic — mówi chorąży Maranhao, stając naprzeciw niego. — Uprzedzałem, że tak będzie.

— Szkoda — mówi w zamyśleniu pułkownik Macedo. — Będę musiał stąd odejść, nie dowiedziawszy się, co się stało z Joao Mnichem.

Stoi wciąż w tym samym miejscu, odwrócony plecami do ośmiu żołnierzy, patrząc uważnie w jasne oczy i bladą twarz chorążego, na której zaczyna odbijać się niepokój.

— Czym jeszcze mogę służyć? — mamrocze w końcu.

— Pan pochodzi z daleka, prawda? — mówi pułkownik Macedo. — A więc zapewne nie wie pan, co jest największą obelgą w sertonie.

Chorąży Maranhao poważnieje, marszczy brwi i pułkownik czuje, że nie może dłużej czekać, bo tamten wreszcie wyciągnie broń. Błyskawicznym, nieprzewidzianym ruchem uderza otwartą dłońią w tę białą twarz. Cios obala chorążego na ziemię; nie podnosi się, klęczy na czworakach, patrząc na pułkownika Macedo, który robi krok naprzód, staje nad nim i ostrzega:

— Jeżeli wstaniesz, jesteś martwy. I nie próbuj sztuczek z rewolwerem, bo...

Patrzy mu zimno w oczy i nawet teraz nie zmienia się ton jego głosu. Widzi wahanie w splonionej twarzy chorążego, u swoich stóp, i już wie, że południowiec nie wstanie, nie



złapie za rewolwer. Sam zresztą też tylko podniósł prawą rękę i nieznacznie przysunął ją do kabury. W rzeczywistości jednak pilnie śledzi wszystko, co dzieje się za jego plecami, odgadując, co myśli, czuje ośmiu żołnierzy, widząc swego dowódcę w takim położeniu. Ale w parę chwil później pewien jest, że oni też nic nie zrobią, że oni też przegrali tę partię.

— Uderzyć mężczyznę w twarz, tak jak ja uderzyłem ciebie, to ciężka obelga — mówi, błyskawicznym ruchem rozpina rozporek i przezroczysta strużka moczu rozpryskuje się na tyłku chorążego Maranhao. — Ale jeszcze gorzej jest na niego nasikać. — Zapinając rozporek, czujnie łowi uchem każdy szmer za plecami i widzi, że chorąży zaczyna się trząść jak w febrze, widzi, że z oczu tryskają mu łzy i że nie wie, co ze sobą począć.

— Gównu mnie obchodzi, że przezywają mnie Łowcą Bandytów, bo nim byłem — mówi wreszcie, patrząc, jak chorąży gramoli się z ziemi, trzęsie się, płacze; czuje jego nienawiść i wie, że teraz też nie sięgnie po broń. — Ale moim ludziom nie podoba się, że nazywają ich zdrajcami republiki, bo to nieprawda. Nie są ani gorszymi patriotami, ani gorszymi republikanami od innych. — Pieszczotliwie gładzi językiem swój złoty ząb. — Masz teraz trzy możliwości — mówi na koniec. — Złożyć raport do dowództwa i oskarżyć mnie o nadużycie władzy. Mogą mnie zdegradować, a nawet wylać ze służby. Niezbyt mnie to obchodzi, bo dopóki istnieją bandyci, zawsze zarobię na życie. Po drugie, podejść i poprosić mnie o wyjaśnienie, a wtedy załatwimy to między sobą, jako cywile, rewolwerem, nożem albo bronią, jaką sam wskażesz. Po trzecie, zabić mnie ciosem w plecy. Zobaczymy, co wybierzesz.

Podnosi rękę do czapki, udając, że salutuje. Ostatni rzut oka na ofiarę upewnia go, że nie wybierze trzeciej możliwości, przynajmniej nie w tej chwili. Odchodzi, nie zaszczyciwszy spojrzeniem ośmiu gauczów, którzy wciąż stoją bez ruchu. Kiedy się przeciska przez ciżbę obdartych szkieletów, dwa chude szpony czepiają się jego buta. Jakaś staruszka, prawie łysa, drobna jak dziewczynka, patrzy na niego spod zaropiałych powiek.

— Chcesz, to ci powiem o Joao Mnichu — bełkoczą bezzębne usta.

— Chcę — mówi pułkownik Macedo. — Widziałaś, jak umierał? Staruszka potrząsa głową, cmoka, jakby coś ssła.

— A więc uciekł?

Staruszka znowu potrząsa głową, obłożona spojrzeniami pojmanych kobiet.

— Archaniołowie ponieśli go do nieba — mówi, mlaskając językiem. — Widziałam ich.

## Od tłumaczki

Po formalnych eksperymentach, jakie złożyły się na *Zielony dom*, po udanej próbie polifonicznego przedstawienia peruwiańskiej rzeczywistości w *Rozmowie w „Katedrze”*, trzecia z kolei wielka powieść Maria Vargasa Llosy, *Wojna końca świata*, jest mistrzowską w formie, w pełni dojrzałą epopcją. Osnuta na tle autentycznych postaci i wydarzeń (powstanie, działalność i upadek jednej z chiliastycznych sekt XIX-wiecznej Brazylii), przedstawia apokaliptyczną — również w znaczeniu cyklicznej symboliki dziejów — wizję świata i człowieka.

Pod koniec XIX wieku na półpustynnych wyżynach północno--wschodniej Brazylii, w regionie zwanym *sertao* — po portugalsku: pustkowiu — pojawia się prorok, apostoł, kaznodzieja Antonio Men-des Maciel, przez lud zwany O Conselheiro (dosłownie: doradca, szerzej — pocieszyciel, nauczyciel). Wędruje od osady do osady, głosząc konieczność ascezy i bliski koniec świata, naucza, interpretując na swój sposób prawdy chrześcijańskiej wiary, udziela rad, służy pomocą w rozstrzygnięciu sąsiedzkich sporów. Legenda przypisze mu nadprzyrodzoną moc i wiele cudownych uzdrowień. Wokół charyzmatycznego pielgrzyma gromadzą się wierni. Hierarchia Kościoła jest mu wroga, lecz nauka „świętego”, prosta i działająca na wyobraźnię, zjednuje mu licznych wyznawców wśród ubogiej ludności sertonu, pustoszonego okresowo przez iście apokaliptyczne klęski suszy.

Dramat dziejowy, zakończony tragiczną masakrą, rozpoczyna się w chwili, gdy Antonio Conselheiro postanawia wystąpić przeciw młodej — proklamowanej w listopadzie 1889 roku — republice, która wprowadziła rozdział Kościoła od państwa, ustawę o ślubach cywilnych i nowe podatki, co wystarczyło, by w oczach jego wyznawców stała się wcieleniem Antychrysta. Conselheiro wraz z grupką wiernych — jej liczebność będzie rosła z upływem czasu — osiedla się w opustoszałym majątku Canudos, oddzielnym od reszty świata pierścieniem dzikich wzgórz, i zakłada wspólnotę wzorowaną na życiu pierwszych chrześcijan, oazę „prawdziwej” wiary. Tu też rozegra się główny akt tragedii.

Zagrożony destabilizacją republikański rząd w „wywrotowych” ideach proroka sertonów dopatruje się spisku monarchistów. Wysyła do Canudos armię. Trzy kolejne ekspedycje ponoszą druzgoczącą klęskę, ostatnia — dokonuje straszliwej rzezi wyznawców Nauczyciela. Z całej osady ocaleje zaledwie garstka ludzi. Conselheiro umiera na kilka dni przed decydującym szturmem.

Dzieje tej „wojny końca świata” znane są dokładnie dzięki korespondentowi wojennemu jednego z paulistańskich dzienników, Euclidesowi da Cunha, który tło i przebieg konfliktu utrwalił na kartach monumentalnego dzieła *Os sertões (Sertony)*, uznanego później za klasyczną pozycję brazylijskiej literatury. W trzech częściach tego, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, socjologiczno-antropologicznego traktatu — *A Terra (Ziemia)*, *O Hornem (Człowiek)*, *A Luta (Walka)* — dokonał drobiazgowej analizy wydarzenia, które wstrząsnęło Brazylią. Mimo republikańskich przekonań umiał dostrzec bezprzykładne bohaterstwo obrońców Canudos, okrucieństwo wojny i bezsens ostatecznej pacyfikacji. Temu to człowiekowi zadedykował Vargas Llosa swą książkę, a jedna z głównych jej postaci — dziennikarz okularnik, korespondent wojenny „Jornal de Notícias” i świadek zagłady Canudos — jest daleką literacką reminiscencją brazylijskiego pisarza. Chciałabym podkreślić tu słowo „daleką”, ponieważ *Wojna końca świata* nie jest biografią autora *Sertonów*, na co zresztą wskazuje anonimowość jego fikcyjnego odpowiednika. Natomiast w pełni autentyczne są sylwetki niektórych wyznawców Nauczyciela, jak choćby Joao Mních czy Joao Wielki.

Małeńki wycinek ludzkich dziejów, niby preparat oglądany przez szkło mikroskopu, rozrósł się pod piórem peruwiańskiego pisarza w wielowątkowy, wielopłaszczyznowy fresk.

Punktem, w którym zbiegają się wszystkie osie narracji, jest Nauczyciel, a szerzej — Canudos. Wokół tego centrum oscylują wszystkie postaci: galeria wyznawców, przedstawionych w pierwszej części w krótkich przypowieściach noszących znamię apokryficzno-biblijnej stylizacji; Galileo Gall, szkocki anarchista, w religijnej rebelii widzący załazek światowej rewolucji; tropiciel Rufino i jego żona, Jurema; wreszcie dziennikarz okularnik, który w ostatniej, czwartej, części książki przyjmie rolę kronikarza i opíše swemu byłemu zwierzchnikowi, a zarazem właścicielowi Canudos i okolicznych ziem — baronowi de Cañabrava — wydarzenia, jakich był niewidomym świadkiem: będzie to opowieść człowieka, dla którego po stracie okularów rzeczywistość stała się światem ruchomych cieni, dotyku i dźwięku. Podaje on swoją wersję wypadków. Z jego słów dowiadujemy się o końcu tragedii, jego niewidzącymi oczami oglądamy ostatnie dni apokalipsy, kiedy herosi i święci znów są tylko ludźmi i tuż przed śmiercią powracają na krótko do swych dawnych ról.

Jesteśmy świadkami końca pewnego świata. Z apokaliptycznej zagłady ocaleją jednak dwie podstawowe wartości ludzkiego życia: przyjaźń i miłość. Zostanie jeszcze legenda i przyrodzona człowiekowi wewnętrzna potrzeba, by dać świadectwo prawdzie. I tu zbliżyliśmy się do niezwykle ważnego w powieści Vargasa Llosy problemu — pytania o kształt dziejów, o granicę między rzeczywistością, legendą i historią.

Bo *Wojna końca świata* toczy się na wielu płaszczyznach, którym odpowiadają różne poziomy narracji. Mamy więc drobiazgowy, naturalistyczny opis, często połączony z techniką „kamery”, patetyczną, ewangelicznie uroczystą opowieść o Nauczycielu i Canudos, apokryficzne żywoty apostołów wiary (Joao Szatana, Matki Ludzi, Lwa z Natuby i wielu innych), „naukową”, historyczną wersję zdarzeń widzianą „obiektywnym” okiem rewolucjonisty Galileo Galla, wersję niedowidzącego kronikarza (czyżby dalekie echo Homera?), który w bezpośrednim zetknięciu z brutalną rzeczywistością wojny przeżył wewnętrzną metamorfozę i zapragnął napisać całą (swoją?) prawdę o Canudos. Poziomy te, wyraźnie oddzielone w części pierwszej, zaczynają potem splatać się ze sobą, tworząc spójny, choć wieloznaczny obraz — syntezę rzeczywistości (prawdy?), legendy i historii, losy Canudos zaś nabierają wymiaru syntezy dziejów.

Dorota Walasek-Elbanowska